

TRYLOGIA POMORSKA

KRZYSZTOF A.
ZAJAS
GERDA

MARGINESY

KRZYSZTOF A.
ZAJAS
GERDA

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

I. Pierwsze zejście pod ziemię

II. Tydzień Szarlotki

III. Pommerland ist abgebrannt

IV. Ziemia niczyja

V. Wiosna (Frühling ist gekommen)

VI. Fotografia

VII. Drugie zejście pod ziemię

VIII. Rysunki

IX. Kuckucksmühle

X. Nie zostawiaj mnie samej

XI. Mittsommernacht

XII. Energia wiatraków

XIII. Skarb von Schlieffenów

XIV. Damroka albo trzecie zejście pod ziemię

Epilog

Od Autora

Przypisy

Wydawca, redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja KAROLINA MACIOS
Korekta KAROL WEBER, BEATA WÓJCIK
Projekt okładki i stron tytułowych ANNA POL
Koordynatorka produkcji PAULINA KUREK
Zdjęcie na okładce © Roy Bishop / Arcangel Images
Opracowanie typograficzne, łamanie **manufaktura**

Copyright © by Krzysztof A. Zajas
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Warszawa 2023
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67790-88-8

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.

ul. Mierosławskiego 11A

01-527 Warszawa

tel. 48 22 663 02 75

redakcja@marginesy.com.pl

www.marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku

JamaNiamy

*Nie wiem, czy jestem z tego, czy z tamtego świata:
Gdzie się przybliżam, zaraz wiatr oddali,
Pędzi w górę, w dół, z ukosa:
Tak, pośród pierzchliwej fali,
Wieczną przelatując drogę,
Ani wzbić się pod niebiosą,
Ani ziemi dotknąć nie mogę.*

(Adam Mickiewicz, *Dziady cz. II*)

*A ty czekasz, ty czekasz na jedno,
co twe życie wzniesie nieskończenie,
na wielkie, niezwykle zdarzenie,
na kamieni nagłe przebudzenie,
na głębie, co u nóg twych legną.*

Rainer Maria Rilke, *Przypomnienie*,
przeł. Mieczysław Jastrun

I

Pierwsze zejście pod ziemię

luty–marzec 1945

1

Najpierw usłyszała buczenie. Niskie, mrukliwe, podobne do brzęczenia pszczoł, które kiedyś wyroiły się dziadkowi Wilhelmowi i latały jak zwariowane po ogrodzie. Okropnie się wtedy bali. Babcia Henrietta zamknęła ich w pokoju i zabroniła wychodzić, tłumacząc, że od dziesięciu użądleń naraz można umrzeć. A dzieciom daleko do śmierci, mówiła, całe życie przed wami. Siedzieli w sześcioro, oprócz niej młodsze siostry: Anna, Maria, Katharina i Elisabeth, oraz pięcioletni kuzynek Otto od Stubenauerów. Heike była wtedy jeszcze malutka i spała w sypialni rodziców. Otto beczał ze strachu i wołał, że chce siusiu, bo inaczej też umrze. Nie żartuj sobie ze śmierci, karciała go babcia.

Słowo „śmierć” wbiło się wówczas jak kulek w dziecięcą duszę Gerdy. I już tam zostało.

Der Tod. Gdyby wtedy wyszła do ogrodu i wystawiła swoje ciało na brzęczącą chmurę, spuchłaby jak dmuchana zabawka i umarła. Nie poznałaby niczego, co się później wydarzyło. Później, czyli kiedy? W którym roku wyroiły się pszczoły dziadka Wilhelma? W czterdziestym pierwszym, tak, na pewno. Tamtego lata niezwyciężona armia niemiecka ruszyła na tych strasznych Rosjan, o których tu, we wsi, nie mówiono inaczej niż z nienawiścią. Cztery i pół roku temu. Miała niespełna dwanaście lat i gdyby wtedy umarła od pszczoł, nie musiałaby dzisiaj przeżywać hańbiącego ich naród odwrotu. Nie musiałaby z całą rodziną

uciekać nie wiadomo dokąd, wśród złowrogich pokrzykiwań: *Bolschewiken! Iwans!*

To nie pszczoły. Jest ostatni dzień lutego. Pszczoły śpią w zimowym letargu i obudzą się, kiedy już będzie po wszystkim. Wygramolą się z uli na krańcu ogrodu, od południa, gdzie słońce grzeje najmocniej, i popatrzą na nowy, powojenny świat. A w nim już nie będzie Niemców, tylko jacyś inni ludzie. Pewnie Polacy, może Rosjanie. To będzie całkiem inny świat; nie miała tylko pojęcia, jak bardzo inny.

Buczenie narastało. Sztywne, zmrożone powietrze zafalowało, jakby nagle odtajało. Przetarła oczy. Wkoło zalegała bezlitosna biel. Po horyzont i dalej, aż do ołowianego Ostsee, ciągnęły się całuny śnieżnych pól. Czekały na przyjęcie ciał wszystkich tych, którzy nie przeżyją. Widziała kiedyś taki pogrzeb. Stary Haase umarł sam, biedny i chory na jakąś zaraźliwą chorobę. Jego ciało zawinięto w białe prześcieradło i wrzucono do głębokiego dołu, a potem posypano wapnem. Wtedy mama szepnęła to słowo: *Leichentuch*. Całun. Może mówiła o prześcieradle, a może o tym kredowym proszku, którego drobinki unosiły się nad łopatą grabarza Grundmanna.

Kiedy samoloty wypadły nagle zza lesistego wzniesienia, zeskoczyła z drogi do rowu i przywarła do jaworowego pnia. Gołe drzewa, bez liści, prześwitywały na wylot i bystry strzelec pokładowy mógł ją wypatrzeć. Skuliła się. Zimny i suchy od mrozu pień przypominał kamień. Po obu stronach drogi stało ich kilkadziesiąt, niemych świadków jej wariackiego wyczynu z wracaniem do wsi po Reksa i odprowadzaniem go na statek w Rügenwalde, a stamtąd dalej na zachód. Przecież pies też ma prawo do ucieczki, tak jak człowiek. Byle dalej od strasliwego słowa *Bolschewiken*.

Szpaler jaworów przy drodze z Heinsdorf do Schlawe sadił jeszcze ojciec dziadka. „Wszyscy sadzą kasztany albo lipy, a my będziemy mieli aleję jaworową”, powtarzał jego słowa Opa Willi, gdy z siostrami wysłuchiwały opowieści o tym, jak to kiedyś na Pomorzu było wspaniale i jak wszystko schodzi na psy. Skrzywiła się. Ona teraz też zeszła na psy. Na jednego psa, Reksa.

Trzy. Leciąły nisko. Nad wsią wzięły ostry zakręt i ruszyły wprost na nią. Wcześniej już wiele razy widziała samoloty, ale zawsze były to samoloty niemieckiej Luftwaffe, ich samoloty. Machała do nich radośnie czerwonymi chorągiewkami z czarną swastyką. Miały przynieść im zwycięstwo i zawsze chronić przed takimi jak te trzy, które sunęły teraz nad drogą, żeby wypłoszyć dziewczynę spod drzewa i zabić. Przycisnęła policzek do zimnej kory. Ukryj mnie, jaworze. Pradziadku, który umarłeś dawno temu i leżysz w tej ziemi, ochroń mnie.

Huk rozrywanego śmigłami powietrza przetoczył się nad jej głową i pomknął dalej na północ. Odetchnęła z ulgą, a potem nagle zrozumiała. Boże, tylko nie to! Wyskoczyła na brukowany trakt i rzuciła się do biegu. Trzeba ich ostrzec! Podeszwa buta ujechała na obludzonym kamieniu i Gerda upadła na kocie łby. W kolanach eksplodował ból. Poderwała się, ale stłuczone nogi odmówiły współpracy. Upadła znowu. Leżała na środku drogi z pięścią wciśniętą w usta. Zagryzła ją z całej siły. Zabijają ich! Wszystkich zabijają! Usłyszała serię z karabinów. I potężną eksplozję. Jęknęła.

Długo szukała w sobie sił, żeby wstać. Od kamieni szedł lodowaty chłód. Kolana sztywniały i piekły świeżymi ranami w przetarciach wełnianych rajtuz. To było jak ogień płonący mrozem. Nie wstanie, będzie leżeć na środku drogi, aż ją znajdą ci nowi ludzie, którzy mają objąć ich ziemię we władanie. Umrze na drodze. Ta wojna jest jednym wielkim umieraniem pośrodku drogi.

Zamknęła oczy i poszukała w myślach czegoś dobrego, ciepłego, co chciałaby zapamiętać na wieczność, kiedy trupiobiałymi polami przyjdzie tu po nią Pan Śmierć. *Ich bin der Tod*, jak mówił ojciec chrzestny w baśni. Tak niedawno, zaledwie tydzień temu, czytała ją do snu sześciolatniej Heike z grubej książki braci Grimm. Mała dostała ją pod choinkę i od tej pory nie chciała spać bez czytania. W jej otwartych oczach tam, na wozie, nie było przerażenia ani zdumienia, tylko otucha. Tak, Gerda, idź, uwolnij go! Pulchniutka i zawsze cieplutka Heike, do której Gerda uwielbiała się tulić, żeby ogrzać zgrabiałe dłonie, gdy pomorskie chłody przychodziły

wcześnie i ojciec jeszcze nie palił w piecu, a mama nie kwapiła się z wyjmowaniem ze skrzyni zimowych pierzyn.

Idę. Biegnę.

Reks został na łańcuchu i zaraz zdechnie z głodu. Mniej więcej taki impuls przed godziną pchnął ją do tego, by puścić uzdę Carla, jednego z dwóch siwków ciągnących wóz ze stertą betów oraz babcią Henriettą i małą Heike, i krzyknąć, że wraca po niego. Ojciec najpierw jej surowo zabronił, potem nazwał idiotką i dodał, że idzie na pewną śmierć. „Uciekamy, żeby przeżyć, a ty, ty...!”, gotował się. Wreszcie uderzył ją w twarz. Chyba nie zamierzała naprawdę wracać, raczej chodziło jej o wykrzyczenie całego tego koszmarnego absurdu z pakowaniem, uciekaniem, porzucaniem domu i wleczeniem się w śniegu i mrozie. Co za różnica, gdzie spadnie na nich to, co i tak musi spaść? Bała się i ten strach nie został tam, w kolumnie uciekinierów, tylko siedł razem z nią. Nie odpuszczał. I już nie odpuści.

Wymierzony przez ojca policzek zmienił kaprys w postanowienie. Zawróciła do wsi.

Zostawiła ich na szosie; ojciec coś gardłował, ale nie pobiegł za nią, choć w duchu na to liczyła. Miał nogę przestrzeloną w kolanie, dlatego zwolnili go z frontu do domu, i teraz chodził, mocno kulejąc. Nie potrafił biegać. Jeśli nie on, to ktokolwiek, może nawet syn kierownika poczty, Joseph Müller, z którym tańczyła w styczniu na zabawie w remizie strażackiej. Nie, nikt się za nią nie ruszył. Sąsiedzi gderali, że nie ma czasu na panińskie kaprysy, więc ojciec świsnął batem, po swojemu zaciskając zęby, i cała kolumna ruszyła dalej. Jeszcze babcia Henrietta zawołała: „Gerda!”, ale słabo. Jakby wcale nie chciała jej zatrzymać, tylko pożegnać. W biegu odwróciła głowę. Babcia i mała Heike patrzyły za nią w milczeniu, z szeroko otwartymi oczami. Zawahała się. Pobiegła. To tylko parę kilometrów, zaraz wróci. Front był jeszcze daleko. Tak mówiono.

Wiedziała, że robi głupio, ale co z tego wszystkiego dokoła nie było głupie?

Kocie łby parzyły w policzek. Z trudem podniosła głowę. Brzęczenie osłabło, daleki huk samolotów uleciał w niebo. Wstała. Potłuczone kolana już nawet nie bolały, tylko po prostu znikły. Między udami a stopami nie czuła w ogóle ciała, nogi przypominały dwie betonowe podpory. Nie zwracała na nie uwagi. Nadstawiła uszu. Cicho. Bardzo cicho. Wszyscy zginęli. Nie, to niemożliwe. Nie da się zabić całej wsi w parę minut. Na pewno przeżyli i zbierają się do drogi. Stracili trochę czasu i muszą się spieszyć. Ona również. Nikt nie chciał zostać we wsi po tym, jak dotarli do niej uciekinierzy z Prus Wschodnich i opowiadali, co na zdobytych niemieckich terenach wyprawia Armia Czerwona. Na wszystkie sposoby odmieniano słowa *Vergewaltigung* i *Missbrauch*. Mgliście domyślała się, co znaczą, ale naprawdę przestraszyła się dopiero, kiedy zapytana o nie babcia odparła: „Lepiej, dziecko, żebyś nie wiedziała”.

Potała rękami uda i obite kolana, żeby przywrócić w nich krążenie, szara wełna rękawiczek zabrudziła się na bordowo. Zrobiła dwa kroki – da się iść. Oblodzone kocie łby, których parzące piętno czuła nadal na policzkach, przywróciły jej jaką taką równowagę. Na zachodzie mroźny dzień zbierał się do sinofioletowego finału, jeszcze chwila i zacznie się ściemniać. Ależ jest głupia, przecież i tak nie zdąży! Obciągnęła płaszcz, poprawiła przekrzywioną czapkę i ruszyła na północ. Rezygnuje. Za godzinę powinna ich dogonić.

W miejscu osadziło ją szczekanie. Było odległe i cienkie jak pisk myszy. Nie szczekanie, ale zawodzenie; mimo to przeszło ją na wylot. Natychmiast je rozpoznała. Odwróciła się. Wieża kościoła była na wyciągnięcie ręki, blisko, nie dalej niż kwadrans biegiem, o ile jej kolana podejmą się takiego wyzwania. Spojrzała na zachód, gdzie jeszcze trochę i czerwona twarz słońca oprze swoją posiniaczoną brodę na linii lasu. Na północ, gdzie panowała bezlitosna cisza. Na wschód, skąd dochodziło dalekie dudnienie artylerii. I znowu na południe, gdzie zawodził porzucony przez gospodarzy pies. Jej Reks.

Jest dzielna, najstarsza z szóstki, prawie jak syn. Da radę.

Pobiegła do wsi.

Kolana się rozruszały i teraz biegła różnie, czując rozchodzące się pod płaszczem ciepło. Ciepło to życie. Będzie żyła. Oni też na pewno przeżyli, a teraz bardzo się martwią, bo zrobiła głupio, wracając do Heinsdorf z powodu psa, ale zaraz to wszystko naprawi i do nich wróci. Reks jest silnym i mądrym psem, w razie potrzeby mógłby ją nawet pociągnąć na sankach. Wiele razy tak się bawiła. Ojciec odpinał z łańcucha Reksa i zaprzęgał parcianym pasem do sanek, na które kładł koc, żeby dzieciom było cieplej, i otwierał wrota na schodzącą ku dolinie łąkę. Pierwsza zawsze jechała Ana i kwiczała przy tym z radości jak prosiaczek. Ojciec śmiał się głośno.

Ojciec. Johann Liebner. Uderzył ją, bo musiał, sąsiedzi przyglądali się, jak radzi sobie z wychowywaniem sześciu córek. W całej kolumnie uchodźców, wśród starców, kobiet i dzieci, jako inwalida wojenny był jedynym mężczyzną w sile wieku. Przyszło jej do głowy, że stąd brała się jego surowość: miał sześć córek i żadnego syna, którego mógłby w swoim imieniu posłać na front. A ona, Gerda, była najstarsza. Miała być najstarszym synem, czyli tym silnym, odważnym i odpowiedzialnym, kimś, kto w trudnych sytuacjach potrafi zdobyć się na poświęcenie. W radiu bębniło o tym na okrągło. No to się zdobyła. Ktoś musiał zrobić poprawkę w ich dobrze zorganizowanym i uporządkowanym wymarszu, do którego wkradł się drobny błąd. Padło na nią.

Wbiegła między pierwsze gospodarstwa. Ścieżka na przełaj, przez stary ogród Grohlów, i potem dalej za domami, żeby nie paradować środkiem ulicy. Grohlowie prowadzili we wsi sklep i nie mieli czasu zajmować się pielęgnowaniem gospodarstwa, więc płot był stary i dziurawy, znała w nim każde przejście. Ganiały tędy z siostrami setki razy. Minęła jedno obejście, drugie, nigdzie nikogo. Tylko długie cienie trzymały daremną straż między opuszczonymi domami. Czarny kot z kurzym skrzydłem w pysku zeskoczył z wielkiego beczkowozu na ziemię i maszerował niespiesznie przez podwórze Stubenauerów. *Mitzi*, zawołała, *Mitzi, hier!* Kotka zatrzymała się, popatrzyła na nią z wahaniem, jakby rozstrzygała poważny dylemat, i dostojnie ruszyła dalej. Znikła w szopie. Gerdzie przemknęło przez głowę,

że właściwie ją też powinna zabrać, w końcu kot nie jest gorszym domownikiem od psa, ale szybko odrzuciła ten pomysł. Nie pójdzie do Rügenwalde z całym zwierzyńcem, jak jakiś święty Franciszek, bo przecież na Mitzi się nie skończy. Jakby w odpowiedzi rozszczękały się okoliczne psy, a ona w ich ujadaniach słyszała prośby i błagania: mnie też weź! I mnie! I mnie! Nie mogła ich zabrać, ale postanowiła w drodze powrotnej odpiąć kilka z łańcuchów. Niech biegną i spróbują przeżyć. Tak jak ona.

Wśród psiego jazgotu wycie Reksa było inne. Teraz już głośne i rozpaczliwe, jakby wiedział, że ona jest blisko, i tym natarczywiej wołał o pomoc. Przyspieszyła kroku. Wpadła na podwórko i zdziwiła się, że spod budy nie skoczył ku niej rozradowany biały szpic o fantazyjnie wywiniętym ku górze ogonie i sterczących uszach. W ogóle go nie było. Zwolniła i rozejrzała się niepewnie. Gdzie on jest? Wtedy znowu zaskamlał.

Był niewidoczny. Pod ścianą stodoły leżały rzucone byle jak narzędzia rolnicze: czteroskibowy pług, przewracarka do siana, kosiarka McCormick z długim metalowym dyszlem i zębami jak u smoka. Przed nimi piętrzyła się sterta drewnianych bron z metalowymi zębami, od lat nieużywanych, bo ojciec trzymał je już chyba tylko z szacunku do tradycji albo po prostu ze skąpstwa. Normalnie cały ten park maszynowy stał pod wiatą, ale trzeba go było usunąć, żeby wydobyć obszerny wóz drabiniasty, na który potem wszystko załadowali. Ojciec wywlókł brony i rzucił je tam, gdzie mu było najwygodniej, myśląc o szybkim, sprawnym wyjeździe, a nie o bezpieczeństwie psa na łańcuchu.

Reks tkwił między nimi. Ponad kratownicę belek wystawały tylko białe uszy, tułów zatrzymał się w połowie, a łapy obsunęły się niżej i grzebały w powietrzu, próbując złapać punkt podparcia. Kiedy pies wyczuł Gerde na podwórzu, zawył rozdzierająco i szarpnął się w górę. Uderzył łbem w belkę i zaskuczał przeciągle. Jego łańcuch zaplątał się w kolce bron. Spróbowała podnieść wierzchnią bronę, jej ciężar znacznie przekraczał jednak możliwości szesnastoletniej dziewczyny. Zwierzę zawyło. Reks, piesku, spokojnie. Cicho już, cicho. Zaraz cię wyciągnę.

Potrzebowała dźwigni i podpórki. Przyciągnęła spod ściany gruby drąg, wepchnęła go między brony, odpięła łańcuch od obroży i podważyła kratownicę. Uniosła się, jest dobrze. Pies usiłował sam się wygramolić, ale natychmiast jęknął i opadł. Podstawiła drąg pod uniesioną bronę i ostrożnie ujęła psi korpus. Reks przestał wyć i lizał ją po ręce. No już, psiaku, jeszcze trochę. Chodź. Szarpnęła i psisko warknęło. Kucnęła. Zajrzała pod brony i zrozumiała. Przednia łapa Reksa wyginała się pod nienaturalnym kątem, wciśnięta między dwa metalowe radełka. Przy każdym poruszeniu ostrze jednego z nich wrzynało się w otwartą ranę. Pchnęła uniesioną bronę na ścianę stodoły i położyła się plackiem na zdradliwej stercie. Sięgnęła w głąb karkołomnej konstrukcji, by po omacku zbadać sytuację. Reks warczał i skuczał na przemian. Miała ochotę robić to samo, ale była najstarsza i dzielna. Trzeba sobie radzić. Pchając łapę w dół, uwolniła ją z niebezpiecznego ostrza, które sterczało teraz czerwone od psiej krwi. Reks w odruchu obronnym przekrzywił łeb i kłapnął ją zębami w bark. Syknęła z bólu. Spokojnie, piesku. Kiedy podjęła go pod boki i ostrożnie uniosła, jęknął niemal ludzkim głosem, ale już cicho, zgodliwie. Najostrożniej, jak umiała, wzięła go na ręce, zsunęła się z nim na ziemię i postawiła na śniegu. Stał na trzech łapach, liżąc czwartą, która wykręcała się na zewnątrz jak uschnięta gałąź. Podniósł łeb, popatrzył na nią smutno i polizał ją po rękawiczce uwalanej krwią z jej rozbitych kolan, jakby chciał ją przeprosić za cały ten bałagan. Pogłaskała go, on zaskamlał. Dwoje feralnych wielbicieli wolności. Ciągnięcie sanek diabli wzięli. Przytuliła twarz do kudłatego łba i szepnęła do psiego ucha: no już, kochany, już. Damy radę.

Dopiero teraz się rozplakała.

2

Zaniosła go do kuchni. Łapa była złamana i pokaleczona kolcami, a dodatkowo poszarpana do krwi tuż przy tułowiu. Wyglądało na to, że pies w przyływie desperacji próbował ją sobie odgryźć, bo Gerda

rozpoznawała regularny ślad kłów. Ułożyła go na starym kocu i przykazała grzecznie leżeć. Pies potulnie usłuchał, a ona myślała, co dalej. Podwórze poszarzało, od wschodu i północy świat zalewała nieubłagana ciemność, która zimą zapada zawsze zbyt szybko i zaskakuje ludzi w środku roboty. Z trudem powstrzymała płacz. Teraz już nie ma odwrotu. Trudno, pójdą do Schlawe po ciemku i jeśli nie dogonią kolumny przed nocą, prześpią się w mieście, gdzie na pewno jest sporo opuszczonych mieszkań, a rano ruszą dalej. Zdążą, na pewno zdążą. Pogłaskała Reksa po puszystej białej sierści. Przestał skuczeć i z wywalonym jęzorem grzecznie czekał na rozwój wydarzeń. Zupełnie jakby wiedział, że jeśli chce przeżyć, musi być posłuszny i we wszystkim słuchać się Gerdy. Babcia Henrietta lubiła mówić, że Reks jest najmądrzejszy z wszystkich psów, jakie miała w życiu. Słyszysz? Ty jesteś posłuszny, a ja ci pomogę. Żebyśmy tylko zdążyli. Zdążymy, prawda, piesku?

Odpowiedział jej głuchy grzmot, potem drugi i kolejne. Gdyby było lato, mogłaby się łudzić, że to burza, ale była środa, dwudziesty ósmy lutego, a pszczoły dziadka Wilhelma wciąż spały w ulach na końcu ogrodu. To front. Lęk ją otrzeźwił, poderwała się z podłogi i zaczęła nerwowo szukać czegoś, co nadałoby się do usztywnienia łapy. Jej wzrok padł na miotłę w kącie. Przymierzyła ją do złamanej nogi i nożem nacięła kij tam, gdzie długość wydała jej się odpowiednia. Potem pogłębiła nacięcie naokoło i przełamała na udzie. Twardy bukowy kij pękł równiutko. Dobrze, temblak już miała, potrzebowała jeszcze bandaży. Przypomniała sobie, jak mama z babcią mówiły, że żołnierze na froncie robią bandaże ze starych szmat i że gdyby mogły, posłałyby im wszystkie swoje prześcieradła. Pobiegnęła do sypialni i jednym szarpnięciem otworzyła komodę z pościelą. Zapach nakrochmalonego płótna uderzył ją w nozdrza, serce się ścisnęło.

Usiadła na łóżku rodziców i przytknęła do twarzy wielkie, sztywne prześcieradło. Boże jedyny, to jest mój dom? Ten sam, w którym spędziłam całe swoje szesnastoletnie życie? I teraz tak po prostu trzeba go zostawić? Przecież innego już nie będzie miała! Otarła prześcieradłem łzy. Wszystko na nic, całe to jej wariackie bieganie tam i z powrotem prowadzi donikąd.

Nie ma już tego świata, w którym mama krochmaliała płócienną pościel i potem Gerda ukradkiem mięła ją przed obłóceniem, żeby trochę zmiękała. Nie ma, a ona żadnego innego nie potrzebuje. Lepiej już było umrzeć od pszczoł. Jej życie i tak nigdy dla nikogo nie miało znaczenia. I tak wszystko przegrane.

Za oknem ciemność zadudniła groźnie, w sypialni rodziców również rozpanoszył się wieczorny mrok. Z tego pośpiechu nie zapaliła światła, nie była zresztą pewna, czy w ogóle jest jeszcze prąd. Wstrząsnął nią chłód. Pies w kuchni nagle zaskamlał głośno, ale jakby inaczej, bardziej radośnie. Uniosła zapłakaną twarz i zobaczyła, że w drzwiach stoi chłopiec.

– Gerda?

– Otto? – krzyknęła, zrywając się z łóżka. – Co tu robisz?

Otto Stubenauer sięgnął do kontaktu i przekręcił bakelitowy włącznik. Sypialnię zalało żółte światło. Stał w progu w zimowym kożuszku z futrzanym kołnierzem i w oblepionej śniegiem wełnianej czapce na głowie. Uśmiechał się. Podbiegł do niej i mocno objął ją w pasie.

– Gerda! Już się bałem, że cię nie znajdę.

Zdziwiona odwzajemniła uścisk. Nagle odczuła nowy strach – że nie da rady opiekować się i chorym psem, i kuzynem. Zginą całą trójką, a ją przed śmiercią czeka jeszcze to potworne *Vergewaltigung*.

– Po co przyszedłeś? – spytała, kiedy już ją puścił.

– Żeby ci pomóc – odpowiedział rezolutnie i pogładził ją po ręce. Oboje drżeli.

– Przyszedłeś sam?

– Ana i Maria też chciały biec, ale wujek Johann je zatrzymał i kazał włączyć na wóz, a babci Henriecie i cioci powiedział, żeby je pilnowały. Wszystkie dzieci płakały, a ludzie z innych wozów krzyczeli. Chcieli już iść dalej, podobno jakiś specjalny statek czeka w Rügenwalde. Gdzie jest Reks?

– W kuchni. Ma złamaną łapę, wpadł na bronie. A ty? Ciebie nie zatrzymywali?

– Zatrzymywali, ale skłamałem, że idę na siku w krzaki, i stamtąd pobiegłem przez pola do Heinsdorf. Widziałaś te samoloty? Strzelały do nas, ale krótko, i poleciały dalej, chyba na Schlawe. Straszny krzyk się podniósł. Chodź, trzeba wracać!

Pociągnął ją za rękę, a ona posłusznie poszła za nim, oszołomiona nieoczekiwanym obrotem rzeczy. Mały Otto przybiegł, żeby jej pomóc. Szaleństwo, ale jakieś takie... dobre. Strach odpełził na chwilę i poczuła wielką, niewysłowioną ulgę, że już nie jest sama z tym zimnym, połamanym światem. Bliskość drugiego człowieka, choćby i dziesięcioletniego kuzyna Ottona Stubenauera, była może najlepszą odpowiedzią na tę pełznącą od wschodu ciemność i zarazę, posypaną wapnem zmrożonego śniegu.

Kiedy przeszli do kuchni i włączyła pstryknięciem światło tak, jak robiła to setki razy przez te wszystkie heinsdorfskie lata, znowu dopadło ją poczucie nierzeczywistości. Przecież to niemożliwe! Dom nadal stoi, meble czekają, łóżko pościelone, światło w kuchni się pali – a oni to porzucili i uciekają. Dokąd? Po co?

Pomoc Ottona znacznie przyspieszyła całą operację. Podarli prześcieradło na podłużne paski, przygotowali kijek oraz tasiemki i zabrali się do nastawiania złamanej kości. Gerda całym ciałem przywarła do Reksa, łeb schwyciła w obie ręce i głaszcząc, szeptała uspokajająco do psiego ucha, podczas gdy jej kuzyn próbował wepchnąć odstający piszczel na swoje miejsce. Cicho, piesku, zaboli, a potem już będzie dobrze. Cicho, ciii, ciii. Chyba rozumiał, bo z otwartego pyska dobywał się jedynie słaby jęk. Ludzki.

Mały Otto zdumiał ją swoim opanowaniem. Dopiero co trząsł się ze strachu i podniecenia, a przy nastawianiu kości potrafił się skoncentrować jak profesjonalny weterynarz. Wiedziała, że lubił zwierzęta i zawsze jakieś hodował w klatkach za stodołą, nie sądziła jednak, że ta pasja przekłada się na aż taką sprawność. Chłopiec lewą ręką ujął łapę od góry, a prawą delikatnie obmacywał złamanie, szukając odpowiedniego punktu. Kiedy go znalazł, pchnął wystający piszczel kciukiem i usztywnił całość zaciśniętymi

palcami obu dłoni. Psem wstrząsnął nagły ból, Gerda przytrzymała go z całej siły – i w kilka sekund było po wszystkim.

– Powinno być równo – oznajmił Otto spokojnym i pewnym głosem, jakby całe życie nic innego nie robił, tylko nastawiał psom złamane kończyny. Reks z zaskoczenia również przestał jęczeć i patrzył na nich w oszołomieniu.

– Skąd ty umiesz takie rzeczy? – spytała zdziwiona.

– Nie umiem – odparł. – Nauczyłem się teraz. Składałem kiedyś skrzydło kawki, ale to było co innego. Przytrzymaj temblak.

Przypomniała sobie kawkę o imieniu Hilda, którą chłopiec faktycznie pielęgnował w ubiegłym roku i która pewnego dnia odleciała, by nigdy więcej nie wrócić. Zupełnie jak ona – odleci stąd i nigdy więcej nie wróci. Szaleństwo.

Przystawiła przycięty kijek do psiej nogi, a Otto przywiązał go tasiemkami, zręcznie omijając rany i otarcia na skórze. Potem zabrali się do owijania łapy bandażami, od tułowia aż do łokcia, a po skończonej robocie kazali psu wstać. Stał na trzech łapach, tę usztywnioną podginając do tyłu, i niezdarnie podszedł do miski. Dwa razy podparł się kikutem, jęknął z cichą pretensją do swego psiego losu i zaczął głośno chleptać wodę.

Kłęcząc obok niego, Gerda objęła Ottona za szyję i ucałowała w policzek.

– Taka ci jestem wdzięczna. Już myślałam, że tu zostanę i zdechniemy oboje na środku podwórza, Reks i ja, dwa zapomniane bydłatka z bauerskiego dobytku Liebnerów.

– Coś ty, Gerda.

– Naprawdę, Otto. Wiesz, gdy stanęłam w progu domu i uświadomiłam sobie, jak straszną głupotę zrobiłam...

– To wcale nie była głupota!

– Była. Do tego ta złamana łapa. I że jestem sama...

– Przecież wiesz, że ja... nigdy bym cię nie zostawił – wypalił i natychmiast spuścił wzrok.

Przyjrzała mu się.

– Otto...

Chłopiec nie patrzył na nią, nagle zajęty pilnym zbieraniem białych nitki z podłogi, jakby teraz najważniejsza była czystość w kuchni. Chciała powiedzieć coś miłego, ciepłego; żal jej się zrobiło tego chłopca i jego śmiesznych odruchów, ale od wschodu znowu zadudniła głucha kanonada.

– Chodź, Otto, musimy wracać. Myślisz, że da radę tak iść? – spytała, wskazując głową chłepczącego psa. Jakby w odpowiedzi Reks przekuśtykał ostentacyjnie całą kuchnię i usiadł przed ciemnym kredensem, oblizując pysk.

– Sama widzisz – odparł Otto, zdmuchując z palców kępkę nitki.

Pogładziła go po głowie.

– Jesteś kochanym chłopcem, Otto. A ja jestem strasznie głodna. Weźmy coś do jedzenia na drogę i zabierajmy się stąd. Iwany idą, jak mówi twój tata. Poszukaj sanek w szopie i rzuć krowom siana, tyle, ile uniesiesz. I tak je zabijają, ale przynajmniej nie będą zdychać z głodu.

Otto wybiegł zadowolony, że nie musi już się przed nią czerwienić, a ona poszła do spiżarni po jedzenie. Wędzonek i serów nie było, mama wszystko spakowała na wóz, ale zostały słoje z wekowanym mięsem. Wzięła dwa do płóciennej torby, dorzuciła podłużny bochenek ciemnego chleba, który sama piekła w ostatnią sobotę, i wybiegła. W sieni skręciła w lewo, żeby ostatni raz załatwić się w łazience. Usiadła na sedesie przykrywającym specjalny zbiornik na nieczystości i ulżyła sobie. Jej rozbite kolana wyglądały jak jedno wielkie nieszczęście, w zasadzie również kwalifikowały się do usztywnienia za pomocą kija i pasków prześcieradła. O tym oczywiście nie było mowy, ale postanowiła przed drogą owinąć je kawałkami płótna, które zostały na podłodze w kuchni.

Wtedy jej wzrok padł na ścianę i nagryzmołony tam przez nią niedawno napis:

Und du wartest, erwartest das Eine,

Das dein Leben unendlich vermehrt... ^[1]

No jasne, jak mogła zapomnieć! Szybko wciągnęła na siebie ubranie, w sieni wygrzebała z szuflady komódki płaską latarkę i wdrapała się drewnianymi schodami na strych. Było tu jeszcze zimniej niż na dole, otuliła się płaszczem i między skrzyniami na zboże przepychała się pod okienko w szczytowej ścianie domu. Pachniało kurzem i myszami. Pod parapetem w niewielkiej wnęce ukryta była kasetka, a w kasetce – jej sekretny zeszyt z wierszami. Pogładziła palcami śliską okładkę i otworzyła na chybił trafił.

Die Krähen schrei'n

Und ziehen schwirren Flugs zur Stadt;

Bald wird es schnein –

Wohl dem, der jetzt noch – Heimat hat!^[2]

Pod spodem widniała data. Jej osobista data: 24 września '44, wpisana do zeszytu w niedzielne popołudnie pod jabłoniemi w sadzie, z dala od domowników. Było wtedy rozkosznie ciepło i cicho, pola w dolinie spowijała mgiełka babiego lata. Czytała wiersze z książeczki *Das deutsche Gedicht*, pożyczonej w bibliotece w mieście, z polecenia nauczyciela, pana Rätzke, który szybko zorientował się w jej czytelnich namiętnościach. Przypomniała sobie, jak mała Heike przyplątała się pod jabłonie i spytała, sepleniąc: *Was sleibst du?*, bo zaczęły jej wypadać pierwsze zęby. A ona właśnie przepisywała wiersz o wronach autorstwa ponurego filozofa nazwiskiem Nietzsche.

Inny świat, którego już nie ma i który nie wróci. Dlaczego w tamten ciepły dzień spodobały jej się akurat kraczące wrony i ich smutny autor z grubym wąsem pod nosem? Czyżby już przeczuwała, że z ojczyzną jest coś nie tak? *Weh dem, der keine Heimat hat*, kończył się wiersz. „Cierpi, kto nie ma domu”. Czy to było o niej? W odpowiedzi małe okienko strychowe rozbłysło czerwonym światłem. Podniosła wzrok znad zeszytu i zobaczyła olbrzymią łunę pożaru. Chwilę później w powietrzu przetoczył się huk, a szybki zadrzały piskliwie w ramkach. Płonął sąsiedni Kortow, najbliższa wieś na wschód od Heinsdorf. Wcisnęła zeszyt do torby i pobiegła na dół. Reks i Otto czekali na nią w sieni.

– Gerda, musimy uciekać! Prędko!

– Widzę. Słyszę. Masz sanki?

Otto pokiwał głową i wybiegł. Na progu kuchni wzięła trzy głębokie wdechy, żeby się znowu nie rozpłakać, zgasiła światło i wyszła. Klucz schowała na belce, gdzie nie tak trudno było go znaleźć, choć pewnie w ogóle nie będą szukać. Podobno zwykle rozwalali drzwi kopniakami.

Ruszyli w drogę powrotną ścieżką za domami. Zachmurzyło się i wiatr zacinał w twarz suchym śniegiem, który zalepiał usta i nos. Pomorska pogoda dostosowała się do szalonego czasu i zmieniała się równie szalenie. Łuny na wschodzie rozświetlały niebo jak scenę, na której szykuje się wielki spektakl. Gerda modliła się, by nie musiała w nim odgrywać żadnej roli. *Liebe Gottesmutter*, miej mnie w swojej opiece. Wypadło blado. Słowa jej kruchej modlitwy co rusz mąciło wyobrażenie podobnych do diabłów mongolskich jeźdźców, w blasku pochodni galopujących po zaśnieżonych polach i pokrzykujących: *Ałła, ałła!*, z karabinami zamiast wideł. Obraz był mocny i przyćmiewał twarz Matki Boskiej. Bolał aż gdzieś w dole brzucha. Straszny i fascynujący, jak ilustracja z baśni braci Grimm. Tak to widziała: za dnia Pan Śmierć idzie przez białe pola, nocą nadjeżdża konno ze swymi czerwonymi pomocnikami. Nieustępliwy. Nieubłagany. *Herr Tod*.

Otto ciągnął sanki, na które zrzuciła płócienną torbę z jedzeniem i dwa koce, na wszelki wypadek. Reks kuśtykał obok Gerdy. Szybko połapał się, o co chodzi z tym kijem na łapie, i stawiał ją uważnie, po kociemu, czasami tylko z cicha pojękując, gdy trafił na nierówność.

Mijali właśnie dom Stubenauerów i Otto zwolnił.

– Nie wróciłeś przypadkiem po coś jeszcze? – spytała.

Znowu się zaczerwienił, a potem z wahaniem przytaknął.

– To będzie minutka, zobaczysz. Mogę?

– A powiesz mi, co to jest, czy będziesz udawał, że nie chodzi o twoje ołowiane żołnierzyki?

Zrobił zdziwioną minę, a potem przytaknął.

– Chodzi. Tata mi nie pozwolił zabrać. Że za ciężkie.

– Biegnij. Ja uwolnię parę kundli, obiecałam im.

Umówili się w tym samym miejscu za pięć minut. Wzięła Reksa na sznurek i odwróciła się.

– Otto...

Chciała powiedzieć, żeby uważał na siebie. A w razie czego niech ucieka polami w dół na Malchow, bo tam są gęste zarośla i łatwo się ukryć. Nie wiedziała dlaczego. Coś w niej chciało to powiedzieć. Nie zdążyła, chłopiec już zniknął na podwórzu Stubenauerów.

Zniknął na zawsze.

Zarzuciła na ramię worek i poszli z Reksem do najbliższego gospodarstwa państwa Kollwitz. Nie pamiętała imienia płowego kundla, więc zawołała do niego po prostu „piesku”. Szczeknął groźnie, na dobre zaś rozszczękał się na widok Reksa. Inne psy w okolicy dołączyły, Reks również, i w jednej chwili rozpoczęła się ogólna awantura. W tej sytuacji podchodzenie do psa Kollwitzów graniczyłoby z samobójstwem. Jej pochopnie rzucona psom obietnica okazała się znacznie trudniejsza w realizacji, niż to sobie zaplanowała. Coś jednak wypadało zrobić. Psi jazgot narastał i aż się zdziwiła, że tylu gospodarzy zapomniało o swoich pupilach. No cóż, oni też zapomnieli o Reksie...

Postanowiła „uratować” chociaż jednego.

Zerknęła na wschód. Łuna przygasła, salwy armatnie również jakby nieco przycichły. Zdąży. Po krótkim namyśle ruszyła do centrum wsi, do gospodarstwa państwa Müllerów, którzy mieszkali obok czerwonego budynku poczty. Ich pocziwa wilczyca o imieniu Dora mimo łańcuchowego życia nie straciła sympatii do ludzi i zawsze chętnie dawała się głaskać. Gerdzie zdawało się, że w ogólnym harmiderze słyszy również jej daleki szczek.

Dora, ujrawszy ich, podskoczyła z radości, a następnie rymsnęła malowniczo zadkiem w zwały śniegu. Wygrzebywała się stamtąd, skamlając i merdając wielgachnym ogonem. Nie potrafiła zapanować nad emocjami i kiedy Gerda macała przez rękawiczkę oblodzony łańcuch w poszukiwaniu zapięcia, ta lizała ją i tyrpała nosem, jakby jej

wybawicielka była w ramach premii obwieszona pętami kiełbasy. Wreszcie dziewczynie udało się nacisnąć spinkę i uwolnione psisko wykonało szaleńczy bieg dokoła podwórza, wyszczekując swoją radość na wszystkie strony. Po zrobieniu pełnego kółka Dora sprintem wypadła na ulicę i skręciła w prawo na szosę do Schlawe. Gerda uśmiechnęła się. Psy nie muszą się zastanawiać, od razu wiedzą, dokąd biec. Z poczuciem jako tako spełnionego obowiązku zarzuciła torbę na ramię, ujęła sznurek Rekxa w zgrabiałe ręce i zrobiła krok ku furtce.

Padł strzał.

Znieruchomiała. Serce skoczyło jej do gardła. Padł drugi strzał. Towarzyszył mu krótki, przeraźliwy skowyt, po czym wszystkie psy we wsi ucichły jak na komendę. Przemagając panikę, wciągnęła Rekxa za szopę, wepchnęła go pod drewnianą taczkę i sama na czworakach wpełzła za nim. Przez szparę w deskach spojrzała na ulicę. Latarnie nie działały i centrum Heinsdorf skrywała ciemność mdło rozjaśniona świeżym śniegiem. W tej ciemności zastukały końskie kopyta. Ich złożony, egzotyczny rytm był jak zaproszenie do tańca. Gerdzie zawirowało w głowie, oparła się ciężko o ścianę i przytuliła Rekxa. Cicho, piesku, cicho. Oddychała płytko, bezgłośnie. Chciałaby zniknąć. Więc to już? Tak... szybko? *Gottesmutter, Gottesmutter*, powtarzała szeptem, ale żadna święta figura nie dała najmniejszego znaku, że jest zainteresowana jej losem.

A potem ich zobaczyła. Trzy cienie sunące środkiem ulicy i żar trzech tłących się papierosów. Tańczyły w takt końskich kroków. Czerwone diabły, które przysłał Pan Śmierć.

3

Jechali wolno, z uwagą obserwując zabudowania. Ten w środku trzymał w ręku pistolet z długą lufą i zerkał czujnie raz w jedną, raz w drugą stronę. Dwaj po bokach lustrowali zagrody, mierząc w chałupy z pistoletów maszynowych. Konie stapały posłusznie w równym szyku, mimo puszczonej wodzy. Kiedy znaleźli się na wysokości szopy z ukrytą za

taczkami Gerdą, tulącą do siebie okulałego i cierpiącego psa, ten najbliżej niej podniósł rękę i wszyscy trzej zatrzymali się bez słowa. Nasłuchiwali przez chwilę w ciszy. Potem jeździec, który dał znak pozostałym, lekko zwrócił się w stronę jej kryjówki i koń natychmiast wykonał polecenie. Skręcił i przez otwartą furtkę ruszył na podwórze. Śnieg nadal padał, był jednak zbyt drobny, by w tak krótkim czasie zasypać ślady człowieka i psa. Wyraźne odciski butów oraz psich łap prowadziły wprost pod taczkę. Gerda zakryła łokciem głowę i zacisnęła powieki. To koniec. Nie broń się. Po co.

Miękki stuk kopyt narastał, zbliżał się. Słyszała świst z końskich chrap i dzwonięcie uprzęży. Miała wrażenie, że coś przygniata ją i dławi, jakby całe niebo osunęło jej się na głowę i dociskało ją do ziemi. Nie była w stanie się ruszyć, nie mogła przełknąć śliny, wstrzymała oddech. Czekwała na ten ostatni błysk, w którym podobno widzi się całe swoje życie, od początku do końca, czyli do teraz. Przyszło jej jeszcze na myśl, że Reks naprawdę jest bardzo mądry i nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Zaczęła się dusić i z cichym westchnieniem wypuściła powietrze z płuc. Stukanie kopyt ustało. W powietrzu zawisła cisza, nieznośnie długa i męcząca. Poczula ostry zapach końskiego potu. Otworzyła jedno oko.

W odległości dwóch metrów od szopy stał murowany *Hinterhaus*. Przejście między nimi służyło do noszenia słomy ze stodoły do stajni i wyciągania obornika. W tym przejściu tkwił koński łeb, a po chwili wyłoniła się obok niego ludzka głowa w trójkątnej futrzanej czapie. Wysuwała się powoli, czujnie, w bladej śnieżnej poświacie błysnęły kanciaste policzki, ciemny wąs. Gerda nie widziała oczu pod futrzanym otokiem, ale była pewna, że one widzą ją. Skośne i martwe. Diabelskie. Zdrętwiała, niezdolna wykonać żadnego ruchu. Reks nie wytrzymał i warknął, koń lekko poderwał łeb, a twarz wykrzywiła się w grymasie, zapewne uśmiechu, i dziewczyna ujrzała wyciągniętą ku niej rękę.

– *Frau, komm* – powiedział cicho jeździec. Nadal się uśmiechał, a może tylko jej się wydawało w wirującej drobnym śniegiem ciemności. Reks znowu warknął, ale żołnierz nie zwracał na niego uwagi.

– *Frau, komm* – powtórzył miękko, z dziwnym akcentem. Gerda czytała kiedyś, że diabeł potrafi mówić wieloma językami. Akcent jednak miał własny, pomyślała z dziwną lekkością. Bała się poruszyć, coraz wyraźniej czuła, że to do niczego nie prowadzi, że najważniejsze już się stało. Reks warczał, ona głaskała go uspokajająco. Cicho, nie warcz, to koniec. Poczowała ulgę. Nareszcie.

Żołnierz płynnym ruchem zsunął się z konia i stanął przed nią z przewieszonym przez ramię automatem. Gwałtownym ruchem odepchnął taczkę, a ta z łomotem runęła na ustawione pod ścianą narzędzia. Wyciągnął rękę i Gerda drgnęła, po czym bezwiednie uniosła dłoń w wełnianej rękawiczce. Patrzyli na siebie, ona napięta i sztywna, on uśmiechnięty. Nachylił się.

– *Komm, dziewczuszka.*

W tym momencie powietrzem targnął potężny huk. Spłoszony koń zarżał i poderwał się do biegu, wyrzucając spod tylnych kopyt bryły zmarzniętego błota. Grudki zagrzechotały o szopę. Diabeł w trójkątnej czapce błyskawicznym ruchem złapał się lęku i wskoczył na siodło, po czym pogalopował zsunięty na bok jak akrobata. Po kilku sekundach zniknął wśród zabudowań. Pozostali dwaj również pognali ulicą na drugi koniec wsi, głośny tętent po heindorfskim bruku odbijał się echem od ścian budynków. Rozległa się kolejna eksplozja, a potem znajomy terkot broni. Wczoraj i dzisiaj słyszała go wiele razy od strony zbliżającego się frontu, daleki i słaby jak cykanie świerszcza. To pewnie ten dziwny pistolet z magazynkiem jak puszka szprotek, który jej diabeł miał na ramieniu.

Jej diabeł, też coś. Podparła się ręką o szopę i ostrożnie wstała. Jeszcze nie pojęła do końca, co się wydarzyło. Jej ciało przygotowało się już na najgorsze, gdzieś w głębi zadziałał mechanizm blokady bodźców i stała teraz jak skamieniała, bez czucia, bez myśli, bez tykotu gorącej krwi. Przekroczyła granicę strachu i nie czuła nic. To była ostatnia reakcja obronna organizmu na owo niepojęte, nieznanne, straszne *Vergewaltigung*.

Reks trącił ją nosem w obtarte kolano. Wzdrygnęła się. Tak, tak, biegnijmy. Złapała mocno sznurek w lewą rękę, prawą przytrzymała torbę

na biodrze i pobiegli za stodołę. W pierwszej chwili pomyślała, żeby się schować w piwnicy u Müllerów, zaryglować drzwi i przystawić czym się da, a potem przeczekać do odejścia żołnierzy. Szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Po pierwsze, nie wyobrażała sobie drzwi, których tamten człowiek nie potrafiłby otworzyć. Po drugie, zbliżał się front, a z nim cała armia istot podobnych do jej prześladowcy. Musiałaby tam siedzieć tydzień, a może i miesiąc.

Jeszcze nie wszystko skończone. Biegła na oślep przez sady za domami i gorączkowo odtwarzała w pamięci mapę okolicy. Mały domek starego Haase, ciasne podwórko, biedna stajnia, i tyle. Dalej okazałe gospodarstwo Aschenbrennerów, z dwoma budynkami gospodarczymi z biało-czarnego fachwerku i z osobną stajnią dla koni – mnóstwo potencjalnych kryjówek, ale nigdy tam nie była i nie miała pojęcia, gdzie ich szukać. Ceglany budynek poczty, kościół, szkoła... Zawahała się. Znała szkolną piwnicę i nawet kotłownię. Kiedyś razem z Inge Katz odważyły się tam pójść po pana od rachunków, który lubił na przerwach znikać w podziemiach i dekować się u ciecia, a potem zapominał przyjść na lekcje. Wracał w mdłych oparach alkoholu, na co Rudi Kollwitz stwierdzał z całą stanowczością, że rozpoznaje samogon. Kollwitzowie uciekli wcześniej, jeszcze w styczniu, i są już w Niemczech. Boże, gdzie ten świat nagle zniknął?

Rozejrzała się i stwierdziwszy, że w polu widzenia nikogo nie ma, ostrożnie podeszła pod drzwi szkoły. Zamknięte na głucho. Okna na parterze były zabite od wewnątrz deskami. Mogłaby stłuc szybę i odbić deski, ale wtedy pokazałaby, gdzie jej należy szukać. Równie dobrze mogłaby otworzyć drzwi na oścież i narysować strzałkę na śniegu: tu jestem! Należało się spodziewać, że będzie zamknięte. Żaden porządny niemiecki stróż nie zostawiłby otwartej szkoły, nawet jeśli zbliżają się najeźdźcy, którym wystarczy chwila, by cały budynek obrócić w perzynę. Obejrzała się i stwierdziła, że ślady na śniegu również ją zdradzają. Wróciła na pola. Przysiadła na śniegu za krzewem dzikiego głogu. Reks, wymyśl coś, błagam!

Psisko dyszało ciężko z wywalonym językiem. Głodne, chore, wyczerpane – pojękiwało jak dziecko. Zupełnie nie przypominało kogoś, kto mógłby teraz wpaść na świetny pomysł w sprawie kryjówki. Czy w jakiegokolwiek innej sprawie. Pies położył się na śniegu i zamknął oczy. Zasypiał.

Po drugiej stronie wsi, gdzie przed chwilą doszło do eksplozji, wybuchł pożar. Jęzory płomieni zrazu nieśmiało błysnęły między domami, by wkrótce wystrzelić w niebo, rozświetlając okolicę. W ognistej poświacie Gerda ujrzała jeźdźca z pistoletem w ręku, którego wcześniej uznała za dowódcę. Galopował niespiesznie półkolem, gdy nagle coś przykuło jego uwagę, osadził konia w miejscu, zeskoczył i ukląkł na śniegu. Trwało to zaledwie kilka sekund, po czym poderwał się i nie używając strzemienia, zwinnym skokiem dosiadł wierzchowca. Wymierzył pistolet w niebo i strzelił dwukrotnie. Zakręcił się, wykonując pełne koło i pogalopował łąką opadającą łagodnie na wschód, ku dolinie rzeki Wipper. Dwaj pozostali wypadli spomiędzy domów i pognali za nim. Na siodłach za ich plecami podskakiwały niewielkie tobołki. Zanim zniknęli za pochyłością wzgórza, dwa następne pożary rażno pochłaniały budynki w tej części wsi, gdzie stał ich dom oraz dom Stubenauerów. Wieś płonąła.

Dopiero teraz pomyślała o kuzynie. Przecież on tam został! Wybiegła zza domów i nie zważając na niebezpieczeństwo, popędziła środkiem ulicy w kierunku pożarów. Umęczony Reks kuśtykał niezgrabnie za nią, skamłając z bólu. Trudno. Ważniejsze od złamanej nogi było znalezienie żywego i całego Ottona, chłopca, który wrócił po pudełko z ołowianymi żołnierzami tak jak ona po swój zeszyt. Takie głupstwa i okupione taką ceną! Gdyby sobie darowali swoje dziecięce słabości, byłiby już daleko stąd.

Gdyby, gdyby... Gdyby nie wróciła po psa, pewnie byłaby już ze wszystkimi w mieście, a może dalej, w drodze do portu. Gdyby ojciec nie rzucił bezmyślnie bron pod stodołę, a Reks nie wpadł na nie, również byłaby już daleko stąd. Z kolei gdyby Otto nie przyszedł jej z pomocą, pewnie nadal mozoliłaby się nad psią łapą i nawet nie zauważyłaby trzech

czerwonych diabłów stojących w progu kuchni tuż za jej plecami. A później? Gdyby nie te wybuchy, co by się stało? Jakie zamiary miał człowiek w trójkątej czapie i o skośnych, zimnych oczach? Dokąd chciał ją zabrać i co zrobić? Przebiegł ją dreszcz. Dalej wołała nie gdybać.

Płonął dom przed Stubenauerami oraz dwa inne po drugiej stronie ulicy, które podpalili tamci dwaj, opuszczając wieś w ślad za swoim dowódcą. Co ich skłoniło do nagłego odjazdu i dlaczego ten, który ją znalazł, po nią nie wrócił? Przestraszyli się? Pojechali po posiłki? A może po prostu zdobyli potrzebne informacje i pojechali o nich zameldować?

Sanek na ścieżce za domami nie było. Ich ślad prowadził ku zachodniej dolinie, dokładnie tam, dokąd miała zamiar wysłać Ottona na wypadek nieoczekiwanego rozdzielenia. Jeśli rzeczywiście się tam udał, byłby to dosyć niesamowity zbieg okoliczności. Najpierw postanowiła jednak sprawdzić, czy kuzyna nie ma w domu. Zanim weszła do domu wujostwa, obejrzała się przez ramię. Coś jej nie grało. Przy płonącej stodole powinien stać beczkowóz, którym Weidemannowie wywozili gnojówkę do nawożenia pól i deszczówkę do podlewania roślin. Była to całkiem spora cysterna na wielkich gumowych kołach i stała tu jeszcze godzinę temu. Gerda dobrze to zapamiętała, bo właśnie z tej beczki na płot skoczyła Mitzi, zanim znalazła się na podwórku. Zerknęła przez płot na drugą stronę. Po beczkowiezie zostało parę postrzępionych blach i koło żałośnie podparte kawałkiem urwanej osi. Stodoła od tej strony w ogóle nie miała ściany. Gerda przypomniała sobie głuchy wybuch i doszła do wniosku, że musiała to być eksplozja beczki. Czyżby Otto? Jak on to zrobił?

Z zamętem w głowie weszła do domu Stubenauerów, który znała doskonale.

– Otto?

Nikt nie odpowiadał. W blasku pożaru przeszukała cały dom, ale młodszego i sztubacko w niej zakochanego kuzyna nigdzie nie było. W jego pokoju znalazła na łóżku drewnianą kasetkę, w środku grzechotały ołowiane żołnierzyki. Otworzyła i wyjęła jednego na chybił trafił. Tatarski

wojownik na koniu, z łukiem i w trójkątnej czapce na głowie. Pospiesznie wrzuciła figurkę do pudełka i zatrzasnęła z powrotem.

– Otto? – zawołała drżącym głosem. – Jesteś tu? Otto?

Ciszę przerywał jedynie trzask belek z płonącej stodoły Weidemannów. Płomienie strzelały w górę, a wiatr spychał je na dach domu. Widok był oszałamiający i straszny, a ona była bezradna. Nie miała ani czasu, ani możliwości, ani siły, by cokolwiek zrobić. Wzięła pudełko z żołnierzykami pod pachę i zbiegła na dół, potykając się na schodach. To wszystko było ponad jej siły.

Reks na jej widok wstał z trudem spod drzewa, gdzie go zostawiła. On też już miał dosyć. Chodź, piesku, jeszcze trochę. Musimy dać radę, przecież jesteśmy oboje tacy dzielni. Ruszyli za dwiema smugami zostawionymi przez sanki. Miała nadzieję, że Otto spowodował eksplozję, po czym uciekł polami do lasu, skąd dało się niezauważenie przedostać do Malchow i dalej ku Rügenwalde, by dołączyć do swoich. Plan był dobry.

Rzeczywistość szybko pozbawiła ją złudzeń. Podwójny ślad płóz, owszem, szedł w dół, ale po kilkudziesięciu metrach zawracał do wsi i wiódł między domami na drugą stronę. Narastające w niej podejrzenie zamieniło się w pewność. Płozy sanek Ottona Stubenauera wiodły na dół, a towarzyszyły im głębokie odciski końskich kopyt. Pojechali za nim. Upadła na śnieg w środku okręgu, który jeździec z pistoletem wydeptał swoim fantazyjnym tańcem, i zaszlochała głośno. Reks położył się przy niej i potakująco zaskuczał. Zgodnie uznali, że dają sobie spokój. Jak koniec, to koniec.

4

Otto wcale nie wrócił po żołnierzyki. Od dawna nie wyjmował ich z pudełka. Kiedy ma się sześć lat, to zabawa ołowianymi figurkami może jest porywająca, ale nie, gdy ma się lat dziesięć i jest się zakochanym. Jeśli strzelać, to z prawdziwej broni, a nie z palców i obślinionych warg.

Otto wrócił po parabellum, zwane również lugerem, które dziadek, weteran pierwszej wojny światowej, schował w stajni pod powalą. Przed ucieczką sołtys ostrzegął, że jako ludność cywilna nie powinni mieć broni palnej, żeby nie prowokować kłopotów. Po naradzie postanowili więc zostawić lugera w schowku. Większość mieszkańców Heinsdorf żywiła głębokie przekonanie, że niedługo tu wróci, i dziadek Ottona należał do tej większości. Pomrukiwał coś o sprawiedliwości dziejowej i odwiecznym prawie do ziemi, o tym, że świat nie ma prawa i tak dalej. Otto nie próbował nawet oponować, ale myślał o tej wojnie trochę inaczej.

Schówek odkrył już latem, całkiem przypadkowo, goniąc po stajni za młodymi jaskółkami, a dziadek wcale się nie zezłościł, tylko pokazał mu, jak się z tymi rzeczami obchodzić. Parę razy wyciągał pakunek, odwijając pistolet z naoliwionej szmaty i pozwalał wnukowi rozkładać i składać broń. A pewnego dnia stwierdził: „Jest wojna, chłopcze, trzeba umieć strzelać”, i zabrał go do lasu. To był chyba najpiękniejszy dzień jego życia! Z grubych bukowych desek dziadek zbił tarczę, wyrysował na niej koła z numerami i kazał celować w środek. Przy pierwszym strzale myślał, że mu rękę urwie. Czuł to szarpnięcie w barku jeszcze przez tydzień. Dziadek był zwolennikiem twardego wychowania i w ogóle nie zauważył problemu albo udał, że nie zauważa, a trzy dni później znowu zarządził wymarsz do lasu. Po miesiącu Otto trafił z dwudziestu metrów prawie w sam środek. Dziadek go nie chwalił, ale na koniec lekcji objął ramieniem i przycisnął do siebie.

Wieczorami przed zaśnięciem Otto wyobrażał sobie, że nadchodzi front, źli żołdacy atakują Heinsdorf, a on bierze Gerdę za rękę i z zatkniętą za pas bronią wyprowadza ją do przygotowanej przez siebie kryjówki. Po drodze zabija paru wrogów strzałem prosto w czoło. Kiedy oboje już są bezpieczni, ona mu dziękuje i całuje go w usta. Potem się obejmują i przytulają do siebie, jak ta para na talerzu z babcinej porcelany. To była myśl słodka i podniecająca, od której ścisnęło go w dołku i pociły się ręce.

A teraz źli żołnierze przyszli naprawdę. Kiedy Gerda tam na drodze zaczęła krzyczeć o Rekse, cała kolumna uciekinierów stanęła i stryj Liebner

uderzył córkę w twarz, a ona pobiegła z powrotem do wsi, Otto w pierwszym odruchu chciał zeskoczyć z wozu i biec za nią. Nie mógł. Dziadek posadził go na koźle i kazał powozić, więc siedział bezradny ze ściągniętymi lejcami, trzymając krótko dwa niespokojne gniadosze, które tylko czekały, żeby ktoś im popuścił. Gerda raz się obejrzała, a potem znikła za zakrętem. Patrzył zrozpaczony, jednak po kilku krzykach kolumna ruszyła i on również musiał machnąć lejcami. Konie szarpnęły wozem, dziadek, zamiast usiąść obok niego, spoczął z tyłu na tobołach i zapadł w drzemkę. Jechali, a Otto czuł się jak w klatce. Gerda tam idzie sama, na śmierć. On nie umie jej pomóc. Nie chce.

– Mamo, muszę siusiu.

– Wytrzymaj jeszcze, do miasta niedaleko.

– Ale ja muszę.

Matka odwróciła się i szturchnęła dziadka, a ten burknął coś pod nosem i przegramolił się do przodu. Usiadł na ławce obok wnuka i pokiwał głową.

– Idź, załatw, co trzeba, i wracaj. Tam są krzaki.

Pokazał batem na zaśnieżone pola, gdzie jak okiem sięgnąć nie było żadnej kępy zarośli. Był za to wąski parów, którym dałoby się wymknąć niezauważenie z kolumny i wrócić do Heinsdorf. Chłopiec pomyślał, że dziadek wie. Dziadek dużo wiedział, dlatego mało mówił. Otto uściśnął starego Stubenauera za ramię i zeskoczył.

Wrócił do wsi. Znalazł ją we własnym domu. Przytulił. Siedziała na łóżku i była strasznie smutna, a on podekscytowany. Pachniała mrozem i psem, co mu się niezwykle podobało. Przy nastawianiu łapy Rekxa starał się pokazać, jaki jest dorosły i odpowiedzialny, co ona chyba zauważyła. Pochwaliła go, uśmiechnęła się. Pocałowała w policzek. Było cudownie.

Na tym jego kawaleryjskie pomysły w zasadzie się kończyły, poza jednym – mieli jeszcze przed sobą drogę powrotną, pistolet mógł się przydać. Pytanie Gerdy o żołnierzyki okropnie go zawstydziło, ale zaraz potem uznał, że to nawet dobry pretekst. Niech uważa go za dzieciaka. Kiedy na jej oczach rąbnie paru Iwanów, wtedy dopiero zacznie go podziwiać!

Luger był na swoim miejscu, w szparze między belką a dachówkami, naoliwiony i błyszczący w świetle kieszonkowej latarki. Otto sprawdził magazynek, przeładował i wsadził do kieszeni kurtki. Poczł się bardzo dorosły i silny, rozpierała go duma. Tknięty nową myślą poświęcił jeszcze w szparę pod dachówkami i zobaczył metalową zakrętkę. Wiedział o nim, tak samo jak o pistolecie. Sięgnął ręką i wyjął długi granat z drewnianą rączką. Serce mu załomotało. Powinien, nie powinien? Z duszą na ramieniu wetknął go pod pasek od spodni i ostrożnie zaczął schodzić. Umierał ze strachu, że jak mu się zsunie przez nogawkę i spadnie na ziemię, zostanie z niego krwawa miazga. Żałosny koniec heroicznej wyprawy Ottona Stubenauera w obronie pięknej Gerdy Liebner.

Właśnie postawił stopę na ziemi, kiedy usłyszał strzał. Wybiegł ze stajni i paroma susami doskoczył do płotu. Zerknął między sztachetami na główną ulicę i zobaczył ich. Trzech Rosjan na koniach. Jeden z nich mierzył do psa biegnącego od strony poczty, czyli to mogła być Dora od Müllerów. Padł drugi strzał, psisko ze skowytem przekoziółkowało parę razy i padło na śnieg. Żołnierz, który trafił, uniósł rękę w triumfalnym geście. Otto zacisnął zęby z żalu i wściekłości. Jeszcze zobaczymy.

Gerda! Przecież ona poszła uwolnić psy! Jakby dla potwierdzenia jego obaw żołnierz z lewej skręcił w podwórze i z ręką na pepeszy przyglądał się śladom na śniegu. Ogarnęło go przerażenie. W pierwszej chwili wyszarpnął pistolet z kieszeni i wymierzył w jednego z jeźdźców. Odległość była duża, raczej nie trafi, ale przynajmniej odwróci uwagę. Wtedy przypomniał sobie o granacie za pazuchą. Rzuci na drogę i tamci na pewno zawrócą, ten na podwórzu również. Jego wzrok padł na beczkowóz. To mu się wydało znacznie skuteczniejsze. Śmierdząca beka Weidemannów denerwowała Stubenauerów od zawsze i nareszcie najmłodszy z rodu miał okazję się odegrać. Przelazł na drugą stronę ogrodzenia i otworzył blaszaną klapę. Zaleciało zamarznątą gnojówką. Odkręcił nakładkę na drewnianym trzonku i szarpnął z całej siły sznurek zawleczeni. Wrzucił granat do beczki, zeskoczył i pędem pobiegł za węgiel stajni. Dla pewności wpadł za drzewo i przykucnął.

Huk był potężny. Ogłuszony i podniecony efektem Otto nie mógł złapać oddechu. Wkoło fruwały kawałki drewna i blachy, wirowały źdźbła słomy i pierze z domowego drobiu. Z podwórza wytoczyło się wielkie koło, zakołysało na śniegu i upadło. Po chwili rozległ się drugi wybuch, słabszy i bardziej głuchy, a zaraz po nim z rozerwanej stodoły buchnął ogień. Musiał gdzieś tam być ukryty zbiornik z paliwem do traktora. Kiedy odłamki opadły, Otto ścisnął lugera w prawej ręce i pobiegł po sanki. Zaraz tu będą, musi zniknąć. Ruszył pędem w dół, a potem skręcił z powrotem między domy, przeciął szosę i znalazł się po drugiej stronie głównej drogi. Usłyszał tętent za plecami, obejrzał się – jeździec wypadł zza stodoły i zatrzymał się. Sprawdził ślady, zakręcił się w kółko i pogalopował za nim. Wkrótce dołączyli dwaj pozostali. Gerda została na podwórku Müllerów, uwolniona od śmiertelnego niebezpieczeństwa. Taką przynajmniej miał nadzieję. Musi sobie radzić sama. Na razie, póki on ich nie załatwi i nie wróci do niej po następny pocałunek wdzięczności.

Miał mniej niż sto metrów przewagi, czyli zaledwie kilkanaście sekund. Już nie odczuwał strachu, tylko przyjemne podniecenie rywalizacją z widmowymi rycerzami na koniach, wprawdzie znacznie większymi od jego ołowianych żołnierzyków, ale i większymi od dziadkowej tarczy w lesie, którą w sam środek trafiał z dwudziestu metrów. Ciemność i drobny śnieg ograniczały widoczność, powinno się udać. Kiedy dotarł do krańca pola, stromo opadającego ku Wieprzy, pchnął sanki w dół, a sam skręcił w lewo i ukrył się za stertą nawozu na polu Kollwitzów. Odbezpieczył lugera, ścisnął w garści i przywarł do ziemi. Nadjechali galopem i nie zwalniając, pognali za sankami. Za minutę, najdalej dwie, zorientują się, że są puste, i zawrócą. Co jeszcze może zrobić? Nie bardzo wiedział, ale ważniejsze było, że Gerda ma trochę czasu i może uciec. Uciekaj, Gerda!

Tętent ucichł. Otto uniósł głowę, nasłuchując, ale za wzniesieniem panowała całkowita cisza. Rozejrzał się wkoło, pola również były puste. We wsi płonęły już cztery budynki i czerwona poświata rozlewała się po okolicy, podpalając śnieg. Wiatr znosił płomienie na następne domy,

wielkie jęzory łopotały w powietrzu jak sztandary przed szkołą podczas święta narodowego. Wtedy ją zobaczył. Wyszła zza jednego z domów, za nią niezgrabnie człapał na sztywnej łapie Reks. Oboje upadli na śnieg. Chyba płakała. Nie powinna siedzieć na widoku, w jasnym blasku pożaru widać ją było jak na dłoni. I nie powinna płakać. Przyszedł jej pomóc i należało wykonać tę robotę do końca. Poderwał się i zrobił krok przed siebie, kiedy uniosły go silne ręce. Zdażył krzyknąć: „Geer...!”, poczuł tępy ból i zapadła ciemność.

5

Ile jest jeszcze siły w człowieku, który już nie ma siły? Co napędza pracę mięśni i ścięgien, kiedy nie ma w nich ani grama energii? Wyobraziła sobie, że odpowiada na wewnętrzne wezwanie: „Wstań i idź” – i powstaje. Na przekór głosom, krzyczącym w niej z żalu i strachu, bierze w garść sznurek dowiązany do szyi kulawego czworonoga i wlecze się nocą przez pola do Schlawe. Po to w końcu przyszła. Teraz ujrzała przed oczami tę absurdalną, potworną drogę przez wypełnioną tatarskimi okrzykami ciemność i doszła do wniosku, że nie potrafi. Nie jest dzielna. W jej wyprawie wcale nie chodziło o psa ani o wiersze wciśnięte pod parapet na strychu, lecz o Pana Śmierć. Wróciła, żeby umrzeć w domu. Ci wszyscy tam, na drogach wojennej ucieczki, nie pojęli prostej i oczywistej rzeczy: że rodzinne strony można opuścić, ale nie można od nich uciec. Rodzice, dziadkowie, sąsiedzi, siostry i koleżanki – wszyscy oni łudzili się ocaleniem, które utożsamiali z fizycznym przetrwaniem, ale to nie tak. Na zawsze zostaje w duszy niezagojona rana, i będzie się jątrzyć i krwawić aż do ostatniej minuty życia, kiedy całe tamto odrzucone ukaże się w błysku niezatartego, wciąż świeżego wspomnienia. *Angst, und Gestalt, und Gebet*. Może do tego służyły jej zapisywane w odosobnieniu linijki wierszy – by się upewnić, że prawdziwa miłość nie przemija, nawet jeśli jest tylko miłością do kilku obrazków najbliższej okolicy. Kochała to miejsce, może najbardziej właśnie teraz, kiedy za jej plecami płonęły puste, porzucone domy. Kochała i nie

chciała opuścić. A jeśli już opuścić, to ostatecznie. Tak, Reks, ostatecznie. Co będzie z tobą, nie wiem.

Krzyk ją otrzeźwił. Doleciał stamtąd, od pełzającej polami tatarskiej ciemności, i należał do Ottona. Urwał się nagle, jakby ktoś zatkał mu usta albo jakby... Bała się pomyśleć to słowo, ale obraz chłopca z podciętym gardłem uczeplił się jej umysłu i nie zamierzał zniknąć. Nie, teraz nie powinna umierać, popełniłaby okropną nielojalność wobec niego. Chodź, psino, musimy biec na pomoc.

Zdołała zaledwie powstać i ująć smycz w zgrabiące dłonie, kiedy posłyszała przytłumiony tętent. Daleko na białej płaszczyźnie zamajaczyły trzy postacie na koniach. Bardziej się ich domyślała, niż zobaczyła, oni jednak z pewnością widzieli ją doskonale w blasku płonących domów. Reks już szarpał i ciągnął ku wsi. Był po stronie życia, chciał uciekać. Zawahała się. Tamci pędzili prosto na nią. Mogła poderwać się i uciekać raz jeszcze, ale to przecież nie miało najmniejszego sensu. Widzieli ją i byli znacznie szybsi. Stała więc naprzeciw galopującej trójki i czekała. Reks warczał. Zbliżali się w brzęku podzwaniających uprzęży, jej diabeł znowu po lewej. Doszła do przewrotnego wniosku, że w tej sytuacji mogą ją uratować tylko czary. Uniosła dłoń. Wyobraziła sobie, że jest czarownicą, starą wiedźmą, która wyjmuje zza pazuchy pogiętą różdżkę i rzuca zaklęcie w galopującą wprost na nią ciemność. Niewidzialny promień unicestwienia piekielnych jeźdźców, rozpraszają się na wietrze jak śnieżny pył i rozpuszczają w nicość na atramentowym niebie. To ją uspokoiło. Przestała się bać i czekała niewzruszona jak kamień.

Jakieś pięćdziesiąt metrów przed nią środkowy jeździec podniósł rękę i cała trójka wykonała zwarty skręt. Wyrównali szyk i pogalopowali na południe, w stronę dalekich łun płonącego Kortow. Jeszcze chwilę błyskały wzniecane kopytami chmury śniegu, a potem ciemność znieruchomiała. Gerda chwilę stała w oszołomieniu. Nie pojmowała, co się dzieje. Popatrzyła na prawą dłoń, jakby spodziewała się zobaczyć w niej różdżkę, ale zobaczyła tylko szarą włóczkową rękawiczkę z brunatnymi plamami krwi, jej albo Reksa. W napięciu nasłuchiwała ich powrotu, jednak zimowa

pustka ucichła na dobre. Do uszu Gerdy dochodził jedynie trzask płonących desek pobliskiej stodoły. Pies patrzył na dziewczynę z uznaniem. Pokręciła głową: to nie ja, psiaku.

Pozostało odszukać Ottona. Bała się pomyśleć to, co podsuwał przesycony obrazami katastrofy umysł. Wmawiała sobie, że tobolek przerzucony przez siodło dowódcy, który dał rozkaz do odwrotu, to zrabowane rzeczy, a nie jej kuzyn. Że dyndające z końskiego boku buty były wojennym łupem grabieżców, a nie chłopięcymi nogami. Dlatego mimo protestów kulawej psiny uparła się i poszła sprawdzić. Cisza pękała jak napięta lina. Od wschodu i południa wzmogły się bitewne grzmoty, błyskały eksplozje pocisków, terkotały karabiny. Nie zwróciła na nie uwagi. Znalazła odcisnięty w śniegu kształt chłopięcego ciała, obok niego ślady męskich butów. W świetle latarki dostrzegła kilka plam krwi. Dwa rowki wydrążone przez buty wleczonego chłopca prowadziły za wzniesienie, gdzie stratowany kopytami śnieg znaczył miejsce postoju czujki. Tu załadowali jej kuzyna na koński grzbiet i ruszyli po nią, a potem z niezrozumiałych powodów odjechali, zostawiwszy ją samą na śniegu jak zlekceważoną zdobycz.

Ile jest sił w dziewczynie, która nie ma już sił? Ile jest jeszcze życia w Gerdzie, która wróciła, by umrzeć? Upadła na kolana. Otto. Szczupły i niepozorny Otto, który był naprawdę dzielny, nie tak jak ona. Zniknął w tej potwornej mroźnej nocy razem ze swoimi oprawcami, pochłonięty przez nienazartego potwora wojny. A wszystko przez nią. Nabrała w ręce śniegu z drobinami krwi chłopca i ucałowała jak relikwie. Co jeszcze mogła dla niego zrobić?

I nagle pomyślała: kto wie, gdyby wyciągnęła dłoń wcześniej, zanim go porwali... Może zdołałaby ich zatrzymać? Przyjrzała się swoim drobnym, zsiniałym od mrozu rękami. Wyglądały jak martwe i zdawały się ponaglać resztę ciała, by zechciało czym prędzej dołączyć. Czary to przekraczanie granic, przechodzenie z możliwego do niemożliwego. Od tego, co istnieje, do tego, co nie ma prawa istnieć i jest nicością. Czymże innym jest umieranie, jeśli nie takim właśnie przejściem? Czy nie takiego zaklęcia

właśnie użyła, wykrzykując bezgłośnie ku nadciągającym jeźdźcom: cóż wam, diabelskie stwory, przyjdzie z zabijania umarłej?! Jak chcesz mnie sięgnąć, szanowny Panie Śmierć, skoro ten rozkoszny ból mogę zadać sobie sama? Musiałbyś mi natychmiast oddać życie, by móc mnie znowu zabić, a tego nawet ty nie potrafisz. Twoja wszechmoc działa tylko w jedną stronę.

Poczuła skurcz w podbrzuszu, myśl o rozkosznej śmierci była podniecająca. No właśnie, przecież miała umrzeć.

Reks przykuśtykał i trącił ją nosem w ramię. Chodźmy, zaraz znowu będzie za późno.

Spojrzała na północ i tam istotnie zobaczyła łuny. Podobnie na zachodzie. Paliło się naokoło. Wojenna pożoga otaczała ich ze wszystkich stron, krwawa metafora niemieckiego losu w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, ostatniego dnia lutego. Dokądkolwiek pobiegną, natrafią na ogień i zniszczenie. Heinsdorf również płonął. Każde wyjście było brakiem wyjścia.

Nie, Reks, już nigdzie nie pójde. Wybacz, że cię oszukałam. Ja tu zostaję, niech się dzieje, co chce. Wiesz, jestem dzielna, dam sobie radę. Nauczyłam się czarować, sam widziałeś, i teraz to jest chyba ostatnia moja broń przeciwko życiu. Tak, dobrze mówię, przeciwko życiu, które ma już dla mnie tylko cierpienie i cierpienie, i następne cierpienie, i tak aż do końca. Pewnie psy nie zajmują się rozmyślaniami nad sensem egzystencji i zręczne aforyzmy nie robią na nich wrażenia, ale chciałam powiedzieć, że będę żyć w śmierci. I umierać w życiu. To moje zaklęcie zwrotne, działa w obie strony i przekracza granice, jak duch zawieszony pomiędzy światami. Nie rozumiesz? Nie szkodzi, z czasem zrozumiesz. Bo widzisz: zostałam czarownicą.

Reks nie dawał za wygraną i poszczekiwał, pokazując pyskiem na północ. Tam gdzie oddalało się od nich życie i jeśli chcą przetrwać, powinni za nim podążać bez względu na wszystko. Pogłaskała go po jasnym łbie. Śnieg przestał padać i niebo nagle się rozgwieździło. Najjaśniejszy zimowy gwiazdozbiór, który przypominał wielką kokardę zawiązaną przez Boga na głowie wszechświata w przybliżeniu dobroduszej

troski, wisiał nad czarną linią lasu. Tam pójdziemy, powiedziała, pokazując go palcem. Pies patrzył zdeorientowany. Jego wybawicielka najwyraźniej zupełnie oszalała i wybierała się dokładnie tam, gdzie przed chwilą zniknęli ich prześladowcy. Wybierała się pieszo, z nim jako ledwie dyszącym ze zmęczenia kuternogą, podczas gdy tamci odjechali konno. Na jego psi rozum było to zdecydowanie zbyt trudne do pojęcia.

Zarzuciła torbę na ramię i podreptała wolnym krokiem pomiędzy pniami nagich, zmarzniętych drzew. Mijali kolejne zagrody, aż wrócili do gospodarstwa Müllerów i szopy, pod którą się chowali. Już przedtem przypomniała sobie o tym schowku, słuchając końskich kroków na podwórzu, ale wtedy był nieosiągalny. Nie zdążyłaby, zwłaszcza że nie wiedziała, czy jest otwarty.

Müllerowie należeli do bogatych gospodarzy i kierowanie pocztą bynajmniej nie było najważniejszym źródłem dochodów pana Antona. Z pomocą syna Josepha, zwanego Seppem, uprawiał spory kawał pola, głównie buraki cukrowe, które na zimę składowano w ziemiankach. Na końcu sadu, za ostatnią antonówką znajdowały się trzy takie dziury w ziemi, przykryte darnią. Znała je, bo służyły za świetne kryjówki do zabawy, w dawnych czasach, kiedy ona była dzieckiem, a świat wyglądał jeszcze w miarę normalnie. Kończyła się zima, powinny być przynajmniej częściowo opróżnione.

Wybrała tę z lewej. Odgarnęła śnieg ze skobla. Nie było na nim kłódki, ale i tak nie dało się otworzyć – kłapa przymarzła. Od południa usłyszała dudnienie. To nie były wybuchy artyleryjskie, tylko regularny warkot. Pewnie jakieś mechaniczne pojazdy czerwonych diabłów, skuteczniejsze od koni, które może wystraszyć jeden pomysłowy chłopiec. Może czołgi. Reks patrzył na nią z zainteresowaniem, jakby uprzejmie zapytywał: i co teraz, droga wariatko? Wzruszyła ramionami. Nie obchodziło ją. Pochyliła się i zaczęła chuchać w spojenie włazu i drewnianej ramy. Starła się jak najmniej naruszać pokrywający go śnieg; chodziło o zamaskowanie wejścia. Po kilku minutach kłapa drgnęła. Od południa zbliżało się to coś dudniącego i chrzęszczącego, pies zastrzygł uszami. Poświeciła do środka,

miejsca było dosyć. Z trudem wzięła Reksa na ręce i zniosła na dół, po czym wróciła, starannie przymknęła właz i przekręciła klamkę skobla. Zamknięte. Nikogo nie ma. Kiedy ostatni raz rzuciła okiem na południe, zza wzniesienia wyłonił się pierwszy czołg. Czarny potwór na białej płaszczyźnie heinsdorfskiego pola.

W ziemiance było ciepło i sucho. Przeleźli na sam koniec, Gerda rozłożyła płaszcz na buraczanych bulwach i wygłodniali zabrali się do jedzenia. Dziewczyna odrywała kawałek chleba i wygarniając nim ze słoika konserwowe mięso, karmiła na przemian psa i siebie. Nad ich głowami drżała ziemia, po której przetaczały się piekielne maszyny, ale wkrótce przestali na nie zwracać uwagę. Nasyciwszy głód, ułożyli się do spania. Reks grzał ją swoim grubym białym futrem. Warkot pojazdów i krzyki ludzi dochodziły z innego świata, z odległej krainy żywych. Gerda już się nie bała. Było jej dobrze. Jak w grobie.

II

Tydzień Szarlotki

styczeń 2018

*Wyglądało na to, że czas katastrofy
jest także czasem wspomnień.*

Stephen King, Owen King, *Śpiące królowny*,
przeł. Tomasz Wilusz

1

– Andrzeja nie ma?

– Nie ma – odparła Dorota, nie przerywając krojenia warzyw. – Poszedł z Lalą nad Wisłę.

Lucek Bałyś znieruchomiał z ręką na klamce, ale niczego nie dał po sobie poznać. Suka Lala zginęła jesienią ubiegłego roku podczas akcji na Pomorzu.

– Czyli znajdě go na bulwarach? – upewnił się, zerkając to na pochylony kark żony przyjaciela, to na gilotynujący nać od pietruszki szeroki nóż.

– Niewykluczone. Pod warunkiem że go tam znajdziesz.

– Aha – odparł niezrażony, dzielnie znosząc nowy cios w logikę. – Ale jak go znajdě, to tam będzie, co nie?

– Nie wiem.

Dorota Rachwalska nie podniosła głowy znad deski do krojenia, ale nóż zaczął siekać pietruszkę z większą determinacją. Lucek się zaniepokoił.

– Uważaj, bo się...

– Auć! – krzyknęła i włożyła palec do ust. – Cholera, wiedziałam!

Rzuciła nóż z czerwoną smuzką na ostrzu i wetknęła rozcięty palec pod kran. Osuszyła papierowym ręcznikiem i sięgnęła do szafki. Wystawiła na blat trzy plastikowe pojemniki, by wreszcie z czwartego wyjąć biały pasek plastra i opatrzyć skaleczenie. Kiedy już starannie zakleiła ranę, w końcu zdobyła się na szczere spojrzenie.

– Przepraszam. Trochę jestem nie tego. Chyba migrena idzie.

– To Krzycki sprzedał ci te nerwy? I jeszcze dorzucił migrenę?

– Kiedyś nie miałam migren – przyznała. – Siądź na chwilę. Napijesz się kawy? Co u was?

– W porządku. Może nie bierz od niego wszystkiego w ciemno, co? Czasem się z nim potarguj.

– Próbuję – odparła, przysiadając na taborecie. – Łatwo nie jest.

Poprawiła plaster na skaleczeniu. Suwała po nim dwoma palcami, jakby chciała zakręcić nieszczelną fiolkę z własną krwią. Zawiesiła wzrok na oknie, za którym w studziennym podwórzu krakowskiej kamienicy wirowały płatki śniegu. Robiła wszystko z tą samą powolną starannością, jaka cechuje ludzi na granicy wybuchu.

– Będziesz go znowu nagabywał?

Schowała ręce pod stół, widząc, że Lucek przygląda się neurotycznej grze jej palców.

„Nagabywaniem” nazywali regularnie podejmowane przez Lucka próby namówienia Andrzeja do powrotu do pracy w Małopolskiej Komendzie Wojewódzkiej. Od zakończenia w sierpniu tak zwanej sprawy słupek – związanej z uwolnieniem Bałysia z rąk niejakiego Artura Kały, szefa pomorskiego gangu przemytniczego i byłego komendanta słupek policji – inspektor Andrzej Krzycki ani razu nie pojawił się w swoim biurze na Mogiłskiej. Mimo iż kierował tam Wydziałem Kryminalnym. Najpierw upierał się, że złożył ustne wymówienie, które zostało przyjęte. Kiedy komendant Dariusz Byczkiewicz stanowczo zaprzeczył takiemu stanowi rzeczy, Krzycki wziął najpierw zwolnienie lekarskie, a później urlop

bezpłatny dla poratowania zdrowia. Siedział na nim już czwarty miesiąc. Chwilowo zastępował go komisarz Lucjan Bałyś.

– Nie całkiem. Byczkiewicz chciał z nim rozmawiać.

– No proszę. Czyli sam komendant będzie go nagabywał. Zdaje się, że były już takie próby i nie przyniosły rezultatu. Krzycki nieubłaganie podbija swoją cenę.

Ilekcóż Dorota nabierała krytycznego dystansu do poczynań Andrzeja, mówiła o nim per Krzycki, jakby chodziło nie o męża, tylko o wrednego sąsiada. Zamykała się wtedy w sobie, kurczyła, a na pytania odpowiadała krótko i niechętnie, unikając patrzenia rozmówcy w oczy. Lucek Bałyś natychmiast podjął heroiczną próbę, ponieważ smutni ludzie stanowili dla niego życiowe wyzwanie.

– Bardzo ci dokucza? Przytaknij tylko, a już lecę nad Wisłę. Natrę mu uszy śniegiem z łabędzim guanem.

Przez wymizerowaną twarz Doroty przemknął cień uśmiechu.

– Wiem, Lucek, kochany jesteś, jednak to nic nie da. On specjalnie prowokuje do nacierania uszu. Potrzebuje tego dla swoich masochistycznych przyjemności, w których ostatnio gustuje. Nie znam się na tym, ale psycholog pewnie powiedziałby coś o potrzebie karania siebie za urojone winy. Na pewno jest na to specjalistyczna nazwa.

– Depresja.

– Więcej. I to może mieć również wiele wspólnego z waszą misją.

– Misją przekonania go, żeby wrócił?

– Uhm.

– Dlaczego tak sądzisz?

Westchnęła i podniosła się z taboretu ociężale, jakby przybyło jej dziesięć kilo. W rzeczywistości Dorota schudła.

– Chodź, pokażę ci coś.

Poprowadziła go z kuchni, przez wielki salon z dwoma oknami wychodzącymi na ulicę Starowiślną, do sypialni. Było to stare mieszkanie matki Andrzeja, z wysokim stropem i skrzypiącym parkietem, gdzie

sypialnia miała rozmiar salonu, a salon nadawałby się do szkolnego turnieju koszykówki. Lucek uwielbiał tę przestrzeń, sam mieszkał w nowohuckim bloku o zupełnie innych standardach człowieczeństwa. Tu czuło się rozmach. Myśli stawały się rozleglejsze, a uczucia głębsze. Niestety, depresje również, i Krzycki był tu przypadkiem *par excellence* klinicznym.

Dorota otworzyła wielką szafę z ciemnego drewna, która pamiętała jeszcze czasy, gdy na krakowskim Kazimierzu dominował jidysz, a stójkowi nosili austriackie mundury, i wyciągnęła spod wiszących ubrań tekturową walizkę. Zamaszystym gestem otworzyła wieko, uniosła rzucone na wierzch byle jak dwa wełniane swetry i wskazała dłonią zawartość. Oczom zdumionego Lucka ukazała się bateria butelek z wódką różnej wielkości, poukładanych według rozmiaru od najmniejszych małych do litrowej whisky Red Label. Wyglądały jak amunicja gromadzona do ostatecznej rozprawy z podłym światem. Rambo. Lucek z ulgą skonstatował, że wszystkie były pełne.

– Kupuje co parę dni – wyjaśniła Dorota – i układa jak jakieś pieprzone pamiątki z wycieczki do gorzelnii.

– Pieprzówka też tu jest – zauważył Lucek ni w pięć, ni w dziewięć.

– Za każdym razem przynosi inną. Mówi, że zbiera materiał do badań.

– No, te badania to on już gruntownie przeprowadził. Ale, Dorota, czy to znaczy, że on...

– Nie, spokojnie, nie zaczął pić. Chyba nie. W każdym razie nie wyczułam. Wiesz, żony mają swoje sposoby. Witaj, kochanie, daj no buziaczka, sprawdzę, którą ździurą tam dzisiaj pachniesz. Przykre, ale skuteczne. Więc chyba nie.

Chwilę w milczeniu przyglądali się zbiorom inspektora Krzyckiego.

– Właściwie nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej – odezwał się Lucek.

– Z czym?

– Że zbiera i nie pije. Im większy arsenał, tym potężniejsza eksplozja. Stara mądrość saperów i psychiatrów. Wiedziałaś, że matka Andrzeja leczyła się w szpitalu Babińskiego?

– Tak. Zresztą on też.

– No właśnie.

Nie bardzo było wiadomo, do czego odnosi się to „no właśnie”, więc pomilczeli znowu. Kiedy już się namilczeli, Dorota wróciła do przypadku walizkowej kolekcji.

– Z początku próbowałam z nim walczyć. Wyrzucałam mu te butelki do kosza. Potem się awanturowaliśmy, ja płakałam, a on nakładał słuchawki na uszy i się wyłączał. Był spokój przez parę dni, a potem znowu przynosił następną i zamykał w walizce. Wiesz, co to za walizka?

– Stara. Tekturowa.

– Mama mu ją kupiła, kiedy jechał na pierwszą w życiu kolonię letnią. Miał dziesięć lat. Zobacz, w ramce pod uchwytem jest jeszcze imię i nazwisko. Chyba sam pisał, bo strasznie nabazgrane. A teraz zbiera do niej butelki z wódką. Rozumiesz coś z tego? Dla mnie to paranoja.

– I depresja.

– Możliwe. Ale najlepsze jest tutaj. Patrz.

Odchyliła kieszonkę z materiału po wewnętrznej stronie wieka walizki i wyjęła karton w rozmiarze A4. Czarnym i czerwonym flamastrem było na nim napisane: JEBAĆ PSY. Lucek wyszczerzył zęby.

– Chodzi o jakiś suczy protest?

– Obawiam się, że chodzi o was. O misję, twoją i Byczkiewicza.

Udając, że nie dosłyszał, Lucek z uwagą obracał karton w rękę.

– To chyba nie jego pismo... – analizował półgłosem. – Jot inaczej napisane niż w imieniu na walizce. Zobacz, o tu...

Podsunał Dorocie karton pod nos i stuknął paznokciem w literę.

– Przestań błaznować, Bałyś – prychnęła na niego. – Dobrze wiesz, o co chodzi. Oczywiście, że to nie jego pismo, przyniósł ten transparent z którejś manifestacji. Bo nie wiem, czy do ciebie dotarło, ale Krzycki zaczął chodzić na manifestacje. Broni czyichś praw, nie wiem dokładnie czyich, mniejsza o to. Zatem, odpowiadając na twoje pierwsze pytanie: nie mam pojęcia, czy znajdziesz Krzyckiego na bulwarach nad Wisłą. Twierdził, że

tam idzie, ale być może poszedł na kolejny front walki w obronie wolności i solidarności przed zakusami totalitarnej władzy. Szlag mnie normalnie trafi.

– Obywatelska postawa męża chyba cię nie zachwyca.

Chwilę patrzyli na siebie, on z tym swoim bezlitośnie uroczym loczkiem na czole, ona ze smutną powagą. Pomiedzy nimi tkwiło widmo tego trzeciego, nieobecnego.

Istnieje typ ludzi, którzy ze swojej samotności czynią sposób na innych, by ich przy sobie zatrzymać, zajmować sobą. Pielęgnują niezależność kosztem zależności najbliższych. Dają z siebie wiele, niczego nie chcąc w zamian. A potem biorą wszystko. Ich bezinteresowne poświęcenie dla drugiego człowieka jest najlepszym z interesów. Uporczywie deklarują samowystarczalność, z zadowoleniem obserwując, jak bliscy zabiegają o podważenie tej tezy. Gdy ich spytać o zobowiązania wobec drugiego człowieka, odgrywiają egoistów. A gdy trzeba się poświęcić, bez wahania narażają życie. Później odwracają się z lekceważeniem i po prostu sobie idą. Na przykład na bulwary nad Wisłą.

Krzycki był jednym z takich ludzi.

– Jak to powiedziałeś? Im większy arsenał, tym głośniejsza eksplozja.

Ich spojrzenia się spotkały – dwoje ludzi uzależnionych od trzeciego. Lucek nie mógł znieść jej smutku.

– Na wszystko jest sposób! – zakrzyknął, zakasując rękawy jak magik przed występem. – To proste, potrzebujesz tylko trochę herbacianej esencji i syropu wiśniowego. – Wziął ostrożnie w dwa palce buteleczkę żołądkowej gorzkiej, jak zdechłą mysz za ogon, uniósł, teatralnym ruchem odkręcił mikroskopijną zakrętkę i lekko przechylił. – Wylej całe to świństwo do zlewu i napełnij butelki wodą. Tylko najpierw musisz dodać esencji, żeby złapać kolor. Taka żołądkowa gorzka to pikus, zwykły lipton. Te wszystkie brzoskwiniówki i morelówki też. Z syropu zrobisz wiśniówkę, żurawinówkę, porzeczkówkę, dereniówkę...

– Dereniówki tu nie ma. Słuchaj, Lucek...

– Nieważne. Do whisky potrzeba trochę lepszej herbaty, mocny assam na przykład, albo którąś z tych indyjskich do zaparzania w czajniczku. Widzę tu rum, czyli też herbata...

– Lucek...

– Kolory nie muszą być identyczne, tylko trochę podobne. Butelka z whisky jest przyciemniana, nie widać, a on przecież tego pił nie będzie. A gdyby spróbował, to masz czas na reakcję. Rozumiesz, takie niewybuchy trzeba rozbrajać, zanim zaczną...

– Lucek, boję się.

– Nie będzie pił, mówię ci. Kupuje sobie dla kaprysu i układa na pohybel chorej duszy. No więc do przyciemnianych butelek...

– Lucek!

Złapała go za nadgarstek i zmusiła do odłożenia buteleczki. Odwróciła go tak, że stali teraz twarzą w twarz.

– Co? – zdziwił się niewinnie. – Powiedziałem coś nie tak?

– Lucek, boję się, że on do was nie wróci.

Wyprostował się, uśmiech odpłynął z jego twarzy. Patrzyli na siebie, szukając w swoich oczach czegoś więcej ponad bezradność. Za oknem leniwie wirował śnieg. Tłumił hałas.

– Przecież wiem – westchnął Lucek. – Chciałem tylko zagadać. Żeby nie było tak cicho.

2

Znalazł go nad Wisłą pod przęsłem mostu Piłsudskiego. Krzycki siedział na starym sienniku, pozostałym z dobytku nocujących tutaj bezdomnych. W rękę trzymał patyk, którym stukał w ziemię.

– I co, biorą? – spytał Lucek, siadając obok.

– O, cześć, Bałyś. Nie, chyba już poszły spać. W styczniu kładą się wcześniej.

– One nie zasypiają na całą zimę?

– Obudziłem kilka kamieniami.

– Gdzie Lala? – ciągnął Lucek z pokerową twarzą. – Pobiegnę pobawić się z innymi pieskami?

– Taa, pobiegła. A ty co, złapałeś już wszystkich bandytów?

– Jeszcze nie. Dlatego tu jestem. Potrzebuję wsparcia.

Krzycki ze spokojem pokręcił głową. Nad nimi zadudnił na moście tramwaj.

– Na mnie nie licz. Już nie pracuję w policji.

– Tak, wiem, wspominałeś ze sto razy. Ale nie przestałeś być śledczym. Sam mnie uczyłeś, że to powołanie. Typ osobowości. Pewna specyficzna konstrukcja intelektualno-duchowa.

– Kłamałem, żeby cię zmotywować. Takie jest zadanie przełożonego.

Lucek Bałyś, świadom stawki w tej rozgrywce, odczekał kolejne dudnienie tramwaju, zanim podjął wątek.

– A nie mógłbyś tak jeszcze trochę pokłamać? Powiedzmy, parę lat, do emerytury. Potem będziesz sobie siedzieć pod mostem w styczniu i łowić ryby za pomocą kija.

– Nie mógłbym. Przeszedłem na stronę prawdy.

Z szacunku dla tak wielkiego słowa pomilczeli w zadumie. Lucek musiał jednak grać dalej.

– Tylko mi nie mów, że ona cię wyzwoli. Dorota pokazała mi twoją walizkę. To nie jest kolekcja człowieka wyzwolonego.

Ktoś zrzucił z mostu do wody kawałek obwarzanka i grupka łabędzi pomknęła w jego kierunku. Po krótkiej przepychance jeden z ptaków ze zdobyczą w dziobie odpłynął na stronę i pałaszował w samotności, podczas gdy pozostałe gęgały na niego z dezaprobatą. Kiedy zjadł, wrócił do stada i zapanował spokój. Krzycki uniósł kij.

– Widziałeś? Wyszarpnął swoje, uciekł, zeżarł i wrócił jakby nigdy nic. Reszta się pogodziła ze stratą. Bezwzględność, bandytyzm, pazerność,

a pięć minut później wszystko wraca do normy. Oto świat.

Kolejne wielkie słowo, więc znowu pomilczeli z szacunkiem.

– Aha – mruknął Lucek, gdy już przetrawili odkrycie. – Rozumiem. Przejrzałeś wreszcie na oczy. Jestem pełen podziwu, drogi przyjacielu. Niekłamanego podziwu. A jak to się ma, przepraszam, do walizki?

– Chodźmy, dupa mi zmarzła – uciął dyskusję Krzycki.

Podniósł się z ziemi, wyrzucił kijek do rzeki i pomaszerował bulwarową alejką, nie oglądając się na Bałysia. Ten potruczał za nim. Wiatr wiał wzdłuż rzeki od zachodu i ciął drobinkami śniegu w wykrzywione od zimna twarze. Mijali wyciągniętych na spacer przez swoje pociechy właścicieli psów, którzy chowali się pod kapuzami z futrzanym kołnierzem i usiłowali spacerować tylko w jednym kierunku – z wiatrem. Z rzadka przemykali rowerzyści, w intensywnym pedałowaniu szukający równowagi między marznieniem a rozgrzewką. Krzycki nie schodził im z drogi, tylko z podniesioną głową obierał kurs na zderzenie środkiem ścieżki, zadowolony, kiedy omijający go cyklista rzucał pod nosem przekleństwo. Od biegających po trawniku psów odwracał wzrok.

Po powrocie z Pomorza pięć miesięcy temu wiele razy rozmawiali i do niczego nie doszli. Akcja w hurtowni pod Przystawnem, w której Lucek Bałys został uwolniony z rąk Artura Kały i jego wojennych przebierańców, oprócz tego, że została zakończona powodzeniem, wniosła w ich wzajemną relację niepokojący czynnik. Niby jak dawniej przerzucali się znaczącymi absurdem kwestiami, niby odwiedzali się w swoich domach i wiedli przyjacielskie rozmowy przy kolacji, wspominając niedawne, przyprawiające o dreszcz wydarzenia – ale z rezerwą, podskórnym napięciem, które uwierało jak drzazga. Lucek z początku sądził, że chodzi o traumatyczne doświadczenie Andrzeja pod ścianą, kiedy Kała mierzył mu w czoło i zaczynał ściągać spust, wskutek czego Krzycki osiwił na skroniach. Albo że jego przyjaciela męczą wyrzuty sumienia z powodu śmierci pewnego młodego policjanta, który zanim zginął, zdążył ich obu uratować. Powodów można było znaleźć więcej, żaden z nich jednak nie

wyjaśniał, co się właściwie stało z ich przyjaźnią. Lucka bolało to niemiłosiernie.

– Andrzej, daj spokój – zaczął, kiedy na bulwarze zrobiło się pusto. – Porozmawiaj ze mną poważnie. Jesteś nam cholernie potrzebny, naprawdę. Komendant Byczkiewicz lawiruje między młotem a kowadłem, ponieważ ministerstwo naciska, żeby na szefa Wydziału Kryminalnego wyznaczyć kogoś nowego. Pamiętają twój protest przed sądem w Sławnie. A Byczkiewicz wciąż się upiera, że to masz być ty. Jesteś mu do czegoś potrzebny. – Lucek przełknął ślinę. – Andrzej, kurczę, mnie jesteś potrzebny.

Andrzej nie odpowiedział. Poprawił ściągacz od kaptura i zatarłszy dłonie w rękawiczkach, maszerował dalej z kamienną twarzą. Dochodzili do kładki Bernatki. Ciemne wody rzeki marszczyły się w borealnych podmuchach, przy kamiennym nabrzeżu krzyknęła kaczka, druga odpowiedziała jej z przeciwległego brzegu. Poza tym chłód. Martwota.

– Andrzej, czemu nie chcesz wrócić?

– Nie jestem już policjantem.

– Dlaczego nie?

– Mówiłem ci już.

– To powiedz jeszcze raz, bo nie załapałem.

Zamiast odpowiedzieć, Andrzej sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyjął kawałek papieru i podsunął go Luckowi pod nos. Był to urywek „Wyborczej” z notatką pod tłustym tytułem: „Policja kryje wojewodę”, opisujący jakąś mętną historię o biurowym romansie wysokiego urzędnika i sekretarki oraz rzekomym włamaniu na jego służbowe konto. Autor artykułu sugerował, że policja sfingowała włamanie i brała udział w tworzeniu fałszywych dowodów na rzecz obrony wzmiankowanego urzędnika. Lucek szybko przebiegł wzrokiem tekst.

– I co to ma być? – spytał. – To nie nasz wydział.

Krzycki znowu nie odpowiedział, tylko sięgnął do drugiej kieszeni i wyjął inny kawałek papieru, tym razem zatytułowany: „Policjanci piją na

zwolnieniach”. Tekst opowiadał o karygodnej praktyce w kręgach policyjnych, polegającej na braniu zwolnień lekarskich na potrzeby libacji alkoholowych, oraz praktyce poniekąd odwrotnej, to znaczy najpierw picia, a potem braniu zwolnienia na kaca. Miał dowodzić nie tylko regularnego przekraczania prawa, ale i całkowitego zepsucia moralnego służb mundurowych.

Lucek oddał świstek.

– Myślisz, że to dotyczy tylko policji? Wszyscy tak robią. Przyjrzyj się kierowcom autobusów.

Inspektor Krzycki i tym razem nie odpowiedział, tylko wyduł pogardliwie wargi i schował karteluszek do kieszeni. Przeszli jeszcze parę kroków i zawrócili. Z wiatrem w plecy Lucek poczuł nowy zapach.

– Właściwie jestem tu w konkretnej sprawie. Komendant Byczkiewicz chciał z tobą rozmawiać. Tylko ja cię proszę, nie sięgaj znowu do kieszeni...

Za późno. Andrzej wyjął kolejny artykuł, tym razem z lokalnej „Wyborczej” z Radomia, a tamtejszy problem policyjny nosił tytuł: „Komendant jeździł autem bez prawa jazdy i został sfilmowany”.

– Nie no, Radom, ja oszaleję! – jęknął Lucek. – Masz takie ze wszystkich lokalnych dodatków?

– Uhm.

– To może zmień gazetę? Kup sobie „Twój Styl” albo „Gościa Niedzielnego”. Tam jak piszą o policjantach, to same dobre rzeczy. Na przykład że podkomisarz ożenił się z młodszą o dziesięć lat aspirantką. Albo że pan komendant przystąpił do komunii podczas mszy na święto plonów. Takie czytaj.

Widząc, że ten znów sięga do kieszeni kurtki, Bałyś przyskoczył do niego.

– Nie, czekaj! Wiem, następny jest o spółce komendanta z księdzem. Dobra, wygrałeś. Twoje racje są wystarczające, a nawet absolutne. Niewzruszone. Przygważdżające. Wpadniesz na Mogiłską?

Liczył na zaskoczenie, ale się przeliczył. Krzycki pokręcił głową solidnie, jak czołg wieżyczką na polu bitwy, i znowu sięgnął do kieszeni, na co Lucek natychmiast przytrzymał mu rękę. Niepotrzebnie. Na otwartej dłoni leżało kilka miętowych cukierków w zielonych papierkach.

– Często się.

Zażyli po jednym. Mięta na chłodzie smakowała jak lody w przeręblu, zimno było i na zewnątrz, i w środku. Lucek pomyślał, że wszystko dzisiaj sprzysięgło się przeciwko niemu, nawet cukierki. W zakamarkach umysłu szukał jeszcze jakiegoś argumentu, którym mógłby wytrącić Andrzeja z niewzruszonego pacaństwa. Widmo klęski zaglądało mu z przekonaniem w oczy. Gra dobiegała końca, nie miał nic do stracenia. Dyskretnym ruchem schował pod kapuzę odrost swojego Słynnego Zakręconego Loczka.

– Byczkiewiczowi chyba nie chodzi o nagabywanie – zaczął z udawaną niedbałością. – Zdaje się, że dostał telefon od kolegi z zaprzyjaźnionej komendy wojewódzkiej. Nie znam szczegółów. Jakaś dziwna sprawa. Długo potem nie mógł się uspokoić.

Cisza. Napięte milczenie. Szli obok siebie wpatrzeni w rozciągającą się przed nimi nieokreśloną przestrzeń domysłów i kalkulacji. Lucek wyczekiwał reakcji i wiedział, że Andrzej wie o jego wyczekiwaniu, a Andrzej wiedział, że Lucek wie. Brali się na przetrzymanie. Sekundy zwolniły, płatki śniegu zawisły w powietrzu.

– Skąd? – spytał Andrzej z równie udawaną niedbałością.

– Nie wiem dokładnie, gdzieś z północy – odparł Lucek z jeszcze bardziej udawaną niedbałością.

W brydżu to się nazywa głęboki impas, w szachach – gambit. Artur Kała pewnie nazwałby to łowieniem na żywca, a Wajrak – zakarmianiem przed amboną. Jak zwał, tak zwał, komisarz Lucjan Bałyś zarzucił przynętę na swojego przyjaciela i przełożonego, i pełen fundamentalnego niepokoju oczekiwał, co się będzie działo. Krzycki znał się na tych zagrywkach lepiej od Bałysia i z bezlitosną satysfakcją przedłużał wyczekiwanie. Za ich plecami rozległo się wściekłe dzwonicie rowerzysty. Nie odwracając się, Krzycki pokazał mu faka. Spod przepoconej apaszki doleciało ich

zdyszane: „Pierdol się” i umięśnione uda popedałowały dalej. Lucek z wdzięcznością pomyślał o niewychowanym cyklicie, który mimowolnie uruchomił zbawienny dla jego planu proces emocjonalny. Andrzej nienawidził tego przekleństwa najbardziej ze wszystkich. Kiedyś zmasakrował aresztowanego gangstera, gdy ten nieopatrznie warknął: „Pierdol się, gliniarzu”.

– Kutas – rzucił Andrzej, po czym zmarszczył brwi i spytał: – Skąd?

– Chyba z Dąbia – odparł Lucek niedbale. – Jeżdżą do Tyńca i z powrotem. Dzienny dystans korposzczura. Przypuszczam, że oni te rowery dostają od szefa pod choinkę, w ramach zapewniania zrównoważonego rozwoju psychofizycznego...

– Skąd ten telefon?

Bingo. Lucek z najwyższym trudem powstrzymał się przed strzelistym aktem ulgi. Król się podłożył pod asa. Lucuś, jesteś prawdziwym mistrzem. Teraz nie spieprz rozgrywki.

– Jak zgadniesz, to nigdy więcej cię już nie nagabnę. Będiesz mógł siedzieć pod mostem z kijaszkiem w ręku od stycznia do grudnia i łowić łabędzie na kawałki obwarzanka. Jeszcze ci dorzucę nowy siennik. Uprzedzam jednak, drugiej szansy nie będzie. Musisz trafić od razu. Gramy *va banque*.

– Przecież wiem, że ze Słupska – odparł momentalnie Krzycki.

– Skąd wiesz?

Andrzej przystanął i wbił palec wskazujący w pierś Lucka, odzianą w szafirową puchową kurtkę.

– Bo cię znam, Bałyś. Gdyby zadzwonili ze Szczytna albo z Biłgoraja, albo z Acapulco, to i tak byś mi powiedział, że ze Słupska. I gdyby nikt znikąd nie zadzwonił, a Byczkiewicz nie miał w gabinecie telefonu, też przyszedłbyś mi powiedzieć, że dzwonili ze Słupska. Zgadza się? Jasne, że się zgadza, i wiem nawet dlaczego. Bo wydaje ci się, że jesteś cwany i znalazłeś skuteczną przynętę na wyciągnięcie Krzyckiego z beznadziejnej depresji. Może nawet na przywrócenie do służby, choć sam zainteresowany

za żadne skarby tego nie chce. Upichciłeś intrygę jak cwaniaczek od gry w trzy karty na starej skrzynce po lemoniadzie. Czarna przegrywa, czerwona wygrywa. Jedziesz po bandzie, bo szanse topnieją.

– I jak mi idzie?

– Nieźle. Teraz mój ruch. Przypominam, że drugiej szansy nie będzie. Gramy *va banque*. Naprawdę dzwoniłi?

– Przecież i tak mi nie uwierzysz. Cwaniaczek od gry w trzy karty.

– A jakie masz wyjście?

– Naprawdę.

– Naprawdę dzwoniłi?

– Tak.

– Kurwa mać! – wyrwało się Krzyckiemu.

– Spokojnie. – Lucek uniósł obie ręce do góry. – Nie znam szczegółów, nie dopytywałem. Byczkiewicz sam ci opowie. To co, wpadniesz na Mogiłską?

Odpowiedź wydawała się oczywista, Andrzej Krzycki jednak nie odpuszczał do ostatniej sekundy. Ostatniej ćwierci sekundy.

– Nie.

Kaczka w wodzie, nagle czymś przestraszona, wrzasnęła jak oszalała. Lucek pomyślał, że gdyby było trochę cieplej, wskoczyłby do wody i utopił ją własnymi rękami. Nie, udusił. Kaczki utopić się nie da.

Zeszli z bulwarów na ulicę Starowiślną.

– Lali nie bierzesz? – rzucił desperacko Bałyś, licząc na ponowne wytrącenie go z równowagi. Mogliby jeszcze podjąć partię.

– Wal się.

– A walizeczka?

– Jak wyżej.

Następnego dnia po krótkiej walce z samym sobą Andrzej Krzycki wyruszył z domu na miasto. Mogilska na razie nie wchodziła w rachubę, więc pojechał do Fitness Platinum, gdzie komendant Byczkiewicz wyciskał tony żelastwa w celu przedłużenia rozkosznych złudzeń. Inspektor znalazł go na końcu sali, w kąciaku dla strongmenów z szerokimi skórzanymi pasami wokół talii i skorpionami wytatuowanymi na betonowych karkach. Komendant ciężko sapał i przepoconym ręcznikiem wycierał czoło. Właśnie skończył kolejną serię na wyciągu, motylek plus barki. Na widok Andrzeja przewiesił ręcznik przez szyję i prychnął w sufit.

– Proszę, proszę, przyszła góra do Mahometa!

– Jebać ciapatych – mruknął łysy osiłek na sąsiedniej ławeczce.

Andrzej zawahał się, czy nie grzmotnąć go w splot słoneczny, ale odpuścił. Mógłby mu zatrzymać oddech na amen. Ograniczył się do mruknięcia: „Jebać łysych” i grzecznie usiadł obok komendanta. Osiłek podniósł się i z niedowierzaniem spytał:

– Co powiedziałaś?

– Spadaj, Dżuma – warknął Byczkiewicz.

Przez chwilę Dżuma z trudnym do zdefiniowania spojrzeniem ważył różne za i przeciw, w końcu zgarnął z podłogi butelkę z wodą i powłókł się na drugi koniec sali. Oczekali, aż znajdzie się w bezpiecznej odległości, i Andrzej spytał bez ogródek:

– Po co Hadczuk dzwonił?

– Też mi miło cię widzieć, Krzycki. Przyjemnie, gdy stary kumpel odwiedzi cię na siłce. W środku serii.

– No więc po co?

– Chcesz pogadać o robocie, to przyjdź do roboty.

– Zwolniłem się.

– Nie przyjąłem twojego zwolnienia.

– A ja nie przyjąłem twojego nieprzyjęcia zwolnienia i zwolniłem się sam. Chyba to już wyjaśnialiśmy. No więc po co?

– Jak nie pracujesz w policji, to nic ci nie mogę powiedzieć. Tajemnica służbowa. A w ogóle skąd wiesz, że to był Hadczuk?

Podkomisarz Ryszard Hadczuk w pewnym sensie stanowił słupski odpowiednik inspektora Krzyckiego, ponieważ w tamtejszej Komendzie Miejskiej pełnił obowiązki szefa Wydziału Kryminalnego. Odegrał niebagatelną rolę w ubiegłorocznej akcji uwolnienia Lucka Bałysia z rąk Kały i żywił wobec Andrzeja skomplikowane uczucia: od bezgranicznego podziwu, przez wdzięczność, do skrywanego żalu.

– Kto tym razem? – odpowiedział pytaniem Andrzej.

– Jakaś kobieta. To znaczy nie, nikt; nie podpuszczaj mnie, wstrętny cywilu. Wróć do roboty, to ci powiem. Albo sam sobie zadzwoń.

– Nie mam komórki. Służbową zostawiłem w biurze, a prywatna padła.

– Wróć do roboty, itepe.

Żeby potwierdzić nieugiętość swego stanowiska, komendant Byczkiewicz ostentacyjnie wytarł ławeczkę przepoconym ręczniczkiem, położył się na niej i zdjawszy z widełek sztangę, zaczął ćwiczyć. Głośno przy tym sapał na cztery: „Do-ro-bo-ty, do-ro-bo-ty”. Przyglądając się tej błazenadzie szefa, Andrzej zaczął podejrzewać, że wspólnie z Bałysiem ukartowali całą akcję z telefonem ze Słupska. Mógłby się przekonać, gdyby sam zadzwonił do Hadczuka, ale – zupełne głupstwo – nie miał jego numeru telefonu. Istotnie, służbową komórkę zostawił w swoim gabinecie na Mogiłskiej, a prywatnej za żadne skarby nie chciał aktywować. W telefonii komórkowej, jak w każdym globalnym interesie, wietrzył globalne oszustwo i zniewolenie. Dorota uznawała jego teorie spiskowe za przejaw manii prześladowczej i tłumaczyła, że telefon w kieszeni naprawdę czasem się przydaje. „Jak będę chciał, to cię znajdę, jestem śledczym”, odpowiadał na jej argumenty.

Ale teraz by się przydała.

– Będziesz jutro u siebie? – spytał obojętnie.

Byczkiewicz zamarł ze sztangą pod szyją i z nabrzmiętymi skroniami. Dyszał płytko i wybałuszał oczy na swojego najlepszego śledczego. Węszył

podstęp, ale go nie znalazł. Pchnął sztangę w górę jak styropianową atrapę i zarzucił na widełki. Usiadł.

– Będę, Andrzejku, złotko moje. Będę, będę. O której wpadniesz?

– Nie wiem.

– Dobra, będę czekał!

Pożegnali się uściskiem ręki, po którym Krzycki musiał sobie rozmasować nadgarstek.

W drodze powrotnej przed bramą kamienicy skręcił do małego sklepiku po schodkach. Pani Zofia jak zwykle przysiadła na małym rozkładanym krzeselku i tylko jej starannie ułożona fryzura wystawała ponad ladę. Rozwiązywała krzyżówki. Na jego widok zerwała się z miejsca i zakrzyknęła z rejtanową histerią:

– Nie dam, panie Andrzejku! Alkoholu nie sprzedam!

Dla poparcia swego nieugiętego stanowiska rozkrzyżowała ręce na tle regału z wódkami i patrzyła mu wyzywająco w twarz. Jego sympatyczny uśmiech zbił ją nieco z tropu.

– Dzień dobry, pani Zosiu. Skąd takie szykany wobec stałego klienta? Byle szumowinom z Kazimierza pani sprzedaje, a mnie nie? Mnie, swojemu ulubionemu inspektorowi? Cóż za niesprawiedliwość.

– Dobrze pan wie dlaczego – obruszyła się. – Poza tym obiecałam pani Dorocie.

– O, zmowa sąsiedzka – odparł zadowolony. – W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak wezwać straż miejską i zgłosić naruszenie praw konsumenckich ze strony nieuczciwego handlowca. Przepraszam, handlowczyni.

Przekomarzanie się z panią Zosią należało do jego ulubionych zajęć w przedłużającym się okresie urlopowym. Pamiętała czasy, kiedy codziennie kupował u niej półlitrową żołądkową gorzką i odkręcał jeszcze przed wyjściem ze sklepu, co nieodmiennie skłaniało ją do głośnego wzywania niebios na pomoc. Teraz najwidoczniej do tej gwardii ocalania Krzyckiego dołączyła Dorota.

– To nie na picie.

– A na co?

– Nacieram kolana na reumatyzm. Starość nie radość.

– Wiśniówką?

Faktycznie, przedwczoraj kupował wiśniówkę.

– Wiśnia zawiera mikroelementy wzmacniające chrząstkę międzykostną i regenerujące wiązadła stawowe – wygłosił bez mrugnięcia okiem.

– Mam wiśnie mrożone.

– Ale to działa tylko w połączeniu ze spirytusem.

Opuściła ręce i ze sceptycyzmem go obserwowała. Po namyśle podjęła decyzję. Podeszła do lady i skinęła na niego palcem.

– Niech pan chuchnie. Jak nie poczuje, to sprzedam.

Z rozbawieniem nachylił się nad lady i już miał chuchnąć, gdy za jego plecami brzęknął dzwonek nad wejściem i jakiś klient wszedł do sklepu. Andrzej odsunął się, robiąc miejsce nieogolonemu robotnikowi w kombinezonie budowlanym i pochłapanej wapnem czapce na głowie.

– Sześć bułek, kilo rzeszowskiej i wyborowom. Tom dużom – zakomenderował nieznoszącym sprzeciwu, ochrypłym basem.

Pani Zosia przewróciła oczami i poszła pakować towar do jednorazówki, a Krzycki przebiegł wzrokiem regał z alkoholem. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki mieniające się w szklach kolory zaczęły nabierać konkretnych smaków. Bezbarwne, z nutą goryczki, tylko gryzły w przełyk, podczas gdy poszczególne odcienie żółci dodawały walorów słodczy i ziół, w bardzo różnym natężeniu. Wywołana przez panią Zosię wiśniówka zostawiała na języku posmak taśmy klejącej. Żłociste jak próbki urologiczne koniaki szczypały w żołądek, w whisky odbijał się kurz starego spichrza zbożowego. Przez brzuch Andrzeja przebiegł lekki skurcz i gorącym światłowodem rozbiegł się po ciele jak zastrzyk z czystych neuronów. Czuł go nawet w koniuszkach palców u stóp. Ten dreszcz utwierdzał go, z rozsypanych kawałków składał na powrót w całość. Andrzej ćwiczył się w tym codziennie. Potrzebował tego do poczucia

metafizycznej jedności istnienia. Do upewnienia się w niepewności. Do bliskiego kontaktu z bólem. Do niepicia.

– I trzy harnasie – dorzucił spragniony lunchu robotnik.

Pani Zofia obsłużyła go w morderczym milczeniu i nawet nie raczyła spojrzeć mu w twarz przy wydawaniu reszty. Unikała także wzroku Andrzeja, który po wyjściu budowlańca przyglądał się jej z zadowoleniem.

– Sama pani widzi, jak to wygląda – podsumował sentencjonalnie.

Nie odpowiedziała, z jakiegoś powodu nagle obrażona na cały świat. Dał jej chwilę na ogarnięcie emocji i spytał poważnie:

– Ma pani telefony na kartę?

Tym razem przyjrzała mu się uważnie, wietrząc nowy podstęp alkoholowy. Ponieważ niczego takiego nie dostrzegła, sięgnęła pod ladę i wyjęła trzy pakiety startowe różnych firm.

– Telefonów nie mam, ale jak pan ma stary, to można taki start tam wsadzić – wyjaśniła.

– Starter.

– Ja się na tym nie znam. Sprzedaję, bo mi kazali. A co z tą wódką? – rzuciła wyzywająco.

– Przecież mówiłem, że nie piję.

Uśmiechnął się na pożegnanie, zapłacił i wyszedł.

4

W domu czekała na niego Dorota z obiadem. Wkroczył przygotowany na kolejną porcję dąsów i podejrzeń, tymczasem ona ucałowała go na powitanie, nazwała „kochaniem” i powiedziała, że upichciła coś ekstra. Tym czymś była jego ulubiona pomidorowa z makaronem (kto nie lubi pomidorowej z makaronem!) oraz tarta łososiowa. Do tego szarlotka z bitą śmietaną na deser.

– Co to za święto? Milioner ci się oświadczył?

Wyszczrzyła zęby w promiennym uśmiechu, którego nie widział u niej od pięciu miesięcy.

– A od kiedy masz miliony?

– Ja ci się nie oświadczam – stwierdził, odwieszając kurtkę, którą Dorota omiotła obojętnym spojrzeniem. Jeszcze wczoraj obserwowała ją jak tykającą bombę i dyskretnie obmacywała w poszukiwaniu buteleczek.

– Nie musisz. Wystarczy, że jutro idziesz na Mogilską porozmawiać z Byczkiewiczem.

Andrzej znieruchomiał.

– Zaraz, zaraz. Skąd wiesz, że jutro idę na Mogilską? I że mam rozmawiać z Byczkiewiczem?

– Jak to skąd? Od niego. Podobno jesteście na jutro umówieni. A później wieczorem idziemy do Bałysiów na kolację. Lucek pichci coś specjalnie dla ciebie. Może to jemu się oświadczyłeś? Andrzej, nie masz pojęcia, jak się cieszę!

– Po pierwsze, nie wiem, czy pojedę na Mogilską. Po drugie, nawet jeśli pojedę, to nie na rozmowę z komendantem Byczkiewiczem. Po trzecie, nawet jeśli będę z nim rozmawiał, to nie o powrocie do służby. Mówiłem ci, że moja decyzja jest nieodwołalna. Mam dosyć policji. To po czwarte. A po piąte: Bałyś też już wie?

Nie odpowiedziała, tylko szczyrzyła do niego zęby jak jurorka w *Tańcu z gwiazdami*. Z pewnością należała do spisku. Mogilska, Byczkiewicz, telefon ze Słupska, obiad Doroty, kolacja Bałysia – ciąg zdarzeń jednoznacznie wskazywał na zorganizowany spisek mający na celu wepchnięcie go z powrotem na fotel szefa wydziału. Dwa lata temu przejął go po komendancie Opałce, a pół roku temu oddał wraz z wymówieniem. Właściwie tylko jeszcze Opałki brakowało do tej kolekcji pozał się Boże spiskowców. Sarkastyczna myśl zrodziła się w złą godzinę. Zaledwie umył ręce i usiadł nad pomidorową, gdy Dorota odebrała telefon i natychmiast mu go podała.

– Opałka – poruszyła bezdźwięcznie ustami.

– Cześć, Andrzejku! – usłyszał radosne ćwierkanie rozentuzjasmowanego emeryta. – Jakbyś przypadkiem był jutro na Mogilskiej, chętnie zamienię z tobą parę słów. Daj znać, o której ci będzie najwygodniej. Sto lat, chłopie! Już się cieszę na tę kawę!

Odbąknął coś i żeby nie robić obciachu, umówił się na dwunastą w południe w gabinecie Lucka Bałysia. Umyślnie powiedział „w gabinecie Lucka”, żeby było wiadomo, że nie jest to jego gabinet.

– Nie, lepiej u pana Adasia w kantynie.

– W porządku, też się cieszę.

Wrócił do swojej pomidorowej, a Dorota szczebiotała o jakichś wesołych cudzoziemcach w jej kawiarni na Szerokiej. Zdziwiony nagłą zmianą klimatu przy obiedzie ze swojego pokoju wychynął Paweł, dwunastoletni syn Doroty z pierwszego małżeństwa. Usiadł na krześle i przyglądał się nowym relacjom domowym. Zaczął nawet jeść zupę.

– Cześć, młody. Zabijasz smoki? – zagadnął go Andrzej.

– Nie, policjantów.

I tyle było konwersacji. Młody wziął talerz i poszedł do siebie. Andrzej nałożył sobie pokaźny trójkąt tarty z łososiem i spytał Dorotę, po co idą do Bałysiów.

– To się nazywa „przyjacielska wizyta”. Lucek jest twoim przyjacielem, zapomniałeś?

– Nie zapomniałem. Jakież urodziny czy co?

– Raczej „czy co”. Nic nie wiem o urodzinach. Chyba po prostu dawnośmy się nie widzieli, a oni, może zdołałeś odnotować, bardzo nas lubią.

– Wczoraj się widziałem z Bałysiem i nie odnotowałem. Podstępem i gierkami nakłaniał mnie do powrotu do pracy. Chciał mi odebrać wolność indywidualną.

– Ale nie odebrał. Idziemy na siódmą. Jak wrócisz z Mogilskiej, zjesz obiad i...

– Dorota, słuchaj, czy wy wszyscy przypadkiem nie...

Znowu zadzwonił telefon Doroty, a ona odebrała i zaraz przekazała go Andrzejowi. Usłyszał głos cioci Irenki.

– No witaj, chłopczyku! Nie masz pojęcia, jak mi ulżyło! Bo już sobie myślałam, że potrzebny ci będzie jakiś dobry psychoterapeuta, zresztą ty masz przecież świetną terapeutkę, ta Wanda jak jej tam, zapomniałam, na pewno utrzymujesz z nią kontakt, ze wszystkimi kobietami, które przewinęły się przez twoją przewrażliwioną duszę, utrzymujesz kontakty...

– Ciociu...

– Może wpadlibyście wszyscy troje do mnie w niedzielę na herbatę? Tak dawno was nie widziałam! Pawełek to już pewnie chłop na schwał...

– Ciociu, jemy obiad...

– Już kończę. Chciałam ci tylko powiedzieć, że rodzina i praca są najważniejsze. Masz jedno i drugie, to sobie pilnuj. Nie żebym cię pouczała, ale skoro już rozmawiamy przez telefon...

– Sama zadzwoniłaś.

– Wiem, że sama zadzwoniłam, jeszcze nie mam sklerozy. Więc jak, wpadniecie w niedzielę? Wspaniale! Upiekę szarlotkę, twoją ulubioną. No to pa.

Po zamknięciu cioci Irenki patrzył w ekran startowy smartfona z własnym zdjęciem i zastanawiał się, jak bardzo rozcapierzył swe macki spisek przeciwko niemu. Skoro wiedziała ciocia Irenka, to wiedzieli wszyscy. Powiedzmy – pół Krakowa. Nie zdziwiłby się, gdyby następny telefon był od jego przyrodniego brata, biskupa pomocniczego w krakowskiej kurii. Albo od Jerzego Gargulskiego. Nie, Gargulski odpada, ponieważ w zasadzie nie mówi. Najwyżej przyśle mejla albo esemesa.

Najlepsze było to, że wcale nie miał zamiaru wracać do pracy. Chciał się tylko dowiedzieć, czy ten telefon był ze Słupska i czy był w tamtej sprawie.

No i przed nim Tydzień Szarlotki.

Komórka plimknęła i Dorota odczytała na głos wiadomość:

– „Niech zajrzy, JG”. To chyba Jurek Gargulski, co?

– Pewnie – mruknął. – Tylko on potrafi tak krótko. Zaraz zadzwonią z kurii, że jego eminencja biskup życzy sobie połączenie. Kto wie, może już dał na mszę za mój szczęśliwy powrót. Co za ulga. Cały Kraków wspiera Wielką Orkiestrę Świątecznego Powrotu. To ja się położę. Dzięki, było pyszne.

Ucałował ją w policzek i poszedł do siebie. Nie, za dużo tego. Walnął się na łóżko, założył słuchawki na uszy i przymknął oczy.

5

Przyszedł do niego Maciuś Ploh, upośledzony umysłowo chłopiec z Grębówka, który ubiegłego lata zginął, przypadkowo zastrzelony przez policjanta podczas obławy. Położył się obok na łóżku, ujął jego rękę i zaczął nucić pod nosem. Trudno było rozpoznać, czy w tym buczeniu kryje się jakaś konkretna melodia, czy też Maciuś próbuje mu coś w ten sposób przekazać. Rozprostował jego dłoń i przystawił swoją tak, by opuszki palców dokładnie do siebie przylegały. Wkrótce przez Andrzeja przebiegł dreszcz. Drobnym impuls elektrycznym, taki sam jak wtedy w domu Zofii Plohowej, kiedy spotkali się po raz pierwszy. W słuchawkach Thom Yorke jęczał o syrenach wabiących go gdzieś tam, tam.

Maciuś mówił.

– Biała Dama mieszka w skrzydlatym pałacu pod ziemią. Z nią stara wiedźma. Żywią się powietrzem, ziemią, morzem i ognistym strumieniem. Nakarmiły mnie plackami z białej jak śnieg mąki. Wszystko jest białe, tylko jeden ciemny, brudny cień. Płaczą. Wszystko jest białe i płacze. Moja mama też płacze.

Hail To The Thief ucichł i Andrzej usłyszał w słuchawkach ledwie rozpoznawalny szept. Niezrozumiały. Wydawało mu się, że rozróżnia niemieckie słowa, ale nie znał ich znaczenia. Poddał się nowej melodii z przyjemnością, nie musiał nic robić. Wiedział, że śpi, kołyszany obcą mową, a mimo to zachowywał całkowitą jasność umysłu. Ktoś mówił po niemiecku, Maciuś Ploh („Głupi Maciu, Maciu Świr”) opowiadał o Białej

Damie za pomocą łagodnych elektrowstrząsów. Dla zilustrowania swoich opowieści podsuwał mu przed oczy jeden ze swoich rysunków. Na koniec przesłał mu ostatni impuls, nieco intensywniejszy od poprzednich, i odszedł.

Wróciła muzyka. „Złożą mnie w bunkrze pod ziemią”, śpiewał Yorke i deklarował, że nie pozwoli, aby jego dzieciom przydarzyło się to, co jemu. Przez uchylone okno śnieg wdarł się do pokoju. Powiało mrozem. Andrzej podciągnął koc pod szyję. W słuchawkach rozległ się krzyk żurawi. Wiedział, że to żurawie, ponieważ dobrze je zapamiętał ostatniego lata, krążące nad grębowieckimi łąkami. Lubił ten rozpaczliwy wrzask. Odpowiadała mu wyjąca w nim bezdena rozpacz.

Dlaczego to wszystko jest takie rozpaczliwe?

– Daj sobie spokój, synku, nie naprawisz całego świata – powiedziała matka, która zjawiła się na sekundę i natychmiast rozviała w mgłę. Nie zdążył nawet powiedzieć, jak bardzo mu jej brakuje. A potem uśmiechnął się przez sen. Męskie figury pożądania. Po matce powinna przyjść Iza.

Przyszła. Miała na sobie szafirowy kostium, ten, w którym pierwszy raz przyjechała z Warszawy.

– Mówiłam ci, że będziemy kiedyś szczęśliwi, ale nie w tym życiu. I co z tego, że sentymentalne? Zawsze byłeś okropnie sentymentalny. Właściwie poza sentymentalizmem w ogóle cię nie ma. Jesteś z niego ulepiony, jak mnie ulepiono z kłamstwa. Bo z tą naszą miłością to mit, ściema, ułuda. Gadanie przy porannej kawie po dobrym seksie, kiedy trzeba coś powiedzieć, cokolwiek, byle nie prawdę. Udawanie jest najlepszą z prawd, to też ci mówiłam. Właściwie powiedziałam ci wszystko, czego potrzebujesz. Wystarczy, jeśli skorzystasz z tej wiedzy. No i żyj...

Wzdrygnął się. Nie to miała powiedzieć. Machnął ręką, jakby rozpędzał kłęby dymu z papierosa, i sobie poszła.

Otworzył oczy. Na suficie przesuwiał się cień kogoś idącego podwórzem. Szafirowe niebo wróżyło wieczorny mróz. Powinien przeciąć to napięcie i rozstrzygnąć wątpliwość, w jedną lub w drugą stronę. Ociężały po drzemce zwlókł się z łóżka i usiadł do komputera. Sprawdził pocztę. Nie

zaglądał tam od dawna, ponieważ nie czekał na wiadomość od nikogo, zwłaszcza od tych, którzy koniecznie chcieli mu coś przekazać. Pierwszy mejl od Ryszarda Hadczuka był z wczoraj i zawierał słowo na tyle niepokojące, że musiał złamać zasadę. W końcu zasady są po to, żeby je łamać. „Zadzwoń. Tak, wiatraki wróciły”. I numer telefonu. Z dzisiejszego ranka drugi, nieco bardziej nerwowy: „Zadzwoń, do jasnej cholery! Nie będę pisał”.

Wiatraki. Malownicze i trochę psychodeliczne stwory, zaludniające pomorskie pola i łąki w imię ekologicznej przyszłości. Wyrośli się w ostatnich latach w skali zupełnie niebywalej i niepokojącej, kręcąc ludziom w kieszeniach i w głowach. Z jednej strony hasła o odnawialnych źródłach energii dla dobra ludzkości, z drugiej – miliardowe inwestycje i walka o zyski. Tak wyglądał plan ogólny, Andrzej wiedział jednak, że Hadczuk mruga do niego znacznie konkretniej. Ubiegłego roku turbiny wiatraczne stały się w pomorskich wioskach areną tragicznych wydarzeń, w których zginęło sporo osób, a oni obaj z Luckiem ledwie uszli z życiem. Hasło „Wiatraki wróciły” bynajmniej nie oznaczało przyływu ekologicznej energii, tylko raczej kłopotów. Właśnie dlatego nie chciał nowych wiadomości.

Nie chciał...?

Czekał całą jesień. Wiedział, że sprawa pomorskich wiatraków nawiedzi go znowu, tak jak depresja nawiedza alkoholika: nieuchronnie i głęboko. Nagromadzony w celach obronnych arsenał niewypitych butelek dawał na jakiś czas ochronę, ale nie eliminował źródła problemu. O zwycięstwie w ogóle nie było mowy. Przetrwać, oto wszystko. Mógł udawać, że już nie jest oficerem śledczym, i odgrywać ostatniego sprawiedliwego w brudnym świecie skorumpowanej i upolitycznionej policji, bo w końcu udawanie to najlepsza prawda, jak mówiła Iza. Ale co w zamian? Gdzie jesteś, Krzycki, kiedy cię nie ma?

Rozleniwił się. Utył. Rozluźnił kontakty ze znajomymi, Lucka odsunął od siebie i puścił samego na szerokie wody kierowania wydziałem, co nie najlepiej świadczyło o jego lojalności. Zamiast biegać, łąził, a zamiast

czytać, surfował po internecie, gapił się na seriale albo słuchał Radiohead. Trochę bieda, Krzycki. Straciłeś wymiar, jesteś płaski jak deska do prasowania. Nieciekawa deska, bo nawet koszule cię unikają. Przyznaj się: kiedy ostatnio miałeś na sobie koszulę?

Wyjął z szuflady starego alcatela i uruchomił za pomocą pakietu startowego. Wybrał numer.

6

– Zaraz oddzwonię – rzucił komisarz Ryszard Hadczuk i się rozłączył. Wybiegł z gabinetu i pomaszerował do toalety, po drodze omiatając wzrokiem zabłoconą ulicę 3 Maja, przy której stała Komenda Miejska Policji w Słupsku. Na torowisku dudnił pociąg towarowy. Sprawdził, czy pozostałe kabiny są puste, i dopiero wtedy nacisnął klawisz.

– Przepraszam, musiałem wyjść z gabinetu.

– Aż tak?

– Jeszcze nie wiem jak. A w ogóle to cześć. Dzięki, że dzwonicz, bo już się martwiłem.

– O co?

– No... że nie będziesz chciał wrócić.

– Do czego?

– Do tej sprawy.

Brak reakcji. Od dawna chciał pogadać z Andrzejem Krzyckim, ale bał się tak zwyczajnie: „Cześć, co u ciebie?” i potrzebował pretekstu. Wczoraj otrzymał go wraz z protokołem przesłuchania podejrzaney.

– Nadal jesteś na chorobowym?

– Uhm.

Ani „cześć”, ani „dzień dobry”. Niedobrze. Słyszał od Lucka Bałysia, że Krzycki znowu jest na zwolnieniu i nie wiadomo, czy w ogóle wróci do pracy. Cierpiał podobno na skutki uboczne zatrucia cyjanowodorem, którego doznał latem, i potrzebował żmudnej rekonwalescencji. Tak to

jakoś brzmiało w tych raportach od pasterzy świrów. Rozmawianie z człowiekiem leczącym się psychiatrycznie stanowi wyzwanie, a jeśli ten człowiek jest twoim kumplem i wzorem zawodowym, to jest to wyzwanie potrójne.

– Możesz?

– Uhm. Przecież to ja dzwonię.

Niedobrze. Klimat nieprzychylny.

– Andrzej, mamy kolejnego trupa spod wiatraka.

– Kogo?

– Zofię Ploh.

W słuchawce na kilka sekund zapanowała cisza, zanim Andrzej spytał:

– I co dalej?

– No, myślałem, że cię to obchodzi.

– Nie obchodzi. To wasz rejon. Co mnie do tego?

– Jest jeszcze coś. Zatrzymaliśmy podejrzaną, właśnie przed chwilą oglądałem protokół z wstępnego przesłuchania. Niestety, niewiele nam powiedziała. Właściwie nic. Mówi, że nie będzie z nikim rozmawiać, tylko z tobą.

– Kobieta?

– Andrzej, to jest Heike Liebner.

Zapadła cisza. Krzycki przetrawiał w myślach informacje. Wreszcie rozległ się jego powolny, dudniący głos:

– Czy to prawda?

– Ale co?

– Że jest podejrzaną.

– Niestety tak.

– Wiesz, że to nie ona?

– Tak, ale prokurator ma wystarczające argumenty, by ją przymknąć. Z czego zresztą skorzystał nad wyraz skwapliwie, dlatego dzwonię do ciebie z kibla. Przyjedziesz?

Liczył na bystrość Andrzeja, który słysząc o kiblu, nie będzie dopytywał o szczegóły. Zrobi to na miejscu. Odpowiedź przekonała go, że Krzycki nic nie stracił ze swojej umiejętności zaskakiwania.

– Nie.

– Andrzej, ona siedzi w areszcie! I chce rozmawiać tylko z tobą!

– A o czym?

– Nie mam pojęcia! Nie chce mówić, więc będzie siedziała aż do procesu. Skazującego.

– Może mówi po niemiecku i nie rozumiecie.

– Andrzej! – krzyknął gniewnie, ale poczuł ulgę. Krzycki żartuje. Jest lepiej. – Zbieraj się i przyjeżdżaj.

– Nie mogę. Jestem chory, na pewno słyszałeś. Lucek trąbi o tym na prawo i lewo, jakby mi co najmniej drugi fiut wyrósł na głowie.

– No, tobie mógłby...

Ugryzł się w język. Psychiczni pokroju Krzyckiego są nadwrażliwi. Po drugiej stronie rozległ się śmiech.

– Dzięki za rozmowę, Ryśku. Powodzenia w śledztwie. Trzymaj się, cześć.

I Krzycki się rozłączył. Przez następne pół godziny Hadczuk próbował oddzwonić, ale numer był poza zasięgiem.

Tak jak Andrzej Krzycki.

Hol budynku przy ulicy Mogilskiej 109 pachniał środkami czyszczącymi, jakby go wypucowali specjalnie na przyjęcie dzisiejszego gościa. Wolał tak o sobie myśleć – gość – dlatego podszedł do funkcjonariusza dyżurnego i spytał grzecznie o komisarza Lucjana Bałysia. Mistyfikacja na niewiele się zdała, ponieważ za kontuarem siedział sierżant Markielak, który znał Krzyckiego aż za dobrze. Swego czasu został nasadzony tu przez swojego stryja, starego Rachwalskiego, i był z tego powodu niesłychanie pewny

siebie, dopóki nie natrafił na Andrzeja. Lekcję zapamiętał sumiennie i na jego widok zerwał się z krzesła, wykrzykując:

– Dzień dobry, panie inspektorze! Wszyscy się cieszymy!

– Z czego, Markielak, się cieszyacie?

– No, z pańskiego powrotu, panie inspektorze.

– Jestem tu z okazjonalną wizytą i tego się trzymamy, zgoda?

– Jak pan sobie życzy, panie inspektorze.

– Byłeś na manifestacji? – spytał surowo Krzycki.

– A jakże! Cały dzień staliśmy pod sądem.

– I co, obroniłeś konstytucję?

– Że co?

– Nieważne. Powiedz komisarzowi Bałysiowi, że wpadnę później, i zamelduj mnie do komendanta. Albo lepiej nie. Nikomu nic nie mów.

Markielak wstawał i siadał, niepewny, co ma robić.

– Podobno się ożeniłeś? Gratuluję.

– Dziękuję, panie inspektorze! – odkrzyknął Markielak, który z ulgą się rozpromienił i wyciągnął rękę z błyszczącą obrączką. – A w czerwcu zostanę ojcem. Będzie syn, Sebastian.

– Super – pochwalił go Krzycki i ruszył ku schodom, przewracając oczami.

Wyobraził sobie kolejne pokolenie Markielaków, za dwadzieścia pięć lat stojące z pałami przed sądem i broniące wymiaru sprawiedliwości przed konstytucją. Nie, za ćwierć wieku to już będzie pozamiatane. Do gołej ziemi. A niepodległości będziemy wypatrywać przez lunety na horyzoncie, wspinając się na drzewa.

Komendant Byczkiewicz na jego widok zachował powagę urzędu i nie zerwał się z fotela z wyciągniętą łopatą dłoni. Ze skupioną miną wskazał krzesło i poprosił o chwilę cierpliwości, ponieważ musi coś dokończyć na komputerze. Andrzej był pewien, że zamyka Allegro albo Olxa, gdzie

przeglądał najnowsze odżywki do mięśni, ale grzecznie usiadł i poczekał na odegranie scenki do końca.

– Słuchaj, Andrzej, jest taka sprawa. Dzwonili do mnie ze Słupska, mają tam trochę pokręconą historię z morderstwem. Podobno jakoś to się wiąże z tymi twoimi...

– Lucek.

– Co?

– Wyślij Lucka. Samochodem. Zabiorę się na stopa.

– Nie, Andrzejku. – Byczkiewicz pokręcił głową tak stanowczo, że Andrzej miał okazję obejrzeć jego łysą potylicę z obu stron. – Tak nie będziemy grać. Najpierw wracasz do służby.

Zamaszystym ruchem otworzył szufladę i wyjął jego odznakę policyjną, identyfikator oraz glocka w płytkiej policyjnej kaburze. Przygotował się na spotkanie. Walnął tym wszystkim o blat przed Andrzejem.

– Bierzesz w pakiecie razem ze sprawą albo nie ma rozmowy. Lucek tu zostaje. Już raz pojechał i skończyło się katastrofą. Poza tym ktoś musi kierować całym tym burde... waszym wydziałem. Zaraz dostanę po dupie za to, że od pół roku nie obsadziłem stanowiska kierownika. Jesteś mi potrzebny, obaj z Luckiem jesteście mi cholernie potrzebni, wydział jest w rozsypce, a ja nie mam ludzi. Zresztą takich ludzi nigdzie nie znajdę. A wy sobie gracie ze mną w kulki. Nie, koniec zabawy. Albo-albo.

Znowu sięgnął do szuflady i tym razem wyjął kartkę z urzędowym nagłówkiem i pieczętkami. Podsunął mu pod nos.

– Podpisz to.

Andrzej zerknął na kartkę, odznakę i broń. Objęcie funkcji naczelnika Wydziału Kryminalnego od następnego dnia roboczego. Proszę, proszę, Dariusz Byczkiewicz przygotował sobie nie tylko odpowiednie utensylia, ale i stosowną mówkę. Nawet całkiem niezłą.

– Daruś, piękna przemowa, doceniam i powiem ci, że w sprzyjających okolicznościach mogła zadziałać. Ale nic z tego. Dajesz mi Lucka

i samochód, w przeciwnym razie wychodzę i więcej się nie widzimy. Albo albo.

– Daję ci Lucka i samochód, ale bierzesz odznakę i broń. I obejmujesz stanowisko.

Andrzej spojrzał w bok.

– Dajesz mi Lucka, samochód i broń, bez odznaki. I bez stanowiska.

Byczkiewicz spojrzał w bok.

– Bierzesz Lucka, samochód, odznakę i broń. Stanowisko po powrocie.

Andrzej uśmiechnął się pod nosem. Jak to było w tej piosence Młynarskiego? „Trzeba wiedzieć, kiedy wstać i wyjść”.

– Nie biorę niczego, komendancie. Tak się przekomarzam, żebyś miał trochę rozrywki, a nie tylko ganiał ludzi na manifestacjach. Lucek może sam pojechać do Słupska, ma odznakę, broń, samochód i stanowisko, niczego nie musisz negocjować. Wyślij go. Ja idę nad Wisłę. Gdzieś mi się Lala zapodziała...

Spojrzał na płatki śniegu wirujące za oknem nad Mogiłą. Gdy po raz ostatni gładził płaski łeb Lali, było sierpniowe popołudnie. To już prawie pół roku. Przypomniał sobie, kiedy pierwszy raz przyszedł tu na rozmowę z ówczesnym komendantem Tadeuszem Opalką. Lucek przyprowadził Lalę, a potem zaczął błaznować, jak to jej poprzedni właściciel, nędzny typek z gangu starego Rachwałskiego, sam się przewrócił i nabił na nóż. Lucek rzucił wtedy: „Cześć, lala, jak ty się właściwie nazywasz?”, i tak już zostało. Lala.

Prawie pięć lat temu.

Na wiadukcie zadudnił pociąg towarowy, a jakże. Bez niego nie byłoby gabinetowej narady. Krzycki z namaszczaniem odsunął krzesło, wstał i ruszył do wyjścia. Jego twarz przybrała wyraz filozoficznego zamyślenia. To zawsze działało na Dariusza Byczkiewicza.

Byczkiewicz nie wytrzymał i pobiegł za nim. Pociągnął go z powrotem na krzesło.

– Andrzej, w mordę jeża, nie mogę tego tak zostawić! Jesteśmy przyjaciółmi czy nie? Sam powiedz!

– Jesteśmy.

– No właśnie. A przyjaciołom się takich rzeczy nie robi. Słuchaj, mam tu niezły rozpiardol, ministerstwo naciska na wspieranie dobrej zmiany, chłopaki się buntują, że nie będą pałować narodu, który broni praworządności, bo oni też powinni, i tak dalej. Mówię ci, szału od tego dostają. Telefony i telefony. A ja nie chcę, żeby z Mogilskiej zrobiła się partyjna i kościelna przybudówka.

– A co?

– Normalna policja. Z porządnymi ludźmi i dobrymi fachowcami. A ty jesteś najlepszy. Andrzej, proszę cię, zostań. Jak nie chcesz tego zrobić dla mnie, zrób dla rodziny.

– Dorota też z tobą rozmawiała?

Komendant Byczkiewicz chrząknął, przejechał dłonią po łysinie i wytarł ją o tyłek.

– A co myślałeś? Wszyscy.

– Moje perypetie psychiatryczne ci nie przeszkadzają? O ile się orientuję, załącznik ze szpitala Babińskiego czyni w dossier policjanta sporą komplikację.

Byczkiewicz spojrział w bok.

– Nie ma żadnego załącznika. Jesteś najbardziej normalnym oficerem policji w całej Małopolsce. Czysty jak lza.

– Sam widzisz, jak to wygląda – odparł Andrzej. – Tu coś znika bez śladu, tam wyskakuje jak diabeł z pudełka, płynna dynamika. Między innymi z tego właśnie powodu nie czuję się powołany. Mierzi mnie. Trochę jakbyś mnie namawiał do nurkowania w szambie. Nie, Darku, nie chcę.

Tym razem komendanta całkiem poniosło.

– Kurwa mać! Przecież to jest jakaś paranoja! O co tobie, chłopie, w ogóle chodzi? Co ci się wyroiło we łbie? Jeszcze minuta tej gadki i wywalę cię na zbity pysk z takim wilczym biletem, że ci pół kieszeni

wpierdoli, zanim dojdiesz do domu. „Nie czuję się powołany”, szlag mnie jasny trafi!

Nie wiadomo, czym by się ta oficerska wymiana uprzejmości skończyła, gdyby na biurku nie zaterkotał telefon. Byczkiewicz porwał go w wielkie łapsko jak szczeniaka za kark i przywalił nim sobie w ucho.

– Słucham – warknął.

Po chwili jego twarz złagodniała.

– Do ciebie.

Krzycki zaklął w duchu. Trzeba było wyjść od razu. Teraz będzie rozmiękczenie twardego.

Zgodnie z przewidywaniami po drugiej stronie usłyszał Ryszarda Hadczuka.

– Cześć, Andrzej. Wiem, że chcesz odłożyć, więc szybko mówię: ona tu jest. Chce z tobą rozmawiać.

Nie zdążył zaprotestować, ponieważ w sekundę później do jego uszu dotarł głos Heike Liebner.

– Pan jest mi coś dłużny – powiedziała po angielsku.

Spokojna, niewzruszona, elegancka Heike Liebner. Starszą panią z Hanoweru poznał ostatniego lata, kiedy szukał tropów mogących go doprowadzić do bunkra Artura Kały, gdzie więziony był Lucek. Potomkini pomorskich Niemców z Grębówka miała doskonałe rozeznanie w topografii okolicy, ponieważ od lat usiłowała dociec, co stało się z jej siostrą Gerdą, która w czterdziestym piątym roku nie uciekła wraz z całą rodziną, lecz została we wsi. Starszej pani za pomocnika służył kuzyn, Otto Stubenauer. Dysponował starymi mapami wojskowymi tamtych terenów i dał Andrzejowi dokładne namiary na Kałę. Istotnie, oboje bardzo mu pomogli i na odjazdne złożył kurtuazyjną obietnicę, że mogą na niego liczyć.

Kurtuazja. Tak, do diabła, obiecał jej pomoc.

– Nie mają żadnych dowodów, pani Liebner. Wkrótce oczyszczą panią z zarzutów i wypuszczą na wolność. To rutynowe zadanie dla tamtejszej policji, a komisarz Ryszard Hadczuk z pewnością zadba o uczciwe

śledztwo. Nie ma się czego obawiać. Naprawdę. Poza tym, pani Liebner, ja już nie jestem policjantem.

Z tamtej strony doleciał go krótki, chrapliwy śmiech.

– To niemożliwe. Pan nie może nie być policjantem. A co do śledztwa, to widzi pan, jest drobny problem.

– Jaki?

– Ja ją zabiłam.

Tego się nie spodziewał. Byczkiewicz, który prawdopodobnie sam zainicjował ten telefon dzwoniący podczas wizyty Krzyckiego, z napięciem obserwował jego twarz. Musiał coś dostrzec, ponieważ wyraz zniechęcenia na jego twarzy łagodniał z każdą minutą.

– Dlaczego? – spytał Andrzej.

– Chyba nie sądzi pan, że będziemy o tym paplać przez policyjny telefon. Chciał coś odpowiedzieć, ale nie dała mu szansy.

– Czekam.

Wydała rozkaz, jak prawdziwa Niemka, i odłożyła słuchawkę.

Miała rację, to nie była rozmowa na telefon. Ale dlaczego się przyznała? Chyba nie przypuszczała, że w słupek komendzie nie ma nikogo mówiącego po angielsku. Przyznała się wprost, niemal ostentacyjnie, żeby odwrócić uwagę od innych tropów. Wiedziała coś, o czym nie powinna się dowiedzieć policja, ale powinien się dowiedzieć on. Chciała mu to przekazać osobiście. Miała plan. Specjalnie dała się zamknąć, żeby zmylić słupek śledczych i utorować drogę sobie oraz swoim pomocnikom. Czyli jemu, Andrzejowi Krzyckiemu.

Nie rozumiał tylko, czemu Heike Liebner dała się zamknąć w areszcie. Usłyszał prostą historię, a w jej tle co najmniej dwie następne. To mu wystarczyło.

Podszedł do stołu i zgarnął do plecaka wszystko oprócz urzędowego papieru.

– Lucek, samochód, odznaka, identyfikator i broń. O stanowisku pogadamy po powrocie. I jeszcze jedno: nikt ma nie wiedzieć, rozumiesz?

Nikt.

Klepnął Byczkiewicza w ramię i wyszedł, zanim tamten zdążył dokończyć sakramentalną kwestię, że mają się meldować i nie robić bałaganu. To ostatnie było jak wołanie przez papierową trąbkę do meteorytów, żeby nie spadały.

8

Krocząc korytarzem tylnego skrzydła budynku, gdzie mieściło się królestwo technika policyjnego, podkomisarza Jerzego Gargulskiego, Andrzej obracał w myślach nowe kamyczki z układanki. Heike Liebner przyznała się do zamordowania Zofii Ploh, matki upośledzonego Maciusia Ploha. Tego samego, który odwiedził go wczoraj i opowiadał swoje bajki o Białej Damie. Duch przyszedł się poskarżyć, że Niemka zabiła mu mamę.

Krzycki, nie pij tyle.

Ale ja nie piję.

Nie? To skąd te zwidy?

Heike Liebner nie zamordowała Zofii Ploh, to by nie miało sensu. Duch musiał o tym wiedzieć, bo one wiedzą wszystko i nie potrzebują kłamać. Powinien mu powiedzieć, kto jest prawdziwym mordercą. Nie powiedział. Wspominał o „brudnym cieniu”, a pod to można podstawić literalnie wszystko.

Hadczyk dzwonił z toalety. Nie chciał się zdradzać, że namawia inspektora Krzyckiego do przyjazdu na miejsce zbrodni. Bał się swoich kolegów z komendy, czyli zakładał, że znowu gdzieś w pobliżu Słupska interesy gangsterskie krzyżują się z policyjnymi. Nakłaniał go do przyjazdu i skrzętnie ukrywał tę informację przed swoimi.

Co takiego wiedziała Zofia Ploh, że zginęła? I kim ona w ogóle była?

Potknął się na odwiniętej wykładzinie w załomie korytarza i zaklął brzydko. Nie na wykładzinę. Na całą tę zapaćkaną pomorską historię, którą z rozmachem odrzucał od siebie przez ostatnie miesiące i która właśnie

wróciła jak bumerang, waląc go prosto w czoło. Pamiętał ostatnią rozmowę z Płohową, niedługo po śmierci syna. Jej zaczerwienione oczy nerwowo rozglądały się wokół, jakby Maciuś ciągle żył i kręcił się w pobliżu, gotów wywołać nowy kłopot. Chciała koniecznie coś opowiedzieć czy pokazać, nie pamiętał, i umawiali się na spotkanie. Teraz już było po sprawie.

Ciekawe, co łączyło Heike Liebner z Zofią Płohową.

Zapukał i wszedł. W przeciwieństwie do Markielaka i Byczkiewicza Jerzy Gargulski bynajmniej nie czekał na niego z napięciem. Kręcił się między biurem a niewielkim podręcznym laboratorium na zapleczu i na widok Andrzeja zaledwie wygiął prawą dłoń do góry, co miało zastąpić: „Cześć, dobrze cię widzieć, jak leci, usiądź na chwilę, zaraz skończę”. Andrzej usiadł i czekał. Gargulski, niski i łysawy mruk, o którym mawiano, że przegrałby konkurs krasomówczy nawet z karpem, niespiesznie gromadził na biurku wydruki z komputera. Kiedy skończył i usiadł naprzeciwko niego, Andrzej chciał się przywitać, ponieważ go lubił i cenił jego zimny profesjonalizm. Nie zdążył.

– Cześć, Jurek...

– Przyjrzyj się – przerwał mu Gargulski, jakby siedzieli razem od godziny i już się do woli nagadali. Obrócił w jego stronę ekran komputera. Na cyfrowej fotografii widniała rana cięta kobiecej klatki piersiowej. Otwór był wąski i krótki, wyglądał jak czerwona kreska zrobiona flamastrem na skórze. Nim Andrzej zdołał się przyjrzeć, szef techników przełączył obraz na następny.

– Teraz tu.

Rana była podobnej wielkości, ale nieco szersza i o poszarpanych brzegach. Przypominała krechę flamastrem, którą ktoś parę razy poprawiał roztrzęsioną ręką.

– I tu – mruknął Jurek Gargulski, znowu zmieniając obraz.

Na trzecim zdjęciu czerwony otwór w piersi był równie szeroki i nieprecyzyjny, z tym że dłuższy i – jak się Andrzej domyślał – głębszy. Uniósł pytająco brwi.

– Różnice? – spytał technik.

Krzycki sięgnął po klawiaturę i cofnął do poprzednich fotografii. Przyjrzał im się po kolei jeszcze raz, analizując kąt ułożenia ostrza przy uderzeniu i szerokość rozchylenia płatów skóry. Do noży miał atawistyczną, pierwotną słabość. Lubił i umiał rzucać nożem, bawił się tym od dzieciństwa. Lucek nazywał to mentalnością nożowniczą.

Wyliczył na palcach.

– Pierwszą ranę zadał profesjonalista, drugą i trzecią amatorzy. Drugie uderzenie jest wyraźnie słabsze od trzeciego, więc obstawiałbym kobietę. Trzecie zrobił mężczyzna, ale nieobeznany z nożem. Pierwsze ostrze jest też węższe od dwóch następnych. Specjalny nóż, przeznaczony do wbijania prosto w serce. Z czego ten egzamin?

– Które jest Zofii Ploh?

Krzycki zbaraniał.

– Chcesz powiedzieć, Jurek, że... Ale skąd wiesz o Plohowej?

Wydęciem warg Gargulski zasugerował, by pan inspektor zechciał nie robić z siebie większego dumnia, niż jest. Obrócił ekran z powrotem ku sobie i postukał długopisem w górny róg obrazka numer trzy, gdzie widniały drobniutkie symbole.

– Wydobyłeś je ze Słupska? Od tego, jak mu tam było, Grzywka, Grzebyk...

– Grzywa.

Kamil Grzywa był młodym technikiem w komendzie słupskiej, który za namową przełożonego fabrykował dowody przeciwko Luckowi Bałysiowi. O czym ten do dzisiaj nie wiedział i to z pewnością było wielkie szczęście dla aspiranta Grzywy. Gargulski, który z kolei wiedział wszystko, potrafił ten fakt umiejętnie wykorzystać.

– Chodzi o to, że Zofię Ploh zamordował silny i głupi facet. Dobrze zrozumiałem? Mogłem się domyślić, bo wiem, że to nie Heike Liebner. Masz coś jeszcze?

Jurek skinął głową i pokazał następną serię zdjęć. Ciało Plohowej leżało na podłodze kuchni, którą Andrzej dobrze pamiętał, ponieważ to tam przy stole rozmawiał z Maciusiem Plohem za pomocą rąk. Z ułożenia kończyn i braku obtarć można było wnioskować, że ofiara nie stawiała oporu. Klasyka.

– Plohowa знаła mordercę, prawda?

Gargulski znowu ograniczył się do skinięcia głową i pokazał następne zdjęcie. Na dużym zbliżeniu widać było drobinki ziemi i roślin we włosach na głowie.

– Zginęła gdzie indziej, w otwartym terenie – dedukował Krzycki półgłosem, podczas gdy technik przełączał kolejne zdjęcia. – Zima jest bezśnieżna na Pomorzu, powinny być ślady na polu. Te listki to z czego?

– Plewy kukurydzy – mruknął Jurek.

Andrzej natychmiast przypomniał sobie swój pościg za Ulą Miłęcką w kukurydzianej dżungli pod Grębówkiem. A zaraz potem śmierć Maciusia Ploha, który schował się pod kapotą polnego stracha na wróble i tam go dosięgła kula zdezorientowanego policjanta.

– Po co transportował zwłoki z pola do domu? Ponieważ nie chciał, żeby morderstwo kojarzono z miejscem, gdzie zostało popełnione. Mógł ją przeciągnąć gdzie indziej, gdziekolwiek. Dlaczego właśnie do domu? Bo wiedział, że ma się spotkać z Heike Liebner, i na nią chciał skierować policyjny trop. A to znaczy, że ona zna nazwisko mordercy. I jesteśmy w domu.

Jurek Gargulski kiwał głową nad stołem jak profesor wysłuchujący odpowiedzi ucznia. Kiedy Andrzej skończył, podsunął mu wydruki zdjęć i parę uwag skreślonych odręcznie. Podrapał się w żuchwę, zmarszczył nos i spytał:

– Pojedziesz?

Ach tak, więc i on należy do spisku.

– Nie. Wystarczy wysłać to wszystko Hadczukowi i poprosić, żeby skłonił Heike Liebner do mówienia. Dla mnie szkoda fatygi. Nad morze?

W zimie?

– Nie wystarczy – odezwał się Gargulski, po czym głośno nabrał powietrza w płuca na znak, że będzie mówił dłużej. – Prostack zabijał z planem. Ktoś mu ten plan podsunął.

– Kto? – wyrwało się Andrzejowi.

– Nie wiem. Ale jakoś nigdy nie miałem zaufania do Niemców.

9

W policyjnej kantine po drugiej stronie wewnętrznego dziedzińca komendy czekał już na niego Tadeusz Opałka. Były szef Wydziału Kryminalnego sprawiał wrażenie człowieka uszczęśliwionego permanentnym stanem emerytalnym lub całkiem przeciwnie – zachwyconego faktem, że na chwilę mógł się z niego wyrwać i wrócić na stare śmieci. Szczątkowy wieniec włosów dookoła połyskującej łysiny całkiem już zsiwiał i wyglądał jak niespłukane resztki szamponu po porannym prysznicu. Zsunięte na koniec nosa złote okulary sugerowały intelektualistę. Uśmiechał się jak zwycięzca w teleturnieju. Na widok Andrzeja zerwał się z miejsca, głośno szurając po kafelkach metalowym krzesłem. Uściskali się serdecznie.

– Dzięki, że przyszedłeś – zaczął Opałka. I natychmiast dodał: – Wiem, że nie było łatwo.

– Wszyscy wiedzą – odparł. – I w kółko o tym gadają. Jak tam emerytura, bardzo boli?

– Nie bardzo. Chodzę na zakupy, jeżdżę na weekendy do Rabki i siedzę przed telewizorem, robiąc dyplom z seriali. Oglądam wszystkie oprócz kryminalnych.

– Nie lubisz, jak zabijają, co?

– Nie lubię, jak przekręcają. Nic się nie zgadza, wszystko fantastyka i mniemanologia.

– Jakby się wszystko zgadzało, bylibyśmy gwiazdoramii filmowymi.

– No, ty prawie jesteś. Widziałem, jak brylowałeś przed kamerami w Słupsku. A tak przy okazji: wybierasz się?

– Tadeuszu, ja cię proszę – jęknął Krzycki. – Chociaż ty się zlituj.

– W porządku – odparł z powagą emerytowany inspektor i skinął ręką na pana Adasia, który dyskretnie czuwał za kontuarem. Prowadził kantynę od niepamiętnych czasów i doskonale się orientował, kiedy ma podejść natychmiast, a kiedy czekać na wezwanie. Widząc uniesioną rękę, szybko przyniósł dwie kawy, czarną i białą z cukrem dla Krzyckiego, jak zwykle. Andrzej wiedział, że będzie smakować płynem na krety z dodatkiem proszku do pieczenia. Jak zwykle.

– Nie będę cię męczył, każdy ma swój rozum – przeszedł Opałka do rzeczy, kiedy skończyli wymieniać uprzejmości. – Wiem, co cię gryzie. Mnie też gryzło. Całe lata pracowałem pod komendą Rachwalskiego, o którym wiedziałem to i owo. Nieraz dawałem dupy jako oficer policji.

– Bez przesady.

– Tak, tak. I powiem ci, nie bolało mnie, że idę na kompromisy z własnym sumieniem. Nigdy nie uważałem się za człowieka nieskazitelnego. Nie bolało mnie też specjalnie naruszanie porządku prawnego. Nie cierpiałem z powodu niesprawiedliwych wyroków i aresztowania niewinnych, bo takie rzeczy dzieją się zawsze i w każdym systemie. Wiesz, co mnie najbardziej bolało? Że moi podwładni, młodzi chłopcy w nowiutkich mundurach, uczą się tego wszystkiego ode mnie. Przychodzą świeżutcy i naiwni jak dziewczynki do pensjonatu, a ja ich demoralizuję. Pokazuję, że policja to jeden wielki syf i im wcześniej się z tym faktem oswoją, tym prędzej awansują. Nie krzyw się, Andrzej. Jestem stary i wolno mi prawić morały. Człowieka ocenia się po czynach, nie po słowach. Swoje zrobiłem i zdaje się, że kiedyś mi za to nawet dziękowałeś. Ale teraz chcę gadać. Jak mi idzie?

– Jak streszczanie serialu kryminalnego.

– Niech ci będzie. No więc jeszcze trochę pogłędzę. Andrzej, swoje odbębniłeś. Wyżej tyłka nie podskoczysz i pogódź się z tym. Wziąłeś z policji, co mogłeś, a teraz przyszła pora, żebyś oddał. Lucek patrzy

w ciebie jak sroka w gnat, zrobiłeś z niego porządnego policjanta i nie zmarnuj chłopaka egzystencjalnymi pierdołami.

– Dzisiejsza policja to nie jest problem egzystencjalny, Tadeuszu.

– Wiem, polityczny. I co z tego? Zawsze był. Mamy czekać, aż się zrobi niewinna jak aniołek, i wtedy wrócić do pracy? Nie wierzę, żebyś tak myślał.

– Parszywieje od środka.

– Mylisz się. Parszywieje z zewnątrz, manipulowana przez rządzących, bo potrzebują jej do partyjnych interesów. Zawsze tak było. Od środka policja jest taka jak policjanci, którzy ją tworzą. Taka jak ty. Jeśli odejdziesz, miej pretensje tylko do siebie.

Siorbnął kawy, skrzywił się i poprosił pana Adasia o szklanekę wody. Wyciągnął z kieszeni blister z błękitnymi tabletkami, połknął jedną i popił wodą. Andrzej przyglądał mu się z zaciekawieniem. Choć pracowali ze sobą przez wiele lat, nigdy się specjalnie nie lubili i Opałka nigdy do niego takim językiem nie mówił. Tak zwaną odpowiedzialność zawodową traktował w swojej karierze bardzo rozmaicie i nieraz dochodziło między nimi do spięć na tym tle. Dopiero w ostatnim roku przed emeryturą zrobił się inny, bardziej zasadniczy.

– To wszystko, co mi chciałeś powiedzieć?

– Nie. Jest jeszcze sprawa tej Niemki, z historią w tle. Kiedyś ktoś mi powiedział mądrą śledczą rzecz, że czasem ważniejsze od szukania sprawcy jest znalezienie ofiary. I drugą, że jak nie ma tu, to cofnij się i szukaj tam. Spokojnie, zanim prychniesz, pomyśl nad tym w drodze na Pomorze.

– Nie jadę na Pomorze.

– Jedziesz.

– To wiesz więcej ode mnie.

– Dlatego pozwalam sobie dawać ci rady. Cofnij się.

Wymienili jeszcze parę zdawkowych uwag i dopiwszy kawę, Andrzej pożegnał się ze swoim byłym szefem. Wychodząc z budynku przy

Mogilskiej, pomyślał sobie, że jego samotnicza izolacja jest coraz bardziej zaludniona.

10

Kolacja u Bałysiów okazała się fetą na cześć Wielkiej Orkiestry Świątecznego Powrotu, która dopięła swego i przywróciła inspektora Krzyckiego małopolskiej policji. Zgodnie z nakazem Andrzeja, by rzecz zachować w absolutnej tajemnicy, wszyscy zainteresowani już wiedzieli. Na jego próby protestu odpowiadali skwapliwym potakiwaniem, że oczywiście nic jeszcze nie wiadomo i nie chwalmy dnia przed zachodem słońca. Ale już chwalili. Po małym mieszkanku na ulicy Pszona zarówno gospodarze, czyli Lucek i jego żona Dominika, jak i Dorota Rachwalska poruszali się tanecznym krokiem ludzi w pełni usatysfakcjonowanych. Wymieniali swobodnie grzeczności, plotkowali rozkosznie i szczerzyli do siebie zęby. Andrzej czuł się, jakby zabłądził na okładkę folderu towarzystwa ubezpieczeniowego.

Były również inne powroty. U Lucka oprócz Słynnego Zakręconego Loczka powróciły pasje kulinarne. Dla kobiet przygotował lekkie kotleciki sojowe w panierce z suszonej trawy morskiej i sałatkę z krewetkami. Teraz kończył przyrządzać dla Andrzeja coś „specjalnie zdrowego”, jak się wyraził. Rozwinął przy tym skomplikowaną teorię kulinarno-psychologiczną na temat związku pomiędzy tym, co ludzie jedzą, a tym, jak myślą.

– Ludzki mózg ma budowę niezwykle złożoną i delikatną. Do jego prawidłowego funkcjonowania potrzeba składników tak różnorodnych i tak precyzyjnie dobranych, że jakiegokolwiek niedobory prowadzą do naruszenia psychofizycznej równowagi. Co z kolei – wywodził, układając w skupieniu tajemniczą potrawę – skutkuje różnymi zaburzeniami w sferach zarówno intelektualnych, jak i emocjonalnych. Na przykład chwiejną decyzyjnością, nawrotami myślowych obsesji, bezmyślnością lub przeciwnie, nadpobudliwym snuciem teorii. Wielu ludzi całe życie je to samo: dwie

pajdy chleba z kiełbasą i serem na śniadanie i kolację, pomidorową i schabowy z ziemniakami na obiad, a przez to wpada w stupor intelektualny. Przez pół wieku dorosłości myślą i czują to samo, tylko coraz słabiej. Albo ktoś na przykład odstawi całkowicie alkohol, je byle co i wkrótce przestaje przychodzić do pracy. Łazi na spacerzy z nieżywym psem i wszędzie widzi spiski. Usiłuje dorabiać do tego filozoficzne uzasadnienia, podczas gdy problem tkwi, dajmy na to, w niedoborze żelaza. Albo kwasu omega trzy.

– Kogo masz na myśli? – spytał Andrzej.

– Nikogo konkretnego – odparł natychmiast Lucek. – Obrazowanie hipotetyczne. Ilustratywność pozaintencjonalna.

– W ogóle nie zauważyliśmy związku – potwierdziła Dorota z promiennym uśmiechem. Od czterdziestu ośmiu godzin była innym człowiekiem.

– Ale to działa również w drugą stronę – ciągnął Lucek odwrócony plecami do stołu i pochylony nad tajemniczym daniem. – Ludzie pragną jeść to, czego potrzebują. Więcej, chcą widzieć na talerzu przed sobą to, czego potrzebują. Dlatego prostak, przyzwyczajony do schabowego z ziemniakami, na widok wasabi albo muli doznaje szoku porównywalnego ze wstrząsem anafilaktycznym. Stupor jest dwukierunkowy.

– Nic nie rozumiem – zakomunikowała Dorota, biorąc z misy listek sałaty. – I jakoś mi z tym dobrze.

– Lucek jest znacznie lepszy w praktyce niż w teorii – dodała Dominika. – Kiedyś usiłował mi wytłumaczyć pewną pozycję...

Wszyscy jak na komendę zaczęli chrząkać i Dominika umilkła z uśmiechem na twarzy. Lucek odwrócił się od blatu i z uroczystą miną postawił przed Andrzejem błękitny talerz z przygotowanym daniem. Była to bryłowata substancja w kolorze brązowym z kawałkami czegoś żółtego, czerwonego i zielonego oraz doklejonymi z boku kulkami ziemniaczanego purée. Gdzieś wśród tego majaczyła duszona cebula i półprzezroczyste strzępy o nierozpoznanej proveniencji, a całość okalały kremowe krople śmietanowej polewy.

– Co to jest? – spytał Andrzej ostrożnie. Przypominało kupę z wetkniętymi w nią zozolami.

– Wątróbka cieleca z ananaseм i malinami. Oraz liśćmi buraka i mięty. Ziemniaki, sos waniliowy z odrobiną syropu.

– Wygląda... sugestywnie – wybąkał Krzycki drżącym głoseм. – Nigdy czegoś takiego nie jadłem...

– No właśnie! – podchwycił Lucek. – Stąd wszystkie problemy. Notoryczny niedobór składników. Po zjedzeniu ujrzysz świat w pogodniejszych barwach. Mówię ci, wszystko tkwi w jedzeniu.

– I w piciu – dodała Dorota.

– To policzmy te barwy – zaszcebiotała Dominika. – Brązowa, czerwona, żółta, zielona, różowa, niebieska... Wychodzi tęcza!

– Wątróbka LGBT – dorzuciła Dorota.

– Tęczowa zaraza – skwitował Andrzej, nabijając na widelec malinę.

Objadł najpierw owoce, zagryzając zielonymi listkami, i długo kroił pierwszy kęs wątróbki, nim zdecydował się wziąć go do ust. Kiedy zaczął żuć, wszyscy nagle znieruchomieli z utkwionymi w niego oczami. Jadł powoli, z namaszczeniem, jak zawodowy degustator francuskiej restauracji. Przełknął i odkroił następny kawałek. Napięcie rosło.

– Wiesz, Lucek, to jest... naprawdę... Dobiorę jeszcze ziemniaków.

Dobrał i znowu żuł, popatrując przed siebie w dal, jakby nowe mikroelementy w mózgu odsłoniły to, co dotąd pozostawało zakryte.

– Smakuje ci? – spytała Dorota niemal szeptem.

– Tu jest jakby... coś dodane.

– No ale dobre? – nie wytrzymała Dominika.

– Gdybym miał umieścić na skali intymnych doznań – powiedział Krzycki tonem konfesyjnym – powinienem sięgnąć daleko wstecz, do pacholeństwa mego i wakacji u dziadków, do drewnianego domu ze stodołą i stajnią, za którą wznosiła się sterta...

– Wiedziałem! – wykrzyknął Lucek. – Rozumiecie teraz? O to chodzi w dobrej kuchni! Przenosi w najszcześniejsze rejony, do arkadii dzieciństwa, wyzwala najskrytsze, zapomniane drgania duszy, przywraca homeostazę...

– Jeszcze purée – zażądał Andrzej. Po kilku kęsach stwierdził, że z dużą ilością gniecionych ziemniaków jakoś łatwiej mu się to coś przełyka. Pił również dużo wody. Kiedy doznał końca, spłynęła nań taka ulga, że i on zaczął szczerzyć zęby do współbiedniaków. Z deserem poszło znacznie głódziej, ponieważ składała się na niego kolejna odsłona Tygodnia Szarlotki, w pieczeniu której zresztą Lucek był mistrzem.

– Słuchajcie, dziewczyny – zaczął Andrzej, kiedy po kolacji zalegli na szerokiej narożnej kanapie. Panowie pili espresso, a Dorota namawiała Dominikę na pociągnięcie z sziszy białego dymku o słodkawym zapachu. – Jest taka sprawa...

– Możecie jechać – stwierdziła Dorota. – Mogą, nie?

Dominika pokiwała głową i zakasłała z zażawionymi oczami.

– Nie wiecie jeszcze, o czym chciałem powiedzieć.

– Wiemy, nie?

Spojrzały na siebie i przytaknęły z przekonaniem.

Andrzej chciał zaprotestować. Krzyknąć na cały głos, że ma dosyć, że wszyscy wtykają nos w nie swoje sprawy, podczas gdy on chce po prostu trochę swobody. A wątróbka była do dupy, chce mu się rzygać i w ogóle żadne nowe horyzonty się przed nim nie otwały. Że nigdzie nie pojedzie i niech się wszyscy wypchają. Nie krzyknął. Znowu usłyszał słowa matki: „Daj sobie spokój, synku”. I poradę Izy o kłamstwie jako najlepszej z prawd. I głos Maciusia Płoha, że mama też płacze.

Chyba rzeczywiście już sam nie wiedział, czego chce.

– Chodź, Lucek – skinął głową na przyjaciela. – Wszystko wiedzą i do fajczenia sziszy z mielonymi landrynkami nas nie potrzebują. Musimy się naradzić.

Wyszli do drugiego pokoju. Za oknem czarny wieczór żegnał ostatni dzień stycznia solidnym mrozem.

11

– Masz?

Nie odpowiedział od razu. Potupał brudnymi butami na betonowej płycie przed wejściem do obory, resztki błota starł o ostrą krawędź. Na zewnątrz szarzało, wstawał brudny dzień. Odwiesił kurtkę na gwóźdź. Przyglądała się ze spokojem tym manewrom i czekała na odpowiedź. Wiedziała, że odpowie twierdząco.

– Mam – powiedział, nie patrząc na nią. Zawarł drzwi i zabrał się do karmienia zwierząt. Najpierw narzucił rękami siana do żłobu, potem rozciął sznurek na sprasowanej słomie i zaczął ją roztrząsać widłami.

– Pokaż.

Przeniósł słomę pod krowi zadek i starannie rozścielił. Zwierzę nie zwracało uwagi na niego, żując z łbem wciśniętym w kłęb siana.

– Schowałem.

Założyła ręce na piersi i przyglądała mu się z zainteresowaniem. Zdjął sweter i w samej koszuli nabijał słomę na widły z determinacją i złością, jakby chciał zabić jeszcze raz te martwe, zasuszone źdźbła. Przebijał stertę na wylot i szarpał nią w górę bez opamiętania. Kolce wideł zgrzytały o sufit. Był nabuzowany, wyczuwała to. Pomyślała, że na pewno ma erekcję.

Rozchyliła bluzkę na piersi i podeszła do niego od tyłu. Objęła go w pasie, lewą ręką sięgnęła do rozporka. Był twardy.

– O, jak ci stanął – szepnęła.

Odepchnął ją ramieniem z wielką siłą. Poleciała do tyłu i uderzyła plecami o betonową ścianę. Na chwilę odebrało jej oddech, ale nie dała za wygraną. Znieruchomiał. Z widłami w ręce i głupotą w oczach patrzył na

nią – przestraszony, zły, niepewny, wściekły. Jej twarz wykrzywiła się w uśmiechu.

– Chodź, koniu, ulżyj sobie – powiedziała niskim głosem.

Patrząc mu w prosto w oczy, sięgnęła pod spódnicę i ściągnęła majtki, tak żeby widział, jak opadają do kostek. Odwróciła się i oparła rękę o ścianę. Słyszała, jak szamocze się ze spodniami, a potem dopadł jej jednym skokiem, zadarł spódnicę i napał na nią. Wypięła się, żeby ułatwić mu wejście. Piętnaście sekund później było po wszystkim. Przywarł do niej, spocony i charczący ze zmęczenia. Zacisnął dłonie na jej piersiach i dyszał w kark, mamrocząc coś przy tym. Krowa odwróciła łeb, zmierzyła ich obojętnym spojrzeniem i wróciła do przeżuwania. W progu obory pojawił się czarny wilczur, z grudką śliny u pyska.

– No co, lepiej? – spytała, kładąc mu ręce na dłoniach.

Czuła, jak krew pulsuje w całym jego ciele szybkim, mocnym tętnem. Zawsze był silny i porywczy. I głupi. Bardzo przydatna kombinacja.

– Tak – mruknął zasapany. – Lepiej.

Nadal sztywny członek wsunął się teraz gdzieś między pośladek a bluzkę.

– Weź go, Stefek, bo mnie upaple – powiedziała, wciągając majtki. Odwróciła się. – I zabierz tego cholernego kundla. To diabeł, nie pies.

Z nabrzmiętym przyrodzeniem, opuszczonymi spodniami i tępym wzrokiem, jaki staje się udziałem nagle zaspokojonych samców, wyglądał na doskonale bezbronny. Zawstydzony zaczął się pospiesznie ubierać. Szczeknął ku drzwiom i pies wyszedł.

– Gdzie schowałeś?

– Co cię to obchodzi? Schowałem i już.

– Wepchnąłeś w dziurkę? Dobrze? Głęboko?

– Zamknij się.

– Porządnie wepchnąłeś? Czy byle jak, na chybcika, jak teraz?

Dopadł ją i schwycił rękami za gardło. Dyszał już nie z podniecenia. Oczy mu pociemniały.

– Powiedziałem: zamknij się! Schowałem, kurwa twoja mać, i wiem gdzie. Koniec. Moje.

– Nasze – poprawiła go, kiedy ją puścił. – Nie zapominaj, Stefcu, że to nasze. I lepiej powiedz, gdzie schowałeś, bo następnym razem ci go odgryzę i wcisnę w tyłek. Widłami. Beze mnie nic byś nie zrobił.

– Bez ciebie miałbym czyste ręce – odparł, nie patrząc jej w oczy.

Zaśmiała się na głos.

– Czyste? Gdzie, tu? W gnoju? Zadek tej krowy jest czystszy niż twoje ręce.

Znowu zaczął nią szarpać. Przytrzymał jej gardło i drugą ręką gmerał między swoimi udami. Już myślała, że zrobi to znowu, krew burzyła się w nim jak podpiwek w butelce. Ale nie, grzebał w kieszeni swoich spodni. Wyszarpnął płaski kluczyk od kłódki i przytknął jej do nosa.

– Jak się nie zamkniesz, to ci go wcisnę w gardło. Żebyś się udławiła tym swoim zasranym kluczykiem. – Nagle zaśmiał się krótko. – Kluczem od klucza, kurwa! Kluczykiem od kluczyka, he, he! Ja pierdołę!

Rechotał jak nienormalny, powtarzając w kółko to idiotyczne „kluczyk od kluczyka”, ale ona się nie śmiała. Z pobladłą twarzą patrzyła na jego palce zaciśnięte na małym płaskim przedmiocie. Miały pod paznokciami pełno świeżego brudu. Czerwonego.

III

Pommerland ist abgebrannt

marzec–kwiecień 1945

Maikäfer flieg!
Der Vater ist im Krieg,
Die Mutter ist im Pommerland,
Pommerland ist abgebrannt.^[3]

(piosenka dziecięca)

1

Potrzeby załatwiała w drugim końcu ziemianki, zasypując odchody suchą jak popiół ziemią spod buraków. Nie liczyła czasu, nie miała jak. Bała się nawet podejść do włazu, by sprawdzić, czy jest dzień, czy noc. Spała przytulona do Reksa, a kiedy męczył ich głód, zjadali niewielkie porcje chleba z wekowanym mięsem i znowu się kładli. Od tej diety zaczęło ją palić nieznośne pragnienie, coś trzeba było zrobić. Próbowwała pić sok z buraka cukrowego. Nadgryzła wielką bulwę od węższego końca i starała się z niej wyssać parę kropel, zabiegi te jednak na niewiele się zdały. Miąsz był twardy i zbity, pilnie strzegł swoich płynów. Podjęła również heroiczną próbę picia własnego moczu i nawet zdołała załatwić się do pustego słoika po mięsie, nie przełamała jednak obrzydzenia. Śmierdział strachem i trupem. Powstrzymując mdłości, wylała zawartość na ziemię i starannie przyklepała.

Jak długo człowiek wytrzyma bez picia? I bez światła? I bez powietrza? I bez innych ludzi? I bez nadziei? Jak sądzisz, Reks? Wiem, nie

mamy jak zmierzyć upływu czasu. Wytrzyma tyle, ile zdoła. A pies? Mniej czy więcej? Umierałeś już kiedyś z pragnienia, psiaku? W zasadzie powinniśmy odpowiedzieć sobie na bardziej elementarną kwestię: chcemy umrzeć z pragnienia czy wychodzimy na powierzchnię? Jedno mrugnięcie – umieramy; dwa mrugnięcia – wychodzimy.

Zaczynała bredzić. Powinna zebrać się w sobie i otworzyć wąż, póki jeszcze jest przytomna i zdolna się ruszać. Leż tu, piesku, i nie szczekaj, bo nas oboje zabijesz. Wspięła się po szczęblach, przytknęła ucho do kłapy i nasłuchiwała. Po dłuższej chwili ciszy uznała, że albo rzeczywiście nikogo nie ma, albo ogłuchła od siedzenia pod ziemią. Najostrożniej, jak umiała, przesunęła skobel i napała ramieniem na wąż. Zwiększała nacisk stopniowo i wreszcie odskoczył z głośnym chrupnięciem, a ona prędko opuściła go i skuliła się, jakby nie chodziło o drewnianą klapę, lecz o odbezpieczony granat. Zdażyła zobaczyć, że na dworze jest oślepiająco jasno i pada śnieg. Zeszła po słoik (leż tu, piesku, spokojnie), wróciła na górę, wzięła trzy oddechy i uniosła klapę. Uderzone bolesną bielą oczy natychmiast wypełniły się łzami, więc po omacku nabrała do słoika garść śniegu. Starannie wytarła wewnątrz i wygarnęła brudną masę, po czym napełniła słoik czystym, bielutkim puchem. Przed zamknięciem wzięła trochę do ust i żuła zmrożoną papkę, dysząc z bólu i rozkoszy. Zimno spływało do przełyku i wypełniało trzewia lodowatym żarem, który mógł się skończyć rozstrojem żołądka, ale i tak był to jeden z mniejszych problemów. Najważniejsze, że nie umrze z pragnienia. Jeszcze nie.

Śnieg w słoiku ogrzała oddechem. Od intensywnego chuchania dostała zawrotu głowy. Po kilku minutach zawartość nabrała konsystencji na tyle płynnej, że można było ją pić. Gerda każdy łyk ogrzewała w ustach przed przełknięciem, potem pozwalała Reksowi wetknąć pysk do słoika, i znowu piła. Wylizali wszystko do ostatniej kropli i poszli spać.

Nie mogła zasnąć. Przed oczami migotało jej jaskrawe światło śniegu, w którym nic nie widziała, oślepiona długotrwałym siedzeniem w ziemiance. Ale nie tylko dlatego. Nic nie widziała i nie słyszała, ponieważ zupełnie nic się nie działo. Im dłużej analizowała w myślach tych

kilka minut spędzonych przy uchylonej klapie, tym bardziej dochodziła do wniosku, że na zewnątrz nikogo nie było. Czyżby zagrożenie minęło? Parę dni w buraczanym grobowcu i już po wszystkim? Bała się myśleć aż tak optymistycznie, ale wypełniła ją jakaś ciepła jasność, zupełnie jakby przez ośleplę i zażawione oczy przeniknęło trochę tego śnieżnego światła i rozgrzało ją od środka. Pomacała dłonią prawą nogę, brzuch, twarz – czuła je wyraźnie. Były. Ona była. Cała i przytomna, a nawet zdrowa, jeśli to wszystko nie jest jednym wielkim przywidzeniem. Potarła nos, szczypał jak zawsze. Wyciągnęła rękę i dotknęła psiego łba, który nauczyła się wyczuwać na tyle dokładnie, jakby go widziała w tej grobowej ciemności. Był ciepły i suchy, a koniec psiego nosa zimny i wilgotny. Tak jak powinno być w rzeczywistości, nie w przywidzeniu.

Front przeszedł i poszedł dalej. Heinsdorf leżał na uboczu ważnych traktów, przez wieś nie prowadziła żadna główna droga, tylko ulica wychodząca na Schlawe, nie było zatem powodu, by ciągnęły tędy nieskończone kolumny frontowych wojsk. Rosjanie przyszli, zdobyli wieś za pomocą trzech koni i jednego czołgu (tyle z ich słynnej armii widziała), po czym poszli dalej na Berlin. Zasypaną śniegiem klapę jej kryjówki szczęśliwie ominęli. Kiedyś będą wracać, ale pewnie nie tak szybko i już raczej nie polami wokół Heinsdorf. Tak przynajmniej jej się wydawało, chociaż nie miała najmniejszego pojęcia o strategicznych ruchach wojsk.

Zapadła w odrętwienie, którego nie można było nazwać ani snem, ani czuwaniem. Czas stał w miejscu i czekał cierpliwie, kiedy skończy się podziemny letarg Gerdy Liebner i jej rzeczywistość znowu ruszy z miejsca. A ona unosiła się w próżni nieistnienia, jakby ziemianka była kapsułą wystrzeloną w kosmos nie wiadomo kiedy, przez kogo i po co. Gdzieś tam nad nią przewalała się historia ze swoimi wojnami, armiami, frontami i towarzyszącym im ziemskim złem, tymczasem Gerda z Reksem dryfowali w wygodnym niebycie między życiem i śmiercią, zwolnieni z obowiązku uczestniczenia w ponurym przedstawieniu na powierzchni. Tak myślała, a może śniła. Ale jak długo można? Cisza i biel kusily.

Podjęła decyzję. Siedź tu, piesku. Strzepnęła płaszcz, który cuchnął człowiekiem, burakiem i psem, włożyła na siebie i uchyliła ostrożnie klapę. Upewniwszy się co do panującej wokoło ciszy, wypełzła na zewnątrz. Ślepa jak kret potrzebowała paru dobrych chwil, żeby źrenice przystosowały się do jaskrawości śnieżnego puchu miecionego zachodnim wiatrem. Mróz trzymał tęgi i nic w tej zimowej aurze nie wskazywało, że jest początek marca. Słońca również nie było widać, nie wiedziała, ani jaki jest dzień, ani która godzina. Leżała płasko na ziemi, bojąc się podnieść. Przed nią wznosiły się zabudowania Müllerów z szopą, pod którą dostrzegła przewróconą taczkę, jej kryjówkę przed czerwonym diabłem na koniu. Czyli to jednak nie przywidzenie. Naprawdę tu jest, żywa i przytomna, i widzi to samo, co zapamiętała.

Wokół nie było nikogo, wróciła więc po Reksa i wspólnie wybrali się na oględziny wioski. Cisza i bezruch dawały poczucie bezpieczeństwa. Paroma susami dopadli szopy, przycupnęli i rozejrzeli się po nowym, pofrontowym świecie. Ich początkowa euforia, że znowu są na powierzchni, szybko ulatywała z zimnym wiatrem. Reks podnosił łeb i niespokojnie wachał powietrze. Gerdzie przerażenie podchodziło do gardła. O ile w pokrytym śniegiem sadzie można było od biedy udawać, że nic takiego się nie stało, o tyle wieś od środka przedstawiała widok żalospny. Solennie pozamykane i zabezpieczone przez niemieckich gospodarzy domy stały otwarte na przestrzał. W wyważonych drzwiach ziała pustka, w powybijanych oknach powiewały potargane firanki. Po podwórzu Müllerów fruwało pierze z rozerwanej pościeli, pod ścianą stodoły leżała zastrzelona maciora, pozbawiona tylnej części ciała i cała umazana krwią. Pod otwartym oknem kuchni piętrzyły się połamane krzesła, rozbite naczynia i podarte obrusy. Wywalone ze stodoły siano tarasowało wejście. Do drzwi stajni ktoś przybił dorodną gęś. Przypominała wielką kołatkę.

Spuściła wzrok i wybiegła na ulicę. Nie mogła na to patrzeć. W centrum Heinsdorf nie było jednak lepiej. Wszędzie walały się pozabijane zwierzęta: zastrzelone psy i koty, pokiereszowane świnie, porozrywany na strzępy drób. Na środku głównej ulicy leżało zmiażdżone gąsienicami truchło

krowy. Wieś wyglądała jak po przejściu nie tyle wrogich wojsk, co zdziczałej hordy barbarzyńców. Z braku ludzi wyładowali nienawiść na zwierzętach. Gerda szła coraz ciężiej, z jej ulgi po opuszczeniu buraczanej dziury nie pozostało ani śladu. Dookoła ścieliła się wymowna ilustracja tego, co ją czekało w łapskach tych... Kim oni właściwie byli? Słyszała oczywiście, że sowieccy żołnierze idą pijani, że są brutalni i bezwzględni, że nie traktują ich jak obywateli wrogiego państwa, tylko jak zbrodniarzy, których należy karać. Rozumiała, że ten, kto przegrał wojnę, musi zapłacić. Tu działało jednak coś więcej: zwierzęca wściekłość, zjadłe niszczenie wszystkiego, co niemieckie. Jakby każdy mieszkaniec tej ziemi był potworem i należało zetrzeć po nim wszelki ślad. Skąd ta nienawiść? Co myśmy im takiego zrobili?

We wsi nie zaszczekał ani jeden pies. Nie zaryczała ani jedna krowa, nie miauknął kot i nie zapiał kogut. Oprócz nich dwojga w Heinsdorf nie było żadnego żywego stworzenia. Stosy pogruchotanych sprzętów domowych i poniszczonych urządzeń gospodarczych świadczyły o tym, że ci szaleńcy zabijali nawet przedmioty. Nie potrafiła tego pojąć. Jaki potworny żywioł przeszedł przez jej rodzinną wieś i co miał wspólnego z walką? I dlaczego zabijać rzecz? Przecież rzeczy się używa, a jak się nie chce używać, to można je po prostu zostawić innym. Jakim przeciwnikiem dla żołnierza jest pierzyna albo krzesło? Pytania kłębiły się w jej głowie, coraz trudniejsze i coraz bardziej dziwne, a bezmiar zniszczeń porażał. Miała rację: przez Heinsdorf przeszła armia diabłów.

Ośloniwszy twarz przed zacinającym śniegiem, ale i przed widokiem, którego się spodziewała, niepewnie wkroczyła na podwórko swojego domu. Klucz nadal leżał tam, gdzie go schowała, tylko nie było już drzwi. Ich pogruchotane resztki smętnie zalegały w sieni. W kuchni nie ostał się żaden cały mebel. Ktoś nadpalił połamane i zrzucone na środek krzesła, jakby usiłował zrobić z nich ognisko. Wokół przewróconego kredensu wały się szczątki zastawy i podziurawione kulami metalowe garnki. Podłogę pokrywała warstwa tłuczonego szkła, strzępów materiału i kawałków drewna. Nawet coś tak prostego jak drewniana warzecha nie uniknęło

zniszczenia – przełamana na pół została wetknięta w ludzką kupę, którą ktoś zostawił na środku stołu. W ogóle wszędzie znajdowały się odchody, nawet na ścianach. Smród był powalający. Przechodząc przez sień, Gerda zajrzała do łazienki. Kał pokrywał opuszczoną klapę na muszli nowej ubikacji, zalegał również na podłodze. Cytat z Rilkego zamazano palcem umaczanym w brunatnej substancji. Nie rozumiała tego, co widzi. Zdumienie chwilami brało górę nad obrzydzeniem. Ten ktoś chciał nie tylko niszczyć, ale i ostentacyjnie zaprzeczyć wszystkiemu, co dobre. Chciał zabić cywilizację.

Uciekła do sypialni rodziców, gdzie nie było lepiej. Okazałe ludzkie gówno zdobiło sam środek łóżka rodziców, z którego wcześniej zdarto pościel i zapamiętałe pocięto na kawałki. Wszędzie leżało pełno pierza. Szuflady komody zostały wywalone na podłogę i podeptane. Przed ucieczką matka spakowała kasetkę z rodzinnymi fotografiami, ale dwie z nich, większe i oprawione w ramki ze szkłem, po prostu schowała do komody. Jedna z nich przedstawiała dziadka Wilhelma i babcię Henriettę w dniu ślubu, druga – małą Gerdę z warkoczykami w pierwszym dniu szkoły. Ktoś uderzył nimi o podłogę, starannie podeptał je obcasem i oblał moczem. W miejscu jej twarzy na fotografii widniała dziura, wytarta dociśniętym i przekreślonym butem. Odwróciła głowę i jej wzrok natrafił na kotkę Mitzi w kącie sypialni. Jej czarny trup był przyszpilony do podłogi widłami.

Nie wytrzymała. Wybiegła z domu, oparła się o ścianę i zwymiotowała.

Padający śnieg trochę ją ocucił. Usiłując nie patrzeć na boki, przemknęła przez podwórze i wyszła do sadu. Za białymi pagórkami, gdzieś od strony Malchow, wznosiły się w niebo kłęby czarnego dymu. Rzadkie i słabe salwy armatnie świadczyły o tym, że front przesunął się już dalej. W zrytym gąsienicami czołgów sadzie leżały drzewa ze zmiażdżonymi bezlistnymi koronami. Tknięta przecuciem poszła na sam koniec ogrodu. Obok przewróconej antonówki leżały szczątki rozgniecionych uli dziadka Wilhelma. Wszędzie wkoło, jak czarna posypka na białym obrusie, rozsiane były niezliczone ciała pszczoł. Niektóre, jeszcze żywe, niezdarnie pełzały

po deskach z ich unicestwionych domostw. Wzięła jedno stworzonko w palce i przyjrzała się. Ile jest życia w pszczole na początku marca? Na odpowiedź nie musiała długo czekać. Owad wykonał parę powolnych, niezbornych ruchów łapkami i znieruchomiał. Pochuchała chwilę, ale bez reakcji. Tej wiosny już się nie obudzą. Nie zobaczą nowego świata, urządzonego tutaj po odejściu pomorskich Niemców. Odchodzą razem z nimi.

Reks usiadł przy niej i przyglądał się wyczekująco. Tak, piesku, trzeba coś zrobić. Ale co? W pierwszym odruchu pomyślała, że mogłaby spróbować posprzątać ten koszmarny bałagan, naprawić przynajmniej niektóre sprzęty, doprowadzić dom do jakiegoś takiego porządku i spróbować w nim zamieszkać. Nie musi żyć, może po prostu imitować życie. Wprawdzie na myśl o tym, że będzie musiała wynosić z własnego domu całe wiadra ludzkich gównien, znowu robiło jej się niedobrze, ale trudno. To tylko chwila, potem umyje wszystko dokładnie, wywietrzy i jakoś to będzie. Nie miała sił zajrzeć do spiżarni, jednak przypuszczała, że jeśli nie u nich, to w którymś z domów na pewno zachowało się coś do jedzenia. Cokolwiek. Niemożliwe, żeby nie zostało zupełnie nic.

Popatrzyła na wyłamane wrota stodoły i pogruchotaną kosiarkę McCormick, z której dziadek był taki dumny. Popatrzyła na rozjechane ule. Przypomniała sobie odchody na łożku. Niemożliwe? Czy coś tu jeszcze było niemożliwe?

Z włóczkowych rękawiczek wysunęła wąskie, zsiniałe od mrozu dłonie. Podnieś rękę i rzuć jakiś porządkujący czar, skoro jesteś wiedźmą. Odmień ten świat, przywróć mu dawny kształt. Skoro wszystko jest możliwe, to dlaczego nie zwykłe cofnięcie czasu, powiedzmy o tydzień? Albo lepiej o miesiąc. Tak, miesiąc. Wystarczyłoby czasu na solidne przygotowania do najazdu diabłów. A przede wszystkim mogłabyś zabrać Reksa i nie trzeba by się po niego wracać, a on nie musiałby łamać nogi na tych głupich bronach. No, śmiało, czaruj, pomorska księżniczko, póki znowu jest czas i póki ty jeszcze jesteś. Jak ona się nazywała, ta kaszubska pannica, o której jej opowiadała babcia? Zły rycerz ją porwał i zamknął w wieży, a ona

uciešla na skrzydłach łabędzi. Damroka. Dziewczynki potrafią być dzielne. No to pokaż, co potrafisz, dzielna Damroko, najstarsza córko Johanna Liebnera z pomorskiego Heinsdorf. Rzuć upragniony czar i niech świat wróci na swoje miejsce.

Drgnęła. Reks szarpnął łbem i nadstawił uszu. Na drodze turkotały koła. Pobiegli w otwarte wrota, przedarli się przez porozrzucane w nieładzie maszyny i przycupnęli w najciemniejszym kącie stodoły. Przez szpary w deskach obserwowali wycinek drogi między domami. Wóz turkotał jednostajnie, bez pośpiechu, jakby obca mu była typowa dla sytuacji wojennych nerwowość. Ktokolwiek nim jechał, nie zależało mu na szybkim dotarciu do celu. Być może nie zależało mu już na niczym. Nie niosły go dzikie żywioły zniszczenia, raczej spokojny żywioł rezygnacji.

Wreszcie między drzewami mignął pojazd i Gerda przywarła okiem do szpary. Serce jej podskoczyło. Dwa łaciate konie, wysoka buda obciążona zieloną plandeką, woźnica w czarnym kaszkiecie i szarej kurcie... Poznała natychmiast. Ze Schlawe wracali do Heinsdorf najbliżsi sąsiedzi Stubenauerów – rodzina Weidemannów.

2

– Wszystko spalone, wszystko! Nic nie zostało! – biadała pani Weidemannowa bez większego przekonania. Raczej odgrywała rytualnie rozpacz, na wszelki wypadek, żeby nie posądzono jej o obojętność wobec rodzinnej katastrofy. Ale oczy miała obojętne. Puste i bez wyrazu, jak ludzie, którzy widzieli już zbyt wiele i nie chcą więcej.

– Spaliło się wszystko! – mówiła, po czym milkła i jej wzrok zawieszał się na jakimś nieokreślonym punkcie na horyzoncie. Kiedy Gerda uścisnęła ją na powitanie, odniosła wrażenie, że obejmuje kukłę.

Pan Weidemann nie mówił nic. Przyglądał się zgliszczom z takim zainteresowaniem, jakby oglądał martwe ryby na targu. Dymiące resztki zgorzałego gospodarstwa zdawały się należeć nie do niego, tylko do kogoś innego, kto niewiele go obchodzi. Coś z Weidemannami było mocno nie

tak. Bała się zapytać, żeby rykoszet nie trafił w nią. Wyjeżdżali we troje, a wrócili we dwoje.

Po krótkim i dla niej bardzo radosnym powitaniu wzięli ją na wóz i opowiedzieli, co się działo w kolumnie uciekających mieszkańców wsi. Potwierdzili słowa Ottona, że rosyjskie samoloty puściły tylko dwie krótkie serie z karabinów i zrzuciły jedną bombę, po czym poleciały dalej ku wybrzeżu. Niestety, ta bomba spadła obok wozu sklepikarzy Grohlów oraz kierownika poczty Müllera. Grohlowie zginęli, Müller również, ale jego żona i dzieci przeżyły. Kazał im się schować pod wozem, dla niego już tam brakło miejsca. Liebnerom nic się nie stało, przynajmniej Weidemannowie nic o tym nie wiedzieli. Kolumna pomaszerowała do miasta, a potem na Rügenwalde, skąd odpływały ostatnie statki do Niemiec. Ludzie koczowali w porcie, próbując za wszelką cenę dostać się na pokład. Żadne wcześniejsze umowy, rezerwacje ani kupione z wyprzedzeniem bilety nie działały. Działo jedynie prawo siły.

– Twój chyba się dostali – bardziej warknął, niż stwierdził pan Weidemann. Siedzieli na wozie na podwórzu z dymiącymi zgliszczami po ich gospodarstwie i nie wyglądało na to, że chcą zsiąść. – Ojciec miał zaświadczenie o inwalidztwie wojennym i akurat poskutkowało.

– Myśmy też mieli zaświadczenie – dodała obojętnie pani Weidemannowa. – I pieniądze. Ale nie poskutkowało.

I nagle buchnęła nieopanowanym szlochem. Zakryła twarz kołnierzem płaszcza i płakała gdzieś do wewnątrz, w głąb siebie. Jej mąż nie zrobił nic, żeby ją pocieszyć. Gapił się na ruinę niewidzącym wzrokiem, od czasu do czasu rzucając półgębkiem jakąś uwagę w rodzaju „dach się zawalił” albo „stodoła nie ma ściany”. To nawet nie były próby nawiązania kontaktu z kimkolwiek, tylko sygnały, że siedzi, patrzy i widzi. Nic więcej. I nie wiadomo po co. Gerda miała wielką ochotę wypytać ich, co się działo w kolumnie wędrującego Heinsdorf, ale czuła się niezręcznie. Objęła więc ramieniem panią Weidemann i powtórzyła kilka razy, że będzie dobrze, dadzą radę. Reakcją sąsiadki był jeszcze głośniejszy szloch.

Kiedy pani Weidemann nieco się opanowała, Gerda zaproponowała, żeby chwilowo się zatrzymali u Stubenauerów. Jak pomyślała w duchu, byłaby to choćby namiastka zadośćuczynienia za fakt, że ich gospodarstwo spłonęło właściwie z winy Ottona, czego im oczywiście nie mogła powiedzieć. Do reszty zepsułyby relacje sąsiedzkie między rodzinami, które i tak nie należały do najlepszych. Właściwie teraz w ogóle ich nie było.

Pan Weidemann krótko potrząsnął głową.

– W komórcie za stajnią – odparł. – Dla nas dwojga wystarczy.

Wtedy pani Weidemannowa buchnęła nowym płaczem. Gerda czuła, że ją ściska w gardle i dłużej nie wytrzyma napięcia.

– Gdzie jest Luise? – spytała cicho.

Żadne nie odpowiedziało. Pan Weidemann w końcu zebrał się w sobie i zsiadł z wozu, by ciężkim krokiem pójść do spalonego domu i dokonać pierwszych szacunków strat. Jego żona milczała tępo.

– Nie żyje?

I na to pytanie nie uzyskała odpowiedzi. Zamiast tego pani Weidemann nagle zmierzyła ją przenikliwym spojrzeniem, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie jej obecność, i ucapiała za rękaw.

– A ty co tu właściwie robisz, Liebnerówna? Ukrywasz się? Jakoś nie widzę. A może nie musisz, co? Sprzedałaś się bolszewikom? Przyznaj się, przesłałaś na stronę komunistów?

Gerda próbowała zaprzeczać. Opowiedziała o swojej kryjówce w ziemiance i zasypanej śniegiem kłapie, ale do tej nagle przebudzonej kobiety przestało cokolwiek docierać.

– Teraz będziesz donosić, kto miał jaki majątek i gdzie go schował, tak? Po to tu siedzisz i czatujesz? Swoich nie musisz się obawiać, krzywdy ci nie zrobią. Sprzedałaś się? Gadaj, smarkulo!

Zaczęła ją szarpać za rękaw i tarmosić z siłą, o jaką jeszcze przed chwilą trudno ją było posądzać. Dziewczyna odpychała ją, powtarzając *nein*, ale tamta zacisnęła palce i krzyczała coraz głośniej: *Sag doch mal!* Gerda próbowała wyjaśniać, że nie miała kiedy zostać bolszewikiem, że jest

dziewczyną i chodzi do szkoły, jednak na próżno. To było jak mówienie do szaleńca. W ostatnim momencie ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć „tak jak wasza córka”. To mogło się skończyć jeszcze większą katastrofą.

Co tu wkoło nie było katastrofą?

Szamotały się chwilę, dopóki nie rozległo się ujadanie psa. Pani Weidemannowa w ułamku sekundy zapomniała o swoich oskarżeniach i pospiesznie zeszła z wozu. Zupełnie jakby czekała na sygnał od Reksa. Jej mąż stanął w progu zniszczonego domostwa z garnkiem w ręku, ale widok czegoś na drodze kazał mu rzucić garnek i ruszyć biegiem ku bramie. Gerda w pierwszej chwili pomyślała z przerażeniem, że wróciły czerwone diabły na koniach. Ostrożnie wychynęła zza plandeki. Reks już był na drodze i poszczekiwał na kogoś radośnie. Rosjan by nie witał w ten sposób, pomyślała i zeskoczyła z wozu, mając nadzieję, że ujrzy kolejnych powracających mieszkańców.

Drogą szła Luise Weidemann. Sama jedna, z opuszczoną głową i potarganymi włosami, które zasłaniały twarz. Obejmowała się rękami w pasie, jakby ją bardzo bolał brzuch. Właściwie nie tyle szła, co powłóczyła sztywnymi nogami. Kiedy zobaczyła matkę i ojca, opadły z niej resztki woli i bezwładnie runęła na ziemię. Pani Weidemann z krzykiem rzuciła się ją podnosić, zdołała jednak tylko unieść ją do pozycji siedzącej, po czym padła przy niej na kolana i mocno przytuliła do siebie. Nadbiegł jej mąż i zaczął podnosić obie, przepychali się we trójkę niezgrabnie, a Gerda stała i patrzyła oniemiała.

Niespecjalnie lubiła Luise, starszą od niej o dwa lata wysoką blondynkę, która miała się za najładniejszą dziewczynę we wsi. Ubierała się strojnie, do pracy w polu chodziła z naburmuszoną miną, za to na zabawie w remizie była pierwsza. Umiała się uśmiechać w taki sposób, że mężczyźni od razu biegli otwierać jej drzwi i pomagać w noszeniu zakupów, a kobiety się denerwowały. Starszy brat Luise, Joachim, był na froncie wschodnim – który teraz był już chyba frontem zachodnim – i jak Gerda zdążyła usłyszeć na wozie, od pół roku nie mieli o nim żadnych wiadomości. Wiedziała z podsłuchanych rozmów dorosłych, że zwykle oznaczało to albo śmierć,

albo rosyjską niewolę i wywózkę na daleką Syberię. Weidemannowie mieli powody przypuszczać, że z dwojga dzieci została im tylko córka.

A teraz Luise siedziała na śniegu z nieprzytomnym spojrzeniem, sińcami na policzkach i pod oczami, w ohydnie poplamionym płaszczu, spod którego wystawały strzępy podartych ubrań. Jej rozchylone usta z trudem łapały powietrze, na spierzchniętych wargach widniały czerwone pęknięcia. Z pysznych warkoczy zostały poszarpane strąki, rozsypane wokół głowy jak słomiana mierzwa. Ale najgorsze były nogi. Wystawały spod pomiętej spódnicy nagie i blade. Pozbawione ochrony ciepłych rajtuz bieleły jak kłocce zamrożonego mięsa. Złowrogą purpurą odcinały się na nich strużki krwi, które ściekały po udach aż do butów. Gerda patrzyła ze zgrozą na dwie ciemne smugi płynące z podbrzusza Luise Weidemann i myślała, dlaczego tyle krwi, podczas gdy w głowie jej huczało: *Frau, komm*. Koński łeb, szpiczasta czapka, żółta trójkątna twarz i wyciągnięta ku niej ręka. *Frau, komm*.

Vergewaltigung.

Rodzice jakoś podnieśli Luise i postawili na tych sztywnych, zsiniałych i zakrwawionych nogach. Kiedy się zachwiała, wzięli ją mocno pod ramiona i poprowadzili na podwórze. Opadająca na pierś głowa unosiła się i poruszała spękanymi wargami, ale z ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Minęli Gerdę bez słowa, jakby jej tu w ogóle nie było, i przeszli do komórki za stajnią, jedyne pomieszczenia z ich gospodarstwa, które szczęśliwie uniknęło ognia. Jak to stwierdził pan Weidemann, tam teraz będzie ich nowy dom. Jakkolwiek to brzmiało, musieli gdzieś ją ulokować i opatryć. Nawał bezładnych myśli unieruchomił Gerdę. Stała na skraju heindorfskiej szosy i odpędzała od siebie myśl, która odpędzić się nie dała. *Vergewaltigung*. Więc o to chodzi. Tego uniknęła, zagrzebana między burakami w podziemnej kryjówce. Teraz lepiej rozumiała, dlaczego wiele kobiet twierdziło, że wołałoby umrzeć. Luise wyglądała nie tylko na zgwałconą, ale i pozbawioną zmysłów.

Zniecierpliwiony przedłużającym się stanem na mrozie Reks trącił ją nosem. Zróbmy coś. Z wahaniem poszła za Weidemannami do komórki.

W progu przystanąła niezbyt pewna, czy powinna tak po prostu wejść. Słyszała urywany głos Luise, która z trudem mówiła coś o Schlawe, o bryczce, piwnicy, czterech dziewczynach, strzelaniu w czoło – brzmiało to dosyć niezbornie, Gerda niewiele rozumiała. Z grubsza chodziło chyba o to, że ją zabrali z miasta z czterema innymi dziewczynami i przewieźli bryczką do jakiejś piwnicy, że jedną zastrzelili, bo się broniła, i że ona była następna w kolejce... Gerda słuchała tego wszystkiego z uniesioną dłonią, nie odważając się zastukać w drzwi. Popatrzyła na swoje drżące palce. Unieś rękę i rzuć czar, księżniczko, pomyślała smętnie. Głupia dziecinada, i tyle. Nigdy nie czuła się bardziej bezbronna i opuszczona, wystawiona na szaleństwo tej wojny, niż w tej właśnie chwili, kiedy pazur potwora minął ją o włos i trafił dziewczynę z sąsiedztwa, Luise Weidemann. Tym razem minął, ale co dalej? Ile jeszcze przed nią panicznych ucieczek, kryjówek, dni i nocy w ciemności pod ziemią, zanim czerwony diabeł i ją dopadnie? Poczowała, jak łyzy jej płyną po policzkach. Nie, piękna czarodziejko, to na nic. Nie ma zaklęcia, którym zasłonisz się przed rozerwanym podbrzuszem i zakrwawionymi udami. Nie ma, dopóki żyjesz.

Drzwi od komórki otwarły się nagle i stanął przed nią pan Weidemann.

– Idź stąd, dziewczyno – powiedział. – Idź i nie wracaj. Żeby cię tu więcej nie widział.

Odwróciła się na pięcie i zwyczajnie uciekła. Nie zdołała rozstrzygnąć, czy jej radził, czy groził, mając jednak przed sobą ponurego mężczyznę z zaciśniętymi pięściami, wolała posłuchać. Znowu nic nie rozumiała. Byli wspólnotą, powinni się trzymać razem, wspierać nawzajem, a nie przeganiać się jak wrogowie. Katastrofy Luise już się nie odwróci, ale można sobie pomagać w uniknięciu następnych. Wróg był gdzieś tam, oni tutaj. Jeśli ją przepędzają, to tak jakby mówili: idź, jesteś następna.

Biegając do domu z kuśtykającym za nią Rekssem, Gerda myślała o tym, że zaraz wpadnie do domu i będzie musiała ominąć jakoś tę całą oblepiającą go ohydę. Potrzebny był jej nowy zapas jedzenia. Reks, ty zostajesz na zewnątrz i pilnujesz.

Elektryczności oczywiście już nie było, na szczęście wśród wygarniętych z komody w sieni przedmiotów dostrzegła zapasową baterię do latarki i kozik ojca do szczytowania drzewek. Wcisnęła obie rzeczy do kieszeni i walcząc z mdlącym smrodem, udała się prosto do piwnicy. Ujrzała otwarte drzwi, z lękiem oświetliła schody. Przygotowała się na najgorsze, tymczasem zejście do spiżarni matki okazało się w miarę czyste. Zapasy były doszczętnie splądrowane i zgarnięte z półek na podłogę. Ci, którzy to zrobili, nie szukali jednak jedzenia, tylko ewentualnych schowków ze skarbami, dlatego przewrócili również same regały. Tak to sobie tłumaczyła, grzebiąc wśród potłuczonych słoików i glinianych garnków, w kwaśno-słodkiej aurze owocowych i warzywnych zapachów. Próbowwała nie myśleć o ostatnim lecie, kiedy z matką i siostrami pracowicie czyściły ogórki i upychały je z koprem i chrzanem do słoików, jak drylowały wiśnie i przecierały je na przepyszne konfitury, zalegające teraz na betonowej podłodze spiżarni w charakterze błotnistej mazi. Mama, siostry... Nie powinna płakać. Nie wolno. Później będzie o śmierci, teraz jest o życiu.

Po pieczołowitych oględzinach roztrzaskanych naczyń udało jej się znaleźć aż cztery całe konserwy mięsne i jeden słoik z kiszonymi ogórkami. Niestety, bochenki chleba również wały się w tym galimatiasie, oblepione odłamkami szkła i kawałkami owoców. Wzięła na próbę dwa, może uda się jakoś je oczyścić, i włożyła wszystko do płóciennej torby. Zawahała się przy rozbitym garnku z gęsim smalcem – spora jego bryła leżała na glinianych skorupach. Wyglądał na dosyć czysty, z tym że nie miała go do czego nabrać, w piwnicy nie zostało ani jedno całe naczynie. Po namyśle zawinęła trochę smalcu w gazetę, którą były wyłożone półki. Będzie na czarną godzinę.

Obładowana zapasami wchodziła właśnie po schodach, gdy usłyszała szczerzenie Reksa. To drugie, nieprzyjazne. Przeszyła ją panika. Jeszcze nie ochłonęła z przerażenia losem Luise, a już nowy lęk podchodził pod gardło. Wyjrzała z sieni na podwórze, Reks szczerzył dwa razy i obejrzał się na dom. Ostrzegął. Ujrzawszy ją, wskoczył do sieni i zaczął niespokojnie trącać Gerdę nosem. Psy zawsze wiedzą trochę wcześniej od

ludzi. Teraz już i ona słyszała. Na drodze turkotały koła i stukały kopyta. To nie był ciężki krok pociągowego konia, który wlecze wyładowaną dobytkiem furmankę, tylko rażny kłus lekkiego powozu. Bryczka...

Ujęła torbę z jedzeniem w prawą rękę i pędem rzuciła się do tylnego wyjścia. Ich dom miał sień na przestrzał, z drugimi drzwiami wychodzącymi z tyłu na ogród i otwarte pole. Jednym susem przeskoczyła próg i trzy drewniane stopnie, po czym wylądowała na śniegu. Pośliznęła się i upadła na twarz, ale zimno tylko ją otrzeźwiło. Pobiegnęła w dół ze skamlającym Reksem przy nodze i przeraźliwym strachem na karku. Była pewna, że ją dostrzegli i teraz pędzą za nią bryczką po zasypanej świeżym śniegiem ojcowiznie, okładając konie batem i pokrzykując swoje *ałła, ałła!* Pędzą jak szaleni, może już są tuż za nią. Wolała się jednak nie oglądać i nie sprawdzać. Musi dotrzeć do zagajnika. Skakała po zamrzniętych grudach i modliła się w duchu, żeby się nie pośliznąć, nie skreślić kostki i nie rozwalić kolan na tych zmarzniętych na kamień skibach. Bo inaczej będzie *Frau, komm*, i potem będzie miała nogi jak Luise Weidemann. Albo jeszcze gorzej.

Dopadła zarośli nad strumieniem, wpadła między krzewy łożyny, zaczepiła stopą o zagrzebaną w śniegu gałąź i runęła jak długa. Reks stanął obok niej zziębnięty, wywalony jęzor parował jak ugotowany serdelek. Obejrzała się. Nikt jej nie gonił. Połąć śniegu pomiędzy zagajnikiem a domem na wzniesieniu była biała i pusta, a jej środkiem prowadził świeży i wyraźny podwójny ślad: człowieka i psa.

– Musimy iść po lodzie – powiedziała na głos, jakby chciała się tą refleksją podzielić z Reksem. Nie odpowiedział, co uznała za zgodę. Weszli na zamrznięty strumień i ruszyli w dół. Najnowszy plan zakładał obejście całej wsi i powrót do ziemianki od drugiej strony, skąd przyszedł front. Przyszedł i poszedł dalej. Co jakiś czas tylko zajeżdżał bryczką von Schlieffenów czy innych von Zitzewitzów, by z fantazją przypomnieć pokonanym o swoich prawach. Zwłaszcza o prawie do pomorskich kobiet.

Do ziemianki dotarli ciemną nocą. Wcześniej Gerda bała się zbliżyć do wsi i dopiero kiedy przekonała się, że wokół zagrody Müllerów jest

całkowicie bezpiecznie, odważyła się podejść. Wszystko było jak poprzednio. Kiedy już ułożyła się na dawnym miejscu i zjadła kolację, mogła nareszcie owinąć się płaszczem i zasnąć z ciepłym psem u boku. Czas znowu się zatrzymał i przestrzeń zgasła, a ona odpływała w sen, znikając. Znowu mogła umrzeć.

3

We wtorek, 6 marca 1945 roku około godziny dwudziestej drugiej dwa niewielkie parowce niemieckiej marynarki wojennej, „Regulus” oraz „Zenith”, odpłynęły z portu w Rügenwaldermünde jako ostatnie. Miały na pokładach ponad półtora tysiąca uciekinierów z Prus Wschodnich i Pomorza, których po pięciu dniach wysadziły w Swinemünde, późniejszym Świnoujściu. Na molo pozostawiły jeszcze całą rzeszę chętnych – ci już swojej szansy się nie doczekali. Rosjanie wkroczyli do Schlawe 7 marca o świcie, po czym w mieście oraz okolicznych wsiach zaczęło się polowanie. Głównymi celami byli naziści, kobiety i wódka. Tych pierwszych zabijano na miejscu, te drugie gwałcono i jeśli stawiały opór, również zabijano, a wódka zapewniała odpowiedni nastrój. Miasto szybko stanęło w ogniu. Zdobyte po krótkiej walce Schlawe podpalali żołnierze 27 Dywizji 19 Armii pod dowództwem generała lejtnanta Władimira Romanowskiego, którego podwładni mieli szczególne upodobanie do żywiołu ognia, ponieważ pożary wybuchały jeszcze kilka dni po ustaniu walk. Jedne wskutek płądrowania, inne powodowane samą radością podpalania. Zniszczeniu uległa w zasadzie cała zabytkowa część śródmieścia, wraz z nowoczesną już zabudową handlowo-mieszkalną. Płonęły sklepy, warsztaty, pracownie. Spalił się również nowy dom towarowy w rynku i przyległe zabudowania. Zamieniono w popiół i zgliszcza hotel, kino, fabrykę maszyn rolniczych i tartak, pastwą płomieni padł zabytkowy osiemnastowieczny ratusz. Mieszkańcy odległych o kilkanaście kilometrów miejscowości przez wiele dni obserwowali unoszące się nad miastem kłęby czarnego dymu.

Tych uchodźców, którzy nie zdołali dostać się na żaden statek lub uciec pociągiem do Rzeszy, zwracano do miejsc zamieszkania. Wskutek tego, a także z powodu ogólnego chaosu organizacyjnego, kolumny uchodźców maszerowały w różnych kierunkach, nie bardzo wiedząc, dokąd właściwie mają się udać. Bałagan potęgowały zarówno sprzeczne i absurdalne zarządzenia ostatnich urzędników hitlerowskich, głównie zajętych ratowaniem siebie, jak i postanowienia władz radzieckich, którym na subordynacji wśród wrogich cywilów zależało jeszcze mniej. Orientację dodatkowo utrudniała taktyka Armii Czerwonej, polegająca na okrążaniu i atakowaniu wroga z zachodu, czyli od tyłu. I tak szosa łącząca Schlawe i Köslin została odcięta przez radzieckie czołgi już w nocy z 1 na 2 marca. Grupki uciekinierów, usiłujące na własną rękę przedrzeć się na zachód, musiały szybko zawracać i ruszały ostatnim jeszcze wolnym traktem na północny wschód, drogą na Stolp oraz Stolpmünde. Jednak i ten kierunek szybko okazał się zawodny, gdyż port zamknięto, a Stolp – zaatakowane od zachodu – poddało się bez walki wkrótce po Schlawe. Poddały się również same nazwy. Schlawe zastąpiło Sławno, a Rügenwalde – Darłowo. Stolp stał się Słupskiem, Köslin – Koszalinem, a Stolpmünde – Ustką.

Pomorzanie stali się zwierzyną łowną. Wielka polityka hurtem wrzuciła ich wszystkich do jednego worka z napisem „Niemcy”, choć znajdowali się wśród nich Polacy, Prusacy, Kaszubi, Warmiacy i Mazurzy, Borowiacy, Kociewiacy, Zaboracy, Kosznajdry, Gochy i Bóg wie, kto jeszcze. Maszerujące kolumny były rozjeżdżane gąsienicami czołgów, tratowane kawalerią i bombardowane przez lotnictwo, zgodnie z obowiązującą wówczas zasadą odwetu, że każdy Niemiec to hitlerowiec, a hitlerowiec to zbrodniarz, czyli nie człowiek, więc można z nim robić, co się chce. Rodziny wypełniające nakaz powrotu do domów wracały nie tyle na swoją ziemię, co do swojego piekła.

W praktyce wyglądało to tak: do wsi zajeżdżała stara, rozklekotana bryczka wypełniona pijanymi radzieckimi żołnierzami, którzy dla wytworzenia odpowiedniej atmosfery na powitanie wrzeszczeli, strzelali w powietrze i biegali wkoło jak szaleni. Po tej uwerturze wpadali do

domów na rabunek i gwałty. Oficjalnym pretekstem było tropienie ukrywających się jeszcze tu i ówdzie esesmanów oraz funkcjonariuszy NSDAP, jednak prawdziwe intencje „wyzwoliciele” zdradzały niosące się po całym Pomorzu wrzaski: *Schnaps! Frauen!* Tubylcy szybko zorientowali się w regułach tej gry. Wystawiano czujki i na pierwszy sygnał chowano kobiety, gdzie się dało. Nadawało się praktycznie wszystko: buraczana komora, kopiec na ziemniaki, dziury pod chlewem, gołębniki, sterty ziemniaków w piwnicy, strychy, sąsiedzi z sianem i słomą w stodołach. Znalezione kobiety gwałcono zbiorowo na miejscu lub zabierano na kwaterę, skąd wracały albo nie, zależnie od stopnia ich uległości. Oporne zabijano. Tak samo jak mężczyzn, którzy próbowali stawać w ich obronie. Bynajmniej nie należały do rzadkości obrazy rodzinnego stadła, gdzie zmaltretowane i zbezczeszczone kobiece ciało spoczywało na łóżku, a obok na podłodze leżał trup ojca, męża, brata lub syna z dziurą w czole. Nie musiał wiele robić, wystarczyło, że się odezwał.

Kobiety mazały twarze błotem i węglem, dorysowywały sobie bruzdy na policzkach, nalepiały skrofuły – robiły wszystko, by wzbudzić odrazę. Do tego ubierały się w najgorsze łachmany i poruszały się w zgarbieniu, symulując starczą niedołężność. Pomagało rzadko, ponieważ wśród napastników zamroczenie alkoholowe osłabiało tak percepcję, jak i wymagania estetyczne. Znacznie większą skutecznością w odstraszeniu gwałcicieli odznaczały się śmiertelne choroby, zwłaszcza tyfus. Pewna siostra miłosierdzia tak właśnie tłumaczyła swoje szczęśliwe zachowanie czystości. Pracowała w szpitalu na oddziale zakaźnym, gdzie na drzwiach widniała wielka tablica: UWAGA! TYFUS! i amatorzy pomorskiej kobiecości omijali salę z daleka.

Człowiek tym różni się od innych zwierząt łownych, że z powodu wysokiej samoświadomości, zwanej przez niektórych popędem śmierci, potrafi popsuć zabawę myśliwym. Zanim go zabiją, sam odbiera sobie życie. Oprócz epidemii tyfusu i gwałtów wiosną 1945 roku przez Pomorze przetoczyła się również epidemia samobójstw. Nierzadko były to samobójstwa zbiorowe, całymi rodzinami. Wchodzisz do otwartej chałupy

w poszukiwaniu jedzenia, a tam domownicy siedzą wokół stołu, nad pełnymi jadła misami. Wszyscy martwi. Na podłodze kundel z kawałkiem mięsa w zębach i pianą na pysku. I już wiesz, że mimo głodu nie możesz niczego tknąć.

Opowiadano o pewnym weterynarzu z Postomina, niejakim doktorze Scharzu, który zastrzelił swoją żonę, obie córki i wnuczki, a na koniec siebie. Miał do uchronienia pięć kobiet i uznał, że nie da rady. Intrygujące, że użył broni palnej zamiast trucizny, choć jako felczer musiał mieć do niej dostęp. Wszak śmierć od proszku czy płynu uchodzi za lżejszą niż od kuli. Swoją drogą, jaką trzeba mieć w sobie siłę, by ukochanej wnuczce przystawić lufę do głowy? Jaki straszniejszy od śmierci los tego dziecka miał przed oczami doktor Scharz, kiedy pociągał za spust? Podobno parę tygodni wcześniej chwalił się znajomym, że *Kreisamt* zezwolił mu wraz z rodziną wyjechać samochodem na Zachód, o ile zdobędzie odpowiednią ilość paliwa. Kiedy tego dokonał i udał się do urzędu po zezwolenie, benzynę mu zarekwirovano. Ktoś inny dzięki niej wyjechał do Rzeszy.

Polowanie na Niemców trwało całą wiosną, także po przejściu frontu. Bryczki z fantazją hulały po brukowanych drogach, udzielając Pomorzu przyspieszonej lekcji na temat prawdziwego oblicza tej wojny. Oblicza tutaj dotąd nieznanego lub wstydliwie przemilczanego. To Niemcy dotychczas byli zwycięzcami i gwałcicielami, to im przypadały prawa panów decydujących o tym, kto jest człowiekiem, a kto nie. Tyle ideologia. Goebbelsowska propaganda skutecznie odcinała tubylców od rzeczowej informacji, gdyż ta dla hitlerowskiej władzy byłaby zabójcza. Zamiast zawczasu ostrzegać i przygotować drogi ucieczki, radio i gazety prześcigały się w zapewnianiu, że jeszcze jest czas i że trzeba walczyć do ostatka. Władze lokalne wydawały formalne zakazy opuszczania miejsc zamieszkania i rozstrzeliwały za zdradę tych, którzy się nie podporządkowali. Karny Pomorzanie posłuchał i został. Kiedy front już przyszedł i zza lasu zagrzmiały działa, było za późno. Stanowcze władze nagle gdzieś się ulotniły, żołnierze dokądś wymaszerowali, redakcja lokalnej gazety opustoszała, radio zamilkło, pociągi przestały kursować,

sklepy się zamknęły, a pieniądź stracił wartość – państwo znikło. Zdechło. Rozwiało się w powietrzu jak mgła, razem ze swoją dętą ideologią. Zginęło i przepadło jak zmora. Odeszło w przeszłość niczym zły duch, by potem straszyć w historii.

Państwo znikło, a ludzie zostali. Jeżeli cokolwiek funkcjonowało, to nie dzięki sprawnym instrumentom administracyjnym, lecz zwykłej ludzkiej solidarności. Ona zawsze jeszcze działa, kiedy nie działa już nic. Sąsiad przechowa rzeczy, piekarz podeśle trochę chleba, znajomi na wsi załatwią kryjówkę albo trochę mięsa, inwalida przemyci list. A kapitan małego stateczku szkoleniowego czuje się w obowiązku ewakuować cywilów do ostatniej chwili, bez względu na rozkazy, pogodę i radzieckie okręty. Ignoruje buńczuczne pokrzykiwania partyjniaków, że miejsce na łodzi w pierwszej kolejności należy się im, i zabiera kobiety z dziećmi.

Ludzie zostali.

Wojna ma swoje prawa, powiedzą nauczyciele od sprawiedliwości. Inni dorzucą, że kto zaczął i przegrał, sam sobie jest winien. Pewnie tak. Łatwo osądzać, ponieważ akty oskarżenia sformułowano w sposób oczywisty i niepodważalny, a wina nie ulega najmniejszej wątpliwości. Pozostaje kara i ta ma być surowa. A jeśli nie całkiem rozumiesz i chciałbyś zapytać, dajmy na to, co łączy zmasakrowaną pomorską dziewczynę z Hitlerem i Goebbelsem, to zostaniesz pouczony, że łączy ich ideologia Narodu i Naczelowika, która doprowadziła do zbrodni. A jeśli nadal nie rozumiesz i chciałbyś dopytać, czy każda ideologia Narodu jest zbrodnią albo czy ktoś tę dziewczynę pytał, co sądzi o męskich projektach Narodu i Naczelowika, dowiesz się, że na takie pytania nie ma miejsca w czasach Zagłady, a zło trzeba wypełnić. Małego Żyda w Treblince również nikt nie pytał, czy na pewno identyfikuje się z żydostwem. Kiwasz głową, aha. Wojna ma swoje prawa.

Pomorska dziewczyna jednak nie daje ci spokoju.

Miejscowi uciekali promami, stateczkami turystycznymi, kutrami rybackimi, łodziami – czym się dało. Byle wydostać się z rodzinnej ziemi, która z dnia na dzień przestała nią być. Wejście na pokład bynajmniej nie

kończyło uchodźczej hekatomby, rozpoczynało tylko następny jej etap. Należało jeszcze dopłynąć do niemieckiego portu, pokonując wzburzony w tamtych dniach Bałtyk i omijając radzieckie okręty podwodne, które również zajmowały się polowaniem. Port docelowy w Świnoujściu nie oferował żadnych komfortowych rozwiązań, zwykle uciekinierzy lądowali w obozach przejściowych, a po wejściu Armii Czerwonej byli odsyłani z powrotem na Pomorze. A tam – znowu polowanie z nagonką.

W polowaniu tkwi taka przykra nieuczciwość, że szanse od początku są nierówne. Jeśli polują na siebie dwa okręty podwodne albo strzelają do siebie czołgi dwóch armii pancernych, to sytuacja ma w sobie znacznie więcej z uczciwego starcia, ale też dlatego nie nazywa się jej polowaniem, tylko bitwą. Bitwa ma potencjał historyczny, świetnie się nadaje do kronik i podręczników, a jej uczestnicy mogą zostać bohaterami, i jako zwycięzcy, i jako przegrani. Na polowaniu zwykle nie ma bohaterstwa. Jeden ucieka, drugi do niego strzela – i tyle. Do bitwy obie strony przystępują z nadzieją na pokonanie przeciwnika, nadzieją na triumf. Na polowaniu nie ma przeciwników, a triumf z góry przypisany jest jednej ze stron. Ta druga może co najwyżej próbować przeżyć.

Choćby na chwilę.

4

Niewielki statek motorowy „Regulus” odbijał od nabrzeża w Rügenwaldermünde, późniejszego Darłówka, 6 marca wieczorem. O godzinie dwudziestej drugiej kapitan Rudolf Mielke krzykiem i groźbami zmusił swoich marynarzy do zamknięcia barierek przed napierającymi uciekinierami i do wciągnięcia trapu. W przeciwnym razie nie odpłynęliby nigdy albo zatonełiby wskutek przeciążenia tuż po wyjściu z portu. Na Bałtyku huśtała wysoka fala, wiał mroźny wiatr i zacinał ostry jak opiłki żelaza śnieg – czas do wyciągania rozbitków z wody był naprawdę niedobry. Kapitan uznał, że skoro już załadował tyle rodzin z dziećmi i dał im nadzieję, to nie powinien ich lekkomyślnie narażać. Wszystkich nie

zabierze, a tych, którzy już są na pokładzie, powinien za wszelką cenę przetransportować do Świnoujścia. Musi być surowy, żeby być dobry. Takimi argumentami tłumaczył się sam przed sobą, odwracając wzrok od wypełnionego tłumem nabrzeża w niewielkim pomorskim porcie. W miarę oddalania się krzyki i wołania kłębiących się na brzegu ludzi cichły jak śpiew świerszczy letniego wieczora. Ich biegające figurki malały i malały, aż całkiem znikły. Lada chwila wkroczą Rosjanie i o tym kapitan w ogóle już wolał nie myśleć.

Statek ogarnęła noc czarna jak wody Lete. Gdziekolwiek tylko rozbłyskiwały salwy armatnie, jedne na lądzie, inne na wodzie, i kapitan czytał z nich jak meteorolog z chmur, że zapowiada się bardzo uciążliwa przeprawa. Jego szkoleniowy stateczek o niewielkim zanurzeniu miał szansę prześliznąć się blisko brzegu, o ile wygaszą wszystkie światła i będą udawać, że go nie ma. Co stwarzało nowe problemy, ponieważ w tej samej przybrzeżnej strefie próbowały przemknąć na zachód kutry rybackie i małe motorówki, a nawet łodzie wiosłowe. One również wygasily światła pozycyjne. Bez włączonych szperaczy istniało niebezpieczeństwo staranowania którejś z nich.

Najpierw załadował uciekinierów z Prus Wschodnich, niektórych z całym dobytkiem, czyli wszelkimi możliwymi zwierzętami domowymi, a nawet zaprzęgami konnymi. Całe to towarzystwo kwiczało teraz i ryczało, gęgało i gdakało, parskało i rżało na potęgę. Kapitan pomyślał o arce Noego. Przyszło mu również do głowy, że nawet jak wyłączy wszystkie światła, wróg namierzy ich po dźwiękach. Albo i po zapachu. Gdyby wcześniej wiedział, jak będzie wyglądać sytuacja w Rügenwalde, nie pozwoliłby ładować całej tej menażerii i miałby więcej miejsca dla ludzi.

Pierwszemu oficerowi nakazał pozostanie w kabinie sterowniczej i zszedł na dolny pokład z zamiarem uciszenia rozkwiczanej gawiedzi. Ponieważ większość światel wygasili i świeciły się tylko słabe jak kaganki lampki alarmowe, oświetlał sobie drogę kieszonkową latarką, by nikogo nie nadepnąć. Statek miał trzy pokłady i na wszystkich tłoczyli się ludzie z tobołkami, koszykami i niemowlętami śpiącymi w zawiniątkach przy

piersi. Pozdrawiali go uniżenie i dziękowali za pomoc, a on odpowiadał uprzejmie i szedł dalej, starając się nie patrzeć im w oczy. Coraz trudniej znosił widok tych zmęczonych i przerażonych twarzy, na których oprócz nieszczęścia malowało się pytanie: dlaczego? Podczas poprzednich rejsów usiłował jeszcze coś tłumaczyć uciekinierom, przekonywać ich o chwilowości pewnych rozwiązań i o rychłych zmianach na lepsze. Wiedział, że kłamie. Czego się nie robi, by podnieść na duchu zgnębionych? Teraz odpuścił i mijał ich w milczeniu. Kłamstwa demaskowało najprostsze ludzkie doświadczenie, a prawdy powiedzieć nie mógł. Brutalnej prawdy, że są najmniej winni, ale płacą najwięcej, bo taka jest zasada wojen. Władza zaciąga dług, a ludzie muszą go spłacać. Autorzy obłąkanego projektu narodowosocjalistycznych Niemiec pewnie też już szykują się do ucieczki, tylko lepiej zorganizowanej i za znacznie większe pieniądze, dzięki czemu uciekną dalej. Bardzo daleko. A oni tutaj, biedni pomorscy chłopcy, wylądują raptem jakieś dwieście albo pięćset kilometrów na zachód od swoich siedzib, jako niemile widziani intruzi, i trzeba się będzie z nimi podzielić mocno okrojonym niemieckim plackiem. Wylądują zdziesiątkowani, bez majątków, które właśnie grabią rosyjski żołnierz i polski cywil, bez synów, których kości zostały na Wschodzie, i bez córek, których pohańbione ciała zalegają w splądrowanych domach i przydrożnych rowach. W dodatku nie będą mieli prawa się skarżyć, bo sami są sobie winni. Głosowali, machali chorągiewkami, podnosili ramiona w górę i krzyczeli: *Heil Hitler!* – są winni.

Nie, takiej prawdy nie mógł im powiedzieć.

Na rufie para koni pociągowych stała spokojnie przy wozie, z workami obroku przypiętymi do pysków. Mielke poklepał po karku smutnego siwka. A jaka jest twoja prawda, stary? Jest ci całkiem obojętne, komu ciągniesz furę z sianem, czy jednak niekoniecznie? Wolałbyś być koniem jakiegoś innego chłopca, co? Służyć u takiego, dajmy na to, hiszpańskiego *campesino*, bo w Hiszpanii jest dużo siwków i nie ma naszej wojny, tylko jest całkiem inna, domowa, gdzie nie zabijają koni, lecz wyłącznie ludzi. Albo w Anglii u ponurego peasanta, ale za to bez frontu za domem i całych

gór mięsa armatniego. No, powiedz coś, pocziwino, nie żuj bezmyślnie jak krowa.

Koń szarpnął workiem, co być może stanowiło próbę odpowiedzi, ale kapitan nagle go odepchnął. Za końskim łbem na czarnej wodzie Bałtyku zamajaczyła pomarańczowa plama. „Regulus” płynął jakieś pięćset metrów od brzegu, blisko i niebezpiecznie jak na jego wyporność, na granicy zarycia w mieliznę. Pogoda była zła, a światła wygaszone, statek szedł powoli i na niskich obrotach, by utrudnić wykrycie. Dlatego Mielke mógł się dobrze przyjrzeć. Przed dziobem po prawej kołysała się łódka. Kapitan spędził na rozhuśtanych pokładach wystarczająco wiele lat, by odróżniać łódź płynącą od dryfującej. Ta dryfowała. Ustawiała się do fali raz dziobem, raz bokiem, a raz po skosie, co oznaczało, że nikt nią nie steruje. Wiosła zwisały bezwładnie. Ponadto kolor pomarańczowy oznaczał szalupę ratunkową, a taką nawet przy największym uchodźczym szaleństwie raczej nikt by się z Pomorza do Meklemburgii nie wybierał. Miał przed oczami rozbitków. Dwie osoby, jeśli go wzrok nie mylił.

Zanim Rudolf Mielke pomyślał, co robi, już biegł. Nie zważał na to, że depte po nogach ludzi, którym jeszcze przed chwilą uprzejmie się odkłaniał. Byle zdążyć. Gdyby ktoś go zatrzymał i spytał, do czego chce zdążyć, pewnie nie umiałby odpowiedzieć. *Halt!* – wrzeszczał do podwładnych w sterówce. *Rückwärts!* Stać! Cała wstecz! Pasażerowie ucichli i z przejęciem niepozobawionym niepokojem obserwowali kapitana, który miał ich uratować, a teraz biegał i krzyczał jak szalony. Nie obchodziło go to. Ważne, że posłusznie się odsuwali. Kiedy wpadł do sterówki, statek wytracił prędkość prawie do zera. Nakazał spuścić szalupę i łamiąc zasady bezpieczeństwa, przekazał dowództwo swojemu zastępcy. Wraz z dwoma marynarzami przy wiosłach wypłynął szukać szalupy z rozbitkami. Jeśli jej nie staranowali, powinna być niedaleko za nimi, w bezpośrednim zasięgu.

Wkrótce ją odnaleźli. Kołysała się bezwładnie, a wraz z nią dwie skulone postacie, siedzące na dnies między ławeczkami. Kiedy zdołali się z nią szepić i kapitan z trudem przeszedł na szalupę, zaklął pod nosem. Dotknął

skóry na ich twarzach tylko po to, by potwierdzić bezcelowość swoich ryzykownych poczynań. To były trupy dwóch mężczyzn. Pierwszy miał na sobie rybacką kapotę i prawdopodobnie zginął od ciosu ostrym narzędziem w pierś, ponieważ w sztormiaku ziała dziura, a podłoga wokół była zalana krwią. Drugi zmarł z wyziębienia. Ktoś go wyciągnął z wody i posadził, żeby umarł na mrozie.

Holowanie szalupy byłoby w tych warunkach skrajnie niebezpieczne, zabieranie ciał na statek – pozbawione sensu. Po krótkim namyśle kapitan postanowił zostawić ich na pastwę morza i pogody, a marynarzom nakazał traktować to jako skrócony morski pochówek. Sprawdzał tylko kieszenie w poszukiwaniu dokumentów, które mogłyby potwierdzić tożsamość nieboszczyków. I wtedy się zdziwił. Zmarły tulił pod płaszczem tobołek, który okazał się dzieckiem. Dziewczynka była ciepła. Kapitan ostrożnie wydobyl ją ze sztywnej skorupy, owinął kurtką i przeniósł na swoją łódź. Przystawił policzek do sinych ust. Oddychała. Marynarze natychmiast zaczęli wściekle wiosłować, a on pokrzykiwał na nich i przyciskał małą do piersi, usiłując ogrzać ją własnym ciałem. Prosił jasne i ciemne duchy Bałtyku, by pomogły jej przeżyć.

Pomogły. Po godzinie ogrzewania i nacierania odzyskała przytomność. Sina twarzyczka nabierała rumieńców. Dziewczynka patrzyła na kapitana wielkimi czarnymi oczami, jak patrzy małe przerażone zwierzątko, które nie rozumie, co się dzieje.

– Gdzie... je...stem? – spytała.

– Na statku „Regulus”, płyniemy do Swinemünde. Ja jestem kapitanem i nazywam się Rudolf Mielke.

– Gdzie... jest... ma...ma?

– Później – powiedział ostrożnie. – Będzie jeszcze czas na rozmowę.

Rozejrzała się po sterówce.

– A... ba...bcia?

– O bliskich porozmawiamy później – perswadował najłagodniej, jak potrafił. – Najpierw powiedz mi, jak ty się nazywasz.

- Hei...ke.
- Heike, świetnie. Heike jak?
- Lieb...ner. Czy...Gerda wró...wró...wróciła?

5

Dokument zaświadcający o inwalidztwie jej syna Johanna przydał się do wejścia na teren portu i na tym jego przydatność się wyczerpała. Wchodząc na most zwodzony, Henrietta Liebner czuła na plecach wzrok sąsiadów. Na nabrzeżu za mostem panowało prawo bogactwa i pięści, znakomicie ilustrujące rozpad struktur państwa w wymiarze lokalnym. Przysłowiowa pruska subordynacja wystawiona była na próbę przez dziki strach przed bolszewikiem, którego armaty grzmiały parę kilometrów od miasta, przez niedobór statków ewakuacyjnych i ciągle ich spóźnienia, wreszcie przez arogancję miejscowych dygnitarzy, grożących bronią i żądających pierwszeństwa w imię Hitlera i partii, choć to właśnie Hitlerowi i partii uciekinierzy zawdzięczali to, co ich teraz spotykało.

W czasie dwóch kolejnych zaokrętowań rodzinę Liebnerów zepchnięto na koniec kolejki i po kilku godzinach nadal znajdowali się w Rügenwaldermünde, a ostatni dzień niemieckiego świata w tym mieście właśnie dobiegał końca. Anna, Maria, Katharina i Lisa wraz z matką pilnowały dobytku, podczas gdy ojciec poszedł rozpoznać sytuację. Babcia Henrietta tuliła do piersi najmłodszą wnuczkę, osłaniając ją przed napierającą ze wszystkich stron ludzką masą. Dziecko cicho popłakiwało.

– Nie płacz – szeptała mu do ucha. – Dobrze, że czekamy. Jeszcze trochę i Gerda nas dogoni.

– Nieee – pochlipywała Heike. – Nigdy nas nie znajdzie. Ona tam zostałaaaa!

– Poszła na chwilę i zaraz wróci.

– Nieee!

Dziecko buchnęło płaczem, a babcia głaskała je i pomarszczoną dłonią ocierała dziecięce łzy. Heike miała rację, ale taką, której nie można było przyznać. Powrót Gerdy do portu, przedarcie się przez strażę przy zwodzonym moście i odnalezienie ich w tej chaotycznej masie ludzkiej wydawały się niepodobieństwem. Gerda tam została... To krótkie zdanie brzmiało jak wyrok śmierci. Było wyrokiem śmierci. A czegoś takiego nie można dziecku powiedzieć. Stara Henrietta Liebner przeżyła dwie wojny i wiedziała o człowieku wystarczająco wiele, by nie mieć złudzeń co do losu najstarszej wnuczki. Wiedziała również, że Gerda dokonała czegoś w rodzaju życiowego wyboru. Rozumiała tę dziewczynę. Ona też kiedyś była krnąbrną panną i lubiła stawiać na swoim, dlatego w decyzji Gerdy wyczuwała jakąś głęboką słuszność. Szczegóły tej dziewczęcej logiki jej umykały, ale rozumiała, że chodzi o takie pojęcia jak: dom, wierność, odpowiedzialność, utrata, wina, kara... Dobrze to czuła, bo i jej rachunek z życia wyglądał podobnie. Pomorze było wszystkim, reszta – niczym.

Najtrudniej było przekroczyć próg domu. Henrietta Liebner szła na wygnanie jak na śmierć, między jednym i drugim nie widziała specjalnej różnicy. Wcale by się nie zmartwiła, gdyby podczas ucieczki pochłonęło ją morze lub rozerwała na kawałki sowiecka bomba. Życie miała już za sobą. Co innego te dziewczynki, jej wnuczki, które powinny zostać dumnymi niemieckimi kobietami, a poniewierają się po zasypnym śniegiem nabrzeżu portu jak bezdomne kocięta. Nie, jednak widzi różnicę. Wygnanie jest gorsze od śmierci.

Cierpiała i wiedziała, że musi cierpieć. Takie są dzisiaj wielkie, narodowe rachunki Niemców. Taki jest człowiek i jego wojna. Człowiek...? Mężczyźni i ich samcze zapasy. Biorą się za łby jak pijani fornale pod szynkiem Grohlów, a potem one, kobiety, muszą płacić za całą awanturę. Ich winą może było tylko to, że pozwalały mężczyznom na te wszystkie wrzaski i hajlowania, że nie krzyknęły w porę: *Genug! Es reicht! Dosyć! Wystarczy!* Powinny były ich zatrzymać. Zamknąć w domach i zabronić latać na barbarzyński *Parteitag*, a w razie potrzeby dać ścierką po łbie, jak to się robi z niegrzecznymi chłopcami. Trzeba to było uczynić zaraz na

początku. Później emocje się rozhuśtały, mężczyźni ogłuchli i przestali myśleć. Zostało tylko złe oko i pięść. Potem przyszła krew, a z nią wina i kara.

Gerda była mądrą dziewczyną i chyba to zrozumiała.

Była...?

Dmuchał lodowaty wiatr od morza. Ludzie przepychali się tam i nazad, niespokojni, szukali jakiegoś wyjścia z sytuacji, choć żadnego wyjścia właściwie już nie było. Jej mąż, szacowny heindorfski *Bauer* Wilhelm Liebner, drzemał w kucki zrezygowany, opuszczony przez nadzieję jak większość ludzi na nabrzeżu. Poglądziła Heike po grubych warkoczach, które najstarsza siostra zaplotła jej przed wyruszeniem w drogę i których mała nie pozwoliła do teraz ruszać. Upierała się, że Gerda je zaplotła i tylko ona może je rozpleść. Nie wiem, dziecko, pomyślała Henrietta Liebner, kto ci teraz te warkocze rozplecie. Oby jakiś dobry człowiek. Uświadomiła sobie, że Gerdzie ona sama zaplatała włosy i już raczej na pewno nie będzie miała okazji ich rozczesać.

Zapadał zmierzch. Brał ostry mróz. Heike przyłożyła policzek do jej biustu i zamknęła oczy. Kobieta ją objęła i zanuciła kołysankę, którą kiedyś dawno sama słyszała od swojej babci:

Maikäfer flieg!

Der Vater ist im Krieg.

Die Mutter ist im Pommerland.

Pommerland ist abgebrannt.

Maikäfer flieg!

Pomorze spalone. Nie ma tamtego świata. Żadnego świata już nie ma.

– Idziemy! – szepnął jej do ucha syn Johann, który wyrósł nagle jak spod ziemi. – Zbierajcie się, szybko!

Potrząsał nimi wszystkimi po kolei, budząc z uchodźczego odrętwienia.

– Dokąd? – spytała syna. – Przecież żadnego statku nie ma.

– Jest! Załatwiłem dla nas statek. Zaraz odpływa. Raz-dwa!

Kuśtykał na swoim przestrzelonym kolanie i poszeptywał z dumą o załatwieniu transportu do Swinemünde, ładując na plecy cięższe tobołki. Większość rzeczy musieli zostawić za mostem.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – spytała, podnosząc się z uśpioną przy piersi małą Heike. Odburknął, że przecież muszą się wydostać, nie będzie tu siedział z dziećmi całą wieczność.

– Niech mama patrzy. – Zniecierpliwiony pokazał na tłum wzdłuż nabrzeża. – Nigdy się stąd nie wydostaniemy. Musimy inaczej.

– Jak?

– Zobaczysz mama.

Wyczuła jego wahanie, zwiniętą jak wąż na dnie serca wątpliwość, czy dobrze robi, ale przed nią nadrabiał miną. Był jedynym synem i całe życie musiał przed matką zdawać egzamin z odpowiedzialności. Teraz też udawał twardego człowieka. Ciągnął ich za sobą, idąc za obcym mężczyzną w rybackiej pelerynie. Pewny siebie i stanowczy, jak oni wszyscy. Tylko im ojczyznę dać na sztandary i karabiny do ręki, a nieszczęście gotowe, pomyślała.

– Ile zapłaciłeś? – spytała, kiedy już przepchnęli się przez ludzką ciżbę i zeszli z nabrzeża wąskim przejściem do sąsiedniego basenu, gdzie kołysały się dwa ostatnie kutry rybackie.

– Cii, później – mruknął. – Najpierw wsiądźmy. Bolszewicy pod miastem. Trzeba się stąd wydostać za wszelką cenę i jak najszybciej.

Mówił szybko, ale ani razu na nią nie spojrzął.

– Dobrze policzyłeś swoje dzieci?

Johann Liebner zagryzł wargi.

Mężczyzna w brezentowej kapocie przeprowadził ich na sam koniec niewielkiego basenu portowego i wskazał drugi z kutrów, niewielką łajbę o mocno obniżonych, beczkowato wygiętych burtach. Zarówno ona, jak i sąsiedni stateczek załadowane były ludźmi i rzeczami. Przy trapie stał chłystek w płaszczu wojskowym do kostek i czapce Hitlerjugend, z drewnianym karabinem na ramieniu. Wyglądał bardziej na przebierańca

niż prawdziwego żołnierza. Rybak wcisnął mu coś do garści i bezceremonialnie odsunął go na bok, każąc przybyszom ładować się na pokład. Był u siebie i ustalał własne reguły działania.

Z trudem znaleźli kawałek wolnej przestrzeni w części dziobowej i usiedli na swoich bagażach, Henrietta Liebner wciąż z wnuczką śpiącą na piersi i owiniętą w grubą chustę. Maria, Katharina i Lisa przyciskały się do swojej matki jak kurczęta do kwoki, Anna, która teraz była najstarsza, wyjęła z plecaka chleb i zaczęła kroić siostronom na kolację. Obaj mężczyźni oparli się plecami o burtę i szeptali mrukliwie między sobą. Jej mąż kiwał głową, jakby spokojnie zgadzał się ze wszystkim, co go spotykało. Był blisko i zauważyła, że raz i drugi zwrócił ku niej twarz, ale nie widziała jego oczu. Za to syn pilnował się, by nie patrzeć w jej stronę. Obaj świetnie wiedzieli, co zobaczą.

Burty trochę osłaniały od wiatru, ale znowu zaczął padać śnieg ograniczający widoczność. Oba kutry, upchane ludźmi do pełna, ruszyły w kilkuminutowym odstępie. Przy wyjściu z portu minęły się o włos z jednym ze statków ewakuacyjnych, który miał przybyć po południu, ale dotarł dopiero teraz. Na dziobie widniał napis: REGULUS i kobieta pomyślała, że to dobra nazwa. Lepsza niż RUG N7, jak stało napisane na ich małej łódce. Zbyt małej, sądziła, by dało się tym dopłynąć do Niemiec, zwłaszcza przy takiej pogodzie. Zawinęła się szczelniej w chustę i pocałowała ciepły policzek Heike. Noc. Ciemność.

Kiedy minęli latarnie u wejścia do portu, łódź skręciła na zachód i wbiła się tępym dziobem w ścianę czerni, przesłoniętej jak muślinem drobinami wirującego śniegu. Henrietta Liebner pomyślała, że wkraczają w piekło. To musi mniej więcej tak wyglądać. Obejrzała się, nabrzeże nagle znikło. Tylko białe światło latarni długo wisiało w powietrzu, znacząc miejsce, w którym zatonąła jej rodzinna ziemia. Noc. Ciemność. Tak jak na to zasłużyli.

Piekło jest połączeniem ognia i lodu. Przed nimi, nieco na prawo od kursu, zza lodowej kurtyny śniegu i wiatru coraz to błyskały czerwone płomienie. Łódź mocno huśtała się na falach, ludzie wkoło zaczęli narzekać

na mdłości, rozległy się nieprzyjemne odgłosy womitowania. Dziewczynki również przestały jeść i zaczęły się niespokojnie rozglądać. Ona miała inny problem. Długo się wstrzymywała, ale jej chore nerki dały o sobie znać narastającym tęnym bólem. Musiała wyjść. Ktoś jej powiedział, że mają prowizoryczną toaletę pod pokładem i schodzi się tam przez klapę przed sterówką. Wstała, rozwiązała chustę i wyjęła Heike, by przekazać ją na chwilę jej matce. Zobaczył to Johann i poderwał się.

– Ja ją wezmę – powiedział i wyciągnął ręce. W tym momencie całkiem blisko rozległa się eksplozja i w błysku żółtego światła Henrietta Liebner zobaczyła przed sobą rudy pysk statku. Szedł prosto na nich. Zdążyła rzucić dziecko w ramiona ojca i pomyśleć, że nie powinni wynajmować tej koślawej łodzi o brzydkiej nazwie. Usłyszała trzask pękającego drewna i krzyk ludzi. Grunt ujechał jej spod nóg, plecy zapiekły od nagłego chłodu i ból nerek zgasł. Wszystko gasło. Ostatnie, co widziała, to wybałuszone oczy małej Heike, otwarte usta, słowo, którego nie rozumiała. Powiedziała: „Życie” i umarła.

Johann Liebner wziął dziecko na ręce i w tym samym momencie runął na tłum ludzi, pchnięty od tyłu potężną siłą. Zanim zdążył się zdziwić, że dziecko może być takim ciężarem, świat odskoczył od niego i zniknął. Wylądował w wodzie. Prawą ręką przyciskał do siebie dziecko, lewą rozpaczliwie machał w poszukiwaniu zaczepienia. Woda była gęsta od mrozu i paraliżowała. Od nóg w górę ogarniał go sen. Lewa ręka sięgnęła jeszcze raz i zaczepiła się o twardą krawędź. Podciągnął się, ujrzał nad sobą okrągłą zakrwawioną twarz i pomyślał, że to diabeł go wita. Sen kołysał nim we wszystkie strony, lodowaty i nieubłagany, jego ciało zasypiało na zawsze. „Policzyłeś swoje dzieci?”, brzęczało mu w głowie. Uniósł ramię z dzieckiem i wtedy silne ręce szarpnęły go w górę. Upadł na deski. Znowu miał grunt pod nogami. Doczołgał się do ławki, ale już nie zdołał usiąść. Osunął się na dno i powiedział:

– Ona musi żyć. Gerda, Heike. Musi żyć...

Ale mówił do nikogo. Rybak w kapocie, któremu godzinę temu dał wszystkie rodzinne kosztowności w zamian za przewiezienie do

Swinemünde, siedział naprzeciwko z nieruchomymi oczami. Na piersi miał wielką krwawiącą dziurę. Ostatnim wysiłkiem wciągnął ich do łódki i umarł. Może wiedział, że nie budzi w ludziach zaufania, i dlatego za wszelką cenę chciał się wywiązać z umowy. Niemiecka solidność.

Johann Liebner przycisnął córkę do jeszcze ciepłego ciała, owinał płaszczem i zasnął.

6

Gerda spała głęboko. Przyszła do niej mała Heike, wśliznęła się pod kołdrę i przytknęła swoje stopy do jej zmarzniętych nóg. Lubiły się tak ogrzewać. Heike zawsze była ciepłutka i siostry żartowały, że mogłyby się kąpać w Bałtyku nawet zimą. Anna twierdziła, że powinny jej używać do podgrzewania wody na mycie.

– Nalewamy pełną balię, wkładamy Heike do środka, po pół godziny wyjmujemy i kąpiel gotowa! – wołała, udając głos spikera z radia, który reklamował krochmal do pościeli.

– Niech stoi w pokoju zamiast pieca – dodała Maria. – Oszczędzimy węgla.

– A przed spaniem niech grzeje łóżka – dołożyła swoje Lisa. – Zamiast gonić po domu bez sensu.

Heike zbierało się na płacz, więc Gerda szepnęła jej:

– Powiedz im, że możesz to robić, ale nie za darmo. Od każdego łóżka co wieczór cukierek, plus dwa za grzanie balii.

Dziewczynka rozpromieniła się i przystąpiła do negocjacji.

– Trzy! Za balię trzy cukierki! – zawołała, pokazując im trzy rozcapierzone paluszki. Sepłeniła, ponieważ właśnie wypadły jej dwa przednie zęby.

– Będzie z niej sklepikara jak nic – skwitowała Maria i wyszła z zadartym nosem. W zadzieraniu nosa była zdecydowanie najlepsza spośród wszystkich sióstr.

– Najmłodsze tak mają, zawsze wychodzą na swoje – dodała Anna. – Zobaczycie, jeszcze nas wszystkie sprzeda i przez resztę życia będzie żyła z procentów.

– A my? – zapytała Lisa, która najbardziej z nich wszystkich lubiła się bać. – Co będzie z nami? Wyrzuci nas z domu?

– My jesteśmy środkowe – odparła Anna, wzruszając ramionami. – Z nami zawsze będzie jakiś kłopot.

– Głupstwa gadacie! – oburzyła się Gerda. – Tak nie wolno.

– Zobaczmy – powiedziała Anna i odeszła do swoich spraw.

Niewiele z tego rozumiejąc, Heike na wszelki wypadek znowu się rozpłakała.

Gerda wyciągnęła rękę, aby ją uspokoić. Nagle przyszło jej do głowy, że wróżby Anny się nie sprawdziły, ponieważ to ona, Gerda, była teraz problemem numer jeden. Albo numer zero, jeśli uznali ją za zmarłą. Jej dłoń natrafiła na sztywne włosy. Gładziła je przez chwilę, nim uświadomiła sobie, że to psia sierść. Otworzyła oczy, wkoło panowała grobowa ciemność. No tak, grób. Przecież nie jest w domu, tylko w grobie. Śpi w grobie za domem Müllerów i czeka końca wojny. Właściwie skoro front przeszedł, to wojna w jakimś sensie już powinna się skończyć, przynajmniej tutaj. A tamci pewnie już są w Swinemünde albo jeszcze dalej, bo wybierali się do Hamburga, do cici Ingrid. Za siedmioma górami, za siedzioma rzekami. Po drugiej stronie baśni.

Poczuła silne parcie na pęcherz. Pamiętała jak przez mgłę, że wstawała w nocy za potrzebą (w nocy? tu nic innego nie było), może nawet kilka razy, i wracała po omacku do legowiska. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło. Mogło nie upłynąć nic, przecież czas się zatrzymał. Może w ogóle nie wstawała i jej organizm zaczął funkcjonować dopiero teraz, po przebudzeniu.

Z trudem stanęła na nogi, z szeroko rozkrzyżowanymi rękami, jak akrobatka na linie. Chodź, Reks, rzućmy okiem na świat.

Uniosła lekko klapę ziemianki i wilgotne powietrze dmuchnęło jej w twarz. Oddech życia. Przebudzenie. Z okiem przystawionym do wąskiej szparki obserwowała wieś. Nic się nie działo. Dotknęła palcem śniegu, był mokry. Marcowa odwilż na Pomorzu, jak znak od losu, że jednak coś się zmieniło. To jedno ją trzymało przy życiu w chwilach, kiedy chciała żyć: myśl, że coś się przecież musi zmienić. Niemożliwe, żeby tak zniszczyć jeden świat i nie zbudować na jego miejscu żadnego innego. A jeśli budowanie, to i ludzie. Jakiegokolwiek by się zdarzyły wojenne nieszczęścia i potworności, to przecież nie wszyscy są potworami! Wśród przybyszów, tych „nowych”, jak ich nazywał ojciec, muszą być normalni ludzie: kobiety, dzieci, księża, jakaś policja, która pilnuje porządku... Byle przetrwać przejście Rosjan i wyjść z podziemi na światło dzienne.

Podniosła klapę wyżej. Wiał marcowy wiatr, pachniało roztopami i daleką zgnilizną, jakby dla przypomnienia, że jedna odwilż nie czyni wiosny. Mimo to zeszła po Reksa i wytaszczyła go na powierzchnię, po czym sama wypełzła za nim i jak to miała w zwyczaju, przeleżała kilka minut w napiętym bezruchu. Cisza. Obejście Müllerów nieruchome jak pocztówka, nie licząc skapujących z dachu stodoły kropel. Idziemy, piesku?

Nie tak szybko. Usztywniona łapa spuchła i rozsadzała od wewnątrz opatrunek. Pies patrzył na nią ze smutkiem: zrób z tym coś, skoro już poświęciłaś się dla ratowania mnie. Odwinęła bandażę i przytrzymując temblak, zawinęła je ponownie, trochę luźniej. Nie umiała ocenić, na ile łapa się zrastała, a na ile tkwiła po prostu przy patyku i puchła. Jak długo zrasta się psia kość? No tak, nie wiedziała, ile czasu upłynęło od złamania, więc i pytać nie było po co. Dasz radę?

Pies pomerdał ogonem i polizał ją po ręce. Wyglądało, że dziękuje, może jakoś pójdzie.

Najpierw podeszli na podwórze domu Müllerów, ale oprócz intensywnego smrodu rozkładu nie natrafili na żadne oznaki życia. Trupie gnicie to też życie. Kwitło w całej wsi, mdlący odór unosił się w powietrzu. Nieodłączne tło i akompaniament, chór dopowiadający morał, wróżba przystawiona do jej losu. Nie widziała ani jednej żywej istoty, bo te żyjące

w procesach gnilnych Heinsdorf pozostawały niewidoczne. Postanowiła najpierw sprawdzić, co u Weidemannów. Wrócili jako pierwsi i cieniutką nitką łączyli ją z przeszłością. Im bardziej zbliżała się do ich zagrody, tym wolniej i mniej pewnie stawiała kroki. W trupim milczeniu wsi nic się nie zmieniało, a przecież jeśli żyli...

Na podwórku mnożyły się ślady końskich kopyt i fantazyjne esy floresy od kół bryczki. Znalazła ich w komórce, wszystkich troje. Starzy Weidemannowie leżeli na podłodze wokół stołu, z przeciętymi nadgarstkami, z których wylały się tłuste kałuże krwi. Luise wisiała na sznurze umocowanym do powały. Miała na sobie odświętną wełnianą sukienkę w zielono-czerwoną kratę z białym kołnierzykiem. Wystroiła się na śmierć. U jej stóp leżało przewrócone wiadro, czyli zrobiła to sama. Pewnie zdecydowała się, kiedy usłyszała na podwórzu pijane krzyki oprawców, może nawet tych samych, co poprzednio, i wolała śmierć od przechodzenia przez to drugi raz. Jej poczerwiała twarz z opuchłym językiem między zębami mówiła, że to stało się już jakiś czas temu. Goście z bryczki nie poprzestali na rozczarowaniu. Plądrowali z nawyku lub po prostu ze złości, że ktoś tak bezczelnie ośmielił się im wymknąć.

Z przytkniętą do nosa chustką wybiegła z komórki. Znowu ten łomot w skroniach. Nic już nie ma. Ostatnia nić przeszłości właśnie pękła. Przestań wracać. Reks czekał na podwórzu z łbem wpatrzonym w bramę. Już się nauczył, że oni przybywają stamtąd. Ochłonęła, przetarła twarz i rozejrzała się po spalonej okolicy. Nie zauważyła żadnych oznak życia. Czyżby Weidemannowie powrócili jako jedyni? Niemożliwe. Skoro Niemcy dostali nakaz powrotu do domów, to ktoś oprócz nich powinien się tu pojawić. Jeszcze poczeka, jeszcze da sobie... nadzieję? Dziwne słowo.

Skoro rodzice z siostrami nie wrócili, to powinni już być dawno w Hamburgu, albo i dalej. Na co by miała czekać? W rozmowach dorosłych tuż przed ucieczką powtarzał się temat utrzymania Pomorza w niemieckich rękach. Że jeszcze nic nie jest rozstrzygnięte, że państwa zachodnie na pewno zrobią wszystko, aby zachować wschodnie ziemie przy Rzeszy. Słuchała tego jednym uchem i nie ośmielała się wypowiedzieć głośno

nurtującego ją pytania: co oni właściwie rozumieją pod słowem „Rzesza”? Przecież to państwo właśnie upadało i dogorywało pod naporem obcych wojsk. Jaka Rzesza? Skoro bili nas ci, których wcześniej sami chcieliśmy zetrzeć z powierzchni ziemi, to byłoby dziwne, gdyby teraz nie zrobili tego samego. Polacy na przykład. Zatrudnialiśmy ich tutaj, w pomorskich gospodarstwach, jako pracowników najemnych, a od początku wojny również jako robotników przymusowych. Tak to się nazywało, *Zwangsarbeiter*, i wcale nie należało do określeń sympatycznych. To ktoś w rodzaju niewolnika. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby teraz Polakom zachciało się zrobić z Niemcami to samo. Z ich punktu widzenia byłaby to całkiem zrozumiała forma zadośćuczynienia, może nawet sprawiedliwości. Teraz Niemcy powinni trochę popracować u Polaków. Kto wie, może po to kazano im wracać do swoich domów. Będą teraz parobkami we własnych gospodarstwach, a Polacy z historyczną satysfakcją pogonią ich do roboty...

Męczył ją brak poczucia czasu. Nie wiedziała, który jest dzień, i nie miała skąd się dowiedzieć. Radio nie działało, zresztą ich odbiornik zniknął, jak większość rzeczy przedstawiających jakąkolwiek wartość. Podobnie zegary, nawet te największe, zresztą i tak żaden z nich nie miał automatycznego kalendarza. Pamiętała, że co najmniej dwa razy wyglądała z ziemianki i raz było ciemno, a raz jasno. Zjedli wszystkie zapasy, które miała wyliczone na co najmniej tydzień, jednak mogło minąć więcej czasu. Albo mniej. Z płacht topniejącego śniegu próbowała ustalić, jak długo trwa odwilż, ale i ten sposób wydał jej się bardzo zawodny. Ciała Weidemannów spoczywały w komórce, tyle że nieogrzewanej i przy mroźnej pogodzie, więc mogły tak leżeć w dobrym stanie (brrr, co za ohydne wyrażenie!) przez dobre kilka dni. Po jakim czasie czernieje język i śmierdzi padliną?

Fuj, ohyda.

I dlaczego tu ciągle nikogo nie ma?

Odpowiedział jej Reks, który nagle zastrzygł uszami i pokuśtykał ku bramie. Od strony wsi toczył się po bruku wózek, słychać było kroki podkutych butów. Wskoczyła do stajni Weidemannów i przez małe okienko z krowiej obory zerknęła na ulicę. Trzech młodych mężczyzn pchało wóz

załadowany zrabowanymi rzeczami. Szli szybko, zmierzając do konkretnego celu. Mówili po polsku, na wozie zatknęli biało-czerwoną flagę. W jednym z nich rozpoznała chłopaka, który pracował u Stubenauerów i nazywał się Staszek Kulik. Nie lubiła go, źle mu z oczu patrzyło. Unikala go, ale zauważyła, że parę razy jej się przyglądał. Ponuro. Na jego usprawiedliwienie mówiła sobie, że pewnie gdyby sama pracowała pod przymusem u jakichś cudzoziemców, też by była ponura.

Jak przewidywała, zatrzymali się przed domem Stubenauerów. Zatknęli flagę na bramie i weszli do środka. Nie wiedziała, czy ma się bać. To nie czerwone diabły z sowieckiej armii, tylko zwykli cywile, Polacy, którzy przyszli sobie zabrać trochę niczyich już rzeczy. W dodatku znajomi. Argument brzmiał sensownie, ale żołądek odpowiedział na niego nagłym skurczem strachu. Znalazła się tu kompletnie sama, a tuż obok trzech młodych mężczyzn zajmowało się czymś może i dopuszczalnym, jednak trochę podłym. Nikt nie lubi być przyłapany na podłości. W dodatku była Niemką, a Niemcy mieli Polakom teraz zapłacić za wszystkie krzywdy wojny. Taki nastał czas. Nie, nie będzie wychodzić. Ucieknie. Musi tylko zawołać Reksa. Zobaczą go i...

W progu stajni nagle pojawił się cień. Odskoczyła od okienka, jednak drogi ucieczki już nie miała. Przykucnęła w rogu stajni i zasłoniła twarz. Między palcami widziała zbliżającą się sylwetkę. Pod światło nie rozpoznawała twarzy, ale przy nodze intruza biegł zadowolony Reks. Cieszył się, że przyprowadził kogoś znajomego. Dlatego nie szczekał.

– Tu jesteś – powiedział chłopak chropawą niemczyzną. – Co za niespodzianka.

Powiedział „yberaszung”, kalecząc umlaut, jak to często robili Polacy. Tak, dla niej to też była niespodzianka. Ze wszystkich znanych jej robotników przymusowych tego akurat najmniej miała ochotę spotykać.

– Staszek – powiedziała słabym głosem.

– Pamiętasz moje imię, to dobrze. Szukałem cię, Gerda.

Twarde, warczące, polskie „r”. Mógł to powiedzieć trochę cieplej, przynajmniej uczepliaby się jego słów i szukała w nich tej głupiej nadziei,

której od tyłu już dni tak potrzebowała. Ale on tego nie powiedział, tylko wychrypiał. Podszedł i wyciągnął rękę.

– Chodź. Bez strachu, nic ci nie da.

Mówił trochę nieporadnie, kulawo, z trudem rozumiała. Stał przed nią, blokując jej drogę – nie miała szans się wymknąć. Była w pułapce. Spojrzała w obie strony, szybko, nerwowo, on uchwycił jej rozpaczliwy wzrok i zrobił jeszcze krok. Stał tuż przy niej, poczuła zapach wiatru, wilgoci i czegoś kwaśnego. Pies merdał ogonem, jakby chciał potwierdzić słowa polskiego parobka Stubenauerów.

Wtedy na jej ciało spłynęła ulga. Przyszło. Musiało nadejść prędzej czy później, wiedziała od początku. W jakimś sensie nawet na to czekała. Nigdy już nie dogoni swojej rodziny w porcie i nie odpłynie z nią do Niemiec, ponieważ w głębi duszy nigdy do Niemiec odpłynąć nie chciała. Ta baśń nie ma szczęśliwego zakończenia. Mogła uciekać, mogła zostawać, mogła schodzić pod ziemię – dla niej istniały tylko zakończenia nieszczęśliwe. Nie da się żyć w świecie, którego nie ma. A poza nim można tylko umierać. Przycisnęła do siebie torbę na jedzenie, w której wyczuła pod palcami płaski zeszycik. *Und da weisst du auf einmal – das war es*, wyszeptała. „I nagle wiesz – to już kiedyś było”.

I spłynął na nią spokój skazańca, który stoi na szafocie, a nóż gilotyny z szelestem podjeżdża do góry.

– We wsi nikogo nie ma – powiedział chłopak, sądząc, że czyta w jej myślach. To kwaśne to był niestrawiony alkohol. – Weidemannowie wrócili, widziałem ich. – Pokazał głową za siebie. – Reszta wsi pod wodą.

– Co? – jęknęła. – Jak to pod wodą?

– Dwa kutry, zderzenie, wszyscy zginęli.

– Wszyscy? A... a moi? Liebnerowie?

– Jak wszyscy, to wszyscy. Koniec. Cały Heinsdorf.

– Ale... – Nie wiedziała, co powiedzieć. – To niemożliwe!

– Możliwe. – Ujął ją za nadgarstek. – *Komm, Gerda*. Teraz będzie inaczej.

Energicznym szarpnięciem postawił ją na nogi. Wykręcił jej nadgarstek i pociągnął za sobą. Prowadzona za rękę jak dziecko traciła rozeznanie, co się dzieje. Widziała tylko wielkie fale Bałtyku, tańczące łódki i czarne oczy małej Heike.

Kiedy wyszli na podwórze, dwaj koledzy Kulika wykrzyknęli z radości. Na rękawach nosili biało-czerwone opaski.

– Uuu, słodczye idą! – zawołał jeden z nich, niski i dziobaty na twarzy. – Nareszcie konkretna zabawa!

– Zamknij się, Kliszu – zgasił go Staszek. – Ona jest moja.

– Aaa, to przepraszam. To my z Różą grzecznie poczekamy.

– Żadne, kurwa, czekamy! Powiedziałem, że jest moja!

– Dobra, dobra. W takim razie walniemy po kapucynku, co, Róża?

– Uhhh – mruknął Różański, gapiąc się spode łba na Gerdę.

Nie rozumiała, o czym mówią, wychwyciła jedyne znane jej słowo „kurwa”, które parobcy wykrzykiwali przy każdej okazji, a które jej kojarzyło się z zakrętem. Język polski brzmiał dla niej jak szum deszczu wśród suchych, jesiennych liści. Kulik mówił niskim, basowym głosem. Wyglądał na najstarszego i najsilniejszego.

– Spierdalać do stodoły na sianko i nie przeszkadzać. A ty chodź.

Pociągnął ją na podwórze Stubenauerów. Przeszli, lawirując między rozrzuconymi narzędziami, minęli zagracony hol i poprowadził ją schodami na górę. Szła jak zahipnotyzowana. Przed jej oczami tańczyły łodzie na bałtyckich falach, ludzie wpadali w odmęty, machali rękami i sztywni znikali w głębinie. Było jej zimno od lodowatej wody, wstrząsnął nią dreszcz. Ktoś krzyczał, ktoś błagał, ale głosy pochłaniała czarna noc. Czarna jak oczy jej najmłodszej siostry. Heike zawsze była ciepłutka i nagle przyszło jej do głowy, że nie utonęła, bo mogła ogrzać zimną wodę wokół siebie.

– Wszyscy? – spytała, stąpając po schodach.

– Co?

– Wszyscy zatonęli?

– Tak.

Wprowadził ją do pokoju Ottona i zamknął drzwi. Zabawki zgarnął na podłogę i wygładził kołdrę.

– Zdejmij ten płaszcz – powiedział, zrzucając z siebie kurtkę i sweter.

– Nie – zdołała wyksztusić. – Staszek...

– No już. To nie boli tak bardzo.

Pokręciła głową, a wtedy uderzył ją w twarz. Upadła na łóżko. Pochylił się nad nią. Zacisnęła powieki. Byle szybko umrzeć.

IV

Ziemia niczyja

luty 2018

1

– Andrzej, jesteś pewien, że w tej historii chodzi o Gerdeę Liebner? – spytał Lucek.

Jechali autostradą na Wrocław, która jest nudna i trzeba ją czymś wypełnić. Krzycki obiecał oddać kierownicę dopiero za Piłą, więc Bałyś wiercił się na siedzeniu, podjadał chipsy z torebki, przełączał stacje radiowe, jakby to była gra zręcznościowa, bębnił palcami po podłokietniku i co jakiś czas zerkał z dezaprobatą na prędkościomierz.

– Gdybym był pewien, tobym nie jechał – odparł Andrzej. – Przeciwnie, jestem pewien, że chodzi o coś więcej.

– O co?

– No właśnie gdybym wiedział, tobym nie jechał.

Lucek z hałasem schrupał chipsa o smaku cebulowym.

– Kurde, ty jesteś mistrz jasności, naprawdę. Nie mógłbyś po prostu odpowiedzieć na pytanie?

– Przepraszam. To trudne rejony. A jaką chcesz odpowiedź: łagodną, średnią czy ostrą?

Lucek przyjrzał się krytycznie torebce chipsów.

– Najpierw łagodną.

– Jedziemy pomóc Heike Liebner wydostać się z aresztu i odnaleźć szczątki jej siostry.

– Jak bracia Daltonowie. Przywiążemy kratę więzienną do siodła i heja! A potem z łopatami do lasu i kopanko. „Czemu wciąż dręczysz mnie, córko grabarzaaa” – zabuczał Lucek basem. – To teraz średnią.

– Ze śmiercią Kały nie skończył się brudny handel pomorską ziemią – odparł Andrzej, zjeżdżając do bramki w Gliwicach. – Farmy wiatrowe powstają i jeszcze długo będą powstawać. A także żwirownie, obwodnice, nadmorskie apartamentowce, wiesz, cały ten milionowy badziew, od którego pewnym ludziom sny mienia się na złoto. Daję głowę, że kancelaria Smuta & Wądlík maczała palce we wrobieniu Heike Liebner. Po co? Z jakiegoś powodu odpowiedź na to pytanie mnie jara. Ciebie nie?

– Nie. Kancelaria Smuta & Wądlík źle mi się kojarzy. Poproszę ostrą.

– Na pewno?

– Czekam na nią od początku. Tamte to były rozbiegówki.

– Jedziemy po śmierć.

Komisarz Bałyś otworzył usta i zaraz je zamknął. Przełknął resztki chipsa i starannie złożył torebkę, usiłując stłumić drażniący szelest, co, jak wiadomo, jest nie do zrobienia. Przyglądał się Andrzejowi, gdy ten z obojętną miną otworzył okno, pobrał bilet, wsunął go w kieszonkę na piersi i ruszył dalej. Cisza, która zapadła w samochodzie, widocznie mu sprzyjała, ponieważ białe volvo S60 zaraz za bramkami ostro przyspieszyło i z nieznanym mu jeszcze przed chwilą uniesieniem zaczęło wyprzedzać inne samochody. Lucek popatrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem.

– Andrzej, słuchaj... – zaczął, ale przygryzł dolną wargę i zamilkł. Ciężarówki na prawym pasie przelatywały do tyłu jak drzemiące garbate muły, które dopiero zamierzają ruszyć z miejsca. W końcu spytał: – Czemu nagle przyspieszyłeś?

– Żebyś się rozchmurzył – odparł Andrzej, bębniąc z zadowoleniem po kierownicy. – Zmarkotniałeś, jakbym powiedział coś smutnego. Nie chcesz umierać?

– Teraz nie.

– A kiedy? Chcesz żyć wiecznie? Przecież to koszmar. Nie mówiąc o tym, że to zupełnie błędne myślenie. Najprawdopodobniej brakuje ci mikroelementów w mózgu. Zmień dietę. Polecam gów... wątróbkę cielecą z zozolami.

Nie czekając na reakcję pobladłego przyjaciela, roześmiał się głośno i klepnął go w ramię.

– Sorry, żartowałem.

– Nie smakowało ci, co? – spytał Lucek cicho. – Szkoda. Naprawdę się starałem. Połączenie wątróbki, malin i ananasa wydawało mi się tak samo odjechane jak twoje rozterki duchowe. No dobra, miszyn fejd – zakończył z przygnębieniem.

– Co ty, fajna była! Patrz, jak mi się poprawiły parametry egzystencji. Uśmiecham się, żartuję, popylam dwieście na godzinę i jeszcze nabrałem ochoty na te ziemniaczane wkładki do butów, co je tam miętosisz między kolanami. Daj trochę.

Wyjął Luckowi neurotycznie poskładaną torebkę i wepchnął kilka chipsów do ust. Żuł je z nieukrywanym zadowoleniem.

– Ciesz się, że nie zrobiłem ci haggisa – odgryzł się Lucek.

– Czego?

– To owczy żołądek wypchany kaszą, śrutem i zamokłym prochem strzelniczym. Szkocki przysmak. Doskonały na wyleniące smoki.

– Brzmi ciekawie. Poproszę następnym razem.

Przybili piątkę i pomilczeli przez chwilę.

– Andrzej, słuchaj... – Lucek ponownie podjął próbę wyeksplikowania swej kwestii. – Bo chciałem na chwilę wrócić do tego, co powiedziałaś. Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem z tą śmiercią. Chodziło ci o kolejne ofiary w tej pomorskiej historii czy może bardziej konkretnie o kogoś bliższego, kogo na ten przykład nie chciałbyś za bardzo narażać...

– Wijesz się, jakbyś wyznawał miłość nauczycielce od polskiego.

– Kochałem się w germanistce – odparł Lucek. – Nosila obcisłe spódnice i na lekcji wchodziła między ławki, sprawdzając, co wypisujemy

w zeszytach. W rzędzie obok siedział taki półgłówek nazwiskiem Zajdas i ona się pochylała, żeby zajrzeć, co on pisze. Ciasno było między rzędami, więc ona na mnie tym obcisłym... Nieważne. Pozwól, że wrócę do zagadnienia. Kogo miałeś na myśli, komunikując z pogodnym obliczem, że jedziemy... po śmierć?

– Hej, Bałyś! – zakrzyknął Andrzej. – Nie wierzę! Ty się boisz śmierci!

– Źle mnie zrozumiałeś. Chciałem powiedzieć, że...

– Kurde, utrzymaj chwilę ten wyraz twarzy, pstryknę ci focię, inaczej nikt mi nie uwierzy. Lucek Bałyś, w czachę jeża! Ten sam, który dwunastu ludzi Kały w kwadrans powiązał postronkami jak barany i skręcił karki czterem następnym, drzy na myśl o śmierci! Ja cię nie przeździelę! Normalnie petarda! Muszę to zanotować.

Aby wzmocnić efekt, poruszał kierownicą i volvo niebezpiecznie zakołysało się na lewym pasie. Jechali sto dziewięćdziesiąt.

– Przestań! – krzyknął Bałyś. – Krzycki, jesteście stuknięty.

– Rychło w czas. Ale czekaj, czekaj. – Andrzej odwrócił się do niego, w ogóle nie patrząc na drogę. – Przecież ty już raz przeżyłeś swoją śmierć, powinieneś być uodporniony. Nieźle sobie poradziłeś, nawet ci włosy nie posiwiały. Prawda, byłeś wtedy łysy.

Inspektor Krzycki z zachwytem pozwolił sobie na bezwstydną aluzję do sytuacji, gdy ubiegłego lata Lucek Bałyś przez kilka dni tonął w bunkrze. Z zalotnym uśmiechem przejechał dłonią po swoich posrebrzanych skroniach. On również wówczas się uodpornił.

– Nie o to chodzi, Andrzej. Wtedy byłem innym człowiekiem.

– Ho, ho, inny człowiek. – Krzycki zakołysał się z uznaniem. – Z kim ja jadę, doprawdy. Mogłeś powiedzieć wcześniej, wziąłbym paczkę pieluch. No, ale do brzegu, żołnierzu.

– Andrzej, Dominika... jest w ciąży.

Volvo nagle zwolniło. Auto za nimi najpierw mignęło długimi światłami, potem rozległ się klakson. Andrzej nie zważał na ten przejaw polskiego drogowego *savoir-vivre*. Niespiesznie zjechał na prawy pas i zaraz potem

na olbrzymi parking z McDonaldem i stacją Lotosu w Kozłowie, gdzie przystanął na ostatnim miejscu za restauracją. Zwiesił ręce na kierownicy.

– Czemu mi nie powiedziałeś?

– Przecież mówię.

– Wcześniej, do jasnej cholery! Czemu mi wcześniej nie powiedziałeś?!

Bałyś wzruszył ramionami.

– Nie byliśmy pewni. Robiła kilka razy badania...

Palce Krzyckiego zaciskały się i prostowały na obciążonej skórze kierownicy jak na drążku do ćwiczeń.

– Zrozum, to nie są żarty. Przecież, jasna dupa, gdybym wiedział...

– No właśnie – potwierdził Lucek smętnym głosem. – Nie zabrałbyś mnie.

Andrzej nie odpowiedział. Oczywiście, że nie zabrałby go, wiedząc o ciąży Dominiki. Pomorze nie czekało na nich ze świeżymi pączkami. Cholera, mógł się domyślić. Zajęty egzystencjalnym rozdieraniem szat nie zwrócił uwagi na kilka prostych faktów. Po pierwsze, sierżant Dominika Rodriguez-Bałyś od dłuższego czasu również była na zwolnieniu i gdyby chodził do pracy, jako jej przełożony wiedziałby o tym wszystkim. Po drugie, przedwczoraj na kolacji jadła za dwóch i nie piła wina, które bardzo lubiła. Po trzecie, ciągle z Dorotą wymieniały znaczące spojrzenia, a on w swoim palanckim zadufaniu sądził, że chodzi o jego Świąteczny Powrót. Pozował na oryginała, wyszedł na idiotę.

Jego pierwsza intuicja, by jechać samemu, była najtrafniejsza. Teraz będzie się kitwało, zgodnie z pierwszą zasadą Krzyckiego, że jak coś może pójść źle, to pójdzie. Całkiem poważnie rozważał możliwość zawrócenia. Powstrzymywało go wspomnienie niespokojnego głosu Hadczuka, który mówił, jakby się bał. Czego? Czyżby Artur Kała był groźny także z za grobu? Pomorze, kraina w kratę, a za kratą Heike Liebner jako morderczyni Zofii Ploh. „W tej krainie obcy ginie”. Młyny pomorskiej sprawiedliwości dziejowej miały powoli, lecz nieubłagane, choć już nie za bardzo wiadomo, co by tą sprawiedliwością miało być. Śmierć jednej

kobiety i aresztowanie drugiej oznacza, że ktoś z brudnej pomorskiej mąki znowu piecze chleb. Do karmienia potworów. Ziemie, które mają wielu właścicieli, są niczyje. Nienawiść zbiera tam trochę większe żniwo niż gdzie indziej. Takie ziemie obficie spływają krwią.

Sam nie da rady. Opuścić nie może. Jego przyjaciel, przewidziany jako najsilniejsze i w zasadzie jedyne wsparcie, właśnie się zmienił w kulę u nogi. Zamiast robić swoje, przed każdym krokiem będzie teraz się zastanawiał, czy nie za bardzo naraża przyszłego tatusia. Dominika by mu nie darowała.

Super.

Do dupy.

Znowu ta odpowiedzialność za innych.

Milczenie przerwał Lucek.

– Chodź, odlejemy się. Tu w maku są fajne toalety.

– Nie chce mi się. Idź sam.

Bałyś trącił go w ramię.

– Nie rób mi tego i chodź. Inaczej pomyślę, że śmiertelnie się obraziłeś, i zaczną mi się trząść ręce, a w kiblu to nie najlepiej. Zresztą, o ile cię znam, rozważasz teraz aspekty mojego bezpieczeństwa, więc chodź w charakterze obstawy.

– Ty tu jesteś mistrzem walk, nie ja.

– To chodź, bo ci przywalę.

– Chyba śniesz, synu.

Włożyli kurtki i poszli. Po drodze wymierzali sobie kuksańce jak niesforni chłopcy. Wiał mroźny wiatr ze wschodu i po wejściu do restauracji zrobiło im się przyjemnie ciepło.

Kiedy minęli Piłę i zamienili się miejscami, Andrzej uciął sobie półgodzinną drzemkę, wypił kawę, a teraz postanowił uświadomić Luckowi, w co się pakują.

– Zofia Ploh pracowała w Urzędzie Gminy w Grębówku jako sekretarka wójta, Mieczysława Kulika. Tak, tego samego, który zginął na pierwszym wiatraku. Samotnie wychowywała niepełnosprawnego syna z ciężkim porażeniem mózgowym. Twierdziła, że Maciuś urodził się zupełnie normalny i dopiero w wieku sześciu lat doznał niejasnego, ale ciężkiego urazu, który część lekarzy nazywała porażeniem mózgowym wtórnym. Inni twierdzili, że to szok pourazowy, i doszukiwali się w mózgu Maciusia mikrowylewów lub mechanicznego uszkodzenia nerwów. Pojawiły się również teorie o hamartomie podwzgórza oraz chorobie Lhermitte’a–Duclos.

– Aha – mruknął Lucek z poważną miną.

– Mnie te nazwy też niewiele mówią – ciągnął Andrzej niezrażony – ale jak opowiadała, to sobie zapisałem. Nie w tym rzecz. Plohowa nigdy ani mnie, ani nikomu innemu nie przyznała się, że Maciuś był dzieckiem z gwałtu. Dzieckiem Mieczysława Kulika, o którego sprawkach co nieco słyszałeś. Kiedy z nią rozmawiałem o niesławnej akcji Zielona Gmina, służącej wójtowi do namierzania kolejnych ofiar, dała mi do zrozumienia, że ta historia ma swoje praźródła i ciągnie się od dawna. Dodałem dwa do dwóch.

– Zło jest jak franca i przechodzi z pokolenia na pokolenie – przypomniał mu Lucek. Andrzej użył tego porównania ubiegłego lata.

– Brawo, synu, będą z ciebie ludzie.

– Dziękuję – odparł Lucek głosem Ropucha z *Kuców z Bronksu* i wyprzedził kolejny samochód. Zapadał zmierzch i wilgotną nawierzchnię szosy chwycił mróz, Andrzej wiedział jednak, że nie ma sensu robić uwag. Lucek i tak pojedzie po swojemu. Znowu przestał być tatusiem i wrócił do siebie.

– Jak znał, tak znał, Maciuś Ploh był niedorozwinięty, prawie nie mówił i dla komunikowania ważnych rzeczy posługiwał się rysunkami. Kilka

z nich widziałem. Odłot. Jego matka twierdziła, że tamtej nocy dwadzieścia pięć lat temu zobaczył albo usłyszał coś takiego, co mu pomieszało w głowie. Jak się wyraziła, ten obraz został mu pod powiekami, dlatego nigdy już całkiem nie zamknął oczu. Nawiasem mówiąc, to było w nocy trzydziestego kwietnia. Rozumiesz, noc czarownic.

– Aha – mruknął Lucek z poważną miną.

– Zanim pęknieś ze śmiechu, powiem ci tyle, że dzięki rysunkowi Maciusia Ploha doszedłem do tego, kto jest mordercą. Czyli że cokolwiek ten biedny chłopiec widział i słyszał, miało jakiś sens. W każdym razie coś znaczyło dla mnie i myślę, że gdybyś zechciał otworzyć swój porażony przyszłym ojcostwem umysł, również dostrzegłbyś sens w rysunkach Maciusia. Stać cię na to.

– Dziękuję.

– Według słów Plohowej – kontynuował Andrzej – jej syn powracał w tamto miejsce, gdzie doznał urazu, i kładł się na ziemi, żeby słuchać głosów. Na jednym z jego rysunków widziałem długą trąbkę zakończoną małżowiną uszną, do której wpełzają ślimaki. To też było rozwiązanie pewnej zagadki. Myślę, że Maciuś Ploh znał rozwiązanie wszystkich naszych zagadek. Nie wiemy skąd. I nie mamy pojęcia, jak go zapytać. Mimo to spróbujemy.

– Aha.

Zabawa w „aha” i „dziękuję” nie przeszkadzała Luckowi w brawurowej jeździe. Właśnie dojeżdżali do Szczecinka i trasa z przelotowej zmieniała się w lokalną, ponieważ Andrzej upierał się, by najpierw pojechali do wsi Korczewo. Twierdził, że kiedy Bałyś wysłucha jego opowieści do końca, zrozumie. Ten na razie rozumiał tyle, że inspektor, najlepszy śledczy w kraju, zamierza w czekającym ich dochodzeniu na poważnie włączyć tryb irracjonalny.

– Teraz druga nitka naszego splotu – wysapał Krzycki, kiedy już wypuścił z płuc powietrze po kolejnym wyprzedzaniu. – Heike Liebner szuka na Pomorzu siostry. Kiedy leżałem w szpitalu, Hadczuk relacjonował mi swoje znaleziska w księgach parafialnych. Prawdopodobnie Gerda

Liebner nie zginęła od razu w marcu czterdziestego piątego. Jakimś cudem przeżyła na Pomorzu co najmniej rok, a nawet urodziła córkę i dopiero wtedy zniknęła. Takie było przypuszczenie Hadczuka na podstawie zapisu przy chrzcie dziewczynki, gdzie podano imię matki: Gerda. Twierdził, że sprawdzał i że w Heinsdorf w latach czterdziestych przebywała tylko jedna Gerda, właśnie siostra Heike. Nadążasz?

– Tak. Wyprzedzam, ile mogę.

– Bardzo śmieszne. Nie spiesz się, nie powinniśmy przyjechać na miejsce zbyt wcześnie.

– Aha.

– Zatem – ciągnął Andrzej – Heike Liebner szuka swojej siostry tak zapamiętała, że jest nawet skłonna wziąć na siebie winę za zabójstwo. Ona oczywiście wie, że prędzej czy później zwolnią ją z aresztu, a więc dała się zamknąć celowo. Po co?

– Żeby odwrócić uwagę od prawdziwego sprawcy.

– Ponieważ?

– Ponieważ chce z nim zrobić *deal*. Jak go zwiną, nici z transakcji.

– Brawo.

– Dziękuję.

– Byłem gościem tej kobiety. Rozmawiałem z nią, widziałem jej oczy, słyszałem jej słowa. Sentyment do dawno zaginionej siostry ubrany był w szatę głęboko poruszającej tęsknoty. Wierzyłem mocno, że każdemu wspomnieniu towarzyszy autentyczny ból. Reagowała emocjonalnie, kiedy jednak przechodziliśmy do konkretów, zmieniała się w twardą negocjatorkę, zimną i bezwzględną, jak tylko Niemki potrafią. Może jeszcze niektóre Angielki. Miałem wrażenie, że znalezienie Gerdy Liebner było dla niej zadaniem i sentymentalnym, i handlowym. Ona szuka nie tylko siostry.

– A czego? – wyrwało się Luckowi. Właśnie ziewał, wlokąc się za ciężarówką na wąskiej szosie pomiędzy Bobolicami a Żydowem. Zapadł

zmrok i na horyzoncie zaczęły migotać pierwsze wiatraki. Niebo między konarami bezlistnych drzew było atramentowe.

– Właśnie tego jedziemy się dowiedzieć.

– Po co?

Andrzej westchnął.

– Lucek, otwórz się na wiedzę profesjonalną. Jesteś policjantem i zaprowadzasz porządek. Wyjaśniasz niewyjaśnione, żeby ludzie przestali się krzywdzić. Zapomniałeś? Naprawiasz świat.

– Aha. A ty nie?

– Nie. Ty bardziej się nadajesz. Masz wygląd.

– Dziękuję.

Zamilkli. Samochód sunął cicho przez ciemność zalewającą krajobraz. Pustymi polami pełzły bure plamy śniegu, gdzieś daleko, aż za widnokrąg, gdzie migotały czerwone lampy turbin wiatrowych.

– Zobacz, już nas witają – powiedział Krzycki, stukając palcem w szybę.

Lampy czerwoną girlandą pulsowały nad łąkami w jednym rytmie, jak wielka świąteczna ozdoba, której leniwy gospodarz nie zdjął od Bożego Narodzenia. Może dlatego, że wciąż nie dało się ustalić, kto tu jest gospodarzem. A może była to kolejna odsłona Wielkiego Świątecznego Powrotu. Wracali na Pomorze, skąd niedawno ledwie uszli z życiem. Wiatraki znowu kręciły, mełły i wypluwały. Historia o zaginionej dziewczynie rozwiła się w powietrzu równie nagle, jak się z niego wyłoniła, rozproszona hipnotycznymi obrotami dwudziestometrowych ramion. Krzycki gapił się zafascynowany.

– Tylko ja cię proszę, Andrzej – odezwał się Lucek – jak już zobaczysz te wiatraki z bliska, nie powtarzaj w kółko: szszt, szszt. Wiem, że działają na wiatr i że się kręcą. Naprawdę, stary.

Trochę trwało, zanim Krzycki przetrawił tę uwagę.

– Jednak nic nie rozumiesz.

– Tak, wiem. Nigdy nie rozumiem najważniejszych rzeczy. Tego, jak tam było wtedy z tobą i Dominiką, też nie rozumiałem.

– Lucek!

– Dobrze już, dobrze. Ale może w takim razie byś mi wyjaśnił.

– Co?

– No to, czego nie rozumiem.

Znowu trzeba było poczekać chwilę na odpowiedź.

– Jestem sceptykiem poznawczym i kognitywistą mocno zdystansowanym.

– Aha. Czyli?

– Mam wątpliwości, czy potrafisz przeskoczyć własne ograniczenia i nagle zrozumieć coś, czego dotychczas nie rozumiałeś.

– Na tym chyba polega postęp.

– Postęp jest kategorią kwestionowaną.

– Kiedyś byłem mały i głupi – Bałyś wyciągnął kciuk i palec wskazujący, żeby pokazać, jaki był mały i głupi – potem trochę większy i mądrzejszy, a teraz jestem jeszcze większy i mądrzejszy, w dodatku cały czas się uczę od ciebie. To chyba postęp? Co tu kwestionować?

– Skoro tak twierdzisz...

Wjechali w las i wiatraczne migotania zgasły. Krzycki wrócił do opowieści.

– Jest jeszcze trzecia nitka tego splotu. Na tyle pozbawiona irracjonalizmu, że nawet ty powinienes ją uchwycić. Artur Kała i jego kumple zajmowali się skupowaniem gruntów rolnych pod farmy wiatrowe. Brali w tym udział cwaniacy z kancelarii Smuta & Wądlík. Biznes był prosty. Najpierw należało zdobyć wyniki badań geodezyjnych i klimatycznych, żeby namierzyć najbardziej atrakcyjne tereny pod wiatraczną zabudowę. W czasach internetu, kiedy każdy ma dostęp do wszystkiego, nie jest to wcale trudne. Sam po krótkim surfowaniu natrafiłem na stare niemieckie mapy Pomorza, na których naniesiono wszystkie młyny zbożowe, wodne i powietrzne. Niemcy już dawno robili takie badania.

– Oni badają wszystko – stwierdził Lucek. – Podobno nawet po to niemiecka muszla klozetowa ma półeczkę: żeby każdy Niemiec przed spuszczeniem mógł sobie zbadać, co z niego wynikło.

Po chwili milczenia Andrzej powrócił do głównego wątku.

– No więc najpierw wyznaczamy potencjalnie atrakcyjne tereny pod zabudowę. Potem wykupujemy je po cenie jak za ziemię orną, czyli tanio. W kroku trzecim dzierżawimy ją pod farmy wiatrowe za duże pieniądze, z umową na trzydzieści lat. Kaska płynie za darmo. Tym większa, im więcej ziemi.

– Gdzie jest problem?

– Tam, gdzie ktoś ma dużo i nie chce sprzedać. Z tego powodu zginął wójt Kulesza z Przystawna. Miał uraz na punkcie turbin wiatrowych i nie chciał dopuścić, by na jego terenie powstawały farmy. Twierdził, że mieszają ludziom w głowach. Nie wiem, może miał rację. Jak sobie pomyślę o tym biednym Maciusiu Plohu...

– A ja o tobie – mruknął Lucek. – No dobra, mamy trzy nitki i jak ta metafora leci dalej, panie inspektorze?

– Z trzech nitek plecie się linka, na której to wszystko wisi, cała pomorska historia. Albo, jeśli wolisz, sieć zależności. Naszym pierwszym zadaniem będzie odkryć, co łączy Heike Liebner z Zofią Płohową. W tym celu powinniśmy zacząć od rozmowy z Niemką. Jeśli dobrze pójdzie, od razu powie nam, kto jest mordercą, i pozamiatane. Później już tylko gromadzenie dowodów, może przyznanie się do winy. Ale...

– ...najpierw jedziemy gdzie indziej.

– Tak. Musimy coś zdobyć i mam nadzieję, że to znajdziemy. Jest jeszcze drugie „ale”: Heike Liebner nam nie powie.

– I co? – spytał Lucek. I sam sobie odpowiedział: – Wiem co. Będziemy ją śledzić, aż się zdradzi. Dzień i noc, na zmianę, z gorącą kawą w samochodzie o świcie, z widokiem na luksusowy hotel w Kręgu. Zimny poranek, ty wysiadasz, kłęby pary idą z pyska jak u dorożkarskiego konia,

kawa ohydna i wylewasz resztę w trawę. Przeżuwasz przekleństwa, a ja przytakuję, wycierając rękawem nos. Super, zawsze chciałem!

– Mówisz, masz. Ale na razie przeszukujemy dom Zofii Ploh. Potem Rysiek Hadczuk, a na końcu Heike Liebner.

Dojeżdżali do powiatu sławieńskiego w zupełnych ciemnościach. Jak okiem sięgnąć, wkoło rozkwitały czerwone girlandy świateł. Powitanie wyglądało na uroczyste. Odeszła im ochota do paplania i skupili się na obserwowaniu drogi. Wkrótce zobaczyli pierwszy docelowy drogowskaz: „Korczewo 12”. Do każdego z nich wróciły ponure wspomnienia sprzed paru miesięcy. Scenerię mieli odpowiednią: czarny las i granatowe niebo, a na nim czerwone rozbłyski.

3

Szopa na końcu ogrodu, gdzie Maciuś Ploh miał swoją kryjówkę, jeszcze niedawno była zamknięta na kłódkę. Skobel został zerwany za pomocą łomu i zwisał bezwładnie ze ściany. Przed uchylonymi drzwiami widniały na miękkiej ziemi odciski męskich butów. Lucek pochylił się i zrobił parę zdjęć smartfonem z lampą błyskową.

– To chyba nie jest rozmiar buta Heike Liebner – stwierdził, pokazując Andrzejowi wyświetlacz. – Chyba też nie chodzi o policyjne przeszukanie. To prosta kłódka, do otwarcia zwykłym spinaczem biurowym.

– Ktoś się bardzo spieszył i nie miał czasu grzebać w plecaku za spinaczami – odparł Andrzej, wchodząc ostrożnie do środka.

W jednej ręce ścisnął latarkę, w drugiej odbezpieczony pistolet. Poświecił po niewielkim pomieszczeniu, w którym kiedyś biedny Maciuś pokazywał mu swoje rysunki. Było kompletnie zdemolowane. Na podłodze wałały się pudełka, puszki i słoiczki wygarnięte z dwóch niewielkich szafek pod ścianą. Wszystkie bez wyjątku zostały otwarte i wybebeszone na ziemię, skutkiem czego nie dało się zrobić kroku bez nadeptnięcia na kredkę, zeszyt, plastikowe autko lub pluszowego misia. Każda z dziewięciu maskotek miała rozpruty brzuch i oderwaną główkę. Żółta kurtka

sztormowa, w której Maciuś lubił włóczyć się wieczorami po łąkach, została dokładnie pocięta nożem i ciśnięta w kąt. Małe biurko leżało przewrócone do góry nogami, wyłamane nogi spoczywały obok. Na składanym polowym łóżku kłębiły się zrzucone z półki ubrania. Rozbito nawet lampę w drucianej oprawie przytwierdzoną do belki pod sufitem.

– Ktoś czegoś intensywnie szukał – zauważył komisarz Bałyś.

– Czegoś niewielkiego, co zwykle chowa się w brzuskach pluszaków albo w nogach od stołu. Chyba nie o chodzi o Gerdę, co? Jak myślisz?

Nie czekając na błyskotliwą ripostę, Krzycki uklęknął na podłodze i zaczął zbierać do teczki porzucane kartki z rysunkami. Niektóre z nich zdobyły brudne odciski butów.

– Nie powinniśmy zostawić tego do badań laboratoryjnych? – spytał Lucek. – Tak tylko pytam, z zawodowego obowiązku. Żeby później nie było, że nie mówiłem.

– Hadczuk powinien był to zrobić – odparł Andrzej. – Zresztą zaraz go o to zapytamy. Jak myślisz, kiedy to się stało? Przed zamordowaniem Płohowej czy po?

– Płohowa zginęła trzy dni temu – zaczął dedukować Bałyś, drapiąc się w potylicę. – Pogoda była wietrzna i deszczowa, a odłupane pod skoblem drewno jest suche. Czyli po. Myślę nawet, że dzisiaj.

– Coś jeszcze? Przyjrzałeś się domowi?

Wyszli na zewnątrz. Ciemna bryła domu słabo rysowała się na tle równie ciemnych drzew, porastających boczną uliczkę na skraju Korczewa. Zostawili samochód przed wsią, w wąskiej przecince leśnej, tuż przy piaszczystej drożynie prowadzącej na łagodne, pokryte młodą samosiejką wzgórze.

– Miejsce zbrodni – powiedział powoli Lucek – powinno być jakoś zabezpieczone. Nie widzę jednak ani taśmy policyjnej, ani niczego. Nie mówiąc o ludziach.

– Widocznie uznali, że zrobili, co było do zrobienia, i poszli sobie – potwierdził Krzycki. – Dom stoi pusty, Płohowa mieszkała sama. A nasz

poszukiwacz skarbów w misiowych brzuskach czekał, aż policja się wycofa, i dopiero wtedy przyszedł na poszukiwania. Jak myślisz, znalazł?

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Bo rozwalił dosłownie wszystko, co było do rozwalenia – odparł Lucek. – Gdyby znalazł, zostawiłby resztę rzeczy w spokoju i poszedł sobie. A on demolował do końca.

– Chyba tak – mruknął Andrzej do siebie w zamyśleniu. – Dokąd poszedł?

– Do domu? – zasugerował Lucek i w tej samej chwili przyjaciel szarpnął go za ramię i cisnął między drzewa. Obaj przywarli plackiem do mokrej, zmarzniętej ziemi.

Od strony domu nadchodził mężczyzna. Szedł wolno, ostrożnie, z napięciem wpatrując się w ciemność, uzbrojony w wyłączoną latarkę. Prócz tego ścisnął coś w kieszeni krótkiego płaszcza z wysoko postawionym kołnierzem. Doszedł do szopy, rozejrzył się i zniknął w środku, po czym starannie zamknął za sobą drzwi. Przez szparę w deskach błysnęła nitka ledowego światła.

– Kolejny poszukiwacz skarbów – szepnął Lucek. – Zgarniamy go?

– Poczekajmy, może je znajdzie.

Światło błądziło po wnętrzu szopy, na chwilę przygasało, gdy intruz pochylał się, żeby zajrzeć pod łóżko i pod odwrócony stół, po czym rozbłyskało na nowo. Potem znieruchomiło na kilka minut.

– Przegląda twoje rysunki – domyślił się Lucek. – Koneser malarstwa.

– Ciii – uciszył go Andrzej i pochylił głowę.

Światło drgnęło, omiotło szopę i mężczyzna wyszedł na zewnątrz z teczką rysunków Maciusia Ploha, którą Krzycki przed kwadransiem z taką starannością poskładał w całość. Rozejrzył się i ruszył z powrotem na podwórze.

Porozumieli się wzrokiem i na skinienie Andrzeja wyskoczyli zza drzewa. Brązowa, przegniła po zimie trawa pozwoliła im zbliżyć się do

niego bezszelestnie. Kiedy znaleźli się tuż za nim, inspektor tylko lekko uniósł podbródek, a Lucek już podbiegł od tyłu, wykonał dwa błyskawiczne ruchy i po sekundzie mężczyzna leżał na ziemi z wykręconymi na plecy rękami. Bez jednego dźwięku, miękko i precyzyjnie, jakby chodziło o rozścielenie kołdry. Takie coś potrafił tylko Bałyś. Rysunki z tekturowej teczki wystrzeliły w górę jak konfetti i wolno spłynęły na trawę.

Andrzej oświetlił latarką twarz delikwenta.

– Nazwisko?

Cisza. Lucek docisnął kolanem kręgosłup mężczyzny. Rozległ się chrapliwy jęk.

– Jak się nazywasz? – powtórzył Krzycki.

Cisza.

– Niemota jakaś – zawyrokował Lucek. – Może to tatuś Maćka?

– Niemota, czyli po dawnemu Niemiec. *Who are you?* – spytał Andrzej.

Człowiek przyciskany przez Lucka do ziemi stękał i mrugał wybałuszonym okiem, jednak nie wydawał żadnych werbalnych komunikatów. Lucek ostrożnie obrócił go na bok i sięgnął do kieszeni płaszcza, skąd wydobył mały rewolwer Smith & Wesson 686 z krótką lufą.

– Naładowany, odbezpieczony – powiedział, podając go inspektorowi.

Następnie sprawdził wewnętrzną kieszeń, wyjął z niej gruby portfel i również wręczył Andrzejowi.

– Jens Müller – odczytał Krzycki z błyszczącej na złoto karty kredytowej. – Miałeś rację, niemota. Czego pan tu szuka? – spytał po angielsku.

Mężczyzna nie odpowiadał. Mrużył oczy przed światłem latarki i wykrzywił twarz w lekceważącym uśmiechu, podczas gdy Lucek nadal obszukiwał jego kieszenie. Po chwili wydobył sporego smartfona w czerwonym etui, druciane okulary i plik wizytówek dyplomowanego inżyniera Jensa Müllera, przedstawiciela kompanii wiatrowej z Hamburga o nazwie Turbenax. Plus chusteczki do nosa i klucze od samochodu.

– Jeszcze jeden wiatrak – rzekł Lucek, spiął mu ręce plastikowymi kajdankami i posadził go na trawniku.

– Jesteś sam? – spytał Andrzej, niespecjalnie licząc na odpowiedź.

Mężczyzna milczał z uporem, uśmiechając się przy tym z wyższością, jakby to on ich złapał, a nie oni jego.

– Zabijemy go tutaj czy zaaresztujemy? – zwrócił się Andrzej do Lucka po angielsku.

Pytanie zmiotło uśmieszek z twarzy Jensa Müllera.

– *Please, gentlemen, it must be misunderstanding* – wydukał. – Panowie, proszę, to nieporozumienie. – Spoglądał to na jednego, to na drugiego. – Nie jestem mordercą. Szukałem gospodarzy, chciałem tylko porozmawiać.

– *Too late* – zaćwierkał Lucek.

– Mówi, że nie jest mordercą, to chyba jest mordercą – zawyrokował Krzycki twardą angielszczyzną. – My też możemy być mordercami. Zabijemy go tutaj. Podczas próby ucieczki.

– Preferuję samobójstwo. Jego własnym rewolwerem. Ale wcześniej powinien nam jednak coś powiedzieć.

– Ale co? – Andrzej od niechcienia zaczął bawić się nowiutkim smithem & wessonem. – Przecież to Niemiec.

– Niech powie coś po niemiecku – odezwał się Lucek, przechodząc chwilowo na polski. – *Was ist das?* – spytał, podsuwając mężczyźnie pod nos jeden z rysunków Maćka Ploha. – *Sagen Sie, bitte.*

– Skąd znasz niemiecki? – zdziwił się Krzycki po polsku, ale Lucek nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ Jens Müller szarpnął się do tyłu i upadłszy na plecy, przeturlał się na bok i usiłował wstać. Było to zupełnie nieporadne i nieskuteczne. Ujęli go pod ramiona i postawili na nogi. Lucek schował karton z rysunkiem do teczki i wziął ją pod pachę.

– *Keep calm* – powiedział Andrzej, poklepując Jensa po ramieniu. – Spokojnie. Już nie musisz nic mówić. Idziemy.

– Złożę zawiadomienie na policji i w ambasadzie – odezwał się po niemiecku Müller z obrażoną miną.

Przyjaciele wymienili zachwycone spojrzenia i Bałyś pokazał palcem na siebie, że ta kwestia należy do niego.

– *Wir sind die Polizei* – powiedział z dumą i pokazał zdezorientowanemu Jensowi Müllerowi policyjną legitymację. – To my jesteśmy policją.

– Bez adwokata nie będę rozmawiać – odparł prowadzony przez nich Niemiec, ale już bez przekonania. Ta kwestia brzmi przekonująco tylko w filmach.

4

– Andrzej...?

Komisarz Ryszard Hadczuk z rozdziawionymi ustami przyglądał się sylwetce w głębi. Pewnego sierpniowego wieczoru żona wysłała go do kurnika, żeby pozbiarał jaja spod niosek, i podczas zwyczajowo relaksującej czynności został zaatakowany przez inspektora z Krakowa. Minęło pół roku, żona znowu posłała go po jajka i znowu między grzędami natknął się na tego samego inspektora.

– Ty musisz mnie napadać w kurniku?

– A ty musisz dzwonić do mnie z kibla?

– No dobra, remis. Cześć, stary draniu.

– Tylko nie stary.

Po wymianie grzeczności uciskali się i usiedli na brudnej ławce pod ścianą.

W kurniku paliła się naga żarówka o mocy z trudem pozwalającej rozpoznać twarze. Kury drzemały na obesranych żerdziach i w słomianych gniazdach, umoszczonych na topornej półce. Jedna z niosek wychyłała łbem spod skrzydła i zagadkała na nich.

– Jednak wróciłeś – stwierdził Hadczuk, przyglądając mu się krytycznie.

– Już myślałem, że naprawdę cię straciliśmy.

– Na Pomorze każdy wraca. Nawet Niemcy.

– Miałem na myśli pracę w policji.

Andrzej wykonał ruch ręką, który mógł oznaczać wszystko.

– Pomówimy o tym w stosownym czasie. Na razie wyjaśnij mi, co tu się właściwie dzieje.

– Ano tyle się dzieje, że ktoś zabił Zofię Ploh z Korczewa. Nie mamy pojęcia, kto to zrobił. Podejrzana jest Heike Liebner, ponieważ została przyłapana na miejscu zbrodni, nad jeszcze ciepłym ciałem Plohowej.

– Przez kogo przyłapana?

– Przez dwóch policjantów, którzy rano przyjechali do niej w zupełnie innej sprawie. Chodziło o jakieś formalności związane z odszkodowaniem za śmierć Maćka, jej syna. Kiedy zadzwonili do drzwi, usłyszeli krzyk i wpadli do środka. Na miejscu zastali Heike Liebner siedzącą na krześle w kuchni, z niemieckim nożem w rękę, tym samym, którym zadźgano Zofię Ploh. Denatka leżała przed nią na podłodze. Wszędzie było pełno odcisków palców Niemki.

– Skąd wiadomo, że to był niemiecki nóż?

– Jak by ci to powiedzieć – Rysiek Hadczuk podrapał się po głowie. – Była na nim swastyka.

– Jasne – westchnął Krzycki. – Swastyka, znaczy niemiecki. I nie mieliście wyjścia, prokurator wystawił nakaz i musieliście ją zamknąć. A ponieważ chodzi o morderstwo, międzynarodowa droga dyplomatyczna na nic się nie zda. Heike Liebner musi siedzieć.

– Tak. Próbowaliśmy ją przesłuchiwać w obecności tłumacza przysięgłego, ale konsekwentnie odmawiała. Twierdziła, że chce rozmawiać z tobą.

– To miło. Wyjaśniła dlaczego?

– Podobno jesteś jej coś winien. Zresztą sam słyszałeś.

– Wszyscy w kółko powtarzają, że jestem im coś winien. Zaciągnąłem dozgonne długi i nawet nie wiem kiedy. Wnuki jeszcze będą je spłacać. Jeśli Heike Liebner nie chce zeznawać, to niech nie zeznaje. Brak zeznań podejrzanej nie uniemożliwia śledztwa. I skazania.

– Andrzej... – zająknął się Ryszard Hadczuk – ale przecież sam mówiłeś, że to nie ona zamordowała.

– Jak to nie ona? Przecież dwóch funkcjonariuszy na służbie przydybało ją na gorącym uczynku. Swoją drogą, to jakiś fenomenalny zbieg okoliczności, że akurat w momencie popełnienia zbrodni na miejscu zjawiają się dwaj policjanci. Jakbym nie był ateuszem, powiedziałbym: cud!

– Nooo. Cud, że chuj... Wolałbym bez takich cudów.

– Nie wyrażaj się, kury są wrażliwe. To dlatego dzwoniłeś z toalety?

Jedna z kur wysunęła łebek spod piór i gdała upominająco. Hadczuk zareagował.

– Tu będziemy obradować? – spytał.

– Jedziemy do aresztu śledczego na Sądową. Pani Niemka chciała ze mną gadać, to niech gada. Niech wreszcie coś powie.

– Zwariowałaś? – Komisarz Hadczuk poderwał się z ławki i chłopskim gestem otrzepał sobie tyłek z kurzu. – Przecież jest dziewiąta wieczór! Nikt o tej porze nas tam nie wpuści. Nie mówiąc o tym, żeby któryś prokurator dał się namówić na udział. O tej porze seriale oglądają.

– Właśnie o to chodzi – powiedział spokojnie Krzycki, nic sobie nie robiąc z wybuchu Hadczuka. – Mamy rozmawiać sami, na osobności. Załatw to, w końcu jesteś szefem Wydziału Kryminalnego.

– Ale...

– I nie mów mi – Andrzej przerwał mu ruchem ręki – że się nie da. Idź do domu, powiedz żonie, że nagły wypadek, przebierz się w coś policyjnego, weź komórkę i wróć tutaj. Ja pośpię kurom kołysankę, bo się wybiły ze snu. Aha, i nie pozdrawiaj ode mnie żony.

– Dobrze, ale...

– Rysiu.

Komisarz Hadczuk już wiedział, że szkoda czasu. Wybrał spod narzekających kur kilka jaj do plastikowej miski i wyszedł. Wrócił po

pięciu minutach, umundurowany i sztywny, wkraczając do kurnika w rozpiętej kurtce. Andrzej pociągnął nosem. Pachniało perfumami.

– Nie robimy nalotu na agencję towarzyską.

– O co biega?

– O nic, Rysiu. Nie wchodzić dalej, bo kury nie zasną do rana. Dzwoniłeś?

Hadczyk pokręcił głową i z ciężkim westchnieniem wyjął telefon komórkowy. Głośno przełknął ślinę, zanim wybrał numer.

– Dobry wieczór, komisarz Ryszard Hadczyk z kryminalnej. Przyjechał z Krakowa... – kopnięty w kostkę szybko się poprawił – to znaczy, ze Starego Krakowa przyjechał ważny świadek, którego musimy skonfrontować z podejrzaną. No... A, to ty, Wiesiek. Słuchaj, to sprawa absolutnie najwyższej wagi i absolutnie poufna. ...Nie żartuj. Kto ci teraz przyjedzie do zespołu? Poza tym liczy się dyskrecja. Dwie osoby.

– Cztery – mruknął Krzycki.

Hadczyk przysłonił dłonią mikrofon w komórce.

– Cztery?! Kogo ty tu przywlokłeś?

Zamiast odpowiedzi Andrzej tylko stanowczo pokręcił głową, że nie ma dyskusji. Ciężkie jak węgiel z Donbasu westchnienie komisarza Hadczyka wystarczyło za komentarz.

– Cztery – powiedział do słuchawki. – Chciałeś mieć pełny zespół, to będziesz miał. Tak, za jakieś pół godziny. Nie, przyprowadź ją do pokoju przesłuchań i niech na nas czeka. Co? Ile obsługi? Jak we włoskiej piosence: tylko ty. – Rozłączył się i schował komórkę do kieszeni. – Wylecę z roboty, jak sprawa się wyda. Po ostatniej zadymie z wiatrakami i Kałą nasza komenda jest pod szczególną obserwacją Warszawy.

– Dlatego dzwoniemy do siebie z toalet, a spotykamy się w kurnikach – odparł zadowolony Krzycki. – Masz zaufanie do tego Wieśka?

– Do tego akurat mam.

Wyszli na ciemne podwórko. W ściętym pomorskim przymrozkiem powietrzu migotały gwiazdy i turbiny wiatrowe. Ruszyli między drzewa starego sadu, a stamtąd ścieżką do zagajnika przy wjeździe do wsi, gdzie

Andrzej zostawił samochód i dwóch pasażerów. Hadczuk po drodze usiłował pogodzić się z własnymi myślami.

– Wywalą mnie na zbity pysk – marudził. – Na cztery lata przed emeryturą.

– W zeszłym roku też to powtarzałeś – przypomniał mu inspektor. – Powinieneś się przyzwyczać. Co u Sylwii? Pozbierała się?

– Chyba tak. Studiuje w Gdańsku. Ilekroć dzwoni do domu, a dzwoni niezbyt często, ponieważ ma „mnóstwo ważnych spraw na głowie”, nieodmiennie pyta o ciebie. Nie jestem pewien, czy tylko z wdzięczności. Jak ty to robisz, Krzycki?

Andrzej kiedyś pomógł Sylwii Hadczuk wydostać się z łap Artura Kały. Tamten porwał córkę komisarza i wykorzystał seksualnie, a później usiłował zabić na oczach ojca. Akcja miała miejsce w żwirowni pod Świącianowem. To wtedy zaczął się wielki wyścig z czasem o życie Lucka Bałysia.

Krzycki nie odpowiedział. Nie miał też zamiaru wyjawiać ojcu, że czasem gada z jego córką na skypie. Ona tak chciała, bo wtedy ma „bardziej intymny kontakt z panem inspektorem”. Wiedział, gdzie i co studiuje Sylwia, że nie lubi wracać do Słupska i że ma chłopaka, który „trochę doprowadził do porządku jej profil erotyczny”. Zapamiętał sobie tę pobudzającą wyobraźnię frazę. Zapytał Ryśka o córkę nie dla informacji, lecz dla dezinformacji. Rutynowe mylenie tropów. Ojcowie dorosłych córek są najbardziej niedoinformowani ze wszystkich. I w głębi duszy chyba tego pragną.

Postanowił zmienić temat i rzucił od niechcienia:

– Mówi ci coś nazwisko Jens Müller?

Na dźwięk tych słów Ryszard zatrzymał się w pół kroku.

– Skąd je znasz?

– Dobre pytanie. Moje brzmi podobnie: dlaczego uważasz, że mam go nie znać?

Hadczuk wycelował palec w jego stronę.

– Bo dopiero co się pojawił. To facet, z powodu którego dzwoniłem z toalety. Mam nadzieję, że nie dotrze do niego wiadomość o waszym przyjeździe.

Krzycki pociągnął go za rękaw i ruszyli w stronę zarośli, gdzie ukrywało się białe volvo.

– Nadzieję należy zawsze mieć, oczywiście – zaczął uspokajająco, jakby wykladał wyjątkowo skomplikowany temat. – Co nie zmienia faktu, że sprytny cwaniaczek zwany życiem lubi nas zaskakiwać i powinniśmy być ostrożni. Przyznam ci szczerze, że ja osobiście nie lubię się nadmiernie obudowywać nadziejami, że to czy tamto, bo to tylko generuje dodatkowe koszty. Bądź czujny. Gotowy. Nie daj się zaskoczyć. Jak w harcerstwie. Byłeś w harcerstwie?

– Andrzej, co ty mi tu pieprzysz?

– Nie wyrażaj się, póki nie zyskasz pewności – odparł, wskazując koledze biały, podługowaty kształt. – Siadaj z przodu.

Zamaszyście otworzył mu drzwi i w kabinie volvo zapaliła się lampka sufitowa.

– Lucek! – wykrzyknął radośnie Hadczuk. – No jasne! Jak mogłem przypuszczać, że on przyjedzie bez ciebie.

Szczerząc zęby w uśmiechu, Bałyś podał mu rękę, a następnie wskazał palcem drugiego pasażera i zakomunikował:

– Mamy zdobycznego Niemca. Chciał nam odebrać Pomorze.

Na widok Jensa Müllera spiętego kajdankami Ryszard Hadczuk zbaraniał.

– Ja pierdolę... – wymamrotał.

– Zazdrościmy – stwierdzili zgodnie Andrzej i Lucek.

Heike Liebner siedziała na krześle wyprostowana i nieruchoma jak posąg. Czarnymi, błyszczącymi oczami wpatrywała się w punkt przed sobą,

całkowicie ignorując strażnika przechadzającego się po pokoju przesłuchań. Miała na sobie białą bluzkę oraz szary wełniany żakiet w drobną kratę, wąską spódnicę i do tego czarne sznurowane buty na niskim obcasie. Obie ręce trzymała złożone na podołku jak grzeczna pensjonarka. Nagą szyję, z której regulaminowo zdjęto wszelkie ozdoby, wyciągała w górę jak czapla. Nie, żuraw. Krzycki natychmiast pomyślał o pomorskich żurawiach, które słyszał na łąkach ubiegłego lata. Niespokojnie nieruchome. Patrząc na nią przez weneckie lustro, stwierdził, że nawet fryzurę miała nienagannie ułożoną. Do tego zero makijażu, a rysy mimo to wyraziste. Wyglądała idealnie i o dwadzieścia lat młodziej. Jak one to robią?

– Dopiero kiedy podniosę rękę i pstryknę palcami, nie wcześniej – przypomniał Luckowi, wgapiającemu się z fascynacją w kobietę za szybą, i wszedł do pokoju przesłuchań.

Na jego widok Heike Liebner drgnęła, po nieruchomej twarzy przebiegł cień uśmiechu. Miała prawo do satysfakcji. Postawiła na swoim.

– Jednak pan przyjechał – powiedziała po angielsku.

Andrzej odprawił strażnika i usiadł naprzeciw niej, lekko się skłoniwszy. Nie podał ręki. Wiedział, że Niemki tego nie lubią.

– A miałem inne wyjście?

– Znając pana, chyba nie – zgodziła się. – W każdym razie dziękuję. Przyjechał pan sam czy ze swoim przyjacielem? Zważywszy na pańskie przywiązanie, przypuszczam, że postanowił pan więcej go nie zostawiać samego. Zgadza się?

– Chyba nie o nim chciała pani rozmawiać?

Skrzywiła się na tę obcesową uwagę. Starą pomorską Niemkę ulepiono z twardej gliny i długo hartowano, niełatwo więc poddawała się presji innych. Od naciskania ludzi była ona.

– Pan ma do mnie żal? – spytała chłodno.

– Moje żale nie mają tu nic do rzeczy, podobnie jak mój przyjaciel. Dlaczego wprowadziła pani w błąd polskie organa ścigania?

– Co pan ma na myśli?

Krzycki lekko przechylił się przez stół.

– To, że przyznała się pani do zbrodni, której nie popełniła, i utrudniła natychmiastowe ujęcie sprawcy.

– Musiałam...

– Teraz ja mówię – przerwał, jej unosząc rękę. – Utrudniła pani śledztwo. Wzięła pani na siebie morderstwo, poszlaki istotnie wskazują na panią. Jeżeli nie znajdziemy twardych dowodów niewinności, resztę życia spędzi pani w więzieniu.

– To niedługo – wtrąciła.

– Wszystko jedno, jak długo. Prawo zadziała, ale ze sprawiedliwością nie ma to wiele wspólnego. Nie wykona pani również najważniejszej pracy, czyli odnalezienia Gerdy. Za kratkami raczej jej nie ma, więc się nie uda. A to znaczy, że przyjechała pani po coś więcej niż szczątki swojej siostry. Od rodzinnych sentymentów ważniejszy okazał się jakiś inny, nieznan mi powód. Na tyle ważny, że zdecydowała się pani chronić mordercę. – Uniósł rękę, ponieważ znowu chciała coś wtrącić. – Jeszcze chwileczkę. Proponuję, abyśmy nie tracili czasu na ułożone przez panią historyjki. Interesują mnie konkrety. Kogo pani kryje?

Natychmiast otworzyła usta, ale rozmyśliła się i spuściła wzrok. Tylko na ułamek sekundy, ponieważ zaraz się pozbierała i unosząc podbródek, powiedziała:

– Nie spodziewałam się aż takich uprzejmości z pańskiej strony. To miłe. Czy Polacy tak rozumieją wdzięczność?

– Nie chce mi pani powiedzieć, kogo kryje. To miłe. Czy Niemcy tak rozumieją szczerłość?

Zagryzła wargi. W jej oczach nieoczekiwanie pojawiły się łzy. Przyglądał się Heike, próbując ustalić, na ile rzeczywiście emocje wzięły nad nią górę, a na ile grała. Jego wzrok przeskakiwał od jednej czarnej źrenicy do drugiej – nieuchronny skutek długotrwałego patrzenia drugiej osobie prosto w oczy. Łzy na kamieniu to intrygujące połączenie. Czekał, czy spłyną po policzkach i rozpocznie się ckliwy spektakl, czy też wnikną z powrotem do

kanalików łzowych i przywróca oczom należny chłód. Nie spłynęły. Heike Liebner miała swoją klasę.

– Nikogo nie chronię – powiedziała obojętnie. – To prawda, skłamałam, ale wyłącznie po to, by ściągnąć tutaj pana. Kiedy zobaczyłam na podłodze zamordowaną Zofię Ploh, zrozumiałam, że sama nie dam rady. Nie ufam nikomu, ani tutejszej policji, ani tym tam – machnęła ręką w nieokreślonym kierunku – mieszkańcom mojej rodzinnej ziemi. Ilekroć próbuję cokolwiek załatwić lub się dowiedzieć, o coś spytać, poprosić, najpierw widzę ręce wyciągnięte po euro.

– Proszę nie przesadzać. To normalni ludzie, jak wszędzie.

– Handlują przeszłością – stwierdziła zimno. – A to moja przeszłość. Moja, rozumie pan? I wszędzie muszę za nią płacić. Bez przerwy.

– Taki już los Niemców. Nabroili i płacą.

– Każde słowo Polaków z Pomorza jest na wagę złota – ciągnęła swoje. – Dla pieniędzy są w stanie powiedzieć wszystko. Wedle życzenia klienta. Prawdę traktują jak glinę, z której można ulepić dowolną figurkę i sprzedać naiwnemu turyście zza Odry.

– Przemawia przez panią gorzyc oszukanej turystki. Kto oszukał i jak?

– Za pieniądze zrobią wszystko – mówiła dalej, jakby wygłaszała monolog ze sceny. – Nawet zabijają.

– O! – zaciekawiał się Krzycki. – Myśli pani, że to było morderstwo na zlecenie? Dlaczego?

– Zanim tamci policjanci załomotali w drzwi, zdążyłam rozejrzeć się po mieszkaniu. Trochę bałaganu było tylko w kuchni i w sypialni, gdzie ktoś wywalił szuflady na podłogę. Znalazł to, czego szukał, i poszedł sobie.

– Czego szukał?

– Nie wiem – powiedziała Heike Liebner, patrząc mu prosto w oczy. Uspokoila się, swoje żale zatrzasnęła w dystyngowanej skorupie równie szybko, jak je stamtąd wydobyła. – Naprawdę nie wiem. Mogę się tylko domyślać, że nie szukał pieniędzy, ponieważ na oparciu krzesła w kuchni wisiała torba na zakupy z portfelem w środku.

– W takim razie to nie Polak – stwierdził Krzycki. – Polacy wszystko robią dla pieniędzy.

Zmierzyła go piorunującym spojrzeniem.

– Sugeruje pan, że to jednak ja?

– Bynajmniej. Ostatecznie nie pani jedna tu przyjeżdża zza Odry. Inni Niemcy też mają prawo do pomorskiego mordy. Ziemia niczyja, jak pani zechciała się wyrazić.

Uciekła wzrokiem i zamilkła. Czekał, aż odpowie mu czymś równie zgryźliwym albo wygłosi poruszającą skargę na niewdzięczność inspektora z Krakowa, ale nie powiedziała nic. Patrzyła w głąb swojego intymnego świata, do którego, Krzycki był pewien, zazdrośnie strzegła dostępu innym, a i sobie pozwalała zaglądać tylko od czasu do czasu. Tak rozumiał świat ludzi starych – żyją wyłącznie przeszłością. Miał wielką ochotę zapytać ją wprost: czego pani właściwie chce? Wiedział jednak, że szczerą odpowiedź nie padnie. Również dlatego, że sama Heike Liebner jej nie znała.

– Skoro morderca znalazł to, czego szukał, dlaczego zabił? – spytał.

– Nie wiem. Może bał się, że kradzież zwróci uwagę na niego w sposób jednoznaczny. Że Zofia Ploh będzie wiedziała, kto i dlaczego to zrobił.

Wypowiedziała nazwisko Ploh z niemiecka, jak „ploo”. Krzycki już to kiedyś sprawdzał – w Heinsdorf przed wojną nie mieszkali żadni Plohowie. To połączenie wątków nie istniało i należało poszukać innych.

– Dobrze, pani Liebner, zacznijmy od początku. Po co pani przyszła do Zofii Ploh o ósmej rano 29 stycznia 2018 roku? I skąd pani w ogóle wiedziała o jej istnieniu?

– Według moich informacji mogła coś wiedzieć o miejscu pochówku Gerdy. Zadzwoiłam do niej i umówiłyśmy się na spotkanie. Ponieważ wcześniej nie badałam tej ewentualności, zależało mi na czasie. Dlatego ósma rano w poniedziałek. Z Hanoweru przyjechałam poprzedniego dnia wieczorem i zatrzymałam się jak zwykle w hotelu w Krangen. Oczywiście w towarzystwie moich asystentów, których zdążył pan już poznać, panie Andzej.

To ostatnie próbowała powiedzieć po polsku, jakby chciała sprawić mu przyjemność. I przy okazji osłabić jego czujność.

Istotnie, podczas pobytu w Hanowerze latem ubiegłego roku poznał dwóch asystentów pani Liebner, doktorantów ze Szczecina o imionach Michał i Mariusz, których ciągle mylił. Robili u niej za kierowców, ochroniarzy, tłumaczy, zaopatrzeniowców i Bóg wie, kogo jeszcze, a Andrzej przypuszczał, że mieli również rolę nocnych kowbojów. Przy świetnej formie Heike było to całkiem możliwe. Świat ma więcej tajemnic, niż ich nie ma.

– Gdzie oni teraz są? – spytał.

W odpowiedzi zobaczył wyszczerzone bogate uzębienie hanowerskiej obywatelki.

– Nie mam pojęcia, przecież siedzę w areszcie – odparła zadowolona. – Zostali w hotelu, ale są wolnymi ludźmi i teraz mogą być gdziekolwiek.

– Czy oprócz Zofii Ploh ma pani jeszcze kogoś na swojej liście potencjalnych informatorów? Kogoś, kto mógłby coś wiedzieć o pani siostrze?

Zanim zdążyła odpowiedzieć „nie”, zauważył w jej oczach błysk wahania. Siedziała w areszcie, groziło jej dożywocie, a mimo to nadal próbowała grać. Musiał przyznać, że mu to cholernie imponuje. Prawie tak samo jak nienaganny wygląd Heike Liebner, która zdawała się nie tyle siedzieć w słujskim areszcie śledczym, ile przebywać w nim od niechcienia, z ograniczoną aprobatą. Są ludzie, którzy zawsze potrafią panować nad rzeczywistością.

– No dobrze, Heike. Z mojej strony to tyle. Teraz oddaję pani głos. O czym chciała pani ze mną rozmawiać?

Spojrzała na niego zaskoczona. Chyba nie spodziewała się takiego obrotu sprawy po tym, co już zdążyli sobie powiedzieć. Przecież właśnie rozmawiali. Krzycki jednak chciał wiedzieć, jak zareaguje na nagłą zmianę tematu.

– Chciałabym – zaczęła powoli i z namysłem – żeby mi pan pomógł znaleźć moją siostrę.

– Tylko tyle?

– Tak – potwierdziła. – Tylko i aż tyle.

– Bagatela. W dwa dni powinienem się uporać. A jeśli mi pani zapłaci, bo ja także jestem Polakiem, to nawet szybciej.

– Proszę ze mnie nie drwić. Przepraszam, jeśli pana uraziłam. Chodziło mi o pewne ogólne wrażenie. Nie jestem idiotką i wiem, że ludzie są różni, dlatego w ogóle z panem rozmawiam. Tylko z panem. Chciałabym, aby zmusił pan do mówienia pewnego człowieka, który wie, co się stało z moją siostrą, ale nie chce powiedzieć.

– Kto to jest?

– Niejaki Bolesław Siemczuk. Mieszka w Heinsdorf, to znaczy w Grębówku, w dawnym domu Stubenauerów. Poznał pan mojego kuzyna Ottona...

– Tak, pamiętam. Co u niego? Też gdzieś tu jest?

– Zmarł – odparła sucho.

– Przykro mi.

– Możliwe. Zdążył się jeszcze ucieszyć, że udało się panu uwolnić przyjaciela, a zaraz potem dostał wylewu i zmarł 24 września. Panie Andzej, ja nie mam czasu! – krzyknęła nagle po polsku. – Niech ją pan szuka! Siemczuk, Bolesław Siemczuk. On wie! A pan jest *Kriminalpolizei*, pan da radę. Oni tu... Ech. – Machnęła ręką i skrzywiła się, jakby ściany słupskiego aresztu były wytapetowane krowim łajnem. – Proszę mi pomóc.

– A co mam zrobić z morderstwem Zofii Ploh? – spytał spokojnie Krzycki. – I ze sprawcą, z którego uczyniła pani swój mały, uparty sekret?

– Proszę znaleźć Gerdę, a wszystko inne samo się wyjaśni – odparła z przekonaniem.

– Naprawdę? Jens Müller również? – spytał Andrzej i uniósł dłoń, pstrykając palcami.

Zanim Heike Liebner zdołała opanować zaskoczenie, otwały się drzwi od gabinetu śledczych i Lucek Bałyś wprowadził do sali przesłuchań zapowiedzianego gościa. Krzycki nie odwrócił się, wypatrując reakcji Niemki. Próbowwała ukryć szok, zaledwie poruszyła gałkami ocznymi, ale jemu to wystarczyło. Ona i nowy gość się znali. Wymienili między sobą szybkie spojrzenia. On: „ciekawe, ile im powiedziałaś”, ona: „ciekawe, co znowu zbroiłeś”. Krzycki wstał i uprzejmie podsunął krzesło Müllerowi, a ten usiadł powoli i niepewnie, sztywny, jakby kij połknął. Unikał wzroku Heike.

Andrzej widział po minie Lucka, że ma wielką ochotę coś powiedzieć, więc czym prędzej klepnął go w ramię i wyprowadził z pokoju. Zamknął za sobą drzwi i usiadł na krześle na wprost lustra, a Bałysiowi kazał czuwać na stojąco, by mógł w każdej chwili interweniować.

– Tu wszystko jest możliwe – powiedział półgłosem, mimo iż pomieszczenie było dźwiękoszczelne. – Daję głowę, że świetnie się znają.

– Andrzej, to wbrew przepisom – oponował komisarz Hadczuk. – Ktoś z nas powinien tam być, inaczej...

– Obstawiamy, kto kogo? – zaproponował Lucek. – Ona wygląda na twardszą.

– Zamknijcie się i słuchajcie.

Zamknęli się i we trzech słuchali ciszy płynącej z głośników. Przez przyciemnione okno obserwowali tamtych dwoje. Długo nic się nie działo, żadne z nich się nie poruszyło i nie wydało z siebie dźwięku. Wyglądali jak dwa simy z gry komputerowej, od dawna niekarmione, które lada moment zwiędną i osuną się na podłogę. Śledczy czekali i czekali, wreszcie Lucek nie wytrzymał i szepnął teatralnie:

– Może puścimy im jakiś klimatyczny kawałek...

Nie dokończył, ponieważ Heike Liebner nagle rzuciła się przez stół. Zanim Jens Müller zdążył zareagować, wbiła mu paznokcie w twarz.

Wiosna (*Frühling ist gekommen*)

kwiecień–maj 1945

1

Wiosna tamtego roku przyszła późno. Jeszcze cały kwiecień wiały wściekłe wiatry od Bałtyku i padał śnieg, a nocami chwylał mróz. Dopiero pod koniec miesiąca łąki zamgłyły się zielenią. Na polach podnosiła się ozimina, poprzecinana jak alejkami równoległymi korytarzami gąsienic czołgowych. Gdy słabe pędy trochę się wzmocniły i zaczynały piąć się ku słońcu, przychodził następny mróz i gwałcił ich karki do ziemi. Zima nie ustępowała. Stare pomorskie demony nie chciały się pogodzić z nowymi porządkami, wprowadzanymi przez nowego człowieka.

Nowy człowiek nie był już czerwonym diabłem, tylko polskim chłopem. Przyjeżdżał zwykle gdzieś z głębokiej Polski lub z Kresów, zatykał biało-czerwoną flagę nad wejściem i obejmował w posiadanie ponemieckie dobra. Dawny gospodarz, który nie zdołał przedrzeć się do zachodnich stref okupacyjnych lub też w ogóle nie podjął próby ucieczki, zmieniał się w poddanego. Służył teraz polskiemu parobkowi, a parobek zostawał jego panem. Idea władzy dla ludu zyskała własną, pomorską wersję.

Relacje między dawnym i nowym człowiekiem układały się według wszystkich możliwych wzorów, od przyjaznej współpracy i zgodnego gospodarowania na wspólnej ziemi, przez liczne formy zależności i dominacji, aż po mściwy odwet. W pierwszych tygodniach po wyzwoleniu na porządku dziennym nadal były polowania organizowane przez fernali na niemieckich właścicieli. Prawa Niemców były w zawieszeniu. Ludziom

wciąż kołatały w głowie hasła ze słynnej ulotki Ilji Erenburga: „Zabijajcie! Niemcy to nie ludzie!”. O przynależności państwowej Pomorza miano zdecydować dopiero latem, na razie więc sprawiedliwość definiowano i stosowano doraźnie. Nierzadko dochodził ważki czynnik ekonomiczny: dawni gospodarze stali na przeszkodzie w bezkarnym grabieniu ich mienia. Wprawdzie już 2 marca 1945 roku dekretem Rządu Tymczasowego cały majątek pozostały po Niemcach uległ upaństwowieniu, niemniej długo i żmudnie trzeba było wpajać ten przepis nowemu człowiekowi. Wojna ma swoje prawa, powojenny pokój również.

Sytuację na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych dodatkowo komplikowało pojawienie się nowych form międzykulturowego współistnienia. Nadal aktywnie działali żołnierze Armii Czerwonej, których polskie dekryty nie obchodziły, gdyż w grabieniu stosowali własny *modus operandi*. Nie wdawali się w drobiazgowo rozróżnianie dóbr niemieckich i polskich, łupiąc wszystko jak popadnie. Podobnie podchodzili do kwestii kobiecej. Dla sprawniejszego funkcjonowania dokooptowywali Polaków oraz niemieckich dezertersów, tworząc załóżki przyszłej socjalistycznej współpracy między narodami. A ponieważ pojęcie demobilizacji po zakończeniu działań wojennych również miało charakter płynny, powstawały uzbrojone rosyjsko-polsko-niemieckie grupy szybkiego reagowania, które pojawiały się nagle, terroryzowały mieszkańców, dokonywały rabunków, gwałtów i w razie potrzeby morderstw, po czym znikwały w pobliskich lasach.

Łagodniejszą formę gospodarki na Ziemiach Odzyskanych stosowali polscy osadnicy. Dzielili się na stałych i tymczasowych. Ci pierwsi przybywali wskutek życiowej decyzji o przeprowadzce. Pochodzili z biednej Sandomierszczyzny albo z Kieleckiego, porzucali tam wszystko, czyli prawie nic, i zaczynali na nowo, z lepszym kapitałem początkowym. Do tej grupy należeli również ci, za których zdecydowała polityka i wysiedliła ich z terenów zabużańskich czy litewskich. Stali osadnicy traktowali swoją rolę poważnie i po uprzątnięciu bałaganu mieszkali, siali zboże, sadzili ziemniaki i próbowali przetrwać kolejne najazdy lotnych

brygad międzykulturowego dialogu. Nowy człowiek dla ochrony nowych dóbr przed innym nowym człowiekiem organizował straż wiejskie. Chłopi po dwóch lub trzech stawali z bronią na krańcach wsi i pilnowali nie swojego przed swoimi. Bronili pozostawionych przez Pomorzan kopców z ziemniakami, worków ze zbożem i bydła, a także własnych żon, sióstr i córek, które wprawdzie nie były Niemkami, ale były kobietami. Wojna ma swoje prawa...

Osadnicy tymczasowi stanowili nieco inny typ nowego człowieka, o większej kreatywności i mobilności. Za łapówki załatwiali przydział na ponemiecki dom lub mieszkanie, wprowadzali się i zaraz potem wyprowadzali, ogołacając ze wszystkiego, co stanowiło jakąkolwiek wartość. Jedni wywozili te rzeczy do swoich domów w prawdziwej Polsce, inni sprzedawali na lokalnych bazarach. Wkrótce wracali i wystarawszy się o kolejny przydział, powtarzali cały proceder. Podobno rekordzistą był pewien wicestarosta, który w ciągu pół roku pięć razy zmieniał ponemieckie mieszkanie z przydziału i przy każdej wyprowadzce zabierał ze sobą wszystko. Jak wspominają uczestnicy pomorskiego Klondike, był to najszybszy sposób wzbogacenia się.

Na stałe do powszechnego użycia weszło słowo „szaber”, które w więziennym slangu żydowskich włamywaczy oznaczało łom. Ktoś porzucił dom pełen rzeczy, ty wchodzisz tam za pomocą łomu i zabierasz, co chcesz. Niby jest to czyjeś, ale jakby niczyje, a poza tym właściwie wolno. Szaber to kradzież słaba, trochę mniej nieuczciwa, bo kradniesz rzeczy niepilnowane i porzucone przez wroga, który zaczął wojnę, przegrał ją i został przepędzony. W zasadzie kradzież słuszna, prawomocna, a nawet w jakimś sensie zalecana. Można powiedzieć – kradzież patriotyczna.

Nad niemieckim domem zajęтым przez Polaków z kilku powodów wisiała biało-czerwona flaga. Po pierwsze, informowała o zajęciu posesji. Po drugie, ostrzegała przed plądrowaniem, ponieważ posesja ma już nowych właścicieli, prawowitych, więc będą jej bronić. O broń było łatwo. Po trzecie, gdyby przypadkiem wrócili dawni gospodarze, to niech lepiej

nie wchodzą, bo tu teraz jest Polska. Czyli, po czwarte, flaga informowała, że stary porządek się skończył i teraz jest po nowemu.

Nie zawsze działało. Zdarzały się przypadki, że ktoś otrzymywał przydział i wywieszał wielką biało-czerwoną płachtę, po czym udawał się na drugi koniec kraju po resztę rodziny, a kiedy wracał, dom był już zajęty przez kogoś innego. Pojęcie praworządności miało bardzo tymczasowy zakres znaczeniowy, podobnie jak pojęcie organów porządku publicznego powołanych do jej przestrzegania. Ty masz do czegoś prawo na podstawie papieru z urzędu i ja mam do czegoś prawo na podstawie swojego papieru. Czasem to jest ta sama rzecz. A milicjant również chciałby coś z tego mieć.

Niejasny status zajętych ziem chwiał i prawem własności, i porządkiem moralnym osadników. Wielu z nich działało w przekonaniu, że dostali Pomorze tylko na chwilę, przejściowo, i zaraz trzeba będzie się stąd wynosić. Poczucie tymczasowości całej pofrontowej sytuacji nie sprzyjało gospodarowaniu. Powszechną motywację do pracy dałoby się ująć w ekonomiczną zasadę: maksimum korzyści przy minimum inwestycji. Korzystano z tego, co już było i czego Rosjanie nie wywieźli na Wschód. A wywozili całe zakłady, z maszynami i kompletnym osprzętem do produkcji, więc podejmujący próbę ponownego uruchomienia fabryki robotnicy często zastawali na miejscu gołe mury. Rosjanie demontowali całe kilometry torów. W ten sposób poznikały przedwojenne linie kolejowe, jak ta ze Schlawe do Pollnow, po której pozostał jedynie nasyp biegnący od Sławna do Polanowa. Demontażu pod okiem Rosjan i Polaków dokonywali pomorscy Niemcy.

Chwiejny porządek generuje chwiejne stosunki międzyludzkie. Jedni czują się bardzo pewnie i działają bez skrępowania, inni – wręcz przeciwnie. Wypędzenie niekoniecznie musi dotyczyć przesunięcia geograficznego, ważniejsze jest wewnętrzne przesunięcie w wypędzonej duszy. Z kogoś, kto był u siebie, zmieniasz się w intruza. Przeszkadzasz innym. Oni wiodą prawdziwe życie, podczas gdy ty jesteś tylko niewygodnym przypadkiem i ograniczasz im swobodne działanie. W tę niepewność wpadali obaj: autochton i przybysz. Przyglądali się sobie

z nieufnością i bojaźnią, stąpali ostrożnie po kruchym lodzie. Nie byli u siebie. Przeszkadzali. Pośród dawnych i nowych właścicieli Pomorza stało się właściwie ziemią bez gospodarza. Ziemią niczyją.

2

Umierała wiele razy. Kiedy się zbliżał, zaciskała powieki i modliła się: *Liebe Gottesmutter, Lieber Herr Tod*, daj mi umrzeć. Nie zawsze się udawało. Wtedy widziała jego napiętą twarz i rozchylone usta, słyszała sapanie, czuła odór samogonu i przykrość w podbrzuszu. Później się z niej zwlekał, a ona długo jeszcze leżała na łóżku z zamkniętymi oczami, wsłuchana w tykot bólu rozchodzącego się po ciele jak wpuszczona w krwiobiegu trucizna. Nieco lepiej było, gdy zdołała szybko umrzeć. Poddawała mu się z otwartymi oczami i nieobecna, nie czuła wtedy nic i przytomniała, kiedy już sobie poszedł. Z trudem się podnosiła i wracała do domowych zajęć. Czas znowu ruszał z miejsca. Nic się nie wydarzyło.

Już nie krwawiła. Coś tam w niej w środku chyba się zagoiło i nie wyglądała po każdym kontakcie z Kulikiem tak jak Luise Weidemann w dniu powrotu do wsi. Przez pierwszy miesiąc bolało, później przestało. Jej krocze straciło wrażliwość, zdrewniało, stało się ciałem obcym i pustym. Nie potrafiła pojąć, jak ludzie mogą takie rzeczy wiązać z miłością. *Vergewaltigung* pasowało znacznie lepiej. Było mocne i twarde, wystarczająco bolesne. Od niego zaczęła wpis w swoim pamiętniku.

Staszek Kulik zajął dom Kollwitzów i oddał jej jeden z pokoi na parterze. Nieduży pokoik za kuchnią, z którego najtrudniej było się wydostać. Kiedy zniknął na dłużej, zamykał ją w piwnicy, gdzie w jednym z pomieszczeń urządził jej legowisko ze starego materaca i zostawił wiadro w charakterze toalety. Czasami spędzała tam całe dnie; niepotrzebnie, ponieważ i tak nie zamierzała uciekać. Nie miała dokąd. Oprócz Weidemannów, których własnoręcznie pochowała na przykościelnym cmentarzu, żaden z dawnych mieszkańców nie powrócił do Heinsdorf i straszna wersja o zatonięciu całej wsi podczas ewakuacji nabierała coraz większego prawdopodobieństwa.

Gerda siedziała po turecku na piwnicznym materacu i układała zdania do zeszytu, słówko po słówku, jak koraliki do naszyjnika.

Kulik pilnował, żeby nie wychodziła poza obejście. Miała unikać kontaktów z Polakami, których z dnia na dzień przybywało. Wieś teraz nazywała się Grębówko i zaczęła na nowo tętnić życiem, tylko jakby innym. Wozy na bruku głównej ulicy turkotały od rana do wieczora, wyładowane po burty rzeczami zwożonymi do wsi i wywożonymi z niej, jakby sam ruch towarów tam i z powrotem miał imitować nowe życie. Nie wiedziała, o co w tym chodzi, dawniej życie codzienne Heinsdorf wyglądało zupełnie inaczej.

Miała kontakt z ludźmi przez płot. Wprowadzili się na miejsce Stubenauerów i nie wyglądali sympatycznie. Mężczyzna o okrągłej jak bochen twarzy, małych oczkach i obwisłej dolnej wardze był wielki i chodził, kołyszając się na boki jak marynarz albo kulawy żebrak, choć wyglądał na człowieka młodego. Jego żona, drobna i nerwowa, ciągle krzyczała, zamiast mówić, i nieustannie się spieszyła, jakby karmienie pięciu kur lub wieszanie prania na sznurku wymagało szalonego pośpiechu. Po podwórku pętały się również dzieci. Ulubioną zabawą najstarszego z nich, mniej więcej dwunastoletniego chłopaka, dosyć brzydkiego i niegrzecznego, było wykonywanie pod jej adresem wulgarnych gestów za pomocą ręki na wysokości bioder. Zauważyła, że lubi ją podglądać. Nazywali się Siemczukowie i przybyli z Ukrainy, jak dowiedziała się, zaczepiwszy kobietę wieszającą w pośpiechu umyte garnki na płocie. Zapytana przez Gerdę słowem „Polaken?”, najpierw się obraziła, a potem zaczęła zapamiętane gardłować, wymachując ścierką. Gerda nic z tego nie rozumiała. Przypomniała sobie słowo „daleko” i wypowiedziała je, a tamta machnęła ręką na wschód, mówiąc „Ukraina”, a potem „Siemczuki” i przytykając palec do sterzącego brzucha. Znowu zaczęła gardłować, a Gerda cierpliwie kiwała głową. Nie wiedziała, czy tamta na nią krzyczy, grozi jej czy po prostu coś opowiada, więc na wszelki wypadek skłoniła się i odeszła, bąkając „do widzenia”. Trochę się bała. Jeśli Staszek ją zobaczy, będzie bił.

Staszek Kulik ciężko pracował. Znosił do domu rzeczy z szabru, segregował i z powrotem wywoził. Jeśli jakiś mebel mu się podobał, zatrzymywał go dla siebie i wkrótce mieszkanie było pozostawiane sprzętami jak antykwariat. Jej zlecał naprawianie uszkodzeń na politurze, łątanie dziur w materiałach, zszywanie rozprutych ubrań. Mozolnie uczyła się posługiwać grubą igłą, której wymagały zimowe płaszcze i kożuchy, narzuty, zasłony i obrusy. Często musiała najpierw czyścić to wszystko z brudu, plam i resztek ekskrementów, z czego wnioskowała, że obyczaj załatwiania się na łóżko w sypialni czy na stół w kuchni był wśród czerwonych diabłów powszechny.

Jej dom. Zerkąła na niego czasem przez okienko na strychu, skąd widziała kawałek podwórza i okno sypialni rodziców. Kręcili się tam jacyś ludzie i na podstawie obserwacji próbowała się rozeznać kto zacz. Wydawało jej się niezwykle ważne, by wiedzieć, kto zajął ich dom, choć nie umiała sobie odpowiedzieć dlaczego. Przecież tamtego świata już nie było.

Weidemannów pochowała w krypcie zaraz następnego dnia po pierwszym *Vergewaltigung*. Staszek po tym, co zrobił, gdzieś zniknął i zostawił ją samą, krwawiącą i półprzytomną z bólu i szoku. Leżała, patrząc w sufit i szukając punktu, w którym dałoby się zawiązać sznur. Problem w tym, że nie miała sznura, a nawet gdyby go miała, nie potrafiłaby zawiązać węzła. Jak Luise to zrobiła? Na czym wisiała i kto w ogóle ją tego nauczył? A może ojciec ją powiesił, zanim zabił żonę i siebie? Wzdrygnęła się. Co za myśl! Jeszcze dwa miesiące temu uznałaby ją za absurdalną, a teraz wydawała jej się całkiem rozsądna. Rzeczywistość podsuwała konkretne dowody na poparcie tezy, że bywają rzeczy gorsze od śmierci. O zmroku poczuła przypływ sił i wstała. Musi coś zrobić, żeby nie myśleć.

Wzięła z wozowni dwukołową karę, załadowała na nią szpadel oraz lampę ze świeczką i poszła wolnym, uważnym krokiem po Weidemannów. Załadowała wszystkie trzy ciała i pociągnęła ku kościołowi. Cuchnęły mocno, więc przewiązała usta i nos szalikiem. Najwięcej problemów miała

ze zdejmowaniem ciała Luise. Musiała podstawić stół, wspiąć się na niego z taboretu i przytrzymując prawą ręką trupa w pasie, lewą odciąć sznur. Przy okazji obejrzała węzeł. Zwykle oczko zawiązane na końcu, przez które przechodził sznur do wieszania prania. Zadziałało, ponieważ Luise natarła węzeł olejem. Kiedy Gerda docisnęła do siebie szerniałe zwłoki najpiękniejszej dziewczyny z Heinsdorf, z ich wnętrza buchnął kłęb mdłego fetoru. Tchnienie śmierci. Omal nie zemdląła. Rzuciła Luise na podłogę, uklękła na stole i zwymiotowała. Mroczyki latały jej przed oczami i potrzebowała kilku minut, by dojść do siebie. Kiedy zeszła ze stołu i uniosła lampę, zobaczyła na blacie dwie mokre plamy: rzygowin i krwi. Była jak dziurawy worek na odpady.

Pojechała z trupami na cmentarz, bo nic innego nie przyszło jej do głowy. Szła z trudem i starała się nie patrzeć na boki. Widok opuszczonej, splądrowanej wsi mógł być kroplą przepelniającą czarę i Gerda mogłaby zemdleć, upaść i zamarznąć, a przecież teraz nie chodziło już o nią, tylko o tych nieszczęsnych Weidemannów, wobec których poczuwała się do lojalności. Po dotarciu na miejsce uświadomiła sobie, że w zamarznętej ziemi nie wykopie żadnego grobu, nawet najpłytszego. Drewniane koła ze stalowymi obręczami grzęzły w mokrym śniegu, ale grunt pod spodem był nadal twardy jak kamień. Dowłokła wózek między pierwsze groby i przysiadła na jednym z nich. Reks, który jej towarzyszył, usiadł przed nią i czekał w milczeniu. Był smutny i patrzył z ponurym wyrzutem sumienia, że przyprowadził do niej Kulika. Pogłaskała go. Nie martw się, to nie twoja wina. I tak by się wydarzyło. Po to wrócił.

Wtedy po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że czegoś nie rozumie. Kulik wrócił po nią? „Szukałem cię, Gerda”. Skąd wiedział, że ona tu jest? Siedząc na cmentarzu pod kościołem, obok wózka ze zwłokami rodziny Weidemannów, poczuła się nagle jak w pułapce. Ktoś ją obserwował, ktoś o niej wiedział, być może wiedział nawet o jej kryjówce w ziemiance na buraki i doniósł Kulikowi. Rozejrzała się niespokojnie.

Czy teraz też ją obserwuje?

Reks odbiegł w mrok, a po chwili wrócił z radosnym merdaniem i polizał jej rękę. Chciał coś pokazać, więc podniosła się z trudem i ruszyła za nim w głąb cmentarza. Zatrzymał się przy pionowej kamiennej płycie, obiegnął ją naokoło, a potem obsikał w narożniku. Wróciła do wózka po latarnię i szpadel, gdyż ten pomysł w istocie wydawał się jedynym sensownym. W płytę z napisem: *FAMILIE HECHT* wpuszczone były dwa mosiężne koła. Przełożyła przez nie stylisko szpadla i szarpnęła. Płyta nawet nie drgnęła. Gerda obeszała grobowiec, usiadła tyłem do styliska i pchnęła plecami. Puściło. Przeszła z drugiej strony i pchnęła jeszcze raz. Płyta odsunęła się na tyle, że mogła wcisnąć szpadel w szparę i podważyć. Poszła do góry, a potem opadła z głuchym pacnięciem w śnieg. Dziewczyna uniosła lampę. W głąb grobowca prowadziły kamienne stopnie. Po obu stronach na półkach stały zbutwiałe trumny ze szczątkami Hechtów, właścicieli pobliskiego tartaku i młyna zbożowego w starym wiatraku, ale na betonowej podłodze było dosyć miejsca dla trzech ciał. Znoszenie i układanie, a następnie dokładne zamknięcie grobowca zajęło jej resztę nocy i do domu Kollwitzów wróciła nad ranem, słaniając się na nogach. Spała do południa, a potem dokładnie się umyła. Dwie godziny później wrócił Kulik. Znowu musiała umierać.

Od tamtej pory minął ponad miesiąc, podczas którego ani razu nie opuściła zagrody. Staszek przywoził wyszabrowane rzeczy, ale także jedzenie i ubrania dla nich. Z Kliszem i Różańskim już nie pchali we trójkę furmanki, tylko skądś wytrzasnęli ciężarówkę. Sobie tylko znanymi sposobami zdobywali paliwo i pozwolenia na transport rzeczy. Kiedyś przyjechał z nimi chłopak w mundurze milicjanta i pili do nocy we czwórkę, krzycząc do siebie i rechocząc, a potem Staszek przyszedł do niej i zrobił to tak szybko i brutalnie, że nie zdążyła umrzeć. Coś przy tym do niej mówił, ale nie zrozumiała. Stękał po polsku. Kiedy skończył, usiłował ją przytulić, ale go odepchnęła. Wcisnęła twarz w poduszkę. Burknął coś i zasnął, a ona długo jeszcze nasłuchiwała. Noc, cisza. Ból.

Owszem, nieraz myślała o ucieczce, ale dokąd? We wsi nie było żadnych Niemców, nie miała nawet kogo spytać, jaka właściwie jest sytuacja.

Zapytany o to Staszek kazał jej się zamknąć i więcej nie próbowała. Nowi mieszkańcy zmieniali Heinsdorf w Grębówko. Porządkowali obejścia, uprawiali pola i uruchamiali hodowlę zwierząt domowych, kręcili się wszędzie, również w pobliżu domu Kollwitzów, nigdy jednak nie słyszała ani słowa po niemiecku. Gdyby nawet uciekła i przedarła się do Schlawe – co by tam zastała? Przypuszczalnie to samo, co tutaj, czyli Polaków moszczących się w ponemieckim życiu, zrazu nieśmiałych, potem coraz bardziej odważnych i pewnych siebie w żądaniu cudzej własności. Z łaskawym przyzwoleniem bóstwa powojennej zemsty zadowolonego z licznej rzeszy wyznawców.

Czy jacyś Niemcy w ogóle zostali? Od czasu opuszczenia kolumny uciekinierów widziała tylko Weidemannów i małego Ottona, którego porwały czerwone diabły. Biedny Otto! Co się z nim stało? Pewnego dnia odważyła się spytać Staszka, bo akurat miał lepszy dzień i nie był za bardzo pijany.

- Widziałeś gdzieś Ottona?
- Małego Stubenauera? Nie. Dlaczego pytasz?
- Tak sobie. Mógł się uratować.
- Jak go uratowali, to odpłynął do Niemiec.
- Może go uratowali Rosjanie i jest w Rügenwalde.
- Nie ma już żadnego Rügenwalde. Jest Darłowo.
- Tak, Darłowo. Może Rosjanie go uratowali i jest w Darłowo.

Liczyła, że naprowadzi Kulika na myśl, by poszukać Ottona w którymś z obozów przejściowych dla Niemców. Zapaliła się do tego pomysłu.

– Mogli go przywieźć z powrotem do portu i oddać do obozu jenieckiego.

Staszek ostudził jej zapał.

– Rosjanie nie ratują Niemców. Oni ich topią. I mają rację.

Powiedział to brzydkim, złowrogim głosem. Koniec rozmowy. Odwróciła się na pięcie i odeszła do swojego pokoju, gdzie czekał na nią stos ubrań do cerowania. Usiadła, wzięła igłę z nitką w pokaleczone palce

i zabrała się do roboty. Nie powinna ulegać złudnym nadziejom. One tylko psują wyrazisty obraz rzeczywistości, rozmazują jej ostre kontury. Tak jak życie śmierć trzeba przeżyć do końca. Zebrała dwa brzegi rozerwanego dziecięcego kożuska, wbiła igłę i z trudem wyciągnęła ją po drugiej stronie. Kożuszek dziewczęcy, z wyhaftowanymi na klapach białymi kwiatuskami, rozcięty nożem na plecach. Ślady krwi, jeśli były, ktoś już zmył wcześniej. Jednak kontury zaczęły się rozmazywać. Gerda szybkim ruchem otarła łzę. Poczła się jak *Aschenputtel*, skrzywdzony przez cały świat Kopciuszek, któremu nie wolno żyć jak innym, z tą jedynie różnicą, że po nią żaden książę nie przyjedzie i nie wyciągnie jej spod sterty zakrwawionych poniemieckich szmat. Jej książę już przybył, porwał ją i zgwałcił. Każdy Kopciuszek ma takiego księcia, na jakiego zasłużył.

Pewnego dnia jej książę stanął jednak na wysokości zadania. Kiedy mozoliła się nad klejeniem oderwanej podeszwy oficerek za pomocą butaprenu, od którego kręciło jej się w głowie, nagle wszedł do pokoju i rzucił na łóżko zawiniątko. Stał i czekał na reakcję. Sądziła, że to kolejna partia rzeczy do naprawy, lecz kiedy odwinęła szary papier, westchnęła z przejęcia. Przed nią leżała sukienka! Jej nowa zielona sukienka z białym koronkowym kołnierzykiem i szerokim paskiem w talii, zwieńczonym brązową kościaną klamrą. Mama kupiła ją dla niej jesienią na targu w Schlawe, jako prezent pod choinkę na *Weihnachten*, ale z myślą już o wiosennym słońcu i ciepłe. Gerda włożyła ją tylko raz, wtedy właśnie, podczas Bożego Narodzenia, żeby pochwalić się przed siostrami i natychmiast w niej zakochać. Była prześliczna! Siostry piszczały z zachwyty, podczas gdy ona drżała z niecierpliwości, kiedy do wietrznego pomorskiego świata wreszcie zawita wiosna i będzie mogła ją włożyć. Spojrzała przez okna na słoneczne południe. Wiosna zawitała, tylko pomorski świat zniknął.

Kulik nieruchomo obserwował jej reakcję. Przestraszyła się, że zabierze zieloną sukienkę i sprzeda na targu, a ona znowu straci kawałek siebie. Już i tak niewiele zostało. Podeszła ostrożnie do nieruchomego mężczyzny, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– *Danke* – powiedziała cicho. – Skąd ją masz?

Bała się, że Staszek dostrzeże jej wzruszenie i zareaguje z tą swoją odruchową złością, która zastępowała mu człowieczeństwo. Zdążyła go już poznać. Oprócz nienawiści i odrazy zaczął budzić w niej zaciekawienie swoim upartym niszczeniem wszystkiego, co mogłoby być dobre i pokazać go z bardziej ludzkiej strony. Teraz nie wiedział, co zrobić, więc popchnął ją ku stercie rzeczy.

– Do roboty. Jutro pojedziemy do Przystawna.

– Dokąd?

– Prestow.

Pokiwała głową, nie rozumiejąc, co się dzieje. Będzie ją obwoził jako... swoją kobietę? Spojrzała na sukienkę. Po to ją przyniósł. Żeby jego niemiecka dziewczyna ładnie się ubrała na wycieczkę.

3

Przez resztę rejsu do Swinemünde dziewczynka milczała. Po odzyskaniu przytomności wysłuchiwała spokojnej i rzeczowej relacji kapitana Mielkego o zderzeniu kutrów i zatonięciu uciekinierów, dowiedziała się również o śmierci taty, który ją uratował, oddając jej resztki swojego życiodajnego ciepła. Nie powiedziała nic. Jadła i spała albo leżała na boku i patrzyła na rozchybotaną ścianę ciasnej kapitańskiej kajuty. Trójpokładowy parowiec „Regulus” kołysał się na wzburzonym Bałtyku w swojej mozolnej drodze do portu przeznaczenia, który miał być zaledwie obozem przejściowym dla przerażonych i niepewnych jutra uciekinierów. Chaotycznie stłoczeni na pokładach i wystawieni na nieustanne ataki wroga kapitanowi kojarzyli się z trzodą chlewną w transporcie do rzeźni. Tak też zapewne się czuli. Patrząc na nich, Rudolf Mielke pomyślał, że wcale nie strach przed Rosjanami jest dla nich najgorszy. Że to, co najgorsze, już im się przytrafiło. Siedzieli wtuleni w siebie nawzajem lub w swoje z trudem zachowane tłumoczki – ostatnich świadków poprzedniego życia – i starali się nie myśleć o niczym.

A już zwłaszcza o tym, co za ich plecami osuwało się w nicość. W takim stanie ducha trudno jeszcze bać się śmierci. Jutro już się wydarzyło.

Jeśli mała Heike w ogóle się odzywała, to zwykle mówiła jedno słowo: Gerda. Powtarzała je w odpowiedzi na jego pytania i w chwilach samotności, gdy leżała skulona w koi i patrzyła w pustkę. Imię siostry, która nie zabrała się na kuter z resztą Liebnerów i została tam, na Pomorzu, a teraz była dla dziewczynki jedynym żyjącym członkiem rodziny. Wyobraźnia sześćoletniego dziecka nie obejmuje zjawisk w makroskali dorosłych. Nie działają na nią takie słowa, jak wojna, historia, front, klęska, upadek państwa. Widzi rzeczywistość w najprostszych kategoriach: rodzice, dziadkowie, dom, siostra... Jest w tym ograniczenie horyzontu do najbliższych zdarzeń, ale i mechanizm obronny przed niepojętym. Heike rozumiała, że jej najbliżsi nie żyją, i przeżywała żalobę po swoim, powtarzając imię jedynej ocalonej siostry.

Ocalonej? Kapitan Mielke się skrzywił. Nazywanie niemieckiej dziewczyny na Pomorzu po przejściu Armii Czerwonej ocaloną to spore nadużycie.

– Dlaczego Gerda została? – zapytał kiedyś małą Heike, gdy zjadła śniadanie i siedziała na koi, majtając nogami. Życie wracało równie łatwo, jak odchodziło.

– Chciała ratować Rekxa – odparła poważnie dziewczynka.

– To pies?

– Ummm.

– Dlaczego nie zabraliście go ze sobą?

– Tata nie pozwolił.

– Inni uciekinierzy zabierali zwierzęta. Tu na pokładzie są konie, krowy, kozy, nie mówiąc o psach.

– Ale tata się bał, że nas jest za dużo. Bo tam je...jeszcze były... moje sio...stry...

Wargi jej nagle zaczęły drżeć, nie dokończyła. Rozplakała się i kapitan mocno ją przytulił.

– Powiesz mi ich imiona? – spytał, kiedy trochę się uspokoiła. Podniosła głowę i zaczęła wymieniać:

– A...Anna, Ma...Maria, Kä...tchen, Li...li...sa.

– Lilisa? – spytał z uśmiechem, ale ona zamiast się rozpogodzić, rozszłochała się na dobre. Zrozumiał, że więcej z niej dzisiaj nie wydobydzie. Może spróbuje jutro. W razie ponownego rejsu do Rügenwalde po uciekinierów postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o Gerdzie Liebner. Gdyby tak udało mu się ją znaleźć i połączyć resztki rodziny Liebnerów... Rodzice, dziadkowie, cztery siostry... *Lieber Gott!*

Przytulona do niego Heike pochlipywała coraz ciszej, w końcu zasnęła i słyszał tylko jej miarowy oddech. Ułożył główkę dziewczynki na poduszce i nakrył drobne ciało wełnianym kocem. Gdzieś daleko na morzu błysnęły salwy okrętowych dział, w chwilę później po ołowianych wodach przetoczył się głuchy pomruk. Mielke popatrzył na lodowate fale chlupoczące zawzięcie o burtę parowca i na zaróżowione policzki dziecka śpiącego w jego koi. Zimno i ciepło. Potęga i kruchość. Zło i dobro. Wiecznie skłócone żywioły, które w normalnym życiu ktoś rozsądny powinien dokładnie oddzielić, a które ta wojna bezsensownie pomieszała. Na wspomnienie tego samego zsiniałego i sztywnego od chłodu dziecięcego ciała, zamkniętego w skorupie płaszczka nieżywego ojca, przeszedł go nagły dreszcz. Nie powinno tak być. To wszystko nie powinno tak być.

W spokojniejszych chwilach morskiej przeprawy kapitan obchodził wszystkie trzy pokłady swojego „Regulusa” i rozpytywał, czy wśród pasażerów nie ma kogoś z Heinsdorf. Nie znalazł nikogo. Czyżby zatonąła cała wioska spod Schlawe? Nieszczęsne zderzenie kutrów zaczynało nabierać rysów szatańskiego przeznaczenia. Kilka osób kojarzyło nazwisko Liebnerów. Pewne małżeństwo z Prestow, sąsiedniej wioski, twierdziło nawet, że poznało ich na wiejskim festynie przed kilku laty, kiedy gościem honorowym był pan hrabia von Schlieffen z małżonką. Mielke dopytywał o szczegóły, o innych mieszkańców Heinsdorf, kontakty – wtedy jednak tamci zaczęli bredzić coś o skarbach zamku von Schlieffenów. Że rodzina

bardzo bogata, że dobrze przyszykowała się na wypadek klęski Niemiec, zebrała, co się dało, i schowała pod ziemią – wiedzą na pewno, bo ich syn kopał piwnicę, ale już nie żyje. Machnął ręką. Ludziom ze strachu mieszało się w głowach.

Zastępczej rodziny dla Heike nie znalazł. Nikt nie kwapił się do opieki nad sierotą w sytuacji, kiedy sam ledwie żył. Ludzie myśleli o przetrwaniu własnym i swoich bliskich. Na miłosierdzie przyjdzie czas później, pomyślał, wracając zniechęcony do kajuty. Może w porcie. Jeśli do niego dotrzemy.

Swinemünde było portem przeładunkowym między światami. Dotarli tam po pięciu dniach żeglugi i kapitan Mielke ze swojego mostka przyglądał się, jak uchodźcy z Pomorza opuszczają statek. Rodziny z bagażami i dobytkiem napierały na trap, chcąc jak najprędzej opuścić chybotały pokład i poczuć twardy grunt pod nogami. Kobiety z płaczącymi dziećmi na rękach parły do przodu, za nimi starzy i zmęczeni mężczyźni, ciągnąc wózki, wielkie toboły z pościelą i domowe zwierzęta. Furmanki miały schodzić na końcu, pod opieką gospodarzy, którzy głaskali i poklepywali niespokojne zwierzęta, spłoszone panującym wkoło harmiderem. Młodych mężczyzn prawie nie było. Na rufie jakiś zagubiony kundel błąkał się wśród zwojów lin. Po przebyciu nabrzeża byli już podopieczni Mielkego dołączali do powolnej rzeki ludzi, sunącej ulicą w jakimś zrezygnowanym zmęczeniu i ośpieniu. Ich następny cel stanowił uchodźczy obóz przejściowy. Stąd mieli ruszać dalej na zachód. Swinemünde z oczywistych powodów nie mogło być stacją docelową. Zarówno od Bałtyku, jak i z głębi lądu dochodziły echa artyleryjskich salw i tylko naiwni głupcy mogli wątpić, że za parę dni do miasta wkroczą Rosjanie. Mimo intensywnej ewakuacji morskiej i kolejowej nie było szans na wywiezienie wszystkich tych ludzi do Berlina, Kilonii czy Bremy. Większość pozostanie zgrupowana w jednym miejscu i będzie czekać na los, którego za wszelką cenę chciała uniknąć, a który i tak na nią spadnie.

Heike siedziała poważna na koi, ubrana w brązowy płaszczyk z wypchanymi ramionami, grube szare rajtuzy i czarne buty, trochę za duże.

Wszystko to Mielke wyprosił od matek, które miały pod opieką dziewczynki i których bagaż sprawiał dostatnie wrażenie. Z jej ubrań pozostawił tylko bieliznę, którą własnoręcznie uprał i wysuszył.

– Nie wzięłaby pani pod opiekę sześciolatniej sieroty? – spytał jedną z kobiet, siedzącą w otoczeniu trojga dzieci.

Spojrzała ponuro.

– A załatwi mi pan miejsce w pociągu?

– Nie mam takiej możliwości. Mógłbym pani zapłacić za jej podróż...

– Ja też nie mam możliwości. – Pokazała ręką na dzieci i bagaże. – Jestem sama, mąż na froncie, nie poradzę. A pieniądze to akurat mam, tylko nie wiem, gdzie i co kupować.

Pokiwał głową i więcej nie pytał. Wracając do kajuty, próbował sam siebie przekonywać, że człowiek jest tylko człowiekiem i nie należy mieć pretensji. Słabo mu to wyszło.

Rozładunek dobiegał końca. Pokład „Regulusa” opustoszał i tylko kundel wciąż kręcił się po rufie, nerwowo obsikując zakamarki. Na statek dostał się dzięki własnej przedsiębiorczości, zmyślnie przemykając między nogami uciekinierów. W końcu sam również był jednym z nich. A teraz nie wiedział, dokąd iść. Zejście na obcy ląd średnio go pociągało i kombinował pewnie, jak zostać na statku. Dlatego znaczył miejsce podnoszeniem tylnej łapy.

– Musimy już iść – powiedział miękko Mielke do dziewczynki.

Uniosła głowę. Rozczesane blond włosy związała tasiemką w koński ogon i wypuściła spod czapki na plecy. Wpatrywała się w niego okrągłymi czarnymi oczami jak zwierzątko przyłapanie w swojej norce.

– Nie mogłabym zostać? – spytała słabym głosem.

– Przykro mi, ale nie. To statek Kriegsmarine, obowiązują wojskowe przepisy. Nie wolno nam trzymać tu dzieci.

– Ale przecież mnie pan przywiózł. I tych innych też – powiedziała, pokazując ręką na iluminator.

– Tylko jako pasażerów. Wielu jeszcze tam zostało, muszę teraz po nich płynąć. To niebezpieczne.

– Wiem. Ale ja bym sobie tu cichutko siedziała i nie wychodziła. Nikt mnie nie zauważy. Nie będą wiedzieli.

Westchnął ciężko, żeby zebrać się na odpowiedź i nie zemdleć. Był wyczerpany. Od stycznia bez przerwy pływał po Bałtyku tam i z powrotem, pod ogniem rosyjskich okrętów i okrętów podwodnych, a od kilku dni spał na siedząco, oddawszy koję dziewczynce. Piasek przemęczenia szczypał go pod powiekami. Dotychczas przewiózł ponad dwa tysiące uciekinierów, wśród nich było wiele takich sierot jak Heike. Wahanie się oznaczałoby słabość, która w warunkach wojennej ewakuacji może przynieść efekt odwrotny do zamierzonego. Zgubi siebie i ją. Nie ma żadnej gwarancji, że następny kurs zakończy się równie szczęśliwie jak ten.

Już raz ją uratował.

– Heike, naprawdę nie mogę. Ale spróbuję coś ci znaleźć. Chodź.

Wziął ją za rękę i z odwróconą głową, żeby nie patrzeć w te szeroko otwarte czarne oczy przestraszonego zwierzątka, wyprowadził na pokład. Marynarze biegali we wszystkie strony, by wysprzątać statek i przygotować go do następnego rejsu. Szli oboje w milczeniu i dziewczynka tylko raz podniosła głowę, kiedy kundel z rufy na ich widok szczeknął od niechcenia. Ścisnęła mocniej dłoń kapitana, ale nie zwolniła kroku. Zeszli z trapu. Wiał zimny wiatr, padał mokry śnieg. Zima nie odpuszczała.

Odprowadził ją do punktu medycznego obok kapitanatu portu w Swinemünde, stylowego budynku tuż przy nabrzeżu. Siostra w izbie przyjęć wzięła dziewczynkę na ręce, pogładziła po jasnych włosach i pocałowała w policzek. Nie musiał wiele wyjaśniać, kobieta sprawiała wrażenie doskonale obytej z podobnymi przypadkami i wiedziała, co robić. Zapewniła go o fachowej opiece nad dziewczynką i spisała dane dziecka, a następnie z niemiecką stanowczością poleciła „panu kapitanowi” wracać do „narodowych obowiązków”. Skinął głową. Zrobił niezdarny krok do przodu.

– Heike, trzymaj się.

Starał się mówić ciepło i wyszedł mu jakiś gardlany charkot. Nie odpowiedziała. Patrzyła i czekała. Przełknął ślinę.

– Wrócę tam i poszukam jej. A potem przyjadę po ciebie.

– Obiecujesz?

Nie był pewien, czy ma obiecać znalezienie Gerdy, czy przyjazd po Heike, ale uznał, że to bez znaczenia.

– Obiecuję.

Uściskał jej drobną rączkę i wyszedł szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie. Potknął się na progu, zmełł w ustach przekleństwo i wybiegł z izby.

W kapitanacie portu złożył meldunek z zakończonego rejsu i dwie godziny z okładem czekał na przydzielenie kolejnego zadania. Ruch w porcie był ogromny, wciąż wpływały i odpływały kolejne jednostki, wszystkie załadowane ludźmi i sprzętem wojskowym. Wszechobecny pośpiech powodował jednak nieustanne zatory, przepychanki i kolejki. Kiedy wreszcie otrzymał nowe rozkazy, mówiły one o natychmiastowym zaokrętowaniu rannych żołnierzy i wyruszeniu w rejs do Flensburga. Zameldował przyjęcie zadania, podpisał stosowne dokumenty i pędem ruszył do wyjścia. Serce waliło mu jak młotem.

Do Flensburga! Nie na wschód, tylko na zachód! Mógłby zabrać Heike do swojej kuzynki i zostawić u niej na przechowanie. Potem weźmie ją do siebie do Hamburga. Jeśli wróci. W przeciwnym razie Birgit zajmie się dzieckiem, jest porządną kobietą i wdową z własnym mieszkaniem. Jeden rejs, ukryje dziecko u siebie, nikt nie będzie wiedział...

Myśl uskrzydliła go i zbiegał schodami, skacząc po dwa stopnie, niepomny zmęczenia, od którego jeszcze przed kwadransem chwiał się jak pijany. Wpadł do pokoju medycznego bez pukania, krzycząc:

– Gdzie ona jest?!

Siostra, która trzy godziny temu odebrała od niego dziewczynkę i zapewniała o fachowej opiece, odwróciła się wyniośle. Wokół niej kręciło się troje dzieci. Żadne z nich nie było małą Heike.

– Kto? – spytała, unosząc brwi. – A tak w ogóle to najpierw się puka.

– Heike Liebner, do diabła! Dzisiaj ją tu zostawiłem. Muszę ją odebrać, natychmiast!

Siostra poprawiła biały czepek wpięty w posiwiałe włosy i zadarła podbródek.

– Panie kapitanie! Tu nie jest przechowalnia dzieci na godziny, tylko punkt medyczny dla doraźnych przypadków. Zgodnie z tym, co mówiłam, Heike Liebner została przebadana, porządnie nakarmiona, a następnie odesłana do obozu przejściowego dla sierot i samotnych matek z dziećmi. Tam zajmą się nią lepiej niż tutaj.

– Jak to odesłana?! Kiedy?

– Jakąś godzinę po pańskim wyjściu. I proszę łaskawie o ton ciszej, tu są dzieci. Także sieroty.

Omiótł spojrzeniem trójkę przestraszonych maluchów i spytał zduszonym głosem, gdzie znajduje się ten obóz.

– Za granicami portu, na przedmieściach, przy szosie na Heringsdorf. Akurat miałam samochód w tamtą stronę. Czy coś się stało, panie kapitanie?

Chciał na nią nakrzyczeć, że tak, stało się. Popełnił błąd i chciałby go natychmiast naprawić, bo właśnie nadarzyła się okazja. Że jest wojna i trzeba sobie pomagać. Że w takich nieludzkich czasach tym bardziej trzeba być człowiekiem. A dzieci, które po nas pozostaną, powinny uczyć się, że oprócz piekła jest również ludzka ziemia...

Nie powiedział nic. Odwrócił się na pięcie i wyszedł przed budynek. Na ulicy panował wielki ruch, z energią kontrolowany przez młodych ludzi w mundurach Hitlerjugend, którzy usiłowali nadać tej nieokiełznanej masie jakiś porządek. Spojrzał na zegarek i do swoich papierów. Miał cztery godziny na uzupełnienie zapasów „Regulusa”, zanim wypłynie w kolejny rejs. Należało przypilnować załadunku i ustalenia parametrów kursu ze sternikiem. Nawet gdyby te ulice nagle opustoszały, a on miał do dyspozycji najszybszego daimlera-benza, i tak nie zdąży. A jeśli nie

dopilnuje statku i nie wypłynie o oznaczonej godzinie, grozi mu rozstrzelanie na miejscu za niewykonanie rozkazu w stanie wojny.

Odwrócił się i wolnym krokiem ruszył w kierunku „Regulusa”.

Załadunek już trwał, marynarze pokrzykiwali, liny skrzypiały. Pierwszy oficer na jego widok podbiegł i coś meldował szczekliwym głosem. Czekali na niego, ponieważ trzeba to i to, i jeszcze to. *Scheisse! Verdammt Scheisse!* – chciało mu się krzyczeć. Przyjął meldunek bez słowa, zszedł z trapu na pokład i pomiędzy legowiskami nowych pasażerów udał się do swojej kajuty. Zamknął drzwi, usiadł na koi i pogładził szary koc, równiutko zaścielony dziecięcą ręką. Poprawił poduszkę. Heike, trzymaj się.

Nie wypłynęli wieczorem. Z powodu nasilonych rosyjskich ataków musieli czekać w pogotowiu całą noc i wyszli w morze dopiero o świcie. Zanim przepchnęli się przez zatłoczony port i redę, upłynęły prawie dwie godziny. Po drodze minęli frachtowiec „Andros”, który w czasie wojny przystosowano do przewozu osób i który właśnie przywiózł dwa tysiące uciekinierów z Pillau w Prusach Wschodnich. Pozdrowili się syrenami okrętowymi i pożegnali – jak się później okazało – na zawsze.

W poniedziałek, 12 marca „Regulus” właśnie dopływał do Rügen i kapitan przez długą lornetkę Buscha lustrował linię horyzontu, kiedy usłyszał dalekie brzęczenie, jak w pszczelim ulu. Spojrzał na zegarek, dochodziło południe. Brzęczenie narastało. Skierował lornetkę w górę i wstrzymał oddech. Niebo roiło się od samolotów. Czarna szarańcza składała się z dwóch rojów. W środku szły większe, amerykańskie bombowce B-24 zwane Liberatorami, wokół nich jak chmary komarów krążyły myśliwce typu Mustang. Leciąły prosto na Swinemünde. Rudolf Mielke obracał pokrętłami w prawo i w lewo, szukając optymalnej ostrości. Chciał wiedzieć, czy zaczną zrzucać bomby tutaj, czy może polecą dalej. Zaczęły. Od spodów wyzwoliciele zaczęły odrywać się czarne kreseczki i skośnym lotem poszły w miasto i port. Po chwili podniosły się stamtąd kłęby dymu i kurzu, a powietrzem targnął niski, przeciągły grzmot. I następny. I jeszcze jeden. I jeszcze...

Kapitan Mielke wiele widział w swoim wojennym życiu, ale to przekraczało wszelkie wyobrażenie. Grzmoty następowały jeden po drugim, bez końca, eskadry zawracały nad Bałtykiem i odchodziły na północ, robiąc miejsce następnym. Dywanowe bombardowanie trwało niemal godzinę, jakby szalony uczeń czarnoksiężnika rozpętał burzę i nie potrafił jej powstrzymać. „Piekło”, wyszeptał Mielke suchymi wargami. „To piekło”. A zaraz potem zaczął walić pięścią w poręcz mostka i krzyczeć:

– *Scheisse! Scheisse! Verdamnte Scheisse!*

4

Oczywiście nie chodziło o wiosenną wycieczkę z dziewczyną. Staszek Kulik potrzebował pomocy w dręczeniu pomorskich Niemców, aby ujawnili kryjówki z kosztownościami. Wraz z nowymi mieszkańcami na Pomorze przywędrowały narracje o ukrytych skarbach. Słyszało się je wszędzie: w sklepie, na placu targowym, pod gospodą. One też stanowiły motor napędowy lokalnej przedsiębiorczości skupiającej się na przekształcaniu tych fantasmagorii w rzeczywistość. Cała szabrownicza działalność Kulika, która przy odrobinie starań nabierała pozorów legalności, była jedynie przykrywką. Naprawdę chodziło o wykopanie wielkiego niemieckiego skarbu.

W tym celu należało zdobyć informacje, a te mieli tylko tutejsi Niemcy. Wśród podwładnych Kulika rozwinęły się interesujące biznesplany, skoncentrowane na wyszukiwaniu i zmuszaniu do mówienia tych autochtonów, którzy mieli pecha i nie zdążyli na ostatni rejs albo postanowili pozostać na ziemi ojców, licząc, że jakoś to będzie. Było znacznie ciekawiej niż „jakoś”. Wyciągani z kryjówek, przywiązywani do krzeseł lub płotów i torturowani, mieli podawać miejsca, adresy, lokalizacje, najlepiej z odręcznie sporządzoną mapą. Nie wszyscy przeżywali. Nieostrożnością było na przykład noszenie biżuterii. Jeżeli

pierścionek tkwił na palcu, taki palec zwykle obcinano. W przypadku protestów obcinano więcej, na przykład głowę.

Nieznajomość języka ani terenu nie stanowiła przeszkody – tu wkraczali tacy pomocnicy jak Gerda: przewodnicy i tłumacze. Niczym indiańscy tropiciele na usługach amerykańskich kolonistów wkradali się w łaski autochtonów i zdobywali zaufanie, co równało się otwarciu pierwszych wrót skarbcza. Jeśli pomorski Niemiec miał to nieszczęście, że nie wiedział o żadnym skarbie, niewiedzę przypłacał życiem, więc wielu kryło się po piwnicach, ziemiankach i zrujnowanych pustostanach.

Był piękny dzień na początku maja. Demony zimy nareszcie odpuściły i oddały świat we władanie wiosennym elfom, gorliwie zakrywającym poranioną ziemię zielonymi dywanami. Słońce promieniało radością, jakby nic takiego się nie stało. Powróciły ptaki i zabrały się do roboty. Brzęczały pierwsze owady. Latem popłyną pierwsze miody. Żyć nie umierać.

Zapakowana do kabiny ciężarówka i wciśnięta między Staszka a siedzącego za kierownicą Różańskiego Gerda z sennym zdziwieniem przyglądała się rodzinnej wsi. Niby ta sama, a nie ta sama. Niby żyjąca, pełna ruchliwych mieszkańców i ich zwierzęcego dobytku, a jednak martwa. Dawny sklep nieszczęsnych Grohlów, którzy zginęli w kolumnie do Schlawe, znowu był otwarty i niezrozumiałymi dla niej słowami zapraszał do robienia zakupów – ale to nie był tamten sklep. Kościół stał pusty, drzwi wejściowe zwisały smętnie na wyłamanych zawiasach, neogotyckie okno nad wejściem połyskiwało ułamkami rozbitego witraża. W całym tym katastrofalnym zamieszaniu zupełnie umknął jej los pastora Roggena, który nie wyszedł wtedy z całą wioską i obiecał dołączyć do nich w mieście. Miał przypilnować załadunku parafialnych precjozów na specjalnie zamówioną furmankę. Kiedy Gerda wróciła do wsi po Reksa, już go nie było. Po prostu zniknął. Niewykluczone, że czerwone diabły porwały go razem z jego kościelnymi parafernaliami.

Biedny Heinsdorf. Nawet nazwę mu odebrano i zastąpiono polskim Grębówkiem. Zerknęła na tę koślawą imitację zwróconego wiosce życia i bardzo chciała zapytać, czy wszyscy ci ludzie są Polakami. Bo jeśli miała

tu przetrwać, czyż i ona nie powinna zostać Polką i wieść koślawej imitacji prawdziwego życia? Nie spytała, bała się. Reakcje Staszka były nieprzewidywalne.

Na cmentarzu za kościołem trwały prace. W kilku miejscach robotnicy łopatami przerzucali ziemię, inni rozgrzebywali ją grabkami lub przesiewali przez sita. Mieli twarze przewiązane chustkami. Spytała, co oni robią.

– Budują magazyn – odparł Staszek.

– Na cmentarzu? Przecież to... to święte miejsce!

– Dla Niemców może było święte. Dla nas nie. Tu jest teraz Polska Ludowa. Potrzebne są magazyny.

Pokazał Różańskiemu, żeby zjechał na pobocze. Wysiadł i podszedł do pracujących ludzi. Na uniżone pozdrowienia odpowiadał niedbałym machnięciem ręką. Zmierzał prosto do Klisza, który krążył między kopaczami z jedną ręką w kieszeni, a drugą uzbrojoną w kij. Grzebał nim w hałdach ziemi i wskazywał jakieś szczególnie ważne punkty. W kilku miejscach z gliny sterczały kawałki desek i kości. Oprócz niego jeszcze trzech innych kręciło się po tym osobliwym placu budowy, wszyscy z biało-czerwonymi opaskami na rękawach.

– Szukają złota? – spytała Różańskiego. Odpowiedział po polsku, ale zrozumiała tylko „kurwa” i „syf”. Staszek z tym drugim zniknęli na tylnym siedzeniu czarnej limuzyny, która z zasłoniętymi oknami stała w cieniu pod cmentarnym murem.

– *Gold?* – powtórzyła, ale Różański nie zareagował.

Bała się z nią wchodzić w bliższe relacje, bo Staszek mógłby się wściec. Musiała przyznać, że od tej strony miała skuteczne zabezpieczenie – wszyscy mężczyźni z otoczenia Kulika unikali jej jak ognia. Należała do szefa i pozostałym wara; jakoś tak to musiało działać.

Wzruszyła ramionami i przyglądała się kopaczom. Wśród nich było dwóch siwych starców w wytartych kaszkietach, takich samych, jakie nosił jej ojciec. Poza tym same kobiety w ubłoconych spódnicach i chustkach na głowach. Jedna z nich, przygarbiona staruszka, rondlem nabierała suchą

piaszczystą ziemię, wydobytą gdzieś z głębi grobowca, i sypała na ukośnie ustawione metalowe sito. Ręce miała słabe, rondel trząś się w powietrzu. Gerda przebiegła wzrokiem po cmentarzu. Starcy kopią, a młode byczki pilnują. Nagle zrozumiała.

– Mogę na chwilę wyjść? – spytała i pokazała na zaciśnięte kolana.

Róžański pokręcił głową.

– Muszę!

Spojrzał na nią z uśmiechem, wysiadł, obszedł kabinę ciężarówki i otworzył drzwi. Szarmanckim gestem zaprosił ją do wyjścia. Po tej stronie drogi ciągnęły się domy, więc jedyne krzaki nadające się do szybkiego ulżenia sobie znajdowały się za cmentarzem. Poprowadził ją tam, ścieżką wzdłuż muru. Kiedy mijali wyrwę w ogrodzeniu, zerknęła ku pracującym ludziom. Nie rozpoznawała nikogo, sami obcy. Stara kobieta przy sicie podniosła na nią wzrok i przyglądała się nieruchomo. Trwało to nie dłużej niż sekundę, ale Gerdzie wystarczyło, by uchwycić sygnał porozumienia wysłany do niej przez pooraną zmarszczkami twarz. Niemka. I wie, że ja też jestem Niemką.

Róžański z satysfakcją pokazał jej kępę ledwie zieleniących się krzaczków. Zrozumiała, że będzie jej pilnował z bliska. Zawahała się, a on rozchylił wargi w głupim uśmiechu. Obie ręce trzymał w kieszeniach spodni i coś tam gmerał. Popatrzyła mu prosto w oczy, sięgnęła pod swoją elegancką zieloną sukienkę, zadarła ją i zaczęła kucać. Róžański przestał się uśmiechać, ale patrzył. Mierzyli się wzrokiem, a ona pochylała się coraz niżej. Jego ręce w kieszeniach znieruchomiały. Kucała na lekko rozstawionych nogach. Nie wytrzymał, kiedy ujrzał jej zsunięte do kolan majtki. Rzucił to słynne polskie „kurwa” i odwrócił się plecami. Jakiś przechodzący ulicą chłopak gwizdnął przeciągle, a Róžański pogroził mu pięścią. Był wściekły.

Nie chciało jej się sikać, więc tylko pokucała chwilę, rozkoszując się ciepłym podmuchem na obnażonych pośladkach, po czym wstała i obciągnęła sukienkę.

– *Los!* – krzyknęła, zakładając, że to rozumie każdy Polak. Różański ruszył przodem, ona kilka kroków za nim. O to właśnie chodziło.

Zbliżając się do wyrwy w murze, gorączkowo szukała słowa na tyle krótkiego i wyraźnego, by kobieta zdążyła odpowiedzieć. Nic jej nie przychodziło do głowy, więc kiedy znowu pojawiła się grupka kopaczy, zwolniła tylko i bezradnie spojrzała na staruszkę. Ta była lepiej przygotowana. Nieznacznym ruchem głowy pokazała przed siebie, a Gerda rzuciła rozpaczliwe: *Wo? Gdzie?* Kobieta poruszyła ustami, ale Gerda nie miała pojęcia, co to za słowo. Zatrzymała się. Tamta zakręciła głową i powtórzyła wyraz, ale suche wargi ledwie się poruszały.

– Dawaj! – zawołał Różański i zawrócił ku niej. – Co, kurwa!

Odeszła od wyrwy z ociąganiem. Staruszka zniknęła, a ona wciąż wpatrywała się w te stare, obwisłe usta wymawiające nieodgadnioną nazwę. Co to miało być? Widziała przeciągłe „u” albo „o”, w środku „m” i jeszcze na końcu „e”. *Komm, Liebe?* Pasowało średnio. *Rundum müde?* Ale co miałoby ją obchodzić, że starowina jest „w kółko zmęczona”? Poza tym brzmiało jakoś nienaturalnie. U-u-m-e. I ten ruch głową. A może mówiła po polsku? Tylko po co w takim razie miałyby szukać z nią porozumienia?

Przy samochodzie czekał już Kulik. Po wysłuchaniu wyjaśnień Różańskiego pchnął ją ku otwartym drzwiom ciężarówki, coś powiedział po polsku i obaj głośno się roześmiali. Miał dobry humor. Efekt dzisiejszych wykopków musiał być zadowalający. Złoty nocnik z hrabiowskiej sypialni, pomyślała i też się uśmiechnęła.

Do Prestow pojechali okrężną drogą przez Schlawe, ponieważ Kulik miał jeszcze coś do załatwienia w mieście. Gdy minęli tablicę z napisem: SŁAWNO i wjechali między pierwsze domy, Gerda szeroko otwierała oczy ze zdumienia. Jej piękne, malownicze, ciche miasteczko było jedną wielką ruiną. Zamiast trzypiętrowych kamienic wzdłuż głównej ulicy wjazdowej zobaczyła morze gruzu, pyłu i cegieł, z wydeptanymi pośród nich wąskimi ścieżkami. Otoczenie Rynku było jednym wielkim rumowiskiem, nie zostało nic z wielkiego domu towarowego, kamienice na północnej i wschodniej ścianie straszyły wypalonymi oczodołami i kawałkami ścian.

Wyglądały jak upiorny pochód trupów w łachmanach. Spłonął ratusz. Jęknęła cicho, zaciskając zęby na knykciach.

– Podoba ci się, co? – spytał Kulik. – *So ist das, Gerda*. To rachunek za Warszawę. Tak samo wyglądają Gdańsk, Kołobrzeg, Świnoujście. Trzeba było nie zaczynać.

Chciała odpowiedzieć, że akurat nikt ze Schlawe tej wojny nie zaczynał, ale ugryzła się w język. „Niemcy to nie ludzie” – parę razy już słyszała to zdanie od Staszka i nie miała zamiaru znowu go prowokować. Mógł ją pobić przy Różańskim. Patrzyła i patrzyła. Całą sobą chłoneła obraz miasteczka zaszlachtowanego przez przechodzący front. Przypomniała sobie gęste kłęby dymu, które widziała z podwórka domu Stubenauerów na początku marca. Teraz miała przed sobą skutki tamtych pożarów: osmalone ściany, czarne wnętrza, sterty niedopalonych krokwi, wszędzie potłuczone dachówki i szkło. Ludzie odgruzowali tyle, żeby móc jako tako poruszać się po głównych arteriach w kierunku urzędów, sklepów i dróg wyjazdowych, reszta stanowiła jeden wielki miejski nieużytek.

Różański zaparkował samochód na malutkim placu między zwalonymi domami. Kulik znowu dokądś poszedł, a oni zostali we dwoje w kabinie. Różański zawzięcie milczał, trochę jakby na nią obrażony za tamten wstyd pod krzakiem, choć to ona właściwie powinna się wstydić. Milczenie jej pasowało, mogła oglądać ludzi. Przyglądała się im z zainteresowaniem, próbując rozpoznać wśród nich Niemców. Jakaś ocalała odrobina nadziei kazała jej wypatrywać sąsiadów z Heinsdorf. Szukanie Niemców okazało się bardzo proste. Tu i ówdzie grupki źle ubranych, zaniedbanych i smutnych ludzi pracowały przy oczyszczaniu Rynku z gruzów – to byli jej rodacy. Pilnowali ich umundurowani wartownicy z karabinami na ramionach i papierosami w kącikach ust. Wyluzowani zachęcająco poklepywali robotnice po plecach i pośladkach. Schemat identyczny z tym na cmentarzu w Grębówku: kobiety i starcy pracują, młode byczki pod bronią nadzorują. Jakaś otyła Niemka niezgrabnie ładowała gruz szuflą na taczki podstawione przez siwego mężczyznę. Przysiadł na chwilę, zdjął kaszkiet i otarł pot z czoła. Żołnierz natychmiast podszedł do niego

i szturchnął go lufą karabinu w plecy. Mężczyzna podniósł się ciężko, uniósł rękę w geście przeprosin i zabrał się do zbierania ułamków gruzu. Gerda gapiła się na te smutne cienie dumnych niegdyś ludzi ze ściśniętym sercem. Szukała znajomych sylwetek, rysów twarzy, gestów. Nie, nikogo. To już nie ludzie. Jak koniec, to koniec.

Kulik wrócił z kartką wciśniętą w kieszonkę wojskowej bluzy, którą nosił pozbawioną dystynkcji, ale za to z patriotyczną opaską. Wsiadł i podsunął jej papier pod nos.

– Znasz te nazwiska? – spytał.

Na kartce było pięć niemieckich nazwisk i tylko jedno mówiło coś Gerdzie: von Schlieffen. Uśmiechnęła się przelotnie. Czyli jednak złotego nocnika pana hrabiego jeszcze nie znaleźli. Pokazała je palcem, a on tylko skinął głową. Chciała zapytać, do czego mu te nazwiska, bo przecież ludzi raczej już nie ma, ale znowu ugryzła się w język. Milczenie jest złotem. A dla niej, tu i teraz, życiem.

Staszek Kulik krzyknął do Różańskiego „jazda” i wrócili na szosę idącą ze Sławna na południe, w kierunku Jeziora Łętowskiego, w jej poprzednim życiu noszącego nazwę Lantower See. Wieś Przystawno znajdowała się parę kilometrów na południowy wschód od przelotowej szosy w kierunku Polanowa. Była większa od Grębówka, liczyła więcej domów i rozciągała się na rozleglejszej powierzchni, pośród gęstych mieszanych lasów, ale nie była bogatsza. Należała do rodziny von Schlieffenów, którzy potrafili ciągnąć z niej całkiem niezłe zyski, a pod koniec wojny opuścili siedlisko. Na poboczu szosy i w przydrożnych rowach leżały resztki porzuconych rzeczy uciekinierów, porozrywane pierzyny, rozbite naczynia, pogięte garnki. Jakby przeszła tędy trąba powietrzna i powyrywała ludzi z ich siedzib wraz z całym domowym dobytkiem. Przy skręcie w boczną drogę leżała przewrócona tablica informacyjna z napisem: *KUCKUCKSMÜHLE 5* i ładnie wystylizowaną indiańską strzałą wskazującą kierunek. Znała tę nazwę, ojciec czasem jeździł do Kukułczego Młyna zemleć zboże na paszę i zabierał ją ze sobą. Wiatrak należał do rodziny Hechtów, tych samych, w których grobowcu złożyła ciała trojga Weidemannów. Teraz pewnie

znowu wywleczone na światło dzienne, bo hieny cmentarne szukają skarbów.

Stary dwór Schlieffenów był właściwie letnią rezydencją rodziny. Stał nieco na uboczu, w górującym nad okolicą parku, opadającym tarasami aż do wąskiej drogi dojazdowej. Właśnie tam kazał skrócić Kulik. Po stu metrach jazdy wąską alejką Różański zoczył w leśną przecinkę i się zatrzymał. Wysiedli. Kulik odprowadził Gerdę na bok.

– Pójdiesz przodem – powiedział, trzymając ją za łokieć. – Sprawdzisz, kto tam został. Chcę wiedzieć, po co tu jest.

– Nie możesz sam po prostu pójść i spytać?

– Mnie nie powiedzą.

– O czym?

– O tym, gdzie mają swoją kryjówkę.

– Dlaczego mieliby powiedzieć mnie?

– Bo jesteś Niemką. Opowiesz im, że uciekłaś Rosjanom, którzy chcieli cię zgwałcić. Ścigają cię i musisz się ukryć.

Użył słowa *Vergewaltigung*, znał je. Wszyscy na Pomorzu je znali. Zagryzła wargi.

– Przepędzą mnie. Ściągnę na nich nieszczęście – zaryzykowała.

Ścisnął jej ramię tak, że aż jęknęła z bólu.

– Zrób, co mówię, a nie będzie nieszczęścia. Wiem, że wszystkiego nie zabrali. Gdzieś musi być schowek. Dowiedz się. Pogadaj z nimi.

– Potem ich zabijesz? – spytała i to było o jedno pytanie za dużo.

Uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Upadłaby, gdyby nie jego silny uścisk.

– Uważaj, żebym ciebie nie zabił. – Uchwycił błysk w jej oku. – I nie próbuj uciekać.

Jakby dla poparcia jego słów w leśną przecinkę zjechała druga ciężarówka z pięcioma ludźmi na pace. Zeskoczyli na ścieżkę i jeden z nich podbiegł do Staszka, podczas gdy pozostali czterej pokazywali ją sobie

palcami i komentowali po polsku, szczerząc zęby w dwuznacznych uśmiejach. Wszyscy trzymali ręce w obciążonych kieszeniach marynarek.

Niezbyt rozumiała cały ten plan. Domyślała się jedynie, że służy w nim za przynętę i jeśli się spisze, jak należy, chłopcy zgarną kolejny łup. Staszek Kulik dowiedział się ze swoich źródeł o hipotetycznym skarbie ukrytym w pałacu i próbuje do niego dotrzeć, zanim zajmą się tym legalne władze. O ile zdołała zrozumieć z napomknien Staszka i jego kolegów, wojna jeszcze się nie skończyła i Niemcy nadal nie byli ludźmi, a tutejsze ziemie zawisły w jakiejś międzyprzestrzeni i nie wiadomo było, do kogo należą. Wojska rosyjskie wciąż występowały w roli uprzywilejowanych zwycięzców, więc bezkarnie grasowały po okolicy, budząc powszechną niechęć. Parę razy słyszała, jak ludzie Kulika po pijaku z wściekłością zaciskali pięści i wykrzykiwali: „Ruski!”. Znała to słowo jeszcze z sąsiedzkich rozmów ojca i rozumiała, że jest synonimem czerwonych diabłów. To znaczy, że oprócz tej wielkiej wojny toczy się tu jeszcze jakaś wojenka polsko-rosyjska. Mała pociecha, ale zawsze jakaś.

– Co mam robić, jak już się dowiem? – spytała, rozcierając dłonią piekący policzek. – Krzyczeć: „Halo, znalazłam”?

Uniósł dłoń, jednak po chwili ją opuścił. W kącikach jego ust pojawił się śladowy uśmiech.

– Wystarczy, że z nimi pogadasz. Dowiedz się, czego trzeba. Ja się zajmę resztą. No już. – Zacisnął twarde palce na jej ramieniu. – Jeśli zdradzisz, wiesz, co będzie.

– Wiem. Zabijesz mnie, bo ci wolno.

– Śmierć będzie na końcu.

Pchnął ją w stronę pałacu i poszedł do swoich ludzi. Wydawał polecenia po polsku, ale wystarczył jego władczy ton i cisza słuchaczy, by pojąć, że on tu rządzi. Ciekawe, czy ich też wali w twarz na odlew. Nie, nie może, bo oni są ludźmi. Ona to co innego. Z nią może robić wszystko.

Pobiegła ścieżką przed siebie.

Kiedy zniknęła im z oczu i znalazła się blisko, zwolniła. Między drzewami zamajaczył płaski dziedziniec z klombem pośrodku oraz dwie kolumny przy wejściu. Pałac wyglądał na kompletnie zdewastowany i częściowo spalony. W lewym skrzydle spory kawał dachu zawalił się do środka, z otworów okiennych wpełzały w górę czarne jęzory sadzy. Prawe skrzydło wyglądało nieco lepiej, ale również nie było w nim ani jednego całego okna, gdzieniegdzie tylko zwisały strzępy rozerwanych ram. Między dwiema kolumnienkami ganku ział ciemnością półkolisty otwór wejścia. Drugi, mniejszy budynek, stojący pod kątem prostym do głównego, straszył wielką wyrwą w środku. Prowadziły do niej ślady czołgowych gąsienic, które za budynkiem wychodziły do lasu. Szła ostrożnie, rozglądając się na boki. W pewnej chwili przystanęła. Na jasnej ścianie obok wejścia widniały rzędy dziur po kulach otoczone wgłębieniami odłupanego tynku. Przedzierały je rude plamy i maźnięcia. Przy ziemi plamy były większe. Egzekucja.

Na miękkich nogach, jakby stąpała po polu minowym, zbliżyła się do wejścia. Rozejrzała się wkoło, była sama. Tylko drzewa za pałacem patrzyły, co ta odważna dziewczyna w zielonej sukience ma zamiar zrobić w miejscu, w którym zrobiono już właściwie wszystko. W suchych liściach grabowego szpaleru zaszeleścił wiatr. Z duszą na ramieniu wkroczyła do ruiny.

W holu zastała scenerię podobną do tej, jaką znała z domów w Heinsdorf z początku marca. Poprzewracane meble, porozpruwane obicia kanap i foteli, wszędzie mnóstwo potłuczonych naczyń, a do tego wszechobecny smród wilgoci, pleśni oraz starych ekskrementów. Z rozbitej biblioteczki ktoś wywalił na podłogę stos książek i próbował je spalić. Stare woluminy w sztywnych oprawach nie dały się ogniewi i leżały z powyrywaniem kartkami, częściowo nadpalone i napuchnięte od wilgoci. Rozgrzebała stertę i wydobyła spod spodu niewielki tom oprawny w szare płótno, z czerwoną ramką na grzbiecie, w której widniał tytuł: *Die Aufzeichnungen des Malte Laurids Brigge*. Otworzyła na stronie tytułowej, przeczytała nazwisko autora i wstrzymała oddech. Rainer Maria Rilke. Jak fosforyczna

magnezja pyknęło jej w głowie: „A ty czekasz, ty czekasz na jedno”. Otworzyła na chybił trafił i zaczęła czytać: „Nie była to śmierć z pierwszej lepszej puchliny, to była zła, książęca śmierć, którą szambelan przez całe życie nosił w sobie i z siebie żywił. Cały nadmiar dumy, woli i magnackiej siły, jakiego w spokojnych nawet dniach szambelan zużyć nie mógł, przeszedł na tę śmierć, na tę śmierć, która teraz siedziała w Ulsgardzie i trwoniała”^[4].

Wzdrygnęła się. Brzęk porcelany. Rozejrzała się z niepokojem i jej wzrok spoczął na skorupce zbitej filiżanki. Kołysała się wśród rupieci na podłodze, trącona nagłym ruchem. Spojrzała w górę. Z plafonu w suficie zwisał kikut po wielkim żyrandolu, a na jego końcu wzbierała kropla wody. Oderwała się i spadła prosto w filiżankę, a ta dźwięcznie odpowiedziała. Gerda podniosła ją i obejrzała maleńkie malowidło na ścianie. Panna w różowej sukni spoczywa na zielonej trawie, nad nią pochyła się kawaler w kapeluszu i niebieskim kubraczku. Odwróciła i przeczytała: „Sèvres Bavaria”. Słyszała o sewskiej porcelanie, która uchodziła za szczyt wytworności. To, co teraz trzymała w ręku, świetnie pasowało do *Maltego*. Przewróciła parę kartek do przodu: „Na dole jest takie zestawienie: kobieta pcha mały wózek; na przedzie katarynka ustawiona wzdłuż. Za nią w poprzek dziecięcy koszyk, w którym maleństwo stoi silnie na nogach, rozpromienione, w czepku, i nie pozwala się posadzić. Od czasu do czasu kobieta kręci katarynkę. Maleństwo wtedy natychmiast podnosi się znowu, tupiąc w swoim koszyku, a dziewczynka w zielonej odświętnej sukience tańczy i bije w tamburino ku górnym oknom”.

Pogładziła swoją zieloną sukienkę i pomyślała, że gdyby hrabia ją teraz zobaczył...

– *Was suchst du hier?*

Książka wypadła jej z rąk.

Hrabiego Alexandra von Schlieffena widziała tylko raz w życiu, na wielkim festynie w Heinsdorf przed trzema laty. Przyjechał na święto plonów we wrześniu, na zaproszenie pastora Roggena i państwa Müllerów, którzy cieszyli się w okolicy poważaniem. Hrabia wraz z małżonką zajechali w eleganckiej odkrytej kolasce i krążyli nią po łące za kościołem wśród klaszczącego tłumu, dopóki aplauz nie opadł. Potem od delegacji chłopów w uroczystych strojach przyjęli okrągły bochen chleba i wieniec z zasuszonych zbóż. Pani hrabina przez resztę dnia nosiła ten wieniec ze sobą jak trofeum, pozwalając się z nim fotografować i podziwiać. Hrabia von Schlieffen siedział sztywny i dumny, że brata się z ludem, który go szanuje i zaprasza na swoje święto. Kiwał głową na prawo i lewo, z wyprostowanym jak struna kręgosłupem i uniesionym podbródkiem. Po przemówieniach wójta i pana Müllera poprosił o głos i powiedział, że to dla niego zaszczyt być gościem wspaniałych *die pommerschen Leute*, pomorskich ludzi, którzy są solą tej ziemi. „Raczej podludzi”, burknęła pod nosem jej matka. „Przyjechali obejrzeć swoją trzodę”. Gerda spytała, czy wszyscy w okolicy są własnością von Schlieffenów. „Nie, ale kiedyś byliśmy”, odparła matka, a ona wtedy przepchnęła się przez zbitą gromadę, żeby z bliska obejrzeć pociągły, silny profil człowieka, który miał innych ludzi na własność. Nie sprawiał wrażenia istoty wyższej, ale faktycznie był dostojsny i piękny. A najbardziej podobało jej się dostojeństwo, z jakim podnosił do ust kryształowy kielich z winem. Jakby odprawiał mszę.

Przypomniała sobie to wszystko, patrząc na zgarbionego starucha stojącego przed nią w podartym płaszczu do kostek i z siwym, niechlujnym zarostem na twarzy. Bardzo się zmienił, ale to na pewno był on, hrabia Alexander von Schlieffen. Podniósł jej książkę i powtórzył:

– Czego tu szukasz?

Przez chwilę patrzyła na niego jak na upiora. Zjawę, która wypadła z kart upuszczonej na podłogę książki. Nawet jeśli jacyś Niemcy tu pozostali, takich jak on w żadnym razie nie powinno tu być. Oni uciekali pierwsi. Mieli do tego nieporównanie większe prawo i środki, a także powody,

ponieważ na ich karki spadał najcięższy miecz gniewu i zemsty „wyzwoliciele”. Jeśli tu był, to z jakiegoś ważnego powodu.

Opanowując drżenie warg, wygłosiła przygotowaną przez Kulika historyjkę. Powiedziała, jak się nazywa i że jest z Heinsdorf, że uciekła Rosjanom, którzy chcieli ją zgwałcić, a teraz ją ścigają i potrzebuje szybko skryć się w jakimś bezpiecznym schowku. Im dłużej mówiła, tym mniej sensu słyszała w swoich słowach. Brzmiały beznadziejnie głupio, już lepiej było powiedzieć prawdę – że banda Polaków w lesie za parkiem czai się na niego i zaraz tu będzie. A ona miała zrobić rozpoznanie.

Hrabia von Schlieffen słuchał bez ruchu. Mówiła szybko, starając się nadać opowieści nerwowy pośpiech, ale on stał nieruchomo jak posąg. Patrzył i słuchał. Miał przeraźliwie smutne oczy. Kiedy skończyła, oddał jej książkę.

– Znasz to? – spytał.

– Znam autora, mam jeden jego wiersz w pamiętniku.

– Który?

Powiedziała tytuł i zaczęła deklamować z pamięci. Przy drugiej strofie hrabia chrząknął i dołączył do recytacji:

*Es dämmern in Bücherständer
die Bände in Gold und Braun;
und du denkst an durchfahrene Länder,
an Bilder, an die Gewänder
wiederverlorener Fraun.*^[5]

Kiedy padło ostatnie: *Angst und Gestalt und Gebet*, hrabia o przeraźliwie smutnych oczach powiedział:

– Dziękuję. – I dodał cicho: – Czekałem na ciebie.

Chciała spytać, dlaczego akurat na nią, ale on uniósł rękę, uciszając ją w pół słowa, i podał jej szary płócienny tom.

– Weź ją. Mnie już się nie przyda.

– O czym to jest? – spytała.

Jego policzki drgnęły, jakby spróbował się uśmiechnąć.

– Gdybym chciał być autoironiczny, powiedziałbym, że o mnie. Mógłbym również stwierdzić, że jest o tobie. A także o zatrzymaniu czasu, o przemijaniu i śmierci. Czyli o życiu. Żadna z tych odpowiedzi nie brzmi przekonująco, ale wszystkie razem już coś mówią. Tak, no to... odpowiedziałem. Czytałaś Rilkego, to sama wiesz. Jesteś głodna?

Zaskoczył ją. Zrozumiała po chwili.

– Pan mi nie wierzy, prawda?

Rozchylił usta i błysnął okazałymi zębami, w których jeszcze zachowało się coś z arystokratycznej krwiożerczości. Przypominał wampira, a jego złachmaniony płaszcz mógł być świadectwem trudnej walki o przetrwanie, jaką wampiry muszą toczyć w dzisiejszym świecie. Namyslał się, patrząc w okno. Na zewnątrz panował wiosenny dzień, ale tu, wewnątrz zrujnowanego pałacu, nadal trwał chłodny, zimowy półmrok.

– Sama sobie nie wierzysz.

Przełknęła ślinę.

– Tak pan myśli?

– Widzę. Im dłużej żyję, tym mniej słucham ludzi. Kiedy mówią, patrzę na ich brwi, uszy, zmarszczki na nosie, wargi pracowicie układające słowa, ruch grdyki. Ich mowa jest ważniejsza od samej woli układania zdań. Twoje oczy mówiły co innego niż usta. Uciekały na bok jak myszy przed kotem. Nie ze strachu, ze wstydu. Rilkego deklamowałaś inaczej. Opowiedz mi to wszystko jeszcze raz, ale tak, żeby oczy pasowały do ust.

Westchnęła i opowiedziała. O grupie uzbrojonych Polaków czekających w zagajniku poniżej parku. O Staszku Kuliku, który używa jej jako swojej nałożnicy, a teraz również jako donosicielki. O zatonięciu rodziny wraz z całą wsią i o psie, po którego wróciła, bo... bo właściwie wszystkiego miała dosyć. O pochowaniu w grobowcu trojga Weidemannów, którzy wrócili po swoją hańbę i śmierć. O tym, że ona też chciałaby umrzeć, ale nie potrafi. I na koniec o Hitlerze i o spłacaniu przez Pomorze niemieckich win, których nigdy już nie spłacą.

Nie przerwał jej ani razu. Słuchał z uwagą, a kiedy skończyła, podszedł do niej. Przestraszyła się, że słowa o Niemcach go rozsierdziły i chce ją ukarać, ale on objął ją i przytulił. Nie wytrzymała, rozplakała się. Pogładził Gerdę po włosach, a wtedy rozbeczała się na dobre. Wcisnęła twarz w kłapy jego płaszcza, który pachniał jeszcze tamtym poprzednim światem. Pachniał pomorskim wiatrem, wiejącym od Bałtyku ostatniej jesieni i zimy. Pachniał proszkiem na mole Eulan firmy Bayer, która też pewnie zniknie, jak wszystko. Szłochała dobrą chwilę, a on jej nie przerywał, dopóki nie oderwała głowy od jego piersi i nie wytarła rękawem mokrych policzków. Wyjął z kieszeni chusteczkę ze złotym haftem.

– Szkoda sukienki. Jest bardzo elegancka i czysta. Ani jednego zagniecenia.

Zawstydziła się. Jej własna sukienka zdemaskowała całe głupstwo opowieści o uciekaniu przed Rosjanami. Ubranie też potrafi powiedzieć więcej niż „wola układania zdań”. *Zum Kuckuck noch mal!*

Objął ją ramieniem.

– Jesteś dobrą dziewczyną, Gerdo. Wiem, to koniec. Ale może nie rezygnuj tak szybko. Każdy koniec jest również jakimś początkiem. Dlatego ludzkość od czasu do czasu pragnie katastrofy. O tym też jest *Malte*.

Wziął ją pod ramię i poprowadził w głąb obszernego salonu, zawałonego rupieciami i połamanymi meblami, porozrzucanymi wśród strzępów tkanin, papierów i szkła najprzeróżniejszego rodzaju. Porażające zniszczenia wyglądały na dzieło nie tyle człowieka, ile jakiegoś śmiertelnego wroga wszelkiej materii, potwora chaosu, który uwielbiał drzeć, tłuc, łamać i szarpać dla samego likwidowania kształtów, tępienia całości. Hrabia von Schlieffen omijał ten armagedon własnego domostwa z wyniosłą obojętnością.

– Co teraz zrobimy? – spytała. – On mnie zabije.

Przez wyrwane okna zerknęła w kierunku parku, czy przypadkiem nie nadchodzi Kulik na czele bandy chłopców z obciążonymi kieszeniami. Okolica sprawiała wrażenie pustej.

– Chcieli, żebym ci pokazał mój schowek. No to chodźmy!

Za salonem poprowadził ją wąskim korytarzem do lewego skrzydła, tego z zawalonym od pożaru dachem. Między osmalonymi krokwiami widniał wąski przesmyk – poszła przodem. Najpierw jednak hrabia podał jej kawałek szmaty i kazał porządnie wytrzeć buty, co uznała za nonsensowną ekstrawagancję wobec kłębiącego się wkoło brudnego chaosu. Wykonała dziwne polecenie, odłożyła książkę, uklękła i na czworakach przepęzła pod nawisem drewnianego szkieletu. Dotarła do klapy w podłodze. Podważyła kawałkiem patyka, uniosła ją i zobaczyła szczeble drabiny.

– Na wewnętrznej stronie klapy przypięta jest latarka. Weź ją. Zejdiesz na dół i pójdziesz korytarzem przed siebie. Dojdiesz do komórki z zapasami. Na końcu, za regałami, jest gładka ściana z cegieł. W trzecim rzędzie od góry odlicz czwartą cegłę od prawej i mocno pchnij. Otworzy się przejście, miniesz je i zamkniesz za sobą. Dalej już sobie poradzisz. Wszystko znajdziesz na miejscu. Pomieszczenie jest wentylowane. Do wyjścia odwrotnie: trzecia cegła w czwartym rzędzie. Po długim śnie odznacz kreską kolejny dzień. Wyjdź najwcześniej po trzech dniach. Zapamiętałaś?

– Tak. – Skinęła głową. – A pan?

Z daleka doleciał ich warkot silnika samochodu.

– Schodź – nakazał. – I nie zapomnij tego.

Podał jej *Maltego*, a ona przytrzymała jego dłoń.

– Bardzo panu dziękuję. Nie wiem, jak będę mogła...

– Nie musisz – odparł głosem z głębi studni. – Żyj.

Warkot samochodu nagle ucichł. Trzasnęły drzwi od szoferki. Odpięła latarkę, wcisnęła książkę pod pachę i zaczęła powoli schodzić po drabinie. Wymienili spojrzenia.

– Do widzenia – powiedziała cicho, a wtedy on znowu spróbował się uśmiechnąć.

– Żegnaj, Gerda.

Kiedy jej głowa znalazła się poniżej poziomu podłogi, hrabia Alexander von Schlieffen opuścił klapę. Zeszła na dół i wtedy usłyszała nad sobą głośny rumor. Domyśliła się, że wejście do podziemi zostało zamaskowane stertą desek. Włączyła latarkę. Przed nią ciągnął się wąski korytarz zakończony ciemnością.

VI

Fotografia

luty 2018

1

Zanim Lucek zdążył – zwinnie i łagodnie – obezwładnić Heike Liebner, Niemiec miał już rozorane policzki. Krzycki i Hadczuk natychmiast wyprowadzili go z sali i zajęli się opatrunkiem, podczas gdy Bałyś zmagął się ze starszą panią. Nigdy wcześniej nie przeprowadzał takich ćwiczeń, skutkiem czego nie miał pojęcia, jak się obezwładnia eleganckie osiemdziesięcioletnie staruszki. Unikając wszelkiej brutalności, ujął szczupłe ręce w dwa palce i ostrożnie przemieściwszy je na plecy, posadził kobietę na krześle. Właśnie dywagował, czy założyć jej plastikowe zaciski na ozdobione krwią Müllera nadgarstki, gdy Heike Liebner odezwała się swoją heroiczną polszczyzną.

– Pan pszyiaciel, nieprawda? Lucjan Balys.

– Może pani mówić po angielsku – odparł z godnością Lucek. – Albo po niemiecku. Tylko powoli.

– *O, verstehen Sie Deutsch?* Rozumie pan po niemiecku?

– Trochę. Dlaczego pani go podrapała? – powiedział powoli, ponieważ chwilę zajęło mu przypomnienie sobie, jak jest „drapać” – *kratzen*. Zrezygnował z wiązania rąk nadobnej starszej pani i po prostu pochylił się nad nią jak kamerdyner gotowy do natychmiastowej reakcji, gdyby znowu strzeliło jej do głowy kogoś zaatakować. Był pod wrażeniem fizycznej sprawności pani Liebner.

– To głupie pytanie, Balys – odparła jednak po angielsku. – Niech się pan postara i postawi lepsze.

– Po co pani przyszła do Zofii Ploh?

– Znacznie lepiej. Po ducha, panie Lucek.

– Słucham?

– Przyszłam porozmawiać o pewnym duchu, który podobno wie, gdzie leży moja siostra.

Lucek Bałyś zdążył zrobić zbaraniałą minę, nie zdążył jednak wysłuchać opowieści o duchu. Zza drzwi wtoczyli się tamci trzej, to znaczy Hadczuk i Krzycki prowadzący Jensa Müllera, którego oba policzki zdobiły okazałe plastry. Zanim zdolali go posadzić z powrotem naprzeciwko Heike Liebner, która przyglądała mu się z nieukrywaną satysfakcją, wykrzyczał:

– Nie powiem ani słowa! Żądam adwokata oraz tłumacza! I kontaktu z niemieckim konsulem w Gdańsku!

Założył ręce na piersi, by zademonstrować, że to koniec rozmowy, i patrzył gdzieś nad głową Heike Liebner, w punkt na ścianie, jakby tam właśnie mieli pojawić się upragnieni przez niego adwokat, tłumacz i konsul w jednym. Hadczuk miał twarz zboląłą od regulaminowych wątpliwości, natomiast Krzycki wyglądał na rozbawionego. Luckowi przemknęło przez myśl, że jego przyjaciel w tej okropnej i niesłychanie ryzykownej sytuacji czuje się jak ryba w wodzie. Ewidentnie odmłodził o dziesięć lat. Cały czas się uśmiechał. Wrócił do siebie.

– Pan nie musi nic mówić – powiedział mu Krzycki prosto w nos i odwrócił się do Heike Liebner. – Pani mówi.

– Co mam mówić? – odparła. – Nie znam tego człowieka.

– Do tego jeszcze dojdziemy. Czy Müller jest mordercą?

– *Bullshit!* – wykrzyknął natychmiast Jens Müller.

– Pan nie mówi ani słowa – przypomniał mu Krzycki. – Pani mówi.

– Poniekąd – odezwała się kobieta. – Przypuszczam, że zlecił to zabójstwo, a później coś poszło nie tak, dlatego znalazł się w domu Zofii Ploh. Liczył na znalezisko, podobnie jak morderca.

– Jakie?

– Mówiłam już panu, że nie wiem. – Spojrzała na Jensa Müllera. – Czego tam szukałeś? – rzuciła po niemiecku.

Ten wyduł wargi i odwarknął krótko:

– *Fick dich*. Pierdol się.

– *Ruhe, bitte* – powiedział Lucek Bałyś z namaszczeniem, jakby prowadził rozprawę sądową. – Proszę o spokój.

– Lucek...? – zdziwił się Andrzej Krzycki. – Co ty z tym niemieckim?

Drzwi od lustrzanego gabinetu otwarły się z rozmachem i do sali wkroczył tęgi pan z wąsem, w rozpiętym płaszczu, a za nim szczupły okularnik ze skórzanym neseserem. Wyglądali jak prokurator i lekarz z niemieckiego serialu policyjnego. Za nimi drobił niepewnymi krokami sierżant o imieniu Wiesiek, który z nieokreślonym smutkiem zerkał to na Hadczuka, to na Krzyckiego.

– Komisarzu Hadczuk, co się tu, do diabła, wyprawia?! – krzyknął tęgi pan, potrząsając zaciśniętymi w dłoni czarnymi rękawiczkami. – Kto wam pozwolił przesłuchiwać podejrzaną bez zgody prokuratora... O, pan inspektor! – ucieszył się na widok Andrzeja. – I pan pogromca Kały. – Rękę zbrojną w rękawiczki przesunął na Lucka Bałysia. – Włosy pięknie odrosły. Co wy tutaj robicie? Kto wam tu pozwolił wejść?

Odwrócił się na moment, by zabić wzrokiem sierżanta Wieśka, po czym wskazał lekarzowi Jensa Müllera.

– Panie doktorze, proszę zająć się rannym – zakomenderował. – A najlepiej od razu zabrać go do izby przyjęć i założyć porządne szwy. Przecież ten człowiek będzie miał blizny na twarzy! To się po prostu nie mieści w głowie! Bez nakazu, bez niczego, jak jakie zbóje! Hadczuk, bekniecie mi za to, już ja się postaram.

Wykrzykiwał z oburzeniem kwestie, które z pewnością ułożył sobie jeszcze w samochodzie. Spod ciskanych na winowajców gromów wyzierała urzędnicza satysfakcja, że zdobył przewagę i teraz ją z lubością egzekwował.

– Chwileczkę – zaczął Andrzej, wskazując palcem Müllera. – Ten człowiek został zatrzymany na miejscu przestępstwa i dlatego znalazł się w kręgu podejrzanych. Właśnie dokonywaliśmy konfrontacji...

– Przez kogo zatrzymany? – natychmiast przerwał mu prokurator.

– Przeze mnie i komisarza Bałysia.

– A co wyście tam robili?

– Panie prokuratorze – wykrztusił Krzycki, siląc się na cierpliwość – może porozmawiamy o tym gdzie indziej, nie w obecności podejrzanych. Na razie apeluję o zatrzymanie tego człowieka i przesłuchanie przez prokuraturę. Powtarzam, jest podejrzany.

– Panie inspektorze – odparł zimno prokurator. – Pan doskonale zna procedury i wie, że je naruszył, więc proszę mnie nie pouczać o tym, co należy zrobić z zatrzymanym. O tym, czy i przez kogo zostanie przesłuchany, decyduję ja, nie pan. Wiem – rozciągnął usta w brzydkim uśmiechu – że słynny inspektor Andrzej Krzycki ma skłonności do łamania procedur, to i owo mieliśmy już okazję widzieć. I dlatego tym bardziej powinni ich przestrzegać ci, którzy je traktują poważnie. Panie doktorze, proszę zrobić, o co prosiłem – wycedził z naciskiem do chudego okularnika – a panów poproszę ze mną. Pogadamy na osobności, jak pan inspektor sobie życzył. Sierżancie – zwrócił się do zasmuconego Wieśka – proszę odprowadzić aresztantkę do celi. Potem się panem zajmę.

Lucek słuchał tej wymiany zdań, usiłując sobie przypomnieć nazwisko prokuratora. Pamiętał, że nazywano go Trąbą i jakoś to szło od nazwiska. Trąbczewski? Trąbacki? Trębacki. Tak, Wiktor Trębacki. Wychodząc z pokoju przesłuchań, Jens Müller mimo okaleczeń sprawiał wrażenie zadowolonego, i nawet się krzywo uśmiechnął spod plastrów. W przeciwieństwie do niego Ryszard Hadczuk wyglądał na ofiarę nagłego bólu zębów, podobnie jak wyprowadzający aresztantkę sierżant Wiesiek. Sama Heike Liebner przywróciła swojej twarzy kamienną niewzruszoność i wychodziła z pokoju wyciągnięta jak struna, nie zaszczycając nikogo swoim spojrzeniem – poza Luckiem, na którym zatrzymała wzrok zaledwie

przez ułamek sekundy. „Jeszcze nie skończyliśmy, chłopcze”, mówiły jej oczy. Lucek na długo zapamiętał to spojrzenie.

Prokurator Wiktor Trębacki zabrał ich trzech do niewielkiego biura na drugim końcu kompleksu budynków, gdzie mieścił się Sąd Rejonowy, i usadził na krzesłach pod ścianą, a sam zasiadł na olbrzymim fotelu. Kiedy znaleźli się na osobności, jego marsowe oblicze złagodniało, a nawet wyglądał na zadowolonego z udanej operacji. Sięgnął do szafki pod biurkiem i wyjął butelkę koniaku oraz kieliszki.

– To co, panowie śledczy, wypada godnie powitać gości z Krakowa – oświadczył z uśmiechem i rozstawił szkło na błyszczącym blacie. – Proszę wybaczyć moje obcesowe zachowanie, ale przy tamtych musiałem. Dobry, ormiański – dodał, pokazując butelkę.

– Dziękujemy, ale nie dzisiaj – powiedział szybko Lucek, widząc niepewną minę Andrzeja. – Jesteśmy prosto z drogi, nawet nie dotarliśmy jeszcze do miejsca przeznaczenia. Nie mówiąc o tym, że nie jedliśmy jeszcze kolacji. Może kiedy indziej, naprawdę.

– Najlepiej by było, panie prokuratorze – włączył się Krzycki – gdybyśmy odłożyli te uprzejmości do jutra. Jesteśmy skonani. O, już prawie północ – powiedział, ostentacyjnie zerkając na zegarek. – Wszystko potoczyło się tak szybko.

– A gdzie się zatrzymaliście, panowie? – spytał prokurator Trębacki od niechcienia, ale jego powieki nieznacznie się zwęziły.

– U znajomych – szybko odpowiedział Andrzej.

– Tu, w mieście? To już nie lepiej w Szkole Policji? Dwa kroki stąd, zaraz to załatwię.

Sięgnął do kieszeni po komórkę, ale Andrzej powstrzymał go stanowczym gestem.

– Nie trzeba, dziękujemy. To sprawa honorowa, znajomi by się obrazili – wyjaśnił. – Dzisiaj już sobie odpuśćmy. To o której jutro? I gdzie?

Zanim prokurator Trębacki odpowiedział, nalał koniaku do jednego kieliszka, a dwa pozostałe schował do szafki. Przesunął językiem po dźwięśle

nad górną wargą i pogładził palcami wąsy.

– No dobrze – westchnął. – W takim razie o dziewiątej rano u mnie w sądzie. To tu, za rogiem. Pogadamy sobie – powiedział, przeciągając głoski. – W kancelarii Smuta & Wądlík, z którą ściśle współpracujemy, ostrzegano mnie przed waszą porywczóścíą, że się tak wyrażę.

– Współpracujecie przy czym? – spytał Krzycki.

– No, różne sprawy. – Prokurator Trębacki zabębnił palcami po blacie wokół kieliszka. – Głównie duże inwestycje budowlane.

– W górę czy w dół?

– Słucham?

– Kopiecie doły czy wznosicie wiatraki?

Prokurator zmrużył oczy.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi. Żeby budować w górę, trzeba najpierw kopać w dół. Tyle pan chyba rozumie z techniki budowlanej, inspektorze.

– Co ma prokuratura do budowania farm wiatrowych?

Palce na sekundę znieruchomiły, by zaraz zabębnić nieco głośniej.

– Nie wszystkie sprawy własnościowe są całkiem jasne. Na przykład morderstwo sprzed kilku dni nieco skomplikowało poważną transakcję ziemską w okolicy...

– Chodzi panu o ziemię po Kuliku?

Trębacki popatrzył na niego chłodno.

– Skąd pan wie? A, prawda, braliście w tym udział.

– Co miała do tego Zofia Ploh? – spytał Krzycki powoli. Również zaczął bębnić palcami w stół. Trębacki się speszył i zacisnął dłoń na kieliszku.

– Pogadamy o tym jutro – zarządził, wypijając koniak jednym haustem. Krzycki przełknął ślinę, co prokuratorowi najwyraźniej sprawiło przyjemność. Uśmiechnął się. – A tak na marginesie, znaleźliście to zdjęcie?

– Jak... – zaczął Lucek, ale Andrzej wszedł mu w słowo:

– Jak jutro, to jutro! – oświadczył ze sztucznym entuzjazmem. – Do widzenia, panie prokuratorze! O dziewiątej. W gabinecie. Za rogiem.

Nie czekając na odpowiedź, uścisnął mu dłoń i ruszył do drzwi. Lucek i Hadczuk wyszli za nim.

Nie rozmawiali ze sobą aż do momentu, kiedy wsiedli do samochodu. Pierwszy odezwał się Hadczuk, który zgodnie ze swoją naturą zaczął jęczeć.

– Ale dostanę teraz po dupie od starego. Znacie Zdybasa. Nie zmarnuje takiej okazji, żeby mi przyp...

– Ciii, kury są wrażliwe – przerwał mu radośnie Andrzej. – Głowa do góry, Rysiu. Wszystko poszło znakomicie.

– O czym ty mówisz? Jutro wkurzony Zdybas zeżre mnie na śniadanie, głośno ciamkając, a kości ogryzie pokiereszowany Müller z całym konsulem niemieckim. Chyba wezmę chorobowe.

– Żadne chorobowe – odparł Krzycki, uruchamiając silnik i wyjeżdżając z ulicy Sądowej na Partyzantów. – Przyjdiesz o dziewiątej do Trębackiego, tak jak się umawialiśmy, i spróbujesz się czegoś dowiedzieć o tym zdjęciu.

– Jakim zdjęciu? – spytał Lucek.

– No właśnie, jakim zdjęciu – przytaknął Andrzej. – Do całego tego galimatiasu dochodzi jeszcze jakieś zdjęcie. Co może być na zdjęciu?

– Wszystko. – Hadczuk podrapał się w głowę.

– No widzisz, i masz o czym rozmawiać z Trębackim. Ambasady się nie obawiaj, daję głowę, że ten niemiaszek słowa nikomu nie piśnie. Nie przyjechał tu robić hałas wokół siebie, przeciwnie. Dobrze by było kogoś za nim wysłać.

– Jasne – odparł Rysiek. – Ale czekaj, czekaj, przecież to wy macie przyjść do Trębackiego!

– My? – Krzycki spojrzał z nieukrywanym zdumieniem najpierw na Lucka, potem na Hadczuka. – Nic podobnego! Nie mamy najmniejszego zamiaru. Słyszałeś, Bałyś, żebyśmy się jutro wybierali rano do jakiegoś Trębackiego?

– Nic a nic – zaprzeczył Bałyś z przekonaniem. – Jedziemy nad morze. Być w Słupsku i nie wyskoczyć na plażę to grzech.

– Zwłaszcza w lutym – skrzywił się Hadczuk. – Rozumiem, że do komendy również się nie wybieracie.

Obaj zgodnie pokręcili głowami. Zapadła znacząca cisza. Komisarz Hadczuk pojął, że cały aresztancki bajzel spada na niego, ponieważ ci faceci zamierzają pracować jak zwykle po swojemu – osobno i najlepiej w ciemności.

Za oknami samochodu pogasły światła Słupska i wyjechali na drogę powiatową w kierunku Przystawna. Otoczyły ich nieprzeniknione pomorskie pola, pochłaniające błysk reflektorów volvo jak czarne, bezdenne bagno. Z lewej, daleko w polach, pulsowała na czerwono farma wiatrowa. Osobno i w ciemności.

2

Po odstawieniu Hadczuka pojechali dalej boczną drogą do Grębówka. Zamierzali zatrzymać się w pustym domu należącym kiedyś do Pawła Palki, policjanta zamordowanego przez Kałę. Już kiedyś tam nocowali, najpierw jeden z nich, potem drugi. Dom stał na skraju wsi, która teraz znalazła się w centrum ich śledczego zainteresowania. Rodzinnej wsi Gerdy i Heike Liebner.

– Dzwoniłeś do Palków? – spytał Andrzej.

– Tak, zgodzili się – potwierdził Lucek. – Klucz powinien być tam, gdzie poprzednio. Obiecali też włączyć ogrzewanie. Ale powtarzam: nie wiem, czy to dobry pomysł. Nie lubię tego domu.

– Ja w ogóle nie lubię żadnych domów – zgodził się Krzycki. – Ostatni, jaki darzyłem sympatią, to był dom dziadków za Myślenicami, i już dawno go nie ma. Gdzieś jednak, Bałyś, musimy mieszkać.

– Wiem, ale mimo wszystko... Trochę jak w grobowcu.

– Spokojnie, żołnierzu – odparł Andrzej i odbił nagle kierownicą, omijając dziurę w gminnym asfalcie. – Poprzednio też tam spałem i żadne duchy nie straszyły. Nie bój się.

– Nie o to chodzi. – Lucek skrzywił się jak na wspomnienie nieświeżej pupusy. – Mam niedobre wspomnienia. Wiesz: izolacja plus strach, samotność, wyczerpanie... Te sprawy. Do tego ten dziwaczny niemiecki szachulec.

Znaleźli się w szczerym polu i jechali niespiesznie, rozgarniając reflektorami smolisty mrok. Przydrożne drzewa, sadzone przez Pomorzan sto i więcej lat temu, kłaniały się przybyszom powściągliwie i jakby z niechęcią. W bezlistnych koronach prześwitywały pojedyncze gwiazdy. Było nieprzytulnie.

– Niczego dziwnego nie odczułem – powiedział Krzycki. – Lala spała w kuchni, a ja w sypialni, na tym samym łóżku co ty. I nic. No, może oprócz maleńkiego drobiazgu...

– Jakiego? – spytał Lucek nieswoim głosem.

Andrzej postukał sobie palcami po kierownicy w jakimś figlarnym rytmie, zanim odpowiedział.

– U wezłowia... pod poduszką... w szparze między materacem a zagłówkiem... – wyliczał bezlitośnie, jakby sumował długi bankruta – znalazłem jeden... długi... lekko kręcony... czarny włos. Damski.

– Ja byłem wtedy łysy – odparł natychmiast Lucek. – A poza tym skąd wiesz, że damski?

Andrzej obrzucił go krótkim spojrzeniem z gatunku „traktujmy się poważnie”.

– Myślałem nawet, czy nie dać go do analizy temu dziubaskowi z komendy ślupskiej o jakże adekwatnym nazwisku Grzywa, ale się wstrzymałem. Mam go gdzieś zachowanego.

– Tego Grzywę? – spytał z nadzieją Lucek.

– Nie. Ten włos.

Smolista ciemność za szybami samochodu jakby jeszcze bardziej szerniała, przeszła w hiperczerń, w samo dno plutonicznego czernidla. Bałyś westchnął.

– Wiedziałem, że to wyjdzie. Tak, to damski włos. Ale to nie tak, że... Nie myśl sobie.

– Nigdy nie jest tak, jak sobie inni myślą – mruknął Andrzej, patrząc przed siebie.

– Dobrze, spróbuję ci wytłumaczyć – zaczął Lucek. – Ona była pracownicą komendy, znaleźliśmy się we trójkę z Pawłem w jednym zespole, w tamtym domu robiliśmy zebrania robocze. Do późnego popołudnia...

– Daj spokój – przerwał mu Krzycki. – Też próbowałem ci wytłumaczyć, że wtedy z Dominiką było inaczej, ale nie słuchałeś. Woląłeś się wściec i ubić paru ludzi Kały, a resztę powiązać w pęczki jak pietruszkę.

– Wiem. Przepraszam.

Andrzej pokiwał głową. Samochodem zakołysało na dziurach i w świetle reflektorów przydrożne drzewa również pokiwały głowami. Tak, tak. Nic nie jest tak po prostu czarne lub białe. Nawet dzień i noc mają swoje odcienie. Jakby na potwierdzenie zza lasu błysnęły żółte światła samochodu, rozpraszając przepastną ciemność. Ktoś jechał z naprzeciwka.

Gminna droga między Przystawnem i Grębówkiem nie należała do zbyt szerokich, był to ten typ traktu z wąskim asfaltem po jednej stronie i szerokim poboczem po drugiej. Aby dwa samochody mogły się minąć, jeden z nich musiał zjechać całkiem na prawo. Problem w tym, że pobocze było słabo utwardzone i pokryte głębokimi dziurami, wybitymi przez koła pojazdów. Należało mocno zwolnić, by bez przeszkód wykonać manewr wymijania. O wyprzedzaniu nie było mowy.

– ...odmeldował się wcześniej, a ona jeszcze została, żeby mi przedstawić szczegółowe... – tłumaczył się Lucek.

Dukał jak nieprzygotowany uczeń przepytany przez surową germanistkę w obcisłej spódnicy, podczas gdy Andrzej obserwował jadącą

z naprzeciwwka ciężarówkę. Jedną z tych wielkich wywrotek z napisem „Meiller Kipper”, wyładowanych żwirem i gnających przez pomorskie drogi tak, jakby nikt oprócz nich nie miał prawa tędy jechać. Wzięła zakręt z prędkością znacznie przekraczającą rozsądek i zbliżała się do łuku, tego samego, do którego oni dojeżdżali z drugiej strony.

– ...zmęczony i nie wiedziałem właściwie, co się dzieje – gadał dalej Lucek. – A ona mnie zwyczajnie...

Ciężarówka wypadła zza łuku i waliła teraz prosto na nich, bynajmniej nie zwalniając. Andrzej zdjął nogę z gazu i mignął długimi. Tamten kierowca odpowiedział tym samym, a potem nagle włączył dodatkowe szperacze na dachu kabiny i drogę zalało morze oślepiającego światła. Prześwit między burtą wywrotki a drzewami był zdecydowanie zbyt wąski. Andrzej zmrużył oczy. Wywrotka pędziła szaleńczo.

– ...najpierw to ona mnie pocałowała, ale później...

– Lucek.

– ...nie mogłem się powstrzymać. Ona miała coś takiego...

– Lucek!!!

Chciał jeszcze krzyknąć o odpięciu pasów, ale Bałyś sam zauważył, co się dzieje, i sięgnął do klamki. Ciężarówka pędziła na nich lekkim zygzakiem, naczepą zarzucało na prawo i lewo. Oślepiające światło rosło w oczach...

– Aaa! – wrzasnęli jak na komendę.

Andrzej odbił kierownicą lekko w prawo, a potem mocno w lewo i nacisnął pedał gazu. Silnik zawył, obracając samochodem na środku drogi. Pysk drogowego potwora wyłonił się nagle tuż przed nimi, gdy ich volvo skoczyło w bok i znikło między drzewami na polu. Usłyszeli zgrzyt otartych zderzaków, a zaraz potem szuranie suchych traw o podwozie. Zatrzymali się, dobijając do wielkiej beli zrolowanego siana.

– Co to by... – zaczął Lucek, ale przerwał mu huk. Obejrzel się na drogę. Przewrócona wywrotka tarła naczepą o asfalt, krzesząc iskry. Najpierw

o drzewo uderzyła kabina, nieco dalej o następne grzmotnęła sama naczepa. Wysiedli i z bronią w ręku ruszyli ku ciężarówce.

Andrzej oświetlił latarką kabinę. Ciało kierowcy, chłopaka z ogoloną głową i zalaną krwią twarzą, wystawało na zewnątrz przez rozbitą przednią szybę. Miał pecha. Dokładnie na wprost jego miejsca z pnia starego niemieckiego jaworu wystawał spory sęk. To on spowodował rozprysk przedniej szyby i rozbił czaszkę chłopakowi. Andrzej obmacał ostrożnie kurtkę nieszczęśnika i wyjął z kieszeni portfel. Wytrącony z równowagi Lucek przyglądał się bezradnie. Nie wiedział, co robić.

– Poszukaj dokumentów przewozowych – nakazał Krzycki, trącając go w ramię. – Rusz się, zaraz ktoś się pojawi.

Istotnie, w oddali zamigotały światła jakiegoś pojazdu. Bałyś przetrząsnął szybko skrytkę kabinową, gdzie nic nie było, znalazł za to dowód rejestracyjny za klapą osłony przeciwsłonecznej.

– Spadamy – zakomenderował Andrzej na widok zbliżających się świateł. Wrócili do volvo i po wycofaniu spod beli z sianem ruszyli dalej w pola szutrową drogą. Była to jedna z dróg dojazdowych do farmy wiatrowej pod Grębówkiem. Lucek się obejrzał. Samochód osobowy zatrzymał się przy przewróconej ciężarówce, w światłach migotały ruchliwe sylwetki. Wkrótce jedna z nich wsiadła z powrotem za kierownicę i skręciła w pola za nimi.

– Mamy towarzystwo. Umiesz stąd wyjechać? – spytał Lucek. – Mogłeś mi dać prowadzić – dodał z żalem.

– Nie skończyłeś swojej opowieści – odburknął Andrzej. – Skup się.

Minął jeden skręt pod wiatrak, potem drugi i odbił w prawo, po czym dodał gazu i popędzili prostą jak drut drogą, zostawiając tamten samochód daleko w tyle. Po kilkuset metrach przyhamował i skręcił w boczną ścieżkę, po stu kolejnych znowu skręcił i wkrótce wyjechali z powrotem na drogę powiatową.

– Skąd znasz tak dobrze te tereny? – spytał Lucek.

– Przeczesałem je w poszukiwaniu kolegi, a on w tym czasie kąpał się w bunkrze. Są jeszcze?

Bałyś obejrzał się.

– Nie, chyba zrezygnowali.

Znowu zjechali z szosy, tym razem w przecinkę leśną, która wkrótce wyprowadziła ich na drugą stronę sporego kompleksu leśnego. Przed nimi leżało Grębówko. Andrzej nucił sobie coś pod nosem i wystukiwał palcami rytm na kierownicy.

Pod dom Pawła Palki podjechali na wyłączonych światłach. Lucek wysiadł, żeby otworzyć najpierw żeliwną bramę, a później wrota od stodoły, gdzie ukryli samochód. Klucz znaleźli na belce nad wejściem, w miejscu, w którym chowali go ostatnio. Wnieśli rzeczy, oświetlając sobie drogę latarkami. Włączanie światła w środku nocy Krzycki uznał za nadmierną i niepotrzebną ostentację. Postanowił spać w kuchni, gdzie na podłodze rozłożył karimatę i śpiwór, a Lucka wysłał do sypialni. Zaciągnęli zasłony w oknach. W mieszkaniu było chłodno, nie więcej niż osiemnaście stopni.

– Nie skończyłeś mi swojej pasjonującej opowieści – przypomniał przyjacielowi, a ten w milczeniu i z niepewną miną rzucił torbę podróżną w kąt przedpokoju. Usiedli przy stole na skrzypiących taboretach.

– Godzina szczerości minęła – odparł Lucek. – Mokra dupa, co za dzień. Wystarczyłby za cały miesiąc.

– A to dopiero początek – uśmiechnął się do niego Andrzej. – Głowa do góry, żołnierzu.

– Słuchaj – ciągnął Bałyś – myślisz, że on chciał nas zabić? Ten facet z wywrotki?

– Uhm – mruknął Krzycki, sięgając do kieszeni po dokumenty kierowcy.

– Może był po prostu pijany i stracił kontrolę? O północy to całkiem możliwe.

– Nie czułem od niego alkoholu, a o północy nie jeździ się po piasek. Już raczej na cmentarz. – Inspektor przeglądał zawartość portfela. – Mirosław

Borowiak, jeszcze przed trzydziestką, prawo jazdy na ciężarówkę od roku. Szkoda chłopaka, nie pojeździł sobie. Firma Zbig-Bud, pięknie. Pewnie Zbigniewa Klisza. Widocznie pozostała w rodzinie i nazwy nie zmieniali. Nie zdziwiłbym się, gdyby z tą firmą miał coś wspólnego nasz nowy kumpel Jens Müller. Ty poznałeś Klisza?

Wgapiony w czarne kuchenne okno Lucek bąknął „nie”. Wychodziło na pola od zachodu i było pozbawione zasłon. Lampy wiatraków pulsowały. Andrzej odłożył portfel na stół i przyjrzał się przyjacielowi.

– Hej, Lucek, co z tobą? Zmarkotniałeś jak harcerz, któremu ukradli finkę.

– Chyba jestem zmęczony. Zjedzmy coś i chodźmy spać. Zdaje się, że mamy jakieś puszki. Biorę makrelę w oleju.

Bałyś zwlókł się z taboretu i ciężkim krokiem poczłapał do plecaka. Z bocznej kieszeni wyjął lampkę czołówkę, założył na głowę w taki sposób, aby loczek zwisał nad opaską, i zaczął w plecaku grzebać za jedzeniem. Andrzej spojrzał na zegarek, była za dziesięć pierwsza. Świtało około wpół do siódmej, więc na sen zostało im niewiele czasu.

Bułka maczana w oleju roślinnym o rybim zapachu smakowała wyśmienicie. Krzycki wytarł wszystko do czysta, pomrukując z zadowoleniem.

– Nie martw się, stary – powiedział, kiedy zjedli i dopijali herbatę. – To w końcu tylko włos. Nie musisz tej opowieści kończyć, i tak ją znam.

– Skąd? – zdziwił się Lucek.

– Ona jest zawsze taka sama – odparł z łagodnym uśmiechem. – A gdybyś przypadkiem znalazł na poduszce jeszcze jeden włos, tym razem blond, zachowaj spokój. To nie ty.

Zostawił Lucka ze zbaraniałą miną i poszedł do łazienki umyć zęby.

– Nazywa się Ania Sokołowska i wkrótce poznasz jej siostrę – wyznał Andrzej przy porannej kawie, ulegając naciskom Lucka w kwestii włosów blond. – Ale przyjemności później, najpierw papierkowa robota.

Rozłożyli na stole rysunki Maciusia Ploha i przyglądali się psychodelicznym maziąjom z wysoce mieszanymi uczuciami. Na jednym z nich koślawa postać kobieca stała na wiatraku z uniesionymi rękami, do których doczepione były skrzydła, i hełmem czarnych włosów na głowie. Cała jej figura była pomalowana na czarno, co potwierdzały koślawe litery: „Czarny Anioł”. Na innym grupa ludzi otaczała leżącą na ziemi dziewczynę w zielonej sukience i z długimi warkoczami, na końcach których widniały wielkie czerwone kokardy. Nad dziewczyną ręka rysownika poprowadziła niezdarną linię sugerującą powierzchnię. Obok tkwił słup z przechylnym skośnym krzyżem na szczycie. Kolejny wiatrak.

– Ona nie leży na ziemi, tylko w ziemi – skonstatował Lucek. – Jest zakopana. Myślisz, że to Gerda Liebner?

– Prawdopodobnie. Tylko gdzie to jest?

Studiowali kartkę centymetr po centymetrze, nie znaleźli jednak żadnego topograficznego odniesienia. Podobnie jak nie zdołali rozpoznać nikogo z grupki postaci zgromadzonych wokół dziewczyny. Jedyne rozpoznawalnymi elementami były chude, patykowate wiatraki, jeden tuż obok niej, drugi na dalszym planie, niezbyt prosty. Dalej dwa inne. Andrzej pochylił się i postukał palcem w ten skrzywiony.

– On nie jest krzywy, tylko złamany – stwierdził cicho.

– To ma jakieś znaczenie?

– Jeden z trzech na tamtym polu spłonął i to może być ten. Teraz popatrz tutaj.

Wysunął z teczki kolejny rysunek, na którym ta sama dziewczyna z długimi warkoczami unosiła się nad polami wraz z drugą kobietą, której głowę pokrywały dziwaczne, skłębione loki. Ponad nimi frunęła para ptaków z długimi szyjami. Narysowano je bardzo prosto, za pomocą zygzaków i kresek. Za frunącymi kobietami z dołu wystawał kawałek skrzydła.

– Dokąd one lecą? – spytał Lucek. – To mi przypomina takiego francuskiego malarza, tylko one powinny mieć jeszcze takie długie trąbki.

– Marc Chagall – powiedział Andrzej. – A długie trąbki masz tutaj.

Na następnym rysunku spod ziemi wystawało wielkie ludzkie ucho, tym razem namalowane z niezwykłą starannością, jak gdyby ucho rosnące w ziemi było czymś znacznie bardziej realistycznym niż klucz ptaków na niebie. Od ucha szła w głąb ziemi długa wąska rurka.

– To wygląda jak komunikator akustyczny między światami.

– Prawdopodobnie czymś takim właśnie jest – zgodził się Krzycki.

Rozłożył kartki na stole w pewnej kolejności, następnie zmienił układ i znowu się przyglądał. Lucek siorbał kawę i obserwował go spod oka.

– Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem – zaczął – ale powinniśmy może najpierw przeanalizować materiały ze śledztwa. Ekipa ze Słupska na pewno ma tego sporo z domu Płohowej. Odciski palców, próbki DNA, zdjęcia ofiary i miejsca zbrodni... To byłby jakiś punkt wyjścia, chyba lepszy niż to – zakończył, pokazując palcem rysunki.

– Tamtym zajmą się śledczy ze Słupska – odparł Andrzej, pochylony nad rysunkami. – Na pewno zrobią to dobrze.

– Zgoda, ale moglibyśmy wykorzystać ich robotę.

Krzycki dopił kawę i odstawił kubek. Jego wzrok powędrował od skopanego pod ścianą śpiwora do wnęki pod oknem, gdzie w sierpniu znajdowało się legowisko Lali. Wpatrywał się chwilę w puste miejsce.

– Myślę, że możemy to spokojnie zostawić chłopakom z komendy. Porównają ślady, przeanalizują ekspertyzy, przesłuchają świadków i znajdą prawdziwego mordercę. A potem wypuszczą Heike Liebner z aresztu i spiszą protokół, z którego jednoznacznie będzie wynikało, gdzie leży prawda i jak zaprowadzić sprawiedliwość.

– Szydera – skwitował Lucek.

– Możliwe, ale nie tylko. Bo widzisz, odkrycie mordercy Zofii Płoh wyjaśni tylko tę jedną sprawę, ale już nie pozostałe. Na przykład tego, dlaczego Hadczuk bał się wspominać o naszym przyjeździe. Albo

wczorajszej szarzy krwiożerczej ciężarówki z firmy Zbig-Bud. I najważniejsze: nie wyjaśnia, co ukrywa Heike Liebner, która ponoć oczekiwała ode mnie pomocy, oraz co łączy ją z Jensem Müllerem i Zofią Ploh. Wczoraj miała okazję nam coś powiedzieć i nie zrobiła tego. Podała tylko jedno nazwisko. Jakby grała z nami w jakąś rodzinną planszówkę. Niestety, obawiam się, że z pytaniami musimy trochę poczekać. Do aresztu nas już nie wpuszczą.

– To co robimy?

– Najpierw idziemy na piwo.

– Andrzej...

– Spokojnie. Jeżu, Lucek, jaki ty się zrobiłeś nerwowy! Idziemy tam, gdzie inni piją, nie my. Zbieraj się.

Zanim Bałyś dopił kawę, Andrzej zdążył pochować rysunki do teczki i już stał w kurtce na progu drzwi od podwórza, gotów do wyjścia. Uśmiechał się do rozległych łąk opadających łagodnie za wsią ku płytkiej dolinie, której dnem płynął strumień, a jego brzegi porastały kępy krzaków. Pomyślał sobie, że to idealne miejsce do dziecięcych zabaw i te dwie niemieckie dziewczynki też musiały tam biegać. Stara pogięta jabłoń za stodołą pewnie jeszcze to pamięta. Jak wyglądała Gerda Liebner? Co miała na sobie, kiedy umierała? Wiedziała, że z jej Pomorzem koniec? Wciągnął mokre powietrze. Hej, Gerdo, moja pomorska dziewczyno, gdzie jesteś? Jeszcze trochę tych tajemnic i się w tobie zakocham. Jak Lucek w germanistce – beznadziejnie i na całe życie. Wzięłaś mnie za rękę i prowadzisz przez krainę cieni, jakbyśmy byli bohaterami tej samej epopei. Jak sądzisz, Gerdo, jesteście?

Na dworze lekki przymrozek unieruchomił powietrze, wodę i ziemię. Kiedy szli opłótkami w stronę sklepu, zmrożona trawa chrzęściła im pod nogami. Wieś była pusta, jak wymarła. Bury kot przemknął z jednego obejścia w drugie i zniknął wśród gospodarskiego bałaganu, na kościelnej wieży gruchały dzikie gołębie. Przejechał samochód dostawczy. Jakiś człowiek w gumofilcach mozolnie pedałowal na zdezelowanym rowerze. Gdzieś zapiał kogut.

– Cisza, spokój, sielskie miejsce – zauważył półgłosem Lucek.

– No właśnie – przytaknął Andrzej. – To dlaczego się zabijają?

Podeszli do kwadratowego murowanego budyneczku ze sporym placem w charakterze parkingu. Sklep spożywczy mieścił się w dawnym GS-ie, który wybudowano po zlikwidowaniu punktu handlowego w ponemieckim domu obok szkoły. Przy wejściu na schodki tkwił zardzewiały stojak na rowery i plastikowy stolik ogrodowy, a dwa krzesła przytulały się do ściany, spięte łańcuchem na kłódkę. Nieopodal pod rozłożystym kasztanem trzech zmęczonych robotników rolnych posilało się z brązowych butelek. Musieli być mocno niedożywieni, skoro zaczęli o ósmej rano.

– O, porucznik Borewicz przyjechał – zagaił na widok Krzyckiego jeden z nich, otyły mężczyzna z tygodniowym zarostem. – Znowu kogoś zabili?

– Tak, panie Kazimierzu – odparł Andrzej, witając się z autochtonami. – I pan już wie kogo, prawda?

– E tam. Skąd miałbym wiedzieć?

Pan Kazimierz wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że porucznik Borewicz go przecenia. Andrzej jednak wiedział, że Kazimierz Kowalik, którego wykorzystywał poprzedniego lata jako jedno ze źródeł informacji, jest najlepiej zorientowanym powojennym tubylcem w Grębówku. Zdradzały to jego bystre, ciekawskie oczka, zerkające teraz na inspektora w niecierpliwym oczekiwaniu.

Krzycki przedstawił komisarza Lucjana Bałysia, na widok którego cała trójka pokiwała z uznaniem głowami. Widocznie doszły tutaj opowieści o jego wyczynach w starciu z ludźmi Kały. Następnie wysłał Lucka po cztery piwa do sklepu, w tym jedno bezalkoholowe, i zaproponował panu Kazimierzowi, że napiją się u nich w domu.

– Tu zimno – powiedział, pokazując placki brudnego śniegu za sklepem.

– A u Palków ciepło i wygodnie. To co, idziemy?

Pan Kazimierz bez ceregieli przytaknął. Po drodze objaśniał, pokazując palcem kolejne mijane domy.

– Tu mieszkali kiedyś Weidemannowie, ale cała rodzina zginęła w czterdziestym piątym. Ktoś ich zdążył pochować na cmentarzu za kościołem, ale potem szczątki przenieśli na nowy cmentarz, a tam zrobili trawnik. Nie wiem, czy wszystko przenieśli. Ojciec mówił, że ludzie jeszcze długo po wojnie tam kopali.

– Za złotem?

– A za czym? Wiadomo, że za złotem. O, a tu mieszkali Stubenauerowie. Ich syn niedawno jeszcze tu jeździł. Podobno umarł.

– Umarł – potwierdził Andrzej. – A kto tu teraz mieszka?

– A Siemczuki.

Andrzej przystanął w miejscu.

– Kto?

– Bolek Siemczuk i jego córka z mężem i dziećmi. Zajęli dom zaraz po przejściu frontu. Stary Siemczuk to był kawał skur... kawał drania był, panie komisarzy.

– Panie Kazimierzu, bez stopni poproszę – przerwał mu Krzycki. – Jestem Andrzej.

– A ja Lucek – dodał szybko Bałyś i uśmiechnął się słodko.

Kazimierz Kowalik obrzucił go rozbawionym spojrzeniem.

– No więc słuchaj, Andrzej – zwrócił się bezceremonialnie do Krzyckiego. – Stary Siemczuk był draniem okropnie pazernym na pieniądze. Jak trochę wypił, to w kółko opowiadał o niemieckich skarbach zakopanych w Grębówku. Raz mówił o cmentarzu za kościołem, raz o dolinie Wieprzy, jeszcze kiedy indziej o starym młynie. Gadał o tym, jakby coś wiedział, chociaż gównem wiedział. Namawiał chłopów do kopania, obiecywał godziwy zysk, a potem, jak nic nie znaleźli, nie chciał płacić za robotę. Ludzie go zniechcieli, narobił sobie wrogów. Raz nawet paru mu gębę obilo. Ale gadał dalej, do końca życia.

Właśnie mijali dom Kulików i chociaż szli drugą stroną ulicy, Kowalik zniżył głos prawie do szeptu.

– A tu jest dom byłego wójta Kulika. Tego znalezionego na wiatraku. Przed wojną mieszkali tu Kollwitzowie. Bogaci byli, u Kulików dużo pola i maszyny jeszcze poniemieckie. A tu – zatrzymał się na chodniku i wskazał dom przed nimi, z szeroką bramą wjazdową otwartą na oścież – mieszkali Müllerowie.

– Kto?! – wykrzyknął Lucek, ale Andrzej szybko powstrzymał go gestem ręki.

– Daj panu mówić – powiedział uspokajająco. – I co ci Müllerowie?

– Uciekli w czterdziestym piątym, razem z całą wsią. Potem tu mieszkali przez lata Klisze, ale syn sprzedał. Też potem zginął tragicznie.

Lucek znowu chciał coś powiedzieć, ale Andrzej dał mu znać, żeby poczekał. Minęli bramę do dawnego obejścia kierownika poczty Müllera i znaleźli się na wprost wejścia do kościoła. Na progu świątyni właśnie pojawił się ksiądz w czarnym płaszczu narzuconym na sutannę i wielkim birecie na głowie. Rozejrzał się po okolicy wzrokiem sytego gospodarza, po czym zatrzymał się na chwilę na paradującej przed kościołem trójce. Pan Kowalik, który do tej pory opowiadał ze swadą i raczej bez zahamowań, a nawet z pewną beztróską, nagle stropił się i zamilkł. Ukłonił się, bąkając „szczęść Boże”, i schował głowę między ramionami, jakby chciał zniknąć. Okrągła twarz księdza, zdobna w okazałe okulary i wydatne usta, przyglądała się im z zainteresowaniem. Bez uśmiechu. Nie odpowiedział na pozdrowienie, nie wykonał żadnego powitalnego gestu, jak to kapłani mają w zwyczaju, tylko po prostu odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami.

Na ulicy zadudniła ciężarówka, za nią następna, która na platformie transportowała żółtą koparkę z wielką łyżką.

– Jadą do Schlieffenów – mruknął Kowalik, ale nie rozwinął myśli. Przeszli szybko na drugą stronę ulicy i już bez słowa dotarli do domu Palków. Dopiero kiedy usiedli za stołem i Lucek polał piwo do wysokich szklanek, Kazimierzowi wrócił animusz.

– Proboszcz? – spytał Andrzej, pokazując palcem za siebie na okno od ulicy.

– Ano, proboszcz Patkul. Jest tu od dwudziestu lat i czuje się jak u siebie w domu. Przyjechał z Krakowa, jak wy – powiedział nie bez pewnego wyrzutu. – Ale ludzie go nie lubią. Rozpowiada głupoty na kazaniach.

– Jakie na przykład?

– A że wiatraki szkodzą na mózg. Że młody Ploh zidiociał od nich. I jak będziemy pozwalać na budowanie następnych, to wszyscy tu zwariujemy.

– Po co to mówi?

– Nie wiem – odparł Kowalik, siorbiąc pianę z piwa. – Pewnie sam chce zarobić. Chytry jest na pieniądze, jak to ksiądz. Nie będę o tym mówił.

– W porządku. Opowiedz nam coś o Gerdzie.

Kowalik, który właśnie wychylał szklanke z piwem, omal się nie zakrztusił.

– O kim?

– Jak poprzednim razem rozmawialiśmy, mówiłeś mi o jakiejś dziewczynie, którą Kulikowie znaleźli na strychu swojego nowego domu. Tego Stubenauerów. To była Gerda Liebner, prawda?

Kowalik pił długo i strzelał zza szkła oczami. Andrzej domyślił się, że gra na zwłokę, czyli szuka najwygodniejszej dla siebie wersji. A to znaczyło, że i on próbował coś ukrywać.

– Ano Gerda – powiedział, kiedy skończył pić i basowo beknął. – Tak ludzie gadali.

– Co jeszcze gadali?

Kazimierz podsunął pustą szklanke pod nos Bałysia i spokojnie przyglądał się, jak tamten otwiera następną puszkę. Andrzej sączył drobnymi łydkami jakiegoś bezalkoholowego radlera, który na wszelki wypadek był również bezglutenowy. Lucek obserwował jego ruchy z napiętą uwagą.

– Że się kurwiła ze Staszkiem Kulikiem. Mieszkała z nim tu, w domu Kollwitzów. Podobno nawet dzieciaka jej zmajstrował, ale nikt go nie widział.

– Staszek Kulik to...

– No, jak mówiłem, ojciec tego wójta, Mietka Kulika. Dawno już nie żyje. Kawał bandyty z niego był.

– A tak konkretniej? – dopytywał Andrzej.

Bardzo mu się podobało, że ma przed sobą człowieka, który tyle wie i w dodatku ilustruje swoje opowieści szczegółami topograficznymi. Siemczuk, Kulik, Müller – wszyscy byli na miejscu, nie musiał nawet specjalnie ruszać się z Grębówka. Gerda też pewnie gdzieś tu była.

– Formalnie to on się trudnił handlem. Z Różańskim i Kliszem mieli samochód ciężarowy i wozili towary. To się tak nazywało, bo jakie towary naprawdę wozili, to wiadomo.

– Szaber – mruknął Bałyś.

– A że czasami brali z domów, gdzie mieszkali ludzie, to różnie się ten handel kończył – zakonkludował Kazimierz i łyknął piwa.

Andrzej zamoczył usta w swoim i się skrzywił. Smakowało jak woda z drożdżami.

– I co się stało z Gerdą?

Piana na piwie pykała bezgłośnie i osuwała się po szklance, gasnąc jak zapał Kowalika do opowiadania o zaginionej dziewczynie.

– Właściwie to nie wiadomo. Uciekła i nikt jej nie widział.

– Kulik jej nie szukał?

– Szukał, a jakże. Ganiał jak wariat po okolicy, strzelać chciał do ludzi. A potem... Nie wiadomo, co się stało. Przywieźli go ledwo żywego i parę miesięcy z tego wychodził. Później zaraz się ożenił i zapomniał. Tyle wiem.

– A skąd pan wie? – zainteresował się Lucek. – Urodził się pan chyba po wojnie.

– To jest wieś, panie policjancie z Krakowa. Tu wszyscy o wszystkich bez przerwy gadają, no i się wie. Mnie matka opowiadała. Mówiła jeszcze, że ta Niemka była bardzo ładna.

Andrzej, który słuchał, notując sobie coś na kartkach zwykłego zeszytu w linie, odłożył długopis i nadstawił uszu. Byłaś bardzo ładna, Gerdo, czy tylko rozpuściłaś korzystną legendę?

– No dobrze, super, że nam to wszystko opowiadasz. Ale przecież ludzie musieli wiedzieć, co się z nią stało. Dziewczyna nie rozplynęła się w powietrzu. Ktoś ją gdzieś musiał spotkać albo słyszeć coś od kogoś, kto ją spotkał. Jak sam mówisz, tu jest wieś, wszyscy wszystko wiedzą.

Kazimierz Kowalik nie odpowiedział. Dopił piwo, otarł usta rękawem, a teraz kręcił dnem szklanki kółka na ceracie i z chytrym uśmieszkiem spoglądał to na jednego, to na drugiego. W ciszy słyszeć było tylko mruczenie lodówki, którą państwo Palkowie również włączyli przed przyjazdem gości. Andrzej coś notował, Lucek próbował wytrzymać wzrok Kowalika.

– A dlaczego właściwie tak wam zależy na znalezieniu Gerdy? – spytał, kiedy zauważył, że więcej piwa już nie dostanie, ponieważ Bałyś zmiął i wyrzucił do kosza ostatnią puszkę wraz z pustą siatką foliową. Koniec imprezy. – Wam też się skarb rzucił na mózg?

– Skarby są dla idiotów – odparł stanowczo Lucek. – Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa i chcemy dotrzeć do motywów sprawcy. To się nazywa tło historyczne zbrodni.

– Aha, tło historyczne – powtórzył Kazimierz w zamyśleniu. – No, tła historycznego w poniemieckiej wsi by się znalazło całkiem sporo. Zależy, czego potrzebujecie.

– To opowiedz nam jeszcze coś o Schlieffenach – podrzucił Andrzej. – To jacyś tutejsi panowie? Ziemianie pomorscy?

– Mieli pałac w Przystawnie. Nie ma go już, zburzony. Bogaci byli jak diabli, podobno młody hrabia miał nawet samolot! Zrobił lotnisko na łąkach za wsią. Wyjechali, po wojnie nikt z nich się tu nie pojawił. Jeden z synów zginął na wojnie. Nic więcej nie wiem.

– Kto jeszcze może coś wiedzieć? Siemczuk? – spytał Andrzej.

W oczach wszystkowiedzącego Kazimierza pojawił się nowy błysk. Podniósł się nagle z krzesła i skierował do sieni.

– Do widzenia! – zakrzyknął, unosząc rękę. – Miło było, dziękuję. Jakby co było jeszcze potrzebne, dajcie znać.

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł z domu i wolnym, starannie kontrolowanym krokiem poszedł do furtki. Ruszył dalej szerokim chodnikiem wzdłuż ulicy, wsadziwszy ręce do kieszeni.

Patrzyli za nim, dopóki nie zniknął za zakrętem.

– Dlaczego go nie zatrzymaliśmy? – spytał Lucek. – Mógł nam powiedzieć o wiele więcej.

– Powie – odparł Andrzej. – Nie ma co naciskać. Zatrzaśnie się w sobie jak dziewica i potem ani przystęp. Autochtoni tak mają. Teraz idziemy do Siemczuka. Na samą myśl o nim radość mnie rozpiera!

4

Ktoś mógłby to uznać za nadmiar ostrożności, niemniej Lucek wolał dmuchać na zimne. Kiedy Andrzej zasiadł do stołu naprzeciwko starego Siemczuka, on stanął przy drzwiach z opuszczonymi rękami i nadstawiał ucha na to, co się dzieje w domu. Lekko napiął mięśnie, gotowy w każdej chwili zareagować. Ogólnie zrobił się ostrożny, może nawet zbyt ostrożny i przewrażliwiony. W końcu ich wejście tutaj nastąpiło nie wskutek sympatycznego zaproszenia, ale wręcz przeciwnie. Zapukali grzecznie do drzwi, a ponieważ nikt nie odpowiadał, Andrzej nacisnął klamkę i z niezrozumiałą dla Lucka radością stwierdził, że jest otwarte.

– Wchodzimy, żołnierzu – zdecydował.

Bałyś, nie widząc innego wyjścia, wszedł za nim do ciemnego domu.

Był to jeden z tych sporych ponemieckich budynków, znacznie większy od domu Palków. Z obszernej sieni wchodziło się na lewo do kuchni, stamtąd do dużego salonu, a z niego do sypialni i jeszcze jednego pokoju. W drugą stronę z sieni prowadził korytarz wiodący do schodów na piętro. Za nimi skręcał i stamtąd można było jeszcze wejść do piwnicy oraz do ostatniego pokoju, a na wprost znajdowało się wyjście na podwórze. Dawny dom Stubenauerów, mimo że nigdy porządnie nieremontowany, nadal wyglądał okazale.

Bezzębny starzec siedział w fotelu na kółkach przy stole i układał pasjansa. Na widok dwóch obcych mężczyzn nie wykazał żadnego zdziwienia, tylko uśmiechnął się, podrapał po nieogolonej siwej brodzie i poprawił koc na kolanach. Obrzucił ich dwusekundowym spojrzeniem i wrócił do kart.

– Z milicji? – spytał, obracając w palcach damę kier.

– Z policji – poprawił go Krzycki. – To pan jest Bolesław Siemczuk?

Stary przystawił brzeg karty do wysuniętego języka, pokiwał głową, jakby nagle rozwiązał jakiś trudny problem, i dołożył kartę do jednego z rzędów na stole. Andrzej nie znał się za bardzo na pasjansach, ale kładzenie damy kier pod ósemką trefl nie wydało mu się zbyt logiczne. Ciocia Irenka za to uwielbiała kłaść pasjanse. Potrafiła ślęczyć nad nimi pół dnia, gadając przy tym przez telefon, oglądając telewizję i rozwiązując krzyżówki. Do tego pomrukiwała jakieś wróżbiarskie zaklęcia w rodzaju „siódemka karo – poprawa sytuacji finansowej” albo „walet trefl – prawdziwy przyjaciel”. Andrzej nieodmiennie drwił z tych rozrywek.

– Ja jej nie zabiłem – wymamrotał Siemczuk, popatrując to na układ kart przed sobą, to na Krzyckiego. – Nic nie powiem.

– Właśnie pan powiedział.

– To nie ja – powtórzył starzec.

– A kto?

Nie doczekali się odpowiedzi. Stary Siemczuk odsłonił kolejną kartę z talii i wpatrywał się w nią z namysłem godnym poważniejszej próby intelektualnej niż rozpoznanie dziesiątki pik. Andrzej odczekał chwilę, a ponieważ nic się nie działo i procesor starca sprawiał wrażenie zawieszzonego, podpowiedział uprzejmie:

– Panie Siemczuk, to dziesiątka pik.

Cisza. Zamyślonie sapanie i oczy zasnutym filtrem otępienia.

– Karta zmian i rozliczania przeszłości – dodał Andrzej, wsparty demoniczną wiedzą cioci Irenki. – Domykanie starych spraw. Niechże pan

raz wreszcie zrobi porządkowy rachunek sumienia i powie, co się stało z Gerdą Liebner.

Na dźwięk imienia i nazwiska zaginionej dziewczyny stary Siemczuk drgnął. Położył dziesiątkę pik pod damą kier i sięgnął po następną kartę, ale jej nie odwrócił. Ręce coraz bardziej mu drżały, część talii rozsypała się po stole. Niezdarnie próbował je pozbierać, skutkiem czego pomieszał je z tymi, które leżały na stole. Pasjans przepadł. Andrzej usłużnie pozbierał karty, przetasował i pieczołowicie rozłożył w gruby, nieregularny wachlarz, który następnie podsunął mu pod nos.

– Proszę, panie Bolesławie. To panu pomoże.

Stary spojrzał na niego podejrzliwie. W jego zmęczonych długim i podłym życiem oczach błysnęły resztki dawnego żaru. Odruchowo wyciągnął rękę, cofnął ją i znowu wyciągnął, cały czas mierząc siedzącego naprzeciwko mężczyznę nieufnym spojrzeniem.

– A załatwi mi pan coś? – spytał chytrze. Z kącika ust spłynęła mu nitka śliny.

Andrzej wytrzymał jego spojrzenie z pokerowym spokojem.

– Zależy co. Milicja może wiele. Czego pan potrzebuje? Pieniądzy?

– Malte.

– Czego?

– Malte.

Słowo było proste i nawet ktoś tak sepleniący jak stary Siemczuk wypowiedział je bardzo wyraźnie. W pierwszej chwili Andrzej pomyślał, że może chodzi o jakąś Martę, ale wtedy stary by powiedział „Marty”. A on mówił „Malte”. Miał na myśli wyspę? Przewodnik turystyczny po wyspie? A może zaprawę murarską? Więcej skojarzeń nie przychodziło mu do głowy.

– Gdzie jest ta malta? – spytał.

– Mówię, że malte. Znajdziecie?

– Gdzie?

Stary pokręcił głową i zaczął bębnić roztrzęsionymi palcami po stole. Patrzył raz na jedną stronę, raz na drugą, jakby ta jego „malta” właśnie zsunęła się z blatu na podłogę i nie mógł jej wypatrzeć.

– Malte! Malte! – zaczął wykrzykiwać. – Plohowa może wiedzieć. Z nią gadajcie. Niech mi odda malte. To moje. Moje! O!

Trzęsącą się dłonią sięgnął do rozłożonej na stole talii kart i wyjął jedną. Odwrócił i pacnął nią o blat, jakby przebijał lewę. Dama karo.

– O! – powtórzył. – Widzicie ją, wiedźmę jedną? Biała pani, kurwa jej mać!

– A to czerwone? – spytał Krzycki, stukając paznokciem w szkarłatny romb na karcie.

– Ftefek.

– Jaki Stefek? Kto to jest Stefek?

– No Ftefek. Mu nóż dałem. Ale jej nie ziabiłem.

– Jaki nóż?

– Esmański.

– Skąd pan go miał?

Stary potarł palcami szczeciniastą brodę i otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć. Do domu wpadła kobieta w średnim wieku, o pomarszczonej twarzy, i z krzykiem rzuciła się na Lucka Bałysia pod ścianą.

– Co wy tu robicie?! Wynoście się! To jest napad! Dzwonię na policję!

Lucek po wczorajszym obezwładnieniu Heike Liebner miał już nieco doświadczenia z agresywnymi kobietami, więc pospiesznie wyciągnął przed siebie rękę, by ją powstrzymać. Drugą dłonią wyjął odznakę, a następnie wypowiedział swoją ulubioną kwestię:

– Spokojnie, proszę pani. To my jesteśmy policją.

Powtórnie poprosił, najgrzeczniej, jak umiał, o spokój, a następnie puścił ją i podsunął jej pod oczy odznakę policyjną.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa i przesłuchujemy świadków. To nie jest żaden napad. Ten człowiek – pokazał na starego Siemczuka – wpuścił nas do domu. Po prostu rozmawiamy sobie.

– Nikt tu nie znał tej baby – odparła natychmiast. – Nie będzie żadnego przesłuchania, nie macie prawa. Trzeba mieć nakaz.

– Jakiej baby? – spytał od stołu Krzycki i kobieta się spłoszyła.

– Przecież wszyscy wiedzą, że Plohowa nie żyje – zaczęła tłumaczyć. – Policji pełno było, wiadomo, że o nią chodzi. Nie mamy z tym nic wspólnego. A wam nie wolno bez pozwolenia. Do widzenia!

Podczas gdy ona wykrzykiwała swoje prawa i przekonania co do tego, ile wolno policji, Siemczuk odsunął karty i zaczął słuchać z uwagą. Podparł się rękami na blacie i powoli zaczął się podnosić.

– Plohową zabili? – wybełkotał z wybałuszonymi oczami. – Zabili ją?

Nogi starca z najwyższym trudem wykonały trzy kroki w stronę kobiety, a jego rozbiegany wzrok zdradzał najwyższe poruszenie.

– Po co? Jadźka, po co?

– Nie męczcie się, ojciec – powiedziała kobieta i schwyciła go pod ramiona, żeby odprowadzić z powrotem do wózka. – Nie wiadomo, jak to było – dodała bagatelizującym tonem, jakby chciała go przekonać, że tak nie do końca ją zabili, że jeszcze wszystko jest możliwe w tej sprawie.

Stary jednak zeszywniał i nie dał się odprowadzić.

– Po co, Jadźka, po co? – powtarzał.

– E, cichejcie, ojciec. Pomieszało się wam całkiem w tym starym łbie. Idźcie już, panowie – zwróciła się do nich innym, łagodnym głosem. – Widzicie, że ojcu się pogorszyło. Przyjdźcie kiedy indziej. Jak mu rozum wróci.

W tym momencie do pokoju wszedł postawny mężczyzna o porytej zmarszczkami, ogorzałej twarzy. Na głowie miał wytarty kaszkiet, w kąciку ust – papierosa. Krótka kapota robocza była w paru miejscach utyłana żółtą gliną, podobnie jak wielgachne walonki na nogach.

– Do widzenia panom – warknął złowrogo, zaciskając pięści pod rękawami brudnej kapoty. – Nie macie tu czego szukać. Tato jest chory.

Na widok spinającego się do skoku Bałysia Krzycki przymrużył oczy i lekko pokręcił głową.

– Wrócimy kiedy indziej, jak się ojcu poprawi – zgodził się i wstał z krzesła. – Dziękujemy, panie Siemczuk – zwrócił się do starego. – Znajdziemy panu tę malte, niech pan będzie spokojny. Do widzenia pani.

Skłonił się z szarmancją nieadekwatną ani do adresatki, ani do pełnej napięcia atmosfery w pokoju, trącił zaskoczonego Lucka w ramię i wyszedł, nie czekając na odpowiedź kobiety, która sprawiała wrażenie nie mniej zaskoczonej niż komisarz. Kiedy znaleźli się z powrotem w ogrodzie i ruszyli na przełaj do domu Palków, Bałys nie wytrzymał.

– Czemu jej nie przycisnąłeś?! Co jest grane? Przecież stary wyraźnie powiedział, że ona coś wie o mordercach. A nawet należała do nich. Człowieku, mieliśmy ich na widelcu!

Andrzej szedł szybkim krokiem, przeskakując zalegające między drzewami gałęzie.

– Masło zbierzemy później – odparł. – Na razie musimy porządnie utrząść śmietanę.

– A mniej perwersyjnie?

– Jeśli ich teraz spłoszymy, nabiorą wody w usta na następne parę lat. Trzeba ich wywabić z tych podziemnych norek, dokąd umykają na widok obcych. To jest Pomorze, Lucek, ziemia niczyja. Autochtoni są tymi, którym kazano zająć obce miejsce, i zajęli. Poryli sobie norki i się chowają, jak tylko coś gdzieś. Wzięłeś laptop?

– Jasne.

– Świetnie. Poszukasz mi dwóch rzeczy. Schlieffenów i malte. Co to, u licha, może być?

– Jaki laptop, człowieku, na jakim świecie ty żyjesz? – powiedział Lucek, wyjmując smartfona. Włączył dane komórkowe i wprowadził słowa do wyszukiwarki Google. Potykając się o kretowiny, zaczął odczytywać na

głos: – Alfred von Schlieffen, feldmarszałek niemiecki, główny strateg pruski przed pierwszą wojną światową. Piszą, że jego autorstwa jest koncepcja wojny błyskawicznej. Urodził się i zmarł w Berlinie, lata życia 1833–1913. Nie wiem, czy ma coś wspólnego z Pomorzem. Dobra, czekaj... Na niemieckiej Wikipedii jest jeszcze Wilhelm von Schlieffen, też berlińczyk, piszą tu *pommersche Adelsfamilie*, czyli szlachta pomorska. Ale on jeszcze starszy, 1829–1902. Potem już nic. Chociaż nie, jest jeszcze jakaś grafini von Schlieffen, prawniczka w Hagen, ale to po mężu. I tyle. Ciekawe. Wpiszmy jeszcze ogólnie *Familie von Schlieffen*...

– Lucek, skąd ty znasz niemiecki? – zainteresował się Krzycki.

– Mówiłem ci, że kochałem się w germanistce.

– I co z tego? Ja się kochałem w pani od rysunków, a rysować nie umiem.

– Pamiętasz tego młodego Niemca, co mnie wyciągnął z bunkra Kały?

– Noo... – Dobrze pamiętał bredzenia Bałysia o kościotrupie niemieckiego żołnierza, który mu uratował życie. Nieważna akcja policji, nieważne nurkowanie Andrzeja, żeby przestrzelić łańcuch krępujący Bałysia – ważny był jakiś cmentarny pischel przepływający koło okna. – I co z tym Niemcem?

– Powiedział, że mnie uratuje, o ile nauczę się niemieckiego, więc po powrocie wziąłem intensywny kurs.

– A w jakim języku on ci to powiedział?

– Ogólnym języku ludzi podziemnych. W tamtym czasie przebywałem pod ziemią, jak może pamiętasz.

– Tak. I pod wodą. Słyszałem, że dłuższy brak powietrza może trwale wpłynąć na umysł. Nie sądziłem jednak, że od tego mówi się po niemiecku.

– Nie każdy, tylko szczególnie uzdolnieni. Słuchaj, Malte to stare niemiecko-duńskie imię, pochodzi od Helmolt. Może też być nazwisko, ale raczej imię. Lista bohaterskich Niemców o tym imieniu jest długa: naukowiec, piłkarz, aktor, reżyser, dziennikarz, piłkarz, aktor, piłkarz,

piłkarz ręczny, znowu piłkarz... Mocno kibolskie imię. Rozpowszechnił je poeta Rilke pamiętnikiem pod tym tytułem.

– *Pamiętnik Maltego*. – Krzycki pokiwał głową. – Tylko co Siemczuk może mieć wspólnego z Rilkiem? Na bibliofila nie wygląda, to prosty chłop.

– Czytałeś to?

– Nie – burknął Andrzej i się obraził.

Lucek często podziwiał jego odczytanie, a teraz zabrzmiało to trochę tak, jakby przyłapał przyjaciela na nieodrobionym zadaniu domowym. To prawie niemożliwe, pomyślał Krzycki, żeby temu staremu, zidiociałemu Siemczukowi chodziło o powieść Rilkego sprzed stu lat. Tyle że, jak mawiał inspektor Opałka, „najpewniejsze są warianty niemożliwe”.

Zanim weszli do domu, na żądanie Andrzeja dokładnie sprawdzili okolicę w poszukiwaniu śladów ewentualnej bytności intruzów. Po wczorajszym wypadku z ciężarówką taka ostrożność była jak najbardziej wskazana. Nie znaleźli niczego. Volvo stało spokojnie w stodole jak dobrze wypoczęty wierzchowiec, gotów do kolejnych brawurowych ucieczek przez pola.

– Rysunki, fotografia, teraz książka – powiedział Lucek, odsuwając na bok teczkę Maciusia Ploha. Usiedli w kuchni do drugiej kawy. – Okrezną drogą wracamy do papierkowej roboty. Przed chwilą mieliśmy możliwość docisnąć potencjalnych podejrzanych i w połowie przesłuchania wyszliśmy jakby nigdy nic. Wcześniej wiejski gaduła Kowalik sypał ciekawostkami jak z rękawa, ale gdy nagle wstał i wyszedł, puściliśmy go ot tak. Andrzej – komisarz Bałyś przybrał poważną minę i szukał właściwej frazy – powiedz mi, co my właściwie robimy. Spoko, ja mogę wszystko. Tylko CO MY, DO JASNEJ CHOLERY, ODPIERDALAMY?!

Andrzej siorbnął rozpuszczalnej nescafé classic (tylko taką się poił) i z namaszczeniem odstawił kubek. Wyjął z kieszeni damę karo i położył na stole.

– Lucku drogi, nie unos się. Trochę cierpliwości. Wiem, że to dziwnie wygląda, ale po prostu próbuję dostosować się do narzuconych nam przez okoliczności warunków. W tym rozdaniu Pomorze nie będzie brawurową

naparżanką z tutejszymi gangsterami, choć pewnie by cię to ucieszyło. Tym razem, jak widzisz, wkraczamy na grunt działań legalnych, w dodatku z udziałem kapitału zagranicznego. Takie pomorskie *joint venture*, jak mówili wielbiciel planu Balcerowicza. Próbuję zebrać klocki potrzebne do układanki.

Wyjął z podręcznego plecaka zeszyt i zaczął wypisywać hasła w słupkach, kolejno wyliczając:

– Mamy tu pana prokuratora Trębackiego, który koniecznie chciał nas zatrzymać w Słupsku, a potem nasłał na nas ciężarówkę. Pana Niemca z firmy stawiającej farmy wiatrowe, który, dając głowę, natychmiast po naszym wyjściu został wypuszczony. Są wysoko urodzeni państwo von Schlieffenowie, których nie ma, w każdym razie nie w Wikipedii. No i poetę Rilkego, który zdecydował się napisać powieść, i to w formie pamiętnika. Do tego dochodzi Heike Liebner ze swoim podejrzanym sentymentem do zaginionej siostry oraz komendant policji w Słupsku, Krzysztof Zdybas, którego już zdążyliśmy poznać ubiegłego roku. A także zamordowana Zofia Ploh, szczerze jej śmiercią zmartwiony stary Siemczuk i jego córka, którą on podejrzewa o współudział w morderstwie, i nieszczerze szczerzy Kazimierz Kowalik, który na dźwięk nazwisk zarówno Siemczuka, jak i Kulika zniżył głos, a w końcu uciekł. Z przedmiotów mamy: nóż ze swastyką, ciężarówkę, fotografię i prawdopodobnie książkę.

– Rysunki Maćka Ploha.

Andrzej wycelował w niego palcem.

– No widzisz, jednak coś kumasz. One są zapisem czegoś, tylko nie wiemy czego. To nie będzie łatwe i... chyba nie całkiem logiczne. Nie wiem, czy podołasz.

– No naprawdę bardzo – odparł Lucek – ale to bardzo ci... PSG.

Krzycki roześmiał się serdecznie i klepnął go w ramię. PSG było skrótem od „pierdol się, gliniarzu”. Bałyś kupił mu kiedyś nawet koszulkę z takimi inicjałami, gadżet fanów klubu Paris-Saint Germain. Pasowała jak ulał.

– Widzę, żołnierzu, że lubicie ryzyko – stwierdził. – To dobrze. W śledztwie przydatna rzecz. Wracając do naszej układanki, jest jeszcze kilka przedmiotów z porządku idei: wierność, pamięć i szacunek dla szczątków siostry, zemsta, ponemiecki skarb, zyskowny obrót ziemią, wiatraki, które szkodzą na mózg...

– To jakaś bzdura.

– Jasne, ale znacząca. A kiedy ludzie nie chcą z tobą szczerze rozmawiać, prowokuj ich do mówienia i robienia głupstw. Zawsze znajdziesz ciekawe znaczące. O to mi chodziło: żeby gadali, snuli przypuszczenia i pletli bzdury. Nie przyjechaliśmy tu robić regularnego śledztwa, tym się zajmuje komenda słupska i Hadczuk ze swoimi ludźmi. Nie będziemy z nimi konkurować. Dołączać do ich zespołu również nie ma sensu, bo Zdybas zablokuje nas wszystkich i nie zrobimy nic. Poza tym jest jeszcze jedna ważna okoliczność.

– Jaka?

– Taka, że ja już nie jestem policjantem.

– Andrzej...

– A ty nie możesz się narażać. Tatuśku.

– PSG – mruknął Lucek. – Jeśli tak ci to przeszkadza, mogę wrócić do domu. Sam sobie uprawiaj te swoje psychodeliczne śledztwa.

– Nie, mam dla ciebie lepsze zadanie.

– Jakie?

Krzycki pochylił się konspiracyjnie nad stołem i szepnął:

– A właściwie dla twojego Słynnego Zakręconego Loczka.

– O co ci chodzi?

Andrzej uśmiechnął się tajemniczo.

– O tego księdza Patkula, co straszy ludzi wiatrakami. Wkradniesz się w jego łaski i spróbujesz dostać do dawnych ksiąg parafialnych. Znasz niemiecki, tak przynajmniej twierdzisz...

– No, no...

– Ale nawet jakbyś nie znał...

– No, no...

– ...to chodzi też o pierwsze lata powojenne, czyli wpisy w języku polskim. Wszystko na temat pierwszych osadników, ich ślubów, chrzcin, pogrzebów. Potem pójdziesz do urzędu gminy w Grębówku i poszukasz Katarzyny Sokołowskiej. Gdyby cię nie skojarzyła, powiedz, że przysłała cię Andrzej Krzycki, znajomy Ani.

– Rozumiem. Mam powiedzieć: dzień dobry, jestem kolegą tego faceta, co przeleciał pani młodszą siostrę. Bardzo proszę o udostępnienie potrzebnych dokumentów...

– Lucek, zachowuj się. Poza tym z nas dwóch ty tu robisz za ślicznotkę, więc wymyśl coś. Masz nazwiska: Kulik, Klisz, Różański, Ploh, Kulesza, Siemczuk. Spróbuj wygrzebać w spisach rolnych, co do kogo należy. Potem pojedziesz samochodem do Kręgu i w ekskluzywnym hotelu Podewils poszukasz dwóch młodych asystentów Heike Liebner o imionach Michał i Mariusz. Nazwisk nie znam, ale zawsze trzymają się razem, są mili i mówią po niemiecku, mogą udawać Niemców. Też umieją się bić, więc gdybyś miał kłopot z ich zidentyfikowaniem, wyzwij na pojedynek. W drodze powrotnej możesz się zatrzymać na chwilę na budowie, o której mówił Kowalik. Wiesz, na miejscu dawnego pałacu Schlieffenów. Pokręć się i spróbuj rozeznaczyć, co tam właściwie robią.

Lucek dmuchnął swój loczek na czole.

– Tylko tyle? Naprawdę drobiazg. Pół godzinki i załatwione. Może jeszcze zrobię zakupy, umyję i odkurzę samochód, a potem wpadnę do zakładu kosmetycznego zrobić sobie paznokcie.

– Jeśli musisz – zgodził się Krzycki wspaniałomyślnie. – Wróć przed zmierzchem. I staraj się cały czas być na widoku, między ludźmi. Pamiętaj, boję się o ciebie. I zostaw komórkę.

– Co?

– Namierzą cię. Pilnuj się przy każdym wsiadaniu i wysiadaniu. To nie żarty. Laptop?

– Prywatny. Naprawdę sądzisz, że chcą nas zabić? Kto i po co miałyby to robić?

– Myślę, że wczoraj wieczorem Trębacki wypuścił Müllera, by ten skontaktował się z kim trzeba i posłał na nas wywrotkę – odparł Andrzej. – Nie wiemy dlaczego. Właśnie tego jedziesz się dowiedzieć. W całym tym zamieszaniu kryje się jakaś przemilczana przez wszystkich sprawa, co najmniej jedna. Odkrycie jej wydaje mi się ważniejsze niż złapanie mordercy Zofii Ploh. Przypuszczam, że Heike Liebner się myliła; to było nie tyle morderstwo na zlecenie, ile przypadek. Co miała Zofia Ploh? Mapę? Książkę? Fotografie? Rysunki? Do czego to coś miałyby doprowadzić?

Lucek pokiwał głową, robiąc mądrą minę, chociaż niewiele z tego wszystkiego zrozumiał.

– Wysyłasz mnie, z czego wnioskuję, że ty zostajesz. Co będziesz robił?

Nie wiedział, czy bardziej zirytowała go sama odpowiedź, czy uśmiezek, z którym Krzycki ją wypowiedział:

– Pospaceruję sobie po polach.

VII

Drugie zejście pod ziemię

maj 1945

*Ty w wilka się zmienisz, ja w pliszkę –
ty w orła, ja w kręte dziwy –
nieprzeniknionym zamysłem uprzedzę każdy twój pościg.*

Zuzanna Ginczanka, *Zdrada*

1

Stuk.

Stuk.

Stuk.

Obcasy stukały na zamiecionej do czysta betonowej podłodze. Ani odrobiny kurzu. Dopiero teraz zrozumiała, o co chodziło z tym wycieraniem butów. Brudne podeszwy zostawiłyby ślad na betonie i ci, którym udałoby się sforsować klapę i dotrzeć aż tutaj, z łatwością by ją wytropili. Odwróciła się i poświeciła latarką. Nic, zero śladów. Udało się, panie hrabio.

Trupi chłód wypełniał zarówno podziemny korytarz, jak i spiżarnię, do której dobrnęła po krótkim marszu. W pomieszczeniu po obu stronach stały na regałach całe baterie słoików, od najmniejszych, z jakimiś ciemnoczerwonymi galaretkami, po wielgachne, wypełnione kiszonymi ogórkami i kapustą. Pachniało świętami. Wśród zapraw występował sekretny podział na grupy, sektory, dziedziny – dla niej niezupełnie

czytelny, przypominający jednak, że chodzi o piwnicę niemiecką. Wielki słoik na kapustę, nieco mniejszy na ogórki, litrowe na kompoty i marynowane warzywa, półlitrowe i mniejsze na dzemy, powidła, galaretki... Osobny kącik z butelkami wypełnionymi gęstym sokiem. *Ordnung muss sein.*

Wnękę po lewej zajmowały metalowe drzwiczki, po otwarciu których uderzył ją gęsty aromat wędzonki. Poczowała nagły skurcz w żołądku na widok suszonych wędlin, zwisających na sznurach w dwóch rzędach: z przodu szynki, balerony i boczki, z tyłu chude kielbasy. Słodki sen głodomora. Przełknęła ślinę i bezwiednie sięgnęła po zgrabne kielbasiane pęto. Rozerwała na pół, ugryzła kęs i długo żuła, rozkoszując się jałowcowym smakiem. Wspomnienie rozbłysło jak złoty strzał.

Boże Narodzenie. Ojciec rano prowadzi całą gromadkę swoich kobiet do kościoła. Po powrocie matka podaje świąteczne śniadanie, do którego można już jeść mięso. Plasterki różowej szynki z białym kołnierzykiem i pokreślanego tłustymi nitkami baleronu, poprzedzielane koreczkami swojskiej kielbasy i pasztetówki, leżą na specjalnie chowanym na świąteczne okazje porcelanowym półmisku, równiutko ułożone przez dziewczynki w symetryczne półkola. Wędliny Liebnerowie mają własne. Rodzice pilnują, żeby mimo rekwizycji i obowiązkowych dostaw wojennych zawsze była w zapasie jedna świnia, którą ojciec z wujem Stubenauerem potem biją i oprawiają własnoręcznie w stodole, a one mają pilnować, czy nie idzie ktoś obcy. Wędzenie odbywa się zawsze w nadrzecznych krzakach w dolinie, wieczorem, żeby nie było widać dymu. Gerda lubi te wieczorne wyprawy nad rzekę z koszem pełnym surowych pęt i wielgachnych połci, których po wędzeniu zawsze trochę ubywa, bo stopiony tłuszcz skapuje na ziemię. Mama narzeka, co zrobili z resztą. Ojciec się obraża, a wuj Stubenauer rozbraja rodzoną siostrę żartem, że ciepłe z wędzarni smakuje najlepiej i kolacji już jeść nie muszą.

Kiedy to było? I czy w ogóle było?

Wepchnęła resztę kielbasy do kieszeni sukienki i rozejrzała się za czymś, do czego mogłaby zabrać trochę tych pyszności. Znalazła wiklinowy

koszyk z główkami czosnku i cebuli, opróżniła go i załadowała doń sporą szynkę, dwa pęta kiełbasy i słoiki z kiszonymi ogórkami oraz czymś, co wyglądało na marynowaną dynię. Po krótkim namyśle wybrała również dwa słoiczki z galaretkami owocowymi. I dorzuciła po jednym czosnku i cebuli. Słyszała, że mają dużo witamin i poprawiają odporność. Intuicja jej podpowiadała, że widzi te dobra po raz pierwszy i ostatni. Na wierzch położyła książkę od hrabiego.

Spizarnia, podobnie jak korytarz, wyłożona była cegłą zbiegającą się u góry w beczkowe sklepienie. W świetle latarki tylna ściana nie różniła się niczym od reszty pomieszczenia, kiedy jednak Gerda nacisnęła czwartą kostkę w trzecim rzędzie, cały półowalny masyw drgnął i cofnął się o kilka centymetrów. Dopiero wtedy zauważyła, że to, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak obmurowanie z zaprawy, w istocie było pomalowaną na szaro metalową ramą. Ściana cofnęła się, ale nadal ciasno przylegała do otoczenia i po obmacaniu jej naokoło Gerda doszła do wniosku, że nie oferuje żadnej możliwości obrócenia czy odsunięcia. Patrzyła i myślała, co dalej. Na górze i na dole odsłoniły się mosiężne rowki, w których zamocowana była oś bramy. Biegły równolegle w głąb. Odwróciła się tyłem i napała plecami na ścianę. Drgnęła. Napała mocniej i ścienny masyw odjechał pół metra. Z odsłoniętej szczeliny dmuchnęło ciepłe powietrze. Teraz pchnięta z lewej strony ściana obróciła się i powstało przejście. Ona się precisnęła, ale koszyk był zbyt szeroki. Musiała wystawić słoiki i oderwać ucho, a następnie obrócić go bokiem, zanim udało się go jakoś przeciągnąć. Wstawiła słoiki i już miała zamknąć przejście, gdy jej wzrok padł na półki spizarni. Teraz, kiedy przejście było otwarte, mogła przenieść na tę stronę praktycznie wszystko. Kiełbasy. Nie mogła przestać o nich myśleć. Odsłoniły się w niej jakieś nowe rejony łaknienia i nieopanowanego głodu, objawiającego się nadmiernym ślinieniem i ssaniem w żołądku, aż do mdłości. Już miała precisnąć się z powrotem, gdy światło latarki omiotło buty. Stała na brudnej glinie. W drugiej części jej kryjówki nie było betonowej podłogi. Zostawi ślady.

I co z tego? Może je zamieść, zatrzeć podeszwą, cokolwiek. Jeszcze jedna kiełbasa...

Od strony klapy dobiegł ją głuchy odgłos strzału, potem jeszcze dwa następne. Przez szparę w ścianie zerknęła tam, skąd przysła. Na końcu korytarza od góry błysnęła smuga światła. Idą. Oparła się plecami i zaczęła pchać blok z powrotem na swoje miejsce. Teraz było trudniej, ponieważ oprócz samej ściany musiała jeszcze naciągnąć jakiś mechanizm sprężynowy, który to wszystko uruchamiał. Szło opornie. Zgasła latarkę i parła z całych sił. Słyszała kroki biegnących ludzi, ktoś wołał i rozpoznała głos Staszka Kulika. Idzie po nią. Pchaj. Pchaj! Wbiła pięty w suchą glinę i przykucnęła, żeby wykorzystać mięśnie ud. Miała wrażenie, że między butami błysnął snop światła. Zacisnęła zęby i pchnęła. Plecy pojechały do tyłu, zachwiała się, tracąc równowagę, nagle usłyszała podwójne klik-klak i ściana się zatrzymała, a ona walnęła potylicą w cegły. Zamroczone osunęła się na ziemię.

Usłyszała głosy. Ktoś stukał w ruchomą ścianę od drugiej strony, ktoś inny głośno przestawiał słoiki na półkach, jeden z nich z hukiem rozbił się na podłodze. Zgrzytnęły blaszane drzwiczki od wędzonek i rozległy się radosne krzyki. Chłopcy zaczęli zabawę z wędlinami hrabiego, z jej wędlinami! Ale nie to było najgorsze, tylko to regularne stukanie w ścianę. Gerdzie zdawało się, że słyszy stamtąd świszczący oddech. Staszek tak oddychał, kiedy się koncentrował na czymś ważnym. Przymknęła oczy. Głowa bolała ją wściekle. Nie, to niemożliwe, nie możesz go słyszeć. Ta ściana ma pół metra grubości. Uroiłaś sobie ze strachu. Opanuj się. Oddychaj.

Ten oddech wnikał w nią, drażnił obolałą czaszkę i ściekał niżej obrzydliwym, zimnym śluzem. Wyobraziła sobie, jak on tam, pochylony i skupiony, maca ścianę tymi samymi łapskami, którymi zdzierał z niej ubranie i zmuszał do uległości. I sapanie też to samo. Nie wytrzyma tego. Zwariuje i zacznie krzyczeć. Stukanie tuż nad jej głową. Stuk. Stuk. Stuk-stuk. I grube, szorstkie paluchy na jej żebrach.

Odturlała się od ściany i trąciła nogą jeden ze słoików. Brzęknął. Zdrętwiała. Stukanie ucichło, a jej zaczęło gwizdać w uszach od napięcia i bólu. Była pewna, że ją usłyszał i jest tylko kwestią czasu, kiedy naciśnie tę cholerną cegłę i ściana odjedzie do tyłu. Prosto na nią. *Scheisse!* Przepraszam, hrabio, nie spisałam się.

Wtedy nagle po drugiej stronie rozległ się trzask, potem głośny śmiech i donośny głos, który dobrze znała: „Cicho, kurwa!”. Tamci umilkli, a po chwili powróciło rytmiczne: stuk, stuk, stuk-stuk. Opierając dłonie na obu ścianach korytarza, podniosła się powoli i ruszyła na oślep przed siebie. Pomyślała, że skoro i tak ją tu lada chwila znajdą, to przynajmniej przed śmiercią obejrzy sobie podziemną komnatę pana hrabiego. I może zdąży podjąć tę czarodziejską kiełbasę, która potrafi przenieść człowieka do innego świata, zanim kula czy nóż rozpruje jej trzewia. Chodź, Gerda. *Frau, komm.*

Szła bardzo powoli, macając przestrzeń wokół siebie w obawie przed potrąceniem niewidocznego przedmiotu. Stukanie za plecami cichło, lekki powiew ciepłego i suchego powietrza jak błędny ognik wskazywał jej drogę. Po kilku minutach ślepego marszu namacała po lewej stronie metalową płaszczyznę. Przesunęła dłonią niżej. Klamka. Obejrzała się. Cisza i ciemność. Ze wszystkich stron oblepiała ją miękka, aksamitna czerń. Nicość. Stan, który ostatnio ceniła najwyżej.

Weszła po omacku. Odważyła się włączyć latarkę, dopiero gdy starannie zamknęła za sobą drzwi. Oślepił ją nagły blask. Przesunęła promień światła, pojawił się, że zaświeciła prosto w lustro. Wisiało na przeciwległej ścianie niewielkiego pokoju. Podeszła bliżej i podświetliła swoją twarz, jak to robią dzieci bawiące się w duchy. Odskokzyła. Z lustra patrzył upiór. Odwróciła głowę i jej wzrok padł na łóżko pod ścianą. Pogładziła dłonią nakrywający je ciepły koc, a potem leżącą u wezgowia poduszkę. Dopiero teraz poczuła, jaka jest zmęczona. Zgasła latarkę, położyła się i nakryła kocem po czubek głowy. Coś ją gniotło w biodro. Sięgnęła do kieszeni. Kiełbasa. Wyjęła ją i wcisnęła pod poduszkę, przyłożyła twarz do płóciennej poszewki i natychmiast zasnęła.

„Regulus” miał wiele szczęścia. Mimo intensywnych działań wojennych na Bałtyku i bezpośrednich ataków z wody oraz z powietrza zdołał bezpiecznie dowieźć swoich podopiecznych do Flensburga. Przez pięć ostatnich dni zalegali oni na trzech pokładach we wszelkich pozycjach, jakie mogą przyjąć ranni żołnierze. Patrzenie na nich ewoluowało u kapitana Rudolfa Mielkego od współczucia, przez obojętność, aż do rozdrażnienia i niechęci. Irytowało go, że musiał uratować ze Swinemünde akurat żołnierzy. W każdym porządku, nawet najbardziej chaotycznym, istnieje jakaś hierarchia. Żołnierze szli na wojnę, nosili brzemię współuczestnictwa, podczas gdy kobiety i dzieci były wyłącznie ofiarami. Ich powinien wywozić w pierwszej kolejności.

Kiedy miał już naprawdę dosyć całej tej obłąkanej wojny, zamykał się w kajucie, patrzył w sufit i myślał o Heike. Jej okrągłe czarne oczy pytały: „Wrócisz po mnie?”. Widział je dniem i nocą. Na nic zdało się tłumaczenie przed samym sobą, że chodziło tylko o chwilowe przechowanie dziewczynki. Przecież miał zamiar wrócić, kiedy tylko skończy się wojna, a wraz z nią mozolne kursowanie w tę i nazad po lodowatym Bałtyku, zamienianym stopniowo w wielki niemiecki grobowiec. Heike odebrała mu sen. Był wykończony, ale nie potrafił zasnąć. Nachodziły go te szeroko otwarte czarne oczy i patrzyły, patrzyły, a potem brzęczał wielki rój i obraz eksplodował. Mielke zaciskał powieki. Kiedy je otwierał, czarne oczy znowu patrzyły i patrzyły...

Z komunikatów wojskowych wynikało, że zginęła co najmniej połowa miasta. Amerykanie zrzucili kilka tysięcy bomb i zatopili większość zacumowanych okrętów, w tym pełnego cywilów „Androsa”, którego własnoręcznie pozdrowił syreną, wychodząc z portu. Bombardowali wszystkie skupiska ludzkie w Swinemünde, pełne tych, których on i paru innych samobójców z takim mozołem zwoziło z Prus Wschodnich i Pomorza. Liczba ofiar była niemożliwa do oszacowania. To już nie wojna, tylko rzeź, pomyślał. A on transportował barany prosto pod nóż. Kiedy ten koszmar się skończy?

Wypił parę łyków jägermeistra, żeby wytrzymać kilka najbliższych godzin wśród oficjeli portowych. Ostra dolnosaksońska ziołówka, na cześć głównego leśniczego Rzeszy nazywana Göring-Schnapsem, nie należała do jego faworytek. Trochę szczypała w żołądek i powodowała zgagę, nie miał jednak większego wyboru. Akurat taki dostał przydział: jägermeister plus czysty spirytus.

Zmotywowany ziołowym specjałem wyruszył zameldować się do dowództwa. Był przekonany, że wobec ewidentnej klęski Niemiec zostanie zdemobilizowany i odesłany na ląd do którejś ze służb zastępczych. Armia Czerwona praktycznie zajęła już Pomorze. Padł właśnie Kolberg, z którego wskutek blokady morskiej nie udało się ewakuować większości uciekinierów; wcześniej zajęte zostały Rügenwalde i Stolp oraz pobliskie porty. Cieśniny na zachód były zablokowane przez aliantów. Bałtyk zawęził się dla Niemców do kiszkowatego basenu – mogli sobie po nim jeszcze trochę popływać, ale robiło się coraz ciaśniej i niebezpieczniej.

Otworzył kopertę i zdziwił się niepomiarnie. Otrzymał rozkaz płynięcia po uchodźców aż na półwysep Hela. Cały niemiecki Bałtyk, ponad pięćset kilometrów! Okazało się, że tamtejsza załoga ciągle się broni, a tysiące cywilów czekają na nabrzeżu jak na peronie, umierając ze strachu.

– Wiem, kapitanie, że to niebezpieczne – powiedział dowódca portu w randze kontradmirała, nie patrząc mu w oczy. – Ale czy zostało nam w ogóle jeszcze coś bezpiecznego? Parę razy w ciągu dnia biegam do schronu i proszę mi wierzyć, czasami mam ochotę nie dobiec. Coraz mniej rozumiem, za kogo i po co walczę. A pan?

– Nie wiem. Nie myślę o tym. Wykonuję rozkazy.

– Tak, tak, oczywiście – westchnął dowódca. – Wszyscy wykonujemy rozkazy, nikt jednak nie pyta o ich sens. Niedawno był tutaj admirał Karl Dönitz, autor naszej wielkiej operacji ratunkowej, i powiedział mi w zaufaniu, że po ewentualnym upadku Berlina nasz Flensburg planowany jest na rezerwową stolicę Rzeszy. Nie wiem, co to oznacza dla historii, ale dla mnie na pewno to, że będę musiał się męczyć do końca. Tego najdalszego i najbardziej upadającego końca. Odejdę wraz z garstką

ostatnich szaleńców. Będę jedną z ostatnich rozdeptanych pluskiew. Przyjemne, nieprawdaż?

Mielke spojrział na kontradmirała, próbując przeniknąć jego intencje. Sonduje, sprawdza czy prowokuje? Znał go od lat jako człowieka spokojnego, rzetelnego i bezwarunkowo oddanego Führerowi. Jak całe dowództwo Kriegsmarine. Teraz mówił jak ktoś obudzony z długiego i przykrego snu, którego nie potrafi spójnie opowiedzieć. Zmieniło się słownictwo. Admirał i pluskwa? W finale przegranej wojny z ludźmi dzieją się ciekawe rzeczy.

– Zawsze jeszcze można się... wycofać – powiedział powoli, śledząc jego reakcje.

Kontradmirał wytrzymał wzrok kapitana. Powściągliwie skinął głową.

– Oczywiście. Dawno bym to zrobił. Wie pan, co mnie powstrzymuje? – Pokazał ręką na zapełnione cywilami i żołnierzami nabrzeże pod kapitanatem. – Oni. Codziennie spływają ich tysiące i jeśli machnę na wszystko ręką, by dla własnej wygody się wycofać, jak pan to elegancko określił, cały wielki plan ewakuacji ze Wschodu rozsypie się jak domek z kart. Tu jest centrum dowodzenia, serce całej *Rettungsaktion Ostsee*. Kolejne ileś tysięcy już tu nie dopłynię. Zostaną tam, w ziemi albo w wodzie, jako nawóz i karma dla ryb. Słyszał pan, co się stało w Swinemünde.

– Co się stało? – spytał Mielke, starając się zapanować nad głosem.

– Dywanowy nalot. Ponad sześćset bombowców przez pięćdziesiąt minut bez przerwy zrzucało półtonowe bomby. Miasto praktycznie przestało istnieć. To miasto, do którego od stycznia zwozimy rodaków z Pomorza, Prus Wschodnich i Kurlandii. Z obozów przejściowych nic nie zostało. Nie potrafimy oszacować liczby ofiar, bo nawet nie wiemy, ilu ludzi tam było. Wiele tysięcy. Bardzo dużo. Nie znałem ich osobiście i nigdy nie poznam, powinni mi być obojętni, ale nie są. Wciąż myślę o nich jako o ludziach. Czy to źle?

Kapitan Mielke nie znalazł sensownej odpowiedzi na tak postawioną kwestię. Przyszło mu do głowy, że o naszych na Wschodzie jako

o ludziach, którzy mogą za tę wojnę zapłacić życiem, trzeba było pomyśleć wcześniej. Jakies dziesięć lat temu, kiedy to szaleństwo zaczynało się rozkręcać. Teraz mogli sobie humanitarnie podywagować i ewentualnie deklorować niezachwiane poświęcenie dla Narodu, dla tego wypchanego niemiecką pychą bałwana zwanego Ojczyzną. Trzeba było myśleć o ludziach, panie admirał, kiedy się hajlowało Hitlerowi. Trzeba było myśleć o dzieciach, jak mała Heike, którym powinniśmy zapewnić trochę więcej niż butę, pożogę i zbrodnię. Ma pan rację, zostali tam jako nawóz dla ziemi i karma dla ryb. I nie mamy dla nich dzisiaj żadnej odpowiedzi. Możemy tylko poświęcać się, ofiarnie pływać tam i z powrotem, zanim zrobi się tak ciasno, że nawet kajak się nie prześliznie. Później zaś elegancko się wycofać za pomocą przystawionego do skroni parabellum. A tamci zostaną.

Nie powiedział tego. Obracał w myślach frazę: „Z obozów przejściowych nic nie zostało”. Zatem po sprawie. Skłonił się i odebrał papiery.

– Postaram się wypłynąć jak najszybciej.

Trzasnął butami i uniósł prawe ramię. Kontradmirał wstał, obszedł biurko i opuścił jego rękę, a następnie mocno ją uściśnął.

– Dziękuję, kapitanie.

Mielke wyszedł z biura i pospiesznie wrócił na statek. Wydał rozkazy załadunku wojskowego zaopatrzenia, które mieli zabrać na Hel, i poprosił oficera, aby mu zameldował, kiedy będą gotowi. Zamknął się w kajucie i popatrzył na swój skromny barek. Pieprzyć jägermeistera. Nalał sobie ćwierć szklanki spirytusu, rozcieńczył cytrynową lemoniadą i wypił duszkiem. Odczekał chwilę i powtórzył. Nerwy puszczały. Po trzeciej szklance był już spokojniejszy. Głowa zaczynała mu przyjemnie wirować, fraza: „Z obozów przejściowych nic nie zostało” rozplynęła się w natłoku innych słów, oderwanych, niejasnych, mówiących głucho i niezrozumiale, jak spod ziemi. Upadł na koję, nakrył się kocem, który od tamtego czasu nazywał „kocem Heike”, i zasnął.

Odcumowali późnym wieczorem i o świcie byli na pełnym morzu. Do Helu dotarli prawie po dwóch tygodniach, skąd zabrali tysiąc trzystu cywilów i 13 kwietnia popłynęli z nimi do Kopenhagi, ponieważ tylko ta droga dawała jakieś szanse powodzenia. Kapitan Mielke przebył ją w transie wywołanym spirytusem na lemoniadzie oraz dudniącym pod czaszką zdaniem: „Z obozów przejściowych nic nie zostało”. I chyba też trochę pragnieniem śmierci. Wyłaził na mostek, wystawiał twarz na zimny wiatr i gapił się w wodę, czekając, aż nadbiegną ciemne, podłużne cienie, wbiją się w kadłub i zakończą tę zabawę. Nie doczekał się. „Regulus” dopłynął do Danii, wysadził pasażerów i wtedy kapitan otrzymał rozkaz, którego pragnął, ale bynajmniej się nie spodziewał: rejs do Swinemünde po kolejną grupę uciekinierów. Natychmiast otrzeźwiało. Upewnił się, że na pewno o to chodzi. Tak, o to. Miasto mimo straszliwego bombardowania ciągle się broniło i jeszcze dało się do niego dopłynąć. Niewiarygodne!

W Kopenhadze uzupełnił zapasy, w tym spirytusu i cytrynowej lemoniady, po czym wyruszyli.

Dotarli po tygodniu. Kiedy zobaczył to, co zostało z miasta i portu u ujścia Świny, zrozumiał, że nie ma czego szukać. Kanał portowy zastawiały wraki zatopionych statków, musieli dobrze lawirować, by je ominąć i dotrzeć do nabrzeża. Kapitanat, w którym półtora miesiąca temu oddawał Heike pod opiekę kobiecie z izby przyjęć, ostał się jako wypalona skorupa ze zniszczonym dachem i ukruszoną wieżyczką. Choć był to punkt dowodzenia, amerykańskie bomby najwyraźniej go ominęły, podobnie jak pobliską wieżę ciśnień, która nadal stała. Nie obiekty wojskowe stanowiły cel ataku, tylko po prostu ludzie.

– Ile mam czasu? – spytał wprost, kiedy zameldował się w prowizorycznej siedzibie dowództwa w podziemnym schronie.

– Nie ma pan w ogóle żadnego czasu, kapitanie – odparł poważnie dowódca portu. – Nikt z nas już nie ma. Słyszysz pan te salwy? Nasz czas minął.

Istotnie, idąc tutaj, słyszał ogień artylerii i nawet się dziwił, że dochodzi gdzieś spod miasta, z drugiego brzegu Świny. Jakby Rosjanie postanowili

nacieszyć się obrazem ruin i trupów, zanim je uwolnią od Niemców. W dużym stopniu już uwolnili. Tysiące strzępów ludzkich rozrzuconych bombami po całej okolicy raczej już nie stanowiły zagrożenia dla „wyzwolicielei”.

– Kiedy muszę wypłynąć?

Chciał wiedzieć, czy uda mu się wygospodarować parę godzin na poszukiwania dziecka na tym porażającym cmentarzysku.

– Już. To nie tylko rozkaz, ale i rada. Przechwyciliśmy informacje o przygotowaniach do ofensywy. Mam ochotę dodać od siebie: nareszcie. Ale pan tego nie słyszał.

Chwilę mierzyli się wzrokiem. Mielke skinął głową, że rozumie i nie będzie komentował. Odmeldował się i wyszedł. Koniec był coraz bliższy.

Jego „Regulus” w pierwszej kolejności miał zabrać rannych żołnierzy, ale on nakazał ładować wszystkich jak leci, zwłaszcza rodziny z dziećmi. Wydał dyspozycje oficerom i wymknął się na miasto. Poruszał się wśród koszmarnych ruin, mijał grupki organizujących się spontanicznie w oddziały porządkowe ludzi, którzy próbowali nadać jeszcze sens istnieniu poprzez pracę, wbrew rozsądkowi. Ale to była mniejszość. Większość stanowili uchodźcy, ciągnący długimi kolumnami przez główne arterie dalej na zachód, byle tylko wydostać się z pomorskiego piekła. Niektórzy ciągnęli na dworzec kolejowy, skąd ciągle jeszcze odchodziły pociągi do Berlina i Hamburga, inni szukali transportu samochodowego lub konnego. Byle dalej, byle szybciej. Reszta oblegała nabrzeża w porcie. W ich twarzach na tysiące sposobów malowało się to samo: rozpacz i beznadzieja.

Nie miał pojęcia, od czego zacząć. Najpierw spróbował przedostać się do szosy na Ahlbeck, przy której miał się znajdować tamten obóz dla sierot. Była zablokowana tysiącami uciekinierów i wojskiem, więc spróbował przedostać się od północy, przez *Kurpark*. Skręcił w prawo i przeprawiając się przez morze ruin, wszedł na teren uzdrowiska.

Pamiętał to miejsce jako jeden z najpiękniejszych zakątków przedwojennego Swinemünde, pełen alejek, fontann i pachnących klombów

kwiatowych, rozrzuconych wśród okazałego starodrzewu. Kiedy teraz wkroczył na teren parku zdrojowego, pożałował, że nie wziął ze sobą butelki. Odurzył go trupi zapach. W wiosennym cieple powszechny rozkład martwej tkanki przyspieszył. Rudolf Mielke mijał ogromne leje po bombach, zwalone pnie i ogołoczone z gałęzi kikuty drzew, obwieszane resztkami ludzkiego mięsa. Czapką zatkał usta i nos. Wolał wdychać odór własnego zjełczałego potu niż to. Świeże cmentarzysko porośnięte świeżą trawą.

Jakiś człowiek kopał dół. Obok niego leżały tobołki ze szczątkami. Mielke przystanął. Przemógł się i spytał.

– W obozach i na ulicach już nie było miejsca – odparł tamten. – Siedzieli tutaj, w parku. Kiedy przyleciały samoloty, chowali się pod drzewami. Myśleli, że gruby pień i szeroka korona chronią przed bombą.

Miał szczeciniastą siwą brodę, druciane okulary i wytartą furazerkę na głowie. Odpowiadał, nie patrząc na niego.

– A pan?

– Poszedłem po jedzenie. Wydawali w budynku sanatorium. – Przerwał, zadumawszy się nad czymś przez chwilę. – Nawet zdobyłem dwa bochenki.

– Chce ich pan wszystkich pochować? – spytał kapitan, zataczając ręką dokoła. W wiosennym słońcu nad pobojuwiskiem krążyły chmary owadów. W ciszy słychać było ich brzęczenie i dalekie odgłosy walki. Ostatni dzień kwietnia, a mimo to ptaki nie śpiewały. Nie było ani jednego.

– Gdzieś tu czekali. Córka z dwoma synkami. Na te chleby – powiedział stary powoli, jakby bał się wypowiadać słowa.

Mielke czekał, ale tamten przestał mówić. Zastygł z obwisłą wargą, na której błysnęła kropelka śliny. Podparty na łopacie wyglądał jak pomnik strudzonego robotnika. Nieruchomy. Skamieniały. Nieżywy. Po chwili podniósł głowę i rozejrzał się ze zdziwieniem, jakby próbował zrozumieć, gdzie się znalazł i co tu robi. Spojrzał na Mielkego i zamrugał zaczerwienionymi oczami, jak człowiek, który zbyt długo ślęczał nad książką i trudno mu złapać ostrość. Przesunął wzrokiem po okolicy i wrócił do poprzedniej pozycji.

Kapitan spytał o obóz dla sierot przy szosie na Ahlbeck. Ponieważ mężczyzna nie reagował, powtórzył pytanie, stary jednak już go nie słyszał. Widocznie zakończył swoją komunikację ze światem. Zaciśnął szponiaste ręce na łopacie i wrócił do kopania.

Poszedł dalej. Za parkiem natrafił na punkt sanitarny. Kobiety w białych czepkach i zielonych bluzach energicznie obsługiwały spory brezentowy namiot, pełen rannych cywilów. Żadna z nich nie słyszała o obozie dla sierot. Wszystkie były w Swinemünde od niedawna, przybyły już po bombardowaniu. Żałował, że nie zna ani nazwy obozu, ani żadnego numeru identyfikacyjnego. Nie mógł dokładniej zapytać, tylko to beznadziejne „obóz przejściowy dla sierot”. Obrzucił szybkim spojrzeniem rannych cywilów, przyjrzał się kilkorgu dzieci i poszedł. To nie miało sensu. Igła w stogu siana.

Przeciął drugi, mały park przy Heysestrasse i dotarł do szosy na Heringsdorf i Ahlbeck. Zrównał się z kolumną uchodźców, przebrnął jakoś na drugą stronę i skierował się na południowy zachód, w kierunku na Friedrichsthal. Napotkanych funkcjonariuszy policji i służb porządkowych bezskutecznie wypytywał o obóz sierot. Nikt o nim nie wiedział. Jakby rozwiązał się w powietrzu od eksplozji. Może w istocie tak było.

O zmierzchu zrezygnowany wrócił na statek. Tłok na pokładach, krzyki, lamenty i porządkujące zarządzenia wykrzykiwane przez załogę czyniły niemały harmider. Dał rozkaz wciągnięcia trapów i zrzucenia cumów. Wśród pozostałych na nabrzeżu uchodźców podniósł się chóralny jęk. Ktoś próbował szturmować pokład po naprędcie przerzuconej desce. Ktoś inny wszedł zaraz za nim i obaj wpadli do wody. Nadbiegli jacyś ludzie z linami i kołami ratunkowymi. Wyciągnięto obu desperatów. Marynarze zrzucili cumy. „Regulus” odbił od nabrzeża i maksymalnie obciążony leniwie ruszył do wyjścia z portu. Przyzwyczajony do piekielnych metafor kapitan Mielke uznał, że ten krąg piekła już zaliczył i czas zejść do niższego. Zamknął się w kajucie. Wyjął szklanekę, spirytus i cytrynową lemoniadę. Starannie odmierzył.

„Z obozów nic nie zostało”.

Wypił.

3

Spała długo i wygodnie. Tym razem nie musiała leżeć na burakach cukrowych, ponieważ w pomieszczeniu znajdowało się najprawdziwsze łóżko z siennikiem jako materacem, poduszka i koc. Ukryty pokój hrabiego von Schlieffena ogrzewało jakieś sekretne ciepło, jakby omywały go podziemne gejzery czy inne termalne źródła. Obudziła się wypoczęta i głodna, więc uznała, że to musiało być długo. Wyjęła spod poduszki niedojedzone pęto, włączyła latarkę i za pomocą patyczka od kiełbasy zaznaczyła na ścianie pierwszą kreskę. Poczowała ucisk na pęcherz. Zaczęła się rozglądać za czymś, co pomogłoby jej rozwiązać problem.

Tak jak przewidywała, pokój był nie tylko obszerny i ogrzewany z zewnątrz, ale również wyposażony we wszystkie potrzebne do przetrwania akcesoria, łącznie z toaletą. W przeciwległym narożniku znajdowała się wnęka z drewnianym podestem i wyciętą w nim dziurą pod dopasowaną przykrywką. Wygódkę oddzielała od pokoju kotara. Gerda załatwiła się z ulgą i podtarła papierem toaletowym, bo i ten się tu znajdował. Przy wyjściu stała miska i wiadro z wodą, na ścianie wisiał ręcznik, nad nim lustro, to samo, które tak ją przestraszyło odbitym światłem latarki. Dalej zobaczyła wielki szklany baniak z wodą pitną i zbiornik z wodą do mycia, za nimi komodę z trzema pustymi szufladami oraz regał z wielgachnymi tomami oprawnymi w ciemnozieloną skórę. Środek pokoju zajmował stół i dwa krzesła, nad nimi wisiała lampa. Po krótkich poszukiwaniach natrafiła na kontakt, przekreśliła go – błysnęło słabe światło. Pokój odsłonił się w całej okazałości. Nie mogła się nadziwić. Było tu wszystko, czego potrzeba do przetrwania pod ziemią, i nie rozumiała, dlaczego hrabia Alexander von Schlieffen nie siedział po prostu w swojej kryjówce i zamiast tego błąkał się jak duch po zrujnowanym pałacu.

Usiadła za stołem. I co dalej? Gdzie się znalazła i w jakim celu? Uciekła Kulikowi i wylądowała z powrotem pod ziemią. Cofnęła się do punktu wyjścia, czyli ziemianki za domem Müllerów, co prawda ze znacznie lepszym wyposażeniem, niemniej z podobnym brakiem perspektyw. Ma zapasy, może tu czekać całkiem długo – na co? Dlaczego hrabia ją tu zamknął? Owszem, uratował jej życie i taka odpowiedź wyglądała na uniwersalnie poprawną oraz dobrze uzasadnioną zasadami moralnymi, zgodnymi z wychowaniem i kulturą osobistą arystokraty. Jasne. Tylko że ostatnie miesiące pokazały całą nędzę takich odpowiedzi. Nie ma żadnych zasad i żadnej moralności. Jest jedno wielkie gównno i w tym sensie czerwone diabły ze swoimi defekacyjnymi obyczajami w niemieckich sypialniach mają sporo racji. Pan hrabia może co najwyżej stać wyprostowany na środku salonu i czekać, aż go skrócą o głowę. Chowanie się po piwnicach pozwala odwlec, ale nie uniknąć.

Reks. Został przy budzie, uwiązany przez Staszka. Po zdjęciu temblaka trochę utykał, ale to mogło być skutkiem zwiotczenia mięśni. Łapa zrosła się nawet prosto. Żył, to najważniejsze. Gerda nie wróciła wtedy całkiem na darmo. A teraz uciekła i Staszek po powrocie do domu najpierw będzie szukał zemsty na czymkolwiek, co należało do niej. Reks jest pierwszy w kolejce. Te jego czarne, mądre ślepia na białym łbie, gęsta sierść, fikuśnie zakręcony ogon... Zagryzła wargi, żeby nie płakać.

Dla odwrócenia uwagi od Reksa zaczęła rozważać szczegóły ostatniego zapamiętanego dnia. To, co przeżywała pod ziemią, to nie były dni. Jej rodacy na cmentarzu. Starakobieta z ustami złożonymi w niezrozumiałej artykulacji. Usiłuje coś powiedzieć albo zagrać.

Skupiła się na tych wargach wyciągniętych w ryjek jak przy dziecięcej zabawie. U–u–m–e. Próbowwała podłożyć pod to jakieś słowa, nic jednak nie wychodziło. Podeszła do lustra, zrobiła taki sam ryjek i przyjrzała się krytycznie. Co się tak mówi? Jakie słowo stoi w gotowości tuż za wargami? Szukała i nie znalazła, opędzając się od jednego uporczywego skojarzenia, mianowicie kukania kukułki. *Kuckuck, kuckuck, ruft's aus dem Wald*, przypomniała sobie dziecięcą piosenkę i małego Ottona Stubenauera, który

chowal się za rogiem stodoły i czekał, aż któraś z nich będzie przechodzić, by wyskoczyć i wrzasnąć: *Kuckuck, kuckuck!* Tylko jego to bawiło.

Nic nie wymyśliła, więc przeszła do spraw bardziej przyziemnych. W szufladzie komody znalazła widelec z solidnej hrabiowskiej zastawy i podważyła nim przykrywkę weki, a kiedy syknęło, pociągnęła za gumkę. Szklany dekielek odskoczył. Zamoczyła usta. Kompot śliwkowy smakował wyśmienicie. Wypiła parę łyków, nalała trochę do blaszanego kubka i popijając, zabrała się do czytania *Maltego*. Szło opornie. Tamten wiersz, *Erinnerung*, przepisała do zeszytu, gdyż on jeden do niej jakoś przemawiał. Wchodził w duszę i zostawał na stałe z tym swoim: „A ty czekasz, ty czekasz na jedno”. Z innych wierszy Rilkego niewiele rozumiała. Lektura powieści również ją męczyła, po kilku stronach musiała robić sobie przerwy, chodzić po podziemnym pokoju i dumać nad czymkolwiek.

Po co hrabia ją tu przysłał? Powiedział to dziwne: „Czekałem na ciebie” i nie wyjaśnił, co właściwie miał na myśli. Co taki stary i pozbawiony sensu dalszego istnienia arystokrata mógł robić na górze, wiedząc, że lada chwila przyjdą ci, którzy nie uznają go za człowieka, tylko za przeszkodę do usunięcia? Nic nie wspominał o bliskich. Nie wyglądało, żeby na kogoś czekał. Już raczej, jakby czegoś pilnował. Czego może pilnować hrabia w takich czasach?

Jak to czego – skarbu!

Nabiła na widelec śliwkę, zjadła, wypluła pestkę do słoika (zawsze tak robiła w domu) i wróciła do czytania Rilkego. Z długich i ozdobnych zdań z trudem wyluskiwała opisy mrocznych i nastrojowych miejsc, jakieś ledwie wyczuwalne uczucia snujące się jak nitki babiego lata między tajemniczymi postaciami. Hrabia miał rację: nie wiadomo właściwie, o czym jest ta powieść, i czy to w ogóle powieść, czy raczej pamiętnik, a może po prostu majaki rozgorączkowanego poety, który zaczął mówić w chorobie i nie może przestać. Było jednak coś pięknego w tej książce, co nie dawało spokoju i kazało czytać dalej. Wchodziła w tę opowieść jak – szukała trafnego porównania – jak do podziemi. Tak, dokładnie. Ta

opowieść była niczym jej kryjówka pod ziemią – mocno sugestywna i zarazem pozbawiona sensu.

Czytała na wrywki. Kiedy natrafiła na historię siostr Szulinówien i spalonego dworu, zawiesiła wzrok na literach. Zamknęła oczy, ale za późno, łzy już popłynęły po policzkach. Gdzie one są, jej rodzone siostry? Czy żyją? Kulik i jego pijacka gromada z ochotą snuli wieczorami opowieści o wielkiej pomorskiej przygodzie, pełnej młodych i chętnych kobiet, bogatych gospodarstw i pochowanych po lasach esesmanów, do których można było sobie postrzelać jak do zajęcy. Przechwalali się historiami, jakby w każdej z nich uczestniczyli osobiście. Ale były też opowieści o rzeziach cywilów, o statkach pełnych kobiet i dzieci, na które polowały sowieckie okręty podwodne, o bombardowaniu obozów dla uciekinierów. Siadała wtedy na szczycie schodów i podsłuchiwała, licząc, że dowie się czegoś więcej. Byli pijani i wiele z tych rzeczy zmyślili, żeby zaimponować kolegom. Miała nadzieję, że historię o zatonięciu całego Heinsdorf też. Nigdy nie poznała prawdy. Zjadła jeszcze dwie śliwki, popiła kompotem i zmogła ją nagle zmęczenie. Opadła na łóżko.

Pierwsza przyszła Anna. Pogładziła ją po włosach i szepnęła do ucha, że kiedyś spotkała w lesie wiedźmę, która tłumaczyła jej wędrowkę kamieni. Kamienie wędrują, ale bardzo wolno, tak wolno, że człowiek nie może tego zobaczyć. Są wieczne, mają mnóstwo czasu i nie muszą się nigdzie spieszyć. Robią jeden malutki kroczek na sto lat. Albo jeszcze dłużej.

„Gdybyś żyła tysiąc lat, mogłabyś iść za nimi. Kamienie wiedzą, gdzie leży ukryty skarb”.

„Jaki skarb?”

„Jak to jaki? Twój”.

Chciała zapytać, co ma zrobić, żeby żyć tysiąc lat, ale Anna już zniknęła.

Po niej przyszła Maria. Była z nich wszystkich najweselsza, więc nic nie mówiła, tylko stanęła przed lustrem i zaczęła robić głupie miny. Zwykłe dziecięce wygłupy, z przystawianiem kciuków do skroni i poruszaniem łapkami, jakby z mózgu wyrosły skrzydła, wywalaniem języka na podbródek, robieniem zeza i tym podobne. Na koniec nałożyła sobie na

skronie niewidzialną koronę i skłoniła się z dworską elegancją. Gerda spytała ją, co chce przez to powiedzieć, ale jej siostra tylko się zezłościła i znikła.

Zgodnie z przewidywaniem następna przyszła Kätchen. Jak zawsze poważna i troszkę smutna. Patrzyła jej długo w oczy i powiedziała tylko jedno słowo: *Döden*. Brzmiało okropnie, jak dudnienie z wnętrza żelaznego kotła. Gerda skądś je znała, nie mogła jednak sobie przypomnieć. Wtedy Kätchen znikła, a na jej miejscu pojawiła się Lisa i powiedziała, że *döden* znaczy po szwedzku „śmierć”. Przypomniała sobie – przecież czytała je przed chwilą w *Maltem*. Co za beznadziejna powieść! Teraz powinna przyjść Heike, najrozsądniejsza z nich, i wyjaśnić, co to wszystko znaczy. I co ona ma robić z całym tym przedstawieniem.

Heike nie przyszła. Słowo „śmierć” było ostatnim, jakie Gerda usłyszała. Zerwała się z łóżka i zaczęła krzyczeć:

– Heike! Gdzie jest mała Heike?! Gdzieście ją zgubiły?!

Światło nad stołem stawało się coraz bledsze, zasilające je baterie powoli się wyczerpywały. Półprzytomna ruszyła przed siebie, potknęła się o leżącą przy łóżku książkę, kopnęła ją z wściekłością i pobiegła na drugą stronę pokoju. Dobiła do ściany i omal nie strąciła wiszącego tam lustra. Spojrzała. To nie była ona. Z wnętrza zwierciadła patrzył na nią hrabia von Schlieffen i krzywił się z wyraźną dezaprobatą.

– Co? Czego chcesz ode mnie?! Po co mnie tu zamknęłaś?!

Krzyczała, ale on tylko coraz bardziej się wykrzywił, wreszcie uderzył pięścią w szklaną tafłę, a ta rozpękła się na dziesiątki rys, gwiazdziście rozchodzących się we wszystkich kierunkach. Znikł, a w jego miejscu wychynęła z mroku twarz staruchy z cmentarza. W pęknięciach lustra jej wyolbrzymione usta powtarzały z grymasem: Kuckucksmühle, Kuckucksmühle, Kuckucksmühle...

Gerda usiadła na łóżku. Przetarła zaspane oczy, co nieszczególnie poprawiło widoczność. Bateria w lampie się kończyła i żarówka nad stołem migotała psychodelicznie. *KUCKUCKSMÜHLE 5 KM*. Przewrócona tablica przy drodze do Kortow. Stary wiatrak zwany Kukułczym Młynem,

który odwiedziła kiedyś z ojcem. Na samo wspomnienie poczuła w nozdrzach zapach mielonego ziarna. Czyżby o niego chodziło starej Niemce? Miała wielką ochotę pomaszerować tam natychmiast, ale spojrzała na ścianę i zobaczyła dwie smętne kreski oznaczające dwa dni w podziemiu. Dopiero. Hrabia nakazał wyjść najwcześniej po trzech. Chyba tu zwariuje.

Wstała i potknęła się o książkę. Szary tom pojechał po podłodze i zatrzymał się pod stołem, dokładnie tak jak we śnie. Schyliła się i podniosła go, a wtedy spomiędzy kartek wysunął się niewielki kartonik. Przyjrzała mu się w słabym świetle. Fotografia przedstawiała jakieś dzieło sztuki w ramie. Przysunęła kartonik bliżej oczu i przekonała się, że to nie obraz, tylko sfotografowane lustro, w którym odbija się autor zdjęcia, hrabia Alexander von Schlieffen, ze zgrabnym aparatem przy oku. Mimo niewielkich rozmiarów zdjęcie było na tyle wyraźne, że na froncie urządzenia dało się bez trudu odczytać markę: Praktiflex. Nagle drgnęła. Za osobą z aparatem widać było kilka szczegółów tła. Przeniosła wzrok na ścianę, potem znowu na zdjęcie, i jeszcze raz na ścianę... Na drżących nogach stanęła naprzeciw lustra, chyba już czwarty raz w ciągu dwóch dni. Uniosła kartonik i przystawiła do oczu, a następnie się odwróciła, żeby porównać. Pasowało.

Pomacała zdobioną ramę zwierciadła, by się przekonać, że widzi to, co widzi. Wszystko zgadzało się do tego stopnia, że przeszedł ją dreszcz. Stała na tym samym miejscu, co pan hrabia od Rilkego, i patrzyła jego oczami na lustro, którego odbicie na papierze miała w ręku. Lustrzane odbicie lustra. I ona jako hrabia. O ile dobrze sobie przypominała, taki mały aparat nazywa się lustrzanką. Usiadła na krześle i zakryła twarz dłońmi. Doszła do wniosku, że zwariowała.

Mruganie na niewiele się zdało. To nie był sen, drugi raz się nie obudzi. Leżąc przed nią na stole fotografia nadal pokazywała hrabiego, który fotografuje lustro na ścianie w swoim podziemnym pokoju. Im dłużej się w nią wpatrywała, tym wyraźniej widziała jego pociągłą, surową twarz, nieznacznie rozciągniętą w uśmiechu. Może to nie ona zwariowała, tylko

on? Siedział sam tygodniami i fotografował własną celę, aż mu odbiło. Ale w takim razie jak to zdjęcie wywołał? Przeszukała pokój dosyć dokładnie i nigdzie nie znalazła czegoś, co choćby w przybliżeniu przypominało fotograficzną ciemnię. Nie, to zdjęcie zostało zrobione wcześniej, przed nadejściem frontu. Po co?

Poczuła nagły ścisk w żołądku i stwierdziła, że na głodno tego nie rozstrzygnie. Wyjęła pęto kiełbasy i ogórki kiszzone, na widok których pociekła jej ślinka, więc z marszu zjadła trzy i popiła wodą ze słoika. Były kwaśne i ostre jak diabli, widać gospodarze lubili czosnek z chrzanem. Pyszne. Łapczywie zagryzła kiełbasą, a potem głośno czknęła. Powtórzyła kolejkę. Dziwne. Nigdy wcześniej nie lubiła ostrego, a już na pewno nie czosnku i chrzanu.

Rzuciła okiem na stronę, która była założona kartonikiem. Opowieść o przebieraniu się przed lustrem:

Rozgrzany i gniewny rzuciłem się do zwierciadła i z trudem patrzyłem przez maskę, jak pracowały moje ręce. Ale zwierciadło tylko na to czekało. Chwila odwetu dla niego nadeszła. Podczas kiedy ja w zastraszająco rosnącym niepokoju usiłowałem w jaki bądź sposób wyzwolić się z mojego zakapturzenia, ono mnie zniewoliło, nie wiem jak, do podniesienia oczu i podyktowało mi obraz, nie, rzeczywistość, obcą, niepojęcie monstrualną rzeczywistość, którą przepojony zostałem wbrew swej woli: teraz bowiem ono było silniejsze, a ja byłem zwierciadłem.^[6]

Wróciła pod lustro. Ujęła je od dołu, odchyliła i lekko pchnęła w górę, aż zsunęło się z haków. Odstawiła je na podłogę i zabrała się za badanie ściany, przyświecając sobie kieszonkową latarką, do której znalazła w komodzie zapasową baterię. Mur był ciepły i jednolity jak skała, ani śladu czegokolwiek. Odwróciła ciężką ramę. Lustro od tyłu podklejono szarym papierem, podobnym do tego, w jaki pani Grohlowa zawijała wędliny w sklepie. Pomacała. W jednym miejscu natrafiła na ledwo wyczuwalną nierówność. Widelcem przedziurawiła papier i wkładając pod spód palec wskazujący, odkleiła tył lustra. W dolnej ramie ujrzała

wydrążony podłużny rowek o długości piętnastu centymetrów, zaklejony paskiem czarnej taśmy. Ostrożnie ją oderwała.

W rowku tkwił klucz. Był długi, staroświecki, z uchwytem na palce o ażurowej konstrukcji w kształcie koniczyny i błyszczał na złoto. Pewnie mosiądz.

Ach, więc to tak, panie hrabio. O to chodziło z tym Rilkiem.

4

Obracała w palcach podłużny złoty przedmiot, w drugiej ręce dzierżąc kiszzonego ogórka. Właśnie zrobiła na ścianie trzecią kreskę po tym, jak wykończona obszukiwaniem pokoju padła na łóżko i zasnęła na wystarczająco długo, by obudziła się wyspana, głodna i wściekła. Przejrzała całe pomieszczenie, odsunęła meble i obstukała ścianę centymetr po centymetrze. Przeszła podłogę na kolanach, obmacując ją skrupulatnie przed sobą, a potem ruszyła z latarką na korytarz. Dotarła do tajemnego przejścia, przystawiła ucho i po stwierdzeniu, że nie słyszy żadnych oznak życia, drugą stroną wróciła do swojego grobowca. Nic. Zero. *Null*. Niczego, panno Gerdo, co choć w przybliżeniu przypominałoby dziurkę od klucza.

Wyłączona na czas snu lampa znowu świeciła trochę mocniej. Nabrała energii, podobnie jak ona. Gerda spojrzała na sufit i z beznadziejną pewnością stwierdziła, że nie ma na nim nawet ryski. Dojadła trzeciego ogórka i trochę ją zemdliło, więc sięgnęła po boczek. Pachniał ogniskiem i smakował rewelacyjnie. Nie miała noża, więc gryzła go jak chleb. Po kilku kęsach dopadło ją pragnienie i odłożyła boczek, żeby łyknąć wody z kubka. Jej oczy po raz nie wiedzieć który obmacywały ściany i sprzęty w poszukiwaniu punktu zaczepienia, śladu, szczeliny świadczącej o istnieniu skrytki z dziurką od klucza. Nic. Gładkie ściany. Popijając wodę i bekając półgębkiem, doszła do wniosku, że to klucz do sekretnych drzwi, przez które dziadek hrabiego Alexandra przedostawał się do sypialni kochanki, a po jego śmierci lustro wraz z komodą zostało przeniesione do

podziemi, i tyle. Historia stara i nieważna. Klucz donikąd, bez zamka, jak nabój bez karabinu. Rzuciła go na stół i dopiła zawartość kubka.

Niepotrzebnie. To musiało się tak skończyć. Ogórek plus wędzony boczek, plus zimna woda gwarantują trawienne sensacje. Treść żołądkowa wezbrała w niej jak lawa w wulkanie i nagle zapragnęła wydostać się na zewnątrz. Gerda ledwie dobiegła do wygodki. Z drewnianą klapą w ręce, nachylona nad ponurym otworem, z którego trochę już cuchnęło, wyrzuciła z siebie wszystko, co przed chwilą zjadła. Naciągało ją kilka razy, aż do całkowitego opróżnienia żołądka. Zrobiło jej się trochę lżej. Dziwne. Nigdy wcześniej nie miała skłonności do wymiotów, mama nazywała jej żołądek żelaznym. Wytarła usta kawałkiem papieru i wyprostowała się z ulgą.

Pochyliła się z powrotem. Przyjrzała się spojeniu deski i tylnej ściany wygodki. Błysk złotego metalu. Mosiężny zawias. Ujęła deskę obiema rękami i uniosła, jakby miała przed sobą jedną ze skrzyń dziadka Wilhelma, w których trzymał swoje warsztatowe kłamoty. Po co w podziemnym wychodku mosiężny, nierdzewny zawias, znacznie droższy i trwalszy od zwykłego metalowego zawiasu? Żeby nie uległ zniszczeniu i działał długo. Żeby nie zawiódł.

Pobiegła po latarkę. Już po pobieżnych oględzinach odnalazła zaczepy podtrzymujące frontową obudowę toalety. Odpięła je i opuściła deskę na podłogę. Stała na niej i ramieniem podparła uniesiony sedes. Pokonując następny odruch wymiotny, zajrzała w cuchnącą czeluść. Poświeciła w głąb. Wysoko, tuż pod linią zawiasów, zamajaczyła płaska nierówność w kształcie ły. Dokładnie taka sama, jakimi osłania się dziurki od klucza. Ryzykując wpadnięcie do kloaczego dołu, nachyliła się i pchnęła blaszaną łezkę palcem, a ta odsłoniła poziomy otworek z okrągłym zgrubieniem na środku. Dziurka od jej klucza.

Miotła, za pomocą której pan hrabia zamiatał do czysta podłogi korytarza, żeby nie zostawiać śladów na kurzu, stała w kącie za komodą. Gerda podparła nią górną deskę i teraz zastanawiała się, jak ma otworzyć zamek, żeby nie wpaść przy tym do dołu z odchodami. Zagadnienie należało do niełatwych, ponieważ widniała tam jedynie wąska krawędź,

z pewnością zbyt wąska, by oprzeć na niej nogę. Może jakaś deska dałaby radę, ale... I wtedy Gerda na to wpadła – odsunęła miotłę i przewróciła frontową ścianę toalety w drugą stronę, tworząc coś w rodzaju pomostu i zatykając równocześnie kloaczny otwór. Ostrożnie postawiła najpierw jedną nogę, potem drugą. Grube deski trzymały mocno. Przyniosła z pokoju klucz, uklękła i włożyła go w dziurkę. Pasował idealnie. Żeby go przekręcić, musiała się porządnie przyłożyć. Ciężki zamek zgrzytnął i przeciwległa ściana drgnęła. Dziewczyna obiema rękami pociągnęła za klucz i otwarła... to coś. Poświeciła latarką i krzyknęła z przejęcia.

W schowku stała wielka, okuta żelazem skrzynia.

5

11 maja 1945 roku, trzy dni po zakończeniu wojny, stojący na kotwicy w Strander Bucht w pobliżu Kilonii motorowiec „Regulus” został aresztowany. Był pełen rannych żołnierzy i cywilów zabranych ze Swinemünde tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej. Oddając angielskiemu oficerowi broń osobistą i dokumenty wojskowe, kapitan Rudolf Mielke pomyślał o szczególnym przeznaczeniu jego stateczku. „Regulus” zawsze opuszczał kolejne porty jako ostatni, z grupą przerażonych ocalańców na pokładzie i hukiem rosyjskich armat za rufą. Jak bohater śmiesznego filmiku, któremu tuż za tyłkiem zatraskują się wilcze zęby. Tylko że ten filmik daleki był od śmieszności. Schodzący z pokładu cywile i ranni przechodzili po chwiejnym trapie na sąsiedni statek, również niemiecki, ale z wywieszoną już angielską banderą. Wyglądali jak upiory jakimś cudem wyprowadzone z piekła, co bynajmniej nie zmywało ich grzechów. Nadal byli winni i szli jak skazańcy na śmierć, z pochylonymi nisko głowami, by nie patrzeć w oczy obserwującym ich pogardliwie Anglikom. Szli, ale nie mieli pojęcia dokąd. Szli, nie chcąc dojść donikąd.

Mielke jedynie z nawyku przebiegał po nich wzrokiem. Wiedział, że Heike wśród nich nie ma, ponieważ sprawdzał to wielokrotnie. Ilekroć

podczas rejsu trochę trzeźwiało, przepychał się wśród rodzin z dziećmi i wypytywał o dziewczynkę. Nikt o niej nie słyszał, wielu wzruszało ramionami, że takich dzieci jest tysiące. Kiwał głową i brnął dalej, udając przed samym sobą, że istnieje tu jeszcze jakakolwiek nadzieja. Musiałby się zdarzyć cud, żeby to dziecko trafiło akurat na jego „Regulusa”.

– Kapitanie, pańska załoga opuści statek pod eskortą moich żołnierzy – zakomunikował mu brytyjski oficer i spytał, czy rozumie po angielsku, na co Mielke skinął głową. – Na pokładzie pozostanie tylko pan i mechanicy niezbędni do wprowadzenia jednostki do portu. Proszę ich wyznaczyć. Oczywiście popłyniecie pod naszym nadzorem.

Znowu skinął głową i spojrzał na wymierzone w siebie dwa karabiny wzmacniające argument o brytyjskim „nadzorze”. Było mu wszystko jedno. Wojna się skończyła i odczuwał z tego powodu dogłębną ulgę. Żałował tylko, że nie trafił go jakiś zabłąkany pocisk, przeznaczony wyłącznie jemu i kończący całą tę historię jeszcze bardziej definitywnie. Taki sam jak ten, który trafił Inge w zeszłym roku w Warszawie. Jest wojna, ktoś do kogoś mierzy, pociąga za spust, kula przedziera się rażno najpierw przez powietrze, potem przez skórę i czaszkę, wreszcie grzęźnie w galaretowatej tkance mózgowej i wszystko gaśnie. *Ende*. Koniec. Wszelkie zobowiązania tracą ważność.

Wszelkie...? Wobec Inge i ich wspólnych planów na pewno. Jego mieszkanie w Hamburgu, jeśli jeszcze jest całe, pozostanie na razie puste. Wobec swojej kuzynki Birgit we Flensburgu nie miał żadnych zobowiązań, podobnie jak wobec paru kolegów, z których żaden już nie żył. Nie żyła również Heike. Został sam i – jak mu się zdawało – też nie w całości.

Pożegnał swoją załogę, ściskając każdemu z niej dłoń i dziękując za dobrą służbę. Niektórzy mieli łzy w oczach. Cicho powtarzał im, że są dobrymi ludźmi i wypełnili swój obowiązek. Wiedział, że od nikogo więcej tego nie usłyszą. Odchodzili do jenieckiej niewoli, gdzie będą oskarżani o zbrodnie i gdzie nikt im nie podziękuje za uratowanie tysięcy Pomorzan. Ratowanie Niemców się nie liczy, Niemcy to nie ludzie.

– Wierzył pan w Hitlera? – spytał aliancki oficer.

Jego nazwisko brzmiało jak coś pomiędzy „łejg” a „krejg”. Stał obok niego w kabinie sternika i przyglądał mu się z ukosa, żując gumę. Wpływali do portu w Kilonii, po obu stronach wąskiego lejka wyłaniały się nadmorskie kurorty, kiedyś w połowie maja już pełne wczasowiczów, teraz puste i jakieś takie przybite, zdruzgotane. Mielke pomyślał, że znowu wraca do piekła.

– Jakie to ma znaczenie, czy ktoś wierzy w trzęsienie ziemi?

– Hitler nie był katastrofą naturalną. Sami go wybraliście.

– Ja nie wybierałem Hitlera.

– Ale mu pan służył.

– Służyłem Niemcom. Dla pana to może żadna różnica, dla mnie jednak spora.

Anglik przyglądał mu się z wysuniętą dolną wargą, nad którą połyskiwały żółtawe zęby. Pod nosem wiercił się krótki wąsik.

– Wiedział pan o obozach koncentracyjnych? O ludobójstwie Żydów? Tego wszystkiego nie robił Hitler osobiście, tylko Niemcy. Weźmie pan za to odpowiedzialność? Jako Niemiec?

„Regulus” właśnie minął zwięzenie przy Friedrichsort i zbliżał się do niewielkiego kurortu po lewej stronie.

– Kilka dni temu widziałem miasto zrównane z ziemią przez amerykańskie lotnictwo – powiedział Mielke powoli. – Strzępy ludzkich ciał gniły w gałęziach drzew. Nie wiadomo, ile tysięcy ludzi zginęło, ponieważ miasto było pełne uciekinierów ze Wschodu. Weźmie pan za to odpowiedzialność? Jako Anglik?

– Nie myśmy zaczęli tę wojnę – odparł Anglik i poruszał wąsikiem. – Sami się prosiliście, kapitanie.

Przeplęwali obok przystani z białą tablicą, na której czarne litery obwieszczały: „HEIKENDORF”. Mielke poczuł, że traci panowanie nad nerwami. Miał wielką ochotę sięgnąć do szafki pod nogami i pociągnąć łyk z butelki rumu, którą sternik tam zwykle chował, na wszelki wypadek.

– O ile rozumiem pańską obecność tutaj, nie jestem już kapitanem. A co do wojny, to tak, ma pan rację – mówił, pokonując sztywność szczęk. – Zaczęliśmy tę wojnę, wszyscy jak jeden mąż, siedemdziesiąt milionów Niemców, więc należy nas pozabijać. Nie wiem, po co w ogóle rozmawiamy. Powinien pan po prostu wyjąć z kabury pistolet i strzelić mi w łeb. Zasłużyłem na to. Sprawiedliwość jest po pańskiej stronie, więc proszę się nie krępować. Dalej, śmiało. Ma pan przed sobą winnego Niemca, który służył Hitlerowi, jak wszyscy w tym kraju. Niech go pan zastrzeli. Na co pan czeka? Tamtych cywilów również należało wyrzucić do wody i potopić jak koty. Tak mówicie po angielsku? Topić koty?

Uderzony boczną falą od brzegu statek zakołysał się i Mielke oparł się mocno plecami o ścianę sterówki. Uderzenie trochę go ocuciło. Anglik trzymał się poręczy przy drzwiach i zerkał na niego z zainteresowaniem, jakby miał przed sobą ciekawy okaz fauny z wyzwolonego właśnie ogrodu zoologicznego.

– Spokojnie – powiedział, kiedy fala złagodniała. – Nie jestem nazistą, nie strzelam do bezbronnych.

– Ja też nie jestem nazistą – burknął Mielke i sięgnął po mapę, dając Anglikowi do zrozumienia, że nie chce więcej rozmawiać. W środku się trząsł.

– Właśnie o to pytałem na początku – wyjaśnił flegmatyczny Weigh czy Craigh. – Niepotrzebnie się pan uniósł. Ciekawi mnie, jak to się stało, że poszliście za nim. Wy, Niemcy, naród artystów i filozofów. Ja na przykład uwielbiam Bacha i nie potrafię zrozumieć, co was podkusiło. Ale zostawmy to. Wiem, że wolałby pan dostać kulkę w łeb i mieć spokój, życie jednak nie jest takie proste. Zwłaszcza życie przegranych. Jesteście światu coś winni.

Nie odpowiedział. Nieludzie nie mają głosu. Jeśli był komuś coś winien, to nie całemu światu, tylko jednemu człowiekowi – małej dziewczynce, którą zawiódł. I tylko dlatego należało odwlec zbawienną „kulkę w łeb”.

Zanim został pod strażą odstawiony do punktu demobilizacyjnego, na nabrzeżu odwrócił się i ostatni raz spojrzął na swój statek. Może już nigdy

więcej go nie zobaczy. „Regulusa” czekało przekazanie jednemu z państw alianckich i zapewne również zmiana nazwy. Mielke miał nadzieję, że jego pocziwy trójpokładowiec nie trafi do rąk sowieckich.

Przy pożegnaniu angielski oficer mocno uściskał mu dłoń.

– Wiem, co pan robił na Bałtyku, kapitanie – powiedział. – Doceniam to. W głowę sobie strzelają tchórze, a pan jest porządnym człowiekiem, który odróżnia honor prawdziwy od fałszywego. Proszę tego nie marnować.

– Dziękuję – odparł Mielke. – I przepraszam, że się uniosłem. Pan jako Anglik z pewnością lepiej umie panować nad nerwami.

– Nie straciłem jednak wyobrażenia, czym one są. *Good luck!* – Uprzejmie mu zasalutował i odszedł.

W punkcie demobilizacyjnym spisano jego dane, a następnie odesłano go z grupą jeńców do oddziałów sprzątających miasto z wojennej pożogi. Z „Regulusa” zabrał jedynie kilka podręcznych rzeczy, ale jego bagaż i tak został skonfiskowany. Pozostało mu tylko to, co zdołał ukryć w zakamarkach munduru: kilka złotych monet, trochę dolarów (niemieckie marki zostawił na statku, nie przedstawiały żadnej wartości), pierścionek zaręczynowy dla Inge, jej fotografię, składany nóż i kieszonkową latarkę. Pod podszewkę wepchnął wojskową mapę Pommerlandu. Jeśli jego dalsze życie miało mieć w ogóle jakiś sens, to ta mapa mogła być do niego kluczem.

Kilonia była tej wiosny kilkakrotnie bombardowana i przedstawiała sobą widok doprawdy dramatyczny, podobnie jak większość niemieckich miast. W kanale portowym spoczywały wraki zatopionych okrętów, w tym wielorybi brzuch krążownika Admiral Scheer, miesiąc wcześniej przewróconego do góry dnem wybuchami alianckich bomb. Z rufy smętnie sterczała lewa śruba napędowa. Za nim na nabrzeżu straszył upiór rozwalonego biurowca. Mimo ogarniającej go apatii Rudolf Mielke z zafascynowaniem rozglądał się wokół. Z trudem rozpoznawał poszczególne elementy kilońskiego portu. Ruina była epicka.

Maszerował w długiej kolumnie jeńców, eskortowanej przez czterech brytyjskich żołnierzy w tych śmiesznych, płaskich hełmach, które Mielke

widział po raz pierwszy w życiu. Jego sąsiad, wysoki chudzielec z twarzą owiniętą brudną szmatą, powiedział mu, że idą do baraków za drutami, a jutro będą odgruzowywać port.

– Roboty nam nie braknie – mruknął i wyszczerzył zęby. – Wystarczy się rozejrzeć.

Mielke odruchowo spojrział w bok, gdzie piętrzyły się zwały gruzów. Wśród nich uwijały się grupy cywilów i żołnierzy w najrozmaitszych mundurach z oberwanymi dystynkcjami. Jedni odkładali na kupę deski i kawałki murów, żeby się dostać do czegoś pod spodem, inni grzebali w stosach śmieci, jeszcze inni po prostu bładzili po ruinach z pochylonymi głowami, jakby szukali grzybów. Trudno to było nazwać pracami porządkowymi, przypominało raczej wielkie szukanie skarbów.

Jednym z ciekawych aspektów wojen jest przemiana ludzi w armię zaciekle poszukiwaczy – każdy czegoś szuka. On też miał szukać. Obiecał. Jej śmierć nie zwalniała go z przysięgi, bo przecież – jak pan Anglik był łaskaw zauważyć – umiał odróżnić honor prawdziwy od fałszywego. Jeśli tu zostanie, zapamiętają go i będzie mu z dnia na dzień coraz trudniej, a poza tym – co miał innego do roboty? Odgruzowywanie Kilonii?

– Przejdź na moje miejsce – nakazał chudzielcowi, kiedy przekraczali jezdnię i kolumna trochę się rozluźniła.

– Nie uciekniesz. Strzelają bez ostrzeżenia – stwierdził tamten, ale się przesunął.

– Przesuniesz się z powrotem na skraj – zakomenderował Mielke w sposób niedopuszczający sprzeciwu. Nawyk dowódcy.

Chudzielec wyczuł władzę przełożonego i tylko skinął głową.

Kiedy grupa przeszła ulicę i skręcała w prawo, kapitan poszedł prosto i znalazł się w bramie zburzonej kamienicy. Przywarł plecami do ściany. Nie dbał w zasadzie, czy ktoś go tu znajdzie i zastrzeli, czy nie. Niczego nie ryzykował poza własnym życiem, a to już nie było nic warte. Zwłaszcza bez rumu. Przysiadł w kucki, objął się rękami w pasie i czekał.

Nikt za nim nie przyszedł. Kolumna pomaszerowała dalej, słyszał oddalające się głosy dwóch Anglików z tylnej straży, a potem zapadła cisza. Przed sobą miał stertę cegieł, zza której w pewnym momencie wyłoniła się kobieta okutana w podartą chustę. Beznamiętnym głosem powiedziała mu *Guten Tag* i poszła dalej. Przez chwilę zastanawiał się, czy była realna. Kiedy za jego plecami zaszurały kroki kolejnej grupy robotników, przedostał się za kupę gruzów i przycupnął we wnęce po drzwiach wejściowych do klatki schodowej. Usadowił się wygodnie, oparł głowę o gładki kawałek framugi. Zamknął oczy.

Ocknął się, gdy było już ciemno. Trząsł się z zimna i z braku alkoholu. Przez ostatnie miesiące jego organizm przyzwyczaił się do codziennej dawki i teraz również się jej domagał. Pokonując obezwładniającą słabość, Mielke wyczołgał się ze swojej kryjówki z powrotem na ulicę. Przeczekał, aż przejdzie aliancki patrol, i przemknął do sąsiedniej kamienicy, trochę mniej zniszczonej. Wciąż miał na sobie mundur Kriegsmarine i jeśli chciał się dokądkolwiek wydostać, potrzebował nowego ubrania. Poszukiwania zaczął od podwórza, gdzie natknął się jedynie na półnagięgo trupa młodej kobiety. Nie, to nie to. Dzięki latarce udało mu się wejść na piętro. W splądrowanym mieszkaniu po lewej natrafił na rozbitą szafę i porzucone w kącie łachmany. Niektóre z nich, w szare i niebieskie pasy, były brudne i podarte. Włożył je na swoją ciągle jeszcze czystą bieliznę i nakrył zakurzoną marynarką z przetartymi łokciami. Na głowę włożył obozowy beret i tak wystrojony stanął przed oderwanymi drzwiami szafy z kawałkiem lustra. Zrobił ponurą minę, przyświecił latarką i uznał swoje przebranie za przekonujące, tym bardziej że dosyć mocno śmierdziało. Przełożył resztki swojej poprzedniej osobowości do woreczka, związał go i zawiesił na szyi, mapę wcisnął w skarpetki. Wyszedł na ulicę i szybkim krokiem udał się wzdłuż doków w kierunku dworca kolejowego. Nikt go nie zatrzymał. Dolarami przekupił maszynistę pociągu wyjeżdżającego na wschód, przez Hamburg i Berlin do Stettin. Rzesza upadła, jednak tabor kolejowy wciąż zajmował się zwożeniem jej obywateli z rosyjskiej strefy okupacyjnej w głąb Niemiec. W drugą stronę jechali zwolnieni z obozów Polacy i Rosjanie.

Maszynista nie tylko go przewiózł, ale i nakarmił. Na granicy polskiego Szczecina za dwie złote monety załatwił mu miejsce u maszynisty następnego pociągu – do Słupska. Widocznie brać kolejarska miała swoją międzynarodową solidarność. Zanim Mielke się przesiadł, musiał wysłuchać ostrzeżeń przed polskimi bandytami, którzy kontrolują wszystkie transporty i zbyt dosłownie traktują ideę, że Niemcy to nie ludzie i można z nimi robić wszystko. Niespecjalnie go to obchodziło. Jeśli się uda, to dobrze. Jeśli zginie po drodze – to też jest jakieś rozwiązanie.

Przesiedział na tyle lokomotywy cztery dni, zagrzebany pod zwałami węgla. Ten maszynista nie przejmował się karmieniem swojego pasażera i Mielke musiał się zadowolić połówką bochenka chleba, którą dostał od jego poprzednika. Nocami pociąg stawał na godzinę i dłużej, żeby bandyci mieli czas przeczesać wagony. Czasem rozlegały się pojedyncze wystrzały, krzyk kobiet i płacz dzieci. Po czterech dniach jazdy i czterech nocach rabunków głodny, brudny i zarośnięty kapitan Rudolf Mielke wysiadł na dworcu w Schlawe. Nie czekając, aż pierwszy napotkany patrol spyta go o dokumenty, a następnie postawi pod ścianą i rozstrzela, pobiegł na północny zachód, w kierunku Rötzenhagen i Grünheide. Miał dosyć czasu, by przestudiować mapę i obmyślić plan dotarcia na miejsce. Wybrał trasę okrężną, bezdrożami i polami – bezpieczniejszą i trudniejszą. Według jego najgłębszego przekonania ta wyprawa powinna być skrajnie trudna.

Po dwóch dniach stanął nad brzegiem potoku, w rozległej dolinie. Po przeciwnej stronie na niewielkim wzniesieniu dostrzegł zabudowania wsi Heinsdorf. Popołudniowe słońce grzało go przyjemnie w plecy, z kościelnej wieży rozległ się dźwięk dzwonu, ciągle jeszcze niemieckiego dzwonu. Była niedziela, 20 maja. Usiadł pod kępą czarnego bzu i ukrył twarz w dłoniach.

6

Prawdziwy skarb! Nie mogła w to uwierzyć. Wytaszczyła skrzynię ze schowka, przeciągnęła po podeście do pokoju, odpięła metalowe klamry

i uniosła grube wieko. Był to właściwie drewniany kufer z mocnymi mosiężnymi okuciami, pełny złotych i srebrnych naczyń: talerzy, kielichów i mis. Uklękła przed nim i wzięła ostrożnie do ręki jedno z nich – puchar wysadzany czerwonymi, niebieskimi i zielonymi kamieniami, które wesoło mieniły się pod jasnym światłem latarki. Nóżkę wieńczyła szeroka stopa, rozdzielona na sześć półokrągłych palców, na każdym z nich spoczywał okrągły lub kwadratowy kamień w złotej oprawie. Kielich był solidny, majestatyczny i ciężki – ledwie go utrzymała. Odstawiła na podłogę i sięgnęła po następny, wąski i smukły, jakby damski, ozdobiony białymi kryształkami układanymi w roślinne kształty. Wyglądały jak brylanty, ale bała się myśleć, że może to być aż tak cenna rzecz. Pod naczyniami dostrzegła miękką skórę, zaczęła je więc ustawiać na podłodze obok siebie, jakby organizowała jakieś bezwstydnie bogate przyjęcie. Tu dwa puchary, na czerwone i białe wino (wedle kamieni), tam misy na owoce i słodycze, tu talerze na mięsa i dodatki.

Pod spodem znalazła cztery skórzane sakiewki. Dwie z nich wypełnione były starymi monetami – złotymi i srebrnymi, a jakże! Wyjęła na chybił trafił garść złotych i zaczęła się im przyglądać. Na jednej odcyfrowała napis JOHAN•FRID•D•G•DUX•STETIN•POM, na drugiej DUX•BOGISLAUS•XIV, z wizerunkiem jakiegoś nadętego księcia w zabawnej zbroi, a trzecia trochę ją nawet przestraszyła, ponieważ była na niej trupia czaszka z napisem SPERO VITAM. Pozostałe dwie sakiewki zawierały drobną biżuterię oraz kamienie szlachetne luzem, które najbardziej przypominały różnokolorowe szkiełka z jarmarcznego kalejdoskopu.

Po wyjęciu sakiewek stwierdziła, że skrzynia jest znacznie płytsza, niż gdy się na nią patrzy z zewnątrz. Poświeciła na krawędzie i doszła do wniosku, że jak wszystkie tajemnicze skrzynie ze skarbami, ta również ma podwójne dno. Aby się dostać pod spód, musiałaby mieć bardzo płaski śrubokręt albo nóż, a niczym takim nie dysponowała. Niewiele myśląc, odwróciła skrzynię do góry dnem i puknęła ręką. Na podłogę wypadła dobrze dopasowana deseczka, a spod niej wysypały się papierowe rulony

różnej długości, ciasno zwinięte i obwiązane sznurkami, których węzółki wieńczyły okrągłe pieczęcie z czerwonego i zielonego wosku. Niektóre z nich wyglądały na nienaruszone. Rozwinęła jeden z tych otwartych i domyśliła się, że chodzi o stare dokumenty rodowe von Schlieffenów, bo to nazwisko, zapisane ozdobnymi zawijasami i bez środkowego „e”, powtarzało się wielokrotnie w poszczególnych liniijkach. Zwinęła rulon i wrzuciła do skrzyni, poupychała obok pozostałe, po czym przykryła drugim dnem.

Usiadła przy stole, otwarła słoik i zagryzając kiszonym ogórkiem, przyglądała się baśniowemu bogactwu. Jak to było z Kopciuszkiem? Czy ona również dostała jakieś kosztowności, czy tylko sukienkę na bal i księcia za męża? Nie potrafiła sobie przypomnieć, ale uznała, że jej osobista pomorska wersja może zawierać lokalne urozmaicenie w postaci skarbu. Dokończyła ogórka, opłukała palce i zabrała się do przymierzania biżuterii przed lustrem. Do zielonej sukienki najlepiej pasował naszyjnik z potrójnym rzędem pereł i złożonym zapięciem. Wygrzebała jeszcze z sakiewki kolczyki z perłami oraz dwa pierścienie z brylantami, do tego złotą bransoletkę w kształcie zwiniętego węża o brylantowych oczach, po czym włożyła to wszystko na siebie i stanęła przed lustrem. Rozpuściła włosy na ramiona, wyprostowała się, zadarła podbródek, podparła palcem brodę. Uśmiechnęła się. Była piękna.

I wtedy przyszedł cień. Owionął ją matową ciemnością i przysiadł na ramieniu. Co tu robisz, Gerda? Dlaczego otwarłaś skrzynię? Ten skarb nie jest przeznaczony dla ciebie, nie jest twój i nigdy nie będzie. Zresztą po co ci on? Dokąd z nim pójdziesz? Zaniesiesz na górę panu hrabiemu, który najprawdopodobniej leży tam martwy i obojętny na wszystkie skarby świata? Ubierzesz się w złoto i perły i wrócisz do Staszka Kulika z opowieścią o skarbie, który dla niego znalazłaś? A on ci wspaniałomyślnie wybaczy i z ulgą wróci do gwałcenia ciebie? Zapomnij. Już lepiej wrzucić go do szamba.

Nieprawda! Hrabia von Schlieffen osobiście mnie tu przysłał. Ofiarował mi ten skarb, oddał pod opiekę, żebym nie pozwoliła go rozgrabić

i zniszczyć. Jeśli dorwą się do niego Polacy albo Rosjanie, roztrwonią go, przetopią i zamienią na spirytus. Zostałam wybrana, żeby go chronić. Tak, właśnie, żeby go chronić!

W porządku, odparł cień. Jak chcesz. W takim razie bierz go na plecy i ruszaj w drogę. Tylko najpierw dobrze się zastanów, dokąd chcesz z nim pójść. Zbyt wiele możliwości nie widzę. Nawet nie jest pewne, czy go przeciągniesz przez te wszystkie sekretne przejścia, którymi musisz się wydostać na powierzchnię. O ciężarze nie wspominając.

Zagryzła wargi. To prawda. Otrzymała skarb i nie miała co z nim zrobić. Mogłaby go rozparcelować na części i wynosić po trochu, tyle, ile zdoła unieść. Mogłaby zabrać tylko rzeczy mniejsze, ale za to w jej przekonaniu najbardziej wartościowe. Mogłaby... Chyba jednak powinna to najpierw porządnie przemyśleć.

Kiedy tak stała ubrana w rodową biżuterię dam z rodziny von Schlieffenów i rozkoszowała się nagłym wcieleniem w dziedziczkę, natura upomniała się o swoje prawa. Gerda zerwała z siebie kopciuszkowe skarby i wepchnęła je do sakiewki, po czym włożyła wszystko do skrzyni. Pozostało jeszcze wsunąć ją z powrotem do schowka. Zajęło jej to dobre kilka minut i udało się tylko dlatego, że kufer miał boczne uchwyty, za które można go było podnieść. Targała na przemian za tył i przód, suwając za każdym razem po parę centymetrów. Podest trzeszczał, ale wytrzymał. Kiedy już wepchnęła skrzynię na miejsce i przekręciła klucz, pęcherz wysłał do mózgu ostatni, czerwony alarm. Szybko poskładała wychodek i klapnęła na nim całym ciężarem, ledwie zdążywszy spuścić majtki. Wraz z ulgą przyszło rozbawienie. Właśnie sika na swój skarb.

Leżąc później na łóżku i rozważając swoją nową sytuację, doszła do wniosku, że los z niej kpi. Wróciła do Heinsdorf, żeby umrzeć, i ocalała. Wymknęła się z łap czerwonych diabłów po to, żeby doświadczyć *Vergewaltigung* od Polaka, nowego gospodarza na Pomorzu. Uciekła od niego do zrujnowanego pałacu, żeby umrzeć wśród swoich, a zamiast tego otrzymała klucz do ukrytego skarbu i nakaz przeżycia. Odnalazła go i nie wie po co. Ma skarb, ale nie ma życia, do którego mógłby się on przydać.

Zostanie tutaj i zginie razem z nim, jak średniowieczna księżniczka zamknięta za karę w wieży. Powinna założyć na palec pierścion, dobrze się prezentuje na dłoni kościotrupa.

Jeśli wyjdzie, umrze jeszcze szybciej. A przed śmiercią pozna nowe możliwości, jakie skrywa w sobie słowo *Vergewaltigung*.

Od tych dywagacji zaczęło jej burczeć w brzuchu. By zmienić klimat, odwróciła się na bok i zagłębiła w lekturę *Maltego*. Gdy dotarła do portretów w Urne, Gerda przytuliła książkę jak pluszaka i zasnęła. Śniła o wielkim płonącym wiatraku i miotającym się na jego dachu potworze. Jego twarz była pozszywana z kawałków twarzy wielu różnych ludzi, mężczyzn i kobiet, a zwaliste ciało tak wielkie, jakby zawierało w sobie ciała ich wszystkich. Spadł na ziemię i rozleciał się jak źle poskładana kukła. Z rozbitej czaszki wyturlało się oko, duże jak bilardowa kula, potoczyło się po trawie i dobiło do deski z napisem: *KUCKUCKSMÜHLE* 5.

Po przebudzeniu się podjęła decyzję. Zjadła posiłek, który hipotetycznie był śniadaniem, załatwiła się, a następnie przystąpiła do demontażu wygodki. Wytaszczyła kufer i wydobyla spod sterty naczyń sakiewkę z biżuterią. Pogrzebawszy w niej przez chwilę, zdecydowała się ostatecznie na okazały pierścion ze szmaragdem, ponieważ najlepiej pasował do sukienki. Resztę schowała z powrotem i po wepchnięciu kufra zamknęła skrytkę. Z zapasowej poszwy na poduszkę zrobiła prowizoryczny worek, do którego włożyła trochę jedzenia, latarkę i książkę z fotografią założoną na stronie 107. Przez otwory na tasiemki przeciągnęła najdłuższy ze sznurków po wędlinach i tak sporządzoną torbę przewiesiła przez oparcie krzesła. Inny sznurek po szynce przeciągnęła przez ucho od złotego klucza, związała i zawiesiła sobie na szyi. Pójdzie w świat ze skarbem o zapachu dworskiej wędzonki. Pierścion założyła na palec u nogi i przekręciła w bok, tak by kamień nie przeszkadzał w chodzeniu. Obciążony pończochą zmieścił się w bucie. Starannie poskładała wygodkę, pościeliła łóżko, zawiesiła lustro na swoje miejsce, puste słoiki opłukała w misce i ustawiła

pod ścianą, resztę wędlin ułożyła na stole. Może tu jeszcze wróci. Zgasiła mdłe światło i wyszła z latarką na korytarz.

Mechanizm zadziałał bezbłędnie i po chwili znalazła się w zdemolowanej spiżarni. Ani jeden słoik na półce nie pozostał cały, podłoga zasłana była kompotową mazią pomieszaną ze szkłem i drzazgami zdruzgotanych desek. W poszukiwaniu schowków i sekretnych przejść chłopcy Kulika nawet porozbijali regały. Wędzonki znikły. Ponieważ obrotowa ściana zostawiła na podłodze ślad, przed opuszczeniem komórki roztarła go podeszwą i nagarnęła w to miejsce resztki owoców.

Szła wśród tego zniszczenia ostrożnie, przed każdym krokiem starannie sprawdzając posadzkę. Nie uśmiechało jej się maszerować przez świat z przedziurawioną stopą, skoro już zdecydowała się wyruszyć. W powietrzu unosił się kwaśno-słodki odór popsutych zapraw. Dalszy korytarz, prowadzący do wyjścia, lepił się od syropu – jej kroki mlaskały głośno. Doszła do drabiny. Kłapa była otwarta na oścież, zawalające drogę do niej rupiecie odgarnięto na boki. W górze panował mrok.

Nie spodziewała się, że wyjdzie nocą. Jej wyjątkowo złośliwy los tym razem okazał się łaskawy. Przez okno w korytarzu widziała czarny ogród i pojedyncze gwiazdy migoczące nad linią lasu. Odurzył ją podmuch wiosny, ciepły i gęsty od gwałtownie zbudzonej roślinności. Nie obchodziło ją, czy ktoś tu na nią czatuje. Zgasiła latarkę i patrzyła na czerń. Balsam na oczy. Czyste powietrze, głęboki oddech, spokój. Teraz mogłaby umrzeć.

Nikt nie przyszedł jej zabić. Wkoło panowała cisza. Trup pałacu przerywał ją czasem od niechcenia kapiącą kroplą lub skrzygnięciem oderwanej okiennej ramy. Gwiazdy mrugały sobie bez troski. Daleko w lesie zahukała sowa. Zaszleściła sucha trawa pod ścianą. Gerda z otwartymi ustami chłoneła tę chwilę. Było tak... pięknie. Tkwiła w oknie długo, zanim zdecydowała się ruszyć na poszukiwania.

Znalazła go w kącie salonu, przykrytego skrzydłem wysokich białych drzwi ze złoceniami. Zdarli z niego ubranie, leżał w samej koszuli i boso. W środku czoła miał dziurę po kuli. Przy pierwszym oświetleniu jego twarz wyglądała upiornie, ale kiedy podeszła bliżej, zobaczyła na niej słaby

uśmiech. Zuch dziewczyna, udało ci się. Tak, panie hrabio, z tego zadania się wywiązałam. W dodatku żyję. Powie mi pan, co dalej?

Gdzieś w parku trzasnął patyk. Skuliła się jak pod uderzeniem bata i przywarła do ściany. Czekwała ze wstrzymanym oddechem, ale dźwięk się nie powtórzył. Zaskrzeczał nocny ptak i przerwał jak spłoszony. Znowu cisza. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w odgłosy na zewnątrz. Sucha gałąź spada z drzewa, to normalne. Nie ma się czego bać. Poza tym, Kopciuszkule, tobie już się przydarzyło wszystko. Nie musisz się bać.

Ostrożnie wstała. Musi go pochować. Włączyła latarkę i świecąc sobie pod nogi, zaczęła szukać czegoś, co posłuży za łopatę. Najbardziej odpowiedni wydał jej się klomb na podjeździe, ten rozjeżdżony gąsienicami. Łatwiej będzie kopać. I jakoś tak dobrze, centralnie położony. Tak, właśnie – hrabia będzie dobrze położony.

Spodobała jej się ta myśl i odwróciła się ku wyjściu.

Wyrósł przed nią jak spod ziemi. Krzyknęła ze strachu i rzuciła się do ucieczki. Kilkoma susami przebiegła salon i przez wyrwane drzwi wypadła do ogrodu po drugiej stronie pałacu. Biegła na oślep co sił w nogach, osłaniając twarz przed gałęziami. Ominęła jedno wielkie drzewo, drugie, jeszcze trzecie i... zwała się jak długa na trawę. Uderzyła goleniem, pewnie w mały gazon albo przewrócony pień, i upadła, krzycząc z bólu. Schylił się i przytknął jej do ust mocną dłoń, drugą ręką broniąc się przed jej niezdarnymi kulkami.

– *Ruhe* – powiedział po niemiecku. – Spokój.

Szarpnęła się, ale jego silne ręce skutecznie ją unieruchomiły. Wyprężyła się jak ryba schwytana w sieć, a on wzmacnił uścisk i przycisnął ją swoim ciałem do ziemi.

– Nie krzycz, bo cię usłyszą. Nie chcesz tego, prawda? – szepnął jej do ucha.

Pokręciła głową i zapragnęła jak najszybciej umrzeć.

VIII

Rysunki

luty 2018

I will

Lay me down

In a bunker

Underground.

Radiohead, *I will (No Man's Land)*

1

Po wyjściu Lucka zaniósł jego wypasionego smartfona do stodoły i starannie owinąwszy w woreczek foliowy, schował na piętrze pod belką. Stodoła wydawała się doskonałym miejscem do neutralizowania ataków z zewnątrz. Obejrzał volvo. Samochód stał grzecznie między drewnianymi burtami sąsiadów i spoglądał buńczucznie na zamknięte wrota. Andrzej pomyślał, że w tych skośnych, zmrużonych oczach kryje się niebezpieczeństwo dla każdego, kto próbowałby tu wtargnąć. Tak zwana agresywna sylwetka. Dobry piesek. Pilnuj Luckowego telefonu.

Wrócił do domu i kolejny raz przestudiował rysunki Maćka Ploha. Usiłował zapisać sobie w pamięci obecne w nich ułamki topografii terenu: układ pagórków i krzywizn, linia drzew za jednym ze wzniesień, rozkład turbin wiatrowych. Niektóre rysunki były opatrzone koślawymi datami rocznymi, bazgranymi na odwrocie ołówkiem: 1998, 2001, 2005. Sprzed postawienia pierwszych wiatraków. Albo Maciuś w swoim pomieszonym

wizjonerstwie przewidział budowę wiatracznej farmy pod Grębówkiem, albo nie o te wiatraki chodziło.

Dziewczyna leżała na łące, otoczona ludźmi. Nie, oni jej nie otaczali. Przyglądali się z pewnej odległości, tak jak to robią gapie podczas tragicznego wypadku. Bierni świadkowie nieszczęścia. Blisko była tylko jedna osoba. Chłopiec z dużą łysą głową i małymi oczkami. Trochę przypominał z wyglądu Maćka.

Następny rysunek. Para ptaków i ulatujące w niebo kobiety. Pod nimi szpiczasty demon z uniesionymi rękami. Czerwony. Sięga po te, które lecą. Jedyne, co Andrzejowi przychodziło do głowy, to ucieczka przed czerwonymi, ale taka polityczna interpretacja wydała mu się niegodna wyobraźni Maćka Ploha.

Stwierdziwszy, że już więcej z rysunków nie wycisnie, dopił trzecią kawę, włożył kurtkę i wysokie zimowe buty, w których biegał na Babią Górę, na głowę naciągnął wełnianą czapkę, po czym wyszedł do ogrodu za domem Palków. Czuł lekkie podniecenie. Przeciął drogę na Przystawno i pomaszerował łąkami w kierunku północno-zachodnim, na Korczewo. Powinien tędy dotrzeć do miejsca, w którym pół roku wcześniej zginął autor zagadkowych rysunków i gdzie mieściły się feralne wiatraki z tamtej historii. Wiał północno-wschodni wiatr. Andrzej postawił kołnierz i wcisnął rękę w kieszenie. Tamtej? Nie, tamta historia nadal była tą historią, działa się dalej i jej bohaterowie nadal odgrywali swoje role, zarówno ci żywi, jak i umarli. Słyszał bezgłośnie wypowiedane kwestie, widział skutki ich działań, odczuwał rządzące nimi emocje. Sam również był jednym z aktorów.

Przypomniał sobie, jak to się zaczęło. Siedzą z Maćkiem i jego matką, panią Zofią Ploh, w kuchni ich domu. On próbuje się czegoś dowiedzieć od chłopca, ale ten milczy. Z jego ust wydobywa się jedynie cienka nitka śliny, którą matka dyskretnie wyciera. Chłopiec nie reaguje. Tkwi nieruchomo za stołem jak kukła. Wreszcie Maciek lekko unosi dłoń i wtedy Andrzej przypomina sobie opowieść swojej terapeutki Wandy o sposobach porozumiewania się z pacjentami upośledzonymi umysłowo. Unosi obie

ręce przed siebie i czeka. Chłopak nie patrzy na niego, tylko gdzieś obok, jego wzrok jest jak zamglone światło dalekiej latarni, niewyraźny i skierowany donikąd, w pustkę. Po chwili unosi swoje ręce i przystawia do Andrzejowych, wnętrza ich dłoni stykają się. I wtedy Andrzej czuje wstrząs, coś jak kopnięcie prądem, tylko bardziej miękkie, łagodne. Po początkowym przestachu odczuwa stopniowy napływ ulgi, przyjemności, chciałby nawet powiedzieć – rozkoszy. Oczy Maćka patrzą gdzie indziej, niewykluczone, że również kiedy indziej. Z ciała chłopca przepływają do Andrzeja dziwne impulsy, których źródła ani znaczenia nie sposób dociec, coś jednak znaczą. Tak, chłopiec przekazuje informację, nieczytelną i zamazaną jak jego bazgroły na kartach z bloku rysunkowego. Informację o wydarzeniu. Dzięki płynącym od niego elektrowstrząsom Andrzej wnika do wnętrza wypełnionej ciemnością bani. Obmacuje ściany, rozeznaje kształty, natrafia na chropowatości, potyka się o grudy, but grzęźnie w piasku. Słyszczyć ciche skamlenie. W tym mrocznym czymś jest duszno i ciasno, chce mu się spać. Skamlenie psa zostaje zagłuszone przez narastający huk. Nie wie, gdzie jest. Jedyne, co rozpoznaje, to przerażenie, które huczy w rozedrganym powietrzu. Zaciska powieki i nakrywa rękami uszy, żeby nie słyszeć upiornego chrzęstu żelaza, które wpełza na niego, miażdży. Chce wyć jak dzikie zwierzę, kuli się, jęczy. Umiera.

Wiatr dmuchnął mocniej. Krzycki otrząsnął się i naciągnął głębiej czapkę na czoło. Brudna i szara ziemia odbijała się w zaciągniętym chmurami pomorskim niebie, które też było brudne i szare. Gdzieniedzie na polach pobłyskiwały jeszcze białe płachty niedotopionego śniegu, przytulone do głębokich bruzd i krawędzi zagajników od chłodniejszej, nienasłonecznionej strony. Ozimina próbowała się zielenić, ale bezskutecznie, zalana oceanem ponurej szarości. Zima już umierała, jednak wiosna jeszcze się nie narodziła – tyle symboliki dało się wyczytać z otaczającego Andrzeja krajobrazu.

Łąka opadała łagodnie, za nią rozpościerało się kolejne wzniesienie, zza którego wystawał wiatrak. Zapewne jeden z tamtych trzech stojących na polach pod Korczewem. Na prawo odchodziła droga na Przystawno, gdzie

nie było żadnych wiatraków, ponieważ tamtejszy wójt Rajmund Kulesza się na to nie zgadzał. Nie dlatego, że słuchał bzdurnych kazań księdza Patkula o „złym działaniu” turbin na ludzkie mózgi, ale ze względu na architekturę krajobrazu. Uważał, że zastawianie wspólnej gminnej przestrzeni stumetrowymi kręciołami, które w dzień hipnotyzują, nocą migają, a całą dobę szumią i dudnią, jest po prostu wbrew interesom mieszkańców. Odradzał gospodarzom sprzedawanie lub dzierżawienie ziemi pod farmy wiatrowe, protestował przeciwko inwestycjom, walczył o jak najwyższe dotacje dla rolników – byle tylko odwieść ludzi od pozbywania się ziemi na rzecz energetycznych inwestorów. Rozumiał wagę energii odnawialnej, dlatego apelował o przenoszenie farm na Bałtyk, byle tylko ocalić pierwotny pomorski krajobraz. Za to właśnie zginął. Jego bezgłowego ciała nie odnaleziono do dzisiaj.

Andrzej zszedł po stoku w dolinę niewielkiej rzeczki i po przekroczeniu jej pomaszerował pod górę błotnistą drogą między zaoranymi polami. Wkrótce znalazł się na szczycie wzniesienia i chcąc skorygować kierunek marszu, rozejrzał się za swoim punktem orientacyjnym.

Wiatraka nie było.

Odwrócił się. Zgodnie z marszrutą za jego plecami ciągnęły się łąki. Widział swoje ślady w śniegu nad brzegiem rzeczki oraz wieżę kościoła w Grębówku. Spojrzał przed siebie – wiatrak powinien być nieco na lewo, ponad lasem. Ale go nie było. Linia drzew terenu leśnego znajdowała się na wprost niego, tak jak należy. Widział szczyrbę między koronami, gdzie dróżka wchodziła w las – miał zamiar podążać tamtędy dalej w kierunku Korczewa. Musiał podczas przeprawy przez strumień zmienić kierunek. Dokonał korekty i ruszył dalej.

Po dotarciu do lasu stwierdził, że to nie las, tylko kilkanaście drzew, za którymi pola ciągną się płasko aż do Przystawna. Prosto na południe. To znaczyło, że odbił za bardzo w prawo. Znowu skorygował kierunek i tym razem ruszył na przełaj przez pole, potykając się o zmarznięte skiby i ślizgając na ich rozmrożonych czubkach. Szedł na Korczewo, widział już nawet czerwone dachy domów. Znowu miał wiatr prosto w twarz, czyli

kierunek był właściwy. Spojrzał w prawo i dostrzegł również dalekie dachy Przystawna. Wszystko się zgadzało. Wszystko oprócz wiatraków, których nie było tam, gdzie powinny być. Po prostu znikły.

Skręcił mocno w lewo i przedarł się przez gęste zarośla do starej alei kasztanowej, prowadzącej do jakiegoś przedwojennego majątku. Przeciął ją i poszedł dalej na północ, pewien, że w ten sposób natrafi na tamte trzy wiatraki. Wiatraki o numerach 3, 4 i 5, tak je nazwali na potrzeby ówczesnego śledztwa. Między nimi właśnie rozegrał się finał sprawy z ostatniego lata, sprawy, która tak wiele pozmieniała w jego życiu, a i Lucka nieźle sponiewierała. Wyjeżdżając stąd pod koniec wakacji, wiedział na pewno dwie rzeczy. Po pierwsze, że nie chce już być policjantem. Po drugie, że będzie musiał tu wrócić. Całą jesień i zimę czekał na ten powrót. Teraz parł przez krzaki i rozgarniał rękami gałęzie drzew, czując ekscytację. Nareszcie się skończy, co niedokończone. Domknie, co niedomknięte. Rozwiąże, co wciąż zaciśnięte w bolesny węzeł.

Pilnował kierunku, sprawdzając, czy wiatr aby na pewno smaga właściwy, czyli prawy policzek. Smagał, wyciskając z oka łzy. Gęsty zagajnik porastały dzikie jeżyny i maliny, leszczyna, czarny bez, młode świerki i buki, krótko mówiąc – wszystko, co w tych rejonach może zarastać leśne poszycie. Górskie buty Andrzeja miały potężny protektor, a jednak kilka razy niebezpiecznie ujechał na przegniłej ściółce pokrywającej zmarznięty grunt. Pomyślał, że kopanie w takiej ziemi nie będzie łatwe. Ale to później. Na razie trzeba znaleźć to miejsce.

Po dwudziestu minutach uznał, że przedziera się w niewłaściwym kierunku. Zatrzymał się. Nadstawił uszu. Przed nim rozległ się ledwie słyszalny szum samochodu. Udał się tam i po paru minutach wyszedł na szosę. Prowadziła z południowego wschodu na północny zachód i ze zdziwieniem stwierdził, że jest to droga z Korczewa do Sławna. Znalazł się po drugiej stronie ogromnego kompleksu polnego, na którym powinna stać poszukiwana przez niego farma wiatrowa i którą musiał minąć po drodze.

Jakim sposobem? Turbiny wiatrowe mają po sto metrów wysokości, nie można ich nie zauważyć!

Ponieważ zza zakrętu wyłonił się następny samochód, Andrzej cofnął się w zarośla. Nie chciał być widziany, zwłaszcza tu. Pokręcił głową i ruszył z powrotem na Korczewo. Starał się nie tracić z oczu asfaltu, żeby znowu nie pobłądzić. Postanowił, że zawróci pod dom Płohowej i spróbuje dotrzeć na miejsce od drugiej strony, tak jak mu się to udało ubiegłego lata. Nie, zacznie od szopy Maciusia. Ustawi się plecami do drzwi i pójdzie prosto przed siebie, patrząc na dwa wiatraki. Dwa, bo trzeci spłonął.

2

Siedząc w przedostatniej ławce kościoła w Grębówku, Lucek Bałyś usiłował przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz był na mszy. Po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że musiało to być bardzo dawno, skoro nie pamięta. Zapamiętał jednak, że trzeba siedzieć prosto i patrzeć przed siebie, a w odpowiednich momentach uklęknąć na drewnianej półce, złożyć ręce i oprzeć je na ławce. Był jedną z pięciu obecnych tu osób: księdza, ministranta i dwóch kobiet. Obie w czarnych długich chustach kojarzyły mu się z włoskimi filmami o sycylijskiej mafii. Obserwował je i naśladował ruchy stałych bywalczyń. Ksiądz stał tyłem do nich i przodem do złotej skrzyneczki, z której po otwarciu kluczem wyjął płaski złoty kielich, podczas gdy organy nad wejściem dyszały i sapały jakąś imitacją pieśni religijnej. Lucek wybrał przedostatnią ławkę, żeby mieć widok na tak zwany całokształt. Uznał, że ostatnia to byłaby przesada. Ostatnie ławki są dla największych grzeszników.

Kiedy ksiądz odwrócił się i uniósł kielich, Bałyś opuścił kolana na półkę i dmuchnął w loczek, który spadł mu na czoło. Miał wrażenie, że celebруюcy mszę Patkul cały czas spogląda na niego, coś tam mamrocząc pod nosem. Kobiety wysunęły się z ławek i uklęknęły przed ołtarzem, pochylając głowy. Zorientował się, że to znakomita okazja, i podążył do przodu, by uklęknąć obok nich. Podśluchał, że po „ciało Chrystusa” trzeba

powiedzieć „amen”, i cierpliwie czekał. Kiedy przyszła jego kolej, uniósł lekko głowę i spojrzał księdzu Patkulowi prosto w oczy. W ułamku sekundy wymienili się spojrzeniami i Lucek już wiedział, że załatwi sprawę. Miał przy sobie obie niezbędne ku temu rzeczy: pieniądze i kręcone blond włosy.

Po zakończonej mszy został w ławce i odczekawszy, aż kobiety wyjdą na zewnątrz, udał się bocznym wyjściem do zakrystii.

– Niech będzie pochwalony – powiedział, kłaniając się. Dalsze „Jezus Chrystus” jakoś nie chciało mu już przejść przez gardło.

Ksiądz Patkul z namaszczeniem zdejmował z siebie ornat, wspomagany przez chłopca w komży, który służył podczas mszy.

– Na wieki wieków – odparł, mrużąc oczy. Starannie zamknął schowek z szatami liturgicznymi i powoli się odwrócił. – To pana widziałem dzisiaj w towarzystwie starego Kowalika? Ten człowiek nie budzi zaufania.

Zgodnie z kaznodziejską socjotechniką ksiądz Patkul od razu ustawił rozmowę pod względem moralności. Tego lubimy, a tamtego nie. Odsunął sobie masywne, obite czarną skórą krzesło z giętymi podłokietnikami, które sprawiało wrażenie robionego na zamówienie specjalnie pod tuszę proboszcza, po czym usiadł ciężko i westchnął. Luckowi wskazał drewniane krzeselko po drugiej stronie biurka, małe i twarde. To jeszcze mocniej ustawiało hierarchię w rozmowie. Ty mówisz wszystko, co trzeba, a ja to, co chcę. Lucek był na to przygotowany.

– Proszę księdza, ja jestem jednym z tych policjantów, którzy przyjechali z Krakowa...

Zawiesił głos i rzucił okiem na ministranta krzątającego się przy długim pulpicie. Chłopiec ze spuszczoną głową stał tyłem do nich, dając do zrozumienia, że nic nie widzi i nie słyszy. Lucek nawet nie zdołał dostrzec jego twarzy, widział tylko, że chłopiec jest spięty. Ksiądz Patkul złapał w lot sugestię.

– Wojtek, zostaw nas samych. Bóg ci zapłaci za posługę, przyjdź znowu jutro.

Wojtek ukłonił się wstydliwie, zdjął komeżkę przez głowę i niemal biegiem opuścił zakrystię. Lucek stwierdził, że kiedy był w tym wieku, również czuł się okropnie skrępowany bytnością w tym dziwnym, ustronnym miejscu. Widocznie zakrystie w kościołach już coś takiego w sobie mają, że dzieci chcą stamtąd uciekać.

– Tak, pamiętam – powiedział ksiądz Patkul, gdy zostali sami. – To pan był tym porwanym przez prezesa Kałę policjantem, prawda? Jak panu udało się uciec?

– Sprawna akcja śląskiej policji pod dowództwem inspektora Zdybasa – odparł Lucek bez mrugnięcia okiem. – Ledwie uszedłem z życiem.

– I teraz jest pan u mnie – dokończył za niego ksiądz. – Co pana sprowadza? Chyba nie jestem podejrzany, co?

Powiedział to z uśmiechem, ale jego drobne oczka, błędzące w nieokreślonej, ciastowatej magmie gdzieś między policzkami a czołem, pozostały zimne. Badał. Sondował.

– Na Boga żywego, nie! – zaprzeczył gorliwie Lucek. – Nawet bym o tym nie pomyślał. Jeszcze tego brakowało, żebyśmy księży podejrzewali o przestępstwa!

Mocno zaakcentował ostatnie słowo, wiedząc, jakie to zwykle wywiera wrażenie. Potrząsnął przy tym głową tak, aby jego loczek zsunął się na czoło. Wystudiowanym gestem odgarnął go do tyłu.

– Wie pan, różnie o nas ludzie teraz mówią – westchnął Patkul. – Stanem kapłańskim pogardzają, kalumnijnie rzucają, podszeptom diabelskiej ideologii ulegają. A takiemu proboszczowi na pomorskiej prowincji to ciężko w dwójnasób, bo i na języki biorą, i dzieci pilnują jak przed dzikimi bestiami. Wojtek, co go pan tu przed chwilą widział, to wyjątek. Z pobożnej rodziny. Ale większość wsi krzywo patrzy na parafię. Na mszę nie chodzą, przy robotach pomoc nie chcą. Pieniądzy na tacę nie dają – zakończył melancholijnie, spoglądając przy tym z zainteresowaniem na Bałysia.

– Może tak – zgodził się ostrożnie Lucek. – To zależy od wychowania. Mnie mama uczyła szacunku dla księdza. Zostałem policjantem, ale nauki rodzicielskiej nie zapomniałem.

To powiedziawszy, uniósł lekko brodę i spojrzał proboszczowi Grębówka prosto w oczy. Jasny wzrok blondyna z kręconymi włosami działał bez pudła, Lucek ćwiczył go latami. W zestawieniu z morderczymi umiejętnościami wojownika stanowił doskonały kamuflaż. Każdy się nabierał.

Ksiądz Patkul również uległ, ponieważ zapodział gdzieś swój surowy, podejrzliwy wzrok i przyglądał się teraz komisarzowi Bałysiowi z życzliwością. Jego twarz nieco się rozpromieniła, skutkiem czego małe oczka jeszcze bardziej się w niej rozpląnęły, nadając księżemu obliczu wyraz sielskiego rozpogodzenia.

– W takim razie jak panu mogę pomóc, młody człowieku?

Nazwanie gościa „młodym człowiekiem” najwyraźniej sprawiło mu przyjemność. Przed odpowiedzią Lucek wziął głęboki oddech, jak to robią ludzie, którzy muszą przejść do rzeczy bardzo dla nich niemiłych.

– Mój szef to człowiek bezwzględny – zaczął ciężko. – To ten facet, to znaczy mężczyzna w czarnej kurtce, którego ksiądz widział dzisiaj ze mną. Kazał mi zebrać informacje o ofierze zabójstwa, o której nic nie wiadomo. Zupełnie. Teczka policji w Słupsku jest pusta, również nic nie wiedzą. Oprócz nazwiska i byłego miejsca pracy.

– Jakiego? – spytał odruchowo ksiądz Patkul. Oczy znowu się zwęziły.

– Tutejszego urzędu gminy.

– No tak, mogłem się domyślić – mruknął proboszcz, posepniejąc. – Nieszczęsna Plohowa. Najpierw ten jej debilowaty synek, a teraz ona. Diabli ich nadali – dodał nieoczekiwanie.

– Dlaczego?

Na ciastowatej twarzy księdza Patkula odmalowało się zniechęcenie. Stracił życzliwość dla gościa i zaczął zębami miętosić pulchne wargi, spoglądając w bok, jakby się spodziewał Kusego czyhającego za kotarą. To marszczył czoło i wiódł po pokoju mrocznym wzrokiem, to znowu wypogadzał się i spoglądał w górę na żyrandol, jakby stamtąd spłynęła na

niego nagła łaska, i znowu pochmurniał. Lucek odczekał stosowny czas, po czym ruszył do natarcia.

– Pomoże mi ksiądz? – spytał płaczącym głosem. – Inaczej mój przełożony mnie zniszczy. On po to mnie wziął ze sobą, żeby zniszczyć. Chce mnie pograżyć i szuka haków, bo... bo...

– Bo...? – pomógł mu ksiądz Patkul.

– Bo on i moja żona... – zaczął Lucek, czerwieniąc się. – Wie ksiądz, on był kiedyś... Ale nie chcę o tym rozmawiać. Przepraszam. Niech mi Bóg odpuści.

Proboszcz zaciekawiał się osobistym problemem krakowskiego policjanta. Wstał z głośnym sapnięciem, obszedł biurko i znalazł się tuż przy komisarzu. Położył mu obie ręce na ramionach i przyjacielsko poklepał.

– Tak to już jest, młody człowieku, z brudnym światem – wysapał, nie zdejmując rąk z Luckowych ramion. Ważyły chyba ze sto kilogramów. – Nikomu nie można ufać. Najbliższy przyjaciel cię zdradzi, gdy w grę wchodzi grzech. Zwłaszcza grzech nieczystości, plugawy i dręczący, który zatruwa duszę jak węzowy jad. No dalej, chłopcze, wyrzuć to z siebie. Odczujesz ulgę. Taka, powiedzmy, nieformalna spowiedź.

Mówiąc to, znowu go poklepał, ale tym razem nieco wyżej, dotykając szyi. Prawa dłoń powędrowała do góry i z ojcowską czułością pogładziła blond loki na karku. Lucek zeszywniał, koncentrując się na tym, by nie wykonać żadnego ruchu. Jego prawa ręka rwała się, by złapać to bezceremonialne księżę łapsko i z chrzęstem wykręcić do tyłu.

– Bo, proszę księdza, kiedy siedziałem w niewoli u Kały, on w Krakowie miał pomagać mojej żonie przetrwać te trudne chwile. I pomagał. Tak bardzo gorliwie pomagał, że pewnego wieczora został na noc. To znaczy, twierdził, że wyszedł o północy, ale ja mu nie wierzę. Myślę, że on i moja żona... Jestem pewien.

– Że co? – spytał ksiądz Patkul, masując mu kark.

– Że są kochankami – dokończył Lucek, już ciesząc się wyobrażeniem miny Krzyckiego, gdy mu o tym opowie. – Kiedyś spytałem wprost.

Naskoczył na mnie i zagroził, że jeśli jeszcze raz pozwolę sobie na takie insynuacje, to mnie wywali z pracy na zbity pysk. Tak się wyraził. A ja wiem, że to nie insynuacje...

– Bóg słusznie osądzi ciężki grzech zdrady – zawyrokował ksiądz Patkul.

– On nie wierzy w Boga – rzucił skwapliwie Lucek.

– Nie musi – odparł ze śmiechem proboszcz. Jego ręce wróciły do poklepywania ramion Bałysia. – Wystarczy, że Bóg widzi jego czyny i we właściwym czasie zważy je na niebieskich szalach. Cóż byśmy znaczyli, gdyby nie jego sprawiedliwe sądy za nasze ziemskie przewinienia? Opuść mu, synu, a i tobie będzie odpuszczone, bo zaiste nie ma na ziemi nikogo, kto by żył bez zmazy. Tylko On jeden, który cierpiał za nasze grzechy.

– To co, pomoże mi ksiądz? – spytał Bałyś, który nie bardzo rozumiał, za jakie grzechy ma cierpieć, ale domyślał się, że Patkul mówi przede wszystkim o własnych grzechach. Na tym polegała najgłębsza tajemnica spowiedzi. – Bardzo księdza proszę.

– No nie wiem...

– Oczywiście nie za darmo – dodał szybko, kładąc na biurku zawczasu przygotowaną kopertę z pieniędzmi. – Wiem, że parafia w Grębówku biedna, a wieża na kościele wymaga remontu. Widziałem na trawniku rozbite dachówki.

Proboszcz jaszczurczym ruchem sięgnął po kopertę, jednym rzutem oka przeliczył zawartość i schował do przepastnej kieszeni sutanny. Wrócił za biurko, sięgnął do szuflady po kółko z nanizanymi nań kluczami i skinął na Bałysia, by udał się za nim. Przeszli przez niewielkie podwórko do sąsiedniego budynku, a tam proboszcz wprowadził go do biblioteczki zastawionej po sufit oszklonymi regałami. Wskazał mu najdalszą szafkę, w samym rogu pod oknem, i spytał fachowo:

– Czytasz po niemiecku, chłopcze? Bo najstarsze są niemieckie.

Widocznie głaskaniem po karku przeszli jednostronnie na ty. Luckowi bynajmniej to nie przeszkadzało. Podszedł do ciemnego regału z rzeźbionymi ornamentami na szczycie i sięgnął po kółko z kluczami.

– Jeszcze coś – powiedział nagle proboszcz. Jego ręka z kluczami znieruchomiała w powietrzu. – Załatwisz mi testament Płohowej.

– Dobrze – wymamrotał zdezorientowany Lucek. Nie miał pojęcia, o co chodzi.

Widząc jego głupią minę, proboszcz Patkul szybko dodał:

– Załatwisz podmianę.

– Ale...

– Tu jest prawdziwy testament Zofii Płoh – powiedział ksiądz, podając mu zaklejoną kopertę. – Z oryginalnym podpisem i późniejszą datą. Zdeponowała u mnie tuż przed śmiercią, prosząc, bym użył go w odpowiednim momencie. Biedaczka, widocznie spodziewała się tego, co ją spotkało, i postanowiła się zabezpieczyć. Boże miłosierny, co za nieszczęście! – westchnął na koniec.

Zdumiony Lucek Bałyś trzymał zaklejoną kopertę, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Należy go przedstawić odpowiednim instancjom – ciągnął rzeczowo ksiądz Patkul. – Oczywiście w kopercie znajduje się uwierzytelniona kopia, oryginał spoczywa w moim sejfie. Tak, młody człowieku, kancelaria probostwa również musi mieć swój sejf.

– Uwierzytelniona przez kogo? – spytał machinalnie Lucek.

– Jak to przez kogo? Przeze mnie! Dołączycie do papierów śledztwa i będzie teczka Płohowej jak się patrzy! – zakończył rechetliwie.

– Nie wiem, czy to legalne – zaprotestował Bałyś bez przekonania. W głębi duszy trząśł się z euforii, gdyż propozycja brzmiała frapująco. Nareszcie jakiś punkt wyjścia.

– Poprzedni testament też jest nielegalny! – nie wytrzymał Patkul. – Temu cymbałowi się wydawało, że zadośćuczyni krzywdzie. Nie ma! Żadnego zadośćuczynienia nie ma! Idiota.

– Kto? – spytał cicho Lucek.

– Jak to kto? Kulik! Idiota Kulik! I–DIO–TA KU–LIK!

Wyrzekłszy po trzykroć szatańskie nazwisko Kulika, odczuł ulgę i usiadł. Wytarł czoło rękawem. Popatrywał w okno i coś mamrotał, z czego do uszu policjanta dolatywały tylko strzępy: „stament”, „kul”, „diota”. Mamrotaniu księdza Patkula towarzyszyło krakanie wron na przykościelnych drzewach. Lampa na suficie brzęczała cicho.

Lucek zabrał się do roboty.

3

Krzycki schodził łąkami. Pamiętał tę drogę z poprzedniej tu bytności – zmieniło się tyle, że zamiast dojrzałych ziołowych traw miał pod nogami burą zgniliznę. Tym razem widział dobrze obydwie wiatraki. Sterczały nad polami, meły podniebną breję i połyskiwały martwą szarością. Wydawało mu się, że nawet słyszy ich świszczący oddech, to psychodeliczne szszsz, które Lucek zabronił mu powtarzać. Wbił w nie wzrok i szedł mocnym, pewnym krokiem, z wiatrem w plecy. Właściwy kurs, głębokie przekonanie, wiara w siebie. Teraz jego orientacja w terenie była lepsza: szedł ścieżką Maćka Ploha i patrzył z jego perspektywy.

Trzydzieści–czterdzieści kilometrów od morskiego brzegu tereny Pomorza Środkowego są mocno pofałdowane. Jest tu ciągle pod górę albo z góry, obojętne, czy poruszasz się po linii równoleżnikowej, czy południkowej. Jakby morze swoim odwiecznym przybojem wzburzyło również ziemię. Jest to także teren mocno zróżnicowany pod względem roślinnym – wielkie połacie pól przeplatają się z gęstymi lasami i mnóstwem mniejszych zagajników, iglastych, liściastych i mieszanych. Między nimi płyną rzeki, rzeczki i strumyki, a w ich dorzeczach panoszą się bagniste rozlewiska, parowy i jary o stromych zboczach, tak że krajobraz miejscami zmienia się niemal w karpacki. W jednej minucie masz przed sobą rozległy widok na wiele kilometrów, a w następnej lądujesz w ciasnym gąszczu, widząc najwyżej na kilkanaście metrów, i tylko kiedy wzrok przebije się przez leśne płatawisko.

Po zejściu z pochyłego pola Krzycki znalazł się na płaskim dnie doliny. Cały czas kontrolował położenie obu punktów orientacyjnych, którymi były turbiny wiatrowe. Między nimi ziała dziura po tej trzeciej, która spłonęła wskutek nie całkiem jasnej awarii tablicy rozdzielczej i gdzie zginął inżynier Różański. Jej resztki rozebrano i zostało tylko puste miejsce. Andrzej próbował sobie wyobrazić ten trzeci, nieobecny wiatrak. Po co? Żeby rzeczywistość pasowała do koślawych rysunków nieżyjącego chłopca? Żeby przebić się na drugą stronę i wejść do pokoju wyobraźni autystycznego dzieciaka, gdzie policyjne metody śledcze już nie działają? Żeby postawić znak równości między paroma kreskami na kartce i szczątkami prawdziwej dziewczyny pod ziemią? Dokładnie tak.

Luckowi by tego za żadne skarby nie powiedział, a i przed sobą samym przyznawał to z pewnym trudem: rysunki stanowiły mapę. Pokazywały dokładnie, gdzie leży ciało Gerdy Liebner. Dotychczas nie miał powodów, by korzystać z tego przekonania, dlatego czekał na telefon ze Słupska. To była ostatnia sprawa Andrzeja Krzyckiego jako śledczego. Jego pożegnanie z policją. Tak to sobie wymyślił jeszcze jesienią, gdy po powrocie z Pomorza plątał się beczynn timer po domu, słuchając w kółko Klausa Schulzego na zmianę z Radiohead i Red Hot Chili Peppers. Można powiedzieć, od budyniu do papryki i z powrotem. Ostatniego lata coś w nim pękło. Zerwały się ostatnie nici, puściły cumy, poluzowały śruby w mechanizmie zabezpieczającym i Krzycki potoczył się z góry jak niepilnowany wózek.

Przez chwilę było nawet fajnie. Niewykluczone, że jakoś wiązało się to ze zmianami politycznymi w kraju, które nie pozostawały bez wpływu na funkcjonowanie policji. Być może chodziło o rutynową wymianę pokoleń w komendzie na Mogilskiej. Powodem mogły być również jego kłopoty z ustanowieniem sensownych relacji domowych z Dorotą i Pawłem. Znalazłoby się jeszcze parę innych powodów. Wszystko to razem wzięte od biedy składało się na jakieś wyjaśnienie zachowań Krzyckiego, które Bałyś nazywał „dziwaczeniem”. Było w tym trochę prawdy, ale tylko trochę. Może po prostu się zestarzał? Ilekroć się odwracał, nie umiał znaleźć za

sobą niczego wartościowego, tylko ten banalny piasek w klepsydrze. Nieubłagany, obojętny, pozbawiony znaczenia. Gorzej – pozbawiający znaczenia. I kiedy próbował się uchwycić czegoś trwałego, przychodziła mu do głowy jedynie tamta niemiecka dziewczyna, która wróciła po psa. I szept jej małej siostrzyczki, osiemdziesięcioletniej staruszki: „Niech pan ją znajdzie”. I jego obietnica, że znajdzie.

I will. Lay me down in a bunker underground, zanucił sobie półgłosem i pośliznął się na mokrej trawie. Akurat schodził z góry i nastąpił na przegniły strzęp siana, przyklejony do błotnistego podłoża. Krzyknął zwyczajowe „żeż kurwa!” i klapnął tyłkiem w zgniliznę, po czym zjechał na niej jak na ekologicznej macie aż nad sam brzeg strumienia. Otrzeptał się, przekroczył wodę i ruszył pod górę. Teraz przez chwilę miał prawo ich nie widzieć. Powinny się ponownie pojawić po sforsowaniu pagórka.

Nie pojawiły się.

Wdrapał się na wzniesienie, które otwierało szerokie pole widzenia we wszystkich kierunkach, na wiele kilometrów. To znaczy, otwierałoby, gdyby nie mgła. Odwrócił się. Za nim widać było dachy domów w Korczewie, w odległości jakichś dwóch kilometrów. Po lewej – dachy Przystawna i ledwie majaczący w niezbyt przezroczystym powietrzu słup jedyne w tamtejszej okolicy wiatraka. Na wprost niego widniała wieża kościoła w Grębówku. Gdyby Andrzej dysponował lornetką, na przeciwległym zboczu zobaczyłby własne ślady sprzed dwóch godzin. Z tyłu po prawej ciągnęła się linia lasu, tego samego, którym dotarł do szosy sławieńskiej. Krótko mówiąc, wszystko się zgadzało.

A wiatraki znikły.

– No żeż kurwa! – zakrzyknął na cały głos. By potwierdzić, że woła z przekonaniem, klepnął się z całych sił po udach. – To są normalnie jakieś jaja!

Nie jaja, tylko mgła, wyjaśnił sobie. To jest Pomorze, chłopie, czasem chmury idą nisko i przesłaniają wyższe obiekty, a te znikają jak we mgle. Chmura to mgła. Idź przed siebie, a trafisz.

Tłumaczenie przekonywało tylko do pewnego stopnia. Chmura-mgła była jedynie przed nim, we wszystkich innych kierunkach widoczność pozostawała bez zarzutu. Ruszył z boczem w dół, zanurzając się w mleczone, wilgotne powietrze jak w inną, nierozpoznaną rzeczywistość. Po chwili pod podeszwami jego butów zaszurały liście kukurydzy. Odwrócił się. Szczyt pagórka zniknął, dokoła rozpościerało się szaropopielate nigdzie – puste i obojętne, pozbawione kształtu. Zrobił parę kroków do przodu, skręcił w lewo i znowu parę kroków, potem jeszcze raz i znalazł się z powrotem w punkcie wyjścia. Poczł nagłe zmęczenie i głód. Usiadł na trawie, wyjął z kieszeni herbatnika i ugryzł. Chciało mu się pić.

To nie ma sensu.

Poszedł prosto przed siebie, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. Niejasno kojarzył to miejsce. Gdzieś tutaj ścigał Ulę Miłęcką w ulewnym deszczu, nocą, w gęstym zagajniku dojrzałej kukurydzy, której nędzne resztki miał teraz pod nogami. Po chwili natrafił na stracha na wróble, w którym zginął Maciuś Ploh. Tak, to musiało być tutaj. Rozejrzał się. W niewielkim oddaleniu z mgły wyłonił się szary słup wiatracznej wieży.

Jednak są.

Spod nawisu chmur wysunęła się końcówka śmigła, zatoczyła leniwie półkole i znikła po drugiej stronie wieży. Turbina wiatrowa pracowała w powolnym, nieubłaganym rytmie, z cicha poskrzypując. Przy tak ograniczonej widoczności nie był w stanie stwierdzić, czy chodzi o wiatrak numer 3 czy 5. Próbował sobie przypomnieć, jak to wtedy było. Przedzierał się przez kukurydzę do piątki, na szczycie której potem odbyła się piekielna walka. Gryka była pod trójką. Czyli ten przed nim to wiatrak numer 5, ten najbardziej wysunięty na północ. Jeśli Andrzej skręci w lewo, po dwustu metrach powinien dotrzeć do miejsca po czwórce, a gdzieś z tyłu po prawej według tej samej rachuby należało szukać trójki. Ale jak to zrobić w tej cholernej mgle?

Cofnął się. Obrął kurs według ukształtowania terenu i ruszył w kierunku turbiny 3. Z rysunku Maćka wynikało, że dziewczyna leży w trójkącie między 3, 4 i 5. Jednakże w sytuacji, kiedy turbiny stały w odległości

dwustu metrów od siebie, precyzyjne wyznaczenie takiego punktu graniczyło z niemożliwością. Tu w zasadzie wszystko ocierało się o niemożliwość, i to mu odpowiadało. Jak wiadomo, najpewniejsze są warianty niemożliwe.

Mniej więcej w połowie płytkiej niecki przystanął. Świeżo zryta ziemia. Ale inaczej, niż to robią dziki. Proste, podłużne ślady, niedbale zatarte butami. Pochylił się i dotknął palcami poplamionego liścia kukurydzy. Krew.

Nieopodal znalazł odciski wąskich kół, jak od starego motocykla, równoległe, w odstępnie metra. Poskładał pokrwawiony liść kukurydzy i schował do kieszeni, a potem ruszył po śladach kół. Wkrótce jego oczom ukazał się wiatrak numer 3. Ślady skręcały na żwirową drogę dojazdową, gdzie znikwały w twardym gruncie. Wiatrak kręcił się spokojnie, równomiernie, bezgłośnie. Tylko powietrze furczało. Andrzej odwrócił się, ale piątki oczywiście nie było widać.

To tutaj zginęła Zofia Ploh. Morderca zadźgał ją nożem na polu między wiatrakami, załadował ciało na ręczny wózek i zawiózł do domu. Tam ułożył je na podłodze i obok umieścił nóż w sposób na tyle sugestywny, że Heike Liebner wzięła go do ręki. I zostawiła odciski palców na narzędziu zbrodni. Facet skądś wiedział, że Niemka zaraz po jego wyjściu pojawi się w domu ofiary. Stanowczo zbyt dużo jak na amatora, który dźga nożem kilka razy, za mocno lub za słabo, zanim trafi w serce i uciszy je na zawsze.

Rozejrzał się dokoła. Pola za wiatrakami zaorano, w bruzdach leżały resztki śniegu. Wywołał z pamięci inny rysunek Maciusia Ploha, ten z odlatującymi kobietami. Tam nie było żadnych patykowatych stworów w tle, tylko z dołu wystawał kawałek skrzydła. Jakby one właśnie od niego odlatywały. I teren wyglądał na płaski, a tu Krzycki stał na pagórku. Nic dziwnego, turbiny wiatrowe najlepiej funkcjonują na podwyższeniu, podobnie zresztą jak każdy inny typ wiatraka, który potrzebuje silnego i niezakłóconego podmuchu. Spojrzał na żwirową drogę. Różnica była taka, że do turbin dojazd można zbudować raz-dwa, a dawny tradycyjny wiatrak

musiał stać w pobliżu traktu, żeby ułatwić dotarcie na miejsce klientom. Tyle że tu nie widział żadnego starego wiatraka.

Usiadł i pomyślał chwilę nad rysunkami. Trzy stwory w tle, czwarty tuż nad dziewczyną, trochę inny, z szerokimi łopatami. Na płaskim terenie.

To nie tu. Andrzej podniósł się z zamarzniętej ziemi, potarł zziębnięty tyłek i zaklął cicho. Poprzednio biegła tu z nim Lala. Przydałaby się. Albo chociaż sarna, ale ta też sobie poszła.

4

Po wyjściu z plebanii Lucek Bałyś odczuwał nieodpartą potrzebę natychmiastowego wzięcia prysznic. Nie, to nie stare księgi parafialne były tak zakurzone. To sama atmosfera przykościelnego budynku i biblioteczki wypełnionej sapaniem oraz pomlaskiwaniem księdza Patkula, który niby coś robił przy biurku, ale ciągle go obserwował z trudnym do rozszyfrowania uśmiechem. Prawda, Luckowi udało się znaleźć trochę interesujących ich szczegółów. Spisywał je na kartce mozolnie i ze złością, bo Andrzej odebrał mu komórkę. Za jej pomocą mógłby wszystko błyskawicznie i bez wiedzy proboszcza sfotografować. Spiskowe paranoje Krzyckiego były jednak czasami męczące. „Będę się teraz martwił o ciebie”.

Do Urzędu Gminy w Grębówku dobiegł w pięć minut, przyciskając plecak z notatkami i fałszywym testamentem do pleców, na których czuł wzrok księdza Patkula. Stary oblech na pewno gapił się na niego zza firanki i kombinował, na ile może mu zaufać. Na pewno oprócz fałszywych testamentów miał w zanadrzu inne rozwiązania awaryjne i myślał, którego z nich użyć.

Katarzynę Sokołowską Bałyś znalazł w biurze wójta. Siedziała w czymś w rodzaju recepcji zaraz przy wejściu, z obojętną miną i bez przekonania wodziła palcem po myszce od komputera. Na jego „dzień dobry” burknęła coś niezrozumiale, nie podnosząc wzroku.

– Niezbyt dobry, co? – spytał.

– Nieszczerólnie. Pan nie stąd, prawda?

– Aż tak to widać?

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem, jakby chciała sprawdzić, czy widać.

– Jakby pan był stąd, toby pan nie pytał.

– Chodzi o śmierć pani koleżanki, Zofii Ploh. Bardzo mi przykro. Najpierw Maciek, teraz ona. Nieszczęścia chodzą parami.

– Wszystkim nam przykro, proszę pana – odparła i dopiero teraz odłożyła myszkę, żeby mu się przyjrzeć. – Ale nasze „przykro” nikomu życia nie wróci. Krótka mówiąc – wbiła w niego wzrok – może pan sobie swoje „przykro” wsadzić tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Zaskoczyła go. Spodziewał się raczej czegoś w rodzaju żałoby niż agresji. Należało odbić tę piłkę.

– Mogę wziąć na siebie winę za ich śmierć – powiedział powoli – ale to niczego nie naprawi. To tylko tamtym ułatwi sprawę.

– Jakim tamtym?

Popatrzył na nią z sympatią i dmuchnął loczek na czole.

– No właśnie, jakim tamtym? Nam tu przykro, a tamci dalej robią swoje. Może byśmy spróbowali jakoś temu zaradzić?

Nie przyjęła zachęcających gestów z jego strony, mierzyła go nadal nieufnym, nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Czego pan chce?

– Spełnienia marzeń.

– Czego?

– Marzy mi się, by pani powiedziała, że nazywa się Katarzyna Sokołowska.

– A jeśli, to co?

Lucek rozjaśnił się w najbardziej wieloznacznym uśmiechu, na jaki go było stać.

– To przesyłam pozdrowienia od Andrzeja Krzyckiego, znajomego pani siostry.

Dziewczyna za biurkiem zrobiła zaskoczoną minę, potrząsnęła głową, jakby usilnie próbowała sobie coś przypomnieć, a potem uśmiechnęła się przepaszająco.

– O kurczę, sorry, nie poznałam. Inspektor Andrzej Krzycki. Pan musi być tym jego przyjacielem o dziwnym imieniu. No jasne, loczek. Pan komisarz...

– Po prostu Lucek Bałyś. – Wyciągnął do niej rękę.

– Kasia – powiedziała, ściskając jego dłoń. – Proszę mi wybaczyć, ale tu wszystko ostatnio takie... nienormalne. Napije się pan czegoś? Przyjechaliście w sprawie pani Zofii?

Zawahała się, nie wiedząc, jak określić sytuację wokół śmierci koleżanki z biura. Zbrodnia odbiera ludziom język, nie mają słów do mówienia o niej. Potrafią plotkować godzinami, ale nie umieją jej nazwać.

– Najpierw mam prośbę o dyskrecję – odparł, spoglądając na drzwi prowadzące w głąb korytarza. – Wolałbym nie afiszować się ze swoją obecnością. Możemy pogadać gdzieś na boku?

– Uhm. – Skinęła głową i wskazała uchylone drzwi po drugiej stronie korytarza. – Nikt tam nie powinien teraz zaglądać. Proszę poczekać, zaraz przyjdę.

Wszedł do małej służbowej klitki i usiadł na krzeselku, bokiem do stołu. Dziewczyna wróciła po chwili, nastawiła wodę w czajniku i pochyliła się do szafki z kuchennymi zapasami. Starał się nie patrzeć na jej figurę.

– Chcesz kawy? – spytała zwyczajnie, jakby się znali od lat.

– Tak, chętnie. Bez cukru.

Odwróciła się z uśmiechem i pokiwała głową z uznaniem.

– Nooo, słyszałam o tobie co nieco. Siostra mówiła, że podobno jesteś ciacho, ale nie, że aż taka kremóweczka z bitą śmietaną. Pochodzisz z Wadowic?

– Że jak?

– Nic – zaśmiała się. – Żartowałam.

Tamto spięcie zza biurka najwyraźniej jej minęło. Lucek zastanawiał się, czy jej młodsza siostra jest równie atrakcyjna. Coś go zaczęło łaskotać w brzuchu, więc postanowił natychmiast przejść do rzeczy i zażegnać niebezpieczeństwo.

– Macie nowego wójta?

– Jeszcze nie. Na razie jest zarząd komisaryczny ze Słupska. Pan komisarz nosi wąsy, chodzi na mszę i wydaje polecenia nieznośnym sprzeciwu głosem. Jak imperator. Wydyma przy tym policzki i sapie przez tego wąsa jak dzik. Z nadania dobrej zmiany. To jaką masz sprawę?

Zalała kawę rozpuszczalną w brązowym kubku z arcorocu i usiadła naprzeciw niego. Zaczęli mieszać i ostrożnie siorbać gorący płyn.

– Muszę zajrzeć do spisów gruntów rolnych gminy. Mamy z Andrzejem, to znaczy z inspektorem Krzyckim, podejrzenie...

– Chmurny pan inspektor. Siostra wspomina go z cielecą miną. Żonaty?

– Obaj jesteście żonaci – odparł Lucek zasadniczym tonem, na co Kasia Sokołowska wzruszyła ramionami. – No więc mamy podejrzenie, że śmierć Zofii Ploh w jakiś sposób wiąże się z nielegalnym obrotem nieruchomościami rolnymi w okolicy. Chcemy znaleźć bardziej szczegółowe informacje.

– Oczywiście, że się wiąże – odparła chłodno. – Wszyscy to wiedzą.

– Co wiedzą?

Zanim odpowiedziała, niespokojnie zerknęła na drzwi.

– Że została zamordowana przez ten cholerny testament Kulika! Po jego śmierci wyszło na jaw, że zapisał jej całą ziemię, jaką miał między Grębówkiem a Korczewem. Jakies osiemdziesiąt hektarów. Żona Kulika się wściekła i myśleliśmy nawet w pierwszej chwili, że to ona zamordowała Plohową. Ale nie.

– A kto?

Wytrzymała jego długie i pełne napięcia spojrzenie, kwitując je głośnym siorbnięciem.

– Nie wiem, Lucku. Ale fajne imię. To po dziadku?

– Po jego kocie. W każdym razie za morderstwem Plohowej raczej nie stoi Heike Liebner, prawda?

Z korytarza dobiegły głosy zbliżających się osób. Kasia Sokołowska wstała szybko z krzesła i pochyłona nad nim szepnęła miękko i zachęcająco:

– Nie byłabym taka pewna. Ale to później. Teraz się przejdź i wróć o wpół do pierwszej. Poczekaj na zewnątrz. Najlepiej w samochodzie z zaparowanymi szybami. Na podszybiu big mac i kawa w papierowym kubku. Nara, kowboju.

Odwróciła się, omiatając jego twarz kosmykiem włosów, i wyszła. Łyknął niedobrej kawy i bąknąwszy coś wchodzącym ludziom, wybiegł z budynku. Serce biło mu zdecydowanie zbyt szybko. Trzymaj się, Bałyś. Nie trać pionu. Musisz dać radę.

Zimne powietrze mu pomogło. Odetchnął głęboko. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że do wpół do pierwszej zostało dwadzieścia minut. Poszedł błotnistą drogą w pola.

5

Andrzej błędził po kukurydzianym ściernisku tam i z powrotem, szukając punktu zbiegu trzech wektorów. Sytuację utrudniała słaba widoczność oraz brak trzeciego wiatraka. Tam, gdzie kiedyś stał, sterczała hałda ziemi otoczona blaszanym ogrodzeniem. Gdy mgła na chwilę się rozviała, obie turbiny oraz płot wyznaczyły wreszcie wierzchołki trójkąta, w środku którego znajdował się spłaszczony kopiec, jak pozostałość po dawnym kurhanie.

Wdrapał się na niego i zatoczył wzrokiem dookoła. Tak, chyba się zgadzało. To dziwaczne ukształtowanie terenu na rysunku nie było skutkiem urojeń umęczonego umysłu Maciusia Ploha. Okolica stanowiła archipelag łagodnych wzniesień, jakby bąbli wypychających od spodu ziemię. Na każdym stał wiatrak, dzięki czemu sięgał jeszcze wyżej nieba. Na każdym – oprócz tego w środku, gdzie teraz znajdował się Krzycki.

Ponieważ było niższe od tamtych? Nie nadawało się do budowy? Było za blisko?

Przesunął się nieco i zlokalizował topografię innego rysunku Maciusia, tego z długim uchem wystającym spod ziemi. Wolnym krokiem pomaszerował w tamtym kierunku, przypominając sobie opowieść Plohowej o tym, jak chłopak kładł się na ziemi i słuchał głosu. W takiej pozycji znaleźli go tamtego dnia, gdy dostał pomieszania zmysłów. Fajna nazwa: pomieszanie zmysłów. Wzrok myli się ze słuchem, węch ze smakiem, a wszystkie razem z dotykiem. Maciuś położył się na ziemi i słuchał tego, co płynie spod niej, aż mu się poprzestawiało. Dotknął czegoś, czego nie powinien dotykać.

Uznał, że to może być tutaj, obok dziwnego pustego pagórka. Położył się i przytknął ucho do ziemi. Wydawało mu się, że słyszy szum, ale to mógł być wiatr w suchych liściach kukurydzy. Tyle że gdyby to był wiatr, rozwiałyby mgłę. Andrzej podniósł się, zrobił kilka kroków i położył się w innym miejscu. Tu również szumiało. Ziemia nigdy nie jest całkiem bezgłówna, zawsze trochę szumi, coś tam sobie mruczy pod nosem przy uporczywym wirowaniu wokół Słońca.

W jakimś specjalistycznym piśmie przeczytał, że turbiny wiatrowe podczas pracy generują rozmaite hałasy i drgania, które przez wieżę przenoszą się do gruntu. Co prawda pismo nastawione było na zwalczanie tej formy pozyskiwania energii, trochę jak wójt Kulesza i ksiądz Patkul, więc pewnie zainteresowane było wyolbrzymianiem jednych argumentów i pomijaniem innych, niemniej coś musiało być na rzeczy. Wydawało się niemożliwe, by tak olbrzymie urządzenie nie wytwarzało niczego poza prądem. Zwłaszcza że końcówka śmigła potrafiła wirować z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę! Trudno się dziwić, że takie śmigło przecina jastrzębia na pół. A jedno z nich obcięło głowę Różańskiemu.

Wyszukał kępkę suchej trawy i docisnął ucho do ziemi. Wrrrrrr, brrrrr, mrrrrrr. Jakby pod spodem krążyły stare złe wilki i powarkiwały na siebie. Energia z turbin musiała być odprowadzana gdzieś do transformatora za pomocą kabli w ziemi, ponieważ na powierzchni nie było widać żadnych

instalacji. Może to te kable z prądem tak warczą? Podniósł się i przeszedł parę metrów dalej. Znów przyłożył ucho. Tu brzęczało nieco głośniejsze. Zrobił następne dziesięć kroków i jeszcze raz posłuchał ziemi. Ciszej. Prawie nic. Cofnął się na poprzednie miejsce, po czym przesunął się tylko nieznacznie do przodu. Przytknął ucho. Warczenie podziemnych wilków stało się grube i wyraźne. Rozejrzył się, znalazł patyk i wbił w grunt, oznaczając miejsce.

Gdyby ktoś mu się teraz przyglądał z daleka, z pewnością wzięłby go za wariata. Takiego drugiego Maciusia Ploha, który z pomieszzanymi zmysłami błądzi po polach i szuka tajemnych połączeń między światami. W pewnym sensie nim był. Wyprostował się i uważnie rozejrzył wokół. Żywej duszy, jeśli nie liczyć stada wron na ściernisku. Mgła nieco zrzędła, ale poza dwiema wieżami wiatraków oraz blaszanym ogrodzeniem dziury po trzecim z nich niewiele widział. Tkwił w rozległej niecce wielohektarowego terenu rolnego jak na środku pustej areny, bez widowni, nie wiedząc, czy już jest zwycięzcą, czy dopiero czeka na przeciwnika. Dmuchał wiatr. Zaskrzypiały obie gondole, korygując ustawienie śmigła. Pracowały, warczały pod ziemią.

Ruszył w kierunku piątki, po kilku metrach przykucnął, a potem położył się i posłuchał chwilę, nim wstał i poszedł dalej. Robił tak co kawałek. Całkiem jak kiedyś Maciek Ploh.

W końcu chyba znalazł to, czego szukał, ponieważ wbił następny patyk i skręcił ostro w prawo. Kroki, macanie ziemi, przystawienie ucha. Korekta, przystawienie ucha. Jest. Wbił trzeci patyk i zagwizdał z radością. Wrony z ociąganiem poderwały się do lotu.

6

W budynku gminy Lucek zmitrężył do późnego popołudnia i wyszedł dopiero wtedy, kiedy dziewczyna stwierdziła, że musi kończyć. Nadużył jej cierpliwości, jednak dokumentacja dostarczona mu przez Kasię Sokołowską atrakcyjnością dorównywała samej dostarczycielce i nie mógł

nie skorzystać z okazji. Wertował, spisywał i kserował dokumenty, bacznie pilnując, by nikt z pracowników go nie przyłapał. Było to o tyle łatwe, że z braku wójta większość z nich albo zbijała bąki za biurkiem, nie wychodząc z pokoju, albo wychodziła raz i nie wracała. Kasia dosyć dobrze orientowała się w tej personalnej logistyce.

Pozegnał się z nią krótko i powściągliwie, choć biorąc pod uwagę wartość zebranych informacji, powinien ją wycalować dubeltowo. Nie zrobił tego. Bał się tego drugiego Lucka, nad którym już raz nie udało mu się zapanować i doszło do uruchomienia efektu domina. A później do łańcucha katastrof. Tak on to przynajmniej widział.

– Wpadniesz kiedyś jeszcze? – spytała Kasia, podając mu miękką dłoń zbrojną w tipsy.

– Jasne! – potwierdził. – Jak tylko załatwimy najważniejsze.

Potem, wracając opłotkami do ich tymczasowej siedziby, nazwał siebie w duchu skończonym łajdakiem, ostatnią kanalią, która kłamie w żywe oczy. Przecież nie miał zamiaru tam więcej wracać. Nigdy, przenigdy. Powtarzał to w myślach tyle razy, że gdyby dowiedział się o tym jakiś psychoterapeuta, z pewnością doszedłby do wniosku, iż Lucek Bałyś bardzo chce tam wrócić.

W drodze do Kręgu miał sprawdzić, co się dzieje na miejscu dawnej siedziby von Schlieffenów w Przewodnie. Jadąc główną ulicą, z daleka dostrzegł ostre światło jupiterów, bijące z wnętrza dzikiego zagajnika. Niedysiejszy park wokół pałacu zamieniony został w plac budowy z ciężkim sprzętem i rozległymi wykopami. Zimą, przy jeszcze zmarzniętej ziemi, to dosyć karkołomne przedsięwzięcie. Widocznie komuś się tu bardzo spieszy, stwierdził Lucek i zaparkował nieco dalej, na poboczu. Przekradając się zaroślami ku oświetlonym rozkopom, myślał o tym, że powinni zdobyć nakaz od śląskiego prokuratora, następnie uzyskać pozwolenie od komendanta, sformować grupę i po prostu przeprowadzić standardową interwencję policyjną z naczelnikiem wydziału podkomisarzem Ryszardem Hadczukiem na czele. Wtedy mogliby skutecznie zamknąć i przeszukać teren, przesłuchać ludzi i sporządzić

raport, który później ewentualnie mógłby zostać wykorzystany w procesie sądowym. Gdyby to była normalna akcja policyjna. Ale nie jest. Dowodów brak, Hadczuk boi się komendanta i z żadną poszlaką do niego nie pójdzie, a prokuratorem jest Trębacki. I tyle na ten temat. Pozostaje przedzieranie się przez krzaki i podglądanie budowlańców.

Istotnie, jak na przygotowanie pod budowę roboty wyglądały nieco dziwnie. Po pośliznięciu się na błocie i otarciu łydki na omszałym murku Lucek nareszcie dotarł do blaszanego ogrodzenia wokół parku. Prace odbywały się mniej więcej w środku zagajnika, w miejscu, z którego wcześniej uprzątnięto zarośla. Żółta koparkoładowarka firmy JCB wybierała ziemię punktowo, niezbyt starannie odkładając ją na bok, jakby nie miało to znaczenia. Wyglądało to raczej na kopanie dziury pod słup niż przygotowywanie wykopów pod fundamenty. Znajomość fachu budowlanego u Lucka Bałysia wynosiła jednak niewiele ponad zero, więc tylko wzruszył ramionami. Może przygotowują jakieś wzmocnienie fundamentu albo kopią podziemny schron dla właściciela. W końcu wszyscy mówią o rychłym końcu świata; trzeba się przygotować.

Nieszczególnie pasowały do tej koncepcji pozostałe cztery dziury i towarzyszące im hałdy ziemi. Nie układały się w jednej linii, lecz raczej przypadkowo, względnie według schematu dla niego nieczytelnego. Tak na uparte mogło to wyglądać na szukanie czegoś.

Nieco go zastanowił brak robotników. Oprócz operatora koparki i jednego człowieka, filozoficznie wspartego na łopacie, na placu budowy nie było nikogo. Zresztą ten z łopata również nie wyglądał na robotnika, już raczej na pana inżyniera, który w eleganckim płaszczu czeka na zakończenie wykopków, by wbić pierwszą sakramentalną łopatę i zainicjować wznoszenie budowli. Nie, inżynierowie chodzą w kurtkach, a nie płaszczach do pół łydki. I mają kaski na głowach...

Lucek przycisnął oko do szpary w płocie, ponieważ mężczyzna w płaszczu przesunął się i jupiter na statywie oświetlił jego twarz. Szczupłą twarz z podłużnym opatrunkiem na policzku. Bez trudu rozpoznał wczorajszego gościa w szopie na posesji Plohów, Jensa Müllera. Pan

Niemiec z firmy Turbenax. W zasadzie należało się go spodziewać, choć po szyciu policzka mógłby posiedzieć przynajmniej ze dwa dni w domu. Albo hotelu, czy gdzie tam mieszkał. Jednak panu Müllerowi tak się spieszyło, że prosto z sali zabiegowej pognął na plac budowy, łykając w drodze dwie przeciwbólowe aspiryny.

Lucek właśnie postawił stopę na złączeniu segmentów płotu, gdy usłyszał za plecami chrzęst łamanych gałęzi.

– Te, koleś – rozległ się chrapliwy głos. Towarzyszyło mu podwójne parsknięcie. Czyli razem trzech.

Opuścił stopę i odsunął się od ogrodzenia, żeby mieć przestrzeń na swobodny obrót.

– Te, do ciebie mówię – powtórzył głos zza pleców. – Lubisz podglądać? Jara cię to?

Powoli odwrócił się i odsłonił światło ze szpary w płocie. Wąska smuga wydobyła z ciemności dolną część męskiej sylwetki w wytartych dżinsach i białych najkach. Pozostałych dwóch zobaczył później.

– A was jara podglądanie podglądacza? – spytał spokojnie.

– Jarają nas takie dupki jak ty – powiedział tamten i oświetlił go latarką. Lucek zaklął w duchu, że z pośpiechu sam nie zabrał potężnej latarki Kumeyo, którą sobie ostatnio kupił w internecie. Walila po oczach tak, że potrafiła oślepić, ale zostawił ją w bocznym schowku na drzwiach volvo.

– Jara cię taka dupka? – odparł, klepiąc się w pośladek. Zmienił przy tym nieznacznie pozycję, wysuwając do przodu lewe biodro. To była jego ulubiona postawa wyjściowa. Wyciągnął lewą rękę, żeby przysłonić światło latarki.

Rozległy się śmiechy, ale gaduła się wkurzył.

– Jebnę ci w ten blady pyszczek, złodzieju jeden, to się dowiesz – warknął i ruszył do przodu. O to chodziło. Robiąc krok przed siebie, chłopak musiał odgarnąć gałęzie i opuścić latarkę. Kiedy ją skierował z powrotem na płot, bladego pyszczka już tam nie znalazł.

– Co jest, kurwa? – zdążył wymamrotać i upadł na plecy podcięty pod kolana, z bluzą ściągniętą na łokcie. Coś szybkiego i niewidzialnego wyrwało mu latarkę z ręki. Zanim się pozbierał i stanął z powrotem na nogi, jego dwaj kumple również leżeli na ziemi, usiłując wyplątać ręce z rękawów kurtek.

– Chodź tu, gnojku, i walcz! – zawołał gaduła.

Lucek był już kilka metrów od nich. Biegł w stronę samochodu, który biegał po drugiej stronie drogi. Nie miał zamiaru się z nimi bić, groziło to wypłoszeniem pana Niemca z budowy. Schował latarkę do kieszeni i po ciemku przeskoczył rów, przesadził wąską przydrożną łąkę i wyszedł na szosę. Kładł już rękę na klamce volvo, gdy pojawili się przed nim tamci trzej.

Stali w półmroku, światło dalekiej latarni wystarczyło jednak, by Lucek dostrzegł w ich rękach noże. Trzymali je klingami do góry, nie jak zawodowi gangsterzy, tylko zwykła wiejska gówniarzeria. Podchodzili coraz wolniej, spięci i uważni po pierwszych próbkach jego możliwości. Wpatrywał się w ich sztucznie bojowe twarze i zastanawiał, czy znaleźli się tu z własnej inicjatywy. Zrobił krok w ich stronę.

– Posłuchajcie – powiedział, unosząc dłonie przed siebie. – Nie powiem wam, że jestem policjantem, bo mi nie uwierzycie, chociaż odznakę zostawiłem w samochodzie. Nie powiem, że wezwę posiłki, bo ich nie ma. Nie mam nawet komórki. Powiem wam co innego.

– Zamknij się, cioto! – mruknął ten, który lubił gadać.

– Nie mogę się zamknąć – odparł spokojnie Lucek – bo wtedy musiałbym wam połamać te ręce, w których trzymacie noże. Ja mówię, a wy słuchacie. Za grożenie mi nożem łamię rękę. Za zranienie mnie nożem, co się sporadycznie zdarza, łamię obie ręce. A za nazwanie mnie ciotą w ramach premii łamię nogę. W kolanie, żeby gość przy każdym kroku do końca życia pamiętał.

– Pierdolisz – powiedział jeden z dwóch pozostałych.

Zbliżyli się ku niemu. Lucek nie drgnął, zacisnął tylko obie dłonie w pięści. Zatrzymali się.

– Nie strasz – rzucił trzeci.

– Po prostu mówię, a jeśli się boisz, to twój problem. Wiesz, dlaczego wam uciekłem spod płotu? Pomyśleliście choć przez chwilę, co się stało? Otóż to się stało, że okazaliście się pięć razy wolniejsi ode mnie. To nie było tak, że was zaskoczyłem. To wyście mnie zaskoczyli. Mielście przewagę czasu, miejsca i liczebności. A jednak po prostu zniknąłem i znalazłem się za wami. Z tyłu. Zdarłem z was kurtki i obezwładniłem, zanim któryś z was zdążył pierdnąć. Nie daje wam to do myślenia? Nie widzicie tu problemu? Bo on jest, i to wielki. Olbrzymi.

– Jaki problem?

Lucek miał ścięgnięta napięte do granic wytrzymałości. Wiedział, że wystarczy jeden głupi ruch z ich strony i może stracić kontrolę. Weźmie górę ten Lucek, który pół roku temu rzucił się w pojedynkę na całą bandę Kały i byłby wygrał, gdyby nie siatka obezwładniająca.

– Taki, że nie umiecie się bić. Nawet noży nie potraficie trzymać jak należy.

Pokazał palcem na ich uzbrojone ręce, a oni bezwiednie powędrowali wzrokiem za nim. Wyglądali jak przedszkolaki, którym pani pokazuje, gdzie się upaprali przy zabawie. Lucek starał się nie parsknąć śmiechem.

– O co chodzi? – spytał jeden z nich. – Co nie tak z nożami?

Z daleka błysnęły światła samochodu. Nadjeżdżał od Korczewa i oświetlił ich sylwetki na drodze. Lucek zobaczył twarze trzech chłopców, nastolatków z kapturami naciągniętymi na wystrzyżone głowy.

– U mnie lekcje są drogie. Ta pierwsza, darmowa, brzmi: schowajcie noże i idźcie do domu. Zapomnijmy o tym spotkaniu jak najszybciej, a będzie jeszcze dobrze. Zobaczycie.

Postali chwilę, zastanawiając się, co zrobić.

– Pan naprawdę jest z policji? – spytał ten trzeci, najniższy.

– Niestety tak. Ale mam prośbę: nie mówcie o tym nikomu. Zapominamy, okej?

Popatrzyli na siebie i mruknęli niewyraźnie „okej”. Zbiegli z szosy i zniknęli w ciemności. Wsiadając za kierownicę, Lucek był z siebie bardzo dumny. Zrobił to poważnie i odpowiedzialnie. Jak na ojca rodziny przystało. I trochę w stylu dawnego Andrzeja Krzyckiego. Lucek, doroślejesz.

7

Pałacyk w Kręgu był pustawy. O tej porze roku niemieccy goście bynajmniej nie preferowali uroków pomorskiego odludzia z jeziorem, po którym nawet nie dało się pływać. Tym bardziej goście polscy, dla których taki krajobraz stanowił raczej codzienność niż atrakcję. Wsiadłszy na żwirowym parkingu przed hotelem, Lucek w pierwszej kolejności napotkał parę w średnim wieku. Pan rozglądał się bezradnie i chmurnie po otoczeniu, pani się naburmuszyła.

– Jesteś stąd? – spytał mężczyzna obcesowo.

Lucek uznał, że jednak nie całkiem wydorósł. Pokazał palcem krakowską tablicę rejestracyjną swego samochodu. Mężczyzna zignorował wskazówkę.

– Bo tu nic nie ma! – powiedział, podnosząc głos. – Przecież to jakaś totalna dziura! Chcieliśmy się gdzieś z żoną wyrwać, ale tu nawet autobusy nie jeżdżą. Jest tu w ogóle przystanek?

– W ogóle to dobry wieczór – odparł Lucek. – Nie, nie ma. Tu się tylko przyjeżdża, ale już nie wyjeżdża.

– Co?

– Masz swoją nagrodę w konkursie – burknęła żona. – Zachciało ci się kompletu naczyń z ciśnieniomierzem gratis? To se teraz wsadź go do dupy i zmierz ciśnienie. Sklep tu chociaż jest?

– Ja?! – krzyknął mąż. – To ty chciałaś garnki! Co, kurwa, ja gotuję czy ty?

– No to se załatwiłeś, palancie. Takiego ci ugotuję. Chyba że ten twój ciśnieniomierz w dupie. Jutro wracamy.

– Ja pierdołę, jeszcze ta mnie będzie wnerwiać – sapnął mąż i uniósł zaciśnięte pięści.

Komisarz Bałyś uznał, że pora interweniować, inaczej na Pomorzu dojdzie do kolejnego mrocznego zabójstwa.

– Wsiadajcie państwo – powiedział, otwierając tylne drzwi samochodu. – Podwiozę do sklepu.

Przy wjeździe do miejscowości widział sklepik z zakratowanymi oknami, który był zarazem kawiarnią i punktem wymiany butli gazowych. Żona usiadła z tyłu, mąż, mając rozeznanie w potencjalnym zagrożeniu, na wszelki wypadek zajął miejsce z przodu.

Niestety, drzwi sklepiku zagradała żelazna krata z dwiema okazałymi kłódkami. Bałyś zaproponował więc turystom podwiezienie do Ostrowca, gdzie widział Lewiatana, a te są otwarte do późnych godzin wieczornych. Chętnie się zgodzili. Na krętej leśnej szosie opowiadali o tym, jak zawsze są ostrożni i rozsądni i tylko raz jeden jedyny dali się namówić na prezentację rewelacyjnych garnków z nowego stopu metali. Po podpisaniu umowy wygrali tygodniowy pobyt z całodziennym wyżywieniem w pałacu na Pomorzu. Na zdjęciach wyglądało jak Szwajcaria. Ona twierdziła, że to on nalegał, on – że ona.

– Po cholereę ci były te garnki – drążyła. – Przecież i tak nic nie robisz w kuchni.

– Właśnie dlatego – odparł bezlitośnie. – Miały gotować same.

– Tak? I co jeszcze? Może miały same obierać jarzyny, mieszać i przyprawiać? Chyba rogi.

– A kto się napalił na apartament w pałacu? – walczył mąż. – „Spałeś kiedyś w łóżu z baldachimem, kotku?” Komu się marzył pierdolony baldachim, mnie czy tobie?

– Przestań kłąć – zmieniła temat. – Chamidło się z ciebie zrobiło.

Lucek miał wielką ochotę pogrzebać jeszcze kijem w mrowisku i zapytać, czy dostali to łoże z baldachimem. Na szczęście dla pasażerów dotarli właśnie pod Lewiatana i państwo, nie oglądając się na kierowcę, popędzili na zakupy. Wrócili po trzydziestu minutach obładowani siatkami, które zajęły cały bagażnik volvo. Niektóre głośno pobrzękiwały szkłem. Humory małżonkom zdecydowanie się poprawiły.

– A daleko stąd jest do jakiegoś miasta? – spytała żona z brawurową zalotnością w głosie, jakby po zaopatrzeniu w wiktuały nabrała ochoty co najmniej na dyskotekę. Lucek musiał zareagować.

– Obawiam się, że daleko – odparł rzeczowo. – Główna droga jest w remoncie, a objazdy po dziurach zajmą godzinę. Nie ma sensu.

– Szkoda – stwierdziła z rozczarowaniem. – Trudno, zabawimy się w pokoju. Bar na dole jest droższy niż w Bristolu.

Ponieważ małżeństwo było tak zajęte konsekwencjami swojej garnkowej słabości, że nawet nie spytało go o jego powód przyjazdu, sam nawiązał.

– Dużo gości w hotelu? – spytał niby od niechcienia.

– Niedużo – odparł mąż. – Na posiłki schodzi może z dziesięć osób. Rano na śniadaniu prawie nikogo nie ma.

– Tylko myśmy się dali nabrać – dorzuciła żona. – Tydzień w pałacu. W łożu z baldachimem. Można umrzeć z rozkoszy.

– Zamknij się. Masz swoją saską brandy, nawalisz się rozkosznie i pójdziesz spać pod baldachim.

– Co za ludzie tam się zatrzymują? – spytał Lucek, żeby przerwać kolejną eskalację konfliktu. – Chyba jacyś wariaci.

– Albo pedały – wtrącił mąż. – Jest dwóch takich. Ciągłe razem.

– Byli – sprostowała żona. – Wczoraj wyjechali. Widziałam, jak wynoszą walizki. Ale to nie pedały. Opiekowali się starą Niemką. Przystojniaczki – dorzuciła z błyskiem w oku.

– Jedno drugiemu nie przeszkadza – stwierdził filozoficznie mąż. – Tu opieka, a tam dymancko. Wszystko się zgadza.

– A tam gotowanko – dodała żona zaczepnie i zawiesiła wzrok na mężu, czekając tylko okazji, by znowu na niego powarczeć.

– Ciekawe, dokąd stąd można wyjechać – rzucił Lucek. Nieoczekiwanie przynęta wzięła.

– Może na wykopki – stwierdziła kobieta.

– Wykopki?

– Bo mieli łopaty w bagażniku. Widziałam, jak je wyjmowali, żeby ułożyć walizki. Dwie nowiuśkie łopaty.

– Taki wielki samochód, że łopaty się zmieściły do bagażnika?

– Merol kombi, klasa E – mruknął mąż tonem znawcy. – Tam wszystko wejdzie.

– Wszystkie kosmiczne garnki świata – podjęła niestrudzenie żona. On już się odwrócił, żeby jej odpalić, ale Lucek go uprzedził.

– Wiem, taki długi, czarny, jak trumna wielkoluda.

– Szary. Ich był szary. Jak metalowa trumna wielkoluda – powiedział mężczyzna i roześmiał się zadowolony ze swojego dowcipu.

Lucek mu zawtórował.

– Niemcy wszyscy jeżdżą merolami – odparł. – Pewnie jeszcze na berlińskiej rejestracji, bo tym furom z literką B najbardziej do twarzy.

– H – poprawiła go żona. – Chyba z Hamburga, nie?

– Możliwe.

Bałyś nie odezwał się, żeby nie wzbudzić podejrzeń rozeznaniem w temacie, co ludzi prostych zwykle irytuje. H to Hanower, a Hamburg ma HH – Hansestadt Hamburg.

Zjeżdżali z drogi na hotelowy parking. Lucek przebiegł wzrokiem stojące samochody, ale nie zauważył żadnego szarego mercedesa kombi z niemiecką rejestracją na H. To raczej na pewno byli oni, dwaj panowie tłumacze od Heike Liebner uzbrojeni w łopaty. Kolejna ekipa kopaczy. W zimie. *Cmętarz zwieżąt*, wersja północna.

Po pożegnaniu ze zdobywcami kosmicznych naczyń poszedł do hotelowej recepcji. Od szczupłej blondynki w białej bluzce i okularach dowiedział się, że pani Liebner i jej dwaj towarzysze faktycznie wymeldowali się wczoraj z hotelu. Niestety, nie podali nowego adresu ani celu podróży. Podziękował, uśmiechnął się promiennie, a kiedy dziewczyna odpowiedziała tym samym, splonął się i szybko wyszedł. Ciągłe z tą jego dorosłością jest coś nie tak.

Wsiadł do samochodu i ruszył nie bez pewnej nerwowości. Miał już dosyć. Przez cały dzień zjadł tylko w biegu kanapkę i popił ją kawą z kubka, więc odczuwał już ssący głód. Z chęcią zadzwoniłby teraz do Dominiki, żeby pozyskać się na spiskowe paranoje Krzyckiego, który zabrał mu komórkę. Nie miał jednak jak zadzwonić, dlatego musiało mu wystarczyć jego własne towarzystwo.

– Krzycki, ty paranoiku! – wołał radośnie. – Zbrodnia czai się wszędzie. Patrz w kiblu za siebie, żeby ci gówno na plecy nie spadło. Czytałeś *Imię róży*? A śliniłeś palce, przewracając kartki? He, he, oszołomie jeden! Kup sobie hełm z lusterkami wstecznymi!

Spodobało mu się. Poprawił się na fotelu za kierownicą i pogłośnił muzykę. Wpadł w trans.

– Śpij w szafie, a pod kołdrę włóż jeża. Nie, włóż jeża do szafy, a pod kołdrę granat. – Pomyślał chwilę i dodał: – Nie odbieraj telefonów od nieznanym numerów, bo ci sprzedadzą garnki z ciśnieniomierzem. I nie woź łopat w bagażniku, bo rywale od garnków wszystko widzą. Wiesz już, gdzie kopać? To narysuj mapę, a potem ją podrzyj na strzępy i zjedz. I nikomu nie mów, że pierwsza i jedenasta litera alfabetu to twoje inicjały. Cicho sza. Trzy jedyńki to telefon na złe samopoczucie, na przykład urojenia. Albo trzy wiatraki na polu Liebnerów. Tylko ani mru-mru. Na ściernisku cicho sza, pod wiatrakiem cicho sza, nie ma Byczkiewicza i nie ma truposza... – zaśpiewał i nagle odbił kierownicą w lewo.

O włos ominął człowieka, który wyskoczył na jezdnię, machając ręką niczym jakiś autostopowicz na sterydach. Lucek zjechał na pobocze i wyskoczył na intruza. Krzycki niemal wpadł mu w ramiona.

– Jesteś wreszcie – sapnął zziębnięty. – Zawracaj.

Wgramolił się na siedzenie pasażera i ponaglająco machał na niego ręką. Lucek wsiadł z powrotem.

– Dobry wieczór, panie inspektorze – powiedział uprzejmie. – Dokąd tym razem? Bo jak rozumiem, nie do naszej tajnej siedziby, która, o ile się nie mylę, znajduje się przed nami.

– Nie – odparł Andrzej chrapliwie. – Jedziemy do Hadczuka. Dom jest chwilowo... nieczynny.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że go na przykład puściłeś z dymem...

Przerwał, widząc, jak jego przyjaciel wyjmując z kieszeni chusteczkę i wyciera podbródek. Dopiero teraz zauważył, że ten ma zakrwawione wargi i otarte knykcie.

– Biłeś się z kolegami, synku? Znowu cię zaczepiali?

– Jedź – powtórzył Andrzej. – Opowiem ci po drodze. Nie ma czasu.

– Wiem, wiem. – Skinął głową Lucek i nawrócił z piskiem opon. – A jak złapiemy ogon, to do lasu i między drzewa, aż go zgubimy. I nikomu ani słowa. Cicho sza.

Przytknięta do wargi chusteczka coraz wyraźniej nasiąkała krwią. Krzycki przytaknął.

– A żebyś wiedział.

IX

Kuckucksmühle

maj–lipiec 1945

1

Chwilę się szamotali. Mężczyzna przyciskał ją całym ciałem, czuła pulsowanie krwi w palcach dłoni kneblującej jej usta. Uznała, że musi jak najszybciej umrzeć. Znieruchomiła i zamknęła oczy. Leżała jak kłoda. On odczekał trochę i powoli zaczął zwalniać ucisk. Chociaż w ciemności nie widziała jego twarzy, była pewna, że przygląda się jej ciekawie. Jak leśniczy schwytej sarnie. Trzymał ją za rękę. Podniosła się ostrożnie.

– Siedzą we trójkę w samochodzie, niedaleko stąd – wyjaśnił.

– Kulik jest z nimi? – spytała szeptem, a on odparł, że nie wie, kto to taki. – Nie jesteś jednym z nich?

– Nie. I chyba nie chcę.

Pokiwała głową, dysząc ciężko i trzęsąc się ze zdenerwowania. On sprawiał wrażenie spokojnego i nawet jakby zadowolonego. Jej oczy jako tako oswoiły się z ciemnością, ale noc była czarna niczym smoła i Gerda wciąż nie miała pojęcia, jak wygląda człowiek, który klęczy obok niej.

– Kim jesteś? – spytała.

– Upiorem. Straszę po nocach młode dziewczyny.

Mówił całkiem dobrze po niemiecku, choć z wyraźnym słowiańskim akcentem. Jego głos brzmiał miękko i swobodnie, odbierając wiarygodność właśnie wypowiedzianym słowom. Mężczyzna nadal trzymał jej rękę, ale ucisk zelżał. Gdyby chciała się wyrwać, zrobiłaby to bez trudu. Na razie nie chciała.

– A jak już nastraszysz, to co, gwałcisz?

Natychmiast puścił ją i odsunął się, jakby podejrzenie o gwałt sparzyło go w palce.

– Żartowałem – odparł szybko. – Lepiej powiedz mi, co tu robisz.

– Przyszłam pochować... znajomego. Leży tam, w środku.

Pokazała palcem czarną bryłę pałacu przed sobą, uznając, że pochówek to świetny pretekst. Miała nadzieję, że nie widział jej, jak wypełza spod podłogi. To ona bardziej tu była upiorem.

– To się trochę pokłócimy, bo ja też.

– Znałeś go?

– Może najpierw zróbmy to, po co przyszliśmy – powiedział, wstając. – Jest już po północy, za cztery godziny będzie świtać. Później pogadamy.

Wyciągnął do niej rękę. Na moment się zawahała, ale zaraz uznała swoje wątpliwości za żalosne. Przecież już prawie na niej leżał. Podała mu dłoń, a on pociągnął ją energicznie i ich twarze znalazły się naprzeciw siebie. Oboje zrobili krok do tyłu.

– Gdzie chcesz go pochować?

– Myślałam o klombie przed wejściem. Tam jest miękka ziemia, łatwiej kopać.

– Gołymi rękami to w zasadzie możesz kopać wszędzie – zauważył tym swoim pogodnym, kojącym głosem. – Chyba że zawiążemy spólkę.

– Jaką spólkę?

Nie odpowiedział. Wziął ją ostrożnie za rękę i pociągnął między pierwsze drzewa pobliskiego lasu. Poruszał się miękko i bezgłośnie jak kot, w jego sylwetce było coś sprężystego, silnego i zarazem lekkiego. Gerda rozejrzała się wkoło. Cichej i przyjemnie ciepłej nocy nie zakłócał żaden dźwięk – podmuchy wiatru ustały, śpiew nocnych ptaków umilkł. Zostali całkiem sami pod granatową kopułą nieba. Powinna się bać. Próbowwała.

Od pierwszego dnia powrotu do Heinsdorf strach tkwił w niej na stałe jak źle otorbiona drzazga i dawał znać o sobie przy każdym poruszeniu. Bała się wszystkiego. Jej zmysły skupiały się właściwie tylko na tym jednym

zadaniu: wyszukiwaniu powodów do strachu. Owszem, co jakiś czas powtarzała sobie, że nic już nie ma znaczenia i najlepiej byłoby umrzeć, ale nigdy do końca w to nie wierzyła. I wciąż się bała.

Po doświadczeniach ostatnich dwóch miesięcy cały świat oglądała przez ciemny, bolesny filtr strachu. Przyzwyczała się do kamienia w brzuchu, trzepotu serca w piersi, drżenia rąk. Zdawało się, że przyłgnęły do niej na zawsze, tymczasem właśnie osłabły, zwiędły i odpływały od niej, niepewne swojej dalszej roli w dramacie. Powodów do strachu miała dosyć. Trzech ludzi Kulika czekało na nią w samochodzie niedaleko stąd, czekało niecierpliwie na radość znęcania się nad nią pod sadystycznym okiem szefa. Powinna się bać jak diabli. A jednak przy tym człowieku jej strach zgłupiał.

Przystanął i poświecił latarką. Przed nimi leżała spora hałda ziemi z wbitym na szczycie szpadlem, obok widniał głęboki dół.

– Grób już wykopałem. Pasuje?

Rozejrzała się wkoło. Znajdowali się na niewielkiej polanie otoczonej strzelistymi pniami liściastych drzew, pewnie buków. Nad nimi, między koronami, unosiła się kopała gwiazd.

– Tak, chyba tak.

– Masz broń?

– Nie mam. Trzeba kogoś zastrzelić?

– Nie wiem, ale nie chciałbym, abyś zastrzeliła mnie.

– Dlaczego miałabym do ciebie strzelać?

– Lepiej brzmi pytanie, dlaczego miałabyś nie strzelać.

– Bo?

– Nieważne. Zostań tu, a ja sprawdzę, co robią tamci. Weź to. – Wręczył jej szpadel. – I nigdzie się stąd nie ruszaj. A zresztą – z bardzo bliska popatrzył jej w oczy – jak chcesz, to uciekaj. Od tego zaczęliśmy.

Chciała mu powiedzieć, że to nie tak, że uciekała, bo musiała, po prostu uznała to za najbardziej naturalny odruch w tej sytuacji. Nie powiedziała, ponieważ pobiegł już w ciemność. Usiadła na środku polany i zaciskając dłonie na stylisku łopaty, usiłowała zrozumieć, co się właściwie wydarzyło.

Wrócił po kilku minutach i oświadczył, że tamci śpią. Miała ochotę spytać go, skąd ta pewność, skoro po ciemku nic nie widać, a chyba nie świecił latarką do wnętrza samochodu.

– Chodź, musimy go przenieść.

Znowu wziął ją za rękę i prowadził najpierw między bukowymi pniami, później wśród krzewów i drzew pałacowego parku. Czuła pulsowanie krwi w jego ciepłej dłoni, nad czarną bryłą siedziby Schlieffenów wesoło mrugały gwiazdy, od łąk pachniało świeżymi ziołami. Dawno nie było jej tak dobrze. Przestała nagle rozumieć dziejące się wokół niej rzeczy i właściwie rozumieć już nie chciała. Było dobrze. Bezpiecznie. Ciepło. Podobała jej się myśl, że ten nocny, tajemniczy człowiek o nieznanym twarzy przyszedł tylko po to, by zaprzeczyć wszystkim strasznym okolicznościom, jej cierpieniu i straconemu życiu. Jednym uściskiem dłoni przekreślił te wszystkie śmierci, przekreślił nawet ten wszechogarniający mrok. Szła za nim potulnie i chętnie, a źle otorbiona drzazga strachu przestała drgać. Było dobrze.

Przestało być w salonie. Po krótkiej naradzie zawinęli ciało hrabiego w podarte zasłony, które leżały pod gruzami, i wytaszczyli na ganek. Poprosiła mężczyznę o latarkę i wróciła po swoją książkę. Wcisnęła ją pod sukienkę na piersiach. Dekolt pachniał wędzonką. Musnęła palcem koniuszek klucza, upewniając się, że jest na swoim miejscu.

Kiedy weszła z powrotem na ganek, omiotła światłem jego twarz.

– Hej, co robisz? – zawołał, odwracając się gwałtownie.

– Chciałam wiedzieć, jak wyglądasz – odparła najpogodniej, jak umiała. On jednak rozzłoszczony doskoczył do niej, wyrwał jej latarkę z ręki i wepchnął do kieszeni.

– Mogą nas obserwować – warknął. – Nie mam ochoty dostać kuli w głowę akurat teraz.

Nie rozumiała, dlaczego dostać kulę w głowę teraz jest jakoś gorzej niż przedtem albo potem, ale nie dyskutowała. To mogłoby go jeszcze bardziej rozdrażnić. W krótkim błysku latarki zdążyła jednak dostrzec prawdopodobny powód jego złości. Twarz miał okrągłą i regularną,

młodsza, niż się spodziewała, był właściwie jeszcze chłopcem. Nad niebieskimi oczami nosił prostą grzywkę płowych włosów spadającą na lewy policzek. Niezbyt skutecznie próbowała ona zasłonić pionową czerwoną krechę, biegnącą od oka do ust.

Zsunęli ciało hrabiego po schodkach tarasu i chwytając dwa końce materiału, pociągnęli po trawie w stronę lasu. Szli w milczeniu. Po dotarciu na miejsce złożyli ciało Alexandra von Schlieffena w wykopanym dole i chłopak o płowych włosach zabrał się do zasypywania grobu ziemią. Kiedy skończył, przyklepał kopczyk łopata, a Gerda w tym czasie narwała trochę kwitnących ziół i ułożyła je na grobie. Chłopak na chwilę znieruchomiał ze splecionymi palcami rąk. Zrozumiała, że się modli.

– Dobrze go znałeś? – spytała, gdy się pochylił, by podnieść łopatę.

– Nie. Polski chłop nie może dobrze znać niemieckiego arystokraty, takie rzeczy się nie zdarzają. Pewnego razu mi pomógł, i tyle. To się chyba nazywa „dług wdzięczności”.

– To on nauczył cię niemieckiego?

– Nie. Nie miał takiej możliwości. Mieszkałem tu we wsi przez trzy lata, u jednych gospodarzy, i się nauczyłem. Hrabiego von Schlieffena widziałem tylko raz w życiu.

– I od razu „dług wdzięczności”?

– Tak – odparł krótko, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia.

Przysiedli na ziemi obok świeżej mogiły i zaczęli wreszcie mówić o sobie. Odprawili coś w rodzaju stypy. Dowiedziała się, że nazywa się Antek Kulesza i jako przymusowy robotnik rolny został tu przywieziony w 1942 roku z południa Polski. Miał wtedy siedemnaście lat, więc szybko obliczyła, że teraz ma dwadzieścia. W jego rodzinnym domu pozostali rodzice i troje rodzeństwa, a teraz się zastanawiał, czy jest w ogóle do czego wracać. Tu zostało, jak się wyraził, tyle porzuconych majątków, że można przebierać. Po tych słowach zreflektował się i urwał.

– W porządku – powiedziała. – Rozumiem. Kto ci to zrobił?

– Co?

Dotknęła palcem jego policzka, a on odrzucił głowę w tył. Blizna była czerwona, czyli ranę zadano niedawno, nadwrażliwość w tym miejscu jeszcze pulsowała.

– Powiedz lepiej, kim ty jesteś i co tu robisz. A najpierw, jakim cudem jeszcze żyjesz.

Opowiedziała mu o swoich „cudach” ostatnich dwóch miesięcy: o Reksie, Ottonie, czerwonych diabłach i ziemiance, wreszcie o Kuliku i jego bandzie, której kilka dni temu uciekła. Przy Kuliku głos jej się załamał. Zdołała wykrztusić, że był brutalny i czasem ją bił, ale nie wiedziała, jak powiedzieć tamto. Ujął ją za ramię.

– W porządku, nie musisz. Zostawmy sobie po jednej tajemnicy. Skąd znałaś hrabiego von Schlieffena?

Odparła zgodnie z prawdą, że wcale go nie znała, widziała dwa razy w życiu – pięć lat temu i teraz – i że właściwie uratował jej życie, bo kiedy Kulik ze swoimi ludźmi ją ścigali, on ich zatrzymał, i za to pewnie zginął. Dlatego uznała, że powinna go pochować. O podziemnym pokoju ani tym bardziej o skarbie nie miała zamiaru wspominać. Lepiej zachować dwie tajemnice niż jedną.

– Hrabia pochowany przez swoje dwa „długi wdzięczności” – skwitował Antek Kulesza.

Kiedy tak siedzieli i gadali, świat powoli zaczął się wyłaniać z ciemności. Na niebie gwiazdy pobladyły w szarej poświacie, a wokół nich pojawili się milczący strażnicy polany: buki, sosny i gdzieniegdzie brzozy. Teraz już mogła w jego twarzy rozróżnić kształt nosa, wykrój ust, czerwoną pręgę...

– Świta, muszę iść – powiedział nagle i zerwał się z miejsca.

Zaskoczona również się podniosła. Przewiesiła przez ramię torbę z poszewki i stała przed nim z opuszczonymi rękami. Znowu czegoś nie rozumiała. Tak dobrze im się rozmawiało, że straciła poczucie rzeczywistości. Mogłaby siedzieć i gadać bez końca. Wstający dzień znaczył dla niej tyle, że znowu będzie musiała uciekać i kluczyć, dopóki ktoś jej nie dopadnie, najprawdopodobniej jeden z ludzi Kulika czających

się przy wyjeździe z parku. Ta chwila była jak dobry sen, którego od dawna nie śniła. Teraz musiała się z niego obudzić.

Po cichu liczyła, że zaproponuje jej jakąś pomoc, może zaprowadzi do nowej kryjówki albo poda jakiś bezpieczny adres. Ale nie. Po prostu uśmiechnął się i uścisnął jej rękę.

– Cześć, Gerda. Ładne imię – powiedział. – Sukienka też ładna – dodał.

I odszedł.

Po prostu sobie poszedł.

2

Powodów nagłego odejścia Antka Kuleszy domyśliła się później, kiedy z pierwszym brzaskiem maszerowała przez las, omijając tereny pałacu szerokim łukiem. Dochodziła już do głównej szosy na Przystawno, gdy usłyszała najpierw strzał, a zaraz potem warkot ruszającego samochodu.

Rzuciła się do ucieczki. Warkot narastał i wtedy gdzieś w lesie rozległy się kolejne strzały. Przeskoczyła szosę i biegła co sił w nogach, byle dalej od nich. Po kilkunastu krokach pomyślała jednak o nim i zatrzymała się. Przycupnęła w gęstej kępie krzaków. Widziała wylot parkowej drogi, skąd wkrótce wypadła z łomotem ciężarówka, taka sama jak ta, którą przywiózł ją tutaj Staszek Kulik. Opony zapiszczały na zakręcie i wóz pomknął w stronę Sławna. W lesie padł następny strzał. Samochód ciężarowy skręcił w las.

Zrozumiała, że chłopak z blizną odciągnął od niej pościg i że powinna uciekać w przeciwnym kierunku. Ruszyła w głąb lasu. Przestała myśleć i parła do przodu, rozgarniając zielone pędy, teraz szare jak wszystko w przedświtowej godzinie. Po długim marszu w końcu znalazła obszerny, zadaszony paśnik do karmienia zwierząt. Z trudem wgramoliła się między drewniane paliki i zagrzebała w pachnące kurzem siano, kładąc pod głowę torbę z zapasami. Zasypiała z myślą, że to siano musiał tu włożyć jeszcze niemiecki leśniczy.

Obudziło ją słońce bijące prosto w oczy. Przemagając okropny ból głowy, podniosła powieki. Trzęsła się z zimna. Mówią, że człowiek nie czuje własnego brudu, ale ona czuła, że jej piękna zielona sukienka śmierdzi zgniłym sianem ze żłobu. Zesztywniałe mięśnie nie chciały się poruszać, więc leżała na boku i przez przymrużone oczy spoglądała na leśny gąszcz. A co, jeśli go zabili? Na chwilę było dobrze – i już koniec? Czy ma wracać i szukać ciała, żeby je pochować, splacając kolejny „dług wdzięczności”? Wdzięczności za co? Za następny dzień uciezki i bólu?

To ona powinna zginąć.

Rozpięła sukienkę pod szyją i zacisnęła palce na kluczu. Był ciepły od jej ciała, jakby chciał przypomnieć, że nie, że jeszcze jest coś do zrobienia. Nie wiedziała co. Wstał oszałamiająco piękny wiosenny dzień, eksplodujący siłą i radością życia, a ona znowu miała przed sobą zwierzęcą włóczęgę po bezdrożach, jak wygnaniec. „A ty czekasz, ty czekasz na jedno”. Na co? Poezja ludzi, składa obietnice i ich nie spełnia.

Może powinna po prostu pójść do wsi, zgłosić się na posterunek tutejszej policji albo do wójta i spytać, co robią z Niemcami, którzy zostali (nie wiadomo po co) na Pomorzu. Jakiś porządek tu chyba mają, widziała ludzi w mundurach i z polskimi opaskami na rękawach. Dadzą jej jedzenie, ubranie, może nawet jakąś nową polską rodzinę i będzie mogła zacząć od początku, cokolwiek by to miało znaczyć. W najgorszym razie ją zaaresztują, wsadzą do celi, a potem wypuszczą. Przecież nic nie zrobiła, oprócz tego, że jest Niemką.

A potem przypomniała sobie Kulika i jego kompanów od wódki. Tego w mundurze, jak rechocze z historyjki o pewnym komendancie milicji, który kazał obcinać Niemkom palce z pierścionkami, bo potrzebował prezentu dla żony. I to, jak patrzyli na nią, kiedy przemykała pod ścianą na górę, do sypialni. I to, jak przychodził do niej pijany Kulik, sięgał po nią, popychał na łóżko i...

Zacisnęła powieki, bezskutecznie powstrzymując łzy.

Nagle poczuła łaskotanie w nogę. Wzdrygnęła się i gwałtownie podciągnęła stopy. Serce stanęło w miejscu. Przez moment przeraziła się, że

tamto wróciło. Dlaczego by nie miało wrócić? Ludzie Kulika zabili Antka Kuleszę i kiedy zrobiło się widniej, ruszyli za nią.

Ciii, Gerda. Wybrałaś życie w koszmarze, który nie zniknie tylko dlatego, że przebiegniesz kawałek lasem.

Czekała na uderzenie, ale nic takiego się nie wydarzyło. Obejrzała się. Za jej plecami stała płowa sarna. Poruszała czarnym pyszczkiem i strzygła uszami. Z przekrzywioną główką i napiętymi ścięgnami obserwowała dziewczynę, kalkulując: uciekać czy nie uciekać.

– Hej, co tu robisz? – powiedziała Gerda.

Sarna odskoczyła na dwa metry i stanęła bokiem. Chwilę patrzyły na siebie.

– Jeśli chcesz jeść, to polecam raczej świeżą trawę. Pełno jej na łące. Albo zjedz mnie, ale ostrzegam, że trochę śmierdzę.

Zwierzę spoglądało na nią nieruchomo.

– Wędzonki nie chcesz, prawda?

Wilgotny nosek wykonywał drobne ruchy, analizując impulsy zmysłowe. Uciekać, nie uciekać. Widocznie analiza Gerdy wypadła pomyślnie, ponieważ sarna nie uciekła. Jej główka szybko obróciła się w prawo, w lewo, potem jeszcze raz w prawo. Nie stwierdziwszy zagrożenia, zwierzę podeszło do człowieka.

– Co mi przysłaś powiedzieć? Tylko nie mów, że mi pomożesz. W najlepszym razie jesteś jeszcze jedną dobrą istotą na mojej drodze, która za chwilę zginie, jak poprzednie. Ciebie też mam pochować nocą, pod gwiazdami? Bo że w lesie, to już wiem.

Sarna przekręciła główkę, jakby słowa Gerdy naprawdę ją zainteresowały. Potem zrobiła krok do przodu. Po krótkim wahaniu włożyła łeb między pręty paśnika. Gerda ostrożnie wyciągnęła rękę i została polizana w opuszki palców.

– Witaj, śliczna – powiedziała miękko, by jej nie spłoszyć. – Już sobie idę. Naprawdę będziesz to jadła?

Wygrzebała się z legowiska i przełożyła torbę przez ramię. Sarna wcale nie okazywała typowej dla swego gatunku płochliwości. Ich spojrzenia się spotkały. Każda patrzyła na drugą jak na dziwolągą, który przekroczył magiczną, nieprzekraczalną granicę. Wyłoniły się z dwóch przeciwnych światów i spotkały w strefie pomiędzy.

– Znasz może drogę do Kuckucksmühle? – spytała żartobliwie Gerda i ku jej zdziwieniu sarna zareagowała tak, jakby doskonale zrozumiała pytanie.

Liznęła jej wyciągniętą dłoń i odbiegła truchtem między drzewa. Tam przystanęła i obejrzała się na nią, strzygąc uszami.

Chodź za mną, pokażę ci.

Dziewczyna rozejrzała się, las jednak milczał z dyskrecją godną kogoś wyważonego i skłonnego przyznać rację każdej ze stron, byle umiała ją uzasadnić. Nie widziała powodu, by odmawiać życzliwemu zwierzęciu. Zrobiła siku pod krzakiem, wyjęła z karmnika jedno z drewnianych żeber i oparła się na nim. Nadawało się. Drugą ręką sięgnęła do torby i tak, uzbrojona w wędrowny kij oraz ostatni kawałek kiełbasy, ruszyła za sarną.

Droga wiodła środkiem starej pomorskiej legendy. Las najpierw schodził po łagodnej pochyłości, zakończonej ukrytym wśród gęstych zarośli strumieniem, po czym wznosił się po drugiej stronie już w nieco innej kompozycji roślinnej, z przewagą nagich bukowych pni. Podłoże zaścierał dywan zbutwiałych liści, na których mokre buty chlupotały przy każdym kroku, jakby były częścią jakiegoś cyrkowego przebrania. Sarna przebiegła strumień dwoma susami, niespecjalnie przejmując się ludzką nieporadnością. Każdy sobie radzi, jak umie. No i teraz buty Gerdy chlupotały, a pierścień ze szmaragdem obcierał jej palec. Tyle dobrze, że zdążyła na środku strumienia łyknąć z garści trochę chłodnej wody.

Kiedy po wyczerpującym biegu pod górę opadła z sił i przystanęła dla złapania tchu, sarna również się zatrzymała. Sygnał był jednoznaczny. Chciałaś, żebym cię zaprowadziła, to chodź.

Odpoczęła trochę i pobiegły dalej. Na szczycie wzniesienia odwróciła się i spojrzała na wschód w kierunku Przystawna. Wieś z daleka wyglądała jak

na obrazku. W środku wieża kościelna z czerwonej cegły, dokoła niej zabudowania pokryte równiutko ułożonymi dachówkami, między nimi półokrągłe czasze owocowych drzew, jedne jasnozielone, inne białe od kwiatów. Na pochyłych polach za wsią krowi zaprzęg ciągnął pług, pochylony mężczyzna pomagał zwierzętom, pchając ciężkie żelazo. Nieco dalej para ludzi kopała ręcznymi narzędziami w ziemi. W zasięgu wzroku nie widziała ani jednego traktora, ani nawet konia. Jakby czas cofnął się o trzysta lat. Chociaż orka o tej porze nie miała już sensu, nowi ludzie próbowali jeszcze ratować, co się da, z tej wiosny. Słońce świeciło za darmo, deszcz padał za darmo, trawa rosła gdzie popadnie, również za darmo. Piękny maj był za darmo. Cokolwiek jednak miało jakąś ludzką wartość, uległo zagrabieniu lub zniszczeniu. Rzeczy i domy zmieniły właścicieli. Wojna i jej zakończenie nie były za darmo.

Za wzniesieniem las nagle się kończył i dalej biegły szeroką łąką. Gerda czuła się mocno nieswojo na odkrytym terenie, gdzie mogła zostać dostrzeżona z daleka i tym samym zakończyć swoją pomorską odyseję w łapach jakichś nienasyconych zwycięzców. Sarnie to jednak nie przeszkadzało. Biegła lekko i swobodnie, od niechcienia, jakby zostały we dwie same na świecie i zupełnie nic im nie groziło. Wkrótce znalazły się w następnym lesie, gdzie Gerda znowu musiała odpocząć. Była osłabiona, mdliło ją w żołądku, miała ochotę jeść i wymiotować równocześnie. Krew waliła jej w skroniach. Sarna czekała cierpliwie.

– Daleko jeszcze?

Zwierzę zastrzygło uszami. Gdzieś daleko huknął strzał. Gerda skuliła się pod drzewem, moszcząc się między dwoma wielkimi korzeniami buka. Nabrała już pewnej wprawy w chowaniu się po lesie. Sarna położyła się pod kępą suchych paproci nieopodal. Czekały.

– Jesteś zaczarowaną rusalką czy po prostu coś ci się pomieszało w łebku? – spytała dziewczyna.

Sarna nie zareagowała. Strzygła uszami i obracała głowę raz w prawo, raz w lewo.

– Wiesz, z nowych rzeczy grozi mi jedynie śmierć, a tej się nie boję. Jak umiesz mówić, to mów. Śmiało.

Zwierzę nie umiało mówić lub po prostu nie chciało, ponieważ patrzyło na nią nieruchomym wzrokiem, tak niewzruszonym, jak tylko potrafi być wzrok dzikiego zwierzęcia. Jego spojrzenie padało nie na oczy dziewczyny, ale tuż obok, na policzki lub na szyję. Unikało kontaktu. Jesteśmy z różnych światów, nic nas nie łączy, tylko ta chwila. Ten bieg.

– Zabili go?

Sarna patrzyła w przestrzeń za Gerdą.

– W porządku, nie chcesz mówić, to nie. Wędliny też nie jesz, prawda?

Odgryzła kawałek suchej, oblepionej skryształowaną solą szynki, sarna spojrzała na nią z dezaprobatą i ruszyły w drogę.

3

Kukułczy Młyn wyłonił się zza drzew nagle, bez uprzedzenia. W jednej minucie go nie było, a w drugiej już stał w całej okazałości. Najpierw Gerdzie przyszło do głowy, że nie jest rzeczywisty. Że ma przed sobą piękną iluzję, czyli to, czego pragnęła, przedzierając się przez las. Przysadzista budowla o tępym, zaokrąglonym hełmie i pochyłych ścianach wyrosła przed nią na szczycie pagórka jak wyczarowana, w otoczeniu zaledwie kilku pojedynczych drzew. Cztery skrzydła wyglądały jak kokarda przypięta do ogromnego ula dziadka Wilhelma. Ukryta za kępą krzaków Gerda obserwowała stary wiatrak ze wzruszeniem. Tak, to był na pewno on, ten sam, który odwiedzała z ojcem. Stał cały, nienaruszony, wojenny sztorm ominął go, nie zostawiając żadnych śladów zniszczenia.

Odwróciła się, żeby podziękować swojej przewodniczce, ale sarna zniknęła bez śladu. Może w ogóle jej nie było? Może wywołała ją niestrawność Gerdy, dająca znać o sobie po monotonnej diecie, złożonej ze starej wędzonki i wody z potoku? Może. Wzruszyła ramionami i wróciła do obserwacji wiatraka.

Deski na ścianach były ciemne od oleju, prawie czarne. Ażurowe śmigi o jasnej barwie wyraźnie odcinały się na ich tle. Z osią lekko wychyloną ku górze wyglądały, jakby wystawiały bladą młyńską twarz na słońce. Dzwonowaty korpus młyna spoczywał na ceglanym fundamencie, do którego prowadziły ciężkie, okute drzwi. Do jednej ze ścian przylegała wiata o spadzistym dachu, pozostałe miały wąskie prostokątne okienka. Drewniane schody z balustradką prowadziły na podest, jak kryza biegnący wokół budynku na wysokości górnej płyty fundamentu. Do barierek przymocowane było wielkie koło sterowe, za pomocą którego przestawiano głowicę odpowiednio do kierunku wiatru. Inne wielkie koło, z białego kamienia, stało oparte o jeden z ośmiu narożników fundamentu. Błyszczało w słońcu jak fragment szkieletu dinozaura. Wokół panowała południowa cisza, przerywana jedynie sennym brzęczeniem owadów.

Nagle dmuchnął wiatr i budynek zaskrzypiał przeciągle. Dobrze już wyćwiczonym odruchem uskoczyła za drzewo. Skuliła się przy ziemi. Odczekała chwilę, a kiedy skrzypienie się nie powtórzyło, wychynęła zza pnia, jednak wiatrak wrócił do swej drzemki. Tkwił w miejscu, majestatyczny i nieruchomy jak uśpiony olbrzym albo myśliciel, który podczas wędrówki przystanął nagle, by zagłębić się w jakąś fundamentalną kwestię. Wiatr chłodził mu czoło, trawy łaskotały popękane stopy. On stał i myślał.

Obserwowała go z żalem i zdumieniem jednocześnie. Znowu na próżno zaciskała powieki, łzy pociekły na koronkowy kołnierzyk. Stary wiatrak przyszedł stamtąd. Przywędrował z jej poprzedniego życia i przystanął na łące pod lasem, żeby... Co? Żeby bardziej bolało? Żeby ją jeszcze raz zwieść i dać niepotrzebną, raniącą nadzieję? Bo cóż ponadto mógł jej zaoferować ten rozklekotany i wyschnięty rupieć, który pierwszy pijany żołdat może puścić z dymem? Albo przyjdą nowi gospodarze tej ziemi i zabiorą go sobie, jak zabrali wiele innych rzeczy? A jednak przetrwał. Oparł się zniszczeniu, zupełnie jakby za sprawą czarodziejskiego zaklęcia zniknął na czas wojny, a teraz pojawił się z powrotem. Niewzruszony. Pewny swego. Piękny.

Długo zbierała się w sobie, nim przemogła strach i ruszyła ku niemu. W rękę ścisnęła swój wędrowny kij. Nie nadawał się do niczego poza przeganianiem psów, ale oferował złudzenie bezpieczeństwa. Przez ostatnie dni zdążyła się przyzwyczać, że żyje wędzonką i złudzeniami. Reszta stanowiła królestwo Pana Śmierć.

Wiatraczny kolos przytłaczał rozmiarami. Kiedy z zachowaniem najwyższej ostrożności wchodziła po skrzypiących schodach, dominował nad nią, ciemny i wielki jak góra. Przeszła podestem i uchyliła drzwi, na które natknęła się po przeciwnej stronie. Wewnątrz panowała sucha cisza i bezruch. Jedynie drobinki kurzu krążyły energicznie w białych szczelinach światła. Na środku pomieszczenia stał gruby pionowy słup, przebijający strop. Niczym olbrzymia korona na iglicy kościoła tkwiła na nim drewniana obręcz z kołkami tworzącymi zębatkę, zaczepioną o inne, mniejsze koła domontowane z boku. Od każdego z nich odchodziła oś napędzająca jeden z wiatracznych mechanizmów. Największa zębatka służyła do kręcenia dwóch kamieni młyńskich, spod których wybiegały dwie rury na mąkę. U ich stóp na deskach widniały białe plamy. Oprócz głównego słupa nośnego stało tutaj jeszcze kilka drewnianych filarów, co w połączeniu z maszynią do mielenia dosyć skutecznie zagraczało ośmiokątny pokój.

Gerda dostrzegła w kącie drabinę i po chwili wahania wspięła się po niej na piętro. Tu miejsca było więcej, a wrażenie przestronności wzmacniały dwa kwadratowe okienka, wmontowane w ścianę naprzeciw siebie na wysokości jej wzroku, skierowane na wschód i na zachód. Spojrzała przez to zachodnie na zalaną słońcem łąkę z falującymi trawami i dalekie dachy domów z wieżą kościoła pośrodku. Ścisnęło ją w gardle – to był Heinsdorf.

Przy okienku stała kolejna drabina, węższa od tamtej. Prowadziła na najwyższą kondygnację, gdzie mieściła się głowica wiatraka z wielkim kołem napędowym. Tu biło serce kolosa. Gerda bała się myśleć, jaki harmider towarzyszy mu podczas pracy. Po wejściu na górę zauważyła, że drabinę da się wciągnąć, zamknąć otwór klapą na zawiasach i w ten sposób odciąć poddasze wiatraka od reszty budynku. Znakomicie. Miała nową kryjówkę, tym razem w powietrzu.

Wiatr poświstywał cichutko w szparach desek, poddasze było nagrzane od słońca. Usiadła w kącie i oparta o ścianę z przyjemnością odczuwała na plecach lekkie drżenie budynku. Zamknęła oczy.

– Wiatrak żyje – mówi stary młynarz, pan Hecht. Ojciec i młody młynarczyk ładują worki na wóz. – Kiedy pracuje, porusza się, chodzi wkoło i czuje wiatr. Czasem mówi i śpiewa. To nie jest taki sobie zwyczajny dom albo stodoła. Tak jak nie ma dwóch jednakowych ludzi, tak nie ma dwóch jednakowych wiatraków. Każdy ma swój niepowtarzalny charakter. I swoje humory. O, posłuchaj.

Pan Hecht podnosi rękę, jakby ją uciszał, chociaż to on cały czas mówi. Śmiggi kręcą się powoli, majestatycznie i od niechcienia, śmiertelnie znudzone jednostajną robotą. W brzuchu wiatraka słychać zgniatanie i rozcieranie ziaren, mielenie, sypanie mąki i postękiwanie wielgachnych kół. Nagle od Bałtyku dmucha silniej i cała maszyna wydaje z siebie przeraźliwy jęk, niczym heretyk na mękach, a gdzieś z samych trzewi dobywa się basowy łomot.

– Byłaś kiedyś na cmentarzu? – zwraca się nagle do niej pan Hecht, kiedy łomot cichnie i wszystko wraca do monotonnego szumu. Ona przytakuje z zawstyżeniem.

– W dawnych czasach człowieka po śmierci chowano tam, gdzie żył. Pod domem, w ogrodzie, wśród tego wszystkiego, co mu towarzyszyło za życia. Widzisz, wiatrak też umiera. Najpierw przestaje pracować, bo nie jest już potrzebny, potem różne stworzenia, z człowiekiem na czele, okradają go z przydatnych części i w końcu zostaje z niego sama skorupa z oskubanymi jak u gęsi skrzydłami. Wtedy swoje odbiera wiatr. Z każdą kolejną wiosną obrywa kawałek wiatracznego ciała, by w końcu pozostawić tylko marny strzęp, stertę spróchniałych desek, którą byle włóczęga spali w ognisku, żeby się ogrzać. W ziemi zostaje unieruchomiony wir, zastygły obrót powietrza, podobny do tańca zatrzymanego w pół kroku, z uniesioną stopą. Okrągle miejsce po istnieniu. To jest mogiła wiatraka.

Niewiele z tego rozumie, dochodzi jednak do wniosku, że pan Hecht nie tylko jest doświadczonym młynarzem, ale i barwnym gadułą. Pewnie jak

nie ma nic do roboty, siedzi pod śmigającymi skrzydłami i wymyśla sobie historyjki, które potem opowiada dzieciom zjeżdżających tu z interesem gospodarzy. Pracuje i opowiada swoją pracę.

– *Komm, Prinzessin!* Chodź, księżniczko! – słyszy głos ojca i zeskakuje z drewnianych stopni na ziemię. Pan Hecht rozmywa się w powietrzu, a ona już biegnie skwapliwie do tamtych, żeby się nie spóźnić, bo tata nie lubi tracić czasu na darmo. Jednak jest już za późno. Wóz z ojcem znikł za zakrętem na skraju lasu, a ona zostaje sama na zakurzonej drodze.

– Hej, zaczekajcie na mnie! – krzyczy. – Nie! Tatusiu, nie!

Poderwała się, uderzając głową w belkę. Syknęła z bólu i usiadła z powrotem, przytykając dłoń do feralnego miejsca na potylicy.

Otworzyła oczy.

Z otwartej kłapy w podłodze kiwała na nią kobieta z cmentarza.

– *Komm, Prinzessin* – powiedziała i zniknęła w otworze.

Książkę z kluczem Gerda wcisnęła pod belkę w załomie dachu, nakryła pustymi workami i ruszyła z powrotem w dół.

4

Rudolf Mielke, zdemobilizowany oficer Kriegsmarine oraz były kapitan statku motorowego „Regulus”, miał sporo szczęścia w Heinsdorf. Po pierwsze, nie został od razu zabity. Po drugie, znalazł życzliwą gościńię w pierwszym napotkanym domu, czyli u rodziny Siemczuków. Ci ubodzy przesiedleńcy z Kresów niezbyt pewnie czuli się na nowym gospodarstwie, więc z zadowoleniem przyjęli ofertę służby ze strony kogoś, kto w przeciwieństwie do nich umiał obsługiwać niemieckie narzędzia. Sporo ich się wałało w obejściu i warto było się dowiedzieć, do czego są. Po trzecie, znalazł się w bezpośrednim sąsiedztwie domu rodzinnego Heike i Gerdy Liebner, choć o tym jeszcze nie wiedział.

Na próbę Siemczuk zaprowadził Niemca do piwnicy i pokazał mu metalowe ramię z korbą, pokręteł i dziwnymi uchwytami, pytając na

migi, co to jest. Mielke wiedział. Jako chłopiec pomagał matce robić zapasy z mięsa zakupionego od sąsiadów, którzy z kolei przywozili je od swoich krewnych ze wsi. Rozejrzał się po pomieszczeniu, z pudełka pod ścianą wyjął pustą puszkę, nabrał do niej piasku ze skrzyni do przechowywania warzyw, zatkał wieczkiem i podstawił pod ramię. Po dopasowaniu przykrywki docisnął ją tłoczkiem, po czym uważnie kręcąc korwą, objechał puszkę dookoła i podał chłopu gotową konserwę. Siemczuk był zachwycony.

Później Mielke wyjaśniał gospodarzom zastosowanie jeszcze innych przedmiotów: płaskich kamiennych termoforów do łóżka, ściennego młynka do kawy, sokownika, a także stojących pod wiatą narzędzi rolniczych. Niestety, niektóre z nich były poniszczone i wymagały napraw, jak na przykład wielka mechaniczna kosiarka McCormick, w której ktoś powyłamywał noże. Mielke pokazał, że nie ma problemu, może i tym się zająć.

Za ostatnie złote monety kupił od Siemczuków ubranie. Jego obozowe łachmany, dzięki którym dotarł aż tutaj, zostały komisyjnie spalone w piecu. Na nocleg wyznaczono mu miejsce w komorze obok stajni, ponieważ poniemiecki dom nie był jeszcze w całości posprzątny. Tyle w każdym razie wyrozumiał z krzykliwych tłumaczeń Siemczukowej, popartych intensywną gestykulacją. Do ostatecznego uporządkowania widocznie nigdy nie doszło, ponieważ Mielke cały swój czas u Siemczuków, czyli do 23 czerwca, spędził na legowisku w stajni.

Pracował w obejściu i na polu od rana do wieczora. Jadał to, co mu przynieśli – czasami całkiem przyzwoity obiad, innym razem trochę ugotowanych obierków z ziemniaków, polanych stopionym smalcem, a na kolację pajdę suchego chleba. Nie skarżył się, ponieważ widział, że sami gospodarze również żyją bardzo biednie. Ich najstarszy syn miał na imię Bolek i z początku trochę mu dokuczał. Wołał na niego „szwabie”, ciskał kamieniami, pluł do jedzenia. Kiedyś nawet zakradł się do komórki i nasikał mu na posłanie. Od starszych nauczył się, że Niemcy to nie ludzie. Prócz niego w domu była dwójka mniejszych dzieci i kolejne w drodze.

Mielke nie żywił pretensji. Wszystkie przejawy odwetowej agresji przyjmował ze spokojem kogoś, kto ma ważniejsze sprawy do załatwienia. A miał znaleźć Gerdę. Wróciła do tej samej wioski dwa miesiące wcześniej i jeśli dopisało jej (duże) szczęście, powinna gdzieś tu być. Po nią wrócił do piekła, z którego wywoził innych. To ona nie pozwoliła mu zwyczajnie umrzeć.

Bał się pytać wprost, ci nowi ludzie byli przewrażliwieni na punkcie Niemców. Wyćwiczył się w milczeniu i schodzeniu im z drogi, bo wtedy stawał się trochę mniej Niemcem i mogli jakoś przełknąć jego istnienie. Raz tylko przemógł się i napisał na kartce jej imię, narysował dziewczęcą postać i podetknął pod nos Siemczukowi. Akurat siedzieli wszyscy w domu i mieli dobre humory, ponieważ udało im się zdobyć worek ziemniaków i trwała ożywiona dyskusja, czy je zjeść, czy jeszcze posadzić. Stało na zjedzeniu. Siemczuk nad rysunkiem tylko pokręcił głową i powiedział coś po polsku, na co jego żona parsknęła śmiechem. Pogładziła się po ciężarnym brzuchu i wyszczerzyła zęby do Niemca. Odezwał się za to Bolek. Zaczął szybko opowiadać i pokazywać ręką za siebie, na co rodzice kazali mu się zamknąć. Mielke więcej nie wracał przy nich do tematu.

Od niego uczył się polskiego. Tylko tą drogą mógł zdobyć jakieś informacje o niemieckiej dziewczynie. Kiedy więc zostali pewnego dnia sami i chłopiec z zaciekawieniem grzebał w jego rzeczach, kapitan wyjął z kieszeni nóż z kościaną rączką i swastyką, który udało mu się przemyścić z Flensburga. Chłopcu zaświeciły się oczy.

– Chcesz? – spytał Mielke po niemiecku, wyciągając scyzoryk ku niemu.

– Pewnie – odparł tamten i kapitan domyślił się, że słowo to oznacza: *sicher*. Cofnął rękę z prezentem i wyciągnął drugą, z rysunkiem.

– Gdzie ją widziałeś?

Bolek wzruszył ramionami i powiedział coś po polsku, z czego Mielke zrozumiał tylko dwa słowa: „dom” i „obok”. Pokazał palcem na ścianę i uniósł pytająco brwi. Chłopak rozejrzał się z wahaniem, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie podsłuchuje, po czym kiwnął na kapitana, żeby poszedł za nim. Wyszli na podwórze i tam dyskretnie wskazał palcem sąsiedni dom.

Z kciuka i palca wskazującego zrobił kółko i następnie wetknął w nie palec prawej ręki, brzydko się przy tym uśmiechając. Potem jakby nagle się o coś obraził, skrzywił się ze złością i wyciągnął rękę po nóż. Kiedy schował go do kieszeni, po prostu odszedł.

Kapitan podczas robót w gospodarstwie nieraz przyglądał się ukradkiem ludziom zajmującym sąsiednią posesję i szybko doszedł do wniosku, że najlepiej dla niego będzie ich unikać. Panował tam ciągły ruch, młodzi i często pijani mężczyźni nieustannie zwozili i wywozili całe ciężarówki mebli, ubrań i innych rzeczy pochodzących z rabunku niemieckiego mienia. Dowiedział się od Bolka, że Polacy mają na to dziwnie niemiecko brzmiące słowo „szaber”. Często krzyczeli „kurwa”, rechotali na głos i wymachiwali bronią, nawet w obecności człowieka w mundurze, który chyba reprezentował tutejszą policję. Przez dom przewijały się również kobiety. Radośnie nadszakiwały szabrownikom, piły z nimi, głośno chichotały i wszystkie mówiły po polsku. Żadna z nich nie wyglądała na Gerdę. Pewności jednak mieć nie mógł.

Od rozmowy z chłopakiem przyglądał się sąsiadom uważniej. Decyzję podjął 23 czerwca, pewnego sobotniego popołudnia, kiedy rozładowano samochody ciężarowe przed niedzielnym targiem w miasteczku Sławno i na podwórzu zaroilo się od ludzi. Uśmiechy na twarzach zdradzały nadzieje na spory zysk, a względnie ciche rozmowy – że jeszcze nie są zupełnie pijani. Zakładał, że w dużej grupie ma większe szanse. Bolka wziął w charakterze alibi, przekupując go ostatnim banknotem jednodolarowym, który mu pozostał.

Na ich widok grupa mężczyzn na podwórzu ucichła. Popatrzyli najpierw na Mielkego, potem na wysokiego bruneta w skórzanej kurtce i z papierosem w ustach. Stał pośrodku i ramieniem przygarniał do siebie dziewczynę w jasnej sukience. Na rękawie miał biało-czerwoną opaskę. Za jego plecami biały pies na łańcuchu poszczekiwał żałośnie. Bolek Siemczuk zaczął coś szybko mówić, pokazując na niego palcem, ale mężczyzna odepchnął go z krótkim warknięciem. Palił papierosa i świdrował wzrokiem gościa.

– Czy ktoś tu rozumie po niemiecku? – spytał Mielke.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy patrzyli na mężczyznę w skórzanej kurtce. Nie ulegało wątpliwości, że on tutaj rządzi. Nawet pies zamilkł.

– Nazywam się Rudolf Mielke – zaczął jeszcze raz. – Szukam krewnych, którzy tu mieszkali przed... przed wyzwoleniem. Liebnerowie.

Zauważył, jak twarz mężczyzny nieznacznie drgnęła. Stojąca obok dziewczyna wydała z siebie krótki chichot, na co on warknął coś po polsku i odepchnął ją. Zrobił dwa kroki do przodu i znalazł się tuż przed Mielkiem.

– Masz jakieś papiery? – spytał po niemiecku.

Starając się zachować spokój, Mielke pokręcił głową.

– Nie mam. Zostałem okradziony w pociągu.

– Przez kogo?

– Przez Rosjan.

Odpowiedź była prawidłowa, ponieważ mężczyzna uśmiechnął się pod nosem i splunął pod nogi.

– Widzisz, szwabie, jaki porządek? Pobili was i jeszcze okradają. A Polacy – zatoczył ramieniem wkoło – porządni ludzie i nie kradną.

Mówił prostą niemczyzną z twardym, słowiańskim akcentem. Tu i ówdzie rozległy się śmiechy, z czego Mielke wywnioskował, że więcej osób rozumie ich rozmowę. Prawdopodobnie byli to robotnicy z okolicznych gospodarstw. Może dobrze, a może i fatalnie.

– Jak mówiłem, szukam krewnych o nazwisku Liebner. Mieszkali tutaj, w Heinsdorf, ale po przejściu frontu nie natrafiłem na żadną informację o nich, nie wiem, co się z nimi stało. Pomyślałem, że może tutaj ktoś...

Mężczyzna nagle uderzył go otwartą dłonią w twarz. Cios był silny i Mielke zatoczył się na jednego ze stojących obok chłopaków. Ten odepchnął go i krzyknął: „Kurwa!”.

– Kłamiesz, szwabie. Gdyby Rosjanie cię dopadli, już byś nie żył. A Liebnerowie to nie tutaj. Coś ci się pomyliło.

Staął na powrót prosto i starał się robić wrażenie, że to nic takiego. Nie miał najmniejszych szans na konfrontację. Zresztą nie po to tu przyszedł.

– Wiem, że nie tutaj, tylko parę domów dalej. Słyszałem pogłoski, że cała wieś zginęła na morzu podczas ucieczki i chciałem się upewnić. Może ktoś został. Liebnerowie mieli sześć córek i...

Mężczyzna znowu go uderzył.

– Siedzisz tu dwa miesiące. Dlaczego przyszedłeś dopiero teraz?

Tym razem zdążył się przygotować i nie stracił równowagi. Stał mocno na nogach. Tamten znowu podniósł rękę, a wtedy Mielke zasłonił się i zaczął szybko mówić:

– Bałem się rosyjskich żołnierzy. Podobno zabijają każdego Niemca, którego złapią, dlatego wolałem najpierw ukryć się tutaj, u Siemczuków, i trochę przeczekać, a przy okazji się rozejrzeć i posłuchać, co ludzie mówią. Niestety, nie spotkałem tu żadnych Niemców i boję się, że te pogłoski, że cała wieś... one mogą być prawdziwe. Mimo to chciałem spytać, czy nie widzieliście kogoś z rodziny Liebnerów. To moi krewni i...

Mówił prostym językiem, żeby tamten mógł zrozumieć. Starał się nadać swojemu głosowi odcień gorliwej usłużności, że niby dobrze rozumie, kto tu teraz jest panem. Mężczyzna słuchał z przymrużonymi oczami, które mówiły: może ci wierzę, a może nie.

– Esesman jesteś? Masz tatutaż? Kliszu, sprawdź.

Jeden z ludzi podszedł do Mielkego i bezceremonialnie rozciął mu rękawy pod pachami. Rozerwał materiał do połowy i dokładnie obejrzał ręce. Pokręcił głową i skomentował coś krótko, czego Niemiec nie zrozumiał. Nie miał żadnego tatuażu, był kapitanem cywilnego statku, zmilitaryzowanym zaledwie trzy lata temu. Poza tym oficerowie Kriegsmarine nie nosili żadnych służbowych tatuaży.

– Nie mam nikogo, wszyscy moi bliscy zginęli – zaczął znowu mówić. – Tylko oni mi zostali. Dlatego wróciłem. Mieszkałem w Hamburgu, ale po śmierci narzeczonej i obojga rodziców postanowiłem przyjechać na

Pomorze. Jeśli ktoś z panów może mi pomóc, byłbym wdzięczny. Bardzo proszę.

– A jak już ich znajdziesz, to co będziecie robić?

Na takie podchwytliwe pytanie również był przygotowany.

– Wyjedziemy z powrotem do Hamburga. Mam tam dom, ocalał z bombardowań, zmieścimy się wszyscy. Wiem, że na razie nie wolno, ale jak tylko otworzą granice...

– Masz pieniądze na podróż?

Mężczyzna w skórzanej kurtce nadal mrużył oczy, ale pojawiła się w nich nowa iskierka. Chyba się dobrze bawił.

– Nie. Ale może uda się zarobić tu, na miejscu. Popracować u dobrych ludzi.

– U dobrych nie zarobisz – odparł tamten i kilka głosów przytaknęło mu ze śmiechem. – Lepiej u złych. Na przykład u nas. – Odwrócił się do swoich i dodał po polsku: – Co nie, chłopaki?

Zarechotali, a on przybliżył swoją twarz do twarzy Mielkego i powiedział półgłosem:

– Ale nie za darmo. Co nam możesz dać, *Herr Rudolf Milke*, hę?

– Może trochę mleka? – rzucił ktoś z boku.

To miał być żart z jego nazwiska, powiedziany po polsku i po niemiecku, więc wszyscy znowu się zaśmiali. Wtedy nagle wyrwał się Bolek, który koniecznie chciał się włączyć w zabawę i przypodobać dorosłym.

– Albo niech przyprowadzi Gerde Liebner! – krzyknął ucieszony z pomysłu.

Mielke nie rozumiał dokładnie, o co chodziło w zabawie, ale imię i nazwisko wychwycił bez trudu.

Efekt był piorunujący. Mężczyzna w skórzanej kurtce zbladł, dolna warga schowała się pod górną. Schwycił małego Siemczuka za koszulę i krzycząc na niego, szarpnął przez podwórko ku ich zagrodzie, a pod płótem wymierzył mu solidnego kopniaka. Gdy chłopak z płaczem rzucił się do ucieczki, mężczyzna szybkim krokiem wrócił po Mielkego,

przystawił mu pistolet do głowy i powlókł do domu. W kuchni przeładował broń i siny z wściekłości wcisnął mu lufę pod brodę.

– Gdzie ona jest? – wychrypiał.

Mielke, któremu na podwórzu zaczęła już świtać nadzieja na jakiś sukces, poczuł rychły koniec. Ten człowiek drżał z wściekłości, nie panował nad sobą, pociągnięcie za spust to była kwestia jednej chwiejnej sekundy.

– Kto? – spytał, żeby zyskać na czasie. Popęnił błąd. Uderzony kolbą w skroń, upadł na podłogę.

– Gdzie-ona-jest?

Otarł krew ściekającą mu na oko, zasłaniając przy tym głowę. Tamten usiadł na nim i teraz przystawił mu lufę do karku.

– Liczę do trzech.

Mielke gorączkowo myślał, co odpowiedzieć. Teraz, kiedy był tak blisko Gerdy, która odgrywała tu jakąś ważną rolę i o której ten typek musiał coś wiedzieć, głupio byłoby umierać.

– Raz...

– Nie wiem.

– Dwa...

– Naprawdę nie wiem!

Jego mózg pracował jak szalony. Przelatywały przez niego oderwane słowa, jakieś nazwy miejscowości, nazwiska, twarze przypadkowych ludzi, smutne oczy pary uciekinierów na „Regulusie”, hrabia na festynie...

– Trzy...

– Ale wiem o...

Jakie to było nazwisko? *Um Gotteswillen*, na Boga, jakie to było nazwisko? Gorączkowo przegrzebywał pamięć, której zostało kilka sekund...

– O czym?

Słyszał delikatny szcęk mechanizmu zwalniającego spust. Fala gorąca. Wodospady krwi. Szum odsuwanej zasłony.

– O... o skarbie.

Ucisk lufy na karku zelżał. Mężczyzna zszedł z niego i mocnym szarpnięciem przewrócił na plecy.

– O jakim skarbie? Mów!

Znowu padło sakramentalne „kurwa”, które zgrało mu się z tym dziwnym „szaber”, podobnym z kolei do *schieben*, a to prowadziło go do... *Schleifen? Geschlieffen?*

– Schlieffenów! Wiem, gdzie jest zakopany skarb von Schlieffenów! – wykrzyknął kapitan.

– Gdzie? – spytał tamten, dysząc mu w ucho.

To Mielke akurat pamiętał.

– W Prestow. To znaczy w Przystawnie.

Mężczyzna puścił go i usiadł na krześle. Ciężko dyszał, a w jego oczach migotały resztki obłąkańczego napięcia. Nogą podsunął mu taboret.

– Siadaj i mów. Może pożyczysz do jutra.

5

Młyn pojękiwał z cicha jak czochrany psiak. Rzeńskie podmuchy od Bałtyku przyjemnie świstały w szparach desek, podrywając z podłogi kurz i zmuszając go do tańca w słonecznych smugach. Materią świata jest proch, pomyślała Gerda, patrząc na wirujące drobinki. Siedziała w ciepłej wodzie i poddawała się zabiegom kobiety z rozkoszą, jakiej dawno już nie odczuwała.

Kobieta miała na imię Ursel i zaczęła z nią znajomość nie od rozmowy, ale od higieny osobistej.

– Musimy zmyć z ciebie cały ten brud – powiedziała, lejąc gorącą wodę do balii. – Sporo go nabrałaś na siebie.

– Wszyscy Niemcy są brudni – odparła.

Z ulgą zrzuciła ubranie i zanim weszła do kąpieli, spacerowała naga po zaprószonej mąką podłodze z przyjemnym przeczuciem, że drewniany stwór ją podgląda. Klucz schowała między kartki książki. Zieloną sukienkę wrzuciła do miski z wodą, żeby ją porządnie namoczyć przed praniem, ponieważ śmierdziała wędzonką i piwniczną stęchlizną.

Podrapała się po głowie, która nagle zaczęła ją swędzieć.

– Zanurz się – poleciła stara, namydliwszy jej włosy. – Jak najdłużej. Trzeba potopić wszy.

Gerda nabrała powietrza, zatkała palcami nos i zsunęła się na dno balii. Podwinąwszy nogi, położyła się na boku i leżała tak w pozycji embrionalnej, dopóki nie zaczęło jej brakować powietrza. To było jak wielki powrót do początku. Do domu, do źródła. Krew przyjemnie szumiała w czaszce. Mokre ciepło otulało ją szczelnym płaszczem. Uwalniane z ust bąbelki powietrza łaskotały skórę na policzkach. Jeszcze chwilka, jeszcze troszkę – już!

Wynurzyła się i parsknęła radośnie jak żrebak.

– Cudownie, Ursel! Boże, jak cudownie!

– Jeszcze nie całkiem – odparła stara, podając jej poskładane w czworo prześcieradło, które zastępowało ręcznik, oraz czyste ubranie. Poczekala, aż dziewczyna się ubierze, a kiedy Gerda, odświeżona i uśmiechnięta, stanęła przed nią z mokrymi włosami niczym rusałka, kobieta ścisnęła jej nadgarstek. – Kiedy ostatnio krwawiłaś?

W pierwszej chwili nie zrozumiała. Myślała, że starej chodzi o jakieś rany podczas ucieczki. Potem przypomniała sobie krwawienie po gwałtach Kulika i wtedy dotarł do niej właściwy sens pytania. Przestała się uśmiechać.

– O co pytasz? Myślisz, że...

Kobieta odgarnęła kraj chustki z twarzy i spojrzała na nią uważnie.

– Tak. Myślę, że jesteś brzemienna.

Skuliła się ze strachu. Próbowwała policzyć dni, później tygodnie wstecz, wszystko zaczęło jej się mylić. Nie pamiętała, czy w ogóle miała okres od początku marca. No tak, miała przed wyruszeniem całego Heinsdorf w ostatnią drogę. Czyli pod sam koniec lutego. Teraz była połowa maja.

– Ale czy to znaczy, że... O Boże!

Jęk odbił się echem od drewnianych ścian młyna i wypłoszył gołębia. Usiadła i zakryła twarz. To tyle w kwestii radości istnienia. Wróciła czerń z podziemi. Znowu chciała umrzeć.

– Uspokój się – mruknęła stara Niemka. – Z tego też można się oczyścić. Musisz tylko się odprężyć i opowiedzieć mi wszystko po kolei. A najpierw łyknij tego.

Podawała jej kubek z naparem o barwie słomy i zapachu bardzo podobnym do spleśniałego siana, na którym leżała w sarnim paśniku w lesie. Po jego wypiciu Gerda zrobiła się trochę senna, nerwy nieco puściły i pozwoliła się położyć do łóżka. Z zamkniętymi oczami i mokrymi włosami lepiącymi się do poduszki zaczęła opowiadać. Im dłużej mówiła, tym mniej skrepowania odczuwała przed tą obcą i niezbyt sympatyczną kobietą, która jako pierwsza poważnie się nią zaopiekowała. Opowiedziała o Reksie i ziemiance, o rosyjskim żołnierzu na koniu, przed którym uratował ją Otto, a potem płynnie przeszła do koszmaru przeżytego z Kulikiem i do następnej kryjówki, w podziemiach pałacu von Schlieffenów, o nieoczekiwanej pomocy ze strony najpierw hrabiego, później Antka Kuleszy. I o tym, że ten pierwszy nie żyje na pewno, bo go pochowali, a ten drugi najprawdopodobniej również zginął, zastrzelony przez ludzi Kulika. O skarbie nie wspominała.

Mówiła, leżąc na wznak i obiema rękami obejmując brzuch. Czy naprawdę coś tam w niej rośnie? Z nasienia Staszka Kulika? Brrr, okropne. Dziecko? Nie umiała o tym myśleć jak o człowieku, kojarzyło jej się raczej z czymś czarnym, zimnym i ohydny, jak larwa jakiegoś oślizłego gada. W pewnym momencie musiała przerwać opowieść, ponieważ wstrząsnął ją dreszcz obrzydzenia. Zrobiło jej się niedobrze. Czknęła głośno i obróciła głowę na bok, żeby nie zwymiotować.

Starucha pomasowała jej brzuch kościstą dłonią. Podziałało. Żołądek Gerdy się uspokoił, mdłości przeszły.

– Czy to ty przysłałaś po mnie sarnę? – spytała dziewczyna, dotykając ramienia kobiety.

– Sarnę? O czym ty mówisz, dziecko?

Gerda opowiedziała o tym, jak zwierzę przyszło pod jej legowisko i nakazało biec za sobą. Im dłużej mówiła, tym bardziej absurdalna wydawała jej się ta historia i zawstydziała się, że w ogóle z czymś takim wyskakuje.

– Sarna? Nic nie wiem o żadnym wysyłaniu sarny. To sprawa między tobą a nią.

Stara Ursel powiedziała to stanowczo, klepiąc ją poufale w udo. Kiedy jednak ruszała po następną porcję ziółek, dziewczyna dostrzegła na jej twarzy przelotny uśmiezek: powiedziałałabym ci, ale i tak nie uwierzysz.

A potem stara Ursel opowiedziała swoją historię. Całe życie spędziła w nieodległym Kortow, które podobno teraz Polacy nazwali Korczewo, i kiedy sąsiedzi zbierali się do pospiesznej ucieczki, postanowiła zostać. Mieszkała sama na skraju wsi, w domu pod lasem, wybudowanym jeszcze przez jej pradziadków. Nie miała żadnych bliskich, nie miała dokąd uciekać. Ani po co. Kiedyś byli bogatą rodziną, ale dziadek przepił cały majątek, a ojciec nigdy specjalnie nie starał się go odzyskać i zadowalał się pracą najemną. Po śmierci rodziców została całkiem sama. Kiedyś, dawno temu, miała męża, ale zaraz po ślubie wyruszył na wojnę i zginął, zanim zdążyli założyć prawdziwą rodzinę. Nigdy później już nie związała się z mężczyzną.

– Mężczyźni rozpraszają – stwierdziła z przekonaniem. – Kradną siłę, a potem gardzą twoją słabością. Jedyna na to rada to najpierw okraść ich.

Zabrzmiało tajemniczo i mętnie, więc Gerda nie podjęła wątku i spytała, z czego Ursel żyła przez te wszystkie samotne lata. Kobieta skrzywiła się w brzydkim uśmiechu.

– Z pomagania ludziom w ciężkich sprawach. Takich, na które nie umiał poradzić ani pastor, ani lekarz, ani sędzia. A czasem i takich – wskazała palcem jej brzuch – których oni sami byli sprawcami.

Gerda domyśliła się, że tamta mówi o trudnych sprawach kobiecych, z którymi one muszą sobie radzić same, bo mężczyźni albo się nimi brzydzą, albo się ich boją. Tak tłumaczyła jej babcia Henrietta, kiedy Gerda dostała pierwszej miesiączki.

Krew, płód, nadęty brzuch. Boże, ohyda! Jak coś takiego może we mnie rosnąć?!

– Nienawidzę tego! Nie chcę!

– Myślisz, że ty jedna? Powiedziałam ci: mężczyźni zabierają dziewczynom siłę. Zamieniają je w kobiety, czyli służące. Właśnie za pomocą tego.

– Potrafiłabyś to ze mnie... usunąć?

Stara podała jej kubek naparu i zmusiła do wypicia. Postukała palcem w brzuch Gerdy, a potem nachyliła się nad nią i obiema dłońmi nacisnęła podbrzusze. Powtórzyła ucisk kilka razy.

– Powinno być dobrze – zawyrokowała po badaniu. – Teraz się wyśpij. Ja się zajmę praniem. Twoje ubranie cuchnie zbójecką biesiadą.

Dziwne porównanie.

– Nikt nas tu nie znajdzie? – spytała Gerda. Młyn stał na pagórku, wielki jak kościół i widoczny z daleka. Gdyby czerwonym diabłom na koniach przyszła ochota na galopowanie po wschodzącym zbożu, bez trudu by je tu znaleźli. Albo ludzie Kulika, którzy węszyli wokoło jak szakale.

– Nie bój się. Nikt cię nie znajdzie.

Kategoryczna odpowiedź starej Ursel wydała się Gerdzie słabo uzasadniona, nie miała jednak siły się jej sprzeciwić.

Zasnęła niemal natychmiast po przyłożeniu policzka do ciepłej poduszki. Śniło jej się, że jacyś ludzie zbliżają się drogą, pokrzykując i wymachując kijami. Kiedy już są całkiem blisko, wiatrak zaczyna kręcić skrzydłami i unosi się w powietrze. Leci najpierw nad zielonymi łąkami, które falują

jak morze, potem kieruje się nad Heinsdorf i płynie po niebie nad jej rodzinną wioską. Tamci z kijami na dole maleją, maleją, aż są jak mrówki i znikają. Wiatrak leci dalej. Ona z drewnianego podestu próbuje wypatrzeć swój dom. Zaciska dłonie na balustradzie i z uwagą obserwuje czerwone dachy, żeby rozpoznać swój. Wszystkie są jednakowe i błyszczą wspaniale w wiosennym słońcu. Próbuje go odnaleźć, wiodąc wzrokiem wzdłuż szosy, która wije się między domami jak strumień. Wiatrak unosi się wyżej i wyżej, i wtedy okazuje się, że jest już nie lato, tylko zima, i całą ziemię pokrywa biały puch, a drzewa są czarne, nagie i trzęsą się z zimna. Ona wcale nie marznie, chociaż jest w samej sukience i bez rajtuz, jakby latający młyn pana Hechta był żywą istotą i ogrzewał ją swoim ciepłem. Zawracają nad łąkami i spod białego śniegu zaczynają przebijać sine plamki. Śmigła zwalniają obroty i wiatrak obniża swój lot. I wtedy ona widzi, że te sine plamki to zagrzebane pod śniegiem ciała ludzi, całe gromady ciał, rodziny z dziećmi i zwierzętami, jedni obok drugich, poukładani w fantazyjne wzory w zmarzniętym na kamień gruncie, jak kwiatki mrozu na szybie. Wiatrak leci już całkiem nisko, tuż nad ziemią, ona rozpoznaje twarze, rozgląda się za swoimi i nie dostrzega ich na tym zlodowaciałym cmentarzysku, nie ma nikogo z jej bliskich. Wpada w panikę i zaczyna szarpać balustradę, krzyczy na wiatr ich imiona, ale nikt tego nie słyszy, nawet ona sama. Nareszcie są. Na samym końcu pola, tuż przy drodze na Schlawe, najpierw ojciec, matka, potem tamte cztery po kolei: Anna, Maria, Kätchen, Lisa Zimne, nieruchome, z białymi oczami i rozchyłonymi ustami, jakby jadły wieczną zmarzlinę. Rozgląda się z niepokojem, ponieważ nie ma nigdzie Heike. Nie ma Heike! Dlaczego jej tu nie ma? Heike! Heike!

– Heike!!!

Ursel ścisnęła ją mocno za przegub dłoni.

– Spokojnie, dziecino. Spokojnie. Mała Heike żyje bezpieczna, daleko stąd.

Tak, bardzo daleko. Ale skąd stara Ursel miałaby to wiedzieć, myśli Gerda.

Ostatnie dni maja zrobiły się chłodne i deszczowe. W wyższych kondygnacjach wiatraka ciągle coś skrzypiało, pojękiwało i poświstywało zawadiacko w takt klekoczących deszczulek. Unieruchomione skrzydła próbowały ruszyć z miejsca, ale mechanizm blokujący skutecznie je hamował. Koła zębate, przekładnie i osie drżały z napięcia. Drewniany olbrzym był naładowany energią, której nie miał na co spożytkować. Kręgi powietrznych duchów szarpały go za ramiona i nakłaniały do pracy. Na próżno. Ziarno z pomorskich pól przepadło, nie było czego sypać w kosz zasypowy i kamienie musiałyby mleć pustkę. Więc stał i trwał, jęcząc.

Jęczała i Gerda. Pojona ziołowymi specyfikami i okadzana dymem cała pęczniała w środku i bulgotała, jak dymion z jabłkowym winem w pokoju dziadka Wilhelma. W jelitach narastał ból. Oddawany spienionymi strugami mocz był mętny i śmierdział zjełczalym tłuszczem do smarowania kół. Czekala, aż eksploduje. Dymion dziadka również kiedyś eksplodował. Korek ze szklaną rurką wystrzelił w sufit i wypuścił musującą pianę, która zalała całą sypialnię. Jej zapach unosił się w powietrzu jeszcze długo po tym, jak dziadek Wilhelm pod surowym okiem babci Henrietty zmył ściany i podłogę wodą z mydłem. Próbował się tłumaczyć opowieścią o fuzlach, które zatkały odpowietrzenie i gazy nie miały jak się wydostać na zewnątrz, ale babcia nie słuchała, tylko pokazywała mu palcem, gdzie jeszcze są plamy, i wychodziła, zadzierając podbródek.

Murowany fundament młyna, służący im za główne miejsce gospodarowania, wyposażony był we wszystkie niezbędne elementy, łącznie z piecem i rurą kominową wypuszczoną na zewnątrz. Podczas chłodnych dni przyjemnie ogrzewał zimne mury. Skręcona z bólu i nerwowego wyczekiwania Gerda lubiła kozić zmysły widokiem buzujących pod blachą płomieni, których blask poruszał otwartym popielnikiem, migotał w szparach żeliwnych płyt i rzucał długie cienie garnków na ceglana ścianę. Izba przypominała jej stary dom dziadków, rozebrany parę lat temu i żyjący tylko w pamięci, jak wszystkie widma zmarłych. Było ciepło i dobrze. Tak jak powinno być.

Na blasze pieca w starym domu dziadków lubiła jako mała dziewczynka piec ziemniaki. Obierała wielką bulwę, kroїła w plasterki i układała je na blasze. Musiała pilnować, żeby się nie przypaliły, i w odpowiednim momencie odwrócić na drugą stronę. Posolone smakowały rewelacyjnie! Poczwała, że ślanka jej cieknie na samo wspomnienie.

Takimi i podobnymi wędrówkami po zakamarkach pamięci próbowała złagodzić ból. A bolało coraz mocniej. Ursel nie reagowała na jej skargi, tylko dolewała naparu do kubka i kładła mokre szmaty na wzdęty brzuch Gerdy. Po trzech dniach męczarni podjęły pierwszą próbę. Gerda niewiele z niej zapamiętała oprócz tego, że była przewracana z boku na bok, oklepywana i naciskana w różnych miejscach, aż do krzyku. Druga próba odbyła się na stojąco – musiała skakać na prostych nogach, kucać, podnosić ręce i wykręcać się we wszystkie strony jak brzoza na wietrze. Z obu tych prób wyszła ledwie żywa i spała później dziesięć godzin, mokra od potu i gorączki.

Przy trzeciej próbie przykucnęła, podskoczyła jak zajęc, znowu przykucnęła i chciała jeszcze raz podskoczyć, ale już nie zdołała. Zaciśnęła ręce na brzuchu i nagle wypadło z niej to coś. Było maleńkie i skręcone, oklejone śluzem i krwią, bezkształtne, niepodobne do niczego. Spojrzała bezradnie na Ursel. Chciała krzyczeć, ale nie mogła. Próbowała powiedzieć, że jej okropnie i źle z tym, co zrobiły, jednak głos uwiązł w gardle. Niemo gapiała się na krwistą breję.

Ursel również wydawała się zaskoczona, ale szybko opanowała sytuację. Sprzątnęła płód sprzed nosa pobladłej dziewczyny i dokładnie wymyła podłogę. Przyniosła nowy napar, pachnący tym razem goryczką i czymś podobnym do pietruszki, kazała jej go wypić duszkiem, a następnie odprowadziła ją do łóżka na parter. Przykryła Gerdę kocem pod samą brodę, pogłaskała po sklejonych w strąki włosach i pocałowała w mokry policzek.

- Nie płacz, dziewczyno. Już to z siebie wyrzuciłaś. Jesteś czysta.
- Czy teraz... będzie dobrze?

Stara popatrzyła na nią czarnymi jak węgiel oczami i wolno pokiwała głową.

– Tak.

Nie dodała nic więcej. Przecież nie mogła powiedzieć, że potem już nigdy nie jest całkiem dobrze.

Oczyszczona za pomocą ziółek, dymu i niezrozumiałych mamrotań starej Niemki Gerda Liebner dochodziła do siebie przez następne dwa tygodnie. Za dnia spała, a nocami leżała na łóżku z zamkniętymi oczami i wsłuchiwała się w pojękiwania wiatraka. Chwilami myślała, że znowu jest pod ziemią i że tym razem już nigdy nie wydobędzie się na powierzchnię. Ale nie, jeszcze nie. Jeszcze musiała żyć.

Kiedy wyszła ponownie na świat, był piękny czerwcowy dzień. Słońce paliło grzbiet wiatraka tak, że trzask rozsychających się desek rozlegał się nawet w murowanym przyziemiu. Bałtyk słał białe obłoki w głąb lądu, do nowych zarządców tej ziemi, żeby zechcieli powiedzieć, co dalej. Wszystko trwało w jakimś zawieszeniu, w napiętym bezruchu, wstrzymane stanowczym gestem zwycięzców, którzy nie mogli się zdecydować co do kształtu najbliższej przyszłości. Trawy rosły, ptaki śpiewały, deszcze obmywały korony drzew, a wiatr natychmiast je osuszał – tylko przedmioty i ludzie nie wiedzieli, co mają dalej robić.

Dziewczyna stanęła na wzniesieniu pod martwymi śmigami i rozejrzała się wkoło, przystawiając dłoń do czoła. Pięknie. Strzeliście. Pusto. Martwo.

Wzięła głęboki oddech i zagryzła drżące wargi. Co dalej?

Wtedy zza lasu wyjechała zgrabna bryczka. Wesoło turkotała po kamienistej drodze, wzbijając kłęby kurzu. Gerda zmartwiała. Chciała uciec, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Stała jak wryta i patrzyła na diabelski pojazd. Zbliżał się szybko, lekko, z jednym tylko człowiekiem, który powoził. Nie ruszyła się z miejsca, dopóki bryczka nie podjechała na tyle blisko, by dziewczyna mogła rozpoznać siedzącego na koźle mężczyznę.

To był Antek Kulesza.

X

Nie zostawiaj mnie samej

luty 2018

1

Kurnik na podwórzu Ryszarda Hadczuka doskonale nadawał się na policyjną operatywkę. Drób zajął wyższe grzędy, zostawiając im całkiem sporo miejsca na ławce pod ścianą. Zakurzona żarówka rzucała akurat tyle światła, ile było potrzebne do odczytania skserowanych przez Bałysia dokumentów i dokładnej obdukcji obrażeń Krzyckiego.

– Przyniosłem ci plastry i wodę utlenioną – powiedział Hadczuk, wręczając Andrzejowi zawiniątko w woreczku foliowym. – Jak widać, to brudna okolica, jeszcze ci się wda zakażenie.

– Nic mi nie jest – zapewnił Krzycki. – Do pogrzebu się zagoi.

– No bardzo śmieszne. Co wieczór będziecie mnie tak napadać przy kurach? Wiem, że dla panów z Krakowa ziemia słupska to skraj dupska, ale może by się znalazło coś lepszego niż kurnik?

– Na przykład kibel w komendzie – wtrącił Lucek Bałyś. – Wiesz chociaż, ilu ich było? – zwrócił się do Andrzeja.

– Widziałem czterech – odparł, przykładając nasączoną chusteczkę do puchnącej wargi. – Jeden stał na zewnątrz, a dwaj szukali nas w stodole. Czwarty włamał się do domu i to on mnie podszedł.

– Skąd wiesz, że to policjanci? – spytał Hadczuk.

– Po pierwsze, namierzali na bieżąco lokalizację komórki Bałysia. Nikt oprócz policji nie otrzyma takich danych od operatorów. Po drugie, dowalili

mi pałką teleskopową, dokładnie taką samą, jakie mają policjanci tajniacy. A po trzecie...

– ...mieli kamizelki z napisem: POLICJA – dokończył Lucek.

Andrzej zmierzył go niechętnym spojrzeniem.

– A po trzecie, jednego z nich rozpoznałem. Mijał mnie kiedyś na korytarzu waszej komendy.

– Jak wyglądał?

Inspektor opisał wygląd policjanta, a Lucek w tym czasie porządkował papiery do swojej prezentacji. Przekładał, numerował ołówkiem i dyskretnie zbliżał kartki do nosa, bo mu się wydawało, że niektóre z nich pachną perfumami Kasi Sokołowskiej.

– Myślisz, że chcieli cię zabić?

– Nie wiem, ale na pewno czegoś szukali – stwierdził Andrzej. – Kiedy wracałem, było już ciemno i najpierw zaczęła migotać latarka w szparach między deskami stodoły. Podkradłem się i zobaczyłem tego trzeciego, filującego na podwórku. Obszedłem stodołę, żeby się dostać do niej od tyłu. Wtedy ten czwarty walnął mnie po nogach pałą. Na szczęście był głupi i pozwolił jej najpierw cicho pstryknąć przy rozkładaniu. To mnie uratowało. Zdążyłem się okręcić i unieść nogę, a on przyłożył mi pięścią. Kiedy padłem, to się pochylił i wtedy go poznałem. On mnie chyba też, bo się zawahał. Nie wiem, jakim cudem, ale przerzuciłem go nad sobą i chciałem obezwładnić, kiedy usłyszałem, jak biegną tamci trzej. Uznałem, że nie dam rady. Uciekłem.

– Dzielny sir Robin... – powiedział Lucek do siebie.

– A do stodoły wleźli, bo mieli sygnał z twojej komórki! – zakończył Krzycki, celując w niego palcem.

Ten przypomniał sobie swoje teksty z samochodu i się zaczerwienił, więc szybko rzucił:

– Co straciliśmy oprócz jedyne naszego telefonu? Jak ja teraz, w brodę jeża, zadzwonię do Dominiki?! Na szczęście Bóg Patkula mnie oświecił i laptop zabrałem ze sobą. Broń również.

– Ja też wziąłem glocka – odparł Andrzej. – Czyli poszły notatki i przede wszystkim rysunki Maćka. Dobrze, że już nie są niezbędne.

– Nie? Skopiowałeś je? Jakim cudem? – Bałyś popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Mam je w głowie.

– Chcesz powiedzieć, że mimo glocka pozwoliłeś się pogonić czterem naszym dupkom? – odezwał się Hadczuk, zdejmując z włosów źdźbło słomy. – Nie był to jakiś amator przebrany za ciebie?

– Dokładnie tak, cywil, amator. Mówiłem ci, że nie jestem już policjantem.

– Kurwa – westchnęli Bałyś z Hadczukiem. – Ten znowu swoje.

Po chwili Rysiek, który znał już historię z wypadkiem na drodze do Grębówka, zmienił temat.

– Twierdzicie, że ciężarówka miała was zabić. To na kogo w końcu polują? Na was czy na niemieckie artefakty?

– Miałem nadzieję, że ty nam powiesz – odparł kwaśno Krzycki, masując zbitą łydkę. – Czego dowiedziałeś się od Trębackiego?

– Na przykład tego, że jesteście krakowskie zbolale fiuty, bo nie przyszliście na umówione spotkanie.

– A coś, czego nie wiemy?

– Że skoro nie chcecie współpracować, to on wysłał do Byczkiewicza oficjalną skargę na wasze działania, jak podkreślił, niezgodne z prawem. Poza tym Jens Müller nie będzie przesłuchiwany i w ogóle został wypuszczony z wielkimi przeprosinami natychmiast po waszym wyjściu. Oczywiście mam Trębackiemu meldować o miejscach waszego pobytu.

– Kurnik – powiedział Lucek.

– Nie, kurnika nie zgłaszam. Kury by mi nie darowały.

Bałyś nie dawał za wygraną.

– Gdzie będziemy spali?

– Cicho bądź – zgasił go Krzycki i zwrócił się ponownie do Hadczuka: – Dowiedziałeś się czegoś o tym zdjęciu?

– Nie.

– A o *Maltem*?

– O czym?

– No właśnie nie całkiem wiadomo. Może o książce. Taki austriacki pisarz, Rilke. Trębacki nie wspominał czegoś o książce? Albo Müller?

– Nie, nic nie wiem o żadnej książce – zdziwił się Hadczuk. – Zdjęcie, książka, rysunki... Chodzi o stary niemiecki antykwariat?

– Mniej więcej – przytaknął Andrzej. – Co w takim razie dla nas masz?

Rysiek rozsiadł się wygodniej na ławce, oparł o ścianę i wciągnął głęboko powietrze.

– Mam tyle, że Heike Liebner zostanie jutro wypuszczona z aresztu. Z analizy materiałów zebranych na miejscu zbrodni oraz obdukcji zwłok jednoznacznie wynika, że morderstwa dokonał silny mężczyzna. Osiemdziesięcioletnia kobieta nie mogłaby zadać takich ciosów nożem. Kamil Grzywa wysłał nawet materiał do badania do Krakowa, do jakiegoś Gargulca...

Andrzej z Luckiem wymienili znaczące spojrzenia.

– ...i tamten to potwierdził. Nie wiem, czemu akurat do Krakowa.

– Bo Kraków jest najlepszy – stwierdził Bałyś i wzruszył ramionami.

– Zwłaszcza w badaniu materiałów – dodał Krzycki. – W zasadzie bezkonkurencyjny. Wymiata Słupsk ze stajni.

– Z kurnika.

– Przestańcie się brandzłować, krakusy, i słuchajcie dalej. Konsulat w Gdańsku jednak interweniował i z tamtejszej prokuratury przysłali pismo domagające się zwolnienia Heike Liebner lub umożliwienia jej kontaktu z adwokatem. Ponieważ ona uporczywie milczy, niczego chyba już z niej nie wyciągniemy. Na nożu było więcej odcisków palców, a na podłodze odcisk męskiego buta, więc już nie jest jedyną podejrzaną. Moglibyśmy ją jeszcze potrzymać za utrudnianie śledztwa, ale Trębacki doszedł do

wniosku, że to bezcelowe. Heike Liebner jutro wychodzi. Co w związku z tym?

– Należałoby ją śledzić – stwierdził Krzycki. – Chociaż przypuszczam, że Trębacki się tym zajmie. Po to ją wypuścił. Czyli nie znaleźli zguby i mają nadzieję, że Heike Liebner ich do niej doprowadzi. W co wątpię. Gdyby cwana Niemka miała to coś, czego oni tak nerwowo szukają, starałaby się za wszelką cenę wyjść z aresztu. A ona przeciwnie, siedziała dosyć chętnie, pewna swego. Wysłała mnie na poszukiwanie szczątków siostry, a sama załatwia coś na boku. Jak tam, Lucek, dobrze myśle? Znalazłeś tych dwóch?

– Właśnie wczoraj wymeldowali się z hotelu w Kręgu, razem z panią Liebner. Załadowali walizki do wypasionego mercola kombi, na wierzch wrzucili nowiutkie łopaty i pojechali na piknik pomorskich skautów. Niestety, nie wiemy dokąd.

– Łopaty? – Krzycki zmarszczył brwi. – Czyżby znaleźli Gerdę?

– Nie wiem. Może pomagają Jensowi Müllerowi, który też kopie, tylko w Przystawnie.

Hadczyk podskoczył na ławce.

– Jak to w Przystawnie? Tutaj?

– Dokładnie. Na terenie parku, w samym centrum wsi, na miejscu dawnego pałacu von Schlieffenów. Ogrodzili teren i ryją koparą dziury w ziemi. Pijaczki o tym plotkują pod GS-em, dziady pod kościołem śpiewają songi, a ty nie wiesz?

– Faktycznie, zaczęli kopać pod fundamenty – zamyślił się Rysiek. – Jakaś firma buduje pomieszczenia biurowe w związku z nowymi inwestycjami. Ale nie wiedziałem, że Jens Müller ma z tym coś wspólnego.

– Owszem, ma. Widziałem go na miejscu, z okazałym opatrunkiem na policzku. A firma nazywa się Turbenax. Aha, i macie tu bardzo grzecznych nożowników. Trzech sralców mnie napadło i groziło śmiercią, ale ładnie poprosiłem i mnie puścili. Dobrze wychowani.

– Akurat ci uwierzę – mruknął Krzycki.

– Nie musisz. Fakt, że żyję i mam całą wargę, świadczy za mną. Wracając do Müllera, chyba rzeczywiście nie znalazł, czego szukał, ponieważ kopał trochę na czuja. Na ślepo robił dziury jedną obok drugiej. Jakby kopał Graala w *Heroesach*.

– W czym? – zdziwił się Andrzej, który do gier komputerowych miał mniej więcej taki stosunek jak do reklam w telewizji: brzydził się nimi.

– Nieważne, i tak nie zakumasz. Na placu zero robotników, tylko operator koparki i sam Müller. Za to miejsce otoczone solidnym płotem.

– Gerda Liebner raczej na pewno nie leży w podziemiach pałacu Schlieffenów – mruknął Krzycki do siebie. Mruczenie przy spuchniętej wardze było dla niego najwygodniejszą formą mówienia. – Chociaż, kto wie... Lucek, a ty co znalazłeś?

– Czekajcie – powtrzymał go Hadczuk. – Może chodźmy tam teraz, na ten plac. To niedaleko. Zwołam chłopaków przez radio i zgarniemy ekipę. Przyciśniemy, postraszymy, puszcza trochę farby...

Andrzej przytrzymał go za łokieć.

– Właśnie o to chodzi, żeby ich nie straszyć i nie przyciskać. Twarde metody są po ich stronie, nam pozostają miękkie. Widzisz, Bałyś poprosił grzecznie i nożownicy go puścili. Najpierw informacje. Lucek, teraz ty.

Ten rozsiadł się na taborecie i podciągnął rękawy kurtki, jakby zabierał się do oprawiania ryb. Stosik papierów ułożył równiutko i położył na nim lewą rękę niczym do przysięgi.

– Odkryłem, co łączyło Zofię Ploh z Heike Liebner. To znaczy, wydaje mi się, że odkryłem. Plohowa pracowała w gminie w Grębówku razem z Ulą Miłęcką, to wiemy. Wiemy również, że rodzice Uli, Edward i Anna Miłęccy, zginęli w wypadku samochodowym w 1990 roku, a jej matka nazywała się z domu Grohl. Choć naprawdę powinna się nazywać... Kulesza.

– Jak? – spytał Andrzej zdziwiony.

– Spokojnie. – Lucek powstrzymał go gestem. – Jadę po kolei.

W sypialni słujskiego mieszkania komendanta Krzysztofa Zdybasa światło świeciło do późnej nocy. Nie lampka nocna przy łóżku, tylko lampa biurowa obok ekranu komputera, na którym wyświetlało się kolorowe uniwersum gry *Settlers III*. Światło nikomu nie przeszkadzało, ponieważ komendant był sam. Żona i córki wyjechały do Zakopanego na narty, na co on również miał ogromną ochotę, ale jak się dzieje w twoim rewirze, to narciarskie ochoty możesz sobie wsadzić do dupy. Więc grał w *Settlersów* i czekał na telefon.

Budował azjatycką osadę nad rzeką i ciągle brakowało mu surowców. Zwłaszcza złota. Chciał zrobić Egipcjanom po drugiej stronie rzeki „azjatycki potop”, tak jak ten gostek na YouTube. Niestety, przeinwestował w wojsko kosztem rozwoju gospodarczego i nie było go stać na uzbrojenie jednostek. Ludziki kręciły się bez celu po tonącej w wirtualnej zieleni okolicy, czekając na broń. Całkiem jak u niego w komendzie.

– Kasa, kasa, wszędzie tylko kasa – mamrotał do siebie, zagryzając wąsa.
– A potem pieprzą na szkoleniach, że honor jest najważniejszy.

Właśnie chciał obsadzić wieżę człowieczkiem w czerwonej czapeczce, kiedy blat biurka rozedrgał się dźwiękami disco polo: „Przez twe oczy zielone, zielone oszalałem”. Aż podskoczył z wrażenia.

– Kurwa, ten stres mnie zabije – mruknął, wciskając przycisk na telefonie.

– Ptaszyna za chwilę wyfrunie z gniazdka. – Usłyszał burkliwy głos. – Przypniesz jej ogon?

Trębacki uważał, że w nocy do komendanta policji trzeba mówić szyfrem. Gadał jak szczeniak, który pisze pierwszy w życiu scenariusz filmu gangsterskiego.

– Uhm. I co dalej?

Prokurator streszczał. Stara Niemka okazała się twardsza, niż myśleli, i nie puściła pary z gęby. Na dodatek jeszcze podrapała ryjek Müllerowi, a ten się wściekł i powiedział, że ma ich dosyć. Zaczął szukać na własną

rękę. Trębackiemu bardzo się to nie podobało i powołując się na jakiś „nadrzędny interes narodowy”, postanowił również przyspieszyć poszukiwania. Nie wiedział gdzie. Wypuszczenie Heike Liebner i śledzenie jej miało być prokuratorskim rozwiązaniem. Nieszczególnie bystrym. Słuchając prokuratora, Krzysztof Zdybas gryzł swojego nieprzystrzyżonego wąsa i myślał nad ewentualnymi niespodziankami.

Najważniejszą byli ci dwaj z Krakowa.

Bał się Andrzeja Krzyckiego. Nie tylko dlatego, że latem omal nie wylądował przez niego w więzieniu. Krzycki po prostu był nieobliczalny. Zdybas mógł na bank założyć, że tamten zignoruje procedury i postąpi całkiem inaczej. Nawet nie odwrotnie, bo to byłoby zbyt proste, tylko inaczej.

W dodatku za pomocnika miał małego Rambo z loczkiem. Fatalnie.

– Zobaczymy, gdzie wyląduje. Jeśli ktoś wie, to ona. Wyślij silnych i mądrych, żeby nie dali ciała.

Nie mam takich, pomyślał Zdybas. Po ostatniej katastrofie zostali tylko silni.

– Jasne. I co dalej?

– Co dalej, co dalej... Kurwa, dzwoń!

Telefon plimknął i połączenie się urwało. „Dzwoń” oznaczało, że cały problem spada na niego. Prokurator ograniczył się do działań legalnych, po prostu uchylił areszt. Nielegalne śledzenie, i to ludźmi z policji, oraz ewentualne babranie się z działaniami siłowymi spadało na niego. Znowu umoczy. Pech się przyczepił do niego jak gównu do obcasa i nie chce się odkleić. Podrapał się po brodzie. To nie pech, tylko twoja słaba wola, komendancie. Miękka i sprzedajna jak tyłek starej kurtyzany. Do niewinności nie wrócisz, smok cię zeżre na pierwszym zakręcie.

Wybrał numer i warknął ostro, żeby zagłuszyć wątpliwości:

– Gotowi? Do roboty. Meldować mi się co pięć minut. Po co? Żeby was smok nie zeżarł! Taki skrót myślowy. Żadne radio, tylko ten numer!

Położył się na łóżku w ubraniu i wlepił szczypiące oczy w sufit. Nagle bardzo zapragnął, żeby żona i dzieci zjawiły się z powrotem w domu, teraz, natychmiast, zanim popełni jakieś nieodwracalne głupstwo. Znowu czekał na telefon. Spróbuje się zdrzemnąć, ale długo to zapewne nie potrwa. A później smartfon będzie się odzywał co pięć minut, aż wreszcie zamilknie. Jego dwaj ludzie będą się skrupulatnie meldować, a potem nagle znikną w szarówce lutowego świtu jak nakryci czapką niewidką. Tego był dziwnie pewien.

3

Urzędowym tonem Lucek Bałyś starał się dodać wiarygodności swoim wywodom. Siedział w kurniku na rozchybotanym krzeselku naprzeciw dwóch oficerów śledczych, którzy podpierali ścianę plecami i słuchali w napięciu.

– W papierach po wójcie Mieczysławie Kuliku znalazłem kopię raportu policyjnego z tamtego wypadku z 1990 roku. Wiecie, kto oprócz Edwarda i Anny Miłeckich brał w nim udział? Bolesław Siemczuk, ten sam, u którego byliśmy dzisiaj rano. Wyjechał furmanką z polnej drogi na szosę wprost pod nadjeżdżający samochód. Wyjechał tyłem, idąc z lejcami obok wozu. Ani jemu, ani koniowi nic się specjalnie nie stało, natomiast tamtych dwoje zginęło. Auto nabiło się na żelazny drąg z doczepioną na końcu czerwoną szmatką. Przeglądając ten raport, pomyślałem sobie, że gdybym chciał spowodować wypadek za pomocą furmanki, lepiej bym tego nie wymyślił.

– Dlaczego Siemczuk miałby chcieć ich zabić? – spytał Hadczuk.

– Zbyt banalne – zawyrokował Lucek z mądrą miną. – Mnie bardziej zastanowiło, dlaczego kopia tego raportu leżała w papierach wójta Kulika. Co mu było do tego? I dowiedziałem się, ale już wcześniej, tylko wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, dopiero później skojarzyłem, że mi to powiedzieli...

– Lucek – mruknął Krzycki.

– ...że Zofia Ploh i Anna Miłęcka, vel Grohl, vel Kulesza, się ze sobą przyjaźniły. To znaczy, że sprawa odnalezienia Gerdy Liebner zaprzętała uwagę nie tylko Anny, która chciała odnaleźć swoją matkę, ale i Zofii, która po Annie odziedziczyła cały, że tak powiem, problem. Myślę, że to dlatego Heike Liebner chciała rozmawiać z Plohową. Skądś się dowiedziała o przyjacielskiej relacji i dostrzegła szansę na wykonanie kroku w przód. Biorąc pod uwagę rozpiętość czasową całej sprawy, spóźniła się, można powiedzieć, tycio, tycio.

Pokazał dwa złączone palce, żeby zilustrować, o ile spóźniła się Heike Liebner na rozmowę z Zofią Ploh. Krzycki kiwał rytmicznie głową jak katatonik.

– Skąd wiesz, że się przyjaźniły? – spytał.

W odpowiedzi Bałys sięgnął do swoich papierów i wyciągnął trzy kartki.

– Pod tym raportem z wypadku podpisany był list Anny Miłęckiej do Mieczysława Kulika. Prosi w nim, żeby dać jej spokój, bo ona nic nie wie. To znaczy, że już wtedy Kulik na nią naciskał. Niestety, Anna nie napisała, w jakiej sprawie. Ale tu jest najfajniejsze – stwierdził i przeczytał na głos – „Pan wie, że nawet gdybym wiedziała, nigdy bym Panu takiej informacji nie przekazała. Nie jesteśmy ulepieni z tej samej gliny i odmienne intencje nami kierują. Może mnie Pan uważać za kobietę niespełna rozumu, jestem już przyzwyczajona, ale wchodzę w istotne relacje wyłącznie z osobami nadającymi na podobnych falach. Jak na przykład z bardzo dobrze (albo bardzo źle) znaną Panu Zofią Ploh, moją jedyną przyjaciółką. Obawiam się, że i ją dosięgnie klątwa Matki, na co nie poradzimy. Pan pewnie mógłby poradzić, ale jak pisałam: inna glina. Skrzywdził ją Pan bardzo i niech to będzie dość. Błagam Pana”. I tu jeszcze na koniec: „Gdyby mi się coś stało, proszę rozmawiać z Zofią. Jej przekazałam, co należy. Ona wie wszystko”.

Przez chwilę w kurniku panowała cisza. Nawet kury, które kokosiły się na grzędach w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji, znieruchomiały pod wpływem recytacji Bałysia. Pierwszy odezwał się Hadczuk.

– Jest tam jakaś data?

– 15 września 1989. Pół roku przed śmiercią.

– „Gdyby mi się coś stało...” – zacytował Krzycki. – Wiedziała, że grozi jej śmierć. Skoro jednak pisała o tym do wójta, nie on był zagrożeniem. Chociaż „bardzo skrzywdził” Zofię Ploh. Co to jest ta „klątwa Matki”? Może przybrani rodzice Anny Grohl by coś wiedzieli.

– Dawno nie żyją – odparł Rysiek. – Byli w sile wieku, gdy ją przygarnęli. Bardziej mnie zastanawia, co takiego wiedziała Plohowa o tym mordercy i dlaczego nam nie powiedziała po aferze z ubiegłego roku.

– Może nikt jej nie spytał – stwierdził Andrzej. – Gdyby Heike Liebner zdążyła z nią porozmawiać, pewnie i my byśmy się dowiedzieli. Siostra i najbliższa przyjaciółka córki Gerdy, fajny dialog. A tak koło się zamknęło i kręcimy się w miejscu. Przecież muszą tu być jacyś świadkowie! – krzyknął. – Chyba jeszcze żyją ludzie, którzy coś pamiętają z tego cholernego czterdziestego piątego, co? Wszyscy umarli? Nikogo nie ma? Żaden stary bezzębny dureń nie wyjaśni nam, o jaką historię chodzi?

– Bolesław Siemczuk – stwierdził rzeczowo Ryszard Hadczuk. – Wszystkie stare tropy prowadzą do niego. Jak chcemy ruszyć z miejsca, musimy z nim ponownie pogadać.

– Przy okazji z jego córką – dorzucił Krzycki.

– Nie chcecie posłuchać do końca? – przerwał im Lucek, który bardzo się niecierpliwił ze swoją wiedzą policyjnego prymusa. – Najlepsze dopiero przed nami. Przeglądałem również księgi parafialne. Wkradłem się w łaski księdza Patkula i mi pozwolił – dodał miękkiem głosem i poprawił sobie loczek na czole. – W tym celu musiałem przed księdzem zrobić z ciebie, drogi Andrzeju, skończonego drania, uwodziciela i zdrajcę. Cieszysz się?

– Jasne, każdy by się cieszył – odparł, przyglądając mu się z uwagą. – Jako drań zawsze jestem do usług. I co wyczytałeś w kościelnych szpargałach?

– Mnóstwo ciekawych rzeczy. Proboszcz Patkul pomagał mi z nieprzeciętną, powiedziałbym, żarliwością. Na przykład przyniósł akt chrztu Anny Grohl wypisany w dniu 1 maja 1947 roku przez księdza nazwiskiem Bryła. Pytałem Patkula, ale nic o nim nie wie, oprócz tego, że

krótko urzędował w Grębówku i zaraz potem przenieśli go do innej parafii, gdzie zmarł.

– Czy to znaczy, że Gerda Liebner wtedy jeszcze żyła? – zdziwił się Krzycki.

– Niekoniecznie. Na akcie chrztu na dole są dopisane ołówkiem uwagi, ledwie czytelne. Jednak ksero wzmacnia stary grafit ołówkowy i słowa wyłoniły się z niebytu, że tak powiem. Sami zobaczcie.

Podał im kartkę, a oni pochylili się z uwagą jak nad szczególnie wartościowym starodrukiem.

– Nie mam okularów. Co tu jest napisane? – spytał Hadczuk.

– Ur-su-la Grohl? – odcyfrował ze zdziwieniem Krzycki. – Co jest grane? To jednak nie córka Gerdy?

– Ależ tak! W rubryce „matka” wpisane jest imię Gerda i nazwisko Grohl. Rysiek już to kiedyś sprawdzał i dowiedział się, że małżeństwo prawdziwych Grohlów z Heinsdorf, które zginęło w bombardowaniu kolumny uciekinierów w czterdziestym piątym, było bezdzietne. Zgadza się?

Komisarz Hadczuk skinął głową.

– Tu – Lucek pokazał palcem ledwie czytelne znaczki na marginesie – jest dopisane, że Ursula Grohl przedstawia dziecko do chrztu w zastępstwie matki. To znaczy, że matka albo już wtedy nie żyła, albo oddała dziecko na wychowanie.

– I znikła – dokończył Andrzej.

– Znikła również sama Ursula Grohl. Przekopałem wszystkie zapisy z tamtego czasu i nie ma jej nigdzie. Akty zgonów, ślubów, chrztów – nic. Całkiem jak wiedźma z lasu, która podrzuciła dziecko do chrztu i zaraz potem odleciała na miotle. Zakręciła piruet Nimbusem 2000 i rozwiała się w powietrzu. A wy się martwicie dalej.

– No to się martwimy. A co z tym Kuleszą?

– Tu – Bałys odwrócił kartkę – na odwrocie. Tą samą ręką dopisana uwaga: „ojciec Kulesza”. I znak zapytania.

– Dlaczego nie dopisano na pierwszej stronie, jak nazwisko Ursuli Grohl?

– Tłumaczył mi to ksiądz Patkul. Tamten proboszcz nie dysponował faktami, tylko baby mu naplotkowały po mszy, no to dopisał już po wyjściu Ursuli z dzieckiem. Patkul stwierdził, że podobnie robi w wątpliwych przypadkach. Jemu też baby plotkują.

– Wątpliwych przypadkach – powtórzył Krzycki. – Ale wasz przypadek wydaje się niewątpliwy. Polubiliście się z proboszczem.

Lucek dumnie przeczesał palcami grzywkę.

– A żebyś wiedział. Zawarliśmy nawet coś w rodzaju dżentelmeńskiej umowy, na zasadzie sympatycznej wzajemności. Umówiliśmy się, że on mi udostępni dawne zapisy kościelne, a ja podmienię testamenty.

– Jakie testamenty?! – wykrzyknęli Rysiek z Andrzejem. Kury zagdakały z oburzenia.

– Stary i nowy testament Zofii Ploh, że się tak wyrażę. – Lucek błysnął zębami. – Znaleźliście w ogóle jakiś testament, panie komisarzu?

– Faktycznie, był testament – przyznał Hadczuk. – Szczerze mówiąc, wcale do niego nie zaglądałem. Prokurator Trębacki od razu go zabezpieczył w swojej kancelarii. Tak się zwykle robi z testamentami. Nie ma żadnej teczki, w której można by je podmienić. Ten ksiądz to jakiś boży głupek. Od początku to widziałem, dlatego tam nie chodzę. Podkopuje mi wiarę.

– Niekoniecznie głupek – odparł Bałyś. – Jeżeli jego testament faktycznie jest oryginalny i z późniejszą datą, to może coś na tym ugrać.

– Ale o co tu chodzi? – spytał Krzycki. – O jakiś majątek?

– Ano majątek – potwierdził Lucek, sięgając do swojego stosiku papierów. – Z aktualnych spisów rolnych sprzed dwóch lat wynika, że prawie osiemdziesiąt hektarów ziemi ornej pod Grębówkiem należało do Kulika, a nie do Klisza, jak było podane w zeznaniach podatkowych. W tym również ten kawałek z trzema wiatrakami, gdzie oni wszyscy po kolei zginęli w zeszłym roku. Ponieważ to już wiedzieliście wcześniej, nie

muszę dodawać, że do czterdziestego piątego ta ziemia należała do Liebnerów.

– I on to wszystko zapisał Plohowej? – upewnił się Andrzej. – Oszalał?

– Niekoniecznie – powtórzył Bałyś, który najwyraźniej polubił to słowo.

– Zapisał niedługo po zakupie, trzy lata temu. Nikt chyba o tym nie wiedział. Sprawdziłem, zapis został sporządzony wkrótce po tym, jak Ula Miłęcka pojawiła się z powrotem w Słupsku. Można powiedzieć, że w ten sposób zareagował na jej przyjazd. Niezbyt mnie zachwyca takie przypuszczenie, ale wygląda na to, że sumienie go ruszyło. Jak mówią w umoralniających opowiastkach, chciał wynagrodzić wyrządzone krzywdy. Błeee.

– Czyli mamy trzeci wierzchołek trójkąta – skwitował Krzycki. – Ziemia.

– To by się zgadzało – powiedział po dłuższej chwili ciszy Rysiek. – Ludzie gadali we wsi, że Kulik zapisał komuś całą ziemię i że to nie była rodzina. Nie wiedziałem jednak, że chodziło o Plohową.

– Wiedziałaś – odparł cicho Andrzej. – Mówiłem ci, że Maciuś Ploh nie ma ojca, bo jego ojcem był Mieczysław Kulik. Nietrudno było skojarzyć.

– Możliwe – zgodził się Hadczuk. – Tylko że znowu nic nie rozumiem. To kto w końcu zabił Plohową i za co? Chodziło o ten cholerny testament? Poprzednio sugerowaliście, że powodem zbrodni były rysunki. Później, że jakaś fotografia, jeszcze później, że książka, a teraz znowu testament. Beznadzieja. Nie wygrzebiemy się z tych papierów.

– Dlatego trzeba ponownie porozmawiać z dwiema osobami – stwierdził Krzycki, wstając. – Z Heike Liebner oraz zidiociałym dziadulkiem Bolesławem Siemczukiem. Właściwie najlepiej byłoby przesłuchać ich razem, obserwując reakcje. Wiele bym dał za możliwość takiej konfrontacji teraz, kiedy Plohowa i Kulik nie żyją. Każde z nich coś wie i czegoś nie wie, i nawzajem polują na te swoje skrzętnie skrywane informacje.

Heike Liebner nie zdziwiła się, że wychodzi przed świtem. Tamci chcą wiedzieć, co robi, i nie mieć świadków. Poprosiła tylko o telefon w celu wezwania taksówki. Zadzwoiła do swoich asystentów i kazała im czekać za rogiem, na ulicy Partyzantów. Idąc tam piechotą, będzie mogła przyjrzeć się pojazdom w ciemnej ulicy. Jeden z nich będzie miał zaparowane od środka szyby. Prawdopodobnie granatowy passat. Polacy są tacy przewidywalni!

Odebrała swoje rzeczy od tego sympatycznego strażnika, który przyprowadził Krzyckiego, i podziękowała mu skinieniem głowy. Usiłował ją przeprosić niemieckim słowem *Entschuldigung*, ale niezbyt mu wyszło. Na ulicy stały trzy samochody, wśród nich granatowy volkswagen passat z zaparowanymi szybami.

Michał i Mariusz zgodnie z umową czekali na ulicy Partyzantów, z tyłu areztu. Spytała, czy mają pełny zbiornik paliwa. Michał za kierownicą przytaknął i zapytał, dokąd jadą. Zнали już swoją *Frau Liebner* na tyle dobrze, by wiedzieć, że pytania o samopoczucie czy inne grzecznościowe duperele traktuje z lekceważeniem i nie zaprzęta sobie nimi głowy. Budziła tym jeszcze większy respekt.

– Wyjedźcie za miasto i pojeźdźcie gdzieś w kółko, muszę się zdrzemnąć – poleciła, przymykając oczy. – *Ich bin müde*. Jestem zmęczona.

Michał z wahaniem spojrział na Mariusza. Byli przyzwyczajeni do precyzyjnych komend, z jak najwęższym marginesem wątpliwości. Uśmiechnęła się pod nosem i doprecyzowała:

– *Schlawe, Rügenwalde, Stolpmünde, Stolp* – a potem wyliczyła po polsku: – Słafno, Darlofo, Uska, Supsk.

Powinno wystarczyć na dwugodzinną drzemkę. Przy okazji sprawdzi, czy chłopcy z passata też zatankowali do pełna. Widziała, jak jej asystenci znowu wymieniają ukradkowe spojrzenia i wzruszają ramionami. Michał ruszył powoli. Skoro pani ma drzemać, jazda powinna być niespieszna i komfortowa, co nie tak trudno osiągnąć w mercedesie klasy E. Oparła głowę o miękki zagłówek i zamknęła oczy, żeby w spokoju zagłębić się w tamto wspomnienie. Przy nim najlepiej się zasypiało.

Ma sześć lat i patrzy na ścieżkę w parku prowadzącą od bramy do budynku. Jest jesień, szary dzień i z drzew spadają pierwsze liście. Staje na taborecie i zawieszając obie ręce na metalowej kracie, szepcze pod nosem: „*Lieber Herrgott*, pomóż. Nie zostawiaj mnie samej. Nie dam rady. Gerdo, wróć. Gerdo, Gerdo”. Północny wiatr dmucha i kręci liśćmi na ścieżce. Nikogo nie ma. Bałtyk we Flensburgu jest inny niż u nich na Pomorzu. Bardziej ołowiany i poszarzały od kadłubów wojennych okrętów. Nieprzychylny, obcy, o kwaśnym metalowym zapachu. W Rügenwalde był zawsze błękitny i jasny, z ciepłym piaskiem. Tu nic nie jest jasne. I nikogo nie ma.

Ścieżką od bramy idzie mężczyzna. Ma grubą kurtkę i czarną czapkę z daszkiem na głowie. Kroczy ciężko, na rozstawionych nogach i ona w pierwszej chwili złości się, że to nie może być Gerda. A potem nagle promienieje i skacze z taboretu na podłogę z krzykiem: „Kapitan! Kapitan Mielke przyjechał!”. Rozpycha inne dzieci, które patrzą na nią zdziwione, ale posłusznie odsuwają się na boki. Nauczyły się na wojnie, że gwałtowne reakcje są czymś zupełnie normalnym. Ona biegnie przez korytarz do schodów, skacze po trzy schody naraz, wpada do holu wejściowego i na oślep rzuca się w ramiona mężczyzny. On niezdarnie przytula ją do siebie i pospiesznie tłumaczy coś kobiecie z obsługi ośrodka wychowawczego dla wojennych sierot we Flensburgu. Wełniany materiał kurtki pachnie solą morską, ziemią, wilgotnym powietrzem. Heike wciska twarz w jego ubranie i chce tak zostać. Nie chce, żeby kapitan zaczął mówić, bo wie, co usłyszy, więc trwa kurczowo wczepiona w zapach Pomorza. On odrywa ją niemal siłą, unosi i przyciska do siebie. Mówi jedno słowo.

– Wróciłem.

Dopiero kilka lat później dowie się, ile w tym słowie mieściło się jego cierpienia, udręki, dramatycznych kolei losu. Na razie czuje jego żywą obecność i radość, że przyjechał po nią. Że jednak *Lieber Herrgott* nie zostawił jej całkiem samej. Puszczą go wreszcie i odsuwa się na odległość swoich drobnych ramion. Patrzy wprost w ogorzałą, pobrużdżoną twarz kapitana Mielkego, po której spływają łzy. Wreszcie zbiera się na odwagę.

– Znalazłeś ją?

– Tak, Heike – odpowiada cicho i odwraca wzrok.

– Naprawdę?! Gdzie jest? Przywiozłeś ją?

On gładzi ją po policzku.

– Znalazłem, ale zaraz znowu zgubiłem. Widziałem ją i wtedy...

Ona nie chce dalej słuchać. Zatyka mu usta dłonią i obejmuje mocno za szyję. Niejasno domyśla się jakichś strasznych wieści i gwałtownie broni się przed nimi. Nagle nie chce wiedzieć, co się stało z Gerdą. On również milczy. Stoją tak chwilę w ciszy, dopóki opiekunka ośrodka im nie przerywa, by zaprosić kapitana do gabinetu w celu załatwienia formalności. Rudolf Mielke stawia Heike na podłodze, bierze za rękę i idą razem do biura, a ona postanawia, że już nigdy mu nie pozwoli tak po prostu się zostawić.

Obudziła się od przechyłu samochodu, który właśnie pokonywał ciasne rondo. Potrzebowała chwili, żeby się zorientować, gdzie jest i co robi. Wjeżdżali do Darłowa. Odwróciła się i w rzędzie samochodów za nimi dostrzegła granatowego passata.

– Możesz jechać szybciej – powiedziała do prowadzącego Michała. – Już się wyspałam.

W mieście mgła była nieco gęstsza, unieruchomiona między ścianami domów. Minęli centrum i wyjechali na szosę numer 203, gdzie Michał pokazał, co potrafi mercedes klasy E na polskiej drodze krajowej. Wyprzedził gładko trzy samochody oraz wlokącą się przed nimi ciężarówkę i mając przed sobą pustą przestrzeń, pognął do przodu. Heike obejrzała się. Granatowy passat próbował powtórzyć manewr i omal nie wpakował się pod samochód dostawczy. Przesunął się o dwa miejsca do przodu i utknął.

Kazała Michałowi skręcić na Rützenhagen, które teraz nazywało się Rusinowo i jak wszystkie nadmorskie miejscowości zabudowane było domkami wypoczynkowymi. Teraz, w lutym, straszyły zatrzaśniętymi okiennicami i pustką. Droga dojazdowa również była pusta i ich mercedes niestety z daleka rzucał się w oczy. Granatowy passat wkrótce wyłonił się

zza zakrętu kilkaset metrów za nimi. Obie strony widziały się teraz jak na dłoni.

– Jershöft – mruknęła, polecając skręcić na Jarosławiec. Stamtąd dalej bocznymi drogami pojedą do Ustki, a jeśli tamci się nie odczepią, skręci jeszcze w Dolinę Charlotty i zmusi do włączenia się po okolicy aż do skutku. Chcieliście Pomorza, to proszę jeździć.

Michał spojrział w lusterko i bez pytania o zgodę przyspieszył. Mercedes płynnie pogalopował wąską szosą. Spojrzała na zegarek, było dwadzieścia po siódmej. Powinni gdzieś jeszcze zgubić godzinę. Pod Jarosławcem pojawiło się więcej samochodów. Ulicą Nadmorską dojechali do Jezierzan, stamtąd wrócili na główną szosę do Ustki, a w Duninowie kazała Michałowi odbić na południowy wschód. Znaleźli się w okolicach Doliny Charlotty. Mijali wioski, których nazwy nic jej nie mówiły. Ten świat coraz mniej był jej światem.

Odwróciła się, tamten samochód zniknął. Przymknęła oczy i wróciła do wspomnienia.

– Dotarłem do Heinsdorf – zaczyna Rudolf Mielke, niosąc jej tobolek z rzeczami. Wyszli z budynku sierocińca i kroczą ścieżką przez park. On opowiada, jakby się tłumaczył. Czuje się winny, że zgubił Gerdę. Głowę chowa w ramionach i mówi cicho, niepewny tego, co chce powiedzieć.

– Mieszkalem w domu Stubenauerów, który zajmuje teraz rodzina ze Wschodu o nazwisku Siemczuk. Ich syn Bolek uczył mnie polskiego i zaprowadził do sąsiedniego domu, gdzie miała mieszkać Gerda. Ale jej nie było. Uciekła. Jej gospodarze bardzo się o to złościли. Taki chłopak, Staszek Kulik, bardzo chciał z nią dalej mieszkać...

Ona widzi, jak kapitan Mielke szuka słów, które mógłby powiedzieć do sześćioletniej dziewczynki i które nie odbiegałyby nadmiernie od prawdy. Heike już wie, co się działo na Pomorzu po wejściu Rosjan, dzieci w sierocińcu mówiły o tym na okrągło, na przemian z grozą i podnieceniem. Los niemieckich dziewczyn był straszny. Wypowiada na głos słowo *Vergewaltigung*, choć go nie rozumie. Kapitan zatrzymuje się na

ścieżce i przygląda się dziewczynce z uwagą. Nie mówi już nic, tylko nieznacznie kiwa głową.

Jest trochę oszołomiona nadmiarem wrażeń z ostatnich chwil. Nie dociera do niej jeszcze cały sens powrotu Mielkego. Straciła wszystkich. Coraz wolniej zbliża się do furtki, z oporem, jakby przedzierała się nie przez jesienne wilgotne powietrze, ale przez błotnistą maź. Kapitan ciągnie ją za rękę, ona czuje jego pulsujące ciepło. Nie wie, dokąd idą, co z nią będzie i co się właściwie wydarzyło. Świat zubożał. Wystygł. Tylko ta ciepła, kapitańska dłoń.

Otwierają żelazną furtkę i wtedy z czekającego na nich samochodu wyskakuje chłopiec. Biegnie do niej z szeroko otwartymi ramionami.

– Otto! – krzyczy ona ze zdumieniem. – Otto!

Wychudzony i ogolony do gołej skóry Otto Stubenauer bierze ją w ramiona. Kręcą się w kółko ciasno objęci.

– Wiedziałem! – woła chłopak. – Byłem pewien, że żyjesz! Widziałem Gerde i Reksa. Byliśmy sami w Heinsdorf, składaliśmy mu złamaną łapę. Chcieliśmy was dogonić w Schlawe, ale przyjechali Rosjanie na koniach i zrobiłem wybuch, żeby ich odstraszyć. Uciekli, ale zaraz wrócili i jeden z nich mnie zabrał. Uciekłem im, ale potem jacyś ludzie złapali mnie znowu i odstawili do obozu dla Niemców – zniżył głos. – Więcej jej nie widziałem. W obozie spotkałem kapitana Mielkego, który też ją widział, ale tylko na jedną chwilę, krótko, i tyle. Więcej nie mogliśmy szukać, bo nas zapakowali do pociągu i wywieźli do Niemiec. Od miesiąca szukamy cię po wszystkich domach dzieci, Heike. Jesteś.

Otto gada jak najęty, wyrzuca z siebie długo gromadzone napięcie. Ona słucha ostatniego głosu jej rodziny, tego samego głosu, który tyle razy rozbrzmiewał na podwórku rodzinnego domu, i myśli sobie, że jednak nie zostanie całkiem sama. Wsiadają do samochodu na tylne siedzenie i jadą kasztanową aleją do miasta. Otto mówi, że zamieszkają na razie u kuzynki kapitana Birgit, a on musi jeszcze pozałatwiać jakieś swoje sprawy zawodowe. Później się dowiedzą, że te jego „sprawy zawodowe” to dwa lata więzienia za służenie Hitlerowi.

Ocknęła się i spojrzała przez tylną szybę. Granatowego passata nie było. Po zatoczeniu pomorskiego koła znowu znaleźli się w Słupsku. Klepnęła Michała w ramię.

– Teraz Heinsdorf – powiedziała i przymknęła powieki, żeby obmyślić strategię kolejnej rozmowy z Bolesławem Siemczukiem. Ten stary trzęsący się dziad musi przecież coś powiedzieć! Czasu coraz mniej, prawie nic. Jej świat umiera. Pomyślała, że kolejnymi banknotami nic już nie wskóra i że staruchowi potrzebny jest jakiś wstrząs. Na przykład postraszenie policją albo lekki szantaż.

Do celu dotarli dziesięć po ósmej. Drzwi do dawnego domu Stubenauerów były otwarte i kiedy Heike Liebner zaczęła wchodzić po schodach na ganek, w progu stanął Andrzej Krzycki.

– *Too late, Mrs. Liebner* – stwierdził niemal figlarnie. – Za późno. Stary Siemczuk nie żyje.

5

– Popęłił samobójstwo. Pocieszę panią, że przed śmiercią przyznał się do winy – wyjaśnił Krzycki, sadowiąc się obok Heike na ławeczce na ganku. – Niestety, nie wiemy dokładnie jakiej – dodał, wyjmując z kieszeni kartkę. Koślawymi literami wypisane było na niej po polsku: „Zabiłem ją”.

W skroniach jej zadudniło od nagłego skoku ciśnienia. Popatrzyła na pomięty karteluszek i poczuła, jak odpływają od niej resztki sensu. Stary Bolek Siemczuk był ostatnim świadkiem. Tyle lat i nagle koniec? Już nic więcej, żadnego tropu, znaku stamtąd, od niej? Z głębi domu dochodziły jakieś krzyki i awantury, rozpoznała wrzaskliwy głos córki Siemczuka i słowa uspokojenia cierpliwie powtarzane przez komisarza Lucjana Bałysia. Na chwilę rozblęśła iskierka nadziei, że może córka słyszała od ojca coś o Gerdzie i powie za pieniądze, ale szybko zgasła. Beznadziejna sprawa.

Koniec.

Gerda rozwiała się w powietrzu jak bałtycki obłok nad horyzontem.

– *Scheisse* – mruknęła od nosem Heike.

Inspektor z Krakowa położył dłoń na jej przedramieniu.

– *Not quite* – powiedział z tajemniczym uśmiechem. – Nie do końca.

– Tylko mi nie mów, Andzej, że ją znalazłeś – prychnęła.

Tajemniczy uśmieszek nie schodził z twarzy inspektora. Pokazał palcem na szarego mercedesa klasy E, przyczajonego pod drzewem po drugiej stronie ulicy, nieopodal dawnego domu Müllerów.

– Macie jeszcze te szpadle w bagażniku? Chłopcy wypoczęci?

Wbiła w niego czarne oczy.

– Po tobie, inspektorze, wszystkiego można się spodziewać. Ale żebyś był aż tak dobry, to nie wierzę. Ja szukam od pół wieku. Wcześniej szukali Rudolf Mielke i Otto Stubenauer. Niby wszyscy są głupi, tylko Andzej Krzycki mądry?

– A co ma pani do stracenia?

Ten człowiek posiadał niewiarygodny talent do zaskakiwania jej.

– Nic – przyznała. – Czy on zabił Gerde? Może córka coś wie? Muszę z nią porozmawiać.

Poderwała się z ławki, ale przytrzymał ją za suchą, pokrytą brązowymi plamami dłoń.

– Za chwilę przyjedzie pogotowie i policja ze Słupska. Lepiej, żeby nas tu nie zastali.

Chciała zaprotestować, jednak bez większego przekonania. Krzycki znowu miał rację.

Kazał jej poczekać cierpliwie w samochodzie, po czym zniknął we wnętrzu domu. Wkrótce dobiegły stamtąd nowe krzyki. Przez chwilę wahała się, czy wejść i spojrzeć jeszcze raz w twarz człowieka, który zabierał do grobu ostatnie informacje o Gerdzie. Zrezygnowała. Bardziej zaintrygowało ją to, co powiedział Krzycki. Chyba powinna mu zaufać. Chciała mu zaufać.

Zagadał coś do tamtych po polsku. Zeszła ostrożnie po nierównych kamiennych schodach dawnego domu Stubenauerów, tych samych, na których siadali jako dzieci. Dawno temu, kiedy tamten świat był jeszcze tym światem. Z całej siódemki została tylko ona, ona i te schody. Przysiadła. Kamień był zimny i mokry jak grobowiec. Wtedy był suchy i ciepły jak chleb. Szybko wstała i poszła do samochodu.

– Panowie, nie możemy tak po prostu odejść – zwrócił się Rysiek Hadczuk do Andrzeja i Lucka. – Śmierć nastąpiła z przyczyn nienaturalnych, a to nakłada na nas obowiązek zgłoszenia wypadku w oficjalnym raporcie, zawiadomienia prokuratora, pogotowia...

– Właśnie to zrobiliśmy – przerwał mu Andrzej.

– Wiem, ale powinniśmy zostać i przypilnować porządku...

Mówił powoli i ciężko, z poczuciem absolutnej beznadziei, jakby miał do przerzucenia wagon węgla gołymi rękami. Wiedział, że się nie zgodzą i nie zostaną. Pojadą robić swoje, razem z tą Niemką, a on znowu tkwi w rozkroku między nimi a wydziałem jak stara burdelmama na rogu ulicy. Jeśli zostanie, dopełni służbowych obowiązków, ale gównem będzie wiedział z tego, co najważniejsze. Oni zrobią swoje i wrócą do Krakowa, a on stanie się pośmiewiskiem miasta, ponieważ nie załapał nawet, co się właściwie zdarzyło. Jeśli pojedzie z nimi, zostanie wzięty za tyłek i sponiewierany przez Zdybasa. A najprawdopodobniej wyleci z roboty. Wtedy będzie mógł siedzieć sobie w kurniku od rana do wieczora z nadzieją, że pewnego dnia Krzycki znowu go zaskoczy między grzędami.

– To zostań – powiedział Andrzej spokojnie. – Damy sobie radę. Potrzebujemy tylko jednej rzeczy z domu Palków: laptopa Lucka.

– Dlaczego sami po niego nie pójdziecie?

– Bo wasi ludzie go pilnują. Czekają na nas. Zapomniałeś? – dokończył, pokazując rozciętą wargę.

– No dobra, ale przecież...

– Ryśku, skup się. – Krzycki popukał go palcem w pierś. – Tam są nasze rzeczy. Nie możemy po nie iść, nie mamy również czasu na pertraktacje ani

na głupie tłumaczenia, jak to teraz. Nie rozumiesz? Postaw ich na baczność, spakuj nasze torby i je przynieś. A potem rób, co chcesz.

– Ale...

Andrzej odwrócił się i bez słowa poszedł w kierunku samochodu Heike Liebner. Komisarz Hadczuk poczuł z tyłu klepięcie w ramię.

– Mykaj, chłopie – rzucił Lucek. – Masz dwie minuty. Nie zapomnij ładowarki.

Rzeczywiście, zgodnie z tym, co mówił Andrzej, czterech policjantów w cywilu kręciło się po podwórku domu Palków. Na widok Hadczuka zawahali się przez moment, a potem zaczęli po kolei meldować. Odesłał ich gestem ręki, wszedł do domu i do dwóch toreb wrzucił rzeczy wyglądające na podręczny bagaż Andrzeja i Lucka. Myślał sobie przy tym, że to absurd, by on musiał wynosić rzeczy dwóch oficerów policji w tajemnicy przed innymi policjantami, którzy na nich czatują. Tam morderstwa i oszustwa na wielką skalę, a tu policja bawi się w podchody jak banda smarkaczy na obozie harcerskim, tylko trochę brutalniej, bo do krwi. A on w tym wszystkim kręci się jak gówno w przeręblu.

Obładowany niczym domokrążca wrócił na podwórze Siemczuków, gdzie Lucek już niecierpliwie przebierał nogami.

– Dawaj – warknął surowo i chciał mu zerwać torby z ramion.

– Poczekaj, ja wezmę jedną.

– Serio? – zdziwił się Bałyś. – Jedziesz z nami?

– Nie wiem, czy serio, ale jadę. Kiedyś w końcu trzeba się zdecydować. Może ja też nie jestem policjantem... – stwierdził Rysiek melancholijnie. – Nie, tu chyba nic nie jest serio.

– Masz komórkę?

– Mam. – Hadczuk zaczął grzebać w kieszeni.

– Dawaj.

Lucek wyrwał mu telefon i z rozmachem wyrzucił w krzaki, a na zdumiony okrzyk tamtego odparł, że Andrzej tak kazał, po czym

z wypchanymi torbami pobiegli do zagajnika za wsią, gdzie czekało ukryte za krzakami volvo.

Tymczasem Krzycki, nie czekając na zaproszenie, otworzył drzwi mercedesa i bezceremonialnie przysiadł się do Heike Liebner. Nie zareagowała na jego wtargnięcie. Siedzieli tak w milczeniu kilka minut, dopóki nie dostrzegł Lucka z Ryśkiem taszczących torby w kierunku zagajnika. Uśmiechnął się pod nosem. Od drugiej strony nadjechała z rykiem syreny karetka pogotowia. Dopiero wtedy klepnął Michała w ramię i kazał jechać na Przystawno. Mijając kościół, widział księdza Patkula z gromadką wyrostków. Proboszcz coś im klarował, machając rękami, a na widok ich samochodu odwrócił się plecami do drogi.

– A teraz, droga pani Liebner – zaczął Andrzej – proszę mi opowiedzieć wszystko po kolei.

– Wszystko pan wie – odparła niewzruszenie. Patrzyła mu prosto w oczy, jakby to była szczerą prawdą.

Znów klepnął Michała i tym razem powiedział po polsku:

– Proszę się zatrzymać. Wsiadam.

Zdezorientowany kierowca zdjął nogę z gazu i zerknął w lusterko. Starsza pani nie drgnęła. Samochód zatrzymał się na poboczu, Andrzej otworzył drzwi i wysiadł. Cofnął się parę kroków i machnął ręką na nadjeżdżające volvo. Drzwi w mercedesie się uchylły.

– Proszę wszadacz – powiedziała surowo Heike.

Wsiadł. Kiedy ruszyli, a Lucek coś wołał i machał rękami z drugiego auta, Andrzej pokazał mu uniesiony kciuk, po czym zmienił na środowy palec. Volvo zatrąbiło. Jechali dalej. Po drodze minęły ich dwa samochody pędzące do Grębówka. Jeden z nich był granatowym passatem.

– Musi pan wiedzieć wszystko, nieprawda? – spytała Heike Liebner.

– Prawda.

– W takim razie powinnam zacząć od października czterdziestego piątego, kiedy Rudi z Ottonem i Josephem Müllerem przyjechali po mnie do sierocińca...

– Zgubili ją.

Po drugiej stronie słuchawki rozległ się nieokreślony charkot, w którym inspektor Zdybas z trudem rozpoznał „kurwa mać”.

– Nie mogłeś jej założyć jakiegoś GPS-a? – spytał Trębacki. – Przecież wy tam w policji macie swoje metody.

– Ale właśnie ją znaleźliśmy – odparł spokojnie Zdybas. – W ogóle mamy obie zguby, bo białe volvo też znaleźliśmy. Wyjeżdżają z Grębówka.

– To czemu od razu nie mówisz?! – krzyknął Trębacki. – Dokąd pojechali?

– Jeszcze nie wiem, ale jeden z naszych pojechał za nimi. Czekam na meldunek.

– Dobrze, dobrze... – mamrotał Trębacki, już obmyślając następne kroki. – Mówiłeś o tym Müllerowi?

– Nie, bo nie odbiera telefonu. Oby tylko nic nie robił na własną rękę. Rozmawiałeś z nim ostatnio? Znalazł coś?

Parę sekund trwało, zanim usłyszał odpowiedź.

– Że co? A, nie, chyba nic. Kopali wczoraj w parku przy pałacu, ale to jak szukanie igły w stogu siana. Może sobie tak kopać do usranej śmierci. – Rozległo się ciężkie sapnięcie. – Co z was, kurwa, za policja! Fotografii nie ma, klucza nie ma, mapy nie ma, rysunków nie ma. I książki, kurwa mać, nie ma! Czy wy w ogóle umiecie coś znaleźć?

Zdybas próbował wyjaśnić, że działali według planu, ale nie przewidzieli wszystkich trudności. Tłumaczył się jak uczeń przed wychowawcą i gryzł wąsa z wściekłego upokorzenia.

– A ten stary mógł coś sypnąć przed śmiercią? Dlaczego on umarł? Może ktoś za tym stoi? Opowiadaj, Zdybas, bo za diabła tego wszystkiego nie łapię.

– Córka stwierdziła, że ojciec zażył tabletki nasenne, a wcześniej zostawił kartkę. Podobno nasi ją zabrali.

– Jacy nasi?

– Na miejscu są nasi ludzie, pilnują domu Krzyckiego. Już raz prawie go mieli, ale im się wymknął.

– Ja pierdolę...

Zdybas nagle zrozumiał, że z jego wersją jest coś nie tak. Jeżeli policjanci zabezpieczający dom Krzyckiego znaleźli się na miejscu samobójstwa, to dlaczego o tym nie meldowali? A może właśnie próbują to zrobić i nie mogą się dodzwonić?

– Słuchaj, muszę się rozłączyć – powiedział i nacisnął przycisk. Na wyświetlaczu faktycznie migotały trzy nieodebrane połączenia. Oddzwonił.

– Melduję, panie inspektorze, że w obiekcie X pojawił się komisarz Ryszard Hadczuk. Zabrał rzeczy obserwowanych i odszedł. Nie mogliśmy go zatrzymać, nie było rozkazu. Mamy go śledzić?

– Nie. A co z tym samobójstwem? Zabezpieczyliście teren?

– Jakim samobójstwem? – zdziwił się policjant.

– Cholera...

Kazał im pozostać na miejscu i rozłączył się. Zadzwoił do tych dwóch, którzy śledzili Heike Liebner i ją zgubili, a teraz podobno odnaleźli. Nie odbierali. Zadzwoił do Hadczuka. Jego telefon również milczał. Spróbował dodzwonić się do Jensa Müllera. To samo. Zrobiło się niebezpiecznie cicho. Rozejrzał się po mieszkaniu. Tu też było nieprzyjemnie cicho. Żona i córki miały wrócić dopiero za trzy dni. Do tego czasu może się wiele wydarzyć. Ubrał się w mundur i wyszedł na dwór. Szary lutowy dzień przypominał brudną wodę z prania skarpetek. Wsiadł do samochodu i pojechał prosto do Grębówka.

Jens Müller obracał w ręku prostokątny kartonik z zagiętymi narożnikami. Chwilę przyglądał się czarno-białej fotografii przedstawiającej kawałek ściany z wiszącym na niej lustrem. Odbijał się w nim starszy mężczyzna

z aparatem marki Praktiflex przy oku. Odwrócił kartonik i po raz setny przeczytał odręczny tekst po niemiecku.

„Obok ścian pokojowych wzdłuż całego muru pozostało jeszcze brudnobiałe pasmo – i tędy pełzała w niesłychanie wstrętnych, miękkich jak glista, jakby trawiących ruchach otwarta, rdzawa rura klozetowa”. Długa pozioma kreska i dalej: „Tam tkwiły obiady i choroby, i wyziewy, i wieloletni dym i pot, co wydziela się spod pachwin i obciąża suknie, i czczy zapach z ust, i fetor spotniałych nóg. Tam tkwił kwas uryny i żar sadzy, i szary opar ziemniaczany, i ciężki, śliski smród zestarzałego smalcu”^[Z].

Rzucił fotografię na stół i pokazał palcem na siedzącego mężczyznę.

– Spytaj tego idiotę, czy to wszystko – warknął po niemiecku do jednego z dwóch młodych zwalistych ludzi, którzy stali za tamtym jak straż przyboczna.

Ten powtórzył pytanie po polsku. Człowiek przy stole skinął głową i postukał brudnym paznokciem po kartoniku.

– Miało być zdjęcie z opisem i jest zdjęcie z opisem – oznajmił ponuro i otarł wierzchem dłoni fioletową plamę na policzku. – Nic więcej nie było.

– Na pewno?! – krzyknął strażnik po polsku z twardym, niemieckim akcentem. – Lepiej się dobrze zastanów, zanim skłamiesz, *Arschloch!*

– Na pewno. I pierdol się.

Strażnik uniósł zaciśniętą pięść, a siedzący skulił się na krześle i zasłonił ręką głowę.

– *Scheisse! Mensch!* – zaklął wściekły Müller. – To niemożliwe! *Das gibt's doch nicht!*

– Na pewno dobrze zrozumiałeś? – spytał prokurator Trębacki po niemiecku. – Może to jakieś inne rury?

– Tu nie ma innych rur! Odkopaliśmy dookoła całe fundamenty, cały *verdammt* pałac Schlieffenów! I wszystkie rury kanalizacyjne, które od niego odchodziły. Od środka też. Nie ma nic! Ani śladu!

Wśród pięciu mężczyzn w pokoju zapadła cisza. Patrzyli tak, aby nawzajem nie trafiać na siebie wzrokiem. Każdy prowadził myśli własnymi ścieżkami, wszystkie jednak zbiegały się w jednym ciemnym punkcie. Tkwiła tam skrzynia ze skarbem.

– No to wróciliśmy do punktu wyjścia – podsumował Trębacki. – A co zrobimy z nim?

Pokazał palcem na siedzącego przy stole zgarbionego mężczyznę. Ten wyczuł, że o nim mowa.

– Ale co?! – krzyknął po polsku. – Zrobiłem wszystko, jak chcieliście! Miałem przynieść zdjęcie i przyniosłem. Czego jeszcze chcecie?! No? Czego?

Bełkotał trochę. Język mu się plątał ze zdenerwowania i jakiejś wrodzonej przypadłości, której ślady rzucały się w oczy w poziomej bliźnie na górnej wardze. Trębacki go zignorował i wyczekująco wpatrywał się w Jensa Müllera. To Niemiec tu rządził. Niemiec, który miał pieniądze.

– Jest mordercą – powiedział Müller powoli. – Powinien siedzieć w więzieniu.

Prokurator Trębacki zrozumiał, że w takim razie z głupim Stefanem Kotulasem może zrobić, co mu się podoba. Areszt, proces i wieloletni wyrok nie stanowiły jednak najbezpieczniejszego rozwiązania. Wprawdzie przybłąda i idiota, ale nawet taki może coś powiedzieć. Najlepsza byłaby ciężarówka. Pod warunkiem że poprowadzi ją lepszy zawodowiec niż Mirek Borowiak. Niby taki kozak, a spartolił robotę. W dodatku tamci dwaj zabrali jego dokumenty i mogą narobić bałaganu. Wszystko się popieprzyło...

Wyjął telefon i już miał wcisnąć numer do Zdybasa, gdy naraz się rozmyślił. Nie, tego nie można zostawiać osobom trzecim.

– Zabieram go. – Wskazał skulonego ze strachu Kotulasa. – Jeszcze nam znowu ucieknie – dodał obojętnie.

Müller skwitował te słowa ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

– Nie pozostaje nic innego, jak odszukać tę starą kobyłę – powiedział i zgarnął z wieszaka swój gruby płaszcz z futrzanym kołnierzem. *Diese alte Stute* zabrzmiało w jego ustach jak kolejne soczyste niemieckie przekleństwo.

Trębacki usadził Kotulasa na tylnym siedzeniu swojego samochodu. Dla bezpieczeństwa wziął jednego ze strażników Müllera, tego, który znał polski. Gdy ruszyli, Kotulas zaczął mówić.

– Panie sędzio, niech mnie pan puści, to powiem. Coś bardzo ważnego. Im nie gadałem, bo to szwaby, ale panu powiem.

Bełkotał jeszcze bardziej niż wcześniej. Nie chciał, żeby Niemiec go zrozumiał. Prokurator stwierdził w duchu, że ten chłopak nie jest jednak takim idiotą, jak informowała o tym jego twarz. Powoli się odwrócił.

– Co?

– Nnie mmoge mmówić – wymamrotał Kotulas.

Samochód, który właśnie ruszył z parkingu pod wynajętym przez Müllera domem na obrzeżach Słupska, nagle zahamował.

– Idź, spytaj, gdzie się mamy spotkać – polecił barczystemu strażnikowi, a kiedy tamten wysiadł, rzucił krótko: – Gadaj.

– Tam był klucz. I plan. Mam w domu. Wszystko oddam, tylko niech mnie pan puści.

– A gdzie ty właściwie mieszkasz?

– W Przystawnie. Na końcu wsi. Z babą.

Przez dwie sekundy nie działo się nic. Potem samochód ruszył z kopyta, pryskając żwirem na przydomowy klomb.

XI

Mittsommernacht

czerwiec 1945

1

Czuła się niezręcznie pod jego natarczywym wzrokiem. Patrzył i patrzył. Mógłby powiedzieć na przykład o swoim ocaleniu w pałacowym parku, kiedy była pewna, że zginął. Co tam właściwie robił, skąd się wziął – cokolwiek. On jednak nie mówił nic. Patrzył. Dotykał wzrokiem.

Uśmiechnęła się, żeby choć trochę się rozluźnić.

– Dziękuję za pomoc. Gdybyś ich nie odciągnął, byłoby ze mną źle.

Nie odpowiedział. Ona siedziała na ławce pod ścianą wiatraka, on przysiadł na pieńku naprzeciw niej. Blizna na twarzy przybladła, choć brutalne cięcie nie wyglądało jeszcze na całkiem zagojone. Widomy znak bolesnego sekretu. „Zachowajmy sobie po jednej tajemnicy”. Przepołowiony policzek głośno wykrzykiwał swoją historię, wystarczyło kilka słów, by ją dopowiedzieć. Antek jednak milczał.

Gerda podrapała się w koniuszek nosa. A co z jej sekretami? Umieranie pod zwalistym ciałem Staszka Kulika? Ziółka i skakanie na prostych nogach? Nigdy o tym nie opowie. Ursel doskonale to wyczuwała i dlatego od tamtego dnia unikała jej, dając czas na poukładanie tego wszystkiego gdzieś tam, w środku. Znikała na całe dni i wracała obładowana trawami, gałęziami, woreczkami z korą i pleśnią. Potem pichciła to w garnkach na kuchni, a Gerdzie od samych aromatów kręciło się w głowie.

Dużo spała. We śnie latała swoim czarodziejskim młynem, odwiedzając dawne miejsca i spotykając tych, których już nie było. Zmęczona

wędrówkami po nieistniejącej krainie budziła się i natychmiast chciała znowu zasnąć, umrzeć. Ale tak naprawdę – żeby już nie wracać do niehumanitarnej jawy. Ze wzrokiem utkwionym w drewnianym suficie wdychała zapach mącznego kurzu, licząc, że ją w końcu udusi.

Nie wracać. Żeby został tylko sen.

A teraz nagle on. Antek Kulesza.

– Wiedziałaś, że tu jestem? – spytała i zaczerwieniła się. To było trochę bezczelne. Nie przyjechał tu dla niej.

Pokiwał głową. Potem energicznym ruchem zaprzeczył. Uśmiechnął się. Patrzył.

– Skąd wiedziałaś?

Obejrzał się za siebie, jakby sprawdzał, czy nikt nie podsłuchuje.

– Stara mi powiedziała – wyjaśnił. – To znaczy, nie powiedziała, tylko pokazała. To znaczy, nie ona sama, tylko twoja sukienka. A właściwie jej koronkowy kołnierzyk.

Zrozumiała, co miał na myśli. Kiedy po zabiegu leżała osłabiona i niewiele się ruszała, Ursel zabrała się do porządkowania garderoby Gerdy, zaczynając od zielonej sukienki. Po jej upraniu stwierdziła, że koronkowy kołnierzyk zupełnie się podarł i nie nadaje się do użytku. Przy najbliższej niedzieli powędrowała do Przystawna na rynek, gdzie handlowano wyszabrowanymi rzeczami.

– Oglądałem śrubokręty u pewnego rabusia warsztatów, kiedy jakaś okropna starucha przy sąsiednim stoisku spytała o koronki do zielonej sukienki. Poszedłem za nią. Kiedy dotarła do skrzyżowania na Kukułczy Młyn, zawróciłem. Nie byłem jeszcze gotowy.

– Gotowy na co?

Nie odpowiedział. Patrzył i patrzył. Jakby chciał nadrobić te wszystkie ślepe minuty spędzone z nią w ciemności pod pałacem Schlieffenów. Nie wiedziała, co ma dalej mówić. Milczeli. Słońce grzało skórę. Ciepły wiatr wiał. Konie skubały trawę. Łąka falowała. Wiatrak skrzypiał. Chciała spytać, po co tutaj przyjechał, ale jeśli on odpowie źle, ten kruchy obrazek

rozsypie się w proch. Drżała. Wróciło na chwilę coś, co przecież miało zginąć bezpowrotnie.

Odgarnęła mu kosmyk włosów z czoła. Przytrzymał jej rękę.

– Po co przyjechałeś?

Przytknął jej dłoń do ust i delikatnie pocałował. Wyszarpnęła ją.

– Nie.

– Boisz się mnie?

Pokręciła głową. Konie powlokły bryczkę za wiatrak w poszukiwaniu lepszej trawy. Zagapiła się w miejsce, gdzie zniknęły. To złudzenie – nie ma lepszej trawy. Jest tylko pogoń za lepszą trawą.

Poleziesz, nieuważna, w pole i przepadniesz.

Nie wolno.

Zmieniła temat i spytała, co mają dalej robić. Jeśli on tak łatwo znalazł Kukułczy Młyn, tym łatwiej znajdą go ludzie Kulika. Długo się tu obie ze starą Ursel nie uchowają. Jego też zabiją. Pomorskie rachunki Polaków były bardzo proste.

– Zaraz ktoś tu przyjedzie – odparła. – Stąd już nie uciekniemy. Nie mamy dokąd.

Uśmiechnął się. Ten jego uśmiech – taki jasny! Taki spokojny! Jakby wkoło nie było żadnej wojennej pożogi, żadnych czerwonych diabłów i biało-czerwonych rabusiów, jakby nie istniały mordy, gwałty i szabrowania, tylko ta ciepła wiosna i konie pasące się na zielonej trawie. Jak można się tak uśmiechać? Oczy jej się zaszklily.

Z kieszeni na piersi wyjął złożony w czworo papier i jej podał.

– W takim razie przyjechałem po to. Jestem gotowy.

Otarła rękawem oczy, wzięła papier, rozłożyła, po czym złożyła i oddała mu z powrotem.

– Nie umiem po polsku.

– To jest urzędowy przydział na Kukułczy Młyn – wyjaśnił. – Na podstawie tego dokumentu jestem teraz właścicielem. Z całym żyjącym tu

inwentarzem.

Uśmiechnął się szeroko, a ona podrapała się po nosie.

– Chcesz powiedzieć, że będziesz teraz z nami mieszkał? A ja zostałam twoją własnością?

– Bardzo to lubię – odparł.

– Co? Mnie na własność?

– Jak się drapiesz po nosie.

Prychnęła niezadowolona.

– Pytam poważnie. Po co przyjechałeś i jak to sobie wyobrażasz? I przestań się ciągle uśmiechać, nie ma nic zabawnego w tym, że nas znalazłeś. To bardzo... niebezpieczne.

Plotła głupstwa ze zdenerwowania, nie rozumiejąc, dlaczego się właściwie tak denerwuje. Przecież było tak dobrze, tak swobodnie! Zupełnie jakby jakiś sekretny czar zdjął z niej ciężary ostatnich trzech miesięcy, gdy umarł tamten świat.

Ursel wyrosła jak spod ziemi.

– Przyjechał, bo się zakochał – powiedziała skrzekliwie.

– Idź stąd.

– Dobrze już, dobrze – zaskrzeczała Ursel. – Zajrzyjcie później do mnie, żebyście tu nie umarli z głodu.

Stara oddaliła się z naręczem ziół na rękę. Znowu zostali sami. Gerda nie wiedziała, co ma powiedzieć, a on patrzył i patrzył.

– Mówiłaś do mnie, prawda?

– O co ci chodzi?

– Żebym poszedł.

Potrząsnęła głową. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. To nie miało prawa się dziać. Nie chciała. Chyba nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, że to mogłoby się wydarzyć.

– Nie.

Konie zdążyły przeciągnąć bryczkę za wiatrakiem i wyłoniły się po drugiej stronie, obżarte i leniwe, wlokąc się noga za nogą. W odsłonięte ramię ugryzł ją bąk. Pacnęła go szybkim, mściwym ruchem. Nie, to nie jest prawdziwe.

– Gerda...

– Nie.

Wstała i omiatając jego zaskoczoną twarz krajem spódnicy, wbiegła do wiatraka. Minęła bez słowa Ursel i wdrapała się po drabinie na piętro. Później na drugie i na trzecie, a tam wciągnęła za sobą drabinę i zarygłowała klapę od góry. Usiadła w kącie poddasza i zakryła głowę rękami. *Nein, Lieber Herrtod. Nein. Nein.*

Zapadła w odrętwienie. Chyba zasnęła. Przyszła do niej babcia Henrietta i przytuliła ją do swoich dużych, ciepłych piersi. „Bo ty zawsze lubiałaś mówić *nein*, dziecino. I dobrze. Dlatego jeszcze żyjesz. Ale czasem nie wolno. Może akurat przyszło do ciebie to jedno, dla czego Bóg kazał ci żyć. Bez tego tylko mróz i śnieg. Dobrze, że uciekłaś, i dosyć. Wystarczy. Nie broń się, kruszyno”.

Dobrze, babciu. Nie, babciu. Nic nie rozumiesz.

Odepchnęła ją. Objęła rękami bolący brzuch. Wspomnienie kłuło i świdrowało w drżącym ciele. Zmusiła się do spojrzenia w głąb wiatracznego łba. Cisza. Kłapa milczała. I dobrze. Nie, niedobrze. Bardzo chciała, żeby ktoś przyszedł i zastukał w klapę od dołu. Nie ktoś, tylko on z tym swoim niewzruszonym, jasnym uśmiechem i miękkim głosem, żeby powiedział: „Otwórz”. I potem wziął ją na ręce, zniósł po drabinie, posadził na ławce w wiosennym słońcu i dokończył zdanie, które zaczął śpiewnie jak wiersz: „Gerda...”.

Rozpląkała się na dobre. Bzdura, nie da się znieść dziewczyny po drabinie. Chyba że przerzuconą przez ramię jak worek. Staszek ją tak kiedyś przyniósł i rzucił na łóżko. *Nein. Nein. Neeein!*

Ktoś dotknął jej ramienia. „Nie po to dałem ci skarb, żebyś go zmarnowała. Miałaś być mądra i wiedzieć”. Pan hrabia. Koścista dłoń wpijała się w jej ramię. „Zaufałem ci. Czego jeszcze nie wiesz?”

Straciła jego zgrabiałą rękę. Nie chcę wiedzieć niczego. Za późno.

Poczuła ciepło na policzku. Słońce przesunęło się ku zachodowi i jeden niefrasobliwy promień przebił się przez szparę w deskach prosto na jej twarz. Trochę się przesunęła. Nie chciała słońca i jego głupich promieni. Były jej tak samo potrzebne jak tamte koszarne umierania podczas *Vergewaltigung*. Boli. Boli. Wszystko boli. *Nein*.

Skarb. Hrabia mówi o skarbie.

Na czworakach poszła w kąt poddasza, gdzie pod stertą pustych worków tkwiła książka. Wyjęła ją ostrożnie, odwinęła z hrabiowskiej serwetki i pomacała podłużny klucz. Był twardy, spokojny, niewzruszenie namacalny. Nie, jeszcze raz nie. Dlaczego miałyby się udać, gdy wszystko przepadło?

No właśnie. Dlaczego miałyby się nie udać, jeśli dotrwała do teraz i przyszedł on, z tym swoim cholernym niewzruszonym uśmiechem? Potarła palcami zimny metal. Klucz do szczęścia czy nieszczęścia?

Ciekawe, co by powiedziała Heike.

Myśl o małej, przemyślnej i ciepłutkiej Heike wprowadziła ją w nieco pogodniejszy nastrój. Trudno, nie wszedł na górę, to ona zejdzie do niego. Chyba trochę zrobiła z siebie głupią gęś. Tłustą, nadętą, świętomarcińską gęś.

Schowała książkę na miejsce i powlokła się ku kłapie. Niech się dzieje, co ma się dziać, nic tu więcej nie wymyśli. Schodziła w dół, oddychając ciężko. Wiatrak skrzypnął od niechcenia, Bałtyk tchnął wilgotnym chłodem. Zaczynał się zmierzch.

– Gdzie on jest? – spytała w kuchni.

– Poszedł sobie – odburknęła Ursel.

To ją zbiło z tropu.

– Poszedł...?

– A co miał robić? Księżniczka zadarła nosa i odleciała do nieba, to sobie poszedł.

– Aha.

Usiadła na taborecie i opuściła ręce. Ależ jest głupia! Nareszcie przyszło do niej to jedno, na które czekała, a ona je przespała na strychu.

2

W pokoju wyczuwało się obecność kobiety. To było właściwie pomieszczenie piwniczne, jakaś pozbawiona zapasów spiżarnia. Pod ścianą leżał materac, obok stała brzydka obłupana komoda z trzema szufladami, w kącie – taboret z miską i wiadro pełne wody. Kapitan Mielke nie ośmielał się przypuszczać, że zamknęli go w pokoju Gerdy – wydało mu się to nazbyt fantastyczne. Jednakże groźba rozstrzelania nazajutrz, jeśli nie znajdą skarbu Schlieffenów, nie zostawiała zbyt szerokiego pola do negocjacji z losem, więc mógł myśleć, co mu się podobało.

Chwilę zastanawiał się, czy ma jakiegokolwiek szanse na przeżycie. Plan przygotowany przez los był druzgocąco prosty: przyjadą na miejsce, on trochę pokłuczy i bezradnie rozłoży ręce, po czym Kulik go zastrzeli. Zero manewrów. Niewielki margines nadziei dawała myśl o ucieczce po drodze: zeskoczenie z paki samochodu, nagły uskok w gąszcze, rozpaczliwy krzyk w stronę mieszkańców wsi. Do pomyślenia, ale nie do zrealizowania w terenie, gdzie roiło się od ludzi polujących na Niemców. Jeśli pomogą, to raczej łowcom niż zwierzynie łownej. Bez szans. Miał przed sobą ostatnią noc. W pokoju ze śladem obecności kobiety.

Zabrał się do przeglądania sprzętów. Z latarką w ręku przetrząsnął komodę. Górną jej szufladę zapełniała równiutko poskładana pościel, serwety i obrusy. Niektóre miały naszywki z inicjałami FK. Domyślił się, że to *Familie Kollwitz*, to był ich dom. Niemiecka gospodyni dba o skrupulatne zaznaczanie, co do niej należy. Wśród nich znajdowało się kilka z inicjałami SL i bardzo chciał, żeby chodziło o nazwisko Liebner. W środkowej szufladzie natrafił na kobiecą bieliznę, rozciągnięty wełniany sweter, rajstopy, majtki... Zawstydził się jak gimnazjalista.

Znalazł. Na dnie trzeciej szuflady, na samym dole, wciśnięty pod brudne ubrania. Otworzył i przysiadł z wrażenia. Zaraz na pierwszej stronie

zeszytu widniał napisany ozdobnymi literami tytuł: PAMIĘTNIK. Pod spodem podpis: AUTORKA GERDA LIEBNER oraz wzmianka o absolutnym zakazie czytania, co, jak wiadomo, we wszystkich czasach i pod każdą szerokością geograficzną oznacza zaproszenie do lektury. Z trudem wciągając powietrze przez ściśnięte gardło, zaczął czytać.

Wiersze Rilkego, Trakla, Eichendorffa. Nawet jeden wiersz Nietzschego, ten o wronach. Pomiędzy nimi notatki, jedno, dwa zdania o wrażeniach, jakie na dziewczynie wywarły sentymentalne niemieckie wersy, dochodzące jakby zza gęstej mgły. Wrażenia naiwne, prościutkie, czyste, jak to kiedyś mówiono – pensjonarskie. Cudne. Komandor Rudolf Mielke – zdemobilizowany oficer Kriegsmarine, na którym nawet nocne sowieckie torpedy nie robiły wrażenia – z trudem nad sobą panował. Nagle, zapędzony do domowego aresztu przez Kulika na swoją ostatnią w życiu noc, dotarł do celu. Znalazł ją. Z namaszczeniem gładził szorstkie okładki, czytał jej słowa, patrzył na litery kreślone dziewczęcą ręką. Jego życie zatoczyło wielkie koło i dotarłszy do celu, wróciło do początku. W latach szkolnych też miał taki pamiętnik.

Doszedł do końca zapisków i już miał odłożyć zeszyt, gdy przyszło mu do głowy, by go odwrócić i zajrzeć na tył. Znajdowały się tam inne notatki, z ostatnich tygodni. Nie miały dokładnych dat, tylko adnotacje, na przykład: „chyba początek kwietnia”. I nie były to już wrażenia z czytania wierszy.

„Znowu przyszedł wieczorem. Mówiłam, że mnie strasznie boli, ale nie zwracał uwagi. Zacisnęłam powieki. Kiedy nie patrzę, boli trochę mniej. Chyba coś mi rozerwał w środku, bo wycieka stamtąd krew. Boli. Strasznie boli! Dlaczego ludzie to nazywają miłością?”

Zamknął mnie w piwnicy. To nawet dobrze, przyzwyczaiałam się do mieszkania pod ziemią. Tu jest jak w grobie. Pomaga mi w umieraniu. Codziennie.

Dzisiaj znowu mnie bił. Uderzył pięścią w twarz i rozciął mi górną wargę...”

Przerwał czytanie. *Um Gotteswillen!* Nie powinien. To nie było do niego. Zaciskając palce na skroniach, próbował ochłonać. Zastanawiał się, po co Gerda tak szczegółowo zapisywała te straszne doświadczenia. Wysyłała wiadomość w butelce? Ale jaką wiadomość i do kogo? Przecież nikt tu nie został! Ziemia przepadła, Pomorze odpadło od Niemiec, zaprzepaszczone obłąkańczą polityką, i nieprędko do nich wróci. Nowi ludzie za takie słowa prędzej ją zlinczują, niż zrozumieją.

Do kogo w takim razie? Czy był tu w ogóle ktoś oprócz niego, do kogo Gerda mogłaby pisać takie słowa?

Spojrzał na szary zeszyt. Butelka w oceanie. Śmieci wyrzucone na brzeg po przejściu kataklizmu. Przemógł się i otworzył ponownie.

„Nie mogłam tego nie zrobić. Ludzie na wojnie się zabijają i to jest ich sprawa, ale Reks? Co on winien? Mój śliczny biały Reks miał zdechnąć na łańcuchu z głodu albo zastrzelony przez pijanego czerwonego diabła, dlatego że nikomu nie chciało się wrócić? Że nie było nikogo, kto by mógł to zrobić? Jak nie ma nikogo innego, musisz ty.

Wszyscy jesteśmy winni.

Tak myślałam. Teraz siedzę zamknięta w piwnicy i czekam na mojego... kochanka? Żeby wrócił ze swojej brudnej roboty i wziął mnie, jak się bierze wojenną zdobycz. Znowu będzie bolało. Uderzy?

Myślałam, że umrę zaraz na początku, pierwszego dnia, ale to niełatwe. Ciało się broni, ucieka, chowa się po kryjówkach, żeby utrzymać biologiczne funkcje. Widziałam tyle niemieckich trupów – dlaczego mnie nie zabito? Czemu nie umarłam jak Luise Weidemann? Byłoby prościej. A tak – krew i ból.

Warczy ciężarówka na podwórzu. Przyjechali. Słyszę kroki. Idzie moja miłość...”

Rudolf Mielke patrzył na niedokończone zdanie Gerdy. Śliczny biały Reks? Ten sam, którego widział na podwórzu u Kulika? To po niego wróciła wtedy w marcu, kiedy kończyła się historia jej rodziny i zaczynała następna? Heike opowiadała mu w kajucie o tym psie, ale historia brzmiała

nieprawdopodobnie, jak zmyślenie rozgorączkowanego i przerażonego dziecka. A jednak to była prawda – Gerda wróciła po psa. Niebywałe.

Śliczny biały Reks. Więc to ten sam? Stał obok niego parę godzin temu, na podwórzu.

Już tak blisko. Jej wieś, dom, dziewczęcy zapach w piwnicznym pokoju, szary zeszyt z zapisami, Reks... Jeszcze parę kroków i ją znajdzie. Musi znaleźć.

Znalazłby, gdyby nie to, że jutro dostanie kulkę w czoło.

Przewrócił kartki do końca. Ostatni zapis zaczynał się od wspomnienia zielonej sukienki z koronkowym kołnierzykiem. „Przyniósł mi ją z domu. Z mojego domu. Tego, który jeszcze stoi, ale już nie istnieje. Mamy jechać do jakichś Niemców, ja będę ich przesłuchiwała w sprawie skarbów. Moja zielona sukienka jako mundur polskiego kapusia. Pięknie”.

Jakichś Niemców? Czyżby jeszcze jeden skarb Schlieffenów? Obsesja ponurego Staszka Kulika?

Jego myśli przerwało zgrzytnięcie klucza w zamku. Wsunął zeszyt pod komodę i usiadł w kucki na skraju materaca, udając, że dopiero się przebudził.

W uchylonych drzwiach ukazała się zmierzwiona łepetyna Bolka Siemczuka. Chłopak rozejrzał się szybko i wśliznął do środka. Postawił przed nim miskę z jedzeniem i pokazał mu, że ma jeść.

Kapitan Mielke był bardzo głodny.

3

Antek poszedł i wrócił. Wynurzył się z mroku jak duch. Pojawił się tak niespodziewanie, że nie zdążyła zareagować. Nie usiadł na pieńku jak wcześniej, tylko na trawie przed nią. Ujął jej dłoń w obie ręce i delikatnie pocałował. Zupełnie jakby odgrywał scenę w amatorskim teatryku. Speszyła się.

– *Nein* – szepnęła. – Nie chcę.

Położył głowę na jej kolanach i zaraz poderwał z powrotem. Wzdrygnęła się zaskoczona.

– Kocham cię – powiedział po polsku. Nie rozumiała.

– Was?

Znowu ten jego uśmiech. Bezczelnie jasny i pogodny uśmiech Antka Kuleszy. Jakby nie było wojny. W świetle księżycy szrama na twarzy wyglądała na zwyczajną pionową zmarszczkę, jakie mają starzy, sterani życiem ludzie. Pogładziła go po włosach. Zawahała się, a potem pochyliła twarz i dotknęła wargami blizny. Jego policzek drgnął. Chłopak odwrócił głowę i pocałował ją w usta. Odepchnęła go.

– *Nein.*

Wstał, wziął ją za rękę i poprowadził na drugą stronę wzniesienia. Ich stopy szurały na mokrej trawie. Szła sztywna ze strachu. Dzikie zwierzątko w niej trzęsło się i krzychało, że nie powinna, że to tylko ból i krew. Ona jednak szła. Jej dłoń w jego dłoni tkwiła pewnie i miękko. Gdyby tylko chciała, mogłaby się wyrwać bez trudu i uciec do wiatraka. Nie wiedziała, czy chce. Zwierzątko trzęsło się jak oszalałe.

Zdjął kurtkę, rzucił na trawę i pokazał ręką. Usiądź. Zawahała się. Ciepły wiatr dmuchnął od morza, pachniał ziołami i solą. Zwalisty łeb wiatraka wychylał się ku gwiazdom, jakby chciał je wszystkie pożreć. Księżyc ze spiłowaną od zachodu tarczą zniżał się już nad lasami, za którymi rozciągał się Heinsdorf. Gdzieś daleko zaszczekał pies. Usiadła.

– Po co wróciłeś?

Podniósł jej rękę do ust i pocałował.

– Antek, wiesz, że to nie ma sensu?

Nie odpowiedział. Położył się na plecach z ręką pod głowę i patrzył w górę. Światło księżycy wydobywało z ciemności jego profil paroma bladymi plamkami. Pomyślała, że koszula mu zaraz przemoknie i chłopak się przeziębi.

Dzikie zwierzątko trochę się uspokoiło. Przywarło w kącie klatki.

– Na co patrzysz? – spytała.

- Na gwiazdy.
- Znasz się na gwiazdach?
- Nie. Ale wiem, gdzie jest Delfin.
- Delfin? Taki z oceanu?

Podniósł się na łokciu, wziął jej rękę i wyciągnął ku górze, prostując palec wskazujący.

– Widzisz te cztery gwiazdy i piątą trochę niżej? Wygląda jak latawiec z warkoczem. To Delfin.

- Skąd wiesz?
- Ktoś mi kiedyś powiedział.
- Dziewczyna?
- Nie. Nie dziewczyna. Mój dziadek.
- Twój dziadek był astronomem?

– Nauczycielem. Uczył fizyki i chyba stąd wiedział. Dużo różnych rzeczy wiedział.

- Mówisz o nim w czasie przeszłym. Nie żyje?
- Nie.
- Przykro mi.
- Przecież go nie znałaś.
- Tak się u nas mówi. U was nie?
- Nie wiem.

Zamilkli. Nie była pewna, czy go nie uraziła tym dopytywaniem o dziadka. Może zginął podczas wojny, zabity przez Niemców, a ona, głupia, uściśla formy grzecznościowe dla trupów. Poczowała łaskotanie wiatru na karku. Przeszedł ją przyjemny dreszcz. Położyła się na kurtce obok Antka i zatopiła wzrok w granatowym niebie. Milczeli. Ciszę łąki przerwał daleki krzyk żurawia. Poszukała po omacku jego dłoni i lekko ją ścisnęła. Rozumiesz, prawda? Tak, rozumiem.

Kiedy niebo przeciął meteor, Antek pochylił się nad nią. Jej zwierzątko natychmiast podskoczyło z jękiem. Nie pocałował jej. Dotknął palcami

mokrego policzka Gerdy.

– Boję się – powiedziała cicho.

– Wiem.

Znowu cisza przecięta pojedynczym krzykiem żurawia.

– Gdybym cię poprosiła, żebyś mnie zabił, zrobiłbyś to?

– Nie.

– Dlaczego?

– To długa historia.

– Długa? W ogóle się nie znamy. Nie ma między nami żadnej długiej historii. Za to mamy chyba trochę czasu.

Wtedy Antek Kulesza usiadł w kucki i zaczął opowiadać. Głęboki, miękki głos działał uspokajająco, hipnotycznie. Bardziej niż słowa docierał do niej jego falujący, aksamitny spokój. Mówił rzeczy straszne, ale ona je wszystkie знаła. Wolała słyszeć, niż rozumieć. Jej rodzinna mowa, kołysana słowiańskim akcentem, przepuszczona przez filtr spokoju i siły. Dzikie zwierzątko przysnęło.

– Moi niemieccy gospodarze w Przystawnie to byli porządni ludzie. Traktowali mnie jak domownika. Kiedy zbliżał się front i wieś szykowała się do ucieczki, chcieli, żebym z nimi pojechał w głąb Niemiec. „Co będziesz tu siedział? U nas ci będzie lepiej”, mówili i prawie się zdecydowałem. Pewnej nocy, jeszcze przed nadejściem Rosjan, we wsi pojawiło się trzydziestu uzbrojonych parobków, Polaków. Takich jak ja młodych chłopców, zwiezionych tu do pracy u niemieckich bauerów. Pijani zabrali się do plądrowania wsi. Mnie akurat nie było, pojechałem do zaprzyjaźnionych gospodarzy do Kwasowa, po waszemu Quäsdow, żeby zdobyć wędzone mięso na drogę. Kiedy wróciłem następnego dnia rano, moi gospodarze leżeli w domu martwi. Rodzice i czwórka dzieci. Wszyscy zarżnięci nożami, a najstarsza córka na łóżku, półnaga, z dziurą w czole. Sąsiedzi udawali, że niczego nie widzieli i o niczym nie wiedzą, choć sami też zostali obrabowani. Nie wiedziałem, co mam z tym zrobić, niemieckiej policji już nie było. Furmanka wójta z jego rodziną i dobytkiem już

dojeżdżała do Sławna. Ludzie biegali po wsi z obłędem w oczach. Złapałem jakiegoś żołnierza w mundurze Wehrmachtu, ale nazwał mnie *polnisches Schwein* i poszedł do gospody. Nie pozostało mi nic innego, jak ich pochować. Wykopać grobu się nie dało, był mróz, więc ciała moich gospodarzy wrzuciłem do kopca na buraki i przykryłem słomą...

– Gdzie wrzuciłeś?

– Do kopca na buraki. A co?

– Nic. Mów dalej.

– Potem przyszli Rosjanie i zrobili to, co wszędzie. Kiedy odeszli, wysprzątałem dom i sam w nim zamieszkałem. Założyłem wielkie sztaby na okna, obiliśmy drzwi blachą i nałożyłem trzy kłódki. Trochę pomogło. Z paroma chłopakami zorganizowaliśmy straż wiejską i pilnowaliśmy wsi z bronią w ręku. Po miesiącu doszedłem do wniosku, że wypada jednak przynajmniej pokazać się najbliższym. Że żyję. Pozamykałem wszystko na cztery spusty, zatknąłem polskie flagi nad bramą i wejściem, i pojechałem. Kiedy wróciłem, przed moim domem stała ciężarówka i jacyś ludzie wynosili meble. Wściekłem się i rzuciłem na nich z pięściami. Wtedy z głębi domu wyszedł taki wysoki, ponury brunet i przystawił mi lufę do głowy. Poddąłem się. Myślałem, że to koniec, i zamiast się pomodlić, powiedziałem: „Nie bądź tchórz, walcz jak mężczyzna”. Wiesz, ostatnie słowa bohatera przed śmiercią.

Przerwał. Spodobało jej się, że można mieć jakieś ostatnie słowa przed śmiercią. Ona żadnych sobie nie przygotowała.

– I co, posłuchał?

– Tak. Oddał pistolet jednemu z kolegów i walczyliśmy na pięści. Był dobry, ale ja też umiem się bić. Po krótkiej szamotaninie siedziałem na nim okrakiem i wykręcałem mu ręce na plecy. Wtedy dwaj jego koledzy weszli do domu i wyprowadzili stamtąd Niemkę, mniej więcej w twoim wieku. Znałem ją z widzenia. Jeden przytrzymał dziewczynę, a drugi przystawił jej pistolet do głowy. Rzuciłem się na nich z krzykiem. Nie zdążyłem. Zastrzelili ją, kiedy byłem metr od niej. Potknąłem się o upadającego trupa i runąłem jak długi. Śmiali się. Czekali, aż zareaguję, żeby i mnie mogli

zastrzelić z czystym sumieniem. Próbowałem wstać, a wtedy ten, z którym wcześniej walczyłem, złapał mnie od tyłu za szyję i ciął nożem w twarz. Wąskim, z czarną rączką...

– I biało-czerwonym rombem ze swastyką w środku.

– Nie wiem, może. Widziałas go?

– Wiele razy. Staszek Kulik nosi taki. To nóż esesmański.

– Możliwe. Kiedy przystawił mi ostrze do gardła, padł strzał. Kula świsnęła tuż nad nim. Uciekł do domu, tamci za nim. Miałem twarz zalaną krwią i nie wiedziałem, co się dzieje. Usiadłem, a wtedy ktoś wziął mnie pod pachy i powlókł za samochód ciężarowy. Strzelali za nami, było mi słabo z upływu krwi, ale uciekliśmy. Dopiero daleko za Przystawnem przysiedliśmy w chaszczach nad strumieniem. Obmyłem twarz i przejrzałem na oczy. Bolało jak diabli. Nade mną stał wysoki siwy mężczyzna w długim płaszczu i z rewolwerem w ręku.

– Hrabia von Schlieffen.

– Tak.

Gerda dotknęła jego ręki. On nakrył ją dłonią. Spletli palce.

– Dlaczego to zrobił?

– Nie wiem, nigdy mi nie powiedział. Zaprowadził mnie do pałacu, który już zdążyłaś poznać, i ulokował w pokoiku na piętrze w prawym skrzydle, gdzie dach zachował się w całości. Rozcięcie na policzku zszył zwykłą nicią. Zostałem u niego kilka dni, nie miałem dokąd wracać. Kiedy ktoś przyjeżdżał, hrabia sprowadzał mnie do piwnicy. Raz byli to jacyś ludzie z ciężarówką w poszukiwaniu rzeczy do szabru. Niewykluczone, że właśnie ten twój Kulik.

– Kulik nie jest mój!

– Przepraszam. Przyjechali też Rosjanie. Bryczką. Byli kompletnie pijani i wpadli tylko na chwilę. Szukali wódki i kobiet. Wozili ze sobą jakiegoś chłopca.

– Chłopca? Jak wyglądał?

– Nie widziałem dokładnie. Szczupły, jasne włosy.

– Otto! – jęknęła.

Miesiąc temu. Mógł jeszcze żyć.

– Kiedy rana na policzku trochę się zagoiła, hrabia kazał mi wracać do wioski. Powiedział, że mam się pojawić znowu w pałacu, kiedy sprawy się trochę wyjaśnią. Tak się wyraził: „Kiedy sprawy się wyjaśnią”. No i się wyjaśniły. Wróciłem i znalazłem go martwego.

– Okropne – powiedziała cicho.

Opadła na rozłożoną w trawie kurtkę. Od morza nadciągał chłód, księżyc zaszedł za lasem i zrobiło się całkiem ciemno. Jak w grobie.

Położył jej rękę na ramieniu.

– Wiesz, powiedział mi, że jak przyjdę następnym razem, w pałacu będzie na mnie czekał skarb.

Zesztywniała.

– Skarb?

– Tak. I miał rację. Spotkałem ciebie.

Pogładził ją ostrożnie, jakby bał się spłoszyć zwierzątko. Kręciło jej się w głowie. Nie potrafiła zebrać myśli. W jednej sekundzie opadało ją beznadziejne przygnębienie, a już w następnej drżała z podniecenia. Było jej okropnie i cudownie. Mogłaby tak leżeć na Antkowej kurtce aż do rana, aż do samiutkiego końca wszystkiego. Nie uciekać i nie umierać ze strachu i bólu, tylko leżeć i patrzeć na czarne niebo z gwiazdami. I żeby on siedział przy niej.

Odwróciła się. Był. Siedział. Z tym swoim uśmiechem.

– Pocałuj mnie.

– Co?

– Powiedziałam: pocałuj mnie.

Pochylił się i ostrożnie dotknął ustami jej warg.

– Nie tak. Naprawdę.

Objął ją, a ona przywarła do niego całym ciałem. Dzikie zwierzątko szamotało się w klatce jak wściekłe, ale przestała się nim przejmować. Nie

musiała umierać. Leciła wysoko, coraz wyżej, a w jej skołatanej głowie obracały się z szumem wiatraczne skrzydła.

Sięgnął do jej piersi. Powstrzymała go.

– *Nein.*

Puścił ją. Ostrożnie ułożył na trawie. Patrzyli na siebie w ciemności czerwcowej nocy.

– Przepraszam – powiedziała.

Pogładził ją po włosach.

– Wiem.

– Kiedyś na pewno się odważę. Ale nie teraz.

– Wiem.

Uniosła się na łokciu i trąciła go pięścią w pierś.

– Czy ty już wszystko wiesz? Bo ja w ogóle jeszcze nic nie wiem. Na przykład nie wiem, co powiedziałeś dzisiaj wieczorem, kiedy nagle wylazłeś z ciemności jak demon z bagien.

– Kocham cię.

– Czyli co?

– *Ich liebe dich.*

– Nieprawda.

Nagle spoważniał.

– Prawda. Nie wiem, jak się takie rzeczy mówi po niemiecku, ale gdy tylko cię zobaczyłem, coś z hukiem się we mnie otwarło. Jakbym nagle stanął przed jasną bramą do ogrodu pełnego kwitnących kwiatów i śpiewających ptaków, z białymi obłokami w górze i cichą organową muzyką w tle. Jest na to u was jakieś dobre słowo?

– *Gottesdienst* – powiedziała ze śmiechem. – Msza święta.

Pokiwał głową z udawanym frasunkiem.

– Ciotka Hela powtarzała mi, że powinienem zostać księdzem. „Jesteś mądry, łagodny, wygadany”, przekonywała. „No i po co masz mieć jedną żonę, jak możesz mieć całą wieś?”

– I co, nie zdecydowałaś się?

– Wojna mi przeszkodziła.

Zrobiło jej się zimno i przytuliła się do jego mokrej koszuli. Objął ją ramieniem i pocałował w czubek głowy. Było coś oszałamiająco przyjemnego w dotyku Antka. Coś innego, jak nie z tego, tylko jeszcze z tamtego świata. Małe ciepłe światełko, które powolutku rozświetlało mrok. Czują, że dopiero teraz naprawdę wydostaje się spod ziemi. Było jej dobrze. Dobrze. Dobrze.

– Chodźmy – powiedziała, by wyrwać się z dziwnego transu. – Ursel nas usmaży za te nocne grzechy.

– Albo my usmażymy ją. Chociaż nie, czarownice pali się w piecu.

– Tak, w piecu. Razem z jej suszonymi ziołami.

– Jak to się mówi po niemiecku: rosół na kościach?

– *Knochenbrühe.*

– *Ja, genau.*

Pomógł jej wstać, zarzucił kurtkę na ramiona i wrócili do wiatraka, objęci w pasie. Po drodze mówił jej na przemian po polsku i po niemiecku „kocham cię”, a ona prosiła, żeby przestał się wygłupiać. On przysięgał, że to bardzo poważne i że na zawsze. Przystawali, żeby się pocałować, i szli dalej, coraz mniejsi na tle drzemiącej drewnianej budowli. Młodzi kochankowie pod szczęśliwą gwiazdą, co świata poza sobą nie widzą. A młyn nie spał. Powolutku i niezauważalnie obracał świat do góry nogami. Pod czarną czaszą nieba, pełną gwiazd szczęśliwych oraz nieszczęśliwych, rozchodził się szept śmigieł, że to wszystko tylko z daleka tak pięknie wygląda.

Antek Kulesza nazajutrz przystąpił do składania w całość pogruchotanych ułamków. Gruntownie uporządkował wiatrak od parteru po czubek dachu, dyskretnie omijając jedynie murowany fundament, gdzie gospodarowały

kobiety. Czyścił, zmiatał, szorował, po czym zabrał się do naprawiania mechanizmu mielącego. Sporo czasu zajęło mu doprowadzenie do porządku kamieni młyńskich, sklejonych resztkami mąki, pod które jakimś cudem podciekła woda. Wielkie drewniane zębaki do obracania głowicą wiatraka działały bez zarzutu, co sprawdzili wspólnie z Gerdą. On kręcił kołem na podeście, ona w środku bacznie obserwowała przekładnię, czy kołki wchodzi między siebie. Zdobyty w wiosce towotem nasmarował ruchome części mechanizmu, następnie zrobił próbę i zwolnił hamulec. Olbrzym zaczął niezdarnie kręcić skrzydłami, skrzecząc przy tym i jęcząc jak duch z przeszłości, niezadowolony, że mu przeszkadzają. Gerdzie ścisnęło się serce. Jednak to możliwe. Co umarło, może na powrót ożyć.

Przy sprzątanii Antek wydłubywał z zakamarków drewnianych ścian rozmaite przedmioty, wciśnięte tam Bóg wie przez kogo i kiedy. Znalazł nawet zwitek papierowych niemieckich marek, skrzętnie zbieranych przez skąpego pana Hechta, dzisiaj bezwartościowych. Gerda w ostatniej chwili zdołała ukryć swoją książkę z kluczem hrabiego, wdrapując się za Antkiem na poddasze pod pretekstem pomocy. Wyniosła ją stamtąd pod spódnicą i ukryła w przyziemiu.

Zmuszała się, by nie myśleć o skarbie, więc myślała o nim nieustannie. Widok Antka ożywającego stary młyn wywoływał z pamięci Gerdy hrabiego, który wręcza jej klucz i mówi: „Żyj”. Do teraz nie wiedziała, o co mu chodziło, nie widziała sensownego punktu odniesienia. Przecież pszczoły dziadka Wilhelma wyginęły, a po ulach została sterta pogniecionych desek. Dopiero ten jasnowłosy chłopak z blizną na policzku, który pracował w pocie czoła, demonstrował jej, co hrabia mógł mieć na myśli.

Spali w młynie osobno na trzech kondygnacjach: Ursel w przyziemiu, Gerda na piętrze, a Antek między nimi, na półpiętrze, gdzie kiedyś składowano worki z mąką przed załadunkiem na wóz. Wieczorami przychodziła do niego, wnikała pod koc i przytulała się do jego muskularnego ciała. Uczyla się dobrego dotyku. Błądziła dłonią po wypukłej piersi, okrągłych ramionach, twardych udach. Czula jego

podniecenie, on jednak nie próbował niczego wymuszać. Był uległy i cierpliwy, a ona oswajała się z nim i ze swoim podnieceniem. Dotykał jej tylko wtedy, gdy sama poprowadziła jego dłoń. Lubiła to napięcie, tę powolutku naciąganą strunę, która brzęczała dziwną muzyką. Muzyką, którą Gerda, zdawało się, utraciła bezpowrotnie.

– Hrabia mówił prawdę – szepnęła mu do ucha któregoś wieczoru.

– O czym?

– W pałacu czekał na ciebie skarb. I nie chodziło o mnie.

Ręka głaszcząca jej plecy znieruchomiała.

– O czym ty mówisz?

Wzięła głęboki oddech i opowiedziała mu o wszystkim. O tym, jak hrabia przed zejściem do piwnicy dał jej książkę i opis mechanizmu otwierającego tajne przejście, o fotografii lustra i o kluczu ukrytym w jego ramie. I o tym, jak rozmontowała deskę wychodka, żeby się dostać do skrytki, gdzie znalazła skrzynię pełną kosztowności, złotych monet i dokumentów.

– Nie znam się na tym, ale tego było dużo, Antek. Bardzo dużo.

– To nie jest nasze – odparł.

– A czyje? Hrabia nie żyje, rodzina uciekła, może zresztą też zginęli po drodze, jak moi. Komu mamy oddać? Polakom?

Cofnął rękę.

– Ja też jestem Polakiem.

– Przepraszam. Chodzi o to, że...

– Chcesz stąd uciekać?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nigdy nie formułowała tego tak dosadnie w swoich planach. Teraz jednak, kiedy spytał wprost, zrozumiała, że odpowiedź brzmi: tak, chcę stąd uciec.

– A ty nie chcesz? – spytała trochę obrażona. – Będziesz tu siedział w młynie i czekał, aż nas Kulik znajdzie? Wiesz, co mi robi. A ty będziesz miał szczęście, jeśli wyjdiesz z tego z jeszcze jedną blizną. Tego chcesz?

Ich ręce cofnęły się i leżeli teraz obok siebie nieruchomo, każde osobno.

– Gerda... – zaczął ciężko. – To nie takie proste. Nie mamy dokąd uciec. Granice pozamykane, na drogach grasują bandy. Milicja, wojsko i ruscy wszędzie szukają Niemców. Nawet do Koszalina nie dojedziemy.

– Tego jest bardzo dużo – odparła z powagą handlowego negocjatora. – Wystarczy na łapówki dla patroli i żołnierzy na granicy. Byle dojechać do Niemiec, a tam już sobie poradzimy.

Starła się mówić spokojnie, choć w środku cała się trzęsła z euforii. Pierwszy raz od tamtego mroźnego dnia na sławieńskiej szosie, kiedy zawróciła po Rekse, tak wyraźnie odczuła pragnienie, by coś zrobić. Wyrwać się Panu Śmierć. Wypełnić polecenie hrabiego. Żyć. To było jak narkotyk. Mówiła i mówiła, plotła coś o krewnych w Hanowerze i o niemieckiej pracowitości, która na pewno po wojnie zadziała i wkrótce wszystko wróci do normy.

– Antek, będziemy szczęśliwi – zakończyła, całując go w policzek.

Przytulił ją. Drżała jak osika.

– Nie wiesz, jak jest, Gerda – zaczął znowu tłumaczyć. – Siedzisz tu w tym drewnianym straszycdle i nie masz kontaktu ze światem. Pomorze jest bardzo niebezpieczne. Zapłacimy żołnierzom, a oni nas zabiją i zabiorą resztę. Nie dowiesz się nawet, czy zastrzelili cię prawdziwi żołnierze, czy bandyci w mundurach, od których roi się w tutejszych lasach. Może to głupio zabrzmie, przepraszam, ale miałaś wielkie szczęście, przedostając się tutaj z pałacu Schlieffenów. Wszędzie można natrafić na ciała Niemców, ludzie nie nadążają ich chować. Zostaliście wyjęci spod prawa. Niemcy przegrały wojnę i są pod okupacją aliantów. Nie ma żadnych Niemiec. Gerda...

Przerwał i przycisnął ją do siebie, bo zaczęła płakać. Gładził ją po włosach, które pachniały mąką i dymem z ziół starej Ursel. Wepchnęła mu głowę pod pachę i łkała cicho. Pękały jakieś mury, rwały się pęta, puszczały tamy długo gromadzonego cierpienia. Wraz ze łzami wylała się z niej fontanna uczuć, tych dobrych i tych złych.

Antek odczekał chwilę i ciągnął:

– Uwierz mi, możemy być szczęśliwi tylko tutaj, w Kukułczym Młynie. Dlatego postarałem się o przydział. Nie wiem dokładnie, o co chodzi, nie umiem ci tego wytłumaczyć, ale ten młyn jest jakiś... zaczarowany. Ludzie niby o nim wiedzą, ten i ów słyszał nazwę, nikt jednak nie potrafi wskazać drogi, nikt nie wie, jak dojechać. Jakby był... niewidzialny. To głupie, możesz się śmiać. Zresztą nie wiem, może po prostu ludzie się go boją. Wiatraki są dziwne.

– A jak ty nas znalazłeś?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Wcześniej też go nie widziałem. Dopiero po tamtym spotkaniu z Ursel wyłonił się z lasu. Jakby ktoś zdjął z niego mgłę...

– Ursel.

– Myślisz, że to ona?

Podniosła głowę i niezdarnie otarła łzy.

– Ona i te jej zioła. Stara czarownica.

– W takim razie nie powinniśmy jej palić w piecu. Natomiast nie jest pewne, czy ona nie spali nas. Też macie taką bajkę o chłopcu i dziewczynce, którzy zabłądzili w lesie i trafili do Baby-Jagi?

– No pewnie, *Hänsel und Gretel*. To nasza bajka.

– Nie, to nasza. Jaś i Małgosia, wiem dobrze.

– Nieprawda! Nasza!

– A właśnie, że nie, bo nasza! I Baba-Jaga jest nasza. Wy nawet nie macie takiego słowa.

– Mamy!

Uderzyła go pięścią w pierś, on złapał ją za nadgarstek, więc pacnęła go drugą. Kiedy i tę złapał, szarpnęła się, ale przyciągnął ją do siebie i pocałował. Trochę się szamotali, wreszcie uległa. Poddała się. To był ich najdłuższy pocałunek. Ledwie się od niego oderwała. Zwierzątko skamlało bezradnie.

– Jutro... – szepnęła.

- Dobrze.
- Ale nie wiesz dlaczego.
- Nie.
- *Mittsommernacht*.
- Sobótka.
- Nie, *Mittsommernacht*. Zresztą, może i sobótka. A później pójdziemy do pałacu po skarb.
- Ty jesteś moim skarbem.
- A ty jesteś głupi.
- Wiadomo.

Pocałowała go na pożegnanie i wysliznęła się spod koca. Do drabiny na piętro dotarła chwiejnym krokiem. Leżąc w łóżku na wznak, patrzyła w sufit i słuchała swojego ciała, które pulsowało jak obcy stwór. Dotknęła się dłonią. Jeszcze nigdy nie była tak podniecona. Nie przypuszczała, że kiedykolwiek jej się to przydarzy. Zaczęła masować wilgotne miejsce. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. Ciekawe, czy Antek na dole robi to samo.

5

– Masz – powiedział Bolek Siemczuk, stawiając przed Mielkiem talerz z jedzeniem.

Był tam kawałek kielbasy, pajda chleba i dwa kiszone ogórki. Zdemobilizowany kapitan dopiero teraz uświadomił sobie, jaki jest głodny. Podziękował skinieniem głowy i zabrał się do jedzenia. Chłopak stał przy łóżku i przyglądał się z zainteresowaniem kogoś, kto rzucił małpie banana przez ogrodzenie. Mielke brodą pokazał na drzwi.

- Piją – odparł chłopak.
 - Reks – powiedział Mielke i dla ułatwienia uzupełnił – hau, hau.
- Bolek skinął głową, a potem pokazał kciukiem na górę.
- *Gold* – dodał z krzywym uśmiechem.

Rozmawiali jak dwaj troglodycy ocalali po kosmicznej katastrofie. Stary świat się skończył, a wraz z nim możliwość normalnej komunikacji. Mielke potrzebował informacji, a mały Polak chciał za to pieniędzy i złota. Normalna rozmowa z samych początków ludzkości.

Rozłożył ręce: „nie mam”. Pokazał palcem na chłopca i wzruszył ramionami, co miało znaczyć: „wszystko mi już zabrałeś”. Młody Siemczuk spokojnie pokręcił głową. Nie o to chodzi.

– Szac – wyjaśnił.

Już się nie uśmiechał. Na jego twarzy zagościła ta sama chłopska chytryść, którą Rudolf Mielke dostrzegał w oczach starego Siemczuka, ilekroć padało słowo „szaber”. Magiczne słowo Pomorza roku czterdziestego piątego, słodkie jak miód i ostre jak brzytwa. Drugim magicznym słowem był właśnie *Schatz*, czyli skarb. Dusza syna śpiewała tę samą pieśń głupoty i chciwości, co dusza ojca. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Rudolf, Bolek, Reks – wyliczył Mielke na palcach.

Chłopak przytaknął.

Kapitan zabrał latarkę, zeszyt Gerdy zawinął starannie w płótno i schował pod pasek od spodni. Wyszli do holu. Na parterze zaraz po prawej były drzwi na podwórze, którymi wymknęli się przy akompaniamencie pijackich śpiewów za ścianą. Sam się dziwił własnemu spokojowi. Jeszcze chwilę temu godził się ze śmiercią, teraz w skupieniu przemierzał opustoszałe podwórze, przyzwyczajając oczy do ciemności. Wróciły stracone siły, ścięgnię znowu pracowały.

Cierpliwości, Heike. Nie wiem, gdzie jesteś ty, ale ja mam już całkiem niedaleko.

Reks pokazał, że jest inteligentnym psem. Nawet nie szczeknął, tylko pomerdał ogonem i polizał wyciągniętą rękę Mielkego. Odpięli łańcuch i dowiązali do obroży kawałek konopnego sznurka ze stodoły. Młody Siemczuk rzucał na Niemca niespokojne spojrzenia, kalkulując, na ile może mu ufać, jednak nie potrafił się oprzeć myśli o skarbie. Kapitanowi zrobiło

się żał tego małego nierozgarniętego głupca, który liczył, że załatwi dla siebie to, czego nie zdołał Kulik i jego ludzie.

– Nie masz strach? – spytał kulawą polszczyzną.

Chłopak wzruszył ramionami, ale na jego twarzy malowała się niepewność. Noc, ciemność, Niemiec, ludzie Kulika za plecami – było się czego bać. Mielke chciał go klepnąć w bark na pocieszenie i uniósł rękę, a wtedy Siemczuk odskoczył i wyrwał coś z kieszeni. Mimo ciemności kapitan rozpoznał charakterystyczną wąską lufę parabellum. Bolek wymierzył w niego i syknął coś po polsku.

– Spokojnie, *Junge* – powiedział kapitan, unosząc obie dłonie, a wtedy Reks szarpnął sznurek i Mielke o mały włos nie runął na środku podwórza. – *Scheisse* – zaklął pod nosem.

Młody wydał z siebie krótki rechot. Schował broń do kieszeni za dużej marynarki i machnął ręką w ciemność. Pokazał swoją siłę i mógł się czuć przez chwilę dowódcą grupy. Mielke mu pozwolił. Jeszcze nie czas.

Wyszli na pola za stodołą i okrężną drogą dotarli od wschodu do zejścia w dolinę. Minęli spalone gospodarstwo i poszli dalej stromizną w dół do strumienia, a stamtąd w prawo skrajem łąki. Plan zakładał, że pies w okolicy Przystawna złapie trop Gerdy i ich do niej doprowadzi. Szanse na sukces takiej skautowskiej operacji były bliskie zera, ale i tak nieporównanie większe od tego, na co Mielke mógł liczyć jeszcze godzinę temu. Nie miał żadnych racjonalnych przesłanek dla swojego planu, ale przesłankami racjonalnymi przestał się kierować od czasu oddania statku angielskiemu oficerowi. A może jeszcze wcześniej – kiedy zostawił Heike w punkcie sanitarnym przy kapitanacie portu w Swinemünde. Od 12 marca 1945 roku kapitanowi Mielkemu rozum się nie sprawdzał.

Nie myślał o tym, co będzie, kiedy już ją znajdzie. To wykraczało poza ramy działania. Najpierw ona. Później pozbędzie się małego Siemczuka, prośbą lub groźbą. On się nie liczył. Liczyła się ona. Skoro dotarł aż tutaj, musi ją znaleźć i zawieźć z powrotem do Niemiec. Musi. Przecież obiecał.

Biegli. Noc była czerwcową i jasną, księżyc niemal w pełni. Od zapachu łąkowych ziół kręciło się w głowie. Mielke przypomniał sobie, że jest

Mittsommernacht, najkrótsza noc w roku, zwana też *Johannisnacht*, nocą świętojańską. Jako chłopiec niewiele starszy od Bolka Siemczuka rozpałał z kolegami w tę noc ognisko. Zapraszali dziewczyny, żeby popisać się przed nimi skakaniem przez ogień, a potem pili ciemne domowe piwo, które po otwarciu butelki wystrzeliwało pianą wysoko w niebo, albo słodkie wino jabłkowe, produkowane przez jego dziadka Fritza w wielkich ilościach. Śpiewali stare pieśni i nieśmiało obejmowali za szyje te wszystkie wioskowe Helgi, Berty i Gizele. Pierwsze dotknięcie dziewczęcego ciała, muśnięcie jędrnych piersi, gładkość uda pod sukienką, kiedy zebrał się na odwagę i sięgnął. Wioska niedaleko Hanoweru, ziołowa łąka pod lasem, smak sfermentowanego chmielu i spalonej łupiny pieczonego w ogniu kartofla, czerwony blask płomieni na brzoskwiniowej skórze dziewczyny – i czas, o który nie dbali, bo życie miało trwać wiecznie. To było jeszcze przed pierwszą wojną światową, kiedy Niemcy były normalnym krajem. W kabinie „Regulusa”, przemierzając tam i z powrotem zimowy Bałtyk, słuchał komunikatów o bombardowaniach Hanoweru. Z miasta niewiele zostało. Ciekawe, ilu z tamtych chłopców i dziewczyn, którzy siedzieli z nim przy ognisku, legło pogrzebanych pod gruzami. Czy w ogóle ktoś z nich jeszcze żyje.

Gdzie to się podziało? I po co było, dawno temu, wtedy i tam? Dla niego?

Wciągnął ciepłe powietrze. Spojrzał w niebo lśniące złotym księżycowym światłem. Mrugały gwiazdy. Oto prawdziwy skarb, chłopcze, powiedziałby Siemczukowi, gdyby umieli ze sobą rozmawiać. Bierz, ile chcesz. Lepszego nie znajdziesz.

Młody nie interesował się skarbem z księżycy, wolał ten ziemski. Zerkał nieufnie na swojego towarzysza, przekonany, że oto biorą udział w pasjonującej przygodzie, na końcu której znajduje się wielka drewniana skrzynia, pełna złotych naczyń, biżuterii i drogocennych kamieni. Każdy skarb tak wygląda w chłopięcej wyobraźni, pomyślał kapitan. Reks ciągnął przed siebie, jakby naprawdę wiedział, gdzie jest Gerda. Mokra trawa

szeleściła pod butami. Gdzieś daleko krzyknął nocny ptak. Mielke uśmiechał się pod nosem. Chłopiństwo wróciło. Wszystko wraca.

Nagle stanął.

– Stop – syknął.

Bolek Siemczuk znieruchomiał i dla pewności włożył rękę do kieszeni marynarki.

Po drugiej stronie płytkiej doliny, ponad drzewami, migotał słaby blask. Światło przebijało się w górę ku rozłożystym koronom i rdzawoczerwonym pyłem ulatywało w rozgwieżdżone niebo. Nie było widać płomieni, tylko mdławie migotanie. Gdzieś tam w dole płonęło ognisko, niczym wywołane zza kotary wspomnienie. Kapitan patrzył chwilę jak zahipnotyzowany.

– Sobótka – powiedział cicho Bolek.

– Was? – odruchowo spytał Rudolf, a potem dodał ciszej: – *Mittsommernacht*.

I wtedy Reks szczeknął. Wyciągnął łeb przed siebie i zaskomlał, a potem jednym mocnym targnięciem wyrwał sznurek z ręki zaskoczonego kapitana i pognał w noc. Spojrzeli po sobie.

– *Bleib hier* – powiedział Mielke, odpychając młodego za siebie. – Zostań tu.

– Nie! – zaprotestował Bolek cienkim głosem. – Ja tu wydaję rozkazy.

Sięgnął do kieszeni po broń, jednak kapitan był na to przygotowany. Szybkim ruchem schwycił go za nadgarstek i szarpnął w dół. Gdyby pociągnął w górę, istniała możliwość, że chłopak zdoła nacisnąć spust, a tak kolba wyślizgnęła mu się z dłoni. Mielke zabrał pistolet i sprawdził – naboju w lufie nie było. Przeładował.

– *Bleib hier* – powtórzył spokojnie. – *Ruhe*.

Siemczuk zaczął płakać i krzyczeć coś po polsku, więc kapitan bezceremonialnie zatkał mu dłońią usta.

– Czicho! – syknął.

Chłopiec szarpał się i wierzgał nogami. Daleko pod lasem rozległo się szczekanie Reksa. Nie było czasu na perswazje, Rudolf chciał jak

najszybciej dotrzeć do Gerdy. Jeśli rzeczywiście gdzieś tam się znajdowała.

I popełnił błąd.

– *Weg!* – powiedział, popychając młodego w ciemność. – *Und halt's Maul!* Spadaj! I gęba na kłódkę!

Odwrócił się i pobiegł za psem w dolinę. Gnała go niecierpliwość. Tak blisko!

Księżyc rozciągał jego cień na mokrej trawie.

6

– Gdzie on, kurwa, jest?!

Ochrypli ryk Staszka Kulika odbił się od ścian izby i w jednej chwili postawił ich na nogi. Klęli i popychali się, szukając butów do pary. Z zaczadzonych samogonem łbów mgła wylewała się przez okno na zewnątrz i snuła cienką nitką nad łąkami. Kulik grzmotnął z całej siły drzwiami od piwnicy.

– Kto go miał pilnować? Ubiję jak psa!

Do izby wpadł Klisz, który pierwszy skompletował buty.

– Psa też nie ma.

Kulik pochylił się nad miską i wylał kubek wody na głowę. Otrząsnął się, wytarł twarz płócienną ścierką i wypadł na podwórze. Czwórka jego ludzi wybiegła za nim, przytomniejąc ze strachu i podniecenia. Jeden z nich z głośnym gulgotem wyrzygał się pod stodołą.

– Ty zostajesz – zakomenderował Kulik. – On może tu wrócić. Kto ostatni widział szwaba?

– Ja – zgłosił się „Róża” Różański. – Zamknąłem drzwi i ten... mały miał go pilnować.

– Siemczuk?

– No tak. Dostał parabelkę i kiełbasę. Siedział pod drzwiami.

– Zabiję skurwysyna – syknął Kulik, wsiadając do ciężarówki.

Tamci natychmiast wskoczyli za nim, Róża jak zwykle za kierownicę, i pognali w noc. Brukowana droga między domami była czarna i pusta, wieś jak wymarła. Nie świeciło się ani jedno światło.

Za wsią już mieli wjechać na przestawieńską szosę, gdy Staszek podniósł rękę.

– Stój!

Wyskoczył z szoferki i rzucił się biegiem przez pole. Po chwili wrócił, wlokąc za sobą małego Siemczuka jak prosiaka do rzeźni. Chłopak skamlał i jęczał, wymachując rękami, ale nie próbował się opierać. Groziło to śmiercią. Kulik szarpnął nim i pchnął na ziemię. Odbezpieczył pistolet.

– Gadaj!

– Nie, błagam! Panie Kulik! Powiem, gdzie on jest!

– Mów.

Mały klęczał przed nim ze złożonymi jak do modlitwy rękami i trząsł się jak galareta.

– Za...zaprowadzę.

– Dostałeś spluwę. Gdzie masz?

– Za...zabrał mi.

Cios w twarz odbił się echem od ściany lasu. Chłopak z jękiem zwałił się do przydrożnego rowu. Wywleczony stamtąd przez Kulika na drogę, w swojej wielgachnej marynarce wyglądał jak wyłowiony z wody kociak.

– Kto ci, kurwa twoja mać, zabrał parabelkę? Ten szwab? Czy ja dobrze słyszę?

Krążąca we krwi wódka, wściekłość i księżycowa czerwcową noc sprawiły, że Kulik przestał nad sobą panować. Szarpał małym i przystawiał mu lufę do skroni. „Zajebię gnojka”, mamrotał do swoich nerwów, podczas gdy jego dwaj asystenci przyglądali się niepewnie. Czapa dla Niemca to była bułka z masłem, jednak zabicia polskiego chłopca z sąsiedztwa milicja mogła im tak łatwo nie przepuścić. A kryminał nie bardzo leżał w interesie szabrowniczej spółki.

Kulik położył palec na spuście.

– Tam... jest... Gerda – zaskomlał chłopak.

Chwiejący się Kulik znieruchomiał.

– Gdzie?

– Tam, przy ognisku.

– Gdzie: „tam, przy ognisku”? Mów, szczyłu!

– Po...pokażę. W lesie za Wieprzą. Są tam razem.

– Razem z kim? Z tym Niemcem?

Bolek przełknął ślinę. Oddychał płytko, jakby chciał nadrobić te wszystkie oddechy, które lada moment zostaną mu odebrane. Śmiertelny strach nie pozbawił go jednak resztek chłopskiej spekulacji ratunkowej. Jeśli powie wszystko od razu, Kulik po prostu wpakuje mu kulkę i pojedzie na miejsce załatwić sprawę. Każda przytrzymana informacja przedłużała życie.

– Z tym Polakiem.

– Jakim znowu Polakiem?! Gadajże, smarku.

– Co się pan z nim bił. Tym z blizną. Oni tam się... widziałem. Wszystko widziałem.

Kulik powoli go puścił i przetaił dłonią spoconą twarz. Wódka i nerwy wyciekały z niego strumieniami. Popatrzył w dół ku łąkom i na jego oświetloną samochodowym reflektorem twarz spłynął słaby uśmiech.

– Antek Kulesza – mruknął niskim, już spokojnym głosem. – Proszę, proszę. Dawnośmy się nie widzieli. Panu Szlachetna Blizna zachciało się hitlerowy. Niemiec, Gerda i Kulesza. Trzy sroki za ogon. Dwie za ogon, jedna za dupę. Nielojalną, faszystowską dupę, której się należy solidny granat z trzonkiem. Co, chłopaki?

Róża i Klisz zarechotali z ulgą. Groźba zabicia chłopaka od sąsiadów odsunęła się w czasie. Może zemstę na ochotniku ze straży wiejskiej w Przystawnie również uda się jakoś Kulikowi wyperswadować. Niech mu zrobi drugą bliznę, wystarczy.

Tymczasem Staszek otworzył drzwi szoferki i zaczął gmerać w skrzyni pod siedzeniem. Bolek Siemczuk, który nabrał już większej śmiałości,

rzucił gorliwie:

– Nie dojedziecie autem. Trzeba płycizną. Wiem, gdzie jest przejście. Pokażę.

– Zamknij się – odparł Kulik.

Wyjął spod siedzenia butelkę z siwym płynem, z puknięciem odetkał korek i upił spory łyk. Przełknął, chuchnął i poprawił, po czym podał Róży i Kliszowi, a ci zrobili to samo. Na koniec flaszka trafiła do chłopaka.

– Pociągnij se, młody – powiedział Staszek. – Zaczynij wreszcie dorosłe życie.

– Babę też niedługo dostaniesz – dodał Różański i obaj się roześmiali.

Potrzebne im było trochę odprężenia. Z relacji Bolka wynikało, że ich przewaga liczebna nie jest wcale taka oczywista i konfrontacja może przebiec rozmaicie. Liczyli na zaskoczenie. I na Staszka Kulika, który lepiej od innych umiał sobie radzić w trudnych chwilach. Teraz też wyglądał na kogoś, kto już ogarnął sytuację i wie, co robić. Odbezpieczył pistolet i pokazał lufą na rozpostartą w mroku łąkę.

– Prowadź, młody.

Zniknęli w ciemności nocy. Wrzasnął ptak. Potem zapadła cisza.

7

Trzaskał chrust ogniska. Jej świętojańskiego ogniska. Iskry tanecznym kręgiem ulatywały ku koronie dębu i zastygały w roje gwiazd. Na widok bezwstydnej nagości Gerdy odwracały promienne twarze. Cóż ją to obchodzi. Niech odwracają. Jest dobrze. Dobrze. Dobrze.

Dotknęła ramienia Antka. Miała ochotę powiedzieć coś w rodzaju „dziękuję” albo „to było wspaniałe”, ale nie powiedziała nic. Zamiast tego pocałowała go w ramię. W szyję. W ucho. W bliznę na policzku. Pomyślała, że taka to ich miłość – całowanie ran.

– Może stara miała rację – szepnął, muskając wargami jej piersi.

– Z czym?

- Że jak dzisiaj, w *Mittsommernacht*, nam się uda, to już będzie dobrze.
- Jest dobrze, prawda? Antek, powiedz.
- Na zawsze. Całe życie. Ona to wiedziała.
- Ona wszystko wie – odparła.

To Ursel wymyśliła, żeby poszli uczcić starych pomorskich bogów ogniem na dębowej polanie. „Tak trzeba”, mruzczała, kopząc w kuchni wywarami z pięciuset gorzkich ziół. Gerda chciała jej powiedzieć, że to bzdura i ryzyko, ale tamta się upierała. „Najwyższy czas, żeby księżniczka Damroka zaznała szczęścia. Inaczej zginie cała kraina, wszystko”, mamrotała z dziwnym błyskiem w oku. „Dlaczego ciągle nazywasz mnie Damroką?”, spytała Gerda, stara Niemka jednak nie odpowiedziała. Wzruszyła tylko suchymi ramionami i mieszała w kociołku burozielony płyn, który wyglądał jak gotowane żaby. Antek gorliwie poparł jej pomysł. Potem, kiedy już wychodzili o zmierzchu z młyna i drżeli oboje z niepewności i podniecenia, Ursel dała im po kubku tego czegoś. O dziwo, było kwaskowate i całkiem smaczne. „Tylko wróćcie”, skrzeknęła na pożegnanie, „nie siedźcie tam za długo”. Nie sprecyzowała, ile to jest za długo. Omiotła Gerdę surowym spojrzeniem, na ułamek sekundy zatrzymując wzrok na zielonej sukience, po czym z hałasem zatrasnęła drzwi. To było smutne.

Gerda wymyśliła, że jeśli wszystko pójdzie dobrze (WSZYSTKO PÓJDZIE DOBRZE), pokaże Antkowi klucz i jeszcze raz opowie o skarbie. A potem może uda się go namówić na wyprawę do hrabiowskiej piwniczki po to, co dostała w prezencie od Alexandra von Schlieffena. Przecież to był jej posag! Jej skarb! Po śmierci rodziców, dziadków i sióstr, po zniknięciu Ottona i Reksa, po przepadku ich domu i całego Heinsdorf – Antek i ta skrzynia to było wszystko, co miała. Wystarczyło wydobyć spod ziemi, wygrzebać, jak ona się wygrzebała z ziemianki w ogrodzie Müllerów, i przenieść gdzieś w bezpieczne miejsce. Na pewno takie znajdą. Niemożliwe, żeby na całym świecie nie ostało się ani jedno dobre miejsce dla niej i jej skarbu. Dwóch skarbów. Gdyby tylko się udało...

Z przyjemnych rozmyślań wyrwało ją znajome szczekanie.

– Reks! – krzyknęła, podrywając się z koca.

Ledwie zdołała zapiąć guzik na nagich piersiach, kiedy pies cielsko zważyło się na nią z radosnym skamleniem. Schwyciła w obie ręce i mocno przytuliła kosmatą łepetynę. Pogładziła jego boki. Był wychudzony i zauważyła, że ciągle jeszcze utyka na przednią łapę. Na karku widniało głębokie otarcie od zbyt ciasnej obroży. Poluzowała ją.

– Reks, piesku, skąd się tu wziąłeś?

Nie mogła ochłonąć z nagłego wrażenia. Najpierw Antek i jego miłość, rozkosz przy ognisku, a teraz jeszcze powrót Reksa. Pies odpowiadał coś w swoim języku, pomagając sobie wywiniętym do góry ogonem, podczas gdy ona wkładała w pośpiechu zieloną sukienkę. Może był dobrą wróżbą, trzecim skarbem, któremu zawdzięczała życie. Tak, to musiała być dobra wróżba. Najlepsza. Uda się.

Antek, doprowadzając swoje ubranie do porządku, rozglądał się wkoło, osłaniając dłonią twarz od ognia.

– Dobre pytanie – mruknął. – Skąd on się tu wziął?

Najwidoczniej nie podzielał euforii Gerdy. Z nachmurzonym czołem rozglądał się jak wojownik, który nasycił pożądanie i teraz potrzebuje walki. Z przygotowanego na ognisko chrustu wygrzebał sękaty kij i przyglądał mu się z powątpiewaniem, kalkulując jego wytrzymałość. Ścisnął go mocniej, kiedy na obrzeżach ognistego kręgu pojawił się mężczyzna. Szedł wolnym, kocim krokiem i unosił ręce w uspokajającym geście, komunikując, że nie ma złych zamiarów. Gerda również go zauważyła. Poderwała się z ziemi i schowała za plecami Antka. Gdy mężczyzna znalazł się w zasięgu światła, przystanął i wbił wzrok w Gerdę.

– Kim jesteś?! – krzyknął po polsku Antek.

– Przyjacielem – odparł tamten po niemiecku. – Nie jestem bandytą. Porozmawiajmy.

Gerda przyglądała mu się znad ramienia chłopaka. Miał chudą, nieogoloną twarz, ciemne oczy i długie, zmierzwione włosy. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat, ale wojna porobiła bałagan w ludzkich twarzach

i trudno było sądzić tu coś pewnego. Mówił z północnym, hamburskim akcentem.

– Idź stąd – powiedział groźnie Antek i zrobił krok do przodu.

Wtedy Reks podbiegł do przybysza i z zadowoleniem zaczął łączyć się do jego ręki. Mężczyzna pogłodził go po łbie i uśmiechnął się niepewnie.

– Proszę odłożyć ten kij, naprawdę. Nie będziemy się bili. Chyba że pan koniecznie chce. Ja nie chcę.

Antek zawahał się i opuścił kij. Speszony mruknął coś pod nosem. Gerda wychyliła się zza jego pleców zaciekawiona. Obserwowała Niemca, a on ją. Wbił w nią szklące się w blasku ognia oczy, jakby lada chwila miał się rozpłakać. Nie rozumiała, o co chodzi. Nie знаła tego człowieka. Ten jego wzrok...

– Kim pan jest? – spytała ostrożnie.

Reks wrócił do niej i przysiadł na ziemi.

– Nazywam się Rudolf Mielke. Czy ty jesteś... Czy pani jest...

Jego głos drżał. Przed chwilą wyszedł z ciemności energicznym krokiem, teraz chwiał się na miękkich nogach. Nagle stracił siły.

– Czy pani jest Gerdą Liebner?

Antek zacisnął dłoń na swoim śmiesznym, wojowniczym kosturze.

– Nie odpowiadaj! – krzyknął. – Nie wiadomo, co to za człowiek.

Coś w niej zaprotestowało. Dlaczego miałyby odczuwać strach? Ten mężczyzna nie wyglądał na niebezpiecznego, za to intrygowały ją te zaszklone, wyczekujące odpowiedzi oczy, jakby od jej odpowiedzi Bóg wie co zależało. Najpierw pomyślała o skarbie. Krewny von Schlieffenów? Stary sługa, który jakimś cudem dowiedział się o skrzyni w piwnicy i jej rozmowie z hrabią? Odetchnęła z ulgą dopiero na myśl, że jednak nie zdecydowała się wziąć ze sobą klucza.

– Skąd pan zna moje nazwisko? – spytała, siłąc się na spokój.

– Od Heike.

– Heike?! – krzyknęła i zachwiała się jak pod nagłym uderzeniem wiatru.
– Ona żyje? Gdzie jest? Gdzie pan ją widział?

Szarpnęła go za ramię. Mężczyzna miał łzy w oczach. Ona cała się trzęsła. Antek stał zbaraniały, z kijem w ręku. W środku trójkąta między nimi, jako jedyny opanowany, leżał Reks i lizał sobie łapę.

– Co z resztą? Co z moją rodziną? Gdzie oni są?!

Ciskała w niego pytania jak kamienie, a on tylko chwiał się ze zmęczonym uśmiechem i powtarzał:

– Gerda, Gerda...

– Tak! Gerda, Gerda! Co się z nimi stało?! Gdzie jest Heike? Niechże pan mówi!

Uśmiechnął się i pogładził potrząsającą nim rękę.

– Daj mi chwilę. Żyjesz. *Um Gotteswillen*, ty żyjesz.

– Tak, żyję, i co z tego? – Nagle nabrała podejrzeń. – Jest pan oszustem? Zbiegłym esesmanem? Może to pan zamordował moją rodzinę? Dlaczego miałabym wierzyć...

Kiedy wyrzucała z siebie chaotyczne zdania, mężczyzna sięgnął do marynarki. Na nerwowy ruch Antka uniósł rękę, że wszystko w porządku, i wyjął zza pazuchy rulon. Gerda zamilkła zdumiona.

– Proszę. – Podał jej szary zeszyt. – Zdaje się, że to twoje.

Otworzyła usta, żeby spytać, skąd go ma, i zaraz je zamknęła. Zrobiło jej się okropnie nieprzyjemnie, że ten człowiek mógł czytać te zapiski. Na pewno czytał. On tymczasem wziął do ręki *Maltego*, który leżał przy ich miłosnym legowisku, otworzył na miejscu z zakładką i obrócił w palcach czarno-białą fotografię. Chwilę się jej przyglądał.

– Może usiądźmy i porozmawiajmy spokojnie – zaproponował Antek. Poczł ukłucie zazdrości. Przestraszył się, że ledwie ją zdobył, a już traci.

– Nie wiem, czy mamy czas na opowieści – odparł Mielke. – Szedł tu ze mną chłopak, Bolek Siemczuk. Zawróciłem go. Nie mam pewności, co robi, ale wolałbym mu nie ufać...

– Kto? – zdążyła spytać Gerda.

I to było wszystko.

8

Sekwencja zdarzeń z perspektywy Rudolfa Mielkego wyglądała następująco. Najpierw trzasnęła gałązka i Reks uniósł łeb. Równocześnie w mroku błysnął mankiet białej koszuli i zanim kapitan uzmysłowił sobie, co to znaczy, pchnął Gerdę, krzycząc: „Uciekaj!”. Huknął strzał. Blondyn ze szramą na policzku, którego imienia Mielke nie zdążył poznać, również się przesunął, być może po to, żeby powstrzymać atak kapitana na Gerdę. W następnej sekundzie potknął się i wypuścił kostur z ręki. Ze zdziwieniem na twarzy runął mu pod nogi, płosząc psa.

– Neeeeee!

To była Gerda. Upadła na kolana przy drgającym ciele. Od łąki nadszedł Kulik z uniesionym pistoletem. Padł następny strzał, kula świsnęła Mielkemu nad uchem.

– Uciekaj! Heike!

To nie była pomyłka. Gdyby krzyknął: „Gerda”, nie usłyszałaby. Dlatego użył imienia jej młodszej siostry.

Uniosła zdziwione oczy, a wtedy powtórzył spokojnie:

– Uciekaj.

Pobiegła.

Kapitan miał broń z tyłu za paskiem spodni, ale zabrakło mu dwóch sekund, by po nią sięgnąć. Dał mu je Reks, który z obnażonymi zębami skoczył na Kulika. Ten zawahał się, zanim wymierzył w psa i pociągnął za spust, dwa razy. Potem pistolet się zaciął i rozległ się tylko suchy, metaliczny szczęk. Pies zawył i zarył w ziemię, a Kulik wyszarpnął zza paska nóż. Zdążył jeszcze unieść rękę i rzucić, a w następnej sekundzie kula z parabellum kapitana roztrzaskała mu prawy bark. Kulik z ochryplym jękiem zwałił się na ziemię tuż obok skróconego psiego kadłuba.

Mielke umiał świetnie strzelać, a parabelka leżała w dłoni dobrze, wygodnie. Nie myślał, działał jak automat. Okręcił się na pięcie i bez mierzenia oddał trzy strzały między drzewa, gdzie w ciemności mignęły sylwetki innych napastników. Uskoczyli z wrzaskiem. Niewykluczone, że któregoś trafił. Chyba widział wśród nich okrągłą twarz Bolka Siemczuka. To nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Oprócz Gerdy.

Nie wiedział, ilu ich jest. Upadł na plecy i przetoczył między zarośla, wychodząc poza krąg światła. Dziewczyna zniknęła między drzewami. Nagle się przestraszył, że ledwie ją znalazł, a już zgubił. Kompani Kulika strzelali do niego, ale niecelnie, kule brzęczały między konarami. Oddał dwa strzały i przyczał się za kępą czarnego bzu. Zerknął na pobojuwisko. Niewidoczny za stertą gałęzi Kulik jęczał z bólu. Ciało chłopaka z blizną spoczywało obok ciała Reksa, ręka sięgała sierści. Po jasnej koszuli pełgał blask dogasającego ognia, dając złudzenie ruchu. Nie, nie ruszał się. Kiedy padł mu do stóp, Mielke widział na koszuli czerwoną plamę w okolicach serca. Precyzyjne trafienie, które w ruchu może zapewnić tylko przypadek.

Ktoś skradał się ku niemu przez zarośla, więc wycofał się głębiej w las. Teren schodził w dół i wydawało mu się zupełnie naturalne, że tam właśnie pobiegła Gerda. Logiczny odruch kogoś kierującego się instynktem: w dół biegnie się szybciej. Nagle tuż za nim trzasnęła nadepnięta gałąź, potem kolejna z drugiej strony. I za plecami. Obejrzał się i jego nos dotknął zimnej lufy karabinu.

– Nu wot, jeszcze odnogo Niemca poj mali.

Przed nim stał rosyjski żołnierz o skośnych, uśmiechniętych oczach. Cieszył się, że pojmał jeszcze jednego Giermanca.

Biegła w dół na oślep, rękami osłaniając twarz przed uderzeniami gałęzi. Potknęła się o wystający korzeń i upadła, rozcinając kolano. Wstała. Biegła dalej. Ciemność owijała się wokół niej szczelnym czarnym płótnem, izolując od bólu. Nie czuła nic. Nie widziała nic. Tylko tę jasną koszulę

z czerwoną plamą na plecach. Tych samych plecach, które czuła pod dłonią w chwili rozkoszy, jedynej w życiu Gerdy.

Serce waliło jej jak młotem. Uciekała. Znowu uciekała. Była głupia, wierząc, że to się może inaczej skończyć. Zawróciła ze sławieńskiej szosy po śmierć i śmierci powinna się trzymać. Im dłużej żyła, tym większe cierpienie zadawała sobie i innym.

Na co liczyła? Na miłość Antka? Skarb hrabiego? Ziołowe zaklęcia starej Ursel? Ochronne poskrzypywanie wiatracznych skrzydeł? *Mittsommernacht*? Wszystko to było równie wiarygodne jak zapewnienia Staszka Kulika, że nie będzie bolało. Jest tylko ból. Po co ucieka? Przecież to już wszystko. Koniec. *Ende*.

Na skraju pola przystanąła i odwróciła się. Wykrzywiona gęba księżycy wisiała nad lasem. Pod nią snuły się cienkie nitki mgły, elfy tańczące w księżycowym świetle. Oszustwo. Im piękniejsze, tym bardziej bolesne. Ale to jej wina. Tej nocy świat ją oszukał, ponieważ bardzo pragnęła być oszukana.

Wszystko oszustwo. Wyłączając tego tajemniczego człowieka, który wynurzył się znikąd i przyniósł jej wiadomość od Heike. Jaką? Nie zdążył powiedzieć. Oprócz wiadomości przyniósł wielokrotną śmierć: Antka, Rekxa, miłości, planów na życie. Aż nadto, by poczekać i zażądać wyjaśnień. Ale go nie było, gdzieś się zapodział.

Nadstawiała uszu. Ciszę lasu raz tylko przerwał przeraźliwy krzyk ptaka. Wzdrygnęła się. Żuraw? W nocy?

Wtedy zobaczyła sarnę. W słabnącym świetle księżycy była widoczna tylko dlatego, że stanęła na wierzchołku wzniesienia, bokiem do niej, jakby chciała powiedzieć: tu jestem. Może to ta sama. Gerda była pewna, że ona. Zwierzę zbiegło ku niej lekko, niespiesznie, dając do zrozumienia, że nic takiego się nie dzieje, że to tylko zwykły nocny spacer. Podeszło całkiem blisko i Gerda widziała błysk światła w czarnych oczach, gdy z daleka dobiegł głuchy tętent końskich kopyt. Obie odwróciły głowy i znieruchomiały. Tętent narastał od zachodu, od Heinsdorf. Spojrzały na siebie i w ułamku sekundy zdecydowały.

Pobiegły.

Droga również była ta sama. Pod górę i z góry, znowu pod górę, ukosem przez wielką łąkę, przez strumień i dalej leśną drogą, gęstą od zarośli i głęboką jak tunel. Oddech balsamicznej czerni pachniał ziemią. Gdy dotarły do drewnianego karmnika dla zwierząt, Gerda niespecjalnie się zdziwiła. Wrócił spokój. Od wschodu podnosił się brzask. Przykucnęła pod drzewem i oddała z ulgą mocz, po czym wdrapała się do żłobu i zagrzebała w resztki zatechłego siana. Sprawdziła, czy ma w kieszeni szary zeszyt, i prawie natychmiast zasnęła. Sarna zwinęła się w kłębek u jej stóp.

Gerda śniła, że idzie do ślubu z Antkiem, a mała Heike niesie za nią biały, powłóczysty tren, spływający z zielonej sukienki z koronkowym kołnierzykiem. Ona ma na głowie wieniec z gorzkich ziół, Antek idzie w płóciennej koszuli z ciemną plamą na piersi, włosy ma przewiązane rzemienną opaską. Kroczą świetlistą łąką do młyna, gdzie ślubu udziela im stara Ursel w sukni z dębowych liści. Skrzydła wiatraka trzeszczą i skrzypią, chroboczą niemiłosiernie, jakby chciały zetrzeć na proch całą czwórkę weselników.

O czym śniła sarna, nie wiadomo.

XII

Energia wiatraków

luty 2018

1

– W październiku czterdziestego piątego, kiedy już straciłam nadzieję, że ktoś po mnie przyjedzie, w naszym ośrodku zjawił się Rudolf Mielke – zaczęła pani Liebner. – Był kapitanem okrętu ratunkowego, który jako ostatni odbił z Rügenwaldermünde, zanim wkroczyli Rosjanie. To on mnie wyłowił z szalupy na Bałtyku, a właściwie wyrwał z ramion nieżywego ojca. Przyjechał z Ottonem Stubenauerem i Seppem Müllerem, jedynym ocalałym z całej rodziny, podobnie jak ja i Otto. Tak nam się przynajmniej wtedy wydawało. Spotkał ich w obozie przejściowym dla Niemców w Schlawe, który naprawdę był obozem pracy przymusowej. „Należało nam się”, odpowiadał, kiedy go o to pytałam. Najpierw szukał mnie w Swinemünde, a kiedy się dowiedział o bombardowaniu miasta i był pewien, że zginęłam, postanowił znaleźć Gerdę. Po zdemobilizowaniu uciekł z Hamburga i wrócił na Pomorze, żeby wypełnić obietnicę, którą złożył mojemu duchowi. Wyobraża pan sobie? Trzeba naprawdę niezwykłego charakteru, żeby być zdolnym do czegoś takiego!

– Tak, niezwykle – przytaknął Krzycki. – Wy, Niemcy, jesteście zdolni do wszystkiego.

Zamilkła i odwróciła twarz do okna, jak obrażona. A może po prostu zamyśliła się nad swoją pomorską historią, której oprócz niej nikt już nie rozumiał, nawet przenikliwy inspektor z Krakowa. Jechali boczną drogą, zataczając szerokie koło. Przed dotarciem na miejsce i rozpoczęciem

kopania musieli trochę pobawić się ze śledzącymi ich ludźmi, co najbardziej cieszyło Michała za kierownicą. Mijali małe wioski o kilku lub kilkunastu domach stojących gdzie popadnie: te stare, poniemieckie – bliżej drogi; te nowe, kolorowe – odsunięte w głąb pól, ku ciszy i spokojowi naruszanemu jedynie przez kręcące się dzień i noc wiatraki.

– Rudolf Mielke był najlepszym człowiekiem, jakiego spotkałam w życiu – podjęła Heike Liebner po dłuższej przerwie. Właśnie znowu zjechali z asfaltu w polną drogę i kołysali się majestatycznie na wybojach w doskonale amortyzowanym mercedesie. – A tacy, jak wiadomo, płacą nie tylko za siebie, ale i za innych. Prosto z sierocińca pojechaliśmy do jego kuzynki Birgit, u której mieliśmy mieszkać jakiś czas, dopóki Rudi nie odremontuje swojego mieszkania w Hamburgu, bo trochę ucierpiało podczas bombardowań. Jak pan może wie, każde większe niemieckie miasto było zrujnowane od alianckich bomb. Pojechał tam raz i drugi, wracał zawsze nocą; pamiętam, bo zawsze się wtedy budziłam i schodziłam do niego. Brał mnie na ręce i z udawaną surowością karcił za niesforność. Kochałam go bardziej niż ojca, z którego ramion mnie wyłuskał jak ziarenko z łupiny.

– Pani Liebner – wtrącił ostrożnie Krzycki. – To bardzo wzruszająca i piękna opowieść, ale czy mamy tyle czasu, by się w nią zagłębiać? Jest już po dziesiątej...

– Chciał pan wiedzieć wszystko, Andzej – odparła – więc niech pan słucha. Nigdy tego nie opowiadałam i pewnie już nie opowiem. Gdybym była bardziej małostkowa, kazałabym to panu nagrywać.

– Nie mam nawet telefonu.

– Ja również – przytaknęła. – I zapewne z tego samego powodu.

– Czyli?

– Podejrzliwości. Wszyscy na ciebie dybią i dlatego ciągle musisz żyć w ukryciu. Starzeje się pan, Krzycki.

– Nie ja jeden – odparł kwaśno, na co ona zareagowała skrzekliwym śmiechem.

– Bardzo cieszyłam się z obecności Ottona – ciągnęła. – Był dla mnie jedynym łącznikiem z tamtym światem, w dodatku jako ostatni z nas widział Gerdę żywą. Tak mi się wtedy wydawało, bo nie zdążyłam zapytać Rudolfa. Wypytywałam o wszystko mojego kuzyna Ottona. Kazałam mu powtarzać po sto razy, jak wysadził cysternę na podwórku Weidemannów, żeby odciągnąć Rosjan od Gerdy, i jak go potem porwali i obwozili po okolicy jako maskotkę, przez co widział straszne rzeczy, które w swoich relacjach dyskretnie pomijał. Prosiłam, żeby ze szczegółami opisał mi wygląd Gerdy wtedy, tamtego wieczoru, kiedy znalazł ją w pokoju na piętrze, jak była ubrana i co mówiła, jaką miała minę i co zamierzała zrobić. Po prostu wszystko. Rudolfa zostawiłam sobie na później, nie mając pojęcia, że to „później” nastąpi dopiero po dwóch latach.

– Co się stało?

– To, co zawsze. Pewnej nocy wrócił z Hamburga, a o świcie pod dom Birgit podjechały dwa samochody z angielskimi żołnierzami, którzy uprzejmie załomotali w drzwi i zabrali Rudiego na przesłuchanie. W trakcie wyszło na jaw, że uciekł z obozu jenieckiego w Hamburgu. Stał przed brytyjskim sądem wojskowym i został internowany na dwa lata w ośrodku o zaostrowym rygorze. Wszystkiego tego oczywiście wtedy nie wiedziałam, dopiero wiele lat później opowiedziała mi Birgit. Nie mogliśmy go tam odwiedzać, warunki w ośrodku panowały wyjątkowo surowe, było mu tam naprawdę ciężko. Podobno w całej angielskiej strefie okupacyjnej funkcjonował tylko jeden taki obóz. Rudi wrócił, kiedy ja już chodziłam do drugiej klasy i... Nie wiem... – Zamyśliła się. – Już nie było to dla mnie takie...

– ...takie ważne?

– Chyba tak. Wojna się skończyła i ci, co przeżyli, chcieli jak najszybciej zapomnieć. Nie tylko Niemcy, którzy mieli coś na sumieniu, ale także zwyczajni, prości ludzie, ofiary całej tej nazistowskiej maszyny wojennej. Nawet dzieci. Odcierpiałam utratę rodziny, owszem, siostry śniły mi się po nocach, ale tęskniłam do normalnego życia, jak całe Niemcy. Wy dzisiaj tego nie rozumiecie, jak się wychodzi z wojny z duszą porwaną na strzępy

i najbardziej ze wszystkiego pragnie się normalności, spokoju, odrobiny radości w głuchej studni traumy...

– ...którą sami sobie zwaliliście na głowę – wtrącił Krzycki. – I wszystkim naokoło.

Wykrzywiła usta i wysunęła dolną szczękę. Z profilu wyglądała teraz jak Baba-Jaga ze starej kreskówki.

– Jeśli Polska wyleci z Unii Europejskiej, o co niektórzy dzisiaj zabiegają, to będzie początek końca tej Europy. Czy Polacy również ochoczo przyznają, że sami sobie zwalili tę traumę na głowę? I wszystkim naokoło?

– Nie. Ale to co innego.

– Zawsze jest co innego, Andzej – odparła ostro.

Otworzyła torebkę, by wyjąć stamtąd chusteczkę i starannie osuszyć sobie wargi. Zostały na niej plamy szminki. Czyli jednak używała szminki, tylko bardzo subtelnej.

Znowu na chwilę zapadła cisza, a samochód kołysał się na dziurawej drodze Pomorza. Tego ukochanego Pomorza, które jej rodacy z Reichu przepuścili w szulerni obłąkańczej ideologii.

– Nie próbowaliście razem szukać Gerdy? – spytał Krzycki, kiedy nerwy trochę odpuściły i znów siedzieli spokojnie. – Później, po wojnie?

– Najpierw skończę o Rudolffie. Wrócił wynędzniały i zrezygnowany, bez żadnej chęci do życia. Coś mu tam pękło w tym obozie i chyba wiek dawał znać o sobie. Skończył pięćdziesiąt lat i wszystko miał za sobą, to dobre i to złe, jak powtarzał. Myślę, że zachodził w nim jakiś prywatny proces denazyfikacji, osobiste rozliczanie się z hitleryzmem. Bo całkiem obiektywnie rzecz ujmując, tak to wyglądało. Był kapitanem okrętu do samego końca, posłusznie wykonywał rozkazy Adolfa Hitlera. To go gryzło. Wydaje mi się, że miałam być dla niego czymś w rodzaju alibi, dobrego uczynku, który mógłby choć w niewielkiej części zrównoważyć tamto. Właściwie dzisiaj tak nie myślę. Myślałam wtedy, jako dziesięcioletnia dziewczynka, i okropnie się na niego złościłam. To były

nasze najgorsze lata. Wtedy też przegapiłam chyba swoją największą szansę.

– Czyli?

– Żeby z nim porozmawiać o Gerdzie. Poważnie, otwarcie, bez unikania drastycznych szczegółów. Jeszcze w sierocińcu dowiedziałam się, co znaczy słowo *Vergewaltigung*. Dzieci wiele widziały na własne oczy i opowiadały o tym bez żenady. Taka jest dziecięca natura, ta sprzed hipokryzji i wyparcia. I zaczepiałam Rudolfa tym słowem, wiedząc, że bardzo się go boi. Wie pan, całe Niemcy miały wtedy w uszach krzyk gwałconych i mordowanych niemieckich kobiet, i nikt o tym nie mówił. Cisza. Nie ma tematu. Jasne, wielu tematów nie było, ale ten jakoś szczególnie skwapliwie spychano w niebyt. Nawet częściej napomykano o obozach zagłady niż o gwałtach. Może dlatego, że zagłada wiązała się z bestialstwem racjonalnym, zorganizowanym, świadomym, podczas gdy gwałty dotykały sfery podświadomej, intymnej, seksualnie wstydlivej. Samobiczowanie za zbrodniczy system. Ten stygmat, że jesteś winna, więc milcz. No to milczały. I mężczyźni również milczeli, bo kiedy gwałcą twoje kobiety, a ty się bezradnie przyglądasz, to potem chcesz zapomnieć. Wojna to męska odpowiedzialność. Kobiety robią za ofiary.

Zamilkła i sięgnęła do torebki, tym razem po buteleczkę perfum, by ostrożnie skropić sobie skronie, szyję i kark. Zrobiła to gestem subtelnym i dyskretnym, wzbudzając w Krzyckim prawdziwe uznanie. Nigdy wcześniej nie spotkał kobiety, która robiłaby to z taką elegancją. Jakby się wybierała na bal. A zaraz potem pomyślał, że Niemka zmywa z siebie brud tamtych wspomnień, ponieważ nawet opisujące je słowa nieprzyjemnie pachną. A jak się jest Niemcem, to trzeba być czystym. Wstąpił w niego diabeł.

– Podczas całej wojny zginęło kilkadziesiąt milionów ludzi, nie potrafimy policzyć, ile dokładnie. Wielu zginęło nie wiadomo gdzie i z czyjej ręki, nie mają grobów, rodziny nigdy nie poznały ich losów. Miliony uleciały do nieba przez kominy krematoriów, nawet imiona nie zostały. Dlatego teraz tak ważne jest, żeby pochylić się z uwagą nad

pamiętkami po pani siostrze i odnaleźć jej szczątki. Żeby znaleźć zmurszałe kosteczki Gerdy, starannie oczyścić z brudnej pomorskiej ziemi i z nabożną czcią pochować, najlepiej na tutejszym cmentarzu, z mszą u księdza Patkula i orkiestrą strażacką w kondukcje. To pani chce mi powiedzieć?

Widział, jak zagryza wargi, i ucieszył się.

– Nie musi pan tego robić – wycedziła. – Niech pan wysiada, sama dam sobie radę. Popełniłam błąd, prosząc pana o pomoc. Widziałam pańskie poświęcenie i determinację, kiedy szukał pan przyjaciela, i błędnie założyłam, że to pańska cecha charakteru. Wy, Polacy, świetnie wiecie, co to jest krzywda i cierpienie, ale nie wiecie, co to lojalność.

– Lojalność wobec kogo?

– Wobec każdego.

– Nie ma takiej lojalności, pani Liebner. Podczas wojny Polak miał do wyboru lojalność albo wobec Żyda, albo wobec Niemca. To którą miał wybrać?

– Każdy wybiera według swojego sumienia – burknęła, ale ponieważ czuła, że to nie wystarczy, dodała nerwowo: – Jeśli tak wygląda pański problem z Gerdą, po co pan w ogóle wsiadł do mojego samochodu? Przyzwyczaiałam się, że to moje osobiste zadanie.

– Może z lojalności.

– Wobec mnie? Może pan sobie darować. Michał, *halt!*

Michał zwolnił i zjechał na szerokie, błotniste pobocze. Od strony Krzyckiego wysiadało się prosto do rowu pełnego topniejącego śniegu. Volvo posłusznie zjechało za nimi i Bałyś z Haczukiem czujnie obserwowali mercedesa.

Krzycki miał ochotę wysiąść. Zmęczyła go cała ta pomorska historia, która z pasjonującego kryminału przekształciła się w polsko-niemiecką babraninę. Chciał krzyknąć, że ma w dupie stare rachunki. Stare interesy, kompleksy i traumy. Że doskonale wie, jacy są Polacy, podobnie jak Heike Liebner doskonale wie, jacy są Niemcy. I że nienawidzi kłamstwa i zbrodni, a ta historia coraz bardziej jest nimi przesycona.

Zamiast tego powiedział spokojnie:

– Czy Müller i Trębacki również szukają Gerdy? Stary Siemczuk też jej szukał? A może wiedział, gdzie ona leży, i dlatego umarł? Może nie ona go interesowała, tylko *Malte*?

Heike Liebner drgnęła.

– Skąd pan wie o *Maltem*?

Lutowy wiatr dmuchnął od północy nagle, nerwowo, i zakołysał lekko mercedesem. W głębi pola wśród mgielnych fantasmagorii majaczył słup pojedynczego wiatraka, obnażając w wartkich obrotach białoczerwone końcówki śmigieł, które wynurzały się spod niskiej chmury jak okrwawione zęby. Andrzej nie potrafił już przyglądać się im obojętnie. Ilekroć natykał się na nie, a trudno było na Pomorzu się nie natknąć, odczuwał lekkie rozdrażnienie. Podniecenie. Wewnętrzny pomruk. Jakby wirujący kolos przekazywał mu swoje drgania jakimś sekretnym podziemnym przewodem. Wielki induktor ściągający powietrze w dół, do ziemi. Wymiana żywiołów. Tak, to była całkiem niezła odpowiedź: w pomorskiej ziemi należało dokonać wymiany żywiołów.

Odwrócił się. Lucek wysiadł i szybkim krokiem podszedł do mercedesa od strony Andrzeja.

– Co jest?

– W porządku. Ustalamy granice międzynarodowej współpracy. Zaraz ruszamy dalej.

Lucek obrzucił kontrolnym spojrzeniem kabinę, po czym wrócił do volvo, a Andrzej zakomunikował Heike Liebner swoje stanowisko:

– Nie skończyła pani opowieści.

– Z Rudolfem Mielkem o jego spotkaniu z Gerdą właściwie nie porozmawiałam nigdy. Kiedy wrócił z obozu dla internowanych, byłam na niego zła o wszystko i nie chciałam z nim w ogóle rozmawiać. Później

uznał, że właściwie mnie stracił, i przeprowadził się do Hamburga sam, beze mnie i bez Ottona. Do pełnoletności zostaliśmy z jego kuzynką Birgit, a Rudi tylko czasem nas odwiedzał i wymienialiśmy grzeczności, jak to w zastępczej rodzinie. Opowiadał o firmie energetycznej, którą założyli z Josephem Müllerem, ponieważ rozwój sieci przesyłowych energii uważali za fundament przemysłowej odbudowy kraju. Nazwali tę firmę Turbenax, od turbiny, bo Rudi miał bzika na punkcie energii wiatrowej. Wtedy nikt o tym nie myślał, dopiero w 1957 roku powstała w Danii pierwsza prototypowa turbina ze skrzydłami wiatraka. Trochę inna od tych... – Heike Liebner wyciągnęła Andrzejowi pod nos swoją kościstą rękę, by pokazać chude stwory na polu. Poczł zapach perfum, którymi się skropiła. – Kiedyś nawet powiedział, że nasunęły mu tę myśl pomorskie wiatry. I to one go zabiły.

– W jakim sensie? Czyżby on też spadł z wiatraka? – zdziwił się Krzycki, bo już mu zaczynało dokuczać namolne kojarzenie wszystkiego z turbinami wiatrowymi. Lucek ma rację, to szsz, szsz jest na dłuższą metę wkurzające.

– Prąd go poraził – odparła ze złością. – Oficjalnie.

Niedawno widział wybuch jej prawdziwej złości – w sali przesłuchań aresztu śledczego w Słupsku.

– A nieoficjalnie? Czy zabił go Joseph Müller, ojciec Jensa?

Ponownie wysunęła szczękę i pokiwała głową jak czarownica nad kotłem.

– Brawo – rzekła z uznaniem. – Nigdy nie wątpiłam w pańską inteligencję. Wyjechali razem na otwarcie nowej linii przesyłowej i Rudolf niechcący dotknął jakiegoś niezaizolowanego kabla. Jedynym świadkiem był Joseph. Zeznawał pod przysięgą. Później zaczął się nagle interesować inwestowaniem w Polsce, na Pomorzu. Zmarł kilka lat temu, niedługo po tym, jak go usunęli z rady nadzorczej Turbenaxu za malwersacje. Jego syn, Jens, odziedziczył po nim nie tylko informacje, ale i podłą naturę.

– Ale o co poszło? Bo chyba nie o mityczny niemiecki skarb?

– Skarb? Usłyszałam to słowo z ust Rudolfa tylko raz. Kiedy wspomniał o Bolku Siemczuku, który miał go zaprowadzić do Gerdy. Żartował sobie z jego obsesji na temat skarbu von Schlieffenów, bo chłopak w kółko o tym gadał. Puściłam to wtedy mimo uszu, wolałam strzelać fochy Rudolfowi i dopiero po jego śmierci różne kawałki zaczęły mi się składać w całość. Bardzo ułomną całość.

– Będziemy tu siedzieć cały dzień? – przerwał jej Krzycki, stukając w okno mercedesa.

– Ma pan rację, jedźmy gdzieś. Michał, Prestow – zarządziła.

– Nie pojedziemy kopać za Gerdą?

– Myślę, że powinien pan najpierw mnie wysłuchać – zdecydowała kategorycznie. – Potem zrobimy plan i zaczniemy kopać. Chyba pan sobie nie wyobraża, że jesteśmy jedyni.

Lubiła decydować, sprawiało jej to przyjemność i umacniało w pewności, więc się zgodził. Ruszyli wyboistą drogą i Heike wróciła do opowieści o swoich pomorskich duchach.

– Śmierć bardziej dotyka żywych niż zmarłych. Dopiero po odejściu Rudolfa uświadomiłam sobie, kim dla mnie był. Nie zostawił mi nic, żadnych zapisów ani notatek, no i przede wszystkim nie opowiedział o tamtym spotkaniu. Miałam tylko kilka nazwisk: Siemczuk, Kulik, Kulesza, Róża, czyli Różański. Układałam sobie z nich w głowie całe historie, zupełnie zmyślane, o tym, co spotkało moją siostrę. I chyba też... układałam plan zemsty. Zabawne, prawda?

Tak, to było dosyć zabawne. Heike Liebner sporządziła sobie listę osób do prywatnej zemsty za siostrę. Identyczną listę miała Ula Miłęcka, wnuczka Gerdy, która zajmowała się wyrównywaniem rachunków za babcię. Wszystkie nazwiska się powtarzały. I wszyscy oni już nie żyli.

Krzycki przetarł palcami powieki. Spał w nocy niewiele, a niemiecka limuzyna przyjemnie kołysała do snu. Bał się, że jeszcze trochę tej pasjonującej opowieści i zaśnie na siedząco.

– No dobrze, pani Liebner, to co z tym skarbem von Schlieffenów? Istnieje czy nie?

– Próbowałam się dowiedzieć czegoś od samej rodziny. Szukałam ich we wszystkich możliwych wykazach ziemian pomorskich, pisałam do ludzi o tym nazwisku na całym świecie, próbowałam dotrzeć do tych z von Schlieffenów, którzy żyli w Niemczech, i znalazłam bardzo, bardzo niewielu. Zupełnie jakby rozpułynęli się w powietrzu. Z trudem dotarłam do jednej Schlieffenówny, która wyszła za mąż za Albrechta von dem Busschego i zgodziła się poświęcić mi tylko pół godziny podczas przedpołudniowej kawy. Dowiedziałam się tyle, że w czterdziestym piątym cała rodzina uciekła z Pomorza, z wyjątkiem starego hrabiego Alexandra von Schlieffena. Miał swoje sekretne plany i obiecał, że dołączy do nich później, jednak nigdy się nie zjawił i słuch po nim zaginął. Usłyszałam jeszcze, że był trochę dziwakiem, siedział z nosem w książkach, lubił Rilkego i ponoć deklamował z pamięci całe akapity jego *Maltego*. Kiedy spytałam, czy hrabia został pilnować jakiegoś skarbu, pani von dem Bussche grzecznie podziękowała za wizytę i wyprosiła mnie z domu. Później dowiedziałam się, że Joseph Müller również ją odwiedzał. Tak, jeśli to pana nurtuje, może pan stąd wnioskować o istnieniu skarbu von Schlieffenów. Może pan wnioskować, co pan chce. Skąd wiedział pan o *Maltem*?

– Od Siemczuka.

– Naprawdę? – Heike uniosła brwi. – Stary łajdak. Tyle mu zapłaciłam! Godzinami głądził o jakichś bzdurach, żeby tylko wyciągnąć pieniądze, a tego mi nie powiedział. Co mówił?

Krzycki posłał jej przepaszający uśmiech w stylu: jeszcze nie pora wykładać wszystkie karty na stół.

– Czy to jakaś wskazówka? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Posłała mu równie przepaszający uśmiech i w ten sposób osiągnęły chwilowy remis. Dojeżdżali do Przystawna i Krzycki uznał, że najwyższy czas przejąć stery tej wyprawy.

– Proszę skrócić w prawo – powiedział do Michała, wskazując żwirową drogę idącą w pola.

Większość tutejszych pól pokryta była takimi utwardzonymi dojazdami do farm wiatrowych. Minęli pierwszy wiatrak i Andrzej polecił zjechać w lewą odnogę. W ten sposób okrężną drogą wracali w kierunku Grębówka. Volvo sunęło za nimi.

– Teraz pańska kolej, Andzej. Naprawdę pan wie, gdzie leży Gerda? Czy może to taka zabawa w crossowe zwiedzanie okolicy, połączone z testowaniem zawieszenia mojego wysłużonego daimlera-benza? No już, niech pan też coś mi zdradzi, żebym się przekonała, czy mam do czynienia z wartościowym współnikiem.

– Obawiam się, że jeszcze czegoś mi pani nie powiedziała.

– Tak? – zdziwiła się teatralnie. – Możliwe. I co z tego? Powtarzam, teraz pana kolej.

Mercedes brnął coraz węższą drogą. Po chwili się skończyła i utknęli. Michał przez ramię rzucił Krzyckiemu pytające spojrzenie, Mariusz rozglądał się niepewnie po zamglonym, pagórkowatym terenie.

– Wysiadamy – zarządził Andrzej. – Dokończymy później. Jeśli mogę coś poradzić, to proszę odwrócić samochód przodem do wyjazdu. Na wszelki wypadek.

– Jak to było, szefie? – zagadnął Bałyś, wysiadając z drugiego samochodu. – Że te wiatraki są zaczarowane i znikają? Ja tu widzę same wiatraki. Kręcą się wszędzie, jak złodziejaszki pod Tomexem. Tu nie ma nic oprócz wiatraków. I mercolem można podjechać.

– Się zobaczy, mądrało. A ty zostajesz – polecił mu Krzycki.

Lucek zbaraniał.

– Zwariowałeś? Nie mogę tu sam zostać. Jeszcze mnie ktoś ukradnie.

Andrzej pochylił się ku niemu i szepnął tak, żeby inni nie słyszeli:

– Masz miękkie buty, nie nadajesz się do kopania. Proszę cię, siedź za kierownicą z ręką na stacyjce.

Lucek spowaźniał.

– Myślisz...? Ryśka zostawmy, ja ci się bardziej przydam na miejscu. Wiesz, w razie czego lepiej mieć pod ręką sprawnego wojownika niż emerytowaną czarownicę i brzuchatego tatusia...

Jego przyjaciel nieugięcie kręcił głową. Lucek był niepocieszony.

– W grdykę jeża, po co ja ci mówiłem! Kurde, Andrzej, przecież nic mi się nie stanie! Weź i odpowiedz sobie uczciwie: po to mnie włokłeś przez całą Polskę, żebym teraz między tymi straszidłami robił za ciecia parkingowego? No powiedz.

– Nie kapryś jak panienka.

– PSG.

– Lucek, po prostu miej oczy otwarte – oznajmił twardo Krzycki i odszedł.

Michał z Mariuszem nieśli dwa nowiutkie szpadle oraz lekki kilof do rozbijania zmarzniętej ziemi. Andrzej podziwiał ich za przezorność. Oni z Ryśkiem również mieli po jednej łopacie. Zabrali je rano z szopy obok kurnika. Pochód zamykała Heike Liebner, stąpając ostrożnie po nierównym podłożu. Żwirowa droga zmieniała się w błotniste pole, znane już Krzyckiemu z wczorajszej wyprawy.

– Podobno Dominika jest w ciąży – zagadnął Hadczuk, zrównując się z nim krokiem.

– Tak, jest bardzo przejęty.

– Jasne, też bym był. Słuchaj, Andrzej, może to nie był jednak najlepszy pomysł, żeby go tu zabierać. Wiesz, my, stare wygi, to co innego...

– Jest oficerem policji – odburknął. – Kogo miałem wziąć, strażaka?

Szli, kiwając rytmicznie łopatami, a Andrzej fuczał pod nosem ze złości jak jeź. Mógł zostawić Ryśka Hadczuka. Tak źle i tak niedobrze.

Bez problemu znalazł swoje ślady, po których dotarł do patyka wbitego na przecięciu wyimaginowanych wiatracznych parametrów. Wbił łopatę obok.

– Tu kopujemy.

Pozostała czwórka spojrzała po sobie, po czym mężczyźni zabrali się do rozgarniania błotnistej gruntu, a starsza pani patrzyła na nich z powątpiewaniem.

– Nienawidzę wiatraków – mruknęła półgłosem po niemiecku.

3

Nadgniętą tkanę mięsą w jasnoniebieskiej koszuli znaleźli po godzinie.

Ze względu na zmarznątą ziemię kopanie szło im ciężko. Michał z Mariuszem bez szemrania walili kilofem w stwardniałe podłoże, a niekształtne grudy odrzucali na bok gołymi rękami. Krzycki i Hadczuk łupali szpadlami bardziej miękkie miejsca. Ten ostatni co jakiś czas prostował się i rozglądał wkoło.

– Dychnij sobie, jak ci ciężko – zaproponował Andrzej. – Ostatnie, czego teraz potrzebujemy, to twój zawał.

– Nie o to chodzi – powiedział Rysiek. – Ja tu już kiedyś byłem. Wydaje mi się, że z ekipą. W sierpniu. Stąd się logował ostatni raz telefon wójta Kuleszy. Tak, dokładnie z tego miejsca.

Na potwierdzenie słuszności tego przypuszczenia wiatr rozwiął trochę mgielną watę i w niedużej odległości odsłoniły się dwa majestatyczne słupy wiatraczne. Hadczuk popatrzył na nie fachowym okiem i przytaknął skwapliwie:

– Tak, to tu.

I wtedy jeden z asystentów Heike krzyknął:

– Hej, coś jest!

Pochylili się nad dziurą. O płaską końcówkę kilofa zaczepił się kawałek materiału. Wyglądał na koszulę ze sztucznej tkaniny, nie całkiem zniszczonej. W każdym razie jasnoniebieski kolor był łatwo rozpoznawalny. Odgarnęli z Michałem jeszcze trochę ziemi i odsłoniли pod koszulą fragment ciała w stanie rozkładu.

– To nie Gerda – powiedziała Niemka płaskim głosem.

– Nie – odparł Andrzej. – To Rajmund Kulesza, wójt Przystawna do sierpnia ubiegłego roku. A raczej jego zdekapitowany tułów, od którego głowa nadal spoczywa pewnie w Zakładzie Patomorfologii w Koszalinie. Dobrze mówię, Rysiu?

Hadczyk ze zmarszczonym czołem przytaknął. Po chwili do ich nozdrzy dotarł smród rozkładu i wszyscy odsunęli się od dołu, a Heike Liebner natychmiast wyjęła ze swej torebki chusteczkę i przytknęła do twarzy. Spoglądała to na Krzyckiego, to na dziurę w ziemi.

– Jeśli to miał być żart, Andzej, to mało zabawny. Nikt się nie śmieje.

Nie odpowiedział, tylko z zaciętą miną pochylił się nad dołem ze szczątkami. Nabierał powietrza, grzebnął kilka razy łopata i odwracał się, żeby odetchnąć, po czym zaczynał cykl od początku: wdech, kopanie, wydech. Po chwili trzech mężczyźni dołączyli do niego. Heike Liebner ruszyła z powrotem do samochodu. Po paru krokach zatrzymała się.

– *Scheisse!* – zakląła na cały głos. Wszyscy podnieśli głowy.

Od strony zaparkowanych samochodów szła ku nim grupa ludzi w czarnych strojach, dwóch prowadziło psy. Andrzej bez trudu rozpoznał oddział policji. Na czele kroczył sam komendant Krzysztof Zdybas, obok niego z niewesołą miną szedł Lucek Bałyś, coś mu zawzięcie tłumacząc. Kiedy zbliżyli się na kilka kroków, policjanci otoczyli ich luźnym półkolem.

– Dzień dobry, panie inspektorze – przywitał się z uśmiechem Zdybas. – Nie chciał pan do mnie, to ja musiałem do pana.

– Nadal nie chcę – mruknął Krzycki, niechętnie ściskając mu dłoń.

– Co pan tu robi? Bawi się pan w poszukiwacza skarbów? To już lepiej na plażę w Darłówku z wykrywaczem metalu.

– Naprawiam pańskie zaniedbania, inspektorze.

Zdybas poruszał wąsami.

– Jakie zaniedbania? O czym pan mówi? Lepiej niech pan pomyśli o swoich zaniedbaniach. Byczkiewicz dzwonił do mnie ze sto razy. Nie będę powtarzał, co o panu mówił, bo nawet mnie by takie słowa nie

przeszły przez gardło, niemniej obiecałem mu znaleźć pana i doprowadzić do porządku. To jego wyrażenie. Właśnie znalazłem. Co pan tu robi z tymi ludźmi?

Zamiast odpowiedzieć, Andrzej podprowadził go do wykopanej dziury i zasłaniając nos jedną dłonią, drugą wskazał znalezisko. Komendant Zdybas pochylił się z uwagą. Na jego twarzy rosło rozczarowanie, widocznie spodziewał się zupełnie innej zawartości. Kiedy odór stał się nieznośny, odskoczył. Niepewnie strzelał oczami to na Krzyckiego, to na Hadczuka. Ten ostatni jako podwładny poczuł się w obowiązku wyjaśnić:

– Panie komendancie, według naszych przypuszczeń to ciało Rajmunda Kuleszy, wójta Przystawna, zamordowanego w sierpniu przez nieznaną sprawców, którego odciętą głowę znaleźliśmy w samochodzie pod sklepem w Grębówku. Szukaliśmy wtedy bezskutecznie zwłok, byliśmy nawet w tym miejscu, ponieważ stąd po raz ostatni logowała się jego komórka, nie przypuszczaliśmy jednak, że akurat tutaj, na środku pola...

– Nie musicie mi, Hadczuk, tłumaczyć jak debilowi. Pamiętam sprawę Kuleszy. Lepiej wyjaśnijcie, co to za impreza. Dlaczego podejmujecie prywatną wyprawę w służbowej sprawie? Z naruszeniem podstawowych zasad policyjnej pracy. Co wy, nie znacie procedur? Nie wiecie, jak to się robi?

– Panie inspektorze – wciął się Krzycki. – To moja wyprawa. Nie mieliśmy czasu na uruchamianie rutynowych działań, a pan komisarz był niezbędnym uczestnikiem przedsięwzięcia.

– A wy, inspektorze Krzycki, też nie znacie procedur? Ja muszę się włóczyć za wami po polach, w błocie, żeby wam przypominać o regulaminie? Nie wiem nawet, jak to nazwać. To się normalnie nie mieści w głowie!

Krzysztof Zdybas wykorzystywał chwilową przewagę nad znienawidzonymi śledczymi z Krakowa, których najchętniej zakopałby w dole razem ze szczątkami Kuleszy i odtączył na kopczyku taniec zwycięstwa.

– A pan co tu robi? – spytał krótko Krzycki.

– Nie muszę się przed panem tłumaczyć – odparował Zdybas.

– Oczywiście, że nie. Ze śledzenia Heike Liebner również nie. A także ze współpracy z Jensem Müllerem i prokuratorem Trębackim w nielegalnym obrocie ziemią. Nie mówiąc o angażowaniu oddziału antyterrorystycznego – zatoczył palcem po sześciu postaciach w czarnych ubraniach – do poszukiwania skarbu von Schlieffenów.

– To bezczelność! Na szczęście przy świadkach. Policzę się z tobą, Krzycki. A na razie zajmijmy się cywilami.

Odwrócił się do Heike Liebner i jej dwóch asystentów, którzy stanęli pół kroku przed nią, osłaniając przed ewentualnym atakiem. Po raz kolejny zaimponowali Krzyckiemu.

– Zechcą państwo wyjaśnić swoją tutaj obecność... – zaczął Zdybas, ale nie skończył. Jego wzrok zawisł na czymś za ich plecami. Wszyscy jak na komendę spojrzeli w tamtą stronę.

– *Ach du lieber Gott...* – szepnęła Heike Liebner.

Krzycki zacisnął dłoń na stylisku szpadla.

Łagodnym zboczem od strony wiatraka numer 3 schodziła gromada ludzi. Wyłoniła się z mgły jak czereda duchów. Przeważali mężczyźni i chłopcy w kapturach na głowie, ale było również kilka kobiet. Nieśli w rękach różne narzędzia rolnicze, głównie łopaty i widły, tu i ówdzie mignęła siekiera. Kilku mężczyzn niosło maczety. Schodzili w milczeniu łąwą szeroką na kilkadziesiąt metrów. Krzycki szybko ocenił, że musi ich być co najmniej trzydziestu. Na czele kroczył ksiądz Patkul z drewnianym krzyżem i w towarzystwie dwóch ministrantów w komeżkach narzuconych na zimowe kurtki.

Podeszli na odległość dwudziestu kroków i stanęli. Patkul, który już wznosił krzyż, by wykrzyczeć jakąś straszliwą klątwę, zastygł w pół kroku, najwyraźniej zbity z tropu obecnością policjantów. Konsternacja zapanowała również po drugiej stronie. Funkcjonariusze popatrywali to na komendanta, to na siebie nawzajem, nie bardzo wiedząc, jak mają zareagować. Zdybas strzelał oczkami na boki, od jednego końca chłopskiego szeregu do drugiego, jakby kalkulował siły i wybierał dogodny

cel ataku. Asystenci Heike Liebner zwarli ciasniej szeregi, zasłaniając kobietę swoimi ciałami. Każdy ze szpadem w ręku. Lucek przysunął się do Krzyckiego.

– Chowasz się przed swoim protektorem? – szepnął Andrzej.

– Chronię cię przed porwaniem żywcem do piekła.

– Nawet nie próbuj.

– Bo co? – spytał Bałyś, zdmuchując loczek z czoła.

Andrzej nie odpowiedział. Tymczasem policjanci zmienili szyk i ustawili się szpalerem przed chłopską gromadą, niektórzy z rękami na kolbach pistoletów.

– To nasza ziemia! – krzyknął ksiądz Patkul i uniósł krzyż.

Za jego plecami rozległ się pomruk aprobaty. Ktoś krzyknął: „Wynocha, szwaby!”. Chłopi mieli groźne miny, a młodzież w kapturach popluwała dziarsko przed siebie, demonstrując nieugiętą wolę walki. Andrzej pomyślał, że jeżeli faktycznie dojdzie do konfrontacji, może się to naprawdę źle skończyć, i to dla obu stron.

– Proszę się rozejść! – odkrzyknął komendant Zdybas, który poczuwał się do reprezentowania całej ich grupy, łącznie z niedawnymi przeciwnikami. – To miejsce zbrodni i mamy obowiązek je zabezpieczyć. Nikt tu nikomu niczego nie zabiera, a już na pewno nie ziemię. Wracajcie do domów, wszystko jest pod kontrolą służb porządkowych.

– To wy wracajcie, skąd przyszliście! – zawołał kobiecy głos. – To moja ziemia!

Krzycki rozpoznał w niej wdowę po Mieczysławie Kuliku. Jej mąż również padł ofiarą zemsty klanu Liebnerówien. Kobieta krzyczała coś, co akurat nie było prawdą, ponieważ znajdowali się na ziemi zapisanej przez jej zmarłego męża Zofii Ploh. Która też zginęła. A jak wygrzebał Lucek, do czterdziestego piątego ta ziemia należała do Liebnerów i to Heike miała większe prawo krzyczeć: „Moja ziemia!”. Co za porąbana konfiguracja.

– Po co tu kopiecie? – spytał rzeczowo ksiądz.

– Jak już mówiłem, znaleźliśmy ciało i musimy zabezpieczyć teren.

– Możemy zobaczyć?

Ksiądz Patkul przełożył krzyż do lewej ręki i niósł go teraz jak pochodnię, zbliżając się do wykopanej dziury. Stojący najbliżej policjant przesunął się w bok, aby zastąpić mu drogę, ale ksiądz odepchnął go krzyżem jak magicznym kosturem. Za księdzem poszli następni, wśród nich wdowa po Kuliku. Szóstka funkcjonariuszy spoglądała na dowódcę, ale Zdybas ostrożnie pokręcił głową, by nie reagowali. Stali więc z rękami na podbrzuszach i przyglądali się, jak chłopci coraz bardziej ochoczo garną się do dołu, próbując zajrzeć do środka. Wkrótce cała gromada skupiła się wokół nieszczęsnego truchła Rajmunda Kuleszy, ktoś krzyknął „fuj!”, ktoś inny zakaszłał.

Podczas wymiany zdań między księdzem a komendantem Krzycki pociągnął za rękaw Lucka i Ryśka Hadczuka. Cofnęli się, zgarniając po drodze Heike Liebner. Całą czwórką zaczęli się oddalać.

– Tamci uciekają! – krzyknął jakiś wyrostek w czarnej bluzie, pokazując ich palcem.

Paru jego kolegów natychmiast ruszyło w pościg. Michał i Mariusz po raz kolejny stanęli na wysokości zadania i zagrodzili im drogę. Chwilę mierzyli się wzrokiem i wygrażali łopatami, do atakujących dołączyli jednak nowi i wkrótce ich przewaga była miażdżąca. Wywiązała się nierówna walka, poszedł w ruch kopaczy sprzęt, a wkrótce również pałki policyjne, ponieważ antyterrorysty zgodnie z regulaminem stanęli po stronie atakowanych.

– Stop! Zaprzestać walki! – krzyczał Zdybas, szarpiąc tego i owego za kamizelkę.

Bezskutecznie. Kiedy ludzie przekonali się, że w dole faktycznie nie ma nic oprócz gnijących zwłok, sukcesywnie dołączali do walczących. Ksiądz wsparł komendanta i również zaczął głośno apelować o spokój. Pojawiły się pierwsze plamy krwi na ubraniach i wykrzywionych grymasem twarzach, a część odpowiedzialności za to spadała na proboszcza.

Tymczasem cała czwórka biegła już do samochodu. Lucek starał się zostawać w tyle, żeby w razie czego zatrzymać pościg, Andrzej usiłował

mu to uniemożliwić.

– Dawaj, młody, dawaj! – krzyczał, widząc go na końcu grupy. W jego głosie oprócz poganiania słychać było echo paniki.

Bałyś ostentacyjnie odwrócił się do biegnących mężczyzn i stanął w lekkim rozkroku, z lewym biodrem wysuniętym do przodu.

– Lucek!!! – wrzasnął Andrzej. Do samochodu zostało im parę metrów, nie było sensu wdawać się w bijatykę.

Bałyś uśmiechnął się do niego przez ramię i rozłożył ręce na wysokości twarzy, jak kapłan. Kiedy dwaj pierwsi nadbiegli z uniesionymi siekierami, skoczył do przodu i przykucnął, a potem lekko wyrzucił ramiona przed siebie. Wyglądało to tak, jakby chciał podać im dłoń. Tamci zgięli się w pół, a wtedy Lucek rozepchnął łokcie na boki i obaj zwalili się w błoto. Za nimi nacierało już trzech kolejnych.

– Lucek!!! Kurwaaa!!!

Nawet nie udawał, że nie słyszy. Wciąż kucając, złączył kciuk z palcem wskazującym i pokazał kółeczko nad głową. Tamci zwolnili, po czym otoczyli go i unieśli łopaty. Andrzej zmartwiał. Bałyś tymczasem podparł się lewą ręką na błocie, wyprostował prawą nogę i zamachnął się nią. Jeden z napastników runął w błoto. Lucek błyskawicznie wstał. Drugiego miał tuż przed sobą, więc tylko wyprowadził krótki prosty cios i chrupnęła strzaskana szczeka. Trzeci przystanął z uniesioną łopatą i otwartą gębą. Lucek z uśmiechem odwrócił się do Andrzeja, pokazał kółeczko i błyskawicznym ruchem opuścił rękę. Trzonek łopaty głucho uderzył w kaptur, mężczyzna upadł na kolana, a później na plecy, pchnięty w pierś miękkim, ubłoconym butem. Jednak nadawały się do kopania.

Kiedy dołączył do trójki w volvo, Andrzej już siedział za kierownicą. Samochód z wizgiem ruszył po błocie, opryskując kolejnych nadbiegających i mercedesa przyblokowanego policyjną furgonetką. Wypadli na szeroką drogę żwirową i pognali ku szosie. Krzycki był obrażony, Lucek się uśmiechał, Heike Liebner pobladła ze strachu i zadyszki, a komisarz Hadczuk trzymał się obiema rękami za głowę i mamrotał coś o zmarnowanym życiu.

– Co miało znaczyć: „Lucek, kurwa”? – spytał Lucek.

Akurat zjechali na pobocze, żeby przepuścić policyjne samochody gnające na sygnale w przeciwnym kierunku. Zdybas wezwał posiłki.

– He?

– Krzyknąłeś na cały głos. Wszyscy słyszeli.

Był wyraźnie zadowolony ze swego wyczynu, a jeszcze bardziej z wrażenia, jakie wywarł na Krzyckim.

– PSG.

– Nie, to moja kwestia. No więc, o co ci chodziło z tymi płatnymi usługami seksualnymi? Bo jeśli na coś liczysz, to uprzedzam, że mój cennik zdecydowanie przerasta twoje możliwości.

– Jak wyżej.

– Z twoich ubrań wnioskuję, że nie stać cię nawet na kolację ze mną.

– *Mrs. Liebner* – zwrócił się Krzycki do tyłu, ignorując zaczepki Bałysia – proszę mi wybaczyć te niedogodności. Jak pani widzi, to nie był żart, ale też nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Poza tym... byłem przekonany, że jednak znajdziemy Gerdę.

– Skąd?

– Słucham?

– Skąd takie przekonanie?

Zamiast odpowiedzieć, Krzycki skręcił w lewo szosą na Korczewo. Po paru minutach zatrzymał się przed domem Zofii Ploh. Kiedy wjeżdżali na podwórze, Niemka zrobiła czujną minę. Andrzej postawił Hadczuka na straży przy bramie i we trójkę poszli do komórki Maciusia Ploha. Lucek poświstywał pod nosem z satysfakcją wyrostka, który zrobił na złość rodzicom.

– Tutaj upośledzony syn Zofii Ploh rysował różne swoje fantazje – zaczął Krzycki, kiedy usiedli przy koślawym stoliku. – Były wśród nich istoty ludzkie, nieludzkie i zagadkowe przedmioty. Na przykład wielkie ucho

sterczące prosto z ziemi. Lubił włóczyć się po polach i słuchać głosów, których nikt inny oprócz niego słyszeć nie mógł. Oglądałem te rysunki razem z nim. Na wielu powtarzała się sylwetka dziewczyny z jasnymi włosami i w zielonej sukience, podpisana jako Biała Dama. Założyłem, że to Gerda. Proszę mnie nie pytać dlaczego.

– Dlaczego?

Uśmiechnął się pod nosem i zerknął na Lucka Bałysia, który tymczasem wyjął z plecaka tablet i zaczął szukać zasięgu. Zrozumiał, że ma zabrać głos.

– Andrzej twierdzi, że już nie jest policjantem – wydukał po niemiecku. – Stosuje teraz metody cywilne. Prywatne.

– Co to są *Privatmethoden*? – spytała Heike.

Lucek szybko sprawdził coś na tablecie i ciągnął powolną, skupioną niemczyzną:

– Zamiast ludzi przesłuchuje ziemię, chmury, rysunki, turbiny wiatrowe, także szумы podziemnej energii. Rozmawia z psami, które nie żyją. Łowi ryby siłą woli. Taka trochę policyjna joga.

Heike Liebner nie potrafiła powstrzymać rozbawienia. Dziwaczna treść opowiedziana nieporadną niemczyzną ze słowiańskim akcentem tworzyła scenkę rodem z teatryku absurdu.

– Nie powinien pan, Bałys, sobie z tego żartować. Tej policyjnej jodze zawdzięcza pan życie. Kiedy pana poznałam – zwróciła się do Krzyckiego, przechodząc na angielski – od razu zauważyłam, że siedzi w panu jakiś demon. Nie przypuszczałam jednak, że rozmawia pan z duchami.

– A pani nie? – spytał Krzycki. – W takim razie co pani tu robi?

Celnie ją trafił. Przestała się uśmiechać i przytaknęła skinieniem głowy. Lucek tymczasem wrócił do swojej zabawy z tabletem – jeździł palcem po ekranie i obracał raz poziomo, raz pionowo, jak dyletant, który pierwszy raz widzi abstrakcyjny obraz. Mamrotał przy tym coś pod nosem i wpisywał słówka do wyszukiwarki.

– Energia energią, a Gerdy nadal nie ma – stwierdziła Heike.

– Przyzna pani jednak, że niewiele się pomyliłem – odparł Andrzej. – Coś jednak znaleźliśmy. A co do energii, to nie była czysta fantastyka. Farma wiatrowa ma podziemną sieć kabli, które łączą się i przekazują prąd dalej. Wyznaczony przeze mnie punkt znajdował się właśnie w miejscu połączenia dwóch przewodów energetycznych z tamtych wiatraków. A właściwie trzech, tylko ten trzeci już nie istnieje. Spłonął razem z inżynierem Różańskim. Położyłem się na ziemi, przystawiłem ucho do gruntu, dokładnie tak jak to robił Maciuś Ploh, i usłyszałem szum. Raz słabszy, raz głośniejszy. Tam, gdzie był najmocniejszy, wbiłem patyk, a później zaczęliśmy kopać i znaleźliśmy bezgłowe ciało Rajmunda Kuleszy.

– *Bullshit* – powiedziała Heike Liebner. – To już nie jest joga, tylko zwykła bzdura.

– Pewnie tak. Ale skoro znaleźliśmy, jakie to ma znaczenie?

– Ten Kulesza nawet nie był związany z moją historią, więc po co mi pan to wszystko mówi? Po co tu w ogóle przyjechaliśmy?

Andrzej odwrócił się do komisarza Bałysia zajętego sylabizowaniem jakichś niemieckich napisów na tablicie.

– Lucek, powiedz pani o Kuleszy.

Dopiero kiedy ten dokończył żmudną robotę translatorską, odłożył tablet na stół, przybrał poważną minę i ostrożnie dobierając słowa, opowiedział o dopisanym nazwisku Kuleszy na odwrocie aktu urodzenia Anny Grohl, domniemanej córki Gerdy i matki Uli Miłęckiej. Przypomniał również opinię księdza Patkula o sensie takich dopisków, zaznaczając, że księżom nie zawsze można wierzyć. Heike Liebner słuchała z uwagą, po uśmiechu nie został na jej twarzy ślad. Pochyliła się, jakby każde wypowiedziane z koślawym słowiańskim akcentem niemieckie słowo przygniatało ją coraz większym ciężarem, przypominając, że musi ten ciężar nieść do końca.

Brzemie pomorskiego losu, pomyślał Andrzej, przyglądając się jej zgarbionej sylwetce. Ostatniej z rodu Liebnerów właśnie wszystkie kamyki układanki wskoczyły na właściwe miejsce. Gerda zostawiła po sobie córkę, dziecko Antka Kuleszy, a sama zniknęła. Jakaś Ursel przyniosła dziecko do

ochrzczenia jako Annę Grohl, po czym również zniknęła. Anna dorosła i także urodziła córkę, Urszulę Miłęcką, która z kolei padła ofiarą zbiorowego gwałtu i dokonała skutecznej zemsty. Nazwiska ofiar i sprawców powtarzały się aż do bólu. Wyskakiwały w kolejnych generacjach jak wisienki w jednoręki bandycie. Kulik, Różański, Klisz... Zło ciągnie się jak franca – z pokolenia na pokolenie. Zostało tylko jedno małe, malutkie pytanie: co takiego Anna Grohl przekazała Zofii Ploh, że ta musiała zginąć?

W końcu zobaczył coś, czego zobaczyć nie chciał – łzę płynącą po policzku Heike.

– Rajmund Kulesza był synem niejakiego Jana Kuleszy – ciągnął Lucek.
– Jan nie mógł być ojcem Anny Grohl, ponieważ przyjechał na Pomorze z południa Polski, wiosną czterdziestego siódmego, kiedy Anna była już na świecie. Ale miał starszego brata, Antoniego. To mógł być on.

Kiedy skończył, siedzieli chwilę w całkowitym milczeniu, ona zatopiona w swoich rozgrzebanych na nowo emocjach, oni – z cierpliwą dyskrecją.

– Co się z nim stało? – spytała wreszcie.

– I tu ciekawa wskazówka – stwierdził Lucek tonem policyjnego prymusa, który najpierw wszystko sprawdził. – To znaczy, nie ma żadnej wskazówki. Nie wiadomo, co się z nim stało. W dokumentach gminnych z tamtego czasu znalazłem to nazwisko tylko raz, na liście nadań pomemieckich majątków nowym osadnikom. Pod nazwiskiem Antoniego Kuleszy było dopisane: Kukułczy Młyn. Sprawdziłem, już nie istnieje.

– Kuckucksmühle – wyszeptała Heike Liebner. – *Verdammt*, nie pomyślałam o tym...

– Tu był wcześniej jakiś wiatrak? – zdziwił się Krzycki.

– Właściwie niedaleko stąd – odparła. – Należał do pana Hechta. Widziałam go chyba raz w życiu i trochę się bałam. Gerda jeździła tam z ojcem. I ten Kulesza tam mieszkał? Może ona też?

– A jego bratanek leży na środku dawnego pola Liebnerów – dokończył Andrzej. – Bo pani wie, że te trzy przeklęte wiatraki, pomiędzy którymi

znaleźliśmy dzisiaj ciało Rajmunda Kuleszy, stoją na polu należącym kiedyś do waszej rodziny?

– Wiem – przytaknęła. – Nie wiedziałam, że wy wiecie. Dla Niemca bezpieczniej na Pomorzu nie wspominać, że coś tutaj kiedyś należało do niego. Müller tego nie rozumie. Chce wszystko odzyskać. A nawet więcej.

Zamilkła i zapatrzyła się na rękę Krzyckiego rysującą coś na pustej kartce papieru, jednej z tych, co pozostały po Maciusiu Plohu. Ta ręka najpierw zakresliła trzy zachodzące na siebie wybrzuszenia, na wzór dzieci rysujących góry, po czym na każdym z nich dorysowała pokraczne słupy z wirującymi wiatraczkami na szczytach. Heike zrozumiała, że chodzi o pole z wiatrakami 3, 4 i 5, z którego przed chwilą uciekali. Następnie ręka zaczęła z mozołem rysować czwarty wiatrak, niski i gruby, wystający z za ostatniego pagórka.

– Popełniłem błąd – mruknął Krzycki do siebie.

Heike rzuciła Bałysiowi pytające spojrzenie, ponieważ uwaga padła po polsku.

– *Er hat Fehler gemacht* – szepnął konfidencjonalnie, po czym wrócił do swojej zabawy z tabletem.

Krzycki dalej gadał do siebie po polsku.

– Maciusiowi nie chodziło o trzy turbiny na środku pola. Nimi interesował się z innych powodów. Szumiały pod ziemią. Na tamtym rysunku z Białą Damą w ziemi chodziło o czwarty wiatrak, ten stary, którego już nie było. On go jakoś na swój sposób zobaczył.

Starsza pani tasowała w wyobraźni kamyczki swojej układanki. Jakiś Antoni Kulesza dostaje przydział na młyn starego Hechta, a później zostaje ojcem dziecka Gerdy. I znika. Gerda również znika. Zostaje dziecko, Anna Grohl, wychowywana przez obcych ludzi, która następnie ginie w wypadku drogowym spowodowanym przez Bolesława Siemczuka. Następnie stary Siemczuk, po długim i podłym życiu, popełnia samobójstwo, pisząc: „Zabiłem ją”. Co mu z przyznania się? I kogo właściwie zabił?

Nazwisko Siemczuka dostała od Rudolfa Mielkego jako wskazówkę, jednak do niczego jej nie doprowadziła, ponieważ stary nie chciał mówić. A teraz jeszcze ten Rajmund Kulesza, bratanek Antoniego, który leży na ich polu, bez głowy. Ziemia pełna trupów. Jej ukochane Pomorze.

– *Wahnsinn...* – szepnęła po niemiecku.

– Szaleństwo – przetłumaczył Lucek.

– Energia – dorzucił Andrzej i podsunął Heike pod nos swoje rysownicze dzieło z wielkim wykrzyknikiem nad kulfonem starego drewnianego wiatraka. – To co, jedziemy?

– Teraz też słyszysz szum energii, Andżej? – spytała.

Mocne, zgryźliwe. Jednak wstała, starając się nie okazywać wielkiego napięcia, jakie poderwało ją z krzesła. Krzycki również wstał.

– *Ein Moment* – powstrzymał ich Bałyś, unosząc dłoni. – Pani Liebner – zwrócił się do niej po niemiecku – wspominała pani, że ta von Schlieffen wyszła za Albrechta von dem Busschego, prawda? O nim też jest niewiele, ale ostatnio ktoś wrzucił skan jego pamiętników. Na początku podaje historię rodziny żony i mówi, że pochodziła z Prestow. Zamieścił również zdjęcia pałacu.

Szybko przetłumaczył swoje słowa na polski.

– No i? – spytał Krzycki, który też już wstał i chciał koniecznie ruszać na poszukiwania Kuckucksmühle. – Pałacu już nie ma, a miejsce po fundamentach zostało dokładnie przekopane przez Jensa Müllera i firmę Turbenax.

– Zobacz. – Lucek podsunął mu tablet pod sam nos. – To nie jest ten pałac.

Heike i Andrzej pochyłili się nad ekranem. Lucek powiększył palcami obrazek. Na gruboziarnistej czarno-białej fotografii widniał piętrowy budynek nakryty stromym spadzistym dachem, a od prawej strony przylegał do niego pod kątem prostym drugi, parterowy, z dachem mansardowym. Na powstałym między nimi prostokącie znajdował się duży dziedziniec z półkolistym wejściem do pałacyku i kilkoma świeżo

posadzonymi drzewami. W dół od niego łagodnymi uskokami schodziły tarasy, zakończone po obu stronach rzędami wąskich schodów. Teren wyglądał na świeżo zagospodarowany i przylegał bezpośrednio do ciemnej ściany lasu.

– Byłem w parku pałacowym Schlieffenów i widziałem roboty firmy Turbenax – ciągnął Lucek dumnym głosem. – Tam wszędzie jest płasko, a zaraz za parkiem zaczynają się podmokłe łąki. Tu widać dom na wzgórzu. Z tyłu za nim jest ciemna ściana lasu, obok jakby wypłaszczenie. Wiecie, gdzie to może być?

Andrzej pokręcił głową, ale Heike Liebner wodziła palcem nad ekranikiem, przyglądając się poszczególnym fragmentom ziarnistego obrazu. Na pytanie Bałysia odpowiedziała zamyślonym skinieniem głowy.

– Niedaleko stąd – szepnęła. – Letnia rezydencja von Schlieffenów. Mam nadzieję, że Jens jeszcze o niej nie wie...

– Ktoś to wrzucił niedawno, dziesięć dni temu – stwierdził Lucek. – Jeśli facet nie robi researchu na bieżąco, to mogło mu umknąć. Nikt o nim nie wiedział? Nawet wy, Niemcy, którzy wiecie wszystko?

Heike Liebner wzruszyła ramionami. Krzycki znowu stał przy drzwiach szopy z ręką na skoblu.

– To gdzie najpierw? – spytał.

– Ty jesteś szefem – odparł Bałys. – Ja tu tylko klikam.

– Kuckucksmühle – zarządziła Heike Liebner.

To ona była szefową.

5

Dotarli na miejsce nie bez trudności. Droga, która kiedyś wiodła tutaj z Przystawna i którą latem czterdziestego piątego Antek Kulesza z przydziałem na Kukułczy Młyn w kieszeni przyjechał bryczką do Gerdy, już nie istniała. Znikła wśród gęstych zarośli samosiejki panoszącej się bezkarnie na terenie dawno przez nikogo nieodwiedzanym. Podobnie jak

w przypadku Maciusiowego pola z wiatrakami i tu prawa topografii nie chciały normalnie działać. Krzycki objechał całą okolicę dwa razy, obmacując wzrokiem ścianę lasu i szukając choćby wąskiego prześwitu, przez który mogliby wniknąć w głąb.

– To musi być gdzieś tutaj – mówiła Heike Liebner, pokazując palcem lesisty pagórek. – Powinien być skręt.

Skrętu nie było. Jechali dalej, aż do pierwszych zabudowań Przystawna, odbijali w lewo i tłukąc się po kamienistych drózkach, dojeżdżali do wielkiej kałuży albo zwalonego pnia, gdzie musieli zawrócić. Znowu byli na szosie, skręcali w następną drózkę i ponownie spotykało ich to samo. Wreszcie wysiedli – prosto w błoto. Hadczuk brzydsko zaklął, wycierając podeszwy o kępki suchej trawy. Lucek przeciągał się jak turysta na wycieczce.

– To musi być gdzieś tutaj – powtórzyła Heike, zwracając swój długi, ostry nos we wszystkie strony. Jej czarne oczy błyszczały z podniecenia, a podbródek lekko drżał. Była już tak blisko! Na wyciągnięcie ręki. Koło prawie się domykało, zostało kilka ostatnich kroków. Po całym życiu bezowocnych poszukiwań musiało to wytrącać z równowagi nawet kogoś tak odpornego jak ona.

– Chodźmy tam – powiedziała wreszcie i nie oglądając się na nich, ruszyła przed siebie skrajem rozmokłej łąki. Po chwili podniosła z ziemi sękaty kij, przymierzyła do dłoni i podpierając się nim, poszła rażno dalej.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– To co, wyciągać łopatę? – spytał Rysiek, który już kompletnie nic z tych peregrynacji nie rozumiał, skupił się więc na technicznych szczegółach, na przykład na tym, żeby z obejścia Zofii Ploh zabrać łopatę, ponieważ swoje porzucili na polu bitwy. Liczył, że konkret mu pomoże. Cały czas kołatał się w nim dramatyczny niepokój, że właśnie wyleciał z pracy i przechlapał emeryturę. Zostanie wybieranie jaj z kurnika – lisi los.

Na końcu łąki Heike Liebner skręciła w las i po parudziesięciu krokach znalazła wśród gałęzi lukę, którą z sobie tylko wiadomych powodów uznała za ślad po dawnej ścieżce. Wahala się jedynie kilka sekund, po czym weszła

między drzewa. Andrzej z zaciekawieniem obserwował, jak jej marsz staje się coraz bardziej zdecydowany, pewny siebie, pozbawiony wątpliwości – jakby wiodło ją oczywiste przecucie. Energia, pomyślał, szczerząc zęby do siebie. Pomorska odmiana jogi policyjnej.

Las wiódł pod górę, potem w dół i znowu trochę pod górę, a kiedy wydostali się na łąki po drugiej stronie wzniesienia, zobaczyli przed sobą rozległy widok na dolinę wypełnioną gęstym kożuchem mgły. Płynęła jak dym z ogniska, leniwie i obojętnie. Ponad nią wystawały dalekie śmigła wiatraków i Andrzej uświadomił sobie, że to te same, spod których niedawno uciekli. Obracały się wolno, po pas zanurzone w szarej wacie. Gdzieś tam w jej głębi drużyna komendanta Zdybasa próbowała zaprowadzić porządek wśród agresywnego chłopstwa. Blisko. Wszystko tu było blisko i nachodziło na siebie, łączyło się, szczepiało ze sobą w jedno kłębowisko powiązanych zdarzeń.

Na zrudziałej łące dwadzieścia metrów przed nimi stała sarna. Skubała suchą trawę. Na ich widok podniosła łeb i patrzyła spokojnie, jakby na nich czekała. Kiedy Heike zrobiła parę kroków w jej stronę, zwierzę powoli odwróciło się tyłem i odbiegło kawałek. Zatrzymało się pięćdziesiąt metrów dalej i znowu patrzyło. Heike poszła za nim.

Trzej policjanci patrzyli na ten dziwny tandem.

– Idziemy? – spytał ostrożnie Hadczuk.

Andrzej z fascynacją obserwował interakcję pomiędzy sarną i Heike Liebner.

– Jasne, że idziemy. Tego jeszcze w tej sztuce nie grali.

Sarna przeprowadziła ich przez płytką dolinę i dwa wzniesienia, po czym zatrzymała się na niewielkim płaskowyżu i czekała, aż kobieta do niej podejdzie. Przez chwilę mierzyły się wzrokiem. Heike wyciągnęła rękę, a wtedy zwierzę parsknęło cicho i kilkoma susami znikło w pobliskim lesie.

Heike ocknęła się jak ze snu i rozejrzała wkoło, mrużąc oczy.

– To tu – powiedziała.

Znajdowali się na środku nieużytku pokrytego płataniną przegniłych roślin po niekoszonej trawie. Gdzieniedzie sterczały w górę zaschłe badyle, jak szponiaste palce ofiar domagających się sprawiedliwości za swoje krzywdy. Cypel lasu, w którym zniknęła ich przewodniczka, zachodził zakosem na łagodnie opadającą łąkę. Dookoła rozciągały się puste pola, na zasnutym mgłą horyzoncie nie było widać żadnego elementu cywilizacji. Sama natura, przepuszczona przez mleczny filtr. Dmuchał wiatr i suche badyle zaszeleściły. Krótco, nerwowo, a po paru sekundach znowu zapadła cisza.

I wtedy Heike wykonała gest, który Andrzej w innych okolicznościach mógłby potraktować jak szyderczą parodię jego samego albo udatną imitację ulubionej rozrywki Maćka Ploha. Uklękła i przytknęła ucho do ziemi. Z rękami po obu stronach siwej głowy i wypiętymi pośladkami wyglądała jak człowiek pierwotny oddający cześć bóstwu. Wstrzymali oddechy, jakby słuchali razem z nią.

– Dobrze się pani czuje? – spytał w końcu ostrożnie Andrzej, podchodząc bliżej.

Sądził, że zobaczy kobietę półprzytomną z żalu i wzruszenia, może nawet trochę obłąkaną, tymczasem ku jego zdziwieniu Heike Liebner miała otwarte oczy i patrzyła uważnie.

– *There is something here, really* – powiedziała. – Tu naprawdę coś jest.

– Ale tu nic nie ma – odparł Krzycki i na dowód tego kopnął butem kępę zmurszałej trawy. Kopnął i natychmiast skrzywił się z bólu, ponieważ natrafił na kamień. Pochylił się i rozgarnął rękami resztki roślin. Pod spodem tkwił w ziemi kawałek cegły. Czubkiem buta rozgrzebał trochę trawy i znalazł jeszcze dwa inne czerwone ułamki.

– Rysiek, dawaj z tą łopata! – zawołał.

Pomógł wstać Heike Liebner i zaczęli kopać na zmianę. Kiedy jeden się zmęczył, szpadel przejmował drugi. Ziemia była miękka, błotnista, niezmarznięta. Za którymś razem ostrze chrupnęło, trąc o deskę. Akurat kopął Lucek. Rzucił łopatę i wyskoczył z jamy.

– Trumna! – zakrzyknął.

– Sam jesteś trumna – odparł Hadczuk, biorąc się do kopania. – Lepiej poszukaj latarki.

Lucek sięgnął do plecaka. Z napięciem czekali na odsłonięcie drewnianej konstrukcji, którą okazała się prostokątna kłapa od wjazdu. Miała solidną żeliwną ramę i była dobrze nasączona impregnatami, dlatego przetrwała przez te wszystkie lata. Rysiek z trudem podważył ją łopata na tyle, by dało się pod nią zajrzeć. Andrzej bezceremonialnie odebrał Luckowi latarkę i przyklęknął nad otworem. Spod uchylonych desek buchnął kłęb zatechłego, ciepłego powietrza i odór czegoś kwaśnego, czego nie umiał zidentyfikować. Mimo światła latarki otchłań pod kłapą była nadal ciemna i jakby się poruszała. Nagle poczuł, jak kościste ręce odpychają go na bok.

– *Please, be careful because of...* – zaczął, ale nie dokończył, dlaczego Heike Liebner ma zachować ostrożność.

Zresztą, nie miało sensu ostrzeżenie pod adresem kobiety, która całe życie strawiła na poszukiwaniu czegoś, co, jak sądziła, właśnie znaleźli. Odepchnęła go, wrywając mu z rąk latarkę. Pochyliła się i poświeciła do środka, a z jej piersi dobył się jęk. Widząc, że kobieta zsuwa się niebezpiecznie po błotnistej pochyłości, Krzycki schwycił ją za ramię. Szarpnęła się. Później wielokrotnie odtwarzał w pamięci ten moment i utwierdzał się w przekonaniu, że na znikającej pod ziemią twarzy Heike Liebner malował się wyraz błęgiego spełnienia. Czy naprawdę uwierzyła, że odnalazła ukochaną siostrę? Czy tylko w obliczu śmierci siłą woli chciała wymusić takie zakończenie? Ostatecznie nie miało to większego znaczenia.

– Ona tu jest – wyszeptała po niemiecku. – Gerda...

Wtedy wydarzyły się trzy rzeczy naraz. Heike Liebner odepchnęła ramieniem kłapę, a gdy jej kolana ujechały na gliniastym podłożu, machnęła ręką, żeby się czegoś uchwycić. Andrzej zdążył złapać jej nadgarstek, a wtedy ona drugą ręką chwyciła kłapę i pociągnęła ją w dół. Żeliwne okucie spadło na nich oboje. Poczuł wściekły ból w przedramieniu i poluźnił uchwyt. To wystarczyło. Ciało kobiety zwinnie okręciło się wokół własnej osi i bezszelestnie znikło w otworze. Z grymasem

przerażenia i szczęścia Heike Liebner krzyknęła: „Gerda!” i zapadła się pod ziemię. Klapa z hukiem opadła, zanim którykolwiek z nich zdążył zareagować. Zapanowała złowroga cisza.

Krzycki chciał krzyknąć do Lucka i zmartwiał. W potylicę Bałysia z pistoletu mierzył jakiś człowiek. Nie było czasu sięgać po broń. Andrzej wziął garść lepkiej gliny i rzucił w twarz napastnika. Tamten uchylił się, a wtedy Lucek zgiął się wpół i w ciemno z półobrotu wymierzył cios za siebie. Trafił w podudzie i mężczyzna runął jak długi. Andrzej właśnie wyciągał pistolet, gdy zza jego pleców padł strzał. Rzucił się, by zasłonić Lucka, który pośliznął się przy wstawaniu i leżał utyłany w błocie jak nieboskie stworzenie. Obok niego klęczał Rysiek z dziwną miną.

– Andrzej... – wystękał.

Krzycki nie miał czasu. Obrócił się na pięcie i wymierzył w stronę, skąd przed sekundą padł strzał.

– Andrzej...

Po drugiej stronie dołu stał Jens Müller z pistoletem i jeszcze jeden człowiek, obaj z rękami uniesionymi wysoko nad głowę. Trzech policjantów z ekipy Zdybasa trzymało ich na muszce, dwóch innych zakładało napastnikom kajdanki. Ostatni z drużyny słupskich antyterrorystów pochylał się nad rzeżącym Hadczukiem. Sam komendant dopiero nadbiegał polem, sapiąc z wysiłku.

– Lucek, w porządku? – spytał Andrzej.

Lucek nie zwracał na niego uwagi. Ukląkł przy Hadczuku i zaczął go bić otwartą dłonią po policzku.

– Rysiek, hej, nie zasypiaj. Rysiu, tu jesteśmy. Rysiek!

Jego akcję zagłuszał piskliwy głos komendanta Zdybasa.

– Co tu się wyprawia?! Ja was wszystkich zapudłuję do końca życia! Policja, kurwa ich mać! Z Krakowa przyjechali i jakąś mi tu wawelską manianę odpierdzielają! Wstawać! Brać ich! Aresztować!

Wyglądało jednak na to, że nikt go nie słucha.

Andrzej dopiero teraz zrozumiał, że Rysiek umiera. Kula weszła w pierś tuż pod mostkiem. Oczy Hadczuka mętniały, jakby ta pomorska mgła zagarniała go od środka.

– Andrze... – próbował mówić. Z kącików ust pociekła mu strużka krwi.

– Cicho, nic nie mów – uspokajał go Krzycki. Ostrożnie naciskał klatkę piersiową, starając się omijać dziurę po kuli, podczas gdy Lucek robił sztuczne oddychanie. Po paru próbach zrezygnowali. Rysiek leżał nieruchomo.

– On mnie zasłonił – powiedział zdyszany Lucek. – Akurat się podnosiłem i ten facet – pokazał na Jensa Müllera – wymierzył we mnie. Rysiek znalazł się między nami dokładnie w momencie strzału. Wiesz, wyglądał, jakby... obliczał ruch. Żeby trafić w ten moment.

Nagle kocim ruchem skoczył między policjantów pilnujących Müllera. Trzema uderzeniami pięści zmasakrował Niemca. Kiedy policjanci powalili Lucka w błoto, przyciśnięty do ziemi charczał jeszcze przekleństwa. Komendant Zdybas pochyłał się nad nim i wykrzykiwał piskliwym głosem straszliwe groźby.

Andrzej klęczał przy martwym Ryśku. Ścisnął jego wielką i nieładną chłopską dłoń, która szybko stygła na chłodzie. Mógł mu nie mówić o tej ciąży Dominiki.

Jeden z policjantów zastukał ciężkimi butami na drewnianej klapie i wtedy Krzycki uświadomił sobie, że to przecież nie koniec. Nigdy nie jest koniec. Przeszedł na czworakach do wykopanego dołu i uniósł klapę. Zajrzał do środka. Buchnął ciepły smród. Widok był wstrząsający.

Heike Liebner leżała na wznak z rękami rozrzuconymi na boki i głową zwróconą w lewo. Obok niej, wtulona pod troskliwie uniesione ramię, błyszczała naga czaszka. Strzęp jasnego materiału przypomniał Andrzejowi opowieść o zielonej sukience z białym koronkowym kołnierzykiem. W świetle latarki obie twarze nabrały ostrych konturów. Siostry uśmiechały się do siebie straszliwym, nieziemskim już uśmiechem.

Po ciele Heike i wśród kości Gerdy pełzały węże. Było ich mnóstwo, kłębiły się i wiły leniwie, ciasnym węzłem oplatając intruza, który ośmielił

się zakłócić ich zimowy sen.

– Co to jest, na Boga... – wyszeptał.

– Żmija zygzakowata – odparł Krzysztof Zdybas, który to akurat wiedział. – Pełno ich tutaj. Nie lubią, jak się je drażni.

XIII

Skarb von Schlieffenów

luty 2018

1

Podziemną jamę oczyściła ze żmij zygzakowatych dwójka sympatycznych biologów z Akademii Pomorskiej w Słupsku. Profesjonalnie ubrani i odpowiednio zabezpieczeni spuścili się na linie do jadowitej otchłani i po rozpyleniu środków odurzających pozbiali gady do klatek. Dopiero po ich wyjściu można było wydobyć pokryte ukąszeniami ciało Heike Liebner. Podczas późniejszej obdukcji lekarz stwierdził, że umierała nieprzytomna, ponieważ przy upadku doznała zerwania rdzenia kręgowego.

Do młodej pani doktor z Katedry Biologii Eksperymentalnej od razu uderzył Krzycki. Pogratulował jej odwagi i znakomitej terratologicznej wiedzy. Następnie odprowadził ją na stronę, by udzielić dyskretnie paru fachowych porad w kwestii obchodzenia się z kościotrupami. Zapewniał, że jako bywalec nocnych imprez na cmentarzu ma w tej materii spore doświadczenie. Pani doktor reagowała na karesy inspektora z promiennym uśmiechem, jakby przyjechali nad morze poromansować. Po jej wyjściu z jamy chwilę wymieniali między sobą uwagi. Lucek patrzył na to z mieszaniną niechęci i zażenowania. Tu śmierć, jedna i druga, a ten flirtuje.

Kościotrup w jamie istotnie miał na sobie zetłałe resztki wełnianej sukienki w kolorze zielonym, z koronkowym kołnierzykiem pod szyją. Na kostce palca prawej ręki znaleziono duży złoty pierścień ze szmaragdem, na którego odwrocie wygrawerowany był herb von Schlieffenów: tarcza

przecięta na pół, w górnej części popiersie gryfa pomorskiego, w dolnej – brodatego feudała.

Z piwniczki pod dawnym Kukułczym Młynem wydobyto również szczątki mężczyzny oraz psa. Materiał genetyczny kobiecych szczątków porównano z DNA Heike Liebner. Okazał się identyczny. Heike w końcu odnalazła siostrę. Na wyraźne żądanie inspektora Krzyckiego porównano także DNA mężczyzny z materiałem pobranym z bezgłowego korpusu Rajmunda Kuleszy. I te okazały się identyczne w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, z czego już łatwo było wysnuć wniosek, że wraz z Gerdą pod Kukułczym Młynem pochowany został Antoni Kulesza.

Dla dopełnienia informacji Krzycki i Bałyś żądali jeszcze porównania jego DNA oraz Uli Miłęckiej, co spotkało się z nie całkiem zrozumiałym oporem słupskiego komendanta.

– Po co rozgrzebywać? – pytał, rozkładając ręce. – Stare dzieje, nikt do tego nie chce wracać. Ludzie żyją, pracują, wychowują dzieci i chcą mieć spokój. Wyciąganie trupów spod ziemi to paranoja.

– Bo jeszcze mogłoby się okazać, że te trupy nadal mówią – dokończył Krzycki.

– I pokazują palcem na żywych – dorzucił Bałyś.

– Otóż to, otóż to! – skwapliwie przytaknął Zdybas. – Jak zaczniesz wyciągać, to wyłażą na wierzch jeden za drugim i oskarżają, sądzą, domagają się jakiejś urojonej sprawiedliwości. Pieprzony łańcuszek krzywd. My nie jesteśmy od naprawiania historii, tylko od porządku publicznego.

– Jak widać, nie da się całkiem oddzielić jednego od drugiego – zauważył Andrzej.

– Tak, właśnie! A moi ludzie giną. Cały Wydział Kryminalny muszę zbudować od nowa!

Zdybas wykrzykiwał swoje racje takim tonem, jakby rozwiązanie trudnej zagadki rodziny Liebnerów głównie jemu skomplikowało życie. Faktycznie, trochę mu się pokomplikowało. Po śmierci komisarza

Hadczyka zwolnił się z pracy w policji ostatni z sympatycznej trójki ślupskich śledczych, sierżant Łukasz Latawiec. Podobno założył ze szwagrem kurzą fermę i nie chce mieć więcej do czynienia z wymiarem sprawiedliwości. Krzycki uznał, że te kury to nawet ładny gest na cześć Ryśka.

– To co, chyba koniec? – rzucił Zdybas podsumowująco.

Było zrozumiałe, że dążył do jak najszybszego zamknięcia sprawy. Aresztowanie Jensa Müllera jako podejrzanego o zabójstwo komisarza Hadczyka dawało komendantowi szansę wykręcenia się od odpowiedzialności za współpracę z Niemcem. Swoje działania mógł teraz przedstawić w oficjalnym raporcie jako głęboką prowokację połączoną z inwigilowaniem podejrzanego inicjatywy cudzoziemców z firmy Turbenax. Pojawienie się czwórki poszukiwaczy Gerdy Liebner na dawnym wiatrakowisku Hechta pozwoliło mu wyjaśnić również swoją tam obecność. Jak to ujął w raporcie, brygada antyterrorystyczna zabezpieczała działania komisarza Hadczyka i śledczych krakowskich. Niestety, wkroczyła do akcji zbyt późno i nie zdołała zapobiec tragedii. Pewien w tym udział miał śmiertelny wypadek Heike Liebner, który nastąpił wskutek jej nieodpowiedzialnego postępowania, podszytego silnymi rodzinnymi emocjami.

Starcie z mieszkańcami Grębówka pod wodzą księdza Patkula było wypadkiem przy pracy. Policjanci omyłkowo wzięli pielgrzymów za agresywnych poszukiwaczy skarbów, gdy ksiądz Patkul prowadził wiernych na procesję wokół pól w intencji Matki Boskiej Gromnicznej, do której gospodarze apelowali o lepsze zbiory w nadchodzącym roku. Nie precyzowali, czy chodzi o rośliny, czy zawartość ukrytych po polach jam i piwniczek. Testamentu Zofii Ploh nie trzeba było podmieniać, ponieważ ona sama poczyniła zapis, na podstawie którego podarowana jej przez Kulika ziemia po jej śmierci przechodzi w połowie na Kościół, a w połowie na krewnych zstępnym Kulika. To rozwiązanie zadowalało wszystkich żywych. Zmarłych nie pytano o zdanie.

Pułapkę w domu Palków ślupska policja zastawiła również na Müllera, a wypadek ciężarówki został w raporcie całkowicie pominięty. Dokumenty nieszczęsnego Mirosława Borowiaka zostały zwrócone przez Krzyckiego bez słowa wyjaśnienia.

Za zabójstwo Zofii Ploh aresztowano niejakiego Stefana Kotulasa, recydywistę, który po wyjściu z więzienia miał się różnych podejrzanych zajęć, z rabunkami włącznie, i właśnie taki motyw przypisano mu w akcie oskarżenia. Rzeczywiście, na miejscu zbrodni znaleziono jego odciski palców, także na esesmańskim nożu, który trzymała w ręku Heike Liebner w chwili zatrzymania. Zasługę za złapanie Kotulasa przypisał sobie prokurator Wiktor Trębacki, który wskutek żmudnego śledztwa samodzielnie odkrył sprawcę i następnie zmusił go do przyznania się. Kotulas opowiedział, jak wiedziony żądzą zysku i za podszeptem swojej konkubiny poszedł do Plohowej po klucz od skarbu, bo taką historjkę usłyszał nad piwem w barze. Pod wpływem gróźb zaprowadziła go na pole i pokazała na ziemię, mówiąc: „Tu masz klucz”. Wtedy wściekł się i zadźgał ją nożem, który dostał od ojca. Tak twierdził. Ani słowem nie pisał o tym, że został wynajęty przez Müllera i Trębackiego, ani że chciał zrobić w morderstwo Heike Liebner. Trzeba powiedzieć, że pan prokurator był niezwykle skuteczny. Zeznania podejrzanego na temat współpracy z Trębackim i jego współnikami z góry zostały rozbrojone jako część głębokiej prowokacji przeciwko Niemcom z Turbenaxu. Morderca działał sam i pod wpływem nagłego impulsu.

Plotka głosiła, że Kotulas był nieślubnym synem Bolesława Siemczuka.

Krótko mówiąc, prawda protokolarska znowu górowała nad faktami.

Krzycki pogodził się z tymi kręactwami, ponieważ i jemu było na rękę przemilczenie pewnych rzeczy. Gdyby zaczął prostować fakty, miałby problemy z wytłumaczeniem niektórych z nich. Zdybas doskonale o tym wiedział. On z kolei miałby problem z wytłumaczeniem na przykład podsłuchów zakładanych podwładnemu z Wydziału Kryminalnego. Śmierć Hadczuka w jakimś sensie mu pasowała.

Tym protokołem robili *deal*, dlatego Zdybas tak natarczywie dopytywał się Krzyckiego, czy również według niego to jest koniec.

– Tak, chyba tak – przytaknął Andrzej. – To już koniec.

Zdybas musiał jeszcze zadzwonić do Byczkiewicza i przekazać, że wszystko jest w porządku. W przeciwnym razie ich dowódca gotów był znowu wsiąść w samochód i przyjechać tu prosto z Mogilskiej, żeby robić regulaminowe awantury i potrząsać swoją kulturystyczną pięścią.

– Aha, jeszcze jedno. – Krzycki odwrócił się pod drzwiami gabinetu, z którego wychodził, nie podając ręki Zdybasowi. – Proszę mi oddać ten klucz.

– Jaki klucz? – zdziwił się komendant.

– Ten, który znaleźliście przy Jensie Müllerze.

Szef komendy słupskiej roześmiał się skrzekliwie.

– Jednak, panie Andrzeju, zawiodłem się na pańskiej inteligencji. Tam nie było żadnego klucza. Bo nie ma żadnego skarbu von Schlieffenów i ten pierścionek, który miała na palcu Gerda Liebner, to raczej wszystko.

– A co miał Müller?

– Stare zdjęcie z niemieckim napisem na odwrocie. Odcyfrowaliśmy go, to chyba jakiś cytat, nasi technicy próbują go zidentyfikować. Pan, zdaje się, lubi literaturę, to może pan będzie wiedział. Choć obawiam się, że sprawa jest bez znaczenia.

Wyciągnął z szuflady podniszczony kartonik z zagiętymi narożnikami i podał Andrzejowi, a ten natychmiast podszedł do kserokopiarki i sprawnie skopiował obie strony. Kartki poskładał i schował do kieszeni.

– Mogę, правда? – spytał po wszystkim Zdybasa, który gryzł wąsa. – A Kotulas?

– Co Kotulas?

– No właśnie. Co miał przy sobie Kotulas?

Chwilę mierzyli się wzrokiem, ale komendant Zdybas miał wobec Krzyckiego zbyt wiele na sumieniu, by spokojnie wytrzymać jego wzrok.

– Nic – odparł i natychmiast spuścił oczy.

Kiedy je podniósł, inspektor wychodził już z gabinetu.

Krzycki szedł korytarzem komendy i myślał sobie, że Zdybas albo jest głupcem, albo jego usiłował potraktować jak głupka, co w zasadzie na jedno wychodzi. Gdyby ten kartonik nic nie znaczył, nie zabijaliby się dla niego i nie ryli całego parku wokół pałacu von Schlieffenów.

Lucek czekał na niego w holu.

– Dzwoniłeś do Dominiki? – spytał Andrzej surowo.

– Tak. Trochę się wściekała i nazwała nas dwoma zbolałymi wentylami od motoroweru. Miała rację. I jak, ustaliliście coś?

– W zasadzie wszystko.

– Czyli co, koniec?

– No.

Wyszli na parking z tyłu budynku, gdzie stało ich białe volvo. Nikt w komendzie ich nie witał ani nie żegnał, jakby ich tu w ogóle nie było. Niewykluczone, że tak właśnie wyglądało zbiorowe marzenie tutejszej policji – żeby ci dwaj po prostu zniknęli.

Wsiedli do samochodu i podjechali pod szlaban, który wartownik otworzył, nie patrząc na nich. Kiedy włączyli się do ruchu na ulicy Sobieskiego, Lucek szukał odpowiedniego programu w radiu, natomiast Andrzej już miał w sobie jakąś swoją melodię i wystukiwał jej rytm palcami na kierownicy. A swoją myśl wypowiedział głośno:

– Pamiętaj, młody, nigdy nie jest koniec.

2

Na leśnym parkingu panowała cisza. Jedynym dźwiękiem wpadającym do kabiny samochodu przez uchyloną szybę było kapanie kropel z drzew. Pac, pac, pac. Lucek oddał Andrzejowi kartki ksero i odłożył tablet na kolana.

– Ten szczupły mężczyzna na zdjęciu faktycznie przypomina trochę Alexandra von Schlieffena. W albumie jest znacznie młodszy i bez zarostu,

ale to może być on. Tekst znalazłem w sieci, to oczywiście *Malte* Rilkego. Tylko jak i do czego miałby być kluczem? Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Skoro *Malte*, to szukaj – odparł Andrzej, podając mu sfatygowany i trochę zawilgocony tom w płóciennej oprawie.

Zdębiały Lucek ostrożnie rozłożył sztywne okładki i przyglądał się drobnemu drukowi gotycką czcionką. Papier pachniał pleśnią i rozkładem.

– Skąd to masz? – spytał drżącym głosem i natychmiast sobie odpowiedział: – To ta biolożka, prawda?

– Uhm. Kobieta i wąż to bardzo atrakcyjne połączenie. Już w Biblii o tym pisali.

Bałysiowi natychmiast stanęło przed oczami, jak Andrzej bajeruje sympatyczną panią doktor w okularach i jak oddalają się na stronę. Był wtedy zbulwersowany, że jego przyjaciel nawet w takiej chwili flirtuje. Teraz zobaczył to inaczej.

– Co jeszcze ci wyniosła z grobowca Liebnerówien?

– To.

Podał mu szmaciane zawiniątko o prostokątnym kształcie. W środku był szary zeszyt. Lucek zaraz na pierwszej stronie przeczytał: „Gerda Liebner, Pamiętnik”, odcyfrował parę zdań, przewrócił kilka kartek i wreszcie zajrzał na koniec. Pismo było drobniejsze, gorzej czytelne. Po chwili zamknął i bąknął głuchym głosem:

– Nie chcę tego czytać. Po co mi to wszystko pokazujesz?

– Otwórz książkę na stronie 107.

Lucek wykonał polecenie i aż westchnął z wrażenia. Na środku strony w papierze został wycięty otwór w kształcie krzyża, a w nim tkwił dokładnie dopasowany do zagłębienia złoty klucz. Szczelna przykrywka z kartek powieści oraz doskonała izolacja spowodowały, że nie stracił swego świetlistego połysku i wyglądał, jakby naprawdę był ze złota.

– Myślisz, że to naprawdę to?

– Tak. Masz gdzieś to zdjęcie drugiego pałacu von Schlieffenów? Bo Heike już nam nie powie.

Lucek skinął głową. Pochylili się nad szarym obrazkiem, przesuwając kursorem w prawo i w lewo. Miejsce wyglądało na bardzo malownicze i ze wspaniałymi widokami, chociaż nie było ich widać, ponieważ fotograf szukał dobrego ujęcia posiadłości, a nie okolicy.

– On sam również stoi na podwyższeniu, zobacz. – Bałyś pokazał na schody opadające po obu stronach tarasu. – Te stopnie są ze dwadzieścia metrów niżej. Wdrapał się na pagórek albo wieżę obserwacyjną, żeby mieć lepszy kadr. Kojarzysz coś takiego? Ona powiedziała, że to niedaleko. Rozumiem, że niedaleko od Przystawna. Ale w którą stronę? Popatrz, to inne zdjęcie z tego albumu, na sąsiedniej stronie, podpisane: „Widok na dolinę Wieprzy”. Ujęcie również z góry, więc założmy, że to ten sam autor i ta sama sytuacja. Zlecono mu sfotografowanie nowego pałacu, ponieważ właśnie zakończyły się roboty wokół posesji, posadzono nowe drzewa. Spójrz na te chude pniaczki na dziedzińcu. Wyplantowano tarasy, dorobiono schodki, posiano trawkę...

– Trawki jeszcze nie ma.

– Nieważne. Widzisz to? Facet z aparatem drapie się na pagór, dyszy ze zmęczenia i przysiada na chwilę, żeby odsapnąć. Przymierza aparat do oka, potem odkłada i odwraca się w drugą stronę, bo tu za mocne światło. Patrz, front pałacu jest jasno oświetlony zachodzącym słońcem. Na tym drugim zdjęciu drzewa również rzucają długi, popołudniowy cień.

– Skąd wiesz, że zachodzi, a nie wschodzi?

– Bo jest lato, drzewa mają syte liście. Gdyby chodziło o wschód, musiałyby być chyba szósta rano. Kto o szóstej rano przyjeżdża do pałacu robić zdjęcia?

– Skąd wiesz, o której się przyjeżdża do pałacu? Przyjeżdżałeś kiedyś?

– Andrzej, kurdeee!

– No dobra, masz rację, popołudnie. I co?

– Przyjrzyj się tej dolinie z rzeczką. Tu dołem idzie jakaś droga. Gdzie to jest?

Krzycki pochylił się nad tabletem. Palcami powiększał i pomniejszał obraz, zmieniając perspektywę. Lucek jeszcze raz spróbował go naprowadzić.

– Jeśli fotograf stoi na pagórku i ma przed sobą tarasy, lekko po skosie w dół z prawej strony, schodzą do jakiegoś celu. Droga, ścieżka w parku, pomost nad jeziorem, w każdym razie coś, do czego się schodzi na spacer.

– Jezioro odpada, bo wzgórze z fotografem musiałyby być na wodzie – ocenił Andrzej. – Nie ma tu niczego takiego. Czyli droga albo ścieżka w parku. On się odwraca mocno w lewo i widzi dolinę z rzeczką. U stóp wzgórza idzie droga. Za plecami ma południe, na lewym policzku zachód, na prawym, od wschodu, front pałacu. Niskie łąki z zaroślami na środku... Jedziemy!

Zawrócili na ścieżce i wyjechali na przestawieńską szosę. Minęli wieś i ogrodzony blaszanym płotem park pałacowy, z którego wszystkie maszyny znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wjechali na krętą leśną szosę. Wiła się lekko pod górę, zostawiając po lewej stronie opadającą ku dolinie skarpe. W połowie lasu Andrzej skręcił na przydrożny placyk wypełniony ściętym drzewem. Kiedyś wyłożony bitym kamieniem, teraz został dokumentnie rozjeżdżony przez ciężarówki i zryty koleinami z gnijącą wodą. Wysiedli i rozejrzeli się dokoła. Wszędzie był las.

– Piękna dupa – skwitował Bałyś.

– To było osiemdziesiąt lat temu. Te drzewa miały prawo wyrosnąć. Wyobraź sobie, że ich nie ma. Widzisz to?

Lucek rozejrzał się i nie bardzo widział cokolwiek oprócz smutnych, ociekających wilgocią pni. Niemniej za plecami faktycznie mieli dosyć strome wzniesienie, a przed sobą łagodne leśne zbocze z mocno mieszaną roślinnością i gęstwiną krzewów. W prawo odchodziła leśna ścieżka, po lewej szła szosa. Wdrapali się na pagórek i poszukali dogodnej pozycji z widokiem na północ. Lucek oparł tablet o pień świerka. Spojrzeli po sobie.

– Jest.. – westchnął Lucek.

Wkrótce mina mu zrzędła, kiedy przymierzył obrazek z pałacem. Na fotografii widniała wspaniała rezydencja z dziedzińcem i tarasami, podczas gdy przed sobą mieli gęsty zagajnik, miejscami tylko przetykany wysokimi świerkami. Jedyne, co się zgadzało, to ukształtowanie terenu. Zbocze łagodnie podchodziło do góry od zachodu.

– Macie mocne buty, żołnierzu? – spytał Krzycki, spoglądając na swoje ubłocone adidasy. – Przed nami kolejna praca w terenie.

Zanim zeszli z pagórka, dokładnie zapamiętali sobie rozkład schodów na obrzeżach tarasowych uskoków. Zrobili zakład: kto pierwszy znajdzie kamienny stopień, ten bierze cały skarb von Schlieffenów. Drugi dostaje tylko jeden klejnot, ale za to największy.

– A jak tam jest Różowa Pantera? – dywagował Lucek. – Może ją gdzieś odkupili na aukcji albo ukradli z wystawy w Londynie. Ja bym nawet wolał przegrać zakład, byle go mieć. Byłbym królem świata, a ty tylko zwykłym handlarzem antykami. Nareszcie wolny!

– Co to jest Różowa Pantera? – spytał Andrzej i na tym dywagacje komisarza Bałysia o wolności i bogactwie się skończyły.

A jednak pierwszy w kamienny stopień kopnął Andrzej. Rozdzielili się i właśnie podchodzili zagajnikiem po dwóch stronach wypłaszczenia, kiedy kopnął i syknął z bólu, ponieważ trafił w ten sam duży palec u nogi, który uraził sobie, kopiąc w cegłę z Kukułczego Młyna. Odgarnął podszwawę zgniłe liście i jego oczom ukazał się próg ułożony z równiutko dopasowanych kamieni. Wyżej był następny. I kolejny. Zawołał Lucka i dalej już razem wstępowali na podwyższenie. Dziedzińca z klombem pośrodku nie znaleźli, nie mówiąc o pałacowych budynkach. Zostały po nich w ziemi jedynie zmurszałe fragmenty betonowych fundamentów, popretykanych pędami drzew i krzewów, ponieważ natura postanowiła po latach odebrać, co do niej kiedyś należało. Andrzej potknął się o stłuczony kafel narożny z pieca i znowu syknął z bólu.

– Ja cię że nie przeździelę – szepnął Lucek. – Żeby aż tak zlikwidować pałac? Jak oni musieli tych Niemców nienawidzić.

– Mieli za co, żołnierzu. Widzisz te ogromniaste pnie? To te chude lipy ze zdjęcia.

Rzeczywiście, kilkanaście metrów przed fundamentem stały w równych odstępach trzy potężne lipy z rozłożystymi koronami, teraz pozbawione liści, co jeszcze podkreślało szlachetność ich kształtów. Po czwartej został jedynie spróchniały pień. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było żadnych innych lip, tylko te cztery, jak przegrane strażniczki, którym nie udało się upilnować powierzonych im pod opiekę dóbr.

– To gdzie teraz trzeba wsadzić ten złoty klucz? – spytał Lucek, rozglądając się po lesie. – Wszystkie dziuple wyglądają na puste, do wyboru, do koloru.

Andrzej nie podejmował głupich żartów Bałysia, całkowicie pochłonięty przeszukiwaniem popałacowego rumowiska. Znajdowali się poniżej poziomu gruntu, w prostokątnym dole, który kiedyś był prawdopodobnie piwnicą. Mury pałacu zostały rozebrane do zera, nie zostało z nich nic, co mogłoby wystawać choćby o centymetr nad ziemię. Cegłę pewnie wykorzystano jako materiał budowlany dla pobliskiego PGR-u, resztę wywieziono jako gruz do utwardzania dróg. Być może również parkingu leśnego, na którym zostawili samochód. W popękanych i porozsadzanych przez korzenie ścianach fundamentów tu i ówdzie wcinały się w głąb ziemi mroczne wnęki, na pół zasypane kruszywem i ściółką. Zwykle w takich miejscach ślady biwakowania i szczeniackich imprez z piwem i ogniskiem tutaj nie występowały. Ludzie unikali tego miejsca.

Z wyjątkiem jednego. Był to wąski korytarz wchodzący w głąb fundamentu i zagrodzony w połowie żeliwną kratą. Ktoś ją wyrwał, odsłaniając wejście do podziemnego tunelu. Korytarz nikał w mroku.

– Idziemy? – spytał Andrzej. Włączył latarkę i nie czekając na odpowiedź, ruszył przed siebie, oświetlając brudne ściany.

– Nie – odparł Lucek. – Boję się węży. Widziałem, do czego są zdolne.

– To żmije. Chodź, będziesz mi potrzebny. I zastaw tę kratę z powrotem. Wiesz, na wszelki wypadek.

Na końcu korytarz rozszerzał się w podłużne pomieszczenie. Dalej była ściana z cegieł. Ktoś okopcił ją płomieniem świecy, ktoś inny (a może ten sam?) napisał na niej imię ukochanej, jeszcze ktoś inny wyraził swoją opinię na ten temat, wypróżniając się w kącie. Na szczególne uznanie zasługiwał dowcipniś, który wyskrobał nożem na ceglach: KONIEC ŚWIATA. A pod spodem – jakby z lojalności wobec dawnych właścicieli – ENDE.

– Ciekawe. Miał na myśli geografię czy historię? – spytał Lucek, oglądając ścianę z zainteresowaniem turysty w parku etnograficznym. – Tak czy inaczej, w tym miejscu trudno mu odmówić racji.

– Mówiłem ci, że nigdy nie jest koniec – odparł poważnie Andrzej. – Zwłaszcza kiedy wszyscy tak twierdzą. Tu jest zeszyt Gerdy. Otwórz na ostatniej stronie i czytaj.

Lucek posłusznie wykonał polecenie i zaczął dukać

– *Am nächsten Morgen nahm sie das Kind und ging ins Dorf...* Przetłumaczyć ci? „Następnego ranka wzięła dziecko i poszła do wsi...”

– Nie. Czytaj tu, na wewnętrznej stronie okładki.

– „304 L”. Szyfr do skarbca albo zakłęcie. Może kod do zamka rowerowego.

– Zero jest mniejsze niż trzy, czyli to może być „o”. Trzy o cztery el. Jak jest po niemiecku góra? Od góry? *Oben*? Czyli to może być trzecia od góry. A L to *Links*, czyli od lewej. Dobrze mówię? Od lewej? *Links*?

– Dobrze, ale... Nie wydaje ci się, że to trochę dziecinne? Co to ma być, pomorska parodia *Złotego żuka*? I co jeszcze? Zaraz zaczniesz macać cegły w ścianie w poszukiwaniu ukrytego mechanizmu?

Andrzej ściągnął wargi w dzióbek i uniósł brwi.

– A właściwie czemu nie? Co mamy do stracenia?

Po tych słowach rzeczywiście zaczął obmacywać brudną ścianę. Głośno i wyraźnie odliczył trzeci rząd cegieł od góry, następnie czwartą cegłę od lewej i nacisnął. Nic się nie stało.

– Buuu – oznajmił Lucek.

Andrzej pokazał mu nóż jak magik różdżkę przed sztuczką, po czym dokładnie oczyścił szczelinę wokół cegły. Nóż wchodził coraz głębiej.

– Daj spokój, człowieku – jęknął Bałyś. – Odechciało mi się zabawy. Mam wrażenie, że robimy z siebie kompletnych głupków. Gdyby Rysiek Hadczuk nas widział...

W tym momencie cegła drgnęła. Krzycki pchnął mocniej i schowała się w środku, a wtedy obaj usłyszeli wyraźne szczęknięcie mechanizmu. Andrzej oparł się o ścianę i napał plecami. Ściana przesunęła się o centymetr, potem jeszcze o dwa. Lucek przestał mówić i gapił się z półotwartymi ustami.

– Nie stój tak, pomóż mi.

Na „raz, dwa, trzy” pchnęli wspólnymi siłami. Ściana ze zgrzytem odjechała w tył i na bok, robiąc przejście. Z głębi korytarza owionął ich stęchły odór powietrza, w którym rozłożyło się już nieskończenie wiele organizmów, a kolejne wciąż się rozkładały. Świecąc sobie pod nogi, stąpali po wyschłych truchłach myszy, owadów, wąskich jaszczurek i zaskrońców, wystarczająco małych, by precyzyjnie się przez jakieś szczeliny wentylacyjne. Że takie były, wywnioskowali z ledwie wyczuwalnego podmuchu na policzkach. Na końcu korytarza natrafili na drzwi. Spojrzeli na siebie. Andrzej włożył rękę do kieszeni, w której przed chwilą schował nóż. Pchnęli drzwi i weszli do środka.

3

Stół, dwa krzesła, łóżko, cynowa miska, beczka z wodą, regał z książkami. Wszystko pokryte grubą warstwą kurzu i zwierzęcych szczątków oraz zasuszonych mysich odchodów. Powietrze było suche, ale dało się oddychać. Lucek chodził wkoło z wybałuszonymi oczami i oglądał po kolei sprzęty, jakby się znalazł w kosmicznym pałacu na Marsie, a nie w starej piwnicy dwa metry pod ziemią. Przy regale z książkami zaczął wertować tomy i cmokać z zachwytem nad ozdobnym drukiem.

Andrzej miał inne zainteresowania. Poświecił w lustro, po czym sięgnął do plecaka Lucka i wyjął kartki ksero z pocztówką Müllera.

– Poznajesz? Tu hrabia von Schlieffen zrobił to zdjęcie.

– Po co? – zainteresował się Lucek, odkładając na półkę wielki tom *Fausta*.

– Zaraz się dowiemy.

Krzycki zdjął zwierciadło ze ściany i na odwrocie w ramie ujrzał wyżłobione miejsce. Wyjął z kieszeni złoty klucz i włożył w rowek. Pasował idealnie. Odstawił lustro pod ścianę i ciężko usiadł na krześle.

– Ona tu była – powiedział cicho. – Ukrywała się albo zabłądziła. Może sam hrabia ją tutaj zamknął.

– Po co?

– Po co, po co... Nie wiem, po co! Może chciał ją ukryć przed Rosjanami. Niemieckie dziewczyny wtedy się ukrywały. Te, które jeszcze żyły. Odrzuć postawę kliencką i pomóż mi myśleć, co dalej. A jak spytasz „po co”, fajansowy nocnik dostaniesz, a nie Różową Panterę.

– Może być nocnik, byle złoty – zgodził się Lucek. – Pokaż jeszcze raz to zdjęcie.

Zaczął sylabizować niemieckie słowa, podczas gdy Andrzej monologował półgłosem, snując domysły.

– Ona nie tylko była w tym pokoju. Znalazła klucz, potem skarb, a ponieważ nie mogła go ze sobą zabrać, przywłaszczyła sobie jedynie klucz, z zamiarem powrotu w bardziej sprzyjających okolicznościach. Kiedy pojęła, że sprzyjające okoliczności mogą się już nie nadarzyć, zostawiła zaszyfrowane informacje o sposobach dotarcia do niego. Co tam wyczytałeś, niemiecki żołnierzu?

– Że Słowianie to rasa niewolników, która nie kwalifikuje się do wyższych zadań intelektualnych. Do łamigłówek chyba też nie. Prosta wiejska dziewczyna potrafi ich wyprowadzić w pole.

– A tak konkretniej?

– Rilke pisze tu coś o obrzydliwych wyziewach ludzkich, o rurach kanalizacyjnych, odrazie do brudu i o jakichś glistach, brrr. Krótko mówiąc, kupa.

– Czyli kibiel – powiedział Andrzej i ruszył w stronę kotary.

Uniósł drewnianą przykrywę wychodka i poświecił do środka. Czeluść sięgała kilkanaście metrów w głąb, w dole połyskiwało matowo nieruchome lustro wody. Zaduch był nie większy niż w pokoju. Po tylu latach wyziewy dokładnie się wymieszały.

Odpiął mosiężne zaczepy i przykrywa opadła na podłogę. Podniósł górną deskę sedesową, oparł o ścianę, a potem poświecił. Przykucnął. Przed sobą miał podłużną blaszkę w kształcie kropli. Sięgnął latarką i przesunął zaślepkę, odsłaniając dziurkę od klucza.

– To niemożliwe – wymamrotał Lucek. Obserwował wszystkie te czynności z otwartymi ustami, jak czeladnik u majstra w warsztacie. – Nie mów mi, że to dziurka od tego klucza.

– Dobrze, nie mówię. Ale przytrzymaj tę srajdechę, żeby mi na łeb nie spadła.

Przewrócił przykrywę wychodka w drugą stronę i oparł jej kraj na krawędzi. Dokładnie tak samo, jak siedemdziesiąt trzy lata wcześniej zrobiła Gerda Liebner. Złoty klucz gładko wśliznął się w otwór i bez trudu przekręcił. Kiedy drzwiczki schowka opadły, Andrzej jednym mocnym szarpnięciem wyciągnął na podest okutą skrzynię i następnie ostrożnie ją otworzył. Poświecił do środka i opuścił wieko.

– Teraz ty – powiedział do Lucka. – Ja potrzynam srajdeskę, a ty szukaj tej swojej Różowej Pantery. Reszta dla mnie.

Oszołomiony Bałyś gapił się na kosztowności dziecięcymi oczami. Przykucnął i przegarnął je dłonią. Kiedy już nagrzebał się w kamieniach szlachetnych, usiadł pod ścianą.

– Andrzej... w oko jeża... to jest naprawdę skarb! Czuję się, jakbym grał w filmie dla nastolatków. Jakiś pieprzony *Indiana Jones i poszukiwacze zaginionej skrzynki*, albo *Pan Samochodzik i Schlieffenowie*. Skąd to się tu

w ogóle wzięło? Dlaczego oni nie wywieźli takiego majątku? Przecież nawet na niemieckie arystokratyczne warunki to jest bardzo dużo. Miliony.

– Nie byliśmy Niemcami na Pomorzu w 1945 roku, więc tego nie pojmiemy. Osobiście wątpię, by nie próbowali chronić skarbu. Po prostu nie zdążyli i skarb został pod ziemią.

– Gerda też nie zdążyła. I też została pod ziemią.

Andrzej usiadł obok niego i teraz obaj świecili latarkami w otwartą skrzynię.

– W pierwszej chwili pomyślałem, że to zrabowane żydowskie kosztowności – odezwał się Lucek po chwili. – Rozumiesz, Holokaust i te sprawy. Ale to są monety sprzed kilkuset lat! I biżuteria rodowa von Schlieffenów z herbowymi grawerunkami! Nic nie rozumiem. Przecież oni uciekali pierwsi, mieli możliwości.

– Może nie wszyscy. Nie wiemy tego i pewnie już nigdy się nie dowiemy. Podobnie jak nie dowiemy się, co łączyło starego hrabiego i Gerdę Liebner.

– *Malte.*

– Może. – Krzycki wzruszył ramionami. – Tak czy inaczej, tej opowieści już nie ma. Znali ją tylko pan hrabia i Gerda, a my możemy ją sobie na różne sposoby wymyślać. Oczywiście jeśli ktoś gustuje w zastępowaniu historii baśnią.

– Wszyscy w tym gustują.

Zamilkli na chwilę, jakby chcieli posłuchać, czy przypadkiem w podziemiu nie znajduje się ktoś, kto jeszcze znałby tę opowieść. Nikogo jednak nie było. Cisza kapała pustymi sekundami. Pierwszy przerwał ją Andrzej.

– I jak, żołnierzu, wybraliście sobie już błyskotkę? To opróżnijcie łaskawie swój plecak i zapakujcie go do pełna tym, co moje. A co się nie zmieści, to do wiadra.

– Będziesz nosił złoto w wiaderku? – zdziwił się Lucek, jednak posłusznie zabrał się do pakowania.

Upychał kosztowności do kieszeni plecaka, a ponieważ był to sztyty mocną nicią i wytrzymały samsonite, weszło wszystko. Kierowany nie do końca jasną sumiennością segregował różne typy kosztowności do poszczególnych kieszonek, jakby rozgrywał jakąś skomplikowaną partię madżonga. Trochę mu to zajęło, zanim wytaszczył napęczniały plecak na środek pokoju i postawił przed Andrzejem.

– Proszę – stęknął. – Ale chyba nie możemy tego tak po prostu sobie zabrać, co nie?

– Dlaczego nie? – spytał Krzycki.

Wyjął z zewnętrznej kieszonki dokumenty Lucka oraz kluczyki od volvo i położył je na stole.

– No bo... nie wypada. Jesteśmy porządnymi ludźmi.

– Ja nie.

– I oficerami policji.

– Ja nie.

– Wziąłeś od Byczkiewicza odznakę i broń.

– Blefowałem.

Komisarzowi Bałysiowi najwyraźniej zrobiło się słabo, ponieważ musiał przysiąść na krześle.

– Naprawdę chcesz to ukraść?

– Dlaczego ukraść? Zabrać.

– A czym się różni jedno od drugiego?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Naprawdę.

– Tak?

– Tak.

Andrzej Krzycki z namaszczeniem schylił się i przeniósł wypakowany kosztownościami plecak z powrotem do wychodka. Ściągnął pusty kufer z podestu i zamknął schowek. Postawił plecak na krawędzi i energicznym ruchem wepchnął plecak w ciemną czeluść.

– Oszalałeś?! – krzyknął Bałyś, blednąc.

Z głębi ziemi odpowiedział mu głośny plusk. Pacnięciu plecaka w powierzchnię substancji wypełniającej szambo towarzyszył płaski, nieprzyjemny dźwięk. Jego pogłos chwilę jeszcze obijał się o kręgi cembrowiny. Andrzej pomyślał, że tak mógłby brzmieć diabelski chichot w przedwojennym amatorskim teatryku, dajmy na to, w miejskim domu kultury w Schlawe, gdzie mała Gerda chodziła na przedstawienia dla dzieci.

Rozejrzał się wokół i po krótkim namyśle podparł deskę sedesową styliskiem od miotły. Z ciemnej gardzieli wydobywał się kwaśny odór.

– Oszalałbym – wyjaśniał spokojnie – gdybym teraz próbował ten cholerny skarb wytaszczyć na zewnątrz. Najpierw przez ruiny pałacu i dziki las do samochodu, potem dalej do Słupska i jeszcze dalej, aż do Krakowa. A kto wie, może i do Hamburga czy innego Flensburga. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić słów, którymi miałbym tłumaczyć po drodze wszystkim zainteresowanym, co wyprawiam. To właśnie byłoby szaleństwo. Chcąc nie chcąc, przedłużyłbym trwanie brudnego koszmaru zwanego niemieckim skarbem. Wiem, nigdy nie jest koniec, ale z tym powinien być koniec, raz na zawsze. Dlatego nie zadawaj więcej pytań i nie rozdieraj szat, tylko bierz się do roboty.

– Jakiej roboty? – wybełkotał Lucek, który jeszcze nie otrząsnął się z wrażenia.

– Trzeba go zasypać kamieniami.

Lucek nadal był wstrząśnięty zatopieniem skarbu.

– Mówisz, jakbyśmy pochowali trupa.

– Bo to jest trup. Na zewnątrz przy kracie leży trochę kamieni. Trzeba je tu powrzucać, żeby jakiemuś kolejnemu eksploratorowi nie przyszło do głowy jarać się pijanymi opowieściami o skarbie. Nie ma żadnego skarbu, rozumiesz? I nigdy nie było.

– Rozumiem. To znaczy, nie rozumiem. Po co myśmy go w takim razie szukali?

– Dla rozrywki, Bałyś. Ćwiczenie umysłu. Wyższe zadania intelektualne Słowian. Kto nie chce, nosi kamienie.

– A taki miałem fajny plecak – mruknął Bałyś, kręcąc głową.

Znosili gruz przez cały kwadrans. Andrzej przełączył swoją latarkę na funkcję turystyczną i zawiesił nad stołem. W pokoiku zrobiło się widno. Kiedy uznali, że dosyć, i mieli wepchnąć skrzynię z powrotem do schowka, Lucek zaczął ją dokładnie przetrząsać w poszukiwaniu zawieruszonych diamentów. Zamiast tego znalazł podwójne dno i ukryte pod nim dokumenty rodowe von Schlieffenów. Klęczał właśnie przy kufrze, a Andrzej siedział na krześle tyłem do wejścia i zasapany odpoczywał, gdy w progu podziemnego pokoju ukazał się prokurator Trębacki.

– Wiedziałem, że was tutaj znajdę – powiedział i spróbował się roześmiać. W jednej ręce trzymał wielką jak reflektor lampę, w drugiej pistolet.

4

– Ty, Bałyś, odsuń się od skrzyni i usiądź pod ścianą z rękami założonymi na piersiach. A ty, Krzycki – prokurator Trębacki pokazał lufą pistoletu na kufer – przyciągnij mi to cacko pod nogi.

Lucek wykonał polecenie. Krzycki się nie ruszył.

– Słyszałeś? – ponaglił go Trębacki. – Na zewnątrz czeka sześciu ludzi pod bronią, mają nakaz strzelać bez ostrzeżenia do każdego, kto wyjdzie z tej dziury przede mną. Lepiej nie kombinuj.

– Nie rozumiem pana, prokuratorze – powiedział Andrzej, powoli odwracając się na krześle. – Właśnie udajemy się do pana, by zgłosić znalezisko historyczne i poprosić o jego zabezpieczenie. Przybył pan w samą porę, podziwiam. Jak pan tu trafił? Po rysunkach Maciusia Ploha, które Stefan Kotulas wziął za mapy do skarbu? Winszuję.

– Kotulas? – Prokurator skrzywił się. – Nie przypominaj mi o tym idiocie. Przyniósł jakiś bazgroł i przysięgał, że to plan do skarbu. Wy też

jesteście durnie. Kto parkuje na policyjnym parkingu, ryzykuje, że coś mu się do tyłka przyklei.

– Brawo, cóż za finezja – pogratulował Krzycki, besztając się w myślach za nieostrożność. Nie przyszło mu do głowy, że w ciągu godziny ktoś mu wetknie w samochód nadajnik GPS. – Zasługuje pan na nagrodę. Proszę.

To mówiąc, szarmanckim gestem zaprosił Trębackiego do zabrania skrzyni. Ten tylko na sekundę stracił rezon w obliczu niewzruszonej pewności krakowskiego inspektora.

– Dawaj ją tutaj – warknął. – To i tak nie jest twoje.

– Ani pańskie. Jako znalezisko historyczne powinno trafić do tutejszego Muzeum Pomorza Środkowego. A jeszcze lepiej – do archiwum miejskiego.

– Archiwum? Co ty pieprzysz?

– Niech pan sam sprawdzi.

Mierzyli się spojrzeniami. Prokurator Trębacki oblizwał wargi, Andrzej Krzycki w nonszalanckiej pozycji siedział nadal na krześle i oglądał sobie paznokcie. Lucek już obliczał wzrokiem odległość od końca swojej stopy do skrzyni. Jeśli Trębacki podejdzie i się pochyli...

Krzycki rzucił mu karcące spojrzenie: nie. I poprosił łagodnie:

– Lucku drogi, bądź tak dobry i przyciągnij skrzynię panu prokuratorowi. Niech fachowym okiem oceni zawartość.

Trębacki zerkał to na Andrzeja, to na skrzynię.

– Mogę was tu obu zastrzelić – wysapał. – I powiedzieć, że to był wypadek. Włos mi z głowy nie spadnie. Nie takie rzeczy załatwiałem... I nic wam nie pomogą wasze krakowskie oficerskie dupy. Właściwie już nie żyjecie. Ten pokój wygląda jak grób.

Gadał swoje i oślepił ich reflektorem o rozmiarach patelni, w jego głosie dało się jednak wyczuć wahanie. Zrobił krok do przodu i świecił teraz na skrzynię. Wyobraźnia nie dawała mu spokoju.

– Panie prokuratorze, proszę się uspokoić. Powiedziałem, że ta skrzynia bezdyskusyjnie należy do pana, a nawet podlega urzędowo ze względu na

zawodowe obowiązki. I proszę schować ten pistolecik, tylko panu przeszkadza. Gdybyśmy z obecnym tu komisarzem Bałysiem chcieli wyrzucić panu krzywdę, już by się pan zwijał z bólu w kącie pokoju, który tak proroczo nazwał pan grobem. Na pewno obito się panu o uszy to i owo o wyczynach mojego przyjaciela. Na siedząco rozgniała stopą muchy na suficie. No już, niech pan zabiera swoją skrzynię i wraca do prokuratorskiej roboty. Nam również spieszo do domu. Nie będziemy wiecznie po was sprzątać.

– Nie tak szybko – warknął prokurator, oblizując grube wargi.

W końcu jednak nie wytrzymał i ruszył ku skrzyni. Zapominając o swoim bezpieczeństwie, schował pistolet do kieszeni, a lampę postawił na podłodze. Drżącymi rękami otworzył kufer i z rosnącym zniecierpliwieniem zaczął grzebać w rulonach i starych kopertach. Jego tyłek był mniej niż metr od stopy Lucka, ale Andrzej nieubłaganie kręcił głową: nie.

– Gdzie to jest? – wychrypiął Trębacki nieswoim głosem, kiedy już podniósł się z klęczek. – Gdzieście to schowali?

I nagle tracąc dla nich zainteresowanie, zabrał się do penetrowania najbliższego otoczenia. Zajrzał do pustego schowka w ścianie, potem do kloaczego otworu w podłodze z nieruchomą, znów spokojną wodą. Niczego nie znalazłszy, zaczął krążyć po pokoju i przetrząsać wszystkie jego zakamarki. O swoim bezpieczeństwie zapomniał. Jego ruchy stawały się coraz bardziej nerwowe. Rękawem ocierał pot z czoła. Narastała w nim desperacja człowieka uzależnionego, któremu wymyka się długo wyczekiwane zaspokojenie. Krzycki świetnie znał ten głód. Tak alkoholicy szukają ukrytej butelki.

Po bezskutecznych poszukiwaniach Trębacki usiadł ciężko na krześle i przetarł czoło rękawem. Lucek nadal kuczał pod ścianą, Andrzej siedział przy stole i przyglądał się z rozbawieniem.

– Kurwa, to niemożliwe – mamrotał prokurator na poły do siebie. – Niemożliwe. Musi tu być. Może jest jeszcze druga skrytka? Dobrze szukaliście?

– Nie ma – odparł Krzycki, rozkładając ręce. – Cieszę się, że wreszcie traktuje nas pan jak partnerów, i proponuję, żebyśmy się trzymali tego języka. Jeszcze może pan wyjść stąd cały i z twarzą. My zapomnimy o pistoleciku i groźbach, a pan nas wypuści i zajmie się odpowiednim zabezpieczeniem znaleziska. Zgoda?

Trębacki milczał, a mięśnie jego twarzy prowadziły ze sobą ożywiony dialog.

– Oddajemy panu sławę odkrywcy – ciągnął Krzycki. – Nam wystarczy przyzwoity list do rodziny von Schlieffenów z informacją o znalezionych dokumentach. Pańskiej bujnej wyobraźni pozostawiam, jak pan rozegra szczegóły. Gdybym mógł coś sugerować, proszę im przekazać chociaż trochę z tych archiwistycznych cymeliów. I jak, prokuratorze, umowa stoi?

Wewnętrzna walka prokuratora Trębackiego trwała dłuższą chwilę. W końcu wzięło górę stronnictwo ugodowców, aktywnie wspierane przez strach o zawodową przyszłość.

– Oczywiście, panie inspektorze – przytaknął, zmieniając nagle ton na urzędowy. – Bardzo dziękuję za lekcję obywatelskiej postawy. – Znów otarł czoło. – Rzeczywiście, to wspaniałe odkrycie i z pewnością przysłuży się rozwojowi kultury ziemi środkowopomorskiej. Wbrew pańskim sugestiom pozwolę sobie jednak uwzględnić wasz udział przy sporządzeniu raportu służbowego.

– Dziękuję – odparł Andrzej, oddychając z ulgą. Wstał i uroczyście uścisnął mu dłoń.

Siedzący nadal pod ścianą Bałyś przyglądał się tej transakcji ze zdziwieniem. I chyba trochę z żalem. Jego niespokojna prawa noga wciąż wyczekiwała nagłego spełnienia. Andrzej uporczywie kręcił głową: nie.

Wyszli na zewnątrz. Przodem szedł prokurator Trębacki, oni nieśli kufer. Rzeczywiście, kilku ludzi w cywilu czekało na nich przy wejściu. Andrzej i Lucek postawili skrzynię na omszałych kamieniach i powitali ich uśmiechami oraz uniesionymi dłońmi, jak ocalańcy z podziemnej wyprawy. Musieli przy tym mocno mrużyć oczy, ponieważ nad doliną Wieprzy wyszło zza chmur ostre zimowe słońce. Światło igrało w kropelkach wody

zwisających z gałęzi starych lip, ostatnich mieszkańców letniej rezydencji von Schlieffenów.

5

Wspólny pogrzeb Heike i Gerdy Liebner odbył się w kościele w Grębówku, a mszę z wielkim namaszczeniem celebrował ksiądz Jerzy Patkul. Miał powody do wdzięczności wobec obu sióstr, ponieważ dzięki zapisom jego parafia otrzymała niemal połowę dawnego majątku Liebnerów. Poza tym niewiele osób kwapiło się, by odprowadzić w ostatnią drogę dawne mieszkanki wsi, toteż Andrzej z Luckiem zajęli miejsca w kościelnych ławkach. W pierwszym rzędzie siedzieli Michał i Mariusz, dwaj asystenci Heike od wszystkiego, którzy tym razem musieli robić za jej jedyną rodzinę. Z krakowskimi policjantami przywitali się oschle, nie kryjąc specjalnie pretensji o śmierć swej chlebowdawczyni. Ich wyniosłe miny mówiły, że gdyby byli na miejscu, w Kukułczym Młynie nie doszłoby do tragedii. Prawdziwi profesjonaliści ze Szczecina.

Pierwotny plan pogrzebu zakładał, że wraz z siostrami w grobie spoczną szczątki Antoniego Kuleszy. Nie zgodziła się jednak na to wdowa po Rajmundzie Kuleszy i zarządziła osobny pogrzeb na cmentarzu w Przystawnie. Podobno w polsko-niemieckiej pośmiertnej komitywie dopatrywała się jakichś ciemnych, diabelskich mocy, o czym nie bez satysfakcji doniósł im inspektor Krzysztof Zdybas.

Kiedy na zakończenie pogrzebowego obrządku grupka żałobników zgromadziła się wokół podwójnego grobu Gerdy i Heike Liebner, Lucek przecisnął się do przodu i wraz z garścią gliny rzucił na trumnę małe zawiniątko. Stuknęło o wieko i sturlało się w ciemną szczelinę. Cofnął się, a wtedy na jego miejsce wszedł Andrzej i wrzucił nieco większe zawiniątko. Grabarze wyciągnęli sznury spod trumny i zabrali się do zasypywania grobu. Znajdował się w samym rogu przykościelnego cmentarza, tego samego, na którym pewnego wiosennego przedpołudnia czterdziestego piątego roku Gerda wymieniła znaczące spojrzenia z Ursel.

Zgodnie z solenną deklaracją księdza Patkula stare niemieckie nagrobki miały zostać odnowione.

Nie było tu nic więcej do roboty. Wyszli przed kościół.

– Co było w twoim zawiniątku?

– Różowa Pantera. Pozwoliłeś mi zabrać ze skrzyni.

– Czyli?

– Nie wiem dokładnie, chyba jakaś broszka z diamentami. Nie znam się na tym. A w twoim?

– Psiakość.

– Czyli?

– Wrzuciłem te psie szczątki, z którymi leżała Gerda. Pomyślałem sobie, że ich raczej nikt nie pochowa. A dziewczyny na pewno by chciały.

– Wiesz, u ciebie jest coś nie tak z tymi psami – zakonkludował Lucek.

Nagle odwrócił się na pięcie, jakby go prąd poraził, i pociągnął go za rękaw.

– Chodź, musimy już jechać, bo spóźnimy się na pogrzeb Ryśka.

I natychmiast ruszył do samochodu, ponieważ zza kościoła wychodziły siostry Sokołowskie, Ania i Kasia. One również przyszły na pogrzeb i właśnie zmierzały w ich kierunku.

– Cześć, Andrzej, ty niedobry – przywitała go Ania, całując w policzek.

– Mogłeś chociaż zadzwonić.

– Nie mam komórki, skarbie. Odebrali mi, jak tylko zwolniłem się ze służby.

Druga siostra Sokołowska pobiegła za Bałysiem, wołając:

– Cześć, Lucek, nie poznajesz mnie?

Ania przysiadła na ławce przy chodniku. Zza kościelnego ogrodzenia wyszli Michał i Mariusz, dwaj asystenci Heike, i minęli ich z powściągliwym skinieniem. Wsiedli do szarego mercedesa klasy E i odjechali. Andrzej uświadomił sobie, że nawet nie zna ich nazwisk.

– Naprawdę nie jesteś już w policji? Trudno w to uwierzyć – powiedziała Ania i pokazała kciukiem za siebie. – Każdy wasz pobyt tutaj musi się kończyć pogrzebami?

Nakrył jej dłoń swoją i lekko ścisnął.

– Masz rację, głupio wyszło. Chyba już więcej nie przyjadę na Pomorze. A ty? Nie wybierasz się przypadkiem na południe?

– A mam po co? – spytała, patrząc na niego z ukosa.

Nie odpowiedział. Zerknął nad jej głową na Lucka kulącego się pod przejawami sympatii ze strony Kasi Sokołowskiej. Bałyś oparł się plecami o samochód i próbował patrzeć wszędzie, byle nie na dziewczynę, która stała tuż przed nim i coś pogodnie mu tłumaczyła. Parę razy nawet rzucił mu błagalne spojrzenie, ale Andrzej udawał, że nie zauważa.

– Zostajecie dłużej czy już wracacie? – spytała jeszcze Ania, żeby to głupie pytanie bez odpowiedzi nie wisiało tak samotnie w powietrzu.

– Dzisiaj wieczorem. Nie mamy nawet hotelu.

– Moglibyście u nas. Nie, sorki, tak tylko powiedziałam. Cofam. Panowie policjanci zostaną na noc, a jutro znowu będzie jakiś pogrzeb. Przepraszam, już lecę. Fajnie było cię zobaczyć. Cześć.

Pocałowała go w policzek i poszła uwolnić Lucka od swojej przesympatycznej siostry. Andrzej patrzył, jak ściska mu dłoń, jej siostra całuje go w policzek, Lucek sztywnieje jak tyczka od fasoli i dziewczyny odchodzą.

– U mnie jest coś nie tak z psami, a u ciebie z kobietami – stwierdził Krzycki, gdy wsiadali do samochodu.

Opuścił osłonę przeciwsłoneczną, ponieważ luty postanowił pozbyć się swojej gromnicznej aury i operował mocnym, ostrym słońcem. Wyjechali z Grębówka i popędzili na następny pogrzeb do Przystawna, mijając po drodze dalekie pochyłe łąki, pełne suchych traw, parującego błota i niestrudzonych turbin wiatrowych. Na szczycie wzniesienia stała sarna. Ze spokojną czujnością obserwowała przejeżdżający samochód, połyskujący

w pełnym słońcu jak biały łabędź. Odczekała, aż zniknie za zakrętem szosy, i niespiesznie odbiegła.

– Chyba jeszcze nie całkiem dorosłeś – znowu mruknął Krzycki.

Lucek nadal milczał.

W Przystawnie poszło znacznie gorzej. Cmentarz roił się od mundurowych i ich rodzin, tu i ówdzie mignęła znajoma twarz, w pewnym momencie ręką skinął im Łukasz Latawiec. Ukłony w ich stronę były jednak bardzo powściągliwe. Szybko odczuli, że nie są tu mile widziani. Andrzej starał się unikać wzroku Sylwii, córki Ryśka Hadczuka, którą niedawno wyrwał z rąk Artura Kały. Jej pomógł, a jej ojca pograżył – tak to w zasadzie wyglądało. Po uroczystym pogrzebie trzeba było jednak złożyć rodzinie kondolencje i kiedy znalazł się przed Sylwią, przywarła do niego całym ciałem i rozszłochała się na dobre. Trzymała go w długim, spazmatycznym uścisku, jakby go chciała udusić. „Dlaczego, dlaczego”, szeptała mu do ucha, a on nie wiedział, co powiedzieć. Oderwał ją wreszcie od siebie i szybko odszedł. Właściwie uciekł, nie pożegnawszy się z nikim.

Było późne popołudnie. W Słupsku zjedli po badziewnym kawałku pizzy, popili lurowatą kawą i wyjechali z miasta wylotówką na południe. Zaraz za Kobylnicą przywitała ich cała kolonia wiatraków. Migotały w ciekawym, synkopowanym pulsie, podzielone na trzy zespoły, co razem tworzyło rytm jakiegoś odjechanego tanga: pam – pam pam, pam – pam pam... A ponieważ ich cykle odrobinę różniły się w czasie, tango przyspieszało, nakręcało się aż do radosnego galopu: pa–pa–pam, pa–pa–pam, pa–pa–pam. Wreszcie wszystkie trzy sekcje zbiegały się w jeden zgodny rytm i trwały w nim, dopóki ich drogi znów się nie rozeszły ku leniwemu pam – pam pam, pam – pam pam...

Andrzej przyglądał się im z mieszanymi uczuciami. Niby się udało. Rozplątali zawity węzeł pomorskich krzywd, wracali razem cali i w miarę zdrowi (ciągle bolało go stłuczone w Kukułczym Młynie przedramię) – nie odczuwał jednak ulgi. Całe to pożegnanie z Pomorzem było nieudane. Koślawe. Bez wymiaru. Nigdy nie jest koniec. Zawsze jeszcze coś boli.

Parę kilometrów za Zajązkowem zjechali w leśną dróżkę i poszli w krzaki.

– Wyglądają trochę pogodniej. – Lucek pokazał migoczące wiatraki. Były to pierwsze słowa między nimi od wyjazdu z Przystawna. – Pewnie im ulżyło. Mnie chyba też. Nie jesteś przypadkiem zmęczony? Bo ja jestem po prostu wykończony. Gdybym miał być całkiem szczery, chętnie pojechałbym do najbliższego hotelu i walnął się spać na dwanaście godzin.

– Dobrze, jedźmy do hotelu – odparł obojętnie Andrzej.

Lucek zawrócił. Przed wjazdem na obwodnicę Krzycki od niechcienia rzucił:

– Wiesz, Ania proponowała mi, żebyśmy przenocowali u nich. Dobrze, co? Tylko że ja nie mam nawet adresu.

– Ja mam... – bąknął Lucek. – Kasia mi dała, razem z numerem telefonu.

Płynnym ruchem zjechał na obwodnicę w kierunku Koszalina.

– Z czego się śmiejesz? Podobno mam wydorośleć.

Andrzej zanosił się głośnym śmiechem. Walił dłońmi po udach, nie zwracając uwagi na obolałe ramię. Lucek zrobił obrażoną minę i się nachmurzył, koncentrując się na nowym życiowym wyzwaniu. Volvo pędziło do Sławna, a wiatraki śmiały się razem z Krzyckim, wymachując łopatomy skrzydeł jak rozbrykane dzieci. Od zachodu wiał ciepły wiatr, gwiazdy migotały z pewnym niesmakiem. Wieczór był pogodny, choć nieco nerwowy.

XIV

Damroka albo trzecie zejście pod ziemię

sierpień 1945–25 maja 1946

Rosną na ścianie, w ogień schodzą cienie.

Obce przeszły, zostały nasze.

Krzysztof Kamil Baczyński, *Wieczory*

1

– To dziecko musisz urodzić – powiedziała Ursel, wstając od łóżka Gerdy.

Mimo letniej pory w piecu palił się ogień, czerwone jęzory pełgały po ścianach przyziemia, układając sceny pełne niejasnego dramatyizmu. Czasem myślała sobie, że po prostu opowiadają jej historię. Osłabiona i zniechęcona wpatrywała się w nie godzinami, próbując wyczytać zakończenie.

To Ursel ją znalazła w zwierzęcym karmniku i przywiodła z powrotem do Kukułczego Młyna. Nakarmiła i napoiła ziołami, położyła do łóżka i kazała się porządnie wyspać. Gerda musiała dalej żyć, na co nie miała najmniejszej ochoty. Po śmierci Antka i zniknięciu tajemniczego Rudolfa Mielkego z wieściami od Heike, których nie zdążył przekazać, sens jej powrotu do Heinsdorf uleciał w niebo jak dym. Teraz jednak trochę się zmieniło.

– To wasze dziecko – gadała Ursel, krzątając się po młynie wśród stert zasuszonych roślin. – Zostanie. My nie, ale ono zostanie.

– Po co?

Były ostatnie z tamtego świata. Po nagłym pojawieniu się Rudolfa przy ognisku w nieszczęsną noc świętojańską nie widziała już żadnego niemieckiego mieszkańca tych stron. Tylko ona i Ursel. Zresztą nie miała gdzie widzieć, nikt tędy nie przechodził, z nikim się nie spotykała. Ludzie w ogóle zniknęli i zostały tylko one dwie. Same w całym kosmosie.

Nieobecność nowych mieszkańców w okolicy stanowiła dla niej ciekawą zagadkę – zupełnie jakby Kukułczy Młyn nie istniał. Zniknął. Wielkie urządzenie do mielenia zboża powinno ze swej natury budzić ludzkie zainteresowanie; ba, sens jego funkcjonowania polegał na nieustannym ruchu interesantów. A tu nie przychodził nikt. Mieszkały same i o ile stara Ursel regularnie wybierała się do miasta na targ, to Gerda nie opuszczała terytorium młyna i jego najbliższej okolicy. Podobno tak było bezpieczniej.

Czasami stara przywoziła worek zboża i wtedy uruchamiały maszynę, by je zemleć. Wielkim kołem sterowym na podeście ustawiały głowicę pod wiatr i zwalniały hamulec. Wiatrak zaczynał postękiwać i chrobotać, osie w środku ruszały do leniwego obrotu, kamień zgrzytał o kamień. Miała wrażenie, że stary młyn Hechtów przystępuje do roboty z przyjemnością, że podobnie jak jej również jemu nie jest przyjemnie sterczeć tutaj bezczynnie.

Bywało, że Ursel znikła na dłużej; wtedy Gerda sama zwalniała hamulec i słuchała, jak pracuje pocziwa niemiecka maszyna, ostatni łącznik z tamtym światem. Kładła się wtedy na swoim łóżku, zamykała oczy i wsłuchiwała w jednostajny turkot. Wyobrażała sobie, że znowu, jak w tamtym śnie, leci nad Heinsdorf w rozklekotanym wiatraku, radośnie furgoczącym w powietrzu drewnianymi piórami.

O Antku starała się nie myśleć. Wiedziała, że nie żyje, nie miała pojęcia, gdzie został pochowany, nigdy też nie spytała Ursel o tamten wieczór – uznała, że tak będzie lepiej. Jakiś czas żywiła nadzieję, że powróci tajemniczy Rudolf Mielke, ale nigdy więcej się nie pojawił. Nadzieja jest dla naiwnych, a naiwność boli w zderzeniu z rzeczywistością. Więc lepiej nie. Czasami myślała o dziecku, które w niej rosło, nie jakoś specjalnie czule, po prostu zastanawiała się, jakie życie je czeka. Pod warunkiem że

urodzi się żywe. Tak czy inaczej, skakania na proste nogi i spędzania płodu ziołami tym razem nie przewidywały.

Najlepiej by było, gdyby zaraz po urodzeniu zabrała je jakaś polska rodzina. Tam się przynajmniej uchowa. A tu? Przecież nie będzie z nią całe życie mieszkało w przyziemiu tego okropnego młyna!

Całe życie? Ile to właściwie jest? Spojrzała na ścianę, na której tańczyły czerwone błyski z pieca. Dziwne, że cienie mogą być czerwone. Migotały, strzelały w górę i przygasały, wskakiwały na siebie i wywijają koziołki nad blachą jak niesforne urwisy. Czerwone diabełki. *Frau, komm*. Zaciskała wtedy powieki i odwracała się na bok, żeby nie widzieć. Ile to jest życie? Bardzo mało. Prawie nic.

Nigdy więcej nie pojawił się również Staszek Kulik. Ani on, ani żaden z jego opryszków. Pytana o to Ursel wzruszała ramionami i nie podejmowała tematu. Czasem Gerda słyszała w trawach za młynem szelesty, poruszenia, poszeptywania ciemności i spływał na nią spokój. Idą po nią. Nareszcie koniec. Już. Jak dobrze.

Ale nikt nie przychodził. Jakby Staszek o niej zapomniał. A przecież nie mógł. Ktoś lub coś go powstrzymywało od przyjścia tutaj. Znowu pomyślała o Ursel. Właściwie nie musiał przychodzić. Wystarczyło, że siedziała zamknięta w Kukułczym Młynie jak w więzieniu.

– Ursel, opowiedz mi o Damroce – poprosiła raz starą.

– Już kiedyś opowiadałam. Zapomniałaś?

– Nie zapomniałam. Właśnie dlatego chcę, żebyś opowiedziała.

– Powiadają, że Damroka była córką pomorskiego księcia Świętopelka – zaczęła Ursel, odkładając na bok wiecheć ziół – i że była bardzo piękna. Jej imię zapisano w starej księdze klasztoru żukowskiego, a przy nim datę śmierci: 25 maja 1224 roku. Albo 1223. Ten zapis w księdze klasztornej to podobno historyczny dowód, że istniała naprawdę, ale z dowodami historycznymi jak z pijakami w karczmie: każdy plecie swoje i innych nie słucha. Powiadają, że przeszłość każdy tasuje, jak mu pasuje. Parafialni kronikarze skwapliwie dopisywali jeszcze, że postawiła kościół

w Chmelno. Chcieli z niej koniecznie zrobić chrześcijankę, ale jej chyba nie o to chodziło. Chciała żyć w samotności.

– Dlaczego chciała żyć w samotności?

– Bo taki jest los pięknych dziewcząt.

– Nie rozumiem.

– Mówi się, że uroda jest przekleństwem. Kiedy jesteś najpiękniejsza, nawet boginie potrafią być zazdrosne. A mężczyźni cię porywają.

– Ale jesteś kochana.

– To nie miłość – odparła Ursel, poprawiając jej koc, choć wcale nie było zimno. – Wszyscy mężczyźni cię pożądają, ale żaden nie kocha. Nieszczęścia biorą się stąd, że dziewczyny w tym pierwszym widzą to drugie.

– Czy ja jestem... czy byłam najpiękniejsza w Heinsdorf?

Ursel nie odpowiedziała. Wzięła pusty kubek ze stołu i odniosła do kuchni, gdzie przed odstawieniem na półkę starannie go opłukała. Wywarów nie należy mieszać.

– Powiadają również – ciągnęła po powrocie – że Damroka mieszkała w zamku koło Chmielna i miała tylko jedną starą służącą, która znała się na czarach.

– To tak jak ty.

– Ja nie jestem czarownicą, tylko zielarką – obruszyła się Ursel. – Nie zajmuję się rzucaniem uroków jak te brzydkie, pomarszczone ropuchy w bajkach dla dzieci. Leczę ludzi trawami, które zbieram na łące. To nie czary.

– To dlaczego ludzie omijają Kukułczy Młyn? Nawet Staszek Kulik, przez którego siedzę tu jak w więzieniu.

– Nie wiem. Może czują złą energię młyna. Powiadają, że wiatraki to domy z duszami, czasem bardzo przekornymi. Ten nasz jak czasem gwizdnie, to aż deski jęczą. A że ludzie go omijają? To tylko dobrze. Wolę nie myśleć, co by się działo, gdyby nagle wszyscy zaczęli tu zjeżdżać

i wypytywać o gospodarza. Ciesz się, dziecko, że nikt nie przychodzi. I niech tak zostanie.

– Ale po co, Ursel? Po co tu siedzimy? Mam całe życie spędzić w podziemiu pod wiatrakiem, z polskim dzieckiem na ręku? Jak jakaś zbrodniarka? Taki jest plan? Powiedz, Ursel.

Stara nie odpowiedziała. Niełatwo przyznać drugiemu rację. Nawet jeśli była to racja tak dotkliwie niewzruszona jak ta. Po co? Nie istniało żadne po co. Trwały tu obie na skrawku pomorskiej niemczyzny jak rozbitkowie na tratwie, wypatrując łądu, którego nigdy nie zobaczą. Przecież nikogo z dawnych mieszkańców już nie ma, tamtego Pomorza nie ma i całych Niemiec też już nie ma. Co jeszcze w ogóle można?

Można opowiadać baśnie.

– Pewnego razu na gród napadł rycerz, okrutny rozbójnik, i porwał Damrokę. Ponieważ była nieugięta i odmawiała ręki nawet najzaciejszym mężom, chciał być lepszy od nich i poślubić dumną księżniczkę. Do tego, jak wiadomo, służy zamykanie dziewcząt w wieży. Zły rycerz uwięził Damrokę i głodem oraz odosobnieniem próbował złamać jej opór. Nie był to z jego strony najlepszy pomysł, ponieważ w jej samotniczym życiu niewiele się zmieniło. Po porwaniu nadal siedziała zamknięta tylko ze swoją wierną służącą, bez kontaktu ze światem, tak samo jak wcześniej. Dlatego bez trudu znosiła niewolę i opierała się, jak mogła. Porywacz jednak stawał się coraz bardziej natarczywy, chciał ją wziąć gwałtem i w ten sposób wymusić zaślubiny. Zanim jednak do tego doszło, sprawy wzięła w swoje ręce stara służka. Jak na porządną czarownicę przystało, użyła swej mocy i zesłała na zamek rycerza straszliwą burzę. Pioruny waliły jak oszalałe, wszyscy w zamku pochowali się po kątach, a straszny rycerz najgłębiej, w podziemnym lochu. Od dzieciństwa bał się burzy.

– Umiałybyś zesłać taką burzę?

– Mówiłam ci, że nie jestem czarownicą – odparła z dumą Ursel i wróciła do opowieści. – Księżniczka miała tylko jedną drogę przed sobą: przez okno. Podczas straszliwej, niespotykanej burzy pod wieżę z uwięzioną Damroką podleciały dwa wspaniałe łabędzie i usiadły na kamiennej

balustradzie. Czekają. Pioruny waliły jak oszalałe, wiał wiatr, siekł deszcz, a one przycupnęły i tylko co jakiś czas odwracały swe łabędzie szyje, by zachęcić księżniczkę. W końcu się zdecydowała. Wdrapała się na balustradę, schwyciła łabędzie za nogi i krzyknęła: „Hej!”, a ptaki uniosły ją w powietrze.

– To na pewno były łabędzie? – spytała Gerda. – Wolałabym żurawie. Tu na łąkach są żurawie. Kocham żurawie.

– Jak chcesz, mogą być żurawie – zgodziła się Ursel. – Dzielne ptaki uniosły piękną księżniczkę z powrotem do Chmielna, do jej klasztornej celi. Gdy o wszystkim dowiedział się ojciec Damroki, wielki książę Świętopełk, tylko nie wiadomo który, wysłał wojsko, aby zrównało z ziemią zamek zbójckiego rycerza. Jego ruiny do dzisiaj można znaleźć na Górze Zamkowej pod Karthaus.

– Czyli to nie jest legenda, tylko prawdziwa historia?

– A jak jedno odróżnić od drugiego? – odpowiedziała pytaniem Ursel i z naręczem suchych traw poszła do kuchni.

2

Wieczorem z migoczących na ścianie młyna czerwonych cieni układa swoją historię. Blask ognia spod blachy wydaje się właściwym budulcem dla wyobraźni. Tańczą umarli. Falują, opadają na dno i znów się podnoszą, z uniesionym rękami płyną ku górze, matka i ojciec, babcia Henrietta i dziadek Wilhelm, i jej pięć młodszych siostr: Anna, Maria, Käthe, Lisa i Heike. Lodowata woda Bałtyku pali jak ogień, a oni kołyszą się z zeszywniałymi twarzami i białymi gałkami oczu, które już nic nie widzą. Albo widzą wszystko, ją również, zagrzebaną pod ziemią w kopcu na buraki i zaciskającą powieki w strachu przed przyszłością. Bo przyszłości nie ma. Inny świat, z innymi ludźmi, inną wiarą i innym językiem, nie jest dla nas. Tak szepczą umarli i ona wie, że mówią prawdę.

Nie, twarz Heike nie chce iść pod wodę. Jeden wąski cień odrywa się od pieca i biegnie po ścianie gibkim jęczorkiem. Heike prze rozpaczliwie do

góry, ku powierzchni, i macha rączkami. Nie pozwoli sobie tak łatwo odebrać życia. Dzielną małą Heike. Co ten człowiek wtedy powiedział? „Skąd pan zna to nazwisko? – Od Heike”. Mógł kłamać. Znalazł imię jej siostry w zeszycie i posłużył się nim dla zyskania jej zaufania. Ale na Boga, po co?

Płomienie lodowatych fal Bałtyku przygasają, by za chwilę znowu rozbłysnąć ostrym, skośnym światłem. *Frau, komm*. Czerwony diabeł na koniu pochyła się, zagląda pod strzechę, kiwa na nią palcem. *Komm*, niegrzeczna dziewczynko. Ona wychodzi posłusznie z mroku i podaje mu rękę, a później szybko i bezboleśnie umiera. „A ty czekasz, ty czekasz na jedno”. I wie, że o to chodziło w całej jej historii, od powrotu po Reksa aż do samiutkiego teraz, czyli płomieni tańczących na ścianie Kukułczego Młyna. Chodziło o niego. *Herr Tod*. Pan Śmierć. Jakże łaskawe bóstwo! Litościwe dla tych, którym ten świat nie ma już nic do zaoferowania. Dlaczego ludzie się boją? Przecież to tylko uspokojenie, cisza i ciemność. Wywar z najcenniejszych ziół. Czego się bać?

Cienie znów przygasają i nadchodzi wiosna, słoneczne południe z pokusą wiecznie młodego życia. Właśnie wtedy gwałci ją Staszek Kulik i zamyka w piwnicy. Wiosna zachodzi czerwienią. Blask na ścianie młyna robi się intensywny i gęsty jak krew, która z niej wycieka. Znowu umiera i na chwilę jest z nimi w wodach Bałtyku. Ogień i lód. Piekło to połączenie ognia i lodu.

Jeszcze jeden rozbłysk, jasny jak frontowa flara wystrzelona przez boginki nad świętojańską nocą. Ogień wesoło trzaska, posyłając w rozgwieżdżone niebo całe garście gwiazd. Są tylko we dwoje. Oni i święte ognisko. Niepewnymi dłońmi szukają nawzajem swoich ciał. Sprawdzają, czy prawdziwa miłość istnieje i czy jest w zasięgu ręki. Garść iskier strzela w niebo i spada srebrnym próchnem gwiazd, czerwone cienie tańczą na młodej trawie, dęby mruczą zakłęcia. Miłość jest możliwa. Jest wieczna i jest właśnie tutaj, teraz. Na zawsze.

Zawsze to raptem jedna chwila. W następnej z ciemności wyłaniają się najpierw Reks, a potem ten dziwny człowiek z imieniem Heike na dłoni jak

z małym serduszkim z piernika, które kupuje się na odpustowym straganie. Mówi zaledwie kilka słów, wręcza jej zeszyt i sięga po *Maltego*, który leży w trawie tuż przy miłosnym legowisku. I tyle. Potem strzały, krzyki, szaleńczy bieg przez bagienną ciemność ze złowrogim tętentem azjatyckich koni za plecami. Godzina Pana Śmierć. Biegnie lasem na przetrzał aż do miejsca, skąd wyprowadziła ją sarna i wszystko się zaczęło. Znowu może zapomnieć, wszystko, nawet imię chłopca o jasnych włosach i z blizną na policzku. Może umrzeć. Ufff, koniec.

O tamtym również myśli. Skarb hrabiego. Kiedy w piecu ledwie się tli, a stara Ursel błąka się gdzieś po swoich uroczyskach, z dala od młyna, Gerda wyjmuje ze schowka złoty klucz i czule gładzi palcami. Nigdy już tam nie wróci, ten skarb nie był jej przeznaczony. Za całe bogactwo musi wystarczyć klucz. Delikatnie go głaszcząc i myśli sobie, że ta chłodna w dotyku żółta obietnica spełnienia jest lepsza od całej sterty kosztowności, spoczywających pod ziemią jak gniazdo jadowitych węży. Cudowne wyobrażenie szczęścia, którego nie trzeba sprawdzać. Na pewno nie ona. Może ktoś inny powinien to zrobić. Tak, ona skarbu nie weźmie, ale bardzo chciałaby go komuś podarować. Nie komukolwiek, tylko komuś wyjątkowemu, kto będzie wiedział, co z nim zrobić. I żeby wiedział, że ona tutaj posyła mu klucz, oddaje w jego ręce swoje... Właściwie co? Szczęście? Nieważne. Ważne, żeby był kimś innym niż te wszystkie Kuliki i Siemczuki, Różańskie i Klisze, których całe rzesze zdeptują pomorskie drogi. Kimś, kto poczuje w sobie duszę jej rodzinnej ziemi. Jej biednego, sponiewieranego przez historię i zatopionego w cierpieniu jak Atlantyda, umarłego Pomorza...

Bierze *Maltego*, znajduje stronę 107 i przepisuje na kartonik ze zdjęciem fragment o rurze z nieczystościami. Doskonale pasuje. Naprawdę docenia dowcip pana hrabiego. Przystawia złoty klucz do pośliskłych stronic i obwodzi dokoła nożem Ursel do siekania ziół. Kształtem przypomina krzyż z wplecionym w jego spojenie kołem. A może to zwinięty wąż? Ten pomysł podoba jej się znacznie bardziej i z ulgą, jakby rozwiązała jakąś wyjątkowo trudną zagadkę, zabiera się do wycinania schowka. Przymierza

klucz kilka razy i poprawia, dopóki stronice po zamknięciu nie dopasowują się idealnie. Zamyka *Maltego*, odkłada na bok i myśli, co dalej.

Ten ktoś powinien być nie tylko poczciwy, dobry, ale i mądry. Przynajmniej trochę. Żeby domyślił się, co zrobić ze skarbem, kiedy już go odnajdzie. Gerda patrzy na książkę i wyobraża sobie, że człowiek z przyszłości trzyma w ręku klucz i nie wie, co z nim zrobić. Potrzebuje dodatkowych wskazówek. Ma mało czasu, zaraz dogonią go wścibscy podglądacze, którzy również nasłuchali się opowieści o skarbach i mu nie darują. Ona mu pomoże. Kładzie fotografię z cytatem przed książką i uznaje, że to za trudne. Człowiek z przyszłości, dobry i mądry (może trochę podobny do Antka Kuleszy), znajduje fotografię i książkę, ale nadal nie ma pojęcia o miejscu. Przed cytatem powinno być wejście do pokoju. Spogląda na zeszyt i po zastanowieniu otwiera na ostatniej stronie, by wypisać na okładce: „3o4L”, a pod spodem w drugiej linijce: „4o3R”. To samo, tylko w odwrotnym kierunku. Jeśli jest rozgarnięty, zrozumie. A jeśli nie, to niech idzie grzebać za skarbami na przykościelnym cmentarzu.

Chce jeszcze dorysować herb von Schlieffenów, ale kiedy bierze ołówek do ręki, pod blachą pieca strzela mokre polano i na ścianie rozbłyska jeden wielki czerwony cień. Jest trochę koślawy, niezgrabny, z dużą brzydką głową i dziurawymi portkami na wyrost, zwisającymi z niego jak ze stracha na wróble. Bolek Siemczuk, głupi smarkacz, który masował sobie krocze i sapał głośno, podglądając ją przez dziurę w płocie. Cień chwilę migocze i gaśnie, ogień pod blachą pali się niemrawo, ponieważ przyszedł mokry, ciepły niż. To już przedwiośnie, śnieg zaczyna topnieć. Gerda nawet nie pamięta, kiedy zeszła jesień i zima. Ile to jest życie? Głodzi wyduęty brzuch, brzydki i zimny, z niepotrzebnym życiem w środku. Bardzo niewiele. Prawie nic.

Nie, nie będzie zagadki. Bierze płócienne prześcieradło i przedziera na pół. Kawałkiem materiału owija *Maltego* i ciężkim krokiem wychodzi do przedsionka młyna, gdzie w podłodze znajduje się okuta żelazem kłapa. Stary Hecht miał tam podziemną spizarnię, z której Ursel czasem wydobywała słoiki z kiszoną kapustą i ogórkami. Reszta podobno się

zepsuła. Odciąga zasuwę i unosi klapę. Bucha zatęchły piwniczny zapach i jeszcze coś, jakby mdły smród zgniłego mięsa. Gerda szybko wrzuca do środka płócienne zawiniątko i ucieka do izby. Skrzypią drzwi wejściowe, więc kładzie się na łóżku i odwraca twarzą do ściany. Szary zeszyt wpycha pod poduszkę. Zamyka oczy. Zapada w sen, choć ma wrażenie, że właśnie się obudziła.

3

– Nie chcę tego dziecka – powiedziała cicho.

Leżała bezwładnie w mokrej pościeli, a Ursel wzięła jej obojętną dłoń i położyła na śliskiej, pomarszczonej główce. Noworodek piszczał i wiercił się między jej piersiami.

– Nie mów tak – ofuknęła ją stara. – Ona zostanie. To dziewczynka.

– Nikt tu nie powinien zostawać – odparła Gerda i zacisnęła powieki. Bolała ją wielka dziura w brzuchu i rozerwane biodra. – Powinniśmy odejść stąd na zawsze, wszyscy, żywi i umarli. Nic tu po nas. To koniec.

– Nigdy nie jest koniec, Gerdo. Powiadają, że nikt nie żyje dla siebie i nie umiera dla siebie. Teraz masz dziecko, przystaw je do piersi i nakarm, żeby wiedziało, że ma matkę. Śmierć jest łatwa, życie trudne.

– Tak powiadają?

– Ja powiadam. Stara wiedźma Ursel, która ciągle żyje. Dawno powinnam umrzeć, ale nie chcę, na złość śmierci. I ty powinnaś tak samo.

Nic nie odpowiedziała. Ostrożnie położyła kwilące dziecko na poduszkę i odwróciła się bokiem, wtykając mu sutek do malutkich ust. Dziecko zaczęło ssać, a ona patrzyła w te zamknięte jak u szczeniaka oczy, malutkie chciwe usta i drobne jak u lalki paluszki, myśląc, czy coś takiego można kochać. W szczelinach wiatraka wył marcowy wiatr i szedł głuchy pogłos po drewnianym korpusie. Muzyka w sam raz dla czarnego konduktu żałobnego, idącego białymi polami. Kroczy całe Heinsdorf. Wszyscy bez wyjątku, ona również. Skrzypiące ramiona wiatraka, szarpane przez nagłe

zachodnie porywy, mogłyby z powodzeniem robić za skrzydła anioła albo poły płaszcz mężczyzny w czarnym kapeluszu i o czerwonych oczach. Pij, dziecinko, i nie płacz. Leżymy sobie zamknięte w Kukułczym Młynie jak w trumnie i nikt nas tu nie znajdzie. Zupełnie nikt.

– Nie chcę tego dziecka – powtórzyła po miesiącu.

– Jeszcze nie czas – odparła spokojnie Ursel.

Zrobiło się cieplej i wiejący od Bałtyku wiatr roztopił resztę śniegu na polach. Gerda uchylała okienko i wciągała do płuc ożywczą wilgoć, szukając w niej zapachu swoich bliskich. Daleko po drugiej stronie doliny dwa konie ciągnęły pług, zgarbiony mężczyzna wyglądał jak maleńki chrząszcz. *Maikäfer flieg, der Vater ist im Krieg...*

– Nie chcę tego dziecka – powtórzyła, kiedy upłynął kolejny miesiąc. – Nie ma nawet imienia. Jest nikim, żyje dla nikogo.

– To daj mi je – powiedziała Ursel z gniewem i bezceremonialnie wyjęła z rąk Gerdy zawiniątko z niemowlakiem. – Wszystko ma swoje granice – dodała złowrogo i ruszyła z dzieckiem do wyjścia.

Gerda potrzebowała chwili, by zrozumieć, co się dzieje.

– Zaczekaj! – krzyknęła za nią i porwała zeszyt spod poduszki. – Ona musi mieć coś... coś ode mnie.

Wcisnęła w becik fotografię zwierciadła odbijającego ramię i połowę twarzy hrabiego von Schlieffena w podziemnym pokoju, na odwrocie której zapisany był cytat z *Maltego* o rurze kanalizacyjnej. Nie przemyślała tego, działała odruchowo, wydawało jej się, że cała ta zagadka ze skarbem ma w sobie coś przekłętą, coś zdradzieckiego. Dopiero kiedy Ursel zniknęła za zakrętem, tuląc do piersi kwilący becik, Gerda pomyślała, że popełniła błąd. Obcy ludzie znajdą trop, do którego dopiszą swoje żądze. Czuła się, jakby rzuciła urok na to nieszczęsne dziecko, owoc jej niemożliwej miłości. I nigdy nie będzie koniec.

Przyszedł pod wieczór. Zakradł się do izby i zanim zdążyła zareagować, pchnął ją na łóżko. W ręku trzymał nóż. W pierwszej chwili pomyślała, że przyszedł nareszcie spełnić swoje seksualne marzenie, nabrzmiałe podczas pocierania krocza, kiedy podglądał ją pod domem. Dopiero później przyszło jej do głowy, że to przecież jeszcze dzieciak. Właściwie mogłaby dać mu radę, gdyby tylko chciała.

– *Schatz* – warknął, siląc się na niski głos. Ukląkł przy niej na łóżku i jedną rękę oparł na piersi, drugą przystawił jej nóż do szyi. – *Wo ist Schatz?* – powtórzył chrapliwie. Zakrztusił się i odwrócił głowę, żeby kasznięciem nie opryskać jej twarzy. Wyglądało to dosyć zabawnie i omal nie parsknęła śmiechem. Nóż przypominał ten, który nosił Staszek Kulik. Może nawet to ten sam.

Chciał skarbu. Mimo że nikomu oprócz Antka nie mówiła o swoim spotkaniu z hrabią i o znalezisku w podziemiach pałacu, jakimś cudem rozeszła się po okolicy wieść o ogromnym skarbie Schlieffenów, który ona, Gerda, wyniosła z kryjówki i gdzieś ukryła. Ponieważ była to domena Staszka Kulika, od niego pewnie Bolek Siemczuk usłyszał to magiczne słowo i przylazł tu, zabierając ze sobą poniemiecki nóż. Śmieszne i straszne.

– Malte – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

– Co? – spytał po polsku. – Powtórz.

– MALTE – powtórzyła wolno i wyraźnie. – Twój klucz.

Puścił pierś i uderzył ją w twarz. Jego dłoń była wilgotna od ciekącego z sutka pokarmu. Nagle poczuła straszliwą tęsknotę za swoim dzieckiem. *Mein Gott*, co ja zrobiłam...

– Mów po polsku, hitlerówo! – warknął sztucznym basem, który bardzo chciał być dorosły. – *Wo Schatz?!*

Jej ręka zwisała bezwładnie poza łóżko, przy drewnianej skrzynce pełniącej funkcję nocnej szafki. Stał na niej gliniany kubek po ziołach, wystarczyło rozbić nim głowę głupiego smarkacza i byłoby po sprawie. Zamiast tego Gerda zrobiła grzeczną minę i nawet się uśmiechnęła.

– *Komm, Junge, ich zeige dir* – odparła pogodnie i zerknęła kątem oka na jego dłoń, która dopiero co ugniatała jej pierś. – Chodź, pokażę ci.

Speszył się. Wytarł mokrą dłoń o spodnie. Ręka z nożem drżała. Czowała, że jest bardzo podniecony. Trochę go podrażni i chłopak straci całkiem panowanie nad sobą. Już ledwie się trzymał. Ostrożnie wzięła go za tę drżącą dłoń i odsunęła nóż od swojej szyi. Wysunęła się spod niego.

– *Komm, Bolek* – powiedziała. – *Malte*.

Wiedziała, że nie rozumie. Spod poduszki wyjęła szary zeszyt owinięty w płótno i wepchnęła go za pasek spódnicy. Pociągnęła chłopaka ku schodom na półpiętro, do dawnej sypialni Antka Kuleszy. Poddał się bez oporu. Kroczył za nią z głupią miną i uzbrojoną w nóż ręką, która zwisała teraz bezradnie wzdłuż ciała. Szedł jak chłopiec za mamą. Miała nadzieję, że kłapa na piętro jest otwarta. Była. Postawiła stopę na najniższym szczeblu i puściła drżącą z podniecenia rękę. Nie oponował. Odwróciła się i z pełną świadomością, że jej wypięty tyłek odbierze mu resztki rozsądku, zaczęła wdrapywać się po drabinie.

– Stój, kurwo! – krzyknął i schwycił ją za kostkę. Nie wyrwała jej, tylko spojrzała w dół, pochylając się tak, żeby mógł zajrzeć pod spódnicę.

– *Komm, Bolek* – zamruczała miękko. – *Schatz*.

Puścił jej kostkę. Ruszyła dalej. Kiedy postawiła obie stopy na podłodze piętra, najzwyczajniej w świecie odwróciła się i z całej siły opuściła klapę, a ta spadła na wychylającą się z otworu głowę młodego Siemczuka. Łoskot drewna zlał się z jękiem chłopca, w sekundę później jego ciało głucho zadudniło o klepisko. Przydeptała nogą klapę i zablokowała ją zasuwą. Dla pewności przeturlała na nią jeszcze kamienne żarno. Usiadła, pogładziła zimny piaskowiec.

– Witaj, kamieniu. Odlatujemy. Ja w górę, ty w dół.

Bolek Siemczuk pozbierał się z podłogi i ciężkim, półprzytomnym wzrokiem potoczył wkoło przyziemia. Nie widział nic poza jednym natrętnym ruchem: spod blachy pieca wskakiwały na ścianę czerwone cienie. Słyszał, jak ta niemiecka dziwka zamyka klapę i wtacza na nią

kamień. Nie było szans. Przemagając tępy ból głowy, ruszył w stronę pieca. Po drodze zgarnął z koszyka sosnową szczapę, mocno nasączoną żywicą.

Na najwyższym piętrze Gerda również zamknęła klapę na zasuwę. Wpełzła w kącie poddasza, zza belki wyjęła niewielki tobołek, rozwinęła go ostrożnie i przytknęła do twarzy grubo, zielony materiał. Pachniał szufladą komody w jej pokoju. I szarym mydłem, którym matka prała rzeczy dzieci w balii za domem, na słońcu, gdzie łatwo nagrzewała się woda. Trochę dalej stały ule dziadka Wilhelma. Nic już nie ma. Za oknem nagle pociemniało jak w nocy. Nawet tamtego słońca już nie ma. Zdjęła z siebie całe ubranie, łącznie z bielizną, i na nagie ciało włożyła zieloną sukienkę z targowiska w Schlawe, kupioną jesienią czterdziestego czwartego roku. Na palec założyła złoty pierścień ze szmaragdem. Na niebie rozbłysło białe światło i polami przetoczył się pierwszy grzmot. Usiadła przy ciemnym oknie i czekała. Po którymś z kolei grzmocie krzyknął żuraw, potem drugi. Odpowiadał pierwszemu, że słyszy wezwanie i zbiera się do drogi. Spieszcie się, robi się coraz ciemniej. Kiedy spod klapy zaczęły przesączać się pierwsze smugi dymu, stanęła w oknie i wypatrywała niecierpliwie. Polami szedł po nią *Herr Tod*. Niebo rozdarła błyskawica, w jej świetle dostrzegła dwie pary skrzydeł w powietrzu. Wiatraczne śmigła zaczęły się kręcić na wietrze – ktoś zwolnił hamulec. Pędziły coraz szybciej i szybciej. Spod podłogi buchnął ogień. Zawył wiatr i o dach zabębnił deszcz. Drewniane cielsko zaczynało swój ostatni lot na grzbietach trzech żywiołów. Żurawie podchodziły ostrożnie, unikając zderzenia z szaleńczo wirującymi skrzydłami wiatraka. Kiedy w świetle kolejnej błyskawicy Gerda zobaczyła, że ptaki są całkiem blisko, skoczyła z okna, by złapać je za nogi.

Bolek widział lecącą dziewczynę. Miał w ręku swój wspaniały nóż i bardzo chciał ją zabić. Nie znalazł ciała. Pofrunęła z okna, ale nie spadła na ziemię. Deszcz złagodził ból rozbitej głowy i Bolek Siemczuk uciekł na przelaj do domu, ponieważ pod płonąącym wiatrakiem zrobiło się niebezpiecznie. Później wiele razy wracał tam, by rozgrzebać popioły

i poszukać Malte – klucza do wielkiego skarbu. Nigdy więcej nie trafił w tamto miejsce.

Stara Ursel widziała błądzącego po polach polskiego chłopca i takie rozwiązanie wydało jej się najlepsze. Dla Gerdy, dla niej i dla dziecka. Pozwoliła chłopcu wejść do Kukułczego Młyna. W strugach deszczu i huku gromów z niemowlęciem przy piersi powędrowała do wsi. Tam oddała dziecko dobrym ludziom z domu, w którym dawno temu sama mieszkała. Teraz zostało jej już tylko jedno. Wróciła na pogorzelsko. Pomorska burza ugasiła dogorywające szczątki młyna. Odszukała ciało Gerdy i wrzuciła je do piwniczki, gdzie wcześniej ukryła ciała Antka Kuleszy i Rekxa. I tyle. Dla tej opowieści nic więcej nie dało się już zrobić.

Ruszyła łąkami w dół, przekroczyła rzeczkę i znikła w lesie na zawsze. Był 25 maja 1946 roku.

Epilog

– Cześć. Jest Andrzej? – spytał Lucek niepewnym głosem.

Mimo nalegań Doroty nie chciał wejść do mieszkania, tylko stał w progu z rękami za sobą.

– Nie ma go. Poszedł nad Wisłę.

– Z Lalą?

Dorota obrzuciła go chmurnym spojrzeniem.

– Z jaką Lalą? Przecież ona nie żyje. Może wejdiesz jednak i napijesz się czegoś?

Uchyliła szerzej drzwi i zachęcającym gestem zaprosiła go do środka.

– Od waszego powrotu właściwie nie rozmawialiśmy. Unikasz mnie jak ognia. Wejdźże, chłopie, przecież cię nie zgwałcę!

Na dowód, że nie ma zamiaru go zgwałcić, roześmiała się i obiecała, że za dziesięć minut go wypuści. Wypyta tylko o samopoczucie Dominiki, napił nowo opatentowanym musem z selera z limonką, spyta, jak mu smakuje, i pozwoli wyjść. Lucka Bałysia wcale to nie przekonało, przeciwnie, jeszcze gorliwiej się wymawiał od gościny, przestępując z nogi na nogę i oglądając się za siebie, jakby mu w błyskawicznym tempie wyrastał ogon.

– Jak chcesz. Ale wpadnijcie kiedyś razem. Póki z Andrzejem jest dobrze – zakończyła tajemniczo. Posłała Luckowi całusa z dłoni i zamknęła drzwi.

Znalazł go jak zwykle pod mostem Piłsudskiego. Wiosna była ciepła, kwietniowa, nad Wisłą pachniało już forsycjami. Słońce za kopcem Kościuszki zachodziło na czerwono, krwawo, zanurzone po uszy w granatowym tle. Lud krakowski wyległ na bulwary z rowerami,

deskorolkami, hulajnogami i nowymi butami do biegania w kolorze selera z limonką. Osobną kategorię stanowiły dziecięce wózki prowadzone przez dumnych rodziców. Od wody zawiewało czasami zgnilizną, czasem orzeźwiającym chłodem. Ludzie żyli. Woda płynęła. Słońce zachodziło. Krzycki siedział z kijem w ręku.

– I co, biorą?

– Odbiło ci? To nie jest wędka, tylko zwykły kij. Co tam słychać? Jak Dominika?

– Dzięki, dobrze. Wszystko świetnie. Słuchaj, Andrzej, mam coś dla ciebie.

Andrzej opuścił kij i przyjrzał się przyjacielowi.

– Znowu upichciłeś jakieś danie, które „wyjątkowo harmonizuje z moją niebanalną i wewnętrznie sprzeczną osobowością”?

– Nie, to co innego.

Lucek wyciągnął z za siebie spore pudło, otworzył klapkę, sięgnął do środka i wyjął stamtąd szczeniaka w biszkoptowym kolorze. Postawił go przed Andrzejem i na chwilę zapadła cisza, którą stworzonko wykorzystało do wysikania się.

– Suczka. Pomyślałem, że się ucieszysz.

Popatrzył z uwagą na przyjaciela. Szukał oznak tej radości, którą zwykle ludzie odczuwają na widok małego pieska. Tymczasem Andrzej miał oblicze indiańskiego wodza. Nieruchome i groźne.

– Co to jest?

– No przecież mówię, że suczka.

– Ale jaka rasa?

– Niemiecki hovawart. To taki rzadki pies, nazwa pochodzi od starogermańskiego psa podwórzowego, którego niemieccy rasiści odtworzyli w czasach swojej świetności. Podobno hovawarty bardzo się przywiązują i są znacznie bezpieczniejsze od wilczurów. Aha, i jeszcze pisali w internecie, że mają uparty charakter. Więc pomyślałem... Co, nie?

Podczas gdy Lucek mówił, psinka usiłowała wdrapać się na kolana Krzyckiego. Ten strącał ją delikatnymi pacnięciami w nos, a potem perfidnie zachęcał, żeby ponowiła próbę. Ona na to przystawała i znowu się gramoliła, a on ją strącał. Czasem sprytnie zdążyła przed spadnięciem złapać go zębami za palec. Wyglądało na to, że oboje dobrze się bawią.

– Dzięki, Lucek. Czy ona ma jakieś imię? Tylko mi nie mów, że Lala.

– Nie. Nie Lala i nie ma jeszcze. Jak chcesz, to możemy razem wymyślić.

– Dobra.

Usiedli i zaczęli myśleć na imieniem dla nowej suczki Andrzeja, która tymczasem plątała się od jednego do drugiego, przewracając się na miękkich, grubych łapkach i merdając sprężystym ogonkiem w tempie dziesięciu uderzeń na sekundę. Podbiegł do nich jakiś większy pies, a wtedy Lucek wziął ją szybko na ręce. Kiedy jednak chwilę później nadbiegł następny, tym razem wziął ją Andrzej. I tak już zostało.

Po długim namyśle spojrzeli na siebie, by potwierdzić, że doszli do tego samego wniosku. Skinęli głowami i podnieśli się.

– Gerda, chodź! – krzyknął Andrzej.

Suczka wydała z siebie aprobujący szczeł i wskoczyła mu na wyciągnięte ręce.

– Gerda! Gerda! – cieszył się Lucek. – Super! Gerda, spytaj pana, czy wpadnie jutro na Mogilską.

Andrzej nachylił się do ucha psinki.

– Gerda, powiedz temu nieopierzonemu policmajstrowi, który za pomocą ciebie próbuje sobie kupić moją lojalność, że już tam nie pracuję.

– Gerda, powiedz swojemu panu, żeby się walił.

– Gerda, powiedz mu PSG.

– PSG.

Od słów przeszli do czynów i zaczęli sobie wymierzać kuksańce jak chłopcy w szkole. Niesiona na ręce psina patrzyła raz na jednego, raz na drugiego, i chyba już zaczynała rozumieć, że łatwo z nimi nie będzie.

KONIEC

Od Autora

Droga Czytelniczko, Drogi Czytelniku,

ostatni tom trylogii pomorskiej, na który właśnie patrzysz, zanurzony jest w tym samym uniwersum, co dwa poprzednie: *Wiatraki* i *Skowyt nocy*. Daje się czytać osobno, ale zabawa będzie jeszcze lepsza, jeśli zaczniesz od tamtych. Po prostu nie chciałem zanudzać nieustannym streszczaniem tego, co się wydarzyło wcześniej. Natomiast nie polecam czytania trylogii od końca – mogą być spojlerzy.

Akcja dzieje się na Pomorzu Środkowym, na przemian w 1945 roku oraz współcześnie, a elementy prawdziwe pomieszałem z fikcyjnymi w sposób niemożliwy do rozplecenia. I tak, zmyślane są nazwy wsi Grębówko, Przewastawo, Korczewo oraz rodzina Liebnerów. Nie wiem, jak w rzeczywistości nazywał się kapitan statku szkoleniowego „Regulus”, który 6 marca 1945 roku wieczorem naprawdę wypływał z Rügenwaldermünde, czyli Darłówek, z pomorskimi uchodźcami na pokładzie – nazwisko wziąłem od jednego z niemieckich autorów wspomnień z tamtego czasu. „Kuckucksmühle” oraz rodzina Hechtów to również nazwy rzeczywiste, ale nie łączyły się ze sobą tak jak w mojej opowieści.

Pomorski ród von Schlieffenów trochę zmitologizowałem, ponieważ ten prawdziwy wcale się nie rozpułnął w powietrzu i gromadka potomków nadal żyje. Faktycznie mieli dwa pałace w okolicach Sulechówka, a przy jednym z nich nawet lotnisko i samolot! Osobiście wykopałem w środku lasu kawałek kafla z pieca. Przeszłość gada, nigdy nie jest koniec.

Wielkie podziękowania dla moich sławieńskich i kukułczyńskich przyjaciół za pomoc w rozgrzebywaniu pomorskich historii:

Ewie i Arturowi Kozerom za opowieści i cenne uwagi krytyczne;

Gabrieli Gawareckiej-Harat za udostępnienie ciekawych materiałów historycznych o okolicach Sławna;

Annie Najman za wspaniałą gościnę i tak zwaną organizację całości.

Janusz, wiem, że sceny marynistyczne napisałbyś lepiej. Jak będziesz miał Tam wolną chwilę, rzuć okiem i popraw. W ogóle daj znać.

Atka, dzięki – bez Ciebie nic by się nie wydarzyło.

Przypisy

- [1] „A ty czekasz, ty czekasz na jedno, / co twe życie wzniesie nieskończenie” – Rainer Maria Rilke, *Przypomnienie w: tegoż, Poezje*, przeł. Mieczysław Jastrun, Kraków 1987, s. 50–51.
- [2] Friedrich Nietzsche, *Vereinsamt* [Samotny], w: *Deutsche Gedichte*, red. Dietrich Bode, Stuttgart 1998, s. 232.
- [3] Majowy chrząższczu, leć! / Ojciec jest na wojnie, / Matka jest na Pomorzu, / Pomorze jest spalone.
- [4] Rainer Maria Rilke, *Malte: Pamiętniki Malte Lauridsa-Brigge*, przeł. Witold Hulewicz, Warszawa 1979, s. 25.
- [5] „Zmierzchają na półkach twoich / Rzędy ksiąg w brąz oprawnych, złożonych, / A ty myślisz o krajach zwiedzonych, / O obrazach, o strojach / Kobiet znów utraconych” – Rainer Maria Rilke, *Przypomnienie...*
- [6] Rainer Maria Rilke, *Malte...*, s. 107.
- [7] Rainer Maria Rilke, *Malte...*, s. 53.